



WYBRANKI

Najnowsza powieść autora
bestsellerowych
Purpurowych rzek

Jean-Christophe
Grangé

Jean-Christophe Grangé

WYBRANKI

Z języka francuskiego przełożyła
Krystyna Szeżyńska-Maćkowiak



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Les Promises

© Editions Albin Michel – Paris 2021

Copyright © 2023 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2023 for the Polish translation by Krystyna Szeżyńska-Maćkowiak
(under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz
Zdjęcie autora: © Richard Dumas

Redakcja: Bożena Sęk
Korekta: Aneta Iwan, Iwona Wyrwisz, Izabela Sieranc

ISBN: 978-83-8230-665-1

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórców i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadrage.pl
www.soniadrage.pl
www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2023

Spis treści

Słowo od tłumaczki

I. SNY

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

II. MARMUROWY CZŁOWIEK

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54
55
56
57
58
59
60
61
62
63
64
65
66
67
68
69
70
71
72
73
74
75
76
77
78
79
80
81
82
83

84

III. KOLEBKI

85

86

87

88

89

90

91

92

93

94

95

96

97

98

99

100

101

102

103

104

105

106

107

108

109

110

111

112

113

114

115

116

117

118

119

120

121

122

123

124

125

126

127

128

129

IV. CZARNY TRÓJKĄT

130

131

132

133

134

135

136

137

138

139

140

141

142

143

V. WSCHÓD

144

145

146

147

148

149

150

151

152

Przypisy

Słowo od tłumaczki

Najnowsza powieść Jeana-Christophe'a Grangé przenosi nas w czas nieludzki, do faszystowskich Niemiec sierpnia i września 1939 roku. Świat pogrąża się w dramacie drugiej wojny światowej.

Ukazując atmosferę tamtych dni za pośrednictwem refleksji i czynów bohaterów, wywodzących się z zupełnie różnych środowisk, autor posługuje się też adekwatnym do epoki i jej mentalności językiem. Szalony Berlin kabaretów skrywa się w podziemiu, bycie innym w bardzo szerokim tego słowa znaczeniu oznacza wyrok.

Dlatego kierując się wolą dochowania wierności oryginałowi i niefałszowania obrazu epoki, używam określeń, które obecnie uznawane są za niewłaściwe i uwłaczające. Byłoby jednak rażącym anachronizmem wkładać w usta esesmanów terminy takie jak Romowie czy geje, skoro właśnie z nienawiścią i pogardą odnosili się do „podludzi” i „odmieńców” – w swoim rozumieniu. Kaleka, pedał, Cygan, Żyd nie mieli ludzkich praw i tę prawdę musi odzwierciedlać język, tak jak w innych sytuacjach emocje i wrogie nastawienie oddają wulgaryzmy, a autentyzm – na przykład więzienny slang.

Krystyna Szerzyńska-Maćkowiak

Dedykuje Megumi

I

SNY

1

– To dzieje się na wsi. Pojawia się pewnego zimowego ranka.

– Udało się pani określić, w jakim regionie?

– Nie. Od zawsze mieszkam w Berlinie i nie cierpię wyjeżdżać z miasta.

– Proszę mi opisać tę dziewczynkę.

– Ma na sobie mundurek Bund Deutscher Mädel: czarny krawat, długą spódnicę, odznakę z orłem Rzeszy. Widzę, jak zbliża się we mgle. Mówi do mnie: „Przysyła mnie Hitler”.

– Tak po prostu?

– Tak. Można by pomyśleć, że Hitler jest jej krewnym albo kimś bliskim, nie wiem. To absurdalne. W całym tym śnie każdy szczegół nabiera specyficznego, niepojętego charakteru.

– Chyba właśnie tak dzieje się w snach?

Simon Kraus spojrział na nią z uśmiechem, który miał być porozumiewawczy. Kobieta nie zareagowała. Była piękna, elegancka, doskonale ubrana. *Jak one wszystkie.*

– Proszę mówić dalej.

– Podchodzi jeszcze bliżej i wtedy wyraźniej widzę jej twarz. Ma bardzo bladą cerę i dzioby na twarzy. Blond włosy. Takie... nieprzyjemnie żółte. Nie mogę na nie patrzeć.

– Nieprzyjemnie żółte... Co ma pani na myśli?

– Barwy... moczu. Tak właśnie pomyślałam sobie we śnie: „Ta dziewczynka ma siuśkowate włosy”. Przyprawiło mnie to o silne mdłości.

Simon nie miał zwyczaju niczego notować. Dzięki ukrytemu pod biurkiem mikrofonowi nagrywał każdą sesję. Lubił natomiast spokojnie szkicować portrety pacjentek.

Ta była nowa. Wyzwanie dla takiego rysownika amatora jak on. Brwi (sztuczne, bo prawdziwe miała wydepilowane) wysoko uniesione, jak daszki nad oczyma, drobne słodkie usta, zadarty filuterny nosek, dłonie długie i smukłe... *Skupmy się...*

– Podczas gdy do mnie mówi, zauważam sporo szczegółów. Po pierwsze, w ręce trzyma łopatę. Po drugie, obok niej stoi taczka. Na pewno przyszła z tymi rzeczami, nie wiem...

A on wciąż rysował, trzymając notatnik tak, aby nie można było zobaczyć, co robi. Nasłuchał się takich opowieści. Ludzie przychodzili do jego gabinetu, żeby się

zwierzyć, opisywać swoje problemy, nerwice, a przede wszystkim opowiadać swoje sny.

Simon Kraus był psychiatrą, niewątpliwie jednym z najlepszych w tym pokoleniu, wolał jednak podawać się za psychoanalityka – choć słowo to stało się niebezpieczne, wsłuchiwanie się w lęki pań było znacznie bardziej lukratywne.

– Doktorze, czy pan mnie słucha?

Wpatrywała się w niego szarymi oczyma, które choć tak żywe i bystre, zdawały się strudzone, wytarte jak kamienie na dnie rzeki. To musiało być zmęczenie. W sierpniu 1939 roku nikt w Berlinie nie spał zdrowym, krzepiącym snem.

– Słucham, pani, pani... – rzucił okiem na kartkę – ...Feldman.

Przez kilka sekund przypatrywała się wystrojowi gabinetu. Simon sam dobrał tu każdy drobiazg tak, żeby pacjentki czuły się bezpiecznie (przyjmował wyłącznie kobiety). Ściany pokryte przełamaną bielą, obity brązową skórą głęboki fotel, otomana w roli kanapy, gruby wełniany dywan wzornictwa Kandinsky'ego, po którym chodziło się jak po obłokach, przeszklona biblioteka, w której ustawił starannie dobraną literaturę fachową, a przede wszystkim jego niezwykle biurko w stylu art déco, zabudowane od przodu, co pozwalało mu – a lubił to robić – bez obaw wysunąć stopy z butów.

– Widzę, że taczka wypełniona jest popiołem. W świetle brzasku ta masa wygląda jak biała plama i przypomina twarz dziewczynki... Mimo mgły wszystko wydaje się suche: popiół, oszroniona ziemia, skóra tej smarkuli... Nawet jej głos. Jakby cała była wytworem zardzewiałego mechanizmu...

Simon prawie ukończył jej portret. *Całkiem niezły*. Zwrócił oczy na pacjentkę.

– Wróćmy do tej łopaty. Co dziewczyna robi z tym... narzędziem?

– Podaje mi je i każe kopać.

Za tą sceną Simon dostrzegał tylko pospolity strach, który zawładnął wszystkimi berlińczykami. Rzecz jasna nasilający się wraz z nastaniem nazizmu, choć obecny i przedtem, za czasów Republiki Weimarskiej.

Psychiatrę interesowało głównie podstępne oddziaływanie dyktatury na świadomość. NSDAP, partia nazistowska, nie zadowalała się kontrolą rozbudzonego mózgu, zakradała się także do świata snów pod postacią czystego strachu.

– I co pani wtedy robi?

– Kopię. Najdziwniejsze, że nie od razu uświadamiam sobie, że kopię własny grób.

– Co dalej?

– Kiedy dołek jest już wystarczająco głęboki, dociera do mnie, co się dzieje. Ta dziewczyna wpakuje mi kulę w głowę i przysypie moje zwłoki tym, co ma na taczce. To nie jest popiół, tylko wapno palone. Właśnie wtedy dziewczyna wybucha śmiechem,

wyciągając pistolet, i mówi: „Zaletą tlenku wapnia jest to, że nie uszkadza metali. Na pewno ma pani biżuterię, co? Złote zęby?”. Chciałabym uciec, ale nogi mam drętwe jak trzonek łopaty.

Simon odłożył notatnik. Uznał, że musi teraz poprowadzić nową pacjentkę za rękę, wyciągnąć ją z tego – dosłownie.

– Frau Feldman, oboje dobrze wiemy, że to tylko sen.

Miał wrażenie, że go nie usłyszała. Prawie się dusiła, z trudem łapiąc oddech.

– Wiem, że ta dziewczyna zaraz mnie zastrzeli, a jednak tkwię w tym dołku i... i dalej kopię, jakbym chciała jej pokazać, że nie skończyłam, że musi zostawić mi jeszcze kilka sekund życia na dokończenie pracy... To potworne... Ja...

Przerwała, sięgając do torebki po chusteczkę. Otarła oczy i nos. Simon dał jej chwilę, by odetchnęła.

– Nagle – podjęła – rzucam łopatę i próbuję wspiąć się po ścianie dołu. I wtedy moje ciało się łamie.

– Co pani ma na myśli?

– Kręgosłup pęka mi na dwa kawałki. Wyraźnie słyszę trzask kości, padam twarzą do ziemi i czuję, że dwie części mojego ciała poruszają się niezależnie od siebie, jak przecięta dżdżownica. Patrzę w górę i widzę, że dziewczyna celuje do mnie z lugera, rozpoznaję broń, mój mąż ma taką samą. Zamknęła jedno oko, żeby lepiej wycelować, a jej otwarte oko też jest żółte. – Kobieta zaśmiała się szyderczo, a potem znów zaszlochała. – W kolorze szczyln!

W kulminacyjnym punkcie snu najdrobniejszy szczegół może być determinujący – znaczący.

– O czym pani myśli w tym momencie?

– O moich złotych zębach.

Zdławiła krzyk i skuliła się, szlochając. Simon zauważył, że jest ubrana w garsonkę, na którą sam zwrócił uwagę w luksusowym sklepie Kaufhaus des Westens. Te wszystkie elementy były bardzo obiecujące. Podczas kolejnej sesji zapyta ją o męża – o jego pracę, poglądy, dokładne dochody...

– Czy pani jest Żydówką, Frau Feldman?

Wyprężyła się jak rażona prądem.

– Skądże, nigdy w życiu!

– Komunistką?

– Nic z tych rzeczy! Mój mąż kieruje Reichswerke Hermann Göring!

Uniósł brwi na znak zdumienia, a w spojrzenie włożył szczyptę podziwu. W rzeczywistości już o tym wiedział – przyjaciółka, która poleciła go Frau Feldman, powiedziała jasno, że pan Feldman trzyma w garści znaczną część niemieckiej stali.

Simon obdarzył ją najżyczliwszym z uśmiechów.

– W takim razie proszę się uspokoić, Frau Feldman, pani sen jest tylko wyrazem niesprecyzowanego niepokoju związanego, powiedzmy sobie szczerze, z aktualną sytuacją.

– Ale co znaczy ten sen?

„Znaczy, że wszyscy będziemy zdychali z lufą lugera przy skroni”, miał ochotę powiedzieć, jednak przybrał specjalną minę *intra muros*: cokolwiek powie się w tym gabinecie, nigdy nie wydobędzie się poza jego cztery ściany.

– Pani psychika poddana jest trudnej do zniesienia presji, Frau Feldman. Nocą uwalnia się od lęku, tworząc te dziwne scenariusze.

– Mam wrażenie, że jestem złą Niemką.

– Wręcz przeciwnie. Takie sny ujawniają pani wolę, by mimo wszystko wieść szczęśliwe życie w Berlinie. Powtarzam: w ten sposób oczyszcza się pani z lęków. Sen to wypoczynek. A marzenia senne są odpoczynkiem duszy, chwilą przerwy, jeśli pani woli. Proszę się nie niepokoić.

Mówiąc to, pomyślał: *Doczekasz się, doczekasz*. Teraz skupił się na jej wydepilowanych brwiach. Nie znosił takiej kokieterii. W kreskach narysowanych na wyskubanych łukach brwiowych było coś obscenicznego, a zarazem sztucznego. Simon cenił naturalne piękno. Pod tym względem był prawdziwym Niemcem i całkiem blisko było mu do nazistów, którzy lubili tylko dziewczęta z warkoczami, wysportowane, tryskające zdrowiem.

– Przepraszam... może pani powtórzyć? – odezwał się, siadając prosto.

– Pytałam, czy sesja dobiegła końca.

Zerknął na zegarek.

– Zdecydowanie.

Szybko włożył buty, zainkasował należną kwotę i odprowadził kobietę do drzwi. Po kilku słowach mających podtrzymać ją na duchu i ustaleniu, że zobaczą się za tydzień, zostawił zaślubioną Zakładom Hermanna Göringa za drzwiami. Przez głowę przeleciał mu niczym pocisk pewien obraz: szczyptce wyrywające złote zęby Frau Feldman.

Przetarł twarz ręką i wrócił do gabinetu. Sięgnął do kieszeni, wyjął kluczyk, który zawsze nosił przy sobie – na łańcuszku przypiętym do kamizelki, jak zegarek.

Ostrożnie (i z niezmienną rozkoszą) otworzył drzwi pomieszczenia przylegającego do gabinetu. Drzwi do jego tajemnego królestwa.

2

Pomieszczenie całe wyłożone boazerią, wąskie i bez okna, miało nie więcej niż pięć metrów kwadratowych. Oświetlone lampą z matowego szkła, przypominało pudełko na cygara dla olbrzyma – albo kabinę windy.

Na małym stoliku królował rejestrujący dźwięk gramofon, który włączał przed każdą sesją. Wszędzie pod ścianami stały regały, na których Simon przechowywał archiwalne nagrania. Setki płyt skrywających wszystkie sekrety jego klienteli. Lata słuchania, kuracji, szantażu...

Chwycił kolejną pokrytą szelakiem płytkę i wsunął ją do papierowej koperty, na której zapisał nazwisko pacjentki, dzień oraz godzinę sesji. Potem odłożył płytę na właściwe miejsce i cofnął się, by podziwiać swój skarb: trzy ściany posegregowanych snów.

Sny były pasją Simona. Poświęcił swą pracę doktorską biologicznym aspektom snu, następnie zainteresował się psychoanalizą. Przeczytał wszystkie dostępne książki na ten temat – wtedy naziści jeszcze ich nie palili. Później, w trzydziestym czwartym roku, wyjechał do Paryża, by poznać najlepszych ekspertów świata onirycznego.

Simon był zafascynowany złożonością marzeń sennych, potęgą ich wyobraźni, strukturą. Wszystkim, co te twory mówią nam o nas i o świecie. Miał swoją teorię: nocą wyzwolony z okowów cenzury i lęków mózg może patrzeć na rzeczywistość taką, jaka jest, i osiąga niezwykłą przenikliwość i trzeźwość. W tym sensie sny są wróżebne – zawsze dostrzegają najgorsze, kruszą liche pancerz ochronny.

Kto wie? Może Ilse Feldman skończy w wykopanym własnymi rękami grobie z kulą w potylicy...

W pierwszych latach nazizmu Kraus ryzykował, publikując kilka artykułów naukowych na ten temat – był wówczas nawet członkiem Instytutu Göringa, gdzie znaleźli oparcie psychiatrzy niebędący ani Żydami, ani freudystami. Potem usunął się nieco w cień, starał się nie stawać na drodze brunatnej zarazy. Skupił się po prostu na leczeniu kobiet z lękami. Sny jego pacjentek zdradzały silne nastroje antyhitlerowskie, a więc i antypatriotyczne.

Dostrzegał ironię tej sytuacji: Rzesza wciąż starała się dowiedzieć, co dzieje się w ludzkich głowach, kontrolować psychikę, a tymczasem to on w swym gabinecie, tak blisko Staatsbibliothek, gromadził sekrety żon, a niekiedy, choć pośrednio, ich mężów. *Ha, ha, ha! I tego też Hitler nie dostanie!*

Z biegiem lat zdołał dopracować swoją teorię. Według Freuda sny są wyłącznie seksualne. Nie zgadzał się z tym. Jak powiadał Otto Gross, genialny psychoanalityk, który został kloszardem i w roku 1920 zagłodził się na śmierć: „Skoro Freud wszędzie widzi tylko seks, to najwyraźniej za mało dupczy!”.

Sny są polityczne. Mówią o naszych relacjach z innymi, o stosunku do władzy, do ucisku. Jego sny w większości dotyczyły tylko tego – poniżeń z przeszłości (a Bóg świadkiem, że doznał ich wiele!) przetworzonych na absurdalne historyjki, symboliczne i chorobliwe. Co noc Simon cierpiał katusze, rozdrapując rany, taka jednak była cena zachowania równowagi.

Musiał oczyszczać ranę. Wypluwać we śnie te blizny, które wciąż jeszcze się jątrzyły i nie pozwalały mu oddychać pełną piersią.

Simon był w gruncie rzeczy mściwy. Mimo błyskotliwości, pasji zawodowej, a nawet oddania pacjentkom i badaniom nad oniryzmem nie wyzbył się cynizmu i zgorzknienia człowieka, który chce policzyć się z innymi.

Dowód? Choć dzięki lekarskim honorariom żyło mu się, oględnie mówiąc, komfortowo, choć z radością wykorzystał system nazistowski, zajmując piękne mieszkanie należące wcześniej do pewnej żydowskiej rodziny, to jeszcze szantażował pacjentki.

Snując te rozważania, przypomniał sobie, że o siedemnastej jest umówiony z Gretą Fielitz. Nie mógł teraz pozwolić sobie na spóźnienie.

Punktualność jest uprzejmością szantażystów.

3

Simon był przystojny. Nawet bardzo przystojny.

Ale też niski. Strasznie niski.

Z uniesioną brodą, stając na palcach, bezczelnie pozował na metr siedemdziesiąt, jednak wolał nie wiedzieć, o ile oszukuje. Zapomniał o wynikach ostatnich pomiarów. Celowo wyparł te informacje.

Skąpy wzrost dał mu inną siłę – siłę woli. W szkole, kiedy koledzy rośli jak na drożdżach, a on wciąż nie mógł wystrzelić, poczuł, jak inaczej narasta w nim siła, jakby w jego wnętrzu rozwijała się energia gotowa eksplodować.

Staczał iście dantejskie bójki prowokowane drwinami z jego ułomności. Szczególnie jedną, w gimnazjum w sraczyku pod gołym niebem, kiedy potwornie oberwał, za to do dziś pamiętał to poczucie wyzwolenia, wiatr wiejący w betonowych korytarzach, trzask kości jego nosa uderzającego o drewniane drzwi... Był szczęśliwy, że się bije, że zna drogę, jaką musi pokonać, aby się sprawdzić.

Simon miał drobne ciało, ale dużą inteligencję. Bardzo szybko zaczepianie go stało się niebezpieczne. Już nikt więcej nie śmiał rozkwasić mu gęby – wszyscy bali się jego ciętego języka. Oberwał kilka razy, to fakt, lecz winowajcy zyskali przydomki, które na długo z nimi zostały. Siniaki znikają, o obelgach nie da się zapomnieć.

Jego sytuację pogarszała inna słabość – był biedny. To odmienna forma małości. Ale zarazem dodatkowa motywacja, by pragnąć. Często myślał o aktorze, który bawił cały świat, a urodził się w nędzy. O Charliem Chaplinie. Simon naśladował go przed lustrem (on też poruszał się rozkołysanym, tanecznym krokiem) i powtarzał sobie, bawiąc się laską, że i on kiedyś stanie na szczycie.

Podczas studiów zawsze był najlepszy bez trudu i wysiłku, nie ślęcząc nad książkami dłużej niż przeciętny student. I tak przez całe lata uchodził za geniusza. Jednak był przekonany, że wciąż określa go ten pieprzony wzrost. „Stań się tym, kim jesteś”, napisał Nietzsche. Pewnie był wyższy od Simona, bo kiedy człowiek przechadza się zawsze na obcasikach, a i tak obrywa łokciem w nos na każdym przystanku tramwajowym, to raczej jest tym, kim się staje... mimo swego wzrostu.

Simon Kraus wyjechał z Niemiec w roku 1934, by studiować we Francji, a w 1936 wrócił do Berlina. Widział pożar Reichstagu w lutym 1933 i nadanie Hitlerowi nadzwyczajnych pełnomocnictw miesiąc potem, palenie książek, noc długich noży w 1934 i noc kryształową w listopadzie 1938... Jedynym wydarzeniem, które przegapił, były igrzyska olimpijskie. Ale przeżył w tym rwącym potoku łajna,

zachowując pełną obojętność. Nawet dziś, w przededniu wojny, gwizdał na to. Zamierzał przetrwać potop.

Pewne wspomnienie doskonale go charakteryzowało. Tamtego popołudnia w kwietniu 1933 roku, kiedy siedział w bibliotece, w korytarzach nagle zrobił się zamęt. Trzaskanie drzwiami, stukot butów, zduszone okrzyki: „Wyrzucają Żydów!”. I wtedy przez myśl przemknęło mu tylko jedno: „Dopóki nie czepiają się niskich...”.

Oto co taka ułomność robi z człowieka: potwora. Co prawda małego, ale jednak potwora.

Dobrze. Simon w końcu zdecydował się otworzyć szafę. Zależało mu, by zaprezentować się Grecie Fielitz w starannie dobranym stroju. *Popatrzmy...* Szybko zerknął na wiszącą po lewej kolekcję płaszczy: brązowa alpaka ze stójką, dwurzędowy czarny z chesankowej wełny, trencz z gabardyny... Nie ta pora roku. Potem skupił się na garniturach: wszystkie ze stębnowanymi wyłogami, z wełny, flaneli, lnu... Oczywiście mowa o trzyczęściowych garniturach z pasowanymi kamizelkami i spodniami z wysokim stanem – ale nie za wysokim, bo wtedy wyglądałyby jak w ogrodniczkach.

Ich krój był znacznie bardziej wyszukany, niż widywało się w Berlinie: Simon zachował francuskie modele i powierzał szycie utalentowanym krawcom – wyłącznie Żydom, choć coraz trudniej było ich znaleźć.

Ostatecznie jego wybór padł na tweedową marynarkę i koszulę z oksfordu. Spodnie z zakładkami, derby ze sznurówkami i wszystko gra. Poniżający szczegół: jego buty kryły oszustwo, miały bowiem pogrubione podeszwy. Simon, który dawno zrozumiał, że najlepszą metodą kontroli nad żartami na swój temat jest samemu je wymyślać, jako rezydent szpitala Charité puścił w obieg taki: „Co różni Josepha Goebbelsa od Simona Krausa? Goebbels ma jedną krótszą nogę, a Simon dwie”.

Przejrzał się jeszcze w lustrze w drzwiach szafy i doszedł do wniosku, że odcień jego marynarki – mech, kora, wrzosa jak w Highlands – przypomina kolorystykę nazistowskich mundurów. Tym lepiej – nie będzie zwracał na siebie uwagi.

Zerknął na zegarek i stwierdził, że właściwie ma jeszcze trochę czasu. Poszedł do kuchni zrobić sobie kawę.

W ponadsześćdziesięciometrowym mieszkaniu poza przestrzenią prywatną mieścił się także jego gabinet. Jako że przeznaczył jeden pokój na gabinet, drugi na poczekalnię, w gruncie rzeczy dla siebie miał kuchnię, łazienkę i dużą sypialnię. W pełni mu to wystarczało.

Simon podobnie jak o garnitury dbał o meble. Do poczekalni udało mu się dobrać niski stolik z palisandru, dwa brązowe skórzane fotele, a pod sufitem zawiesił

plafonierę z matowego szkła. Ozdobą sypialni był parawan zaprojektowany przez Jeana Lurçata, kosztowny drobiazg...

Jak mógł sobie pozwolić na takie luksusy? To proste: Leni Lorenz, jedna z jego pacjentek, miała męża bankiera, specjalistę od „aryjskości” Berlina. Żałosne słowo oznaczało najzwyczajniejsze wywłaszczanie Żydów i konfiskatę ich dóbr, które Hans Lorenz radził „dobrym Niemcom” odkupować, oczywiście za nędzne pieniądze.

Dzięki temu Simon mógł wejść w posiadanie mieszkania, za które nie płacił nawet czynszu. Potem Leni poszła z nim do magazynów, gdzie naziści gromadzili łupy ze swoich grabieży. Tam zrobili zakupy niczym młodzi małżonkowie, którzy się urządzają. Znaleźli też czas, by kochać się za wybranym przez Simona parawanem Lurçata. Słodkie wspomnienie.

Psychiatra mógłby czuć się zakłopotany rolą „utrzymanka” (Leni dała mu lokum jak burżuj swojej kochance), ale nie przejmował się tym. Wręcz przeciwnie. W głębi ducha był żigolakiem. Studia opłacał z pracy tancerza do towarzystwa – i nie tylko.

Przed wyjściem nie zdołał oprzeć się pokusie, by jeszcze raz przejrzeć się w lustrze w przedpokoju. Naprawdę był przystojny. Wysokie czoło, a nad nim kasztanowe włosy gładko zaczesane do tyłu. Nałożył brylantynę, ale odrobinę, tak żeby włosy wyglądały na trochę nieposkromione, oswojone, lecz zarazem dzikie. Czasami nawet jakiś kosmyk omiatał mu czoło niczym błysk geniuszu drzemiącego w jego umyśle.

Brwi tworzyły niespokojne łuki nad oczyma. Dodajcie do tego ciemnoniebieskie oczy podkrążone jak u poety, prosty nos – zdawałoby się, nakreślony kilkoma pociągnięciami pędzla – i zmysłowe usta, a otrzymacie wzorcowe oblicze kochanka.

Simon z wielką starannością dobrał kapelusz, istne dzieło sztuki. Był posiadaczem kilku filcowych trilby z wąskim rondem z tyłu wywiniętym do góry. Miał też homburgi, typowo niemieckie, z charakterystycznym rowkiem na górze. Bardzo je lubił, ponieważ były sztywne i wyglądał w nich na trochę wyższego. Ale dziś sięgnął po jeden z modeli fedora, niesłusznie zwanych borsalino, zrobiony z króliczego włosia. Opuścił rondo na czoło i popatrzył jak gangster.

Jeszcze tylko lekki ruch ręki, żeby strzepnąć pyłki z ramion, i *andiamo!*

4

Simon Kraus nie był rodowitym Brandenburczykiem, pochodził z okolic Monachium. A jednak zawsze uważał się za berlińczyka. Co dnia, kiedy wychodził z gabinetu i patrzył na „swój” Berlin, odczuwał każdym zakończeniem nerwowym czar tego miasta i jego wyjątkową atmosferę.

Mieszkał w Paryżu, bywał w Londynie, a Berlin ani ze względu na piękno architektury, ani na harmonię przestrzeni nie wytrzymywał porównania z tymi miastami. Ale było coś innego. To ciężkie, płaskie, ciemne miasto emanowało specyficzną energią. Mówiło się, że powstało na ziemiach, z których wydostawały się alkaliczne wyziewy, swego rodzaju toksyczne emanacje zdolne rozbudzać ludzkie pasje. W świetle ostatnich dwudziestu lat pozostawało jedynie uznać te pogłoski za prawdziwe.

Od zakończenia wojny światowej Berlin widział wszelkie szaleństwa, wszelkie skrajności. Przewroty, rewolucje, zamachy – to w życiu politycznym; nędzę, jednodniowe bogactwo, rozpasanie – to w życiu ludzi. Dziś nazistowska dyscyplina nieco uspokoiła sytuację, jednak miejska wrzawa nie ucichła.

Simon ruszył Alte Potsdamer StraÙe do Potsdamer Platzu. To miejsce zawsze go zadziwiało. Wielkie okno na niebo pocięte torami U-Bahnen i ich kablami elektrycznymi, pełne sunących samochodów i koni... Budynek na pierzejach placu wyglądały jak góry otaczające stalowe jezioro. Pośrodku na osobliwym czarnym obelisku umieszczono zegary i pierwszą sygnalizację świetlną w mieście. W głębi zwieńczony kopułą Vaterland przypominał tandetną namiastkę włoskiej katedry – w budynku znajdowały się sale gier, kino i restauracje, gdzie dorosłych traktowano jak dzieci: elektryczne koleжки i miniaturowe samoloty jeździły między stolikami.

W ten słoneczny dzień Simon drżał, obserwując tłum – morze czarnych garniturów, zwiewnych sukienek (uwielbiał je) i lśniących kepi pocziwych starych szupowców, funkcjonariuszy policji porządkowej. Z rozkoszą zanurzył się w panującej tu wrzawie, wsłuchany w stukot końskich kopyt, zgrzyt tramwajów sunących torami wpuszczonymi w uliczny bruk, ryk aut...

Jak zwykle poświęcił kilka sekund, by z podziwem spojrzeć na Columbus Haus – olbrzymi dziewięciopiętrowy gmach ze szkła i stali, wybudowany ostatnio i wyróżniający się na tle tradycyjnej architektury. Sam nie wiedział dlaczego, ale marzył, by urządzić sobie gabinet właśnie w tym budynku. Simon był człowiekiem nowoczesnym, pragnął przyjmować pacjentki w futurystycznej budowli i nie tracił

nadziei, że wykwaterują z niej jakichś Żydów, co – po ich wyrzuceniu – umożliwiłoby mu błyskawiczne przejęcie lokalu.

Po drugiej stronie placu panowała spokojniejsza atmosfera, więc znów rozkoszował się ciepłem. Teraz, u schyłku lata, wystarczyło przejść kilka kroków szerokimi chodnikami w cieniu wiekowych drzew, by się przekonać, że istnieje coś silniejszego od nazistowskiej opresji i groźby wybuchu wojny. Łagodność ciepłego wiatru, delikatny szelest liści, radosny blask słońca... I te jakże lekkie cienie tańczące walca na asfalcie.

Natknął się na żebraków z krzyżami wojennymi (zostało ich jeszcze paru, wspomnienie ostatniej wojny) i na grubasa w bawarskim stroju – skórzanych spodenkach i kapeluszu z piórkiem. Uśmiechnął się. Tego rodzaju postaci dowodziły, że Freud miał rację. Niemiecka kultura jest regresywna, przypomina sen skauta, w którym wszyscy chcą wędrować po górach w krótkich spodenkach.

Doszedł do pięknej, szerokiej Wilhelmstraße (trzeba lubić takie linie proste) i wyczuł bardziej posępną atmosferę. O ile w gwarze Potsdamer Platzu można było uwierzyć, że jest się w zwyczajnym mieście, o tyle Wilhelmstraße z ministerstwami, urzędami i licznymi kwaterami głównymi nie pozwalała zapomnieć, że obecne władze nie zamierzają żartować.

Zamknięta między Prinz-Albrecht-Straße a Anhalter Straße dzielnica stała się siedliskiem czystego terroru, gdzie skupiły się najgroźniejsze siły Rzeszy. Na sztandarach, na kolumnach – wszędzie – widniały runy SS, orły i te cholerne swastyki, które wciąż miał przed oczyma.

Nagle stracił humor. Tu nie dawało się marzyć. Człowieka dopadała twarda rzeczywistość. Wojna była już kwestią dni. Pakt niemiecko-sowiecki usunął ostatnie przeszkody na drodze do inwazji na Polskę. Gazety – wszystkie kupowane albo wszystkie sprzedawane, jak kto woli – mogły sobie krzyczeć z pierwszych stron, że Hitler chce za wszelką cenę uniknąć wojny, nikt nie dawał się na to nabrać. Zagarnął już Austrię, potem Sudety, dlaczego więc miałby się zatrzymać na tej drodze?

Simon maszerował przez dzielnicę wyprostowany, z naprężonymi pośladkami. Przy Prinz-Albrecht-Straße 8 przeszedł nawet na drugą stronę ulicy – był przed siedzibą Gestapo.

I wreszcie na Wilhelm Platzu odetchnął. Tu był inny świat. Nie taki jak gwarny Potsdamer Platz czy przytłaczająca dzielnica Wilhelma. Dużo zieleni, niebo, przestrzeń, a wokół wysokie kamienice o surowej architekturze, emanujące spokojem.

Stacja Kaiserhof z dwiema latarniami, bramą kutą w żelazie i niezwykłą kolumnadą otaczającą kręgiem wyjście z metra wyglądała jak mauzoleum.

Sto metrów dalej, pod numerem 3/5 przy Wilhelm Platzu, królował hotel o tej samej nazwie i wierzcie mi, że ta solidna czteropiętrowa fasada z niezliczonymi oknami i ozdobnymi balustradami balkonów, zwieńczona – na włoską modłę – tarasem na dachu, w pełni zasługiwała na miano luksusowego hotelu.

Właśnie tu Simon umówił się z Gretą Fielitz.

5

Hotelowe foyer spełniało oczekiwania, jakie rozbudzała fasada. Było przestronne i skąpane w słońcu dzięki wysokim weneckim oknom, prawdziwym strażniczkom światła. Pośrodku, między stolikami i podwyższeniami, dwie gigantyczne rośliny pięły się w górę niczym słupy Herkulesa. Ten hol był przedsiönkiem wyciszzonego, bogatego, wyrafinowanego świata.

I bardzo zaaferowanego.

Dzwoniły kryształy, ale i praca aż wrzała. Odźwierni w uniformach z galonami, hotelowi boye w szkarłatnych mundurach, kelnerzy we frakach uwijali się przy dyskretnej muzyce, która wypełniała przestrzeń między stolikami i fotelami, w rytm brzęku filiżanek, podzwaniania szkła, szmeru rozmów.

Simon przez chwilę obserwował ścierające się tu siły.

Przedstawiciele starej pruskiej gwardii – z monoklem i dumnie uniesioną głową. Ludzi interesu w czerni – nerwowych, uśmiechniętych, naelektryzowanych (biznes w Niemczech rozkręcił się już jakiś czas temu). No i oczywiście nazistów w sraczkowatych mundurach, z pasami, które nie przestawały skrzypieć, zupełnie jak garota zaciskająca ci się na szyi.

Na szczęście były i kobiety.

Tak gibkie, jak ich mężowie byli drętwi, uśmiechnięte, jak oni kamiennie poważni, lekkie, jak oni ociążali. Mówiąc wprost – one były życiem, oni śmiercią.

Przeszedł przez foyer, by dostać się na werandę, gdzie znajdował się bar. Siadając przy stoliku, doznał wrażenia, że wciska się do przegrzanego wiwarium, w którym w roli krokodyli występowało kilku zgniózielonych oficerów nazistowskich.

Przez okno można było obserwować przechodniów na cesarskim placu. Przy odrobinie szczęścia zauważy idącą Gretę Fielitz i będzie mógł nacieszyć oczy jej nogami pod prześwitującą letnią sukienką, którą przenikną promienie słońca.

Simon żył dla takich krótkich chwil. Dla tych przelotnych, ale najbardziej wyrazistych, najmocniejszych w zwykłym dniu. Pożądanie było najlepszym narkotykiem. Zamówił martini, sięgnął po papierośnicę (bardzo płaską, w złote i srebrne prążki, marki Cartier; podarowała mu ją serdeczna przyjaciółka) i wyciągnął muratti.

Wydechając wolno dym, przyglądał się otaczającym go mundurom. Do diabła, kto chciałby się tak ubierać? Zwłaszcza w taki upał. Naziści byli całkowicie pozbawieni

poczucia rzeczywistości. Z tymi galonami, medalami i złoceniami wyglądali równie pajacowato jak hotelowi boye i tragarze.

Zwrócił oczy w górę, śledząc dym wijący się w rozpromienionym słońcem powietrzu. Nie potrafił tego pojąć. Gdyby przynajmniej ludzie, którzy pchają ich ku przepaści, byli błyskotliwi, charyzmatyczni... Niewydarzony malarz, kuternoga, narkoman, hodowca kur – doborowa ekipa! A to dopiero przywódcy. Jak to ktoś powiedział – zapomniał kto – zanim czarna zaraza zalała Niemcy niczym przewrócony kałamarz: „Pijaństwo to jeden z fundamentalnych żywiołów ideologii nazistowskiej”. W pewnym sensie to przejście władzy musiało wzbudzać podziw. Jak taka banda błaznów mogła odnieść sukces?

Greta się spóźniała. Jeszcze jedno martini. Ciepło alkoholu pod ciepłym szklarni z wolna mąciło mu myśli. Czy jest wart więcej od innych? Oczywiście, że nie. Po prostu potrafił się odnaleźć w tym społeczeństwie terroru, zgrywał się na spryciarza i bufona, podczas gdy umiał tylko zapewnić sobie ochronę żon tych łajdaków. Jego położenie było mocno niepewne...

Jak długo zdoła tak trwać?

Niezbyt długo. Już jego specjalizacja stanowiła problem. W tych czasach zawód psychiatry w Berlinie nie był ceniony, o psychoanalityku lepiej nawet nie mówić. W 1933 roku podczas autodafe w płomienie wrzucono wszystkie książki Freuda. Myśl, że można odsłonić ludzką świadomość jak kurtynę, by łowić ukryte w niej sekrety, była dla nazistów odrażająca.

Dość tego, powiedział sobie Simon, sięgając po kolejnego muratti, żadnych czarnych myśli. Nie w taki piękny słoneczny dzień, kiedy siedzi tu sobie, sącząc martini i czekając na jedną z najpiękniejszych kobiet w Berlinie, i na tę wypchaną pieniędzmi kopertę, którą przyniesie w torebce.

Opróżnił kieliszek i zamówił kolejne martini. Boże, trzy drinki na podwieczorek to naprawdę dużo!

– *Guten Tag*, młody człowieczku!

Greta Fielitz stanęła przed nim. Zatopiony w myślach nie zauważył jej przez okno. *Szkoda*. Tak jak przewidywał, miała na sobie sukienkę z paskiem, z materiału, który rozpoznał, ledwie zerknąwszy: to był lystav, niegniotący się len. Sukienka była... lazurowa. Ta barwa pasowała do jej cery, jak słońce pasuje do morza.

Hitler, który wtrącał się we wszystko, a haute couture uważał za jeden z niezliczonych żydowskich spisków, nakłaniał Niemki do noszenia warkoczy i paskudnych ludowych sukienek. Ale mógł sobie napadać na Czechy, Francję czy Rosję – wojny z kobietami nie miał szans wygrać. Berlinianki nigdy nie zgodzą się nosić dirndla.

– Usiądź, proszę – wyszeptał, wstając, by wysunąć krzesło na wprost siebie.

Kiedy zajmowała miejsce, sukienka jedwabście szeleściła. Greta była po prostu oszłamiająca. Przemknęło mu przez myśl, że w tej chwili on sam doznał „szalu zmysłów”.

Gry słowne: obsesja psychoanalitka.

6

Usiadła i nie tracąc ani chwili, otworzyła wyszywaną perełkami torebkę, wyjęła kopertę i cisnęła ją na stół.

– Jesteś małym łotrem.

– Daruj sobie tego „małego”.

Założyła nogę na nogę. Simon wyraźnie usłyszał, jak pod niebieską sukienką trą o siebie jedwabne pończochy, i poczuł się, jakby dostał cios w podbrzusze.

Palec po palcu Greta ściągała białe rękawiczki.

– Przyznaję ci więc wyższą rangę: jesteś przystojnym łotrem – ustąpiła nieco.

– To brzmi lepiej. Czego się napijesz?

Delikatnie ujął ją za rękę. Ostentacyjnie pieścił żonę saksońskiego arystokraty w hotelu Kaiserhof, zostawiając na stoliku kopertę z dwoma tysiącami marek – owoc szantażu, do jakiego posunął się wobec tejże małżonki – tego nie dało się już nazwać zuchwalstwem. To było samobójstwo.

– Martini – powiedziała, nie cofając ręki. – Nie przeliczysz?

– Ufam ci.

– Powinnam cię oskarżyć przed moim mężem.

Simon skwitował pogroźkę uśmiechem. Początkowo Greta przychodziła do niego z powodu (słabych) objawów depresji. Była przybita, cierpiała na bezsenność, miała napady lękowe... Jak zwykle poprosił, by opowiedziała mu swoje sny.

Od razu posłusznie opisała mu nawracające koszmary.

Jednoznacznie antynazistowskie. W świetle dnia Greta dzielnie grała rolę małżonki i służebnicy swastyki, lecz nocą, w sekretnej strefie snu, do głosu dochodziły jej lęki i tworzyły przerażające sceny, w których naziści stawali się jeszcze bardziej odrażający (jeśli to możliwe) niż w rzeczywistości.

Nie to było jednak materiałem do szantażowania młodej damy. Dopiero gdy Greta nieco się zagalopowała i wyjawiała, że jej mąż, pruski hrabia blisko związany z partią, z całego serca gardzi Adolfem Hitlerem i mówiąc o nim, zawsze posługuje się przydomkiem nadanym mu przez Hindenburga: „czeski kapral”, psychoanalityk mógł działać.

Simon zagroził, że pójdzie na Gestapo i wyda hrabiego, popierając słowa zapisem sesji na płytach. Greta musiała rozwiązać dylemat: albo wyzna mężowi, że chodzi do psychoanalityka, albo będzie płacić, wykradając pieniądze z ukrytych funduszy hrabiego.

Wybrała tę drugą opcję. Już pół roku wcześniej.

– Dziękuję – powiedział krótko. Wsunął kopertę do kieszeni. Od niechcienia. Ironia losu: brać haracz od szantażowanej żony nazisty, siedząc pośród tych paskudnych mundurów. – Już ci tłumaczyłem, że to stanowi element terapii – podjął, przybierając swój najłagodniejszy ton. – To odszkodowanie jest kluczem do twojego uzdrowienia. Sigmund Freud powiedział...

– *Schnauze!* Jesteś zwykłym gnidowatym szantażystą.

– Skoro tak uważasz... – odparł, udając obrażonego. – Robię to dla twojego dobra.

– Te pieniądze nie są nawet moje, tylko męża.

– Tym lepiej!

– Pleciesz bzdury.

Znów pochylił się nad stolikiem, aby się do niej zbliżyć, i wziął ją za rękę.

– Greto, lecę cię z powodu koszmarów, prawda?

– Owszem – przyznała nadąsana.

– A skąd się biorą te koszmary?

Uniosła głowę i wystraszona rozejrzała się wokół.

– Milcz.

Przysunął się jeszcze i wyszeptał:

– Masz je przez NSDAP, ślicznotko.

– Prosiłam, zamilcz!

– A skąd pochodzą pieniądze twojego męża?

Rozszłochała się, osłaniając twarz rękami. Dokładnie takie same sztuczki stosowała Frau Feldman. Na szczęście w gwarze, jaki panował na tarasie, nikt niczego nie zauważył.

– W pewnym sensie płaci mi Hitler – podjął miękkiem głosem. – I tylko pokrywa koszty szkód, jakie spowodował w twojej głowie.

Osuszyła oczy.

– Znowu ta twoja gówniana logika.

– Nie bądź dzieckiem – powiedział, znów sięgając po muratti. – Te pieniądze posłużą nauce. Lepsze to niż topienie ich w wojnie, która zapowiada się na największą klęskę stulecia. I pochłonie miliony ludzkich istnień.

Greta cofnęła się na krześle. Smutek na jej twarzy ustąpił żywemu zaciekawieniu.

– Zastanawiam się, jakim cudem jeszcze żyjesz.

– Dzięki mojemu wzrostowi. Przemykam za plecami innych.

– Te plecy nie osłonią cię przed bombami, które wkrótce spadną na świat.

– Oby nie za szybko. A tymczasem napijesz się jeszcze martini?

Pokiwała głową jak kukułka ze szwajcarskiego zegara. Uwielbiała zachowywać się jak dziecko, prawdę mówiąc, dzieciństwo było nieodległą epoką jej życia.

Simon przywołał kelnera i złożył zamówienie. Czuł, że myśli dziwnie mu się rozplývają.

– Jak się miewa twój mąż? – spytał nieoczekiwanie, jakby za wszelką cenę chciał ją sprowokować.

– Żyje w silnym napięciu – rzuciła. – Ta sprawa z Polską bardzo go ekscytuje.

Wypił łyk martini i poczuł smak kofeiny na języku. Zaraz potem fala złości spowodowała palenie w gardle.

– Nareszcie coś, od czego mu staje.

– Proszę cię... – syknęła. – Poczęstuj mnie papierosem.

Simon podsunął jej papierośnicę. Drżącymi palcami chwyciła muratti.

– Dlaczego nie przychodzisz już do mnie na sesje? – zapytał, zapalając jej papierosa (zapalniczka także była pozłacana, dostał ją w prezencie od innej przyjaciółki).

– Twoje usługi stały się za drogie.

Greta miała przynajmniej poczucie humoru. Założyła nogę na nogę, a on usłyszał charakterystyczne tarcie jedwabnych pończoch. Tym razem brzmiało, jakby coś rozerwało się w jej łonie. Alkohol wyostrzał mu zmysły.

Młoda kobieta nie starała się grać zmysłowością. Seksualny magnetyzm działał wbrew jej woli. To była kwestia proporcji kończyn i wzrostu, czegoś ciężkiego, co miało moc przyciągania równie naturalną jak przyciąganie ziemskie.

I nagle Simon zapomniał o nazizmie, o dwóch tysiącach marek, o czasie i miejscu spotkania. Zaledwie kilka centymetrów dzieliło go od jej ud i myślał wyłącznie o tym, by się w nich zanurzyć, czuć je, pieścić. Boże, na samą myśl o miejscu, gdzie się zaczynały, o tej skórze niemowlaka, czuł się chory.

– Przychodź do gabinetu – powiedział kategorycznym tonem.

– Żeby z tobą sypiać?

– Nieważne, dobrze by ci to zrobiło.

Poczuł, że odpływa – martini mąciło mu umysł, zaczynał gubić wątek.

– Kim ty właściwie jesteś?

– Lekarzem, który chce jak najlepiej leczyć pacjentki.

Mówiąc to, zauważył, że nie żartuje.

– Lekarzem i szantażystą.

– Powiedzmy, że mam dwa zawody. A raczej pracę i hobby.

– Zastanawiam się, co uważasz za hobby.

Nie odpowiedział. Mimowolnie zwrócił oczy na Kancelarię Rzeszy po drugiej stronie placu. W tym ułamku sekundy dyktatura wydawała mu się wręcz miła. Była jak

ciśnienie, kiedy nurkuje się w morzu – czyniła każdą chwilę cenniejszą, bardziej intensywną. Wszystko mieszało mu się w głowie. Do diabła, to martini...

– Słuchasz mnie czy nie?

– Proszę?

– Nie dotarło do ciebie, że to twoje cyniczne zachowanie, ta zabawa w uwodziciela i operetkowego łotra, to wszystko nie jest na te czasy? – Wyciągnęła rękę i delikatnie położyła mu ją na karku, jakby uspokajała małego kotka. – Simonie, obudź się, zanim twoje atuty zamienią się w słabość. W obozie koncentracyjnym będziesz tylko małym człowieczkiem z głową na wysokości kolby. I oberwiesz prosto w gębę.

Simona przebiegł dreszcz. Greta miała rację: jeśli będzie zgrywał się na cwaniaka, krucha warstwa lodu, po którym stąpał, pęknie mu pod nogami. A ta jego ochrona... Ochrona ze strony kobiet, które szantażował i z którymi sypiał... To nie był silny иммунитет. Rogacze w końcu o wszystkim się dowiedzą.

– A gdybyśmy wrócili do hotelu Zara jak za dawnych pięknych czasów?

Uśmiechnęła się.

– Przykro mi, Simonie. Pod tym względem także wyszedłeś z mody.

Wydał z siebie zrezygnowane westchnienie, które zabrzmiało raczej jak beknięcie.

– Spotkajmy się raczej w Bayernhofie – powiedziała nagle rozbawiona. – Już tak dawno nie jadłam kartoffelsalat.

Znów się uśmiechała, a on mógł patrzeć na nią z zachwytem. Jej buzia laleczki siała spustoszenie w berlińskich wyższych sferach, a w tej chwili jej policzki były jak dwa rozpalone do czerwoności węgle zdolne wywołać pożar w spodniach każdego mężczyzny.

– Niech będzie Bayernhof – skapitulował. – W piątek o wpół do pierwszej?

– O wpół do pierwszej będzie idealnie. – Wstała, szeleszcząc sukienką jak niebo. – Pozwolisz mi mówić – uprzedziła. – Dobrze ci zrobi, jeżeli będzie tam trochę mniej świństw niż zwykle. *Auf wiedersehen.*

Simon patrzył, jak odchodzi. Bez frustracji. Powiedział sobie, że jest prawdziwym intelektualistą: bardziej niż jej uda lubił pieścić ideę tych ud.

W drodze powrotnej trochę wytrzeźwiał. Jednak wciąż miał dobry nastrój. Czuł w kieszeni kopertę od Greta, a jego drobne manipulacje wydawały mu się genialne. Zarabiał pieniądze, ciągnąc damy za język, a potem zbijał jeszcze większe, obiecując im milczenie. *Reden ist Silber, schweigen ist Gold*. Mowa jest srebrem, milczenie złotem.

Żeby skuteczniej przezwyciężyć skutki martini, zatrzymał się przy ulicznym sprzedawcy i kupił dwie gorące Wiener Würstchen. Berliński przysmak w cielistym kolorze... Trzymając kiełbaski w jednej ręce, lekkim krokiem szedł Wilhelmstraße. Tak lekkim, że bawił się jak za chłopięcych lat – omijał spojenia płyt chodnikowych. *Jeżeli nadepniesz linię, umrzesz...*

Znów przeszedł przez Potsdamer Platz, zwinął w kulkę zatłuszczony papier i rzucił nim, celując do kosza. Tym razem zgiełkliwy plac wydał mu się nieznośny. Sunące tędy tramwaje, piętrowe autobusy, samochody, dorożki wyrzucały też morze kapeluszy i wojskowych czapek, które kołysały się jak fala ruchomych punkcików. Pointylizm w rytmie staccato. Tik-tak-tak...

Lekkość, którą czuł, zaczęła przechodzić w migrenę. Słońce chowało się gdzieś za budynkami, dźwięki kaleczyły mu mózg jak ostre krawędzie łyżew lodowisko.

Kiedy skręcał w Alte Potsdamer Straße, ogarnęło go złe przecucie. Greta miała rację – chodził po linii i kiedyś w końcu z niej zleci. Rzeczywistość dopadnie go nagle, uderzy jak rozpędzona *Kriegslokomotive*.

Gdy miał już swój dom w zasięgu wzroku, o mało nie wybuchnął śmiechem. Mógłby zrobić karierę jako medium... Przed budynkiem ujrzał spektakl, którego każdy Niemiec bał się najbardziej na świecie.

Piękny mercedes zaparkował przed bramą. Oparty o auto kierowca w mundurze SS palił papierosa. Kilka kroków dalej nieruchomo, jakby wrósł w asfalt, stał olbrzym w czarnym mundurze i błyszczącej czapce.

Ha, ha, ha! Mały Simon, który przemyka zawsze za plecami innych! *Dalejże do kacetu, jak wszyscy!*

Nie patrzył już ani na samochód, ani na szofera – skupił się na wielkoludzie ze swastyką na naszywkach. Obraz był tak doskonały, że nadawał się na ilustrację do propagandowych książek. Kurtka, pas, kabura. Spodnie do jazdy konnej. Miękkie buty z cholewkami lśniące jak lustro. Esesmański sztylet na łańcuszku. Na piersi medal sportowy SA. No i oczywiście wszędzie orły – na czapce, na kołnierzu, na klamrze pasa.

– Doktor Simon Kraus?

– Tak, to ja – powiedział Simon, nie mogąc oderwać oczu od dwóch run, które tworzyły symbol SS na kołnierzu munduru.

– Hauptsturmführer Franz Beewen – przedstawił się olbrzym, strzelając obcasami.

Czuło się, że ćwiczył to powitanie przed lustrem. Simon spodziewał się tradycyjnego „Pojedzie pan z nami”, jednak mężczyzna dodał niemal ugodowo:

– Czy moglibyśmy porozmawiać w pańskim gabinecie?

Oficer pokazał mu owalną odznakę z poczerńiałego metalu. Widniał na niej orzeł siedzący na swastyce. Pod nią numer. *Ano, Gestapo...*

– Oczywiście – powiedział Simon, wykonując lekki ukłon bliższy gestykulacji Chaplina niż Hitlera.

Idąc po schodach, mimo całej sytuacji odczuwał osobliwą dumę. Ta kamienica z ciosanego kamienia, brama z kutego żelaza... To jednak musiało robić wrażenie.

Szli w milczeniu. Simon był dumny z przepychu, w jakim żył, z wyrafinowanego wystroju części wspólnych. *Nieszczęsny durniu, pewnie ostatni raz widzisz tę klatkę schodową.*

Na trzecim piętrze otworzył drzwi mieszkania, kątem oka obserwując gościa. Zastanawiał się, czy gestapowiec naprawdę jest tak wysoki, jak mu się wydawało. Przy Simonie łatwo było uchodzić za tytana.

Zatrzymali się na chwilę w przedpokoju – małym pomieszczeniu pomalowanym na beż harmonizujący z jasnym parkietem z gabońskiego drewna. Jedyłą ozdobą była tu seria szkiców Paula Klee.

Hauptsturmführer przez moment przypatrywał się im w zamyśleniu. Simon wykorzystał ten czas, uważnie go obserwując. Był nie tylko wysoki, ale i niesłychanie przystojny. Gęba stuprocentowego Aryjczyka, jakby świeżo wyrzeźbiona. Stalowe rysy, silna szczęka, pogardliwe usta... Z takim wyglądem mógł wysyłać do obozu koncentracyjnego lekkim ruchem brody.

Jednak ten iście wagnerowski Siegfried miał drobną niedoskonałość. Widać było, że cierpi na ptozę, porażenie mięśni powieki oka, co powodowało, że górna powieka na poły zasłaniała lewe oko. Kiedy na kogoś patrzył, to jakby celował do niego z lugera.

– Proszę za mną.

Przeszli do gabinetu. Zniesmaczona mina, jaką gestapowiec zrobił na widok mebli art déco, wiele mówiła o jego – nazwijmy to tak – postawie kulturowej. Kolejny, który musiał spalić sporo książek 10 maja 1933 roku przed berlińską operą.

– W czym mogę pomóc, Hauptsturmführer? – spytał Simon, siadając za biurkiem.

Nie zarzucił nóg na blat, ale jego poza wyrażała to samo. Lęk, jaki go ogarnął, zdążył przeminąć, w otoczeniu swoich książek i mebli znów czuł się silny, nietykalny.

Pamiętajmy, że martini wciąż buzowało w jego żyłach i pomagało wierzyć w supermoce, jakie posiadał.

Nie odzywając się, mężczyzna w czerni przeszedł kilka kroków. Przyglądał się każdemu szczegółowi. Gestapo miało czas.

Kiedy zbliżył się do ukrytych drzwi do sali nagrań, Simon kaszlnął, by zwrócić uwagę na siebie.

– Zechce pan usiąść – powiedział z naciskiem.

Skóra fotela boleśnie kwiknęła pod ciężarem gestapowca.

– Czy zna pan Margarete Pohl?

Simon Kraus poczuł, że coś w jego wnętrzu się odpręży. Margarete była jedną z jego pierwszych pacjentek, cierpiała na chroniczną depresję i dotąd czasami przychodziła do niego na konsultacje. Drobna blondynka z płaską pupą i małymi, sterczącymi piersiami, jedna z tych, z którymi sypiał, jednak była to historia sprzed ponad dwóch lat.

– Z pewnością ma pan nadmiar pracy, Hauptsturmführer – powiedział, odzyskując nagle pewność siebie. – Ja także nie mam wiele czasu. Czy moglibyśmy darować sobie pytania, na które zna pan już odpowiedź?

Simon dwie rzeczy wyczytał z oczu oficera, a raczej z jego półtora oka. Po pierwsze – szczerze osłupienie taką ripostą udzieloną oficerowi SS. Po drugie – swoiste zrozumienie. Z pewnością uprzedzono go, że Simon Kraus jest osobistym psychiatrą małżonek dygnitarzy. A to oznaczało, że jest nietykalny.

Myśl, że można pozostawać pod ochroną kobiet, musiała wydawać się wzruszająca człowiekowi pokroju Franza Beewena.

– Proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

– Tak, to moja pacjentka.

– Od kiedy?

– O ile mnie pamięć nie myli, od maja albo czerwca trzydziestego siódmego roku.

– Czy przychodzi do pana regularnie?

– Teraz już nie. Jest w okresie remisji. Papierosa?

Franz Beewen odmówił, kręcąc głową. Przyglądał się Simonowi z wyraźnym zaciekawieniem. Ta nonszalancja, swoboda bycia musiały być dla niego godne podziwu, zwłaszcza w takich czasach.

Gdzieś na dnię jego wodnistozielonego oka tliła się nawet iskierka satysfakcji. Simon, który znał się na kobietach, ale także na mężczyznach, wyczuwał wojownika kryjącego się za tym karnawałowym mundurem z godnymi pajaca dystynkcjami. Beewen lubił, gdy ktoś stawiał mu czoło.

Simon domyślał się też, że ma do czynienia z człowiekiem o silnej pozycji, należącym do elity Geheime Staatspolizei. Dlaczego przysłano do niego tego wojownika? Co tak istotnego się wydarzyło?

Gestapowiec, jakby czytał w jego myślach, oznajmił prosto z mostu:

– Margarete Pohl została zamordowana.

8

Simon Kraus o mało nie spadł z krzesła. W Berlinie mordowano wszystkich – nazywało się to „polityką”. Ale taka kobieta jak Margarete Pohl nigdy nie znalazłaby się na celowniku: stuprocentowa Aryjka, w stu procentach oddana Tysiącletniej Rzeszy, była małżonką Gruppenführera SS, dawnego towarzysza broni Göringa.

I natychmiast przed oczyma stanęła mu ta blondynka tylko nieznacznie wyższa od niego, śmiejąca się na głos w jedwabnej bieliźnie, tańcząca na łóżku niczym Anita Berber. Do oczu napłynęły mu łzy. Gniewne, żrące łzy, jakby ktoś wstrzyknął mu pod powieki roztwór soli.

– Zamordowana? – powtórzył głupio. – Ale... kiedy?

– Nie mogę ujawnić żadnych szczegółów.

Simon zrezygnował z pozy „wyrachowanego rozluźnienia” i oparł łokcie o blat biurka.

– Czy pan wie... To znaczy, czy wiadomo, kto to zrobił?

Na twarzy Franza Beewena po raz pierwszy pojawił się uśmiech, a raczej grymas pobudzony smakiem żółci w ustach niż jakimkolwiek ludzkim uczuciem. Zdjął czapkę. Jego blond włosy, obcięte tak krótko jak sierść ostrzyżonej owcy, aż kusiły, by je pogłaskać.

– Ale... jak została zamordowana?

– Powtarzam, że nie mogę panu nic powiedzieć.

Przez ułamek sekundy myślał o zbrodni z miłości. Margarete nie była wzorem wierności ani skromności, jednak jej mąż, generał na wiecznych manewrach, miał ją gdzieś, traktował jak starą zabawkę. Ani trochę nie przystawał do typu zazdrosnego męża.

Nowy kochanek?

Założywszy nogę na nogę, Beewen wodził teraz rozbawionymi oczyma po gabinecie Simona i jego wyszukany meblowaniu. Odnosiło się wrażenie, że napawa się satysfakcją, bo uchwycił tego człowieczka w jego ukwieconym ogródku. Simon miał swoją gadaninę psychiatry, zdegenerowaną sztukę, niepotrzebne nikomu książki. On miał śmierć, przemoc, władzę. Konkretny świat. Dzisiejszy świat.

– Czy Margarete Pohl przychodziła do pana regularnie?

– Już mówiłem. W tej chwili odbywaliśmy mniej sesji. Widziałem ją dwa tygodnie temu.

– Na czym polegała pańska kuracja?

Simon mógłby powołać się na tajemnicę lekarską, ale była to prosta droga do podziemi przy Prinz-Albrecht-Straße. Wolał uniknąć tej przeprowadzki.

– Na rozmowie – powiedział powściągliwie. – Opisywała mi swoje zaburzenia, a ja udzielałem jej porad.

– Jakie to były zaburzenia?

Simon sięgnął po muratti. Przypalił papierosa, żeby zyskać czas na przemyślenie odpowiedzi.

– Miała stany lękowe – odparł, nerwowo uderzając palcami w obrzeże popielniczki.

– Co to były za lęki?

No cóż, tam gdzie teraz jest, niczego nie musi się już bać...

– Bała się nazistowskiego reżimu.

– Dziwaczny pomysł.

– Pan też tak sądzi? Powtarzałem jej to do upadłego.

Ta uwaga mu się wymknęła. Potężne ciało obciśnięte czernią nagle się wyprężyło, jakby mechanizm pod mundurem uległ zablokowaniu.

– Czy wspominała o relacjach z mężem?

– Naturalnie.

– Co o nich mówiła?

Simon ujrzał kolejną migawkę. Margarete w pokoiku obok słuchała z gramofonu ulubionej piosenki, *Heute Nacht oder nie*, wirując boso po parkiecie.

– Cierpiała z powodu jego zachowania. Nigdy nie miał dla niej czasu. Wciąż na manewrach...

– Proszę mówić bardziej precyzyjnie. Na co chorowała?

– Jej poczucie odrzucenia wyrażało się poprzez brak apetytu, drżenie, omdlenia, napady lękowe...

Gestapowiec zwrócił swoje dziwne oczy na Simona i patrzył, jakby chciał go przeniknąć. Asymetria powiek czyniła go wyjątkowym, był prawie jak bohater powieści. Jakby krył się za mgłą, jakby był spiskowcem albo jednookim piratem.

– Czy wspominała o kochanku?

Simona przebiegł dreszcz – może to pułapka? Nie miał pojęcia, na jakim etapie jest śledztwo. Nie wiedział nawet, kiedy zamordowano Margarete.

– Nigdy – odparł, a potem dodał tonem nieznoszącym sprzeciwu: – To nie było w jej stylu.

Oficer skinął głową. Trudno było odgadnąć, co myśli. Nawet gdyby ten facet stracił rano matkę, zachowałby swoje niewzruszone spojrzenie nad żelaznymi szczękami.

– Wie pan, jak spędzała czas?

– Nie. Powinien pan zapytać o to jej męża.

Beewen się pochylił i oparł łokciami o biurko, powodując skrzywienie skóry i drewna. Politurowany blat nigdy dotąd nie wydawał się Simonowi równie mały.

– Musiała przecież opowiadać panu o swoim codziennym życiu.

Simon zgasił papierosa i wstał, żeby otworzyć okno. Pozbyć się zapachu tytoniu. A raczej uwolnić gabinet od napięcia.

– Nie chciałbym oczerniać zmarłej – mruknął, udając zakłopotanie – ale Margarete wiodła leniwe i puste życie małżonki mającego człowieka.

– To znaczy?

Simon usiadł.

– Fryzjer, zakupy, zabiegi... Poza tym często spotykała się z przyjaciółkami na herbatkach.

– Wspominano mi o pewnym klubie...

– To prawda, należała do Klubu Wilhelma. To rodzaj salonu literackiego, a może raczej towarzyskiego. Jego członkowie spotykają się co popołudnie w hotelu Adlon.

Beewen znów rozparł się w fotelu.

– Czy podczas ostatnich wizyt Frau Pohl wydała się panu nerwowa, przestraszona?

– Jak mówiłem, to właśnie było powodem naszych spotkań.

– Niech pan nie udaje głupca. Czy odniósł pan wrażenie, że boi się jakiegoś konkretnego zagrożenia? Może otrzymywała pogróżki?

– Nic mi o tym nie wiadomo, ale...

Jednostronne przesłuchanie zaczynało go już irytować. Zwykle to on zadawał pytania.

– Może mógłby pan podać mi jakieś szczegóły jej śmierci? Gdybym wiedział, co się stało, mógłbym udzielać dokładniejszych odpowiedzi.

– Nie jestem upoważniony do ujawniania żadnych informacji.

Hauptsturmführer splótł palce na kolanach. Miał szerokie suche dłonie z licznymi bliznami. Ręce chłopa, ale i esesmana, który rozkwaszał twarz, łamał ręce, wybijał szyby i wszystko, co znalazło się w zasięgu jego pięści, zanim zapracował na ponury awans do Gestapo.

Simon zauważył, że mężczyzna mówi bez obcego akcentu. Jabłko nie pada daleko od jabłoni – pochodził ze wsi, owszem, ale gdzieś w pobliżu Berlina. Tymczasem on, Simon, dopiero po latach starań pozbył się tego idiotycznego bawarskiego akcentu.

– Jeżeli dobrze zrozumiałem – podjął gość – ofiara przychodziła do pana regularnie od prawie dwóch lat. Opowiadała o swoich problemach osobistych, lękach, wątpliwościach i tym podobnych. Jeżeli ktoś w Berlinie zna ją dogłębnie, to właśnie pan.

– Powtarzam, że Margarete cierpiała na chroniczne niedomagania. Nigdy się nie zdarzyło, by wspominała o pogroźce albo osobie, którą uważała za groźną.

– Proszę się jeszcze zastanowić.

Simon wyciągnął muratti i przypalił papierosa, zadzierając głowę – przybrał pozę mającą świadczyć o usilnym szperaniu w pamięci. Za ścianą stała kolekcja płyt z nagraniami wszystkich sesji Margarete od maja 1937 roku.

– Doprawdy, bardzo mi przykro, ale niczego takiego sobie nie przypominam.

Większość „problemów” Frau Pohl ledwie zasługiwała na miano nerwicy, a jej rozchwianie psychiczne nie wykraczało poza ramy niepokojów egzystencjalnych zaniedbywanej żony. Jej jedynym wrogiem była nuda zwalczana kompulsywnymi zakupami, koktajlami od czwartej po południu i kilkoma kochankami, którym czasem udawało się dostarczyć jej rozrywki. Z nim włącznie.

Simon powrócił do pierwszej, a właściwie drugiej myśli, jaka mu się nasunęła. Szukając przygód na prawo i lewo, łajdacząc się w berlińskich spelunkach, mogła w końcu trafić na jakiegoś zbrodnicę.

– Czy mówiła panu kiedyś o Marmurowym Człowieku?

– Słucham?

– O Marmurowym Człowieku.

– Co ma pan na myśli? Pomnik?

Franz Beewen ciężko westchnął. Po raz pierwszy pozwolił sobie na ludzką reakcję. Nagle jego twarz przybrała inny wyraz, nie tak twardy, bardziej... ożywiony.

– To jedyny trop, jaki mamy – przyznał. – Wielokrotnie mówiła mężowi o Marmurowym Człowieku. Jakby się go obawiała...

– Czy mówiła coś jeszcze?

Beewen milczał, taksując rozmówcę. Nawet jego pirackie oko nie było już tak obojętne.

– Nie, nigdy nie chciała powiedzieć nic więcej – rzucił. – Powtarzała tylko, że się boi. Bardzo się boi. Ale nie wiadomo, czego dokładnie.

Simon nie podjął wątku. Miał nadzieję, że ten cerber wreszcie sobie pójdzie. Chciał zostać sam. Zatańczyć ostatniego walca ze wspomnieniami. Sączyć stary koniak, przywołując obraz Margarete przy dźwiękach piosenek Mischy Spoliansky'ego.

Beewen, jakby miał bezpośrednie połączenie z mózgiem Simona, wstał. Psychiatra nie wierzył w swoje zdolności telepatyczne, a w każdym razie nie cenił ich aż tak wysoko. Uznał to raczej za przykład synchroniczności, którą tak lubił Carl Gustav Jung.

Hauptsturmführer, który chyba nieco się uczył, wziął pióro Simona i zapisał na kartoniku swoje nazwisko i numer.

– Herr Kraus, proszę się jeszcze nad tym zastanowić. Niech pan przejrzy swoje notatki i skontaktuje się ze mną.

Psychiatrze pozostało jedynie skinąć głową. Piekły go oczy, ale nie tylko od dymu papierosowego.

– Proszę się nie fatygować. Trafię do drzwi.

Patrzył, jak potężna postać przekracza próg, wypełniając całe przejście. Nigdy nie gościł tu takich ludzi. Zwykle widywał delikatne wełenki, futrzane kołnierze i jedwabne pończoszki.

Zaczekał, aż drzwi się zatrzasną, i dopiero wtedy podszedł do okna, aby je zamknąć. Olbrzym wsiadł do mercedesa, chociaż należałoby raczej powiedzieć, że się do niego wcisnął. Simon odprowadził spojrzeniem oddalające się auto i dopiero potem pozwolił sobie na uśmiech. Znowu miał przewagę czasu. Asa w rękawie.

Człowiek z marmuru, tak? Oczywiście, że go znał. Margarete kilka razy o nim mówiła. Ale Franz Beewen mógł przetrząsnąć cały Berlin, poszukując go – na próżno. Jedynym miejscem, które nawiedzała ta postać, był umysł Margarete. Człowiek z marmuru pojawiał się jej tylko we śnie... Był to rodzaj golema, który wypełniał jej sny.

Kraus znał jeszcze jeden szczegół, który mógł mieć duże znaczenie. Nie tylko Margarete cierpiała na ten syndrom. Taki koszmar dręczył wiele innych pacjentek. Simon uznał to za powszechny symbol władzy nazistowskiej albo nawet Adolfa Hitlera. Tylko dlaczego rzeźba? Z marmuru? Simon łączył to z obrazem albo miejscem, które wpisało się w pamięć tych dam i powracało w ich snach.

Wątpił, by ten wytwór psychiki miał cokolwiek wspólnego z zabójstwem młodej Pohl, uznał jednak, że warto zgłębić temat.

Był to winien swojej młodej kochance. Tej, która jazgotliwym głosem śpiewała *Heute Nacht oder nie*.

Franz Beewen nienawidził takich gnojków. Pasożytów. Żigolaków. Zdegenerowanych lekarzy.

Ładna buźka, owszem, ale ciało marionetki. I ten wypierdek śmiał patrzeć na niego z góry? Potraktował go jak wieśniaka. Gdyby to zależało tylko od niego, zabiłby go od razu w tym burżuazyjnym mieszkaniu pełnym dziwacznych rzeczy (zupełnie jak na wystawie zdegenerowanej sztuki, na której w 1937 roku należał do służby porządkowej).

Nie, dla takich pasożytów nie było miejsca w Tysiącletniej Rzeszy. Tego typu wypaczone umysłowości doprowadzały zawsze do rozpasania i grzechu. *Intelektualistyczni łajdacy*. Byli trądem nowych społeczeństw. Snuli za dużo rozważań i przez to wypaczali sens życia, nie słyszeli już głuchych drgań ziemi, naturalnych i najważniejszych.

Ten karzeł nie powiedział mu wszystkiego – na przykład było oczywiste, że słyszał już o Marmurowym Człowieku. Ale to nic, jeszcze tu wróci. Powtórzy pytania, przyprze psychiatrę, wyciśnie z niego wszystko jak z przegniłego owocu. Nie omieszka też przetrząsnąć jego gabinetu, kiedy go nie będzie.

A skoro łagodne metody nic nie dały, trzeba będzie przemówić mu do rozumu pałką. To, że Beewen awansował, nie znaczyło jeszcze, że wyszedł z wprawy.

– Jedziemy do Brangbo, Hauptsturmführer?

Nawet nie spojrzał na kierowcę.

– Tak, do Brangbo.

Kiedy po raz pierwszy wsiadł do mercedesa-benza 170, fiut prawie stanął mu w portkach. Konkretyzacja pod postacią stali i skóry jego sukcesu, jego awansu, władzy.

Teraz nie zwracał już na to uwagi. Człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego, nawet do spełniania marzeń. Marzeń, o które walczył pięściami, zaciskając zęby. I z gniewem w sercu.

Został mu już tylko jeden szczebel do osiągnięcia celu i właśnie wtedy spadło na niego to śledztwo.

Ten mały dureń z włosami przygładzonymi brylantyną nawet nie domyśla się rozmiarów klęski. Otóż Margarete Pohl nie była pierwsza. W piątek 4 sierpnia znaleziono zwłoki Susanne Bohnstengel, dwudziestosiedmiolatki, na Wyspie Muzeów. Z rozpłatanym brzuchem. Zmasakrowanej. Bez pantofli.

Sprawę najpierw powierzono Kripo, policji kryminalnej, ale wobec braku efektów, a także odnalezienia drugich zwłok, odsunięto kripowców, a śledztwo przekazano Gestapo.

I spadło akurat na niego, Franza Beewena, chociaż nie miał w tej dziedzinie żadnego doświadczenia. W Gestapo nie szukało się przestępców, tylko się ich tworzyło od zera. Akta śledztwa spokojnie się fabrykowało, siedząc za biurkiem, a potem aresztowało się winnego, który był najbardziej zdziwiony stawianymi mu zarzutami.

Ale tym razem było inaczej. Prawdziwy morderca chodził swobodnie ulicami Berlina i atakował żony dygnitarzy z najwyższych nazistowskich kręgów. A on miał go dopaść. *Scheiße!*

Podróż do Brangbo zajmie co najmniej pół godziny. Usiadł wygodnie, żeby podsumować całe śledztwo.

A zatem 4 sierpnia zwłoki młodej kobiety odnaleziono na północnym cyplu Wyspy Muzeów, w dzielnicy Cölln nad Sprewą. Ciało leżało wzdłuż Am Kupfergraben, na bulwarze na wprost Bode-Museum na zachodnim brzegu rzeki.

Z identyfikacją ofiary nie było problemu: miała na sobie ubranie, obok leżała torebka. Susanne Bohnstengel, z domu Scheydt, urodzona w 1912 roku w Ansbach w Środkowej Frankonii w Bawarii. Żona Wenera Bohnstengla, dostawcy części zamiennych dla Wehrmachtu. Bardzo bliskiego dowództwu SS.

Max Wiener, Hauptmann w Kripo, pierwszy prowadzący to śledztwo, postępował jak zwykle: przeczesano dzielnicę w poszukiwaniu świadków, sprawdzono zwolnienia z więzień (choć w tych czasach łatwiej tam było trafić, niż się wydostać), szukano w przestępczych kręgach miasta.

W tym czasie sekcja zwłok kobiety wykazała, że doszło do poważnych okaleczeń. Ofiara miała głęboką ranę szyi. Narzędzie zbrodni (nóż albo sztylet) rozcięło żyłę szyjną i tętnicę szyjną zewnętrzną, a także uszkodziło krtań i tarczycę.

Ofiara zmarła od tych obrażeń, które spowodowały potężny krwotok. Jednak zadano jej też inne rany. Kilka na lewym boku wskazywało, że się broniła i próbowała osłaniać, gdy zabójca trzymał jej ręce nad głową – rany sięgały aż pachwin. Wewnętrzne powierzchnie palców obu rąk były głęboko nacięte. Niektóre paliczki trzymały się na jednym ścięgnię. Kobieta musiała chwycić nóż, którym ją masakrowano.

Zabójca wyjątkowo pastwił się nad brzuchem. Szerokie ukośne cięcie biegło od przepony po lewej aż do dołu biodrowego prawego. Dwie płytsze rany szły równolegle, jakby morderca podejmował nieudane próby, zanim w końcu wbił nóż aż po trzonek i dosłownie rozplątał brzuch ofiary.

Badania przeprowadzone przez lekarza sądowego wykazały też, że sprawca dokonał specyficznego okaleczenia – wyciął srom ofiary i zabrał narządy płciowe, których ani śladu nie znaleziono w pobliżu zwłok. Morderca ukradł jajniki, macicę wraz z szyjką, a także cały srom.

W tej sytuacji trudno było powiedzieć, czy ofiara została zgwałcona, czy też nie, ale Wiener skłaniał się ku scenariuszowi bez gwałtu. Morderca czerpał rozkosz z używania noża, a nie fiuta. Z czasów SA i Unterweltu, przestępczego półświatka, Beewen znał tego rodzaju typków.

Co dziwne, morderca zabrał też pantofle Susanne. A zatem lubił się bawić narzędziami i butami ofiar. Naprawdę potworny świr.

Wiener zaczął dochodzenie z przytupem. Bardzo liczył na nowe laboratorium medycyny sądowej w Berlinie, Narodowy Instytut Chemii, wydział chemii sądowej i statystyk kryminalnych zwany w skrócie KTI, który w swoim programie miał badanie odcisków palców, fotografie antropometryczne, portrety pamięciowe, analizy osobowości, balistykę, identyfikację broni używanej przez sprawców zbrodni, badanie tkanek i materiału organicznego (przy użyciu mikroskopu), badanie krwi i spermy, toksykologię, wykrywanie atramentu sympatycznego...

Wiener słono zapłacił za cały ten szum. Serie analiz niczego nie wykazały, poszukiwanie naocznych świadków nie przyniosło efektów. Hauptmann szybko się przekonał, że pole jego działania mocno się zawęża. Zakazano mu przesłuchiwać bliskich ofiary. Zakazano mówić o morderstwie. Zakazano nagłaśniać sprawę nawet w ramach jego własnej jednostki... Bo jak przyznać, że popełniono taką zbrodnię i że tak boleśnie ugodzono Rzeszę?

Wienerowi udało się tylko odtworzyć plan dnia ofiary w przededniu znalezienia zwłok. Rano grała na kortach tenisowych, potem wybrała się na obiad z jedną z przyjaciółek. Później samotnie przechadzała się po Kurfürstendammie, oglądając wystawy sklepów, i... zniknęła.

Wiener wciąż dreptał w miejscu, gdy w sobotę 19 sierpnia znaleziono kolejne zwłoki, tym razem w parku Köllnischer przy wybiegu niedźwiedzi, niedaleko od Wyspy Muzeów. Margarete Pohl. Lat dwadzieścia osiem, z domu Schmitz, urodzona w Wirtembergii. Ten sam sposób działania. Poderżnięcie gardła. Wytrzewienie. Kradzież narządów płciowych i całej okolicy waginy. Buty zniknęły.

Kripo nie posunęła się ani o krok, stwierdzono tylko, że ofiary się znały. Obie należały do Klubu Wilhelma, modnego salonu w hotelu Adlon. Kiedy zebrano więcej informacji, okazało się, że ten „salon” jest po prostu miejscem spotkań, gdzie młode małżonki przemysłowców milionerów i nazistowskich dziennikarzy gawędzą o fatałaszkach i plotkują. Nawiasem mówiąc, te panie nazywano Damami Adlonu.

Wiener sprawdził modny hotel, przesłuchał personel, stałych bywalców, gości, którzy przebywali tam w interesującym go czasie, a wszystko to bez żadnej wzmianki o morderstwach. Tym razem również nie wolno mu było przycisnąć innych Dam – uznano to za ryzykowne. Także w tym przypadku zdołał tylko zrekonstruować ostatni dzień Margarete Pohl. Nic ciekawego.

Raporty Wienera stawały się coraz bardziej mętne, ograniczały się do prób zarysowania portretu psychologicznego sprawcy. Uważał na przykład, że morderca jest kanibalem i że napada ofiary w przebraniu. *Stek bzdur.*

Brunatny Dom zareagował.

Należało powierzyć śledztwo tym, którzy dzień w dzień sondowali ulice i umysły Berlina – gestapowcom. Dwudziestego szóstego sierpnia trzydziestopięcioletni Hauptsturmführer Franz Beewen oficjalnie przejął sprawę. Nie wiedział, dlaczego wybrano właśnie jego. Mógł się poszczycić doskonałym przebiegiem służby (z nazistowskiego punktu widzenia), ale nie znał się na dochodzeniach kryminalnych. Gestapo było policją polityczną: zatrzymywało swoje ofiary, a nie winnych.

Jego jedynym atutem była siatka wywiadowcza Geheime Staatspolizei. Od roku 1933 Niemcy nie były państwem, ale pajęczą siecią. Podzielono je na Gaue (rejon administracyjny). Każdy Gau składał się z Kreise (okręgów), każdy Kreis z Ortsgruppen (grup lokalnych). Każda Ortsgruppe dzieliła się na Zellen (komórki). Każdą Zelle tworzyły Blöcke (bloki).

Sieć opierała się na blockleiterach. Każdy z nich odpowiadał za sześćdziesiąt domostw, był ulicznym szpiegiem, podpatrywał codzienne życie sąsiadów. Informacje od tego funkcjonariusza najniższego szczebla były najcenniejsze.

Jak w takiej pajęczynie mogło dojść do tych dwóch zbrodni? Jak zabójca zdołał się wymknąć przez oka sieci? W dodatku praktycznie cały Berlin był na podsłuchu, media kontrolowano co dnia, a każdy pracujący miał swoją teczkę w gmachu przy Prinz-Albrecht-Straße. Beewen przez tydzień przeglądał wszystkie karty, ponaglał donosicieli, informatorów, wypytywał blockleiterów – nic nie wskórał.

Morderca był niewidzialny.

Kolejne zaskoczenie: kiedy Beewen chciał pomówić z Maxem Wienerem, stwierdził, że Hauptmann zniknął. Zwolniony? Wywieziony do obozu? Zgładzony? Tego nie był w stanie się dowiedzieć, jednak nie wróżyło to nic dobrego.

Beewen musiał zakasać rękawy. Ponownie przesłuchał mężów ofiar, przemysłowca Wenera Bohnstengla i Gruppenführera SS Hermanna Pohla. Niewiele to dało, dowiedział się tylko o wspomnianym wyżej szczególe: generał wyznał, że jego małżonka bała się człowieka z marmuru. Co miał począć z takimi bredniami?

Przyciskając męża, Beewen zdobył jeszcze jedną informację – Margarete Pohl, która nigdy nie czuła się dobrze, w końcu się przyznała, że chodzi do psychiatry. Franz bez najmniejszego problemu ustalił, że to Simon Kraus, i stanął oko w oko z tym kurdupłem.

Chociaż Beewen sam był kryminalistą, czuł się zagubiony i zdezorientowany. Miał do czynienia ze stukniętym mordercą, który napadał na kobiety i najwyraźniej czerpał przyjemność z ich masakrowania. Jemu daleko było do takich doświadczeń, był typem pragmatycznego, profesjonalnego zabójcy, a nie szaleńcem, który kieruje się emocjami.

Uniósł głowę i zorientował się, że jadą przez wiejskie pustkowie. Ściemniało się i pola wokół skąpane były w nieco przytłaczającym pomarańczowym świetle.

– Zatrzymaj się – rozkazał.

Przed przyjazdem do Brangbo Hauptsturmführer zawsze oddawał się pewnemu rytuałowi.

10

Stojąc na kartoflisku, Franz Beewen zaczął się rozbierać. Rozpiął pas, zdjął marynarkę, ściągnął buty i spodnie. Starannie złożył ubranie i zostawił je na masce mercedesa. Pozbywając się munduru z dystynkcjami, galonami, swastykami, miał wrażenie, że cofa się w czasie i wślizguje w skórę tego, kim niegdyś był.

Franz Beewen od zawsze karmił się tylko jednym paliwem – nienawiścią. Dzięki tej wewnętrznej wściekłości, tej chęci zabijania wszystkich, zdołał pokonać tyle szczebli kariery i stać się tym, kim obecnie był.

Ale nie tak szybko. Zaczniemy od dat, od miejsc. Przyszedł na świat w 1904 roku niedaleko miasteczka nazywanego się Zossen, czterdzieści kilometrów na południe od Berlina. W rodzinie klepiących biedę wieśniaków. Liche gospodarstwo pogrążyły niepokoje polityczne, ale jednak w kurniku zawsze znalazło się coś do jedzenia.

Przez dziesięć pierwszych lat był zwyczajnym wiejskim chłopcem, zamkniętym w sobie dzieciakiem, który odrabiał lekcje, siedząc na odwróconym ocynkowanym wiadrze, czując zapach gnojówki i słysząc muczenie krów.

Uczniem był kiepskim, ale uwielbiał czytać powieści. Rok 1914. Wybucho Wielka Wojna. Ojca zmobilizowano, matka i on muszą zająć się gospodarstwem. Początkowo Franz wpada w wir pracy i bezdenną studnię niezrozumienia. Nie jest cenniejszy od bydła, na które krzyczy całymi dniami.

Rok 1917. Ojciec przeżywa atak gazowy. Jadą do szpitala wojskowego w Essenheim pod Moguncją. Franz wraca stamtąd z głęboką traumą, odrętwiały z bólu, pijany nienawiścią. W gospodarstwie nic się nie zmieniło. Tylko on wie już na pewno, że nadejdzie dzień, gdy pomści ojca.

W tym okresie ma jedną rozrywkę – dziesięć kilometrów od domu, pod Zossen, znajduje się obóz jeniecki zwany „obozem półksiężycą”, ponieważ znalazło się tam sporo Arabów, Czarnych i Turków. Kiedy Franzowi udaje się znaleźć wolną chwilę, wsiada na rower i jedzie tam po prostu po to, żeby patrzeć, jak wrogowie wolno konają. Wielokrotnie przeciska się pod drutami kolczastymi i usiłuje podpalić jenieckie namioty. Bez powodzenia.

Rok 1919. Powrót do normalności, przynajmniej częściowy. Ojciec wciąż przebywa w szpitalu, hipoteka domu jest obciążona (żeby opłacać leczenie taty), zatrudniają parobka. Mutter chce teraz, żeby jej Franz zdobył abitur, wysyła go więc do liceum z internatem w Poczdamie. Otwierają się nowe perspektywy.

Przede wszystkim sport.

Praca na roli wykuwa ciało. Dotąd siła była tylko oznaką zniewolenia Franza. Teraz muskulatura staje się synonimem siły i zwycięstwa.

W tym okresie Franz zmienia też wygląd. Jego czupryna, przypominająca dotąd garść ziemistych korzeni, zostaje zdyscyplinowana. Pasma przylepiają się do głowy jak hełm, kark jest podgolony.

Franz ćwiczy. Myśli o Wielkiej Wojnie. O swoim zatrutym gazem ojcu. Pracuje nad każdym mięśniem, nad każdą komórką ciała, żeby stać się maszyną wojenną. Narzędziem zemsty.

Słyszy o Aryjczykach, o rasie panów. Podoba mu się to. Naród lepszy od innych. Mistyczne korzenie. Wieśniak czy nie, rozumie, że należy do Volku.

Rok 1923. Wbrew wszelkim oczekiwaniom kończy gimnazjum, wraca do rodzinnego gniazda. Czarna rozpacz. Sytuacja w Niemczech wciąż się pogarsza. Francuzi, którzy nie dość, że poniżyli i wykrwawili Niemców, znów zajmują Zagłębie Ruhry, zabierając zakłady przemysłowe i kradnąc węgiel.

Cały kraj marznie i głoduje. Gospodarstwo Beewenów tonie w długach. Matka i parobek na próżno harują. Ale i teraz mają przynajmniej co jeść. I drewno, żeby się ogrzać.

Wygłodzeni berlińczycy zaczynają wkrótce wyruszać całymi bandami na wieś i grabić. Franz wita ich ze strzelbą w ręku. Zabija wielu ludzi. Te starcia ujawniają mu jedno: jest dobrym strzelcem. Ma talent do walki. Do wojny. I dziewiętnaście lat. Musi zacząć działać.

Zapisuje się do NSDAP, otrzymuje numer 24 336. Porzuca gospodarkę i wstępuje do SA, oddziałów szturmowych (Sturmabteilung). To milicja, która bije wszystko, co się rusza, w imię kilku tak prymitywnych idei, że rozbawiłyby dzieciaki w szkole. Nic nie szkodzi. Przeznaczenie go woła – mundury, dyscyplina, rozkazy – co również mu się podoba. I ujmuje w ryzy jego wściekłość.

Poznaje Berlin, niszcząc wszystko na swojej drodze. SA szaleje, a on bierze w tym udział. Franz nie rozkwasza gąb dla przyjemności, on trenuje, szykując się do wojny. Wie, czuje, że pewnego dnia będzie miał szczęście walczyć z wrogiem.

Matka zaklina go, by został w domu, pomógł na roli, bronił ojcowizny. Aby przemówić mu do rozsądku, wyjawia prawdę o zagazowaniu starego. Francuzi nie mieli z tym nic wspólnego, to wiatr zmienił tego dnia kierunek i przewiał niemiecki gaz na stronę Niemców. „Jeżeli chcesz się mścić – krzyczy – mścij się na wietrze!”

Na tę wieść Franz spluwa na Biblię matki, zabiera swoje rzeczy i znika. Początki w Berlinie są trudne. SA to banda brutalnych prostaków, nieudaczników, którzy – paradoksalnie – są używani do wszystkiego. Ni to żołnierze, ni policjanci, ni ktokolwiek inny. Milicja pijaków, służba porządkowa, która częściej napada, niż broni.

On sam pije niewiele, nie bawią go żarty kolegów, nie czerpie przyjemności z bicia ludzi. Naprawdę dziwaczny facet.

Franz niedługo jest SA-manem. W listopadzie ich przywódca, Hitler, podejmuje żalosną próbę zamachu stanu. Po kilku godzinach jest po wszystkim. Hitler aresztowany, SA rozbite, a Franz wraca do punktu wyjścia. Bez uprzedzenia jedzie do domu i zastaje matkę w ramionach parobka. Bierze strzelbę, zabija faceta i rzuca go na pożarcie świniom. Dogaduje się z Mutter: w razie śledztwa ma powiedzieć, że parobek wrócił w rodzinne strony. Mimo wszystko Franz nie może zostać w domu.

Przez jakiś czas mieszka w lesie jak zwierzę. Potem wraca do Berlina, nawiązuje kontakty ze środowiskiem przestępczym. Jest wykidajką, stróżem, złodziejem, a nawet zabójcą – gotów przyjąć każdą robotę, za którą płacą.

Rok 1926. Franz ma dwadzieścia dwa lata. Wciąż mocno zbudowany, jak zawsze gładko uczesany. Tylko sny o germańskiej czystości spaliły na panewce. W półświatku ma wyrobioną reputację: porywczy, groźny, nieposkromiony. Ludzie się go boją. Nie jest gangsterem, nie jest też nazistą. Kim właściwie jest?

Próbuje się hamować. Regularnie odwiedza ojca, który wegetuje w zakładzie dla obłąkanych – gaz wypalił mu i płuca, i rozum. Odwiedza też matkę, która zatrudniła nowego parobka.

Rok później Mutter umiera. Franz przywleka na pogrzeb ojca, który przez całą ceremonię słyszy syczenie gazu i warkot francuskich samolotów. Zaraz potem tańczy nad otwartym grobem, bo Niemcy wygrały wojnę. Kiedy zaczyna sikać na trumnę, Franz go ogłusza i odstawia do zakładu.

Bez rodziny, bez oparcia, bez planów, ledwie ma z czego żyć. Wtedy dociera do niego, że Hitler wyszedł z pudła i SA można reaktywować. Wraca. Przełożeni dostrzegają jego inteligencję, umiejętności bojowe, zaangażowanie – Franz oddaje się SA duszą i ciałem, to jedyne, co mu zostało. W dodatku ma idealny profil – syn wsi, z ojcem bohaterem wojennym. Wysyłają go do Wiednia na szkolenie z metod propagandy partyjnej i organizacji oddziałów. Okazuje się bardzo pojętny.

Od wiosny 1928 roku SA-mani znów mają prawo nosić mundury. Ten szczegół odmienia życie Franza, który defiluje, maszeruje, dowodzi własną jednostką. Jest przykładem dla wszystkich. W rzeczywistości ani przez chwilę nie wierzy, że taka banda kretynów mogłaby objąć stanowiska polityczne. Władzę trzeba przejąć w drodze wyborów, a nie za pomocą pałki czy karabinu.

Osobowość Hitlera także wzbudza w nim mieszane uczucia. Ten zapluwający się szaleniec, który opowiada bzdury, wydając gardłowe pomruki i strojąc miny jak operowa diwa, raczej go rozśmiesza. A jednak potrafi oddziaływać na tłumy. Franz może sam to ocenić – odpowiada za służby porządkowe podczas wieców.

Pewnego dnia wzywają go na tajną misję: podpalenie Reichstagu. Żaden problem. Tyle że ta operacja to prosta droga do tego, by kilka dni potem dostać kulkę w łeb.

Beewen otrzymuje dodatkowe zadanie w ramach tej misji: przed podpaleniem Reichstagu ma zabrać stamtąd fotel, ulubiony fotel Hermanna Göringa. Wypełnia je, ale przedtem wykonuje zdjęcie fotela „na miejscu”, na tle płomieni. Nazajutrz osobiście dostarcza fotel na prywatny adres Göringa i dyskretnie robi drugie zdjęcie. W kadrze umieścił egzemplarz gazety „Völkischer Beobachter” z tego dnia, z nagłówkami krzyczącymi o pożarze. Wystarczy położyć te dwie fotografie obok siebie, żeby wszystko stało się jasne.

Idąc za ciosem, udaje się do Ernsta Röhma, dowódcy SA, i pokazuje mu oba zdjęcia, uprzedzając, że jeśli cokolwiek mu się stanie, te dowody trafią do gazet. „Panujemy nad prasą”, odpowiada Ernst. „Mówię o zagranicznej prasie”. Nigdy więcej nie usłyszy o tej sprawie. Dostanie nawet awans.

Lecz intuicja podpowiada mu coś innego: Hitler, który objął urząd kanclerza, już nie potrzebuje SA. Wręcz przeciwnie, ta armia prostackich zabijaków, których coraz trudniej kontrolować, staje się dla niego ciężarem. Zwłaszcza dowódca, Röhm, który stanowczo za dużo gada, a w dodatku jest patentowanym pedałem.

Beewen odchodzi z SA i zaczyna służbę w policji. U glin Göring zastępuje pałki pistoletami. „Lepiej zabić niewinnego, niż chybić winnego”, zapowiada. Beewen może więc czuć się jak w SA.

Rok później nadchodzi noc długich noży, kiedy to giną wszyscy dowódcy SA. Beewen znowu miał nosa. W policji awansuje – były zabójca z SA, były łotr i rzeźmieszek z Unterweltu, ma wystarczające kompetencje, jednak przeczuwa, że to kolejna ślepa uliczka.

Władza nie należy do policji. Należy do SS.

Zgłasza się. Jego akta są niesamowite. Natychmiast trafia do Schutzstaffel, skłania się ku Gestapo. Szybko awansuje, bo świetnie posługuje się bronią, ale nie tylko dlatego. Beewen jest typem przywódcy. Po mistrzowsku dowodzi swoimi ludźmi, nie boi się pracy w terenie i zdecydowanie różni się od funkcjonariuszy stanowiących większość kadry Gestapo. W każdym trudnym przypadku można na nim polegać.

I dlatego wcisnęli mu to cholerne śledztwo.

Wszyscy wiedzieli, że Beewen chciał wstąpić do Waffen-SS albo do Wehrmachtu. Żeby iść na front, kiedy tylko wybuchnie wojna. Franz był żołnierzem i chciał walczyć.

Aby go zmotywować, jego przełożony, Obergruppenführer Otto Perninken, powiedział:

– Proszę wyjaśnić tę sprawę, a poprę pańskie przeniesienie.

Beewen skinął głową, strzelił obcasami i wyprężył ramię, mamrocząc: „*Heil Hitler!*”. Nie podobało mu się to. Jego przyszłość zależała teraz od stukniętego mordercy, który kroił poczciwe kobiety w zakamarkach parków. Tylko co go to mogło obchodzić, do stu diabłów?!

Za kilka dni Niemcy zaatakują Polskę, ta operacja wywoła drugą wojnę światową, a on będzie tkwił w Berlinie i szukał psychopaty, który zabił tylko dwa razy. Już ta liczba była żalosna. W nazistowskim Berlinie pierwszy lepszy godny tego miana zabójca miał na koncie już dziesiątki zabitych...

– Herr Hauptsturmführer...

Głos wyrwał Beewena z zadumy. Zaczynało się ściemniać i cały pejzaż poczerwieniał jak skąpany we krwi. Zauważył, że już się przebrał, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Starannie ułożył mundur w bagażniku i wrócił na swoje miejsce na tylnym siedzeniu. Teraz miał na sobie szare spodnie w kant, koszulę z krótkim rękawem i płócienną kurtkę. Tylko to znalazł w szatni Gestapo, gdzie przechowywano odzież rozstrzelanych i innych poddanych śledztwu.

Przynajmniej raz ani na kurtce, ani na koszuli nie było śladu kuli lub krwi. Był w pełni przygotowany do konfrontacji z ojcem.

Za każdym razem, gdy zbliżał się do muru zakładu psychiatrycznego Brangbo, doznawał tego samego odczucia fizycznego. Były to swego rodzaju halucynacje węchowe: woń gazu musztardowego.

Czuł zapach śmierci, który przenikał przez kauczuk maski i skórzane buty, wciskał się pod kurtki i palta, wypełniał okopy w latach 1914–1918 i zniszczył jego ojca.

Przez lata konfliktu nieobecność ojca była jak cisza przed burzą. Franz trzymał się spódnicy matki. Niczego nie widział, niczego nie słyszał, o niczym nie mówił. Po prostu czekał na ojca. Nie był nawet w stanie dopuścić do siebie złych wieści, które docierały do wsi (o okopach, gazie, o zmarłych). Vater był w jego oczach Rienzim, Lohengrinem, Parsifalem. Był niewyciężony. Drwił sobie z kul i pocisków. Potrafił wznieść się ponad okrucieństwo okopów.

Kiedy dwunastoletni Franz zobaczył ojca w szpitalu wojskowym w Essenheim, nie poznał go. Oczy – wypalone. Ojciec nic nie widział. Płuca – wypalone. Nie mógł oddychać. Błony śluzowe – spalone. Ten leżący w łóżku nieznajomy był tylko pożarem ciała.

Matka nalegała, toteż pośród szpitalnego chaosu krzyków i jęków musiał przekonać samego siebie, że ten wrak to naprawdę jego ojciec, jego bohater. Ta kapitulacja przesądziła o całym jego dalszym życiu. Zasłaniając usta chusteczką do nosa, stał u stóp łóżka ojca i wiele zobaczył. Po pierwsze strumienie krwi – upuszczano ją, by obniżyć ciśnienie w tętnicach ofiar gazów. Roztwór fizjologiczny do przemywania oczu, ust, ran. Opary chloru, który dodawano do wody, żeby myć podłogi pobrudzone przez rannych... Świat zagazowanych był płynny – żadnego jedzenia, trawienie wymagało zbyt dużo tlenu...

Byli też ludzie po amputacjach, pocięci przez wszy, byli też bezręcy, beznodzy, pozbawieni twarzy. Oni cuchnęli bardziej niż inni. Ich bandaże przesiąkały, rany się infekowały. Kilku chorych snuło się po sali wypełnionej dymem z piecyków. Prerażony Franz wbił oczy w podłogę, żeby na nich nie patrzeć. Zapamiętał tylko człowieka mumię z całkowicie zabandażowaną głową. Otwierał wszystkie szuflady, szukając swoich uszu.

Zdarzali się też tchórze, tacy, którzy obcięli sobie palec albo najedli się prochu do dział, żeby dostać żółtaczkę. Tym się nie spieszyło, bo leczyli ich tu tylko po to, by postawić przed plutonem egzekucyjnym albo odesłać na front.

No i byli jeszcze szaleńcy. Ci, którzy nie wytrzymywali codzienności w okopach. Trzęśli się, gestykulowali, wyli. Wydawało im się, że nadal są na froncie. Nazywano to „hipnozą bitewną”, *shell shock*, albo „nerwicą frontową”, a nawet „żołnierskim sercem”. Większość dochodziła do siebie w ciągu kilku tygodni, ale niektórzy, jak jego ojciec, pogrążali się w obłądnie.

– Dojeżdżamy.

Instytut Brangbo usytuowany był na pustkowiu – ceglana ruina wznosiła się pośród porzuconych pól. Zapomniany budynek w bezludnej okolicy. Ten pejzaż najlepiej opisywał sytuację – trzymano tu psychicznie chorych, żeby powoli wymierali. Nikt nie zamierzał ich leczyć.

Beewen nie miał żadnych wątpliwości co do podejścia partii do obłąkanych: należało się ich pozbyć. Ci zdegenerowani ludzie, słabe ogniwa, zbędne gęby do wykarmienia, zbyt drogo kosztowali państwo. Dość było wyjść na ulicę, by zobaczyć plakaty wywrzaskujące takie hasła, albo wybrać się do kina, gdzie przed projekcją filmu wyświetlano materiały propagandowe z idiotycznie śmiejącymi się wariatami czy wykrzywionymi twarzami debili. W podpisach kładziono nacisk na koszty wyżywienia takich potworów. Te pieniądze nie mogły trafić do porządnych niemieckich rodzin...

Franz czynił starania, by znaleźć lepszy szpital. Wszędzie natykał się na pełnych pogardy, spieszących się psychiatrów, którzy nienawidzili swoich pacjentów. Szukał prywatnej kliniki, ale żołąd gestapowca nie pozwalał mu na tego rodzaju luksusy.

A Brangbo...

Jedynym pozytywnym aspektem tej umieralni była jego dyrektorka, Minna von Hassel, ładna brunetka, która zajmowała się chorymi jak własnymi dziećmi. Początkowo Beewen sądził, że to zakonnica albo ktoś w tym rodzaju, okazało się jednak, że się mylił. Gestapo miało jej teczkę – pochodziła z jednej z najbogatszych berlińskich rodzin. Arystokratów, którzy „odkuli się” na asfalcie i budowali autostrady w całej Rzeszy. Minna była baronówną, ale odrzuciła życie w luksusach, żeby zostać psychiatrą i poświęcić się ludziom zostawionym na pastwę losu. *Szacunek*.

Równocześnie jednak nie ufał tej kobiecie, za dużo myślała. W dodatku uważała się za silniejszą od reżimu. No i była zbyt ładna – kiedy ją spotykał, jej pociągła twarz, czarne oczy, prawie orientalne, przyprawiały go o dreszcz. Przestawał być twardy, pewny siebie, ugięły się pod nim nogi...

Tak naprawdę przebierał się po drodze, przed wizytą w Brangbo, nie ze względu na ojca, którego mundury wprawiały w przerażenie, ale dla Minny von Hassel, która nie kryła nienawiści do esesmanów.

Mercedes przejechał przez bramę, a raczej przez jedną z dziur w ceglany murze, i zatrzymał się na dziedzińcu. Beewen wysiadł i przez chwilę patrzył, jak zmrok spowija to dobrze znane mu miejsce. Tak zwany „warzywnik” był zwykłym ugorem porośniętym chwastami, choć możliwe, że jakimś wariatom udało się tam coś wyhodować. A skoro już mowa o wariatach, to byli tu, właśnie tu, wokół niego, otuleni brudną pościelą albo wciśnięci w stare kaftany bezpieczeństwa, albo snujący się jak zjawy.

Franz znów poczuł woń gazu musztardowego, zapach szaleństwa. Albo własnego strachu, tego, który oblatywał go na samą myśl o spotkaniu z ojcem. Z tym nieznanym o zatartych rysach, ciele kościotrupa, który lżył go przy każdej okazji i opowiadał brednie bez ładu ni składu.

Jednak najgorsze było to, że widział się w nim jak w lustrze. Wiedział zresztą z książek, że obłąd często jest dziedziczny.

12

– Jak się dziś czuje?

– Stabilnie.

Zagadnął pielęgniarkę, którego znał od dawna, Alberta – jedyne nazistę wśród personelu medycznego Brangbo.

– Ale wczoraj miał ostry atak...

Beewen wzruszył ramionami – od Wielkiej Wojny takich ataków były tysiące i najwyraźniej utrzymywały ojca w jakiejś formie.

Bez słowa podążył za osiłkiem – Albert był prawie tak wysoki jak on i ważył ze sto dwadzieścia kilogramów. Kierowali się ku lewemu skrzydłu budynku, gdzie znajdowały się pokoiki chorych. Beewen dotąd nie zdołał odpowiedzieć sobie na pytanie, czy posiadanie własnego pokoju jest tu przywilejem, czy też karą. Zapuscili się w długi betonowy korytarz, na którego posadzce leżały kawałki gruzu. W prawej ścianie znajdowały się niewielkie metalowe drzwi. Całkiem podobnie wyglądało „domowe” więzienie w budynku Gestapo. Często powtarzał sobie, że istnieje związek przyczynowo-skutkowy między tymi dwoma miejscami – przyjeżdżał do Brangbo odpokutować za grzechy popełnione w Gestapo.

Albert szedł przed nim w brudnym fartuchu, podzwaniając ciężkim pękiem kluczy.

Wariaci krzyczeli za stalowymi drzwiami. Niektórzy siedzieli na zakurzonej podłodze, na którą skapywały ich łzy.

Nagle, bez żadnego powodu, przed oczyma stanął mu pewien obraz. Przypomniał sobie jedną z ich nielicznych rodzinnych „podróży” do Berlina. Fantastyczne letnie popołudnie na Unter den Linden – w alei Lipowej. W koszuli z podwiniętymi rękawami i spodniach sięgających nad pępek ojciec szedł, uśmiechając się w słońcu. Pod jego stopami drżały cienie liści i wyglądało to trochę jak falowanie samego czasu. Jak olśnienie.

Franz biegł do niego, głośno się śmiejąc. Nie widział teraz siebie, ale sądząc po brzmieniu śmiechu, musiał mieć jakieś siedem, najwyżej dziewięć lat. W takich chwilach szczęście staje się doznaniem czysto fizycznym, umykającym świadomości.

– Mam.

Albert znalazł wreszcie właściwy klucz. Przerdzewiałe drzwi zgrzytały, trąc o posadzkę. Beewen przypomniał sobie gabinet Simona Krausa – ten świat był zupełnie inny, bez miękkich dywanów i skórzanych foteli.

– A kim ty jesteś?

Już od wielu lat ojciec go nie poznawał. Nie był to objaw choroby umysłowej, ale raczej przegranej przez świadomość walki z rakiem szaleństwa. Demencja stale się nasilała, ogarniając coraz większe obszary mózgu.

– Tato, to ja, Franz, twój syn.

– Kłamstwo.

Peter Beewen siedział na łóżku wciśnięty w róg pokoju. Kołdra, która dawno straciła kolor, służąc kolejnym pacjentom, leżała pod jego nogami. Pacjent miał na sobie tylko szarawą koszulę, na której pozostały zaschnięte ekskrementy.

Franz podszedł bliżej. Albert zamknął za nim drzwi. Pokoik miał najwyżej dziesięć metrów kwadratowych. Betonowe ściany i podłogę pomalowano farbą. Wąskie łóżko było przymurowane, okienko zakratowane. Wszystkie kanty obłożono watą szklaną. Tak od dwudziestu lat wyglądało środowisko naturalne jego ojca.

Beewen zbliżał się ostrożnie. Ojciec potrafił jeszcze kopnąć go w jaja. Na razie siedział wtulony w siennik, wystraszony i bezbronny, tak samo jak ci wszyscy durnie, których Beewen codziennie zamykał w areszcie Gestapo.

To dziwne, ale mimo wyniszczenia spowodowanego przez gaz bojowy i lat zamknięcia w zakładzie ojciec nadal był przystojny. Miał regularne rysy twarzy, a jego oczy przypominały podmorskie grotty. Były jasne i wyraziste, błękitne jak czysty pigment. A przede wszystkim miał wciąż bujną siwą czuprynę, która upodabiała go do króla wikingów.

Tylko wychudzenie psuło cały efekt. Piękna twarz odsłaniała swoje mechanizmy przy każdej zmianie miny: zmarszczki, mięśnie, kości – wszystko było widoczne, jakby starca odarto ze skóry.

– Nie zbliżaj się do mnie!

Peter Beewen jeszcze bardziej skulił się na łóżku. Był wzrostu Franza, jednak ważył o połowę mniej niż syn, może nawet miał zaledwie jedną trzecią jego wagi. Kiedy się na niego patrzyło, można było pomyśleć, że to skomplikowana układanka z kości powleczonej cienką warstwą ciała.

– Tato, bądź rozsądny.

– Nie podchodź! *Mistkerl!* To ty mnie tu uwięziłeś, gnojku.

– Tato...

– Stul pysk! Wszyscy sprzysięgliście się przeciwko mnie...

Czasami było trochę inaczej, ale w gruncie rzeczy obsesje pozostawały te same: zamknęli go, żeby go uciszyć, znał wielkiej wagi tajemnice wojny światowej, wiedział na przykład, kto zadał ów *Dolchstoß*, cios w plecy, powodując, że Niemcy przegrały wojnę.

Choć może się to wydać paradoksalne, Franz – pomijając te dowody totalnego obłądu – wyraźnie widział, że ojciec cieszy się dobrym zdrowiem fizycznym. Dopóki bredził, wkładając w to tyle energii, był w formie. Kolejnym zadziwiającym faktem było to, że udręka ta stanowiła cząstkę życia Beewena. W gruncie rzeczy była nawet fundamentem tego życia. Miłość gestapowca miała się jeszcze czego trzymać, nawet jeśli darzył uczuciem ziejący nienawiścią wrak człowieka.

– W okopach – podjął chory – widziałem ludzi, którzy nie mogli już znieść wybuchów, świstu pocisków, zatykali sobie uszy zaciśniętymi pięściami, o tak... – Naśladował ich, przyciskając pięści do uszu i wytrzeszczając oczy. – Ale kiedy im się bliżej przyjrzałeś, musiałeś zauważyć, że są przecięci na pół. – Stary wybuchnął śmiechem. – Osłaniali uszy, ale nie mieli już nóg!

Jedna ze starych śpiewek ojca: potworności z okopów, na pierwszy rzut oka zupełnie nieprawdopodobne. Jednak jak najbardziej prawdziwe.

– Widziałem roztopiające się ciała nurzające się we własnym tłuszczu, ciała dzieci bez głów i ich matki biegające wokół, oszalałe z rozpacz. Widziałem towarzyszy broni, z których zostało tylko krwawe błoto...

Franz słuchał jednym uchem. Do diabła, co on tu właściwie robi? Przecież powinien być teraz w Berlinie, szukać tego mordercy kobiet.

Peter zamilkł. Pod krzaczastymi brwiami jego oczy wyglądały jak niebieskie żagwie zdolne podpalić watę szklaną.

– Mówisz, że jesteś moim synem, tak?

– Tak.

– Jak się miewa twoja matka?

– Tato, mama nie żyje. To już prawie piętnaście lat, jak umarła.

– Oczywiście. Zabili ją, to jasne. Ale dostała to, na co sobie zasłużyła.

– Tato...

Staruch się wyprostował. Ta wysoka, królewska sylwetka, zwieńczona włosami jak toczek z gronostajów, doskonale prezentowałaby się na deskach teatralnych.

– No co? W końcu to ona mnie tu zamknęła.

Matka nie miała wyboru. Kiedy stan zdrowia ojca zaczął się poprawiać, okazało się, że dotyczy to płuc. Natomiast zmiany mózgowe były nieodwracalne. I tak zaczęła się szpitalna historia Beewenów – nędzna renta na przetrwanie, całe dni w autobusach, żeby dojechać do zakładu psychiatrycznego...

– Ale nie dopadniecie mnie!

Franz grał swą rolę w niezmiennym rytuale. Przyklęknął na ziemi i wziął ojca za rękę.

– Tato, nikt nie chce twojej krzywdy. Jesteś tu, ponieważ... – zawsze zawieszał głos po tej części zdania – ...tak było trzeba, rozumiesz?

Nagle jednym gestem ojciec nakazał mu zamilknąć.

– Cicho bądź. Słyszysz?

– Nie.

– POSŁUCHAJ!

Beewen nie zareagował.

– A teraz słyszysz?

– Co?

– Odgłosy... odgłosy w rurach.

Franza nieodmiennie zadziwiało bogactwo rozmyślań ojca. Peter Beewen większość chłopskiego życia spędził na sianiu i przekopywaniu ziemi, ale szaleństwo rozbudziło zadziwiające obszary jego mózgu. Wyobrażał sobie niesamowite sceny, konstruował skomplikowane historie, wykazując się ogromną kreatywnością.

– Przełożyli to – skomentował Peter. – Zazwyczaj to się dzieje nocą.

– O czym mówisz?

– To syczenie to gaz... Trują nas dzień po dniu. Nocą, kiedy śpimy, wpuszczają gaz... Zaraz ci pokażę... – W dwóch krokach przeszedł przez pokój (na gołych nogach miał żołnierskie buty) i wskazał palcem zatopione w murze rury. – Patrz... – Jego długie palce wyglądały jak suche gałęzie w mroźną, niekończącą się zimę. – Widzisz? – dodał. – Wpuszczają gaz przez te przewody, które są jak sito... Zabijają nas, kiedy śpimy.

Jak zwykle jego urojenia miały wyraźną strukturę. Były tak spójne, że prawie można było wziąć je za prawdę.

– Tato, nie denerwuj się. Te rury są w kiepskim stanie, ale to tylko centralne ogrzewanie.

– Ależ z ciebie głupiec! – Poderwał się z miejsca. Wzrostem dorównywał synowi. – Ale przecież to ja jestem świrem! – krzyknął szyderczo. – Stoisz po ich stronie. Należysz do tej armii łajdaków, którzy postanowili zniszczyć pokonanych. Spalić nieprzydatnych, wszystkich, którzy w imię dobra ojczyzny rzucili na stos swoją duszę!

– Tato, Niemcy bardzo się zmieniły. Podźwignęły się, są...

Starzec prychnął. Żywotność – to był jego silny punkt.

– Niemcy tańczą na naszych trupach, synu! A twoje buciory miażdżą mi usta. Umrę, dusząc się gazem twoich dowódców.

– Tato...

Starzec splunął na ziemię – spotkanie dobiegło końca.

Franz jak zawsze wyszedł od ojca głęboko wstrząśnięty. Zaschło mu w gardle, oczy nabrzmiały łzami. I jak zwykle opanował się, obiecując sobie pomścić ojca. Pójdzie na front. Będzie zabijał Francuzów...

Teraz wszystkie warunki zostały spełnione: Niemcy zaatakują Polskę. Francja i Anglia będą musiały zareagować. Druga wojna światowa wkrótce wybuchnie, a on będzie w niej miał miejsce w pierwszym szeregu.

Ale było jeszcze to śledztwo do...

– I jak dzisiejsze spotkanie?

Franz odwrócił głowę. Minna von Hassel stała za nim z rękami splecionymi na piersi. Na ramiona narzuciła zamszową kurtkę. Papieros dopalał się jeszcze w jej smukłych pokaleczonych palcach. Doskonale pasowała do scenerii – muru z cegły, który wolniutko krzepł w czerwonym zmierzchu.

W ułamku sekundy Beewen zrozumiał, że przyjeżdża do Brangbo, aby ją zobaczyć.

Beewen setki razy czytał akta Minny von Hassel. Rodzice arystokraci i komuniści (a przy tym milionerzy), którzy uciekli do Stanów Zjednoczonych. Błyskotliwa studentka. Praktykowała w kilku berlińskich szpitalach psychiatrycznych, potem obdarowano ją tym zatrutym jabłkiem – została dyrektorką Instytutu Brangbo. Przyjmując stanowisko, Minna von Hassel stała się pierwszą w Niemczech kobietą kierującą szpitalem, a równocześnie najmłodszą szefową kliniki w historii kraju. Panna, bez dzieci, była też skończoną alkoholiczką.

– Co mam pani powiedzieć? – mruknął, tłumiąc emocje. – Od dwudziestu lat odwiedzam go co tydzień, gdziekolwiek jest, a jeszcze nigdy nie dostrzegłem choćby drobnej poprawy. Zaostrzenie choroby, owszem, ale nigdy polepszenia.

Minna zaciągnęła się papierosem jak w rozmarzeniu. Różowiące się wstęgi dymu zdawały się skupiać jej myśli.

– To właśnie przekleństwo naszego zawodu – odparła tonem pełnym rezygnacji, ale i dystansu. – My nie uzdrawiamy pacjentów, staramy się tylko im ulżyć. A i to nie zawsze.

– Przynajmniej nie próbuje mnie pani łudzić.

Kącik jej ust uniósł się w lekkim uśmiechu podobnym do przecinka.

– Chodźmy stąd.

Ruszyli w stronę bramy. Chorzy snuli się po ogrodach, jakby właśnie wstali z grobów. Niektórzy w kaftanach bezpieczeństwa, których rozwiązane rękawy wlokły się po ziemi, inni – ofiary traumatycznych przeżyć wojennych – ze zdeformowanymi twarzami.

Franz nigdy nie widział tak posępnego miejsca, chociaż kto jak kto, ale on znał istne piekła na ziemi. Jednak tuż za bramą poczuł się szczęśliwy.

Dyskretnie zerkał na Minnę, która paliła jak podłotek, trzymając papierosa w wyprostowanych palcach. Rozpoznał kurtkę, którą na sobie miała – w stylu westernowym, z frędzlami. Jej ulubioną. Ten dziwaczny fatałaszek przypominał mu książki Karola Maya, które dosłownie połykał za szczenięcych lat.

Minna von Hassel miała specyficzny styl ubierania się. Na przykład tego dnia nosiła spodnie uszyte z denimu, dziwnej tkaniny sprowadzanej z Ameryki, i pantofle jak dla lalki, z paskiem w kształcie litery T tuż pod kostką.

Beewen nie interesował się kobietami. *Strata czasu*. Jednak Minna von Hassel była wyjątkowa. Na środku tego rumowiska zwanego instytutem psychiatrii, mając za tło

ciągnące się dalej ugory zwane warzywnikiem, zdawała się być jedyną osobą silną, godną zaufania.

Fizycznie wcale nie była w jego typie. Franz marzył o kobiecie ze swojego środowiska, o blondynce o bujnych kształtach, takiej, której piersi aż się uśmiechają i która – bo niby czemu nie? – trzyma w ręce kufel piwa. Jego myśli – a raczej pożądanie – kierowały się na te spokojne ścieżki, równie nudne jak osławione autostrady Trzeciej Rzeszy.

Tymczasem baronówna von Hassel była filigranową osobką wzrostu najwyżej metra sześćdziesięciu. Miała krótkie bardzo czarne włosy, a jej fryzura oblepiająca głowę jak czapka zawsze kojarzyła mu się z zaciśniętą w pięść dłońią położoną na sercu. Jej twarz go hipnotyzowała. Owalna, blada jak opłatek, o łagodnym zarysie, z czarnymi oczyma niczym dwie plamy atramentu nieustannie pochłaniane przez bibułę. I to on był tą bibułą.

– Robimy dla pańskiego ojca wszystko, co w naszej mocy – podjęła. – Jednak możemy tylko ulżyć mu w cierpieniu. Uwolnić go od pęt, które krępują jego psyche.

Nie znosił nawet jej sposobu wypowiedzania się. Tego słownictwa intelektualistki, która zawsze owija w bawełnę, jakby nie chciała ubrudzić sobie rąk. Jego ojciec był szalony, a to szaleństwo było wynaturzeniem. *I o czym tu gadać?*

– Dzisiaj opowiadał mi o gazie...

– To jego nowa obsesja, owszem. Trujemy pacjentów, wtłaczając nocą do ich pokoi gaz rurami kanalizacyjnymi.

– Co pani o tym sądzi?

– Pyta pan o tę technikę?

Franz nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Proszę wybaczyć, żartowałam. To było niestosowne. Normalne, że w pańskim ojcu, którego historię oboje dobrze znamy, co pewien czas w tej czy w innej postaci rozbudza się lęk przed gazem.

Szli ziemną dróżką przez pola suche jak pieprz. Franz dyskretnie wciągał w płuca to dzikie powietrze przesączone wonią gliny i nawozu. Pola ciągnęły się jak okiem sięgnąć, aż po horyzont, który daleko, bardzo daleko pławił się w złocie spływającym z nieba.

Beewen patrzył lekceważąco na takie piękno – miał w sobie wieśniaczy snobizm.

Baronówna przystanąła, żeby przypalić następnego papierosa od tego, którego właśnie dopalała. Potem wzniosła oczy ku niebu. W górze krążyło stado wędrownych ptaków. Beewen był zbyt daleko, żeby je rozpoznać, ale przypuszczał, że to łabędzie. Ich ślizgowy, koncentryczny lot był bardzo charakterystyczny.

– Wie pan, kiedy nam spadną na głowy? – spytała Minna, obserwując go.

– O czym pani mówi?

– O bombach.

– W hierarchii znajduję się na dolnych szczeblach. Takie informacje docierają do mnie jak do wszystkich obywateli.

– Muszą krążyć jakieś plotki.

– No właśnie, to tylko plotki. Nikt nie wie dokładnie, co postanowił Führer.

Zapadła cisza. Złoto. Ptaki. Ten orientalny profil.

– Zna pani Simona Krausa? To psychoanalityk.

– Znam go bardzo dobrze. Studiowaliśmy razem.

– Co pani o nim sądzi?

– Jest geniuszem.

Ta odpowiedź zadziałała na niego jak płachta na byka.

– A poza tym?

– Czarujący łajdak.

– Skrzywdził panią?

Uśmiechnęła się. Na jej twarzy malowała się pamięć wielowiekowej dominacji arystokratów. Beewen miał ochotę ją spoliczkować.

– Skądże. Ale ktoś tak zdolny jak on nie ma prawa marnować talentu, robiąc z siebie psychoanalityka takich pań. Powinien być tu, wspierać mnie. Jednak to silniejsze od niego, on jest żigolakiem, a do tego oszustem. Kiedyś produkował amfetaminę i sprzedawał ją innym studentom. – Wypuściwszy potężny kłęb dymu, podjęła rozmarzonym głosem: – Simon Kraus... Kiedy przeczytałam jego pracę doktorską, przeżyłam prawdziwy szok. Nigdy nie czytałam niczego równie błyskotliwego i tak dobrze napisanego.

Beewen był coraz bardziej zdenerwowany: nie mógł znieść myśli, że ten przylizany karzeł jest wybitnie inteligentny.

– A ta praca – wycodził przez zęby – czego dotyczyła?

– Snu i marzeń sennych. Psychoanalityczna metoda Krausa opiera się na analizie onirycznej.

Znowu te niezrozumiałe słowa!

– A pani? – spytał pod wpływem impulsu. – Jaki był temat pani pracy doktorskiej?

– Mordercy recydywiści.

– Słucham?

– Skupiłam się na relacjach biegłych psychiatrów z kompulsywnymi mordercami.

– Mówi pani o... niemieckich mordercach?

– Tak, o tych z ostatniego dwudziestolecia. O Peterze Kürtenie, Fritzu Haarmannie, Karlu Denkem, Ernście Wagnerze. I o jeszcze kilku mniej znanych. – Zachichotała jak

mała dziewczynka. – W tamtych czasach praktycznie mieszkałam w więzieniach.

Beewen odnotował tę informację w pamięci. Może pewnego dnia Minna von Hassel mu się przyda. Z pewnością miała większe kompetencje niż on, żeby zrozumieć pobudki działania tego rzeźnika.

– A kiedy pisała pani tę pracę?

– Obawiam się, że ponad dziesięć lat temu.

– Czy kiedy prowadziła pani badania, natknęła się pani na mordercę, który kolekcjonował buty ofiar?

– Nie, niczego takiego sobie nie przypominam. Dlaczego pan pyta?

Beewen milczał. Mimo że przebrał się w cywilne ubranie, wciąż był sztywny jak słup szubienicy.

– To tajemnica Gestapo? – podjęła.

Spojrzał na nią, siląc się na uśmiech, ale jego wargi zamarły w pół ruchu. Tak naprawdę ta lekarka wciąż śmiała mu się prosto w nos, jemu, brutalnemu osiłkowi, nazistowskiej świni.

– Niech pani przestanie szukać zaczepki – powiedział ugodowo. – Rozmawiamy na neutralnym gruncie.

– Ma pan rację. Przepraszam. – Minna poprowadziła go drogą powrotną. Nie mogła poświęcić mu więcej czasu.

Kiedy znów zobaczył czerwone ruiny zakładu psychiatrycznego, zabrakło mu słów i wątków, by kontynuować rozmowę, co zresztą i wcześniej przychodziło mu z trudem. Był przeciwieństwem urodzonego gawędziarza. Nie każdy miał dar Simona Krausa.

Rozstali się właściwie w milczeniu przy bramie prowadzącej na teren zakładu, gdy silnik mercedesa już mruczał. Zapadła noc.

Odprowadzał ją wzrokiem, patrzył, jak idzie przez warzywnik w narzuconej na ramiona kurtce Davy Crockett, zastanawiając się – ku swemu zaskoczeniu – czy miałby u niej szanse. Tak, z pewnością jego przeszłość w SA, na pół zamknięte prawe oko i grupa krwi wytatuowana pod łopatką stanowiły ogromne atuty w oczach dziedziczki jednej z największych berlińskich fortun.

Przed wejściem do głównego budynku zakładu Minna spojrzała na zegarek. Dochodziła ósma. Pacjenci zjedli już kolację i szykowali się do snu. Miała więc wybór – albo zajmie się papierami, którymi dosłownie zasypywali ją naziści, albo odda się marzeniom w ogrodzie warzywnym, popijając koniak. Wsunęła rękę do kieszeni kurtki, wyciągnęła piersiówkę i wychyliła pierwszy łyk ulubionego „paliwa”. Zwykła szybko podejmować decyzje. Zawróciła, usiadła w swoim ulubionym fotelu ogrodowym – zapomnianej tu przed laty taczce. Tutaj mogła spokojnie popijać i palić, snując swobodne rozmyślenia.

Nie potrafiła wyrobić sobie opinii o Beewenie. Na pewno nie był aż takim durniem, na jakiego wyglądał, na pewno też był tak brutalny, jak pozwalała na to sylwetka osiłka. To wzruszające, że dbał, by pojawiać się w Brangbo po cywilnemu – wiedziała, że robi to, by nie wywoływać jej alergicznej reakcji. Podobało jej się także jego przymknięte oko – pęknięcie w zbroi – a nawet fryzura w stylu Adolfa Hitlera – brrr – jego twarzy nadająca jednak dziecięcy charakter.

Za nic na świecie nie przespałaby się z takim mięśniakiem. Fazę nimfomanii miała już dawno za sobą, nie odczuwała też niepohamowanego pożądania. A jednak – i musiała to sobie szczerze powiedzieć – czasami myślała przed snem o tym wielkoludzie, o jego nagim ciele i ciężkich byczych jajach...

Wychyliła kolejny łyk koniaku i popatrzyła na tworzące podkowę budynki otaczające ogród. Miała ocalić ten zakład, miała wszystko tu zmienić... Po czterech latach to ona się zmieniła. Stała się cyniczna, odarta ze złudzeń. A do tego została alkoholiczką.

Dla Brangbo nie można było nic zrobić i naziści niesłusznie tak na nią nastawali. Zakład przestanie istnieć sam z siebie – z braku kombatanów. Jej pacjenci padali jak muchy i bardzo często umierali z głodu. Kiedy mówiła o problemach z zaopatrzeniem, sądzono, że chodzi jej o leki, a tymczasem chodziło po prostu o żywność...

Czasem jednak wspominała swe złudzenia z lat studiów. Obłąd to okno otwarte na sztukę, inteligencję, wyobraźnię. Myśląc o szaleństwie, widziała twarze Roberta Schumanna, Guy de Maupassanta, Vincenta van Gogha, Friedricha Nietzschego... Ocaliłaby geniuszy (i nie tylko) i dałaby obłądowi wolność słowa.

Nikt nie wyjaśnił jej, że zawód psychiatry ma wiele wspólnego z pracą strażnika więziennego. W Niemczech chorych umysłowo trzymało się pod kluczem, nie zapewniając im żadnego leczenia, chroniło się tylko społeczeństwo przed groźną patologią. Nie dało się nic zrobić dla biedaków uwięzionych we własnym szaleństwie,

przynajmniej nie w Brangbo, gdzie wykańczały ich biegunki, brak ruchu i wiele chorób, które nie miały nic wspólnego z zaburzeniami psychicznymi.

Kolejny łyk. Boże, jak mogła wpędzić się w taki stan? Była córką komunistów milionerów, co samo w sobie było już kpina. Ale ta kpina rozwijała się w najlepsze, bo jej rodzice leniniści uciekli z jej młodszym bratem do Stanów Zjednoczonych – Babilonu kapitalizmu.

Minna została, co nie miało większego znaczenia, bo i tak żyła w emocjonalnym osamotnieniu. Rodzice marzyli o świetlanej przyszłości dla wszystkich, ale nigdy się nie pochylili, by ucałować córkę. Lamentowali nad nędzą świata, nie pamiętali jednak daty urodzin własnego dziecka. Byli lekarzami szczęścia. Tymczasem Minna chowała się pod okiem niań, które ją uwielbiały i dusiły jak aksamitne poduchy. Narodziny brata po wielu latach nie poprawiły sytuacji – rodzice skupili się na młodszej latorośli. Dzieciak miał szczęście.

Wszyscy niesłusznie myśleli, że Minna jest bogaczką. Niektórzy opowiadali nawet, że zainwestowała w instytut, stając się jego mecenasem. Byli w błędzie. Rodzice wyjechali, nie zostawiając jej klucza do sejfu. Uczynili tylko prokurentem majordomusa willi, polecając mu opiekować się Minną. Po raz kolejny potraktowali ją jak dwunastoletnią smarkulę.

Trzeba przyznać, że zapracowała sobie na to. Jej obelżywe listy do Matthiasa Göringa, kuzyna znanego kompana Hitlera, a zarazem dyrektora berlińskiego Instytutu Psychiatrii, czy do Herberta Lindena, który nadzorował państwowe szpitale psychiatryczne w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Rzeszy, mogły zaprowadzić ją prosto do obozu koncentracyjnego. Jednak za każdym razem „wujek Gerhard”, ten, którego nazywano „asfaltowym baronem”, brat jej ojca, zapobiegał wszelkim wymierzonym w nią działaniom.

Odebrali jej nawet ten operetkowy bunt, na który się zdobyła...

Co jej zostało w takiej sytuacji? Koniak i Brangbo. Jeśli chodzi o alkohol, nie było problemu – majordomus Eduard dostarczał go pod dostatkiem. Co do zakładu, czyli stu pięćdziesięciu pacjentów, dziesięciu pielęgniarzy, dwudziestu sióstr zakonnych i kilku gryzipiórków, których Minna podejrzewała o szpiegowanie dla SS, to ten mały świat żył sobie spokojnie, otrzymując od czasu do czasu zaopatrzenie: głównie żywność, nieco rzadziej leki.

Bądźmy uczciwi – ona pierwsza rabowała aptekę. Eter, chloroform, opium, kokaina, morfina – była to pewna odmiana po hennessym.

Usłyszała kroki. Już po tym, jak były ciężkie, rozpoznała Alberta, otyłego potwora, który wyglądał, jakby spał w białym fartuchu. Odwróciła się – to faktycznie był on. Był nazistą, na poły debilem, ale można było na nim polegać. Czasami z nim sypiała.

- Już są.
- Ile?
- Na pierwszy rzut oka tysiące.
- Jajka też są?
- Tak.
- Jak im zapłaciłeś?
- Morfiną, która nam została.

Minna rzuciła peta, schowała piersiówkę i wygramoliła się z taczki, w której już zaczęła zapuszczać korzenie.

Musiała wrócić do pracy.

Ruszyła w stronę budynku w głębi. Ten po prawej nazywano tu Schlangengrube, Wężową Fosą: na dużej zamkniętej przestrzeni przetrzymywano tu chorych w grupie. Miejsce zasługiwało na swoją nazwę.

Po lewej znajdowała się część z celami i można by nazwać ją po prostu więzieniem albo zakładem karnym, ponieważ tu wszyscy siedzieli zamknięci i latami mogli karmić się rojeniami, srając do wiadra.

Jednak w oczach Minny naprawdę koszmarne był budynek środkowy, gdzie prowadzono leczenie. Właściwie był to „jej” budynek, zasługujący na miano izby tortur.

Lista eksperymentów w Brangbo była długa: kuracje w lodowatej wodzie, pijawki przystawiane do czoła, pryszczydła, które robiły ze skóry pole potwornie bolesnych pęcherzy, łóżka rotacyjne (gestapowcy mogliby szukać tu inspiracji), znaczenie rozpalonym żelazem (cierpienie było zbawienne)... Dla „trzęsących się” wymyślono technikę kończącą definitywnie tę dolegliwość: pakowano ich w gips i kaftany, które natychmiast zatrzymywały konwulsje. I słusznie.

Kiedy Minna przejęła zakład, położyła kres tym barbarzyńskim metodom z wyjątkiem jednej: hydroterapii. Gorsza czy lepsza, ta technika przynosiła pewne efekty. Minna zerknęła przez okienko. Sześć maleńkich wanien, po trzy z każdej strony, stało na wprost siebie. Chorzy spędzali w nich co najmniej sześć godzin, czasami nawet cały dzień. Starano się utrzymywać stałą temperaturę wody i w jej cieple obłąkani trochę się uspokajali. Niestety, woda w Brangbo była stojąca, a pacjenci wciąż do niej sikali i srali. W efekcie z wanien wyciągano nieszczęśników szczękających zębami i oblepionych brudną mazią.

Weszła do szatni. Albert już się rozbierał. Słyszała, jak mamrocze pod nosem. Nie wystarczyło mu, że jest nazistowskim prymitywem – pielęgniarz był też poetą. Za czasów ich „romansu” pisywał dla niej wierszydła w stylu: „Jam jest pochodnią, tyś mym płomieniem”. Dobrze! Z Albertem trudno się było nudzić.

Ona także się rozebrała.

Od lat pojawiały się nowe terapie. Minna pragnęła wszystkie je wypróbować, nawet jeśli balansowały na granicy tortur. W ten czy inny sposób trzeba było „rozbić” bańkę obłądu.

Najpierw uwierzyła w kurację Sakla. Polegała na wstrzykiwaniu insuliny, by wprowadzić pacjenta w stan śpiączki hipoglikemicznej. Potem wybudzało się go

stopniowo, „nasładzając” mu krew i obserwując, co to daje. Dawało niewiele.

Wywoływała u chorych także napady padaczkowe, aplikując im kardiazol. To też nie przynosiło oczekiwanych skutków. Opowiadano jej o nowej operacji, polegającej na przewierceniu czaszki i przecięciu istoty białej kory przedczaszkowej. Nie mogła podejmować takiego ryzyka, nie będąc chirurgiem.

Rozważała raczej – kiedy zdobędzie na to środki – zastosowanie techniki opracowanej we Włoszech, mianowicie elektrowstrząsów. Przekonała się już o dobroczynnych skutkach tej terapii podczas swojego stażu w szpitalu Charité. Lekarze stosowali ją u pacjentów z traumą wojenną cierpiących na drgawki. Fakt, łamało się przy okazji jeden czy dwa zęby, kaleczyło się język, można było sobie wybić ramię przy wstrząsie elektrycznym, ale to działało. Silna dawka prądu pozwalała niektórym żołnierzom odzyskać spokój...

Na gołe ciało włożyła kombinezon budowlany z nieprzemakalnego płótna. Wuj Gerhard zgodził się przysłać jej sprzęt: kolejarskie bluzy, dziesiątki par rękawic, sto rolek taśmy klejącej.

Dziś skupiła całą uwagę na malarioterapii. Była to metoda przeznaczona dla chorych, których obłęd rozwinął się na skutek syfilisu. Kuracja polegała na zakażeniu pacjenta malarią, aby wywołać gwałtowną gorączkę (czasami sięgającą czterdziestu jeden stopni). Następnie leczyło się go chininą. Skoki temperatury miały powstrzymać napady otępienne.

Jak dotąd Minna nie uzyskała żadnych efektów, ale nie traciła nadziei. Lepsze było leczenie, które skutkowało w jednym na dziesięć przypadków, niż całkowity brak leczenia. Psychiatria w Brangbo była jak niemiecka ruletka.

Wciągnęła rękawice i połączyła je z rękawami, używając taśmy klejącej. Nie wolno było zostawić najmniejszej nieszczelności. Potem sięgnęła po pszczelarski kapelusz z siatką kupiony u pszczelarza z Michendorfu.

Była gotowa.

16

Albert kończył uszczelnianie watą szklaną wszystkich otworów w sali. Inny pielęgniarz ustawiał pod ścianami słoje, które napełniał ciepłą wodą z brązowym cukrem. Kiedy mikstura stygła, dodawał do niej odrobinę drożdży. Kolejny pielęgniarz ustawiał przy każdym słoju lampkę olejną i zdejmował z niej szklany komin, pozostawiając otwarty płomień. W sumie w sali znalazło się dwadzieścia słoików i tyleż lamp.

Minna konała z gorąca w kombinezonie, co gorsza, miała mdłości. Mimo to musiała przyznać, że ta pusta sala, oświetlona tylko złocistym blaskiem stojących na podłodze lamp, wygląda baśniowo. Nasunęło jej się skojarzenie z kaplicą, może z jakimś sanktuarium, w którym miał się odbyć ezoteryczny obrządek.

I w pewnym sensie tak właśnie było.

Trzymając pod pachą kapelusz, Minna spytała:

– Wszystko gotowe?

Pielęgniarze rozstawiający słoje i lampy pokiwali głowami. Kazała im wyjść. Spojrzała pytająco na Alberta – on też już skończył.

– Idź po niego.

„Paraliżem ogólnym” nazywano zespół objawów, które pojawiały się w trzeciorzędowym syfilisie i atakowały centralny układ nerwowy – zmiany osobowościowe, zaburzenia widzenia, zapalenie opon mózgowych, demencja. Do Brangbo trafiło sporo takich pacjentów, ale jedyne, co można było dla nich zrobić, to patrzeć, jak gniją.

Malarioterapia zdawała się lepszą alternatywą.

Minna usłyszała pisk kółek noszy. Albert pchał je przez salę. Nie włożyła jeszcze kapelusza, żeby nie wystraszyć pacjenta, chociaż przywiązany pasami człowiek i tak niczego już nie czuł. Leżał goły, unieruchomiony skórzanymi rzemieniami, tępo wpatrzony w sufit, z rękami wzdłuż tułowia – wyglądał jak kataleptyk.

Żeby ostatecznie przekonać samą siebie o zasadności kuracji, Minna przypominała sobie historię pacjenta: czterdziestodwuletni Hans Neumann miał kiłę trzeciorzędową, i to bardzo zaawansowaną. Mógł pożyć jeszcze rok, najwyżej dwa lata. Jego twarz naznaczona była stygmatami krętkowicy. Kilaki zaatakowały kości i śluzówki. Wrzody zniszczyły mu nos (został z niego maleńki haczyk) i spowodowały perforację podniebienia (jego głos wydobywał się dosłownie z dziury, która pełniła teraz funkcję nosa). No i oczywiście był kompletnie obłąkany.

Minna uzyskała już podpisy rodziny na całej masie papierów – zgód, pozwoleń, oświadczeń o świadomości ryzyka, a nawet na zezwoleniu na pochówek, gdyby coś poszło nie tak.

– Zaczynamy. Zamknij drzwi.

Albert wykonał polecenie i sprawdził jeszcze uszczelnienie drzwi. Pokój natychmiast pogrążył się w niezwykłym półmroku – rude płomyki rzucały roztańczony blask, jakby poruszały się w wodzie.

Pielęgniarsz włożył kapelusz. Minna bez słowa sięgnęła po taśmę klejącą i kilka razy owinęła mu nią szyję. Potem sama włożyła kapelusz, a Albert zamocował go tak samo, jak przed chwilą ona jemu.

Ich oddechy łagodnie poruszały siatką.

– Podaj mi flakon.

Albert wyciągnął naczynie, w którym poruszały się tysiące komarów. W berlińskim Instytucie Chorób Tropikalnych pracował naukowiec uzależniony od morfiny. To on wymieniał zakażone owady (i ich jaja) na dawki narkotyku.

Minna odkręciła pokrywkę, uwalniając czarną chmurę. W ułamku sekundy ściany i sufit pokryły się kropkami niczym pointylistyczny obraz Georges’a Seurata. Komary (wyłącznie samice, ponieważ tylko one kąsają) krążyły, kreśląc w powietrzu miękkie, ale i przerażające figury.

Minna się cofnęła. Albert też się odsunął. Mieli zostawić pacjenta na pożarcie tym rozwścieczonym bestiom. Sesja była zaplanowana na dziesięć minut – do czasu, aż wszystkie komary usmażą się w płomieniach lamp olejowych – cukier fermentujący w zetknięciu z drożdżami już wydzielał dwutlenek węgla, który wabi te owady.

Neumann wyglądał jak posmarowany sadzą. Właśnie w tym momencie zwrócił oczy na Minnę. Jego spojrzenie wzburzyło lekarkę. Z rozszerzonych źrenic wyzierało czyste przerażenie. Logika nakazywała, by poddać go znieczuleniu, ale praktycznie nie mieli już nawet żadnych środków uspokajających poza ścisłą rezerwą dla pacjentów wymagających pilnej interwencji.

Zaczął przeraźliwie krzyczeć, wtedy komary wcisnęły mu się do ust. Minna machała rękami, próbując je odpędzić.

– Pomóż mi! – krzyknęła do Alberta, który już podbiegł, by zasłonić pacjentowi usta.

Brakowało im tylko packi na muchy. To wszystko byłoby śmieszne, gdyby nie było tak tragiczne. *Um Himmels willen!* Kiedy była młodą dziewczyną i marzyła, by leczyć Friedricha Nietzschego albo wspierać Carla Gustava Junga, przez myśl jej nie przeszło, że znajdzie się w takiej sytuacji. A więc tak wygląda podróż do ukrytej strony świadomości?

Komary obsiadły teraz jej maskę – za warstwami gazy wyczuwały dwutlenek węgla, który wydobywał się z jej ust. Nic już nie widziała i najchętniej rzuciłaby wszystko, z sobą włącznie.

Inne owady chmarami leciały teraz do słoje z cukrem i paliły sobie skrzydła w płomieniach lamp. Istne fajerwerki. Pacjent wciąż wył. Albert nie mógł zatykać mu ust, bo w końcu by go udusił.

Jednak komary zaczynały się wycofywać. Albo samice opily się krwi, albo fermentujący cukier wabił je skuteczniej niż oddech Neumanna. Przez moment myślała, że może umarł. Pochyliła się i zauważyła, że drżą mu wargi. Z ust wydostawały się oblepione śliną, ociążałe czarne owady.

Spuściła oczy i popatrzyła na czerwone od ukąszeń ciało. Setki komarów wciąż siedziały na jego skórze. Wyglądały jak czarne wrzody. Jeżeli nie zaraził się mala...

– Wychodzę – oznajmiła.

– Ale...

– Wystarczy uważać, kiedy uchylę drzwi. A potem pobielisz salę wapnem.

– Mam przedtem zabrać stąd tego biedaka?

Oto jakie refleksje potrafił snuć Albert. Były doskonałym świadectwem poziomu intelektualnego innych pielęgniarzy pracujących pod jego komendą.

W szatni zdarła z siebie kombinezon i rzuciła go do pieca, żeby nie tylko usmażyć kryjące się w załamaniach materiału komary, ale też spalić wspomnienia, które do niego przylgnęły.

Kilka minut potem była już w aptece. Zdążyła wziąć prysznic, uperfumować się, zmienić bieliznę i włożyć czysty biały kitel. Apteka była nazwą nieco na wyrost, bo znajdowało się w niej tylko kilka szaf zamykanych na kłódki i w większości pustych. Ale była też jedna, do której tylko ona miała klucz.

Otworzyła ją i ogarnęła spojrzeniem zapasy – niewiele ich zostało. Morfina poszła na wymianę, kokaina dawno się zużyła, poniewieralo się kilka dawek amfetaminy... Zdecydowała się na butelkę eteru.

Narkotyki – to jedno łączyło ją z nazistami. Poza ich wielkimi działaniami, ukrytymi łodziami podwodnymi i nowiutkim lotnictwem, liczyli także na amfetaminę jako środek prowadzący do zwycięstwa. W kręgach psychiatrów i psychologów mówiło się nawet, że Hitler codziennie daje sobie w żyłę. *Na zdrowie...*

Otworzyła flakonik i ostra woń otuliła ją jak przyjaciółka. Sięgnęła po wacik, nasączyła go i zrobiła głęboki wdech, jakby chciała naraz wypić jajko przez otworek w skorupce.

Minna żywiła przekonanie, że przyszłość psychiatrii wiąże się z badaniami chemicznymi. Już wkrótce ktoś odkryje substancje, które będą realnie oddziaływać na

ludzki mózg. Trzeba będzie je doskonalić, by mogły leczyć taką, a nie inną psychozę, taką, a nie inną chorobę...

Często pisała do niemieckiego konsorcjum chemicznego IG Farben, zwracając uwagę na to nowe pole badawcze, sugerowała kierunki, opierając się na własnych obserwacjach. Nie doczekała się odpowiedzi. Te laboratoria były zbyt zajęte poszukiwaniem substancji, które potęgowałyby siłę i energię – by nie powiedzieć: wprowadzałyby w trans – aryjskich żołnierzy.

Po wojnie na pewno wezmą się do pracy. I wtedy medycyna będzie nareszcie dysponowała lekami przeciwlękowymi godnymi tego miana.

Ale najpierw trzeba wszystko zniszczyć.

Podniosła się i chwyciła flakonik eteru. Ostatnie wciągnięcie, na drogę.

Prawie chciała, aby wojna już wybuchła. Żeby to się skończyło.

Raz na zawsze.

Simon przez całą noc odsłuchiwał nagrania. I to nie były jakie, tylko pacjentek, które śniły o Marmurowym Człowieku.

Susanne Bohnstengel, poniedziałek, 27 lipca:

„Jest tu, przede mną, nieugięty jak skała. Wygląda jak anioł śmierci, który właśnie powstał z grobu...”

Margarete Pohl, piątek, 11 sierpnia:

„Jego twarz jest z marmuru. To ciemnozielony marmur z czarnymi i białymi żyłkami. Właściwie to raczej maska zakrywająca mu część twarzy, ale nie usta, które mogą się poruszać i mówić...”

Albo Leni Lorenz, piątek, 25 sierpnia:

„Tej nocy Marmurowy Człowiek powrócił. Siedział przy biurku jak zwykły urzędnik. Wciąż przykładał pieczęcie na dokumentach, bardzo wysoko unosząc rękę. Za każdym razem stół aż podskakiwał. A pieczęć zostawiała na papierze brunatną plamę...”

Simon Kraus wypalił paczkę papierosów, siedząc w ciasnym pomieszczeniu, i wypił morze kawy – nie sięgał po narkotyki ani po leki, nie chciał upodobnić się do ojca, którego nigdy nie widział trzeźwego.

Skąd taka zbieżność snów? I to w ciągu jednego miesiąca? Robił notatki, zastanawiał się, przenikał te opowieści.

I niczego się nie doszukał...

Te pacjentki miały ze sobą wiele wspólnego. Wszystkie trzy należały do berlińskiej śmietanki towarzyskiej i – dokładnie to pamiętał – bywały w Klubie Wilhelma, który spotykał się codziennie w hotelu Adlon.

Nawiasem mówiąc, wszystkie trzy kiedyś z nim sypiały. Z różnych powodów, z bardzo różnym entuzjazmem.

Susanne Bohnstengel była wysoką kobietą o wydatnych kościach policzkowych i zielonych oczach. Władcza *femme fatale*, cierpiała na rozmaite obsesje i była kleptomanką. Susanne, żona przemysłowca, który dostarczał części zamienne Wehrmachtowi, niejako „wypróbowała” Simona. Okazała się lubieżna i pozbawiona hamulców, ale szybko zrezygnowała z tej gry. Rozczarowała się? Wyciągnął z niej trochę pieniędzy, grożąc, że powie jej małżonkowi o kleptomanii, ale potem sam zrezygnował z szantażu – obawiał się tej burżujki, zbyt inteligentnej, by mógł liczyć, że będzie potulna.

Margarete Pohl cierpiała na chroniczną depresję (a w każdym razie była przekonana, że tak jest). Jej mężem był Gruppenführer SS, towarzysz broni samego Göringa. Słodka Margarete uległa Simonowi z czystej nudy. To nie przeszkodziło im przeżyć kilku miłych chwil. *Pokój jej duszy.*

Ona także musiała mu płacić – jej mąż z całej duszy gardził Hitlerem i choć był nietykalny, ujawnienie jego wypowiedzi wywołałoby zamieszanie. Margarete pozwalała się szantażować z uśmiechem na ustach, Margarete zawsze się śmiała...

Leni Lorenz to inna historia. Zanim weszła w kręgi berlińskiej elity, wiodła inne życie. Urodziła się w biedzie, zaznała głodu, prostytuowała się, a potem, za sprawą niesłychanego splotu wydarzeń, zdołała wspiąć się na szczyty drabiny społecznej. Ujmując to w kilku słowach: po rozwodzie z alfonsem homoseksualistą wyszła za mąż za bardzo bogatego (i bardzo starego) bankiera. Jeśli uznać to za szkołę życia, to lekcja była pouczająca.

Simon czuł, że on i Leni nadają na tych samych falach. Oboje czerpali korzyści z pokoju (okaże się, co będzie w czas wojny). Byli pozbawieni wszelkiej moralności i dążyli do jednego jedyne go celu: korzystać z życia. Można powiedzieć, że razem dobrze im to wychodziło. To było co najmniej dwa lata temu, potem Leni zaczęła polować na innych terenach. Nadal odwiedzała jego gabinet z powodu drobnych nerwic, a może raczej dla zachowania pozorów.

Simon widział się z Leni w ubiegłym tygodniu. Jego zdaniem była w doskonałej formie, jeśli pominąć złe sny...

Nigdy jej nie szantażował – nie jada się tam, gdzie się sra, a ujmując to nieco kulturalniej: nie miesza się interesów z uczuciami.

W gruncie rzeczy te kobiety były bardzo naiwne, bo gra Simona zagrażała przede wszystkim jemu. Gdyby przekazał nagrania Gestapo (prawdę mówiąc, nigdy w życiu nie zrobiłby czegoś takiego), pierwszy trafiłby do obozu koncentracyjnego.

O ósmej rano poszedł zaparzyć sobie kawę. Przypomniały mu się okruchy nagranej relacji.

Susanne Bohnstegel, wtorek, 1 sierpnia:

„Tej nocy Marmurowy Człowiek pochylił się nade mną. Czułam na skórze zimno jego twarzy. Nosił maskę, która wyglądała jak gilotyna. Bardzo łagodnym głosem szeptał mi do ucha: «Nie jesteś jedną z nas»”.

Dość dawno nie widział się z Susanne, bo wyjechała odpocząć w nadmorskiej rezydencji na wyspie Sylt.

Kawa była gotowa. Sprowadzał palone ziarna z Piemontu – mieszankę arabiki z robustą – i parzył je w dzbanku moka. Był przekonany, że drobne życiowe przyjemności powinny smakować jak nektar.

Kolejne nagrania. Kilka dni wcześniej Leni Lorenz mówiła:

„Jestem w operze. Widzę czerwone tapiserie, welurowe fotele, wytarte drewno balustrady. Na scenie pojawia się Komandor. Śpiewa niskim głosem. Wystawiają *Don Giovanniego* Mozarta.

Przy dźwięku dramatycznych akordów unosi rękę i wskazuje mnie w głębi łoży. Rozpoznaję go, to Marmurowy Człowiek. Wszystkie oczy zwracają się ku mnie – blade, zimne, bez wyrazu.

Ci, którzy siedzą obok mnie, wstają, jakbym była trędowata albo dotknięta inną zakaźną chorobą. Jeden z nich, ubrany we frak, unosi cylinder i parodiując ukłon, pluje mi w twarz”.

Nie trzeba być Freudem, żeby zrozumieć symbolikę tego snu. Marmurowy Człowiek to Hitler, to nazizm albo po prostu poczucie opresyjności rządów rodzące się w obywatelach Niemiec. „Nie jesteś jedną z nas”.

Simon od piętnastu lat analizował sny. Wiedział, że ludzki umysł ma potrzebę nadawania kształtu lękom i pragnieniom, że chce ukazać je w postaci, nazwijmy to tak, akceptowalnej dla świadomości – Freud mówił o tym przed Krausem.

Te trzy kobiety bały się nazizmu. Czy można było je za to winić? Choć potężne, konały ze strachu – człowiek z wąsem nie był wcieleniem stabilności.

Jednak podświadomość Susanne, Margarete i Leni sięgnęła po ten sam symbol – Marmurowego Człowieka. W tej kwestii Simon miał pewne wyjaśnienie. Już dawno zauważył, że śniący wykorzystuje w swym marzeniu elementy zaobserwowane w ciągu dnia, rzeczy, które przyciągnęły jego uwagę na kilka sekund.

Zapewne te trzy burżujki widziały tę samą rzeźbę, ten sam obraz czy film, a potem o nim śniły. Nie byłoby w tym nic dziwnego. Bywały w tych samych miejscach, interesowały się tymi samymi błahostkami.

Tak właśnie myślał jakiś czas temu Simon. Powiedzmy sobie szczerze, że wtedy nie zwrócił większej uwagi na tę zbieżność. Musiał też przyznać, że o koszmarach z nazizmem w tle słyszał dzień w dzień, a w pomieszczeniu przy jego gabinecie było ich na płytach naprawdę dużo.

Pewnego dnia Robert Ley, przywódca Niemieckiego Frontu Pracy, powiedział: „Tak dalece zapanujemy nad umysłami Niemców, że jedyną chwilą wolności będzie dla nich sen”. Rzeczywistość przerosła jego oczekiwania, ponieważ nawet sny – co Simon mógł poświadczyć – zostały całkowicie skażone przez nazizm.

Ale czy istniał jakiś związek między tym Marmurowym Człowiekiem a zabójstwem Margarete? Nie znał odpowiedzi na to pytanie, nie wiedział nic o tym morderstwie. Sam fakt, że Margarete zauważyła ten przedmiot albo obraz w miejscu, gdzie bywały także Susanne i Leni, także mógł być informacją.

Jedno było pewne – nie powie Beewenowi absolutnie nic. Po pierwsze dlatego, że z zasady nie rozmawiał z nazistami. Po drugie dlatego, że wolał zachować ten szczegół dla siebie. Żeby być o krok przed tamtym. *Tylko w jakim wyścigu?*

O dziewiątej podjął decyzję. Odwoła dzisiejsze wizyty i podejmie własne śledztwo. Był to winien Margarete.

Postanowił się przespać, zanim się tym zajmie. Po południu zajrzy do Klubu Wilhelma. Był tam lubiany.

To zresztą nic nowego – wszystkie kobiety lubiły małego Simona.

18

– Nigdy o niej nie słyszałem.

– Na pewno? Nazywa się Margarete Pohl.

– Nie znam.

Odkąd Hitler objął władzę, Niemcy mieli prawo tylko do jednego: mogli trzymać buzię na kłódkę. Dotyczyło to przede wszystkim dziennikarzy. Teraz to Joseph Goebbels, minister informacji i propagandy (wydawało się, że nikt nie dostrzegał wewnętrznej sprzeczności tego tytułu), dyktował artykuły do gazet.

Mimo to kilka pism pozwalało sobie na przemykanie aluzji, posługiwało się dwuznacznościami i językiem, który dla przenikliwego czytelnika mógł wyrażać coś innego. Między wierszami kryło się drugie znaczenie, a nawet swoista ironia, trzeba było ją tylko rozszyfrować.

Na szczęście Simon znał redaktora, który pracował dla jednego z tych periodyków, Mauritiusa Blocha. Umówił się z nim u Aschingera na Alexanderplatzu. Była to jedna z najtańszych berlińskich restauracji. Simon nie musiał liczyć każdej marki, ale uwielbiał gapić się na młode sekretarki, które wpadały tam, żeby przekąsić coś przy barze: patrzył na ich łydki i kolana, obserwował usta układające się w dzióbek, kiedy gryzły kiełbasę, a przede wszystkim na ten tak szczególny sposób wbijania widelca w sałatę – unosiły wtedy nadgarstek z pewną kokieterią, która zawsze go rozczulała.

– To musi być sprawa polityczna.

– Nie, nie sędzę.

– Kto prowadzi śledztwo?

– Gestapo.

– Sam widzisz. *Quod erat demonstrandum.*

Mauritius miał rację. Przestępstwami – nazwijmy je tak – pospolitymi zajmowała się Kripo. Obecność Gestapo wskazywała, że sprawa jest traktowana jako polityczna. Może jednak uznano tylko, że zabójstwo żony generała może być zamachem albo aktem wymierzonym pośrednio w Rzeszę?

– Mógłbyś się czegoś dowiedzieć?

– Zobaczymy.

Mauritius Bloch był trochę antypatyczny. Wyszczekany, nie miał grosza przy duszy, za to mnóstwo goryczy, która wykrzywiała mu usta. Był rudzielcem o jasnej cerze, zawsze źle ogolonym i uczesany na jeża. O dziwo, oczy miał czarne jak węgiel. Krzyżówka wiewiórki ze szczurem.

Zawsze jadł z apetytem, jakby przed chwilą zdobył sensacyjną informację, wszystko komentował, dzielił włos na czworo, ciągnął najpierw w jedną, potem w drugą stronę. A przede wszystkim zawsze chciał sprawiać wrażenie wtajemniczonego, człowieka, z którym Hitler naradza się przed podjęciem byle decyzji.

– Polska – podjął po chwili milczenia. Sprawa Pohl najwyraźniej go nie zainteresowała. – To już niedługo.

– Wszyscy wiedzą, że to niedługo.

Pochylił się i przysunął.

– Nie, chodzi mi o to, że zaczniesz się w najbliższych dniach.

– No i?

Simon wcisnął niewłaściwy guzik. Bloch momentalnie rozpoczął długi monolog, przedstawiając przyczyny i cele, stawkę i zyski płynące z planowanej inwazji. Zachowywał się, jakby zasiadł do stołu negocjacji.

Simon go nie słuchał. W dużej sali panował gwar, w którym ginął głos Blocha. Wygłaszając swą mowę, sięgał to po kielbaski, to po löwenbräu, ledwie nabierając tchu między słowami a kęsami.

Bezczelowy obiad.

Mimo wszystko dowiedział się z tej rozmowy czegoś ważnego: skoro Bloch o niczym nie ma pojęcia, to nikt inny też. Albo do morderstwa doszło bardzo niedawno, albo – i skłaniał się ku tej drugiej hipotezie – Gestapo wyciszyło sprawę.

Simon odsunął talerz. Spał tylko trzy godziny, nie miał ochoty na jedzenie. Właśnie się zastanawiał, jak skrócić to bezsensowne spotkanie, kiedy Bloch go zgromił:

– Przystaniesz się gapić czy nie?

Drgnął na tę uwagę. Choć nieświadomie, wciąż zaglądał pod spódniczki.

– To nasze jedyne źródło pociechy.

– Od razu widać, że nie jesteś żonaty.

Simon nie zareagował. Wyczuwając jego rozczarowanie, Mauritius wyjął notatnik.

– Dobra. Jak nazywa się ta twoja babka? Przeliterujesz?

Kraus podał mu nazwisko.

– A mąż?

– Hermann Pohl, Gruppenführer SS.

Bloch gwizdnął.

– Polityka, bez cienia wątpliwości.

– Dowiesz się czegoś?

– Rozejrzę się – zapewnił Bloch, chowając notes.

Simon się obawiał, że dziennikarz zamówi deser, ale tamten tylko spojrzął na zegarek: miał następne spotkanie.

– Dobra, ja stawiam – oznajmił, wyjmując z kieszeni różową kartkę pokrytą cyframi i perforowaną.

– Co to takiego?

Dziennikarz patrzył na niego szczerze zdziwiony.

– Wsuń czasem nos z gabinetu, stary. Od dwudziestego siódmego sierpnia obowiązują kartki. Możesz też iść po siedemdziesiąt deka mięsa i dwadzieścia osiem deka cukru!

Simon bez słowa przyglądał się kartce z kuponami. Wyglądała jak talon loterii albo kwestionariusz medyczny.

– Przecież mówiłem! – Mauritius spojrzał na niego z góry, machając kartkami. – Wojna to kwestia dni!

Alexanderplatz dzieliło od hotelu Adlon przy Unter den Linden około trzech kilometrów. Mimo upału Simon zdecydował się pokonać tę drogę pieszo. Na miejsce dotrze około piętnastej, a to idealna pora na polowanie na kobiety.

Brak snu powodował, że nie miał humoru. Do tego ten bezsensowny obiad. Niepotrzebnie odwołał spotkania z pacjentkami. *Scheiße!* Berlin wydawał mu się dziś ciężki, przytłaczający, brzydki. Wilhelm II budował, ile się dało, i ponoć robił to zgodnie z założeniami „neo”. Schyłek XIX wieku był więc czasem, gdy w Berlinie wyrastały jak grzyby po deszczu budowle neoromańskie, neogotyckie, neobarokowe... Nawet najzwyczajsze kamienice popisywały się zdobieniami, kokietowały, łącząc i plącząc style i epoki.

Grupa przeciwna, biedaków, także partycypowała w wysiłku wojennym. Rewolucja przemysłowa spowodowała taki napływ ludności do miasta, że trzeba było budować osiedla, gdzie tłoczyli się ubodzy przybywający szukać szczęścia w Berlinie.

A teraz naziści dołożyli do tego swoje trzy grosze. Nikt nie znał dokładnie planów Hitlera wobec stolicy, jednak było pewne, że takich projektów nie brakuje. Miasto zamieniło się w jeden wielki plac budowy.

Simon nigdy nie przyznałby się do tego publicznie, ale cenił nazistowską architekturę. Było w niej wycucie monumentalizmu, ogromu, a zarazem swoista prymitywna czystość, która go zauroczyła. Taki sposób budowania był jak zwracanie się do bogów per ty...

Szedł właśnie Unter den Linden. Dawniej tę aleję zacięniały setki majestatycznych lip, których liście rzucały rozedrgane cienie na asfalt, a kwiaty oszałamiały zapachem szczęścia. Hitler wszystkie wyciął. W miejsce bujnych drzew kazał ustawić białe kolumny zwieńczone połączanymi orłami i swastykami w wieńcach laurowych. Teraz otwierała się tu perspektywa jak wryta w lodowcu, a proste linie cieni mogły w każdej chwili przeciąć przechodnia na pół. *Nieźle.*

Simon przypomniał sobie gadaninę Blocha o Polsce i ewolucji Trzeciej Rzeszy. Sam od dawna nie interesował się polityką. Nie znaczy to, że chował głowę w piasek, lecz że teraz robiło mu się niedobrze, że miał wyżej dziurek w nosie wszystkiego, co wiązało się z NSDAP.

Urodził się w roku 1903 w Schwabach, bawarskim miasteczku w pobliżu Norymbergi, więc można powiedzieć, że nazizm stał się jego kolebką. Najpierw te odrażające idee serwowano mu w domu niemal od urodzenia. Jego ojciec, patriota,

antysemita upajający się minioną wielkością Niemiec, ział nienawiścią. Wybuchowy alkoholik, zgorzkniały i zawistny, był skłonny do przemocy, toteż lepiej było omijać go z daleka.

Simon dorastał w strachu przed napadami, jakie miewał ojciec. Wtedy nie rozumiał jeszcze, czym jest delirium – zapamiętał tylko gardłowe odgłosy, szczerkanie zębami, nerwowe drgawki, no i oczywiście pięści walące matkę po twarzy. Tym był w jego oczach wielki duch Niemiec.

Kiedy ojciec chciał zatłuc swoją żonę łopata do węgla, jedenastoletni Simon przeciwstawił się mu i dostał ostrzem łopaty w czoło. Z rozciętego łuku brwiowego połała się krew. Przez czerwony woal patrzył, jak matka zbiera ciosy, aż zamienia się w przeorane ciało, w masę mięsa. Ojciec w końcu uciekł i już nigdy nie wrócił. Ani Simon, ani jego matka nie wiedzieli, że łajdak miał już w kieszeni kartę mobilizacyjną. *Tam masz okopy... I niech gaz i pociski sprawią, że zdechniesz z rozdziawioną gębą.*

Modlitwy Simona zostały wysłuchane. Peter Kraus poległ, zasypany żywcem w okopie. Chłopiec i jego matka błogosławili Wielką Wojnę, która uwolniła ich od bestii.

Przeprowadzili się do Norymbergi i dzięki skromnej rencie, a także zarobkom matki, która trochę szyła, przeżyli. Także Simon szybko zaczął pracować, głównie w piwiarniach.

To tam widział, jak rodzi się nazizm. Prawdziwy.

Dziś obowiązywał pogląd, że Brunatny Dom narodził się z niemieckiej kapitulacji, z tego haniebnego traktatu wersalskiego, z poniżenia germańskiego narodu. Być może. Jednak nazizm narodził się przede wszystkim z piwa. W cuchnących stęchlizną knajpach, w oparach alkoholu, który rozmiękczał mózgi. W zadymionych piwiarniach, gdzie śmierdziało przetrawionym jedzeniem i szczynami. W tych piwiarniach, które wieczorami, w blasku świec, wyglądały jak zakrwawione trzewia i w których kiełkowała też ta kurewska antysemita ideologia, dążenie do podporządkowania sobie wszystkich i do zmiżdżenia narodów Europy.

Pracując dorywczo w Monachium, Simon widział nawet, widział na własne oczy, jak Hitler stawia pierwsze kroki. Wtedy był trochę jak włóczęga, któremu daje się kilka monet, żeby pokazał sztuczkę. Ludzie się śmiali, niektórzy mu wtórowali, ale Simon już wiedział: ten człowiek jest jak rak, nie przestanie się rozrastać, będzie miał potworne przerzuty.

W domu nie czuł się szczęśliwy. Matka traktowała go jak ocalałego po wojnie. Przeżył. Był księciem. Simon jednak nie chciał ani takiej miłości, ani szczególnych względów. Książę – tu się z nią zgadzał. Z tym że nie tylko dla matki. Pokaże światu, na co go stać. Ale musiał działać szybko, bo nazizm szerzył się błyskawicznie.

W swojej pięknej głowie od zawsze postrzegał swój los jako wyścig z narodowym socjalizmem. Teraz, po dwudziestu latach, można już było powiedzieć, że wygrał, a w każdym razie że zdobył dla siebie miejsce w słońcu, zanim Führer wszystko zniszczy.

Dzięki doskonałym wynikom na studiach, pieniądzom od kochanek i niezbyt legalnym kombinacjom piął się po drabinie społecznej i osiągnął wysoki poziom. Czy wojna to wszystko unicestwi? To nic, on i tak sobie poradzi. Ucieknie do Stanów Zjednoczonych albo ożeni się z bogatą wdową. Albo i jedno, i drugie.

Jednego był pewien – widział, jak rodzi się nazizm, i zobaczy, jak dogorywa. Gra toczyła się o to, żeby go przeżyć.

Simona dzieliło od hotelu Adlon już tylko kilkaset metrów – w dali widział Bramę Brandenburską – ale był cały spocony. Żałował, że po obiedzie nie wpadł do domu – żeby zmierzyć się z Damami Adlonu, należało zmobilizować wszystkie siły.

Ostatecznie znalazł ławkę w cieniu. Chciał się tylko trochę wysuszyć, ale już po chwili zasnął na niej jak włóczęga.

20

- Kochanie, a co powiesz o sukni wieczorowej i jedwabnym sweterku?
 - Biała czy czarna?
 - Biała.
 - Pora roku?
 - Wiosna. Prawdopodobnie dwadzieścia stopni po zmroku. Jakie wybrać wierzchnie okrycie?
 - Robione na drutach bołerko. Proponowałbym angorę, różową albo białą.
 - No proszę! – zawołała Magda, wstając z oparcia fotela Simona. – A nie mówiłam? – I wskazała palcem kobietę, której nie znał. Jej oczy rzucały triumfalne błyski. – I znowu z wielką kokardą! – Zwróciła się ponownie do Simona, przyklękła na jednym kolanie, a brodę wsparła na splecionych dłoniach. – Kotku – dodała głosem słodkim jak miód – jesteś naprawdę najlepszy.

Simon przyjął komplement z typową dla siebie skromnością, nie powstrzymując się jednak od potwierdzającego tę oczywistość skinienia głową. Opowiadał wszystkim, że w Paryżu bywał na pokazach Coco Chanel, Jeanne Paquin i Luciena Lelonga, co oczywiście było nieprawdą. W tamtych czasach wegetował w odrapanej, brudnej służbówce, a w dodatku w 1936 roku w Paryżu bycie Niemcem nie stanowiło najlepszej wizytówki. Ledwie upolował kilka podstarzałych dam w Coupole na dancingu i przespał się z nimi, żeby mieć pieniądze na czynsz.

Było już po czwartej, Simon przespał na ławce ponad godzinę. *Witaj, detektywie...* Mimo to dotarł do Klubu Wilhelma w porze największej aktywności, a przecież właśnie na tym mu zależało.

O ile Kaiserhof utrzymany był w duchu wiedeńskim – miał przestronny hol, kwiaty w donicach, duże okna i lada chwila można było spodziewać się tam par wirujących w rytmie walca – o tyle Adlon był znacznie bardziej niemiecki. Wysokie sklepienia, germańskie godła, marmurowe kolumny i kandelabry nasuwały skojarzenie z tawerną olbrzymów w wersji królewskiej. Florenckie posągi i marmurowe schody stanowiły włoski akcent w stylu renesansowym.

Klub Wilhelma spotykał się w końcu hotelowego baru, w małej sali, gdzie Damy lubiły gawędzić, sącząc szampana. Simon bywał w innych salonach, choćby u hrabiny Nostitz, która kolekcjonowała faszyzujących artystów, czy u baronowej Dirksen, która mieszała starych Prusaków z nowobogackimi, ale nic nie mogło się równać z Klubem Wilhelma. Dlaczego? Po prostu dlatego, że tu spotykały się najpiękniejsze kobiety

Berlina. Nikt nie przejawiał tu najmniejszych pretensji intelektualnych ani artystycznych, nie wspominając już o celach charytatywnych. Piękno, śmiech i bąbelki. Jeśli chciałeś czegoś więcej, pomyliłeś adres.

Spośród dwudziestu obecnych pań Simon znał zaledwie cztery czy pięć. Tych, z którymi chciał się spotkać, czyli Susanne i Leni, nie było. Mimo to mógł zebrać garść informacji. Już pierwszy rzut oka wystarczył, by zrozumieć, że nikt tu nie wie o tragicznej śmierci Margarete Pohl.

Dziewczęta powitały go jak stadko kur wita koguta w porze posuchy: wszystkie stroszyły piórka, piały z zachwytu nad jego garniturem, kapeluszem, szeptały mu czułe słówka do ucha. Simon łaskawie im na to pozwalał, choć od tego gadania kręciło mu się w głowie.

Magda, ta, która pytała go o strój na wiosnę, perorowała teraz o zaletach Jantzena, słynnej amerykańskiej marki kostiumów kąpielowych. Przy okazji Simon zauważył, że większość pań jest opalona. Wróciły z wakacji i nie zważając na wojnę, większość z nich już szykowała się do kolejnego wyjazdu.

Uśmiechnął się i przytknął usta do brzegu kieliszka. Rozsiadł się jak pasza w głębokim skórzanym fotelu. Bardzo lubił Magdę. Polka z pochodzenia, nie przekroczyła jeszcze trzydziestki i mówiło się, że jest jedną z najbogatszych kobiet w Berlinie. Wydana za bardzo starego polskiego księcia, który osiadł w Niemczech, owdowiała, mając dwadzieścia pięć lat, i odziedziczyła wielki majątek.

Była najładniejsza, uosobienie anielskiej naiwności, o buzi naznaczonej jasnymi brwiami, które wyrażały nieustanne emocje, i o ustach tak zmysłowych, że trudno było nie spuścić oczu z zawstydenia. Jej włosy, falujące na skroniach, nie były jasne, ale wręcz białe. Uroda Magdy oszałamiała. Dla kontrastu młoda dama lubiła nosić małe ciemne okulary, które na jej zjawiskowej twarzy wyglądały jak dwa fenigi położone na oczach zmarłej.

Simon z rozkoszą by z nią pofiglował. Niestety nigdy nie zasięgała jego porady. Nie miała żadnych lęków ani nawet złych snów. Przeciwnie, była w wysmienitej formie – legenda głosiła, że Magda odnosiła sukcesy sportowe i że miała nawet wejść w skład narodowej ekipy pływackiej.

– Zostaw te histeryczki – rozległ się nagle karcący głos. – Gotowe cię tu zgwałcić.

Simon uniósł głowę: Sonja Low, prezeska klubu, ujęła go za rękę i zabrała w spokojniejsze miejsce. Nie kazał się prosić. Te muślinowe sukienki, spódnice z jedwabnej krepy, koronkowe bluzeczki zahipnotyzowały go. Jakże daleko było tu do ograniczeń, do jakich wzywał Göring – „Armaty zamiast masła!” – i do kartek Blocha.

Simon i Sonja usiedli we wnęce na fotelach, które kusiły już z daleka.

– Dawno cię tu nie widziałyśmy.

– Praca. Psychiatra nie wie, co to wakacje. Wręcz przeciwnie, ponieważ bezczynność sprzyja nerwicom.

– Po co tu przyszedłeś? Szukasz nowej kochanki?

– Nie. Stęskniłem się za wami i tyle. Susanne nie ma?

– Chyba nie wróciła jeszcze z Syltu.

– A Leni?

– Również na wakacjach. Wydaje mi się czy ogarnęła cię nostalgia?

Wszyscy wiedzieli, że Simon romansował z tymi dwiema kobietami. A teraz zachowywał się jak ktoś, kto szpera w przeszłości w poszukiwaniu nowości.

Sonja ujęła go pod rękę i oparła mu głowę na ramieniu.

– Zapewniam cię, że mamy tu świeży towar. Zerknij, Gertrude, o ta, powinna ci się spodobać.

Wskazała młodą kobietę w sukience w stylu marynarskim, z kołnierzem z białą lamówką i małą kotwicą namalowaną między piersiami. Jej twarz w obramowaniu przyciętych prosto, krótkich czarnych włosów była pociągła jak u Greta Garbo, a drobne usta silne jak kotwica.

– Przyznam, że całkiem, całkiem...

– Mamy też Elisabeth...

Ta była wysoka i posągowa, o szerokich ramionach i krągłych kształtach. Z gołą głową i włosami jakby upstrzonymi złotem wyglądała jak wykonany ze złocistego brązu posąg Ateny, który widział w Paryżu.

Simon nie mógł ich wszystkich admirować, poza tym nie po to przyszedł. Delikatnie odsunął Sonję i spojrzał jej prosto w oczy.

– Z Margarete też nie miałaś ostatnio kontaktu?

Zadał ryzykowne pytanie, ale ciekaw był reakcji Sonji. Szefowa klubu najwyraźniej o niczym nie wiedziała.

– Słowo daję, czy ciebie naprawdę interesują twoje byłe? A my na ciebie nie zasługujemy?

– Masz rację. – Zmusił się do uśmiechu. – Chyba robię się nostalgiczny.

– Już od jakiegoś czasu nie kontaktowała się ze mną – raczyła w końcu odpowiedzieć Sonja. – Prawdopodobnie ona też wyjechała na wakacje.

Simon spojrzał uważnie na nieco surową twarz Sonji. Opuszczony tuż nad prawe oko kapelusz podkreślał jej powagę. Simon nie miał wątpliwości – ta kobieta o niczym nie wiedziała.

Nie miał pojęcia, co powiedzieć, by podtrzymać rozmowę, ucieszył się więc, kiedy jedna z dziewcząt uratowała mu skórę, włączając gramofon. Z płyty popłynęły dźwięki poczciwego staruszka swinga – muzyki zakazanej przez nazistowskie władze.

Simon poderwał się na równe nogi. Znał się na modzie i na żartach, lecz jego prawdziwą specjalnością był taniec.

Czuł się przede wszystkim Eintänzerem, mistrzem tańca towarzyskiego. Walc, tango, charleston, fokstrot, ale także balboa, boogie-woogie, lindy hop... Teraz rozbrzmiały pierwsze takty *Tar Paper Stomp*, chwycił zatem Sonję za rękę, aby porwać ją do miękkiego, rozkołysanego lindy hopu.

Takiego właśnie rytmu było trzeba, żeby madame wyginała biodra aż po kres możliwości, zmysłowo i figlarnie. Sonja zanosila się śmiechem, gdy jej spódnica wirowała, a inne Damy, otoczywszy ich kręgiem, klaskały. Simona rozpierała duma – i nie bez powodu: trzymając w ramionach tak piękną kobietę, tańcząc z nią w rytm muzyki, która niosła ich jak lekko wzburzone morze, a w barze hotelu Adlon brzmiała niczym prowokacja, bo przecież w Rzeszy była zakazana, czuł mocniej niż kiedykolwiek, że na Boga, dobrze znaleźć się po stronie silniejszych.

Poruszał się z istic gadzią płynnością i miękkością, prowadząc Sonję. Niski wzrost stał się w tańcu jego atutem, bez trudu bowiem mógł przeturlać partnerkę po swoich plecach – *rozumiecie, co mam na myśli*. No i zakończył popis diabelską przerzutką, dzięki czemu kilku farciarzy, boyów hotelowych, mogło zobaczyć majtki żony jednego z najgroźniejszych generałów Wehrmachtu.

Kiedy muzyka ucichła, Simon pomyślał, że wygrał tę partię. Co prawda niczego się nie dowiedział, ale przynajmniej Sonja nie podejrzewała go o prowadzenie śledztwa.

Śmiechy mieszały się z brawami. Wszyscy znów pili szampana. Simon z uśmiechem na ustach przysunął się do partnerki, jakby chciał dłużej rozkoszować się triumfem.

Sonja Low rzuciła mu uśmiech mądrej kobiety.

– Coś przede mną ukrywasz.

Kiedy znalazł się na Wilhelmstraße (zdecydował się wrócić do domu piechotą), nagle trzeźwo ocenił sytuację: nie mógł samotnie kontynuować tego śledztwa. Nadal nie wiedział nawet, kiedy i jak zamordowano Margarete. Nie wiedział, kogo się podejrzewa ani czy są jakiegokolwiek dowody albo poszlaki. Nie miał szans samodzielnie zdobyć tych informacji.

Była tylko jedna droga – nawiązać kontakt z „Kolosem”, Hauptsturmführerem Franzem Beewenem. Na znak dobrej woli powie mu to, co wie – Marmurowy Człowiek był tylko snem. Być może w zamian gestapowiec wyjawি mu garść informacji...

I wtedy uświadomił sobie, że jest blisko Prinz-Albrecht-Straße, może zatem to dobra okazja, by odwiedzić panów gestapowców. *Skończ z tymi wygłupami*. Nigdy się na to nie zdobędzie. Krążyło tyle opowieści o tym przeklętym miejscu... A wśród nich najważniejsza – do okrytego złą sławą gmachu łatwo było wejść, ale wyjść już się nie dawało.

Ostrożnie szedł swoją drogą i z radością ujrzał znowu Potsdamer Platz. To była jego dzielnica. Jego dom. Bezpieczny teren. Już miał wejść na plac, gdy znowu doznał olśnienia.

Było tak brutalne, że aż zaparło mu dech w piersi. Musiał szybko znaleźć ławkę i usiąść. Zatrzymał się obok kiosku.

Susanne i Leni także nie żyły. Ukrywano te trzy morderstwa – cóż prostszego, niż rozpuścić pogłoskę, że damy spędzają wakacje na Sylcie?

Simon złapał się za głowę, strącając z niej kapelusz. Kiedy go podniósł, prawda ugodziła go tak, że aż zgiął się wpół, pękł jak szyba.

Każda z tych kobiet śniła o Marmurowym Człowieku, wszystkie zostały zamordowane.

Simon wybrał przełamanie granicy rozumu i powiedział sobie: mordercą był sam Marmurowy Człowiek. Wyłonił się ze świata snów, by dokonać zbrodni.

W tej sytuacji nikt poza nim, „onirologiem”, specjalistą od marzeń sennych, powiernikiem tych dam, nie zdoła zidentyfikować mordercy.

Scheiße! Scheiße! Scheiße!

Franz Beewen nie mógł uwierzyć w takiego pecha.

– Kto znalazł ciało?

Unterscharführer Günter Hölm, zwany przez wszystkich Dynamo, podszedł, trzymając w nawykłej do łopaty ręce mały notesik.

– Dwaj spacerowicze. Zgubili się pod zamkiem Bellevue około piętnastej. Niektórzy się nie boją, że ktoś ich wydupczy.

Ta bardzo subtelna aluzja odnosiła się do reputacji Tiergarten: po zapadnięciu zmierzchu przelotni partnerzy ściągali tu, żeby zabawić się w bujnych krzakach.

Beewen zgromił Hölma z całą powagą, na jaką było go stać. Wiedział, że to nic nie da – Dynamo (nikt nie wiedział, skąd się wzięło to przezwisko) był skrajnie niezdyscyplinowany, uwierał jak gwóźdź w bucie, kalał piękny czarny mundur jak paskudna plama. Jednak Beewen ciągnął go za sobą od samego początku. Przez oddziały szturmowe, potem berlińską policję aż do Gestapo. Dynamo był jego kolegą, przyjacielem, kozłem ofiarnym na złe dni, maskotką.

– Prowadź.

Znajdowali się w północno-zachodniej części Tiergarten, nad Sprewą. Beewen nie znosił tego parku. Ponury las, mroczne zakątki, dzikie zwierzęta sprawiały, że czuł się tu prawie jak u siebie, w Zossen.

Zrobił wszystko, żeby uciec przed taką gównianą przyrodą, a ona znowu go dopadła w samym sercu stolicy. Wciąż miał nadzieję, że Hitler, realizując swoje rojenia o przebudowie, zamieni ten teren zielony w koszary. *Runy, orły, swastyki jak okiem sięgnąć!*

Beewen szedł ze spuszczoną głową, patrząc, jak jego buty zanurzają się w szeleszczących liściach. Myślał o ogniu, który można byłoby rozpalić z tyłu gałęzi i liści. Myślał o zapachu, który u schyłku dnia unosi się w wiejskim obejściu. Myślał o matce, którą zamordowała ziemia, i o ojcu, którego wojna wpędziła w obłęd.

Trzecie morderstwo. *Verdammt!* Zamiast na polskim froncie wylądować w Sachsenhausen, tak, będzie kopał ziemię łopatą i tłukł kamienie. Musiał znaleźć sposób, byle jaki, żeby uwolnić się od tego śledztwa. Musiał jak najszybciej dostarczyć przełożonym jakieś wyniki. Inaczej czeka go obóz.

Doszli do polany tuż nad rzeką, strzeżonej przez esesmanów. Słysząc było jej głuchy szum. W rogu, po prawej, ciało odwrócone do nich plecami, jakby w pozycji

pokutnej, twarzą przywarło do podnóża potężnego dębu.

Kobieta była ubrana. Miała letnią sukienkę i cienki żakiecik. Jej pocięta garderoba zeszytywniała od zakrzepłej krwi. Zabójca starannie rozchylił nasiąknięte fałdy materiału, by odsłonić białe pośladki i pozostawić ofiarę w obsceniczej, poniżającej pozie.

Butów oczywiście nie było.

W promieniu około metra na ziemi leżały poczerniałe szczątki. Narządy zastygłe w płynach fizjologicznych. Morderca wypatroszył ofiarę i rzucił wszystko, jak wnętrznosci zwierzyny łownej rzuca się psom.

– Szupowcy natychmiast nas wezwali – powiedział Dynamo.

– Dlaczego nas?

– Wszystkie służby policyjne wiedzą o sprawie. Szurnięty morderca, jak za starych, dobrych czasów Petera Kürtena... Jasne, że to spadło na nas.

Franz milczał. Czuł ciśnienie rozsadzające mu mózg, miał wrażenie, że stalowa obręcz zaciska mu się na skroniach.

– Nikt niczego nie ruszał – dodał Hölm.

– Bardzo dobrze.

– Wiedzieliśmy, że będziesz chciał sam się tym zająć – zadrwił Dynamo. – Zawsze lubiłeś obmacywać panienki.

Beewen nie wiedział, czy zniesie dziś prostackie żarty Dynama. Po raz kolejny obrzucił go gniewnym spojrzeniem. Prawdę mówiąc, Hölm wyglądał niczym chodząca menażeria: duża czerwona głowa jak zadek pawiana, srebrzące się małe oczka ruchliwe jak skaczące nad wodą okonie, kark byka, ramiona jak gałęzie klonu, silne nogi i ręce. W dodatku był włochaty jak goryl.

Beewen obrócił ciało obcasem. Liście zaszeleściły i oczom oficera ukazała się szeroka brunatna rana pod brodą. Podbrzusze było rozprute. Nie miał ochoty dokładniej przyglądać się obrażeniom.

Natomiast twarz, nawet umazana ziemią, nawet okolona strąkami pozlepianych włosów, była nieprzeciętnie piękna. Był to ten typ urody, który przyprawia mężczyzn o ból, przypominając im o ich przeciętności, o wiecznych frustracjach.

Zabójca pastwił się nad ofiarą – na jej brzuchu widać było liczne nacięcia. Podobnie jak w przypadku dwóch poprzednich ofiar, i u tej stwierdzono obrażenia powstałe przy próbie obrony – na plecach, ramionach, tułowiu.

Beewen zauważył też ślady ugryzień. Tiergarten słynął z dzikiej fauny – lisów, dzików, kun... Ten mały światek walczył, by przetrwać w cieniu spacerowiczów i kolumny zwycięstwa.

Beewen nie był lekarzem, ale znał przyrodę. Na oko określił, że kobieta została zamordowana rankiem. Zwierzęta nie miały czasu porządnie wbić w nią zębów.

– Znamy jej tożsamość?

Dynamo podał mu torebkę denatki. Beewen wziął ją do ręki i od razu zwrócił uwagę na wysoką jakość skóry inkrustowanej perłami – znów burżuazja. I na pewno żona dygnitarza. A skoro tak, to może i członkini Klubu Wilhelma. *Scheiße!*

Pośród chaosu puderniczek, szminek i pieniędzy znalazł dokumenty. Morderca nie był złodziejem.

Leni Lorenz. Urodzona w 1908. Nazwisko panięskie: Klink. Zamieszkała w dzielnicy Grunewald. Gdzieś już zetknął się z tym nazwiskiem. To była bliska przyjaciółka Susanne Bohnstengel i Margarete Pohl. Figurowała na liście „świadków nie do przesłuchiwania”.

Pewnik: sprawca znał te kobiety. Bywał nawet w ich salonach. *Pogrzeb od tej strony.* Ale Beewen na tym polu był bezradny. Nie mógł też uderzyć w strunę frywolności ani dyskretnie przeniknąć do klubu.

Jedyne, na co mógł sobie pozwolić, to standardowe policyjne działania. Przycisnąć męża. Szofera. Służące. Mimo wszystko te kolejne zwłoki dawały mu nieoczekiwaną okazję, by rozpocząć śledztwo zgodnie ze swoimi metodami, zamiast tylko iść śladem Maxa Wienera, gliniarza z Kripo. Na początek potrzebował porządnej, przeprowadzonej wedle zasad sekcji.

Zaczął snuć bardziej dalekosiężne plany. Aresztować wszystkich zwolnionych ostatnio przestępców, wszystkich fetyszystów obuwniczych, wszystkich, którzy pracowali w hotelu Adlon, wszystkich spacerowiczów z Tiergarten, wszystkich i wszystkie, którzy rozmawiali z Susanne Bohnstengel, Margarete Pohl i Leni Lorenz w ciągu minionego miesiąca, wszystkich, którzy znali ją dobrze albo przelotnie, albo po prostu natknęli się na nią w Adlonie, na korcie tenisowym, w modnym butik, w restauracji... Zapełni cele w budynku przy Prinz-Albrecht-Straße 8, a także więzienia Plötzensee, Spandau, obozy w Sachsenhausen, Dachau...

Mógł to zrobić.

Miał wszystko – do diabła, przecież był z Gestapo.

– Dobra, zgarniamy czy nie?

Czerwona gęba Dynama uspokoiła go. Nie robi nic. Tu trzeba działać finezyjnie, ale z ludźmi pokroju Hölma trudno mówić o subtelnościach.

Nie, był niesprawiedliwy. Dynamo podobał się dziewczynom znacznie bardziej niż choćby on. Miał poczucie humoru i zawsze potrafił wybrać właściwy styl, by nawiązać bliską znajomość. W przeciwieństwie do Beewena.

Takie jest życie. Dynamo, paskudny jak małpi zadek, podrywał Fräulein, a on, Franz Beewen, piękny jak rzeźba Arna Brekera, wzbudzał w nich obawy i wzdarcę. Kochając życie, wyczuwały bijącą od niego woń śmierci, destrukcji, rzezi. Męskość – owszem. Ale nie brutalność.

– I co? Podejmiesz decyzję?

Beewen skinął głową.

– Powiesz Koenigowi, że tym razem postępujemy inaczej.

Walther Koenig był lekarzem sądowym w szpitalu Charité, największej placówce medycznej Berlina. Zazwyczaj Beewen albo Dynamo ograniczali się do podyktowania mu tego, co chcieli zobaczyć w protokole sekcji.

– Co masz na myśli?

– Tym razem musi przeprowadzić prawdziwą sekcję, chwytasz?

Dynamo skrzywił się w ironicznym uśmiechu.

– Fach schodzi na psy.

Beewenowi wpadł do głowy inny pomysł.

– Powiedz też ludziom z KTI, żeby przyszli sprawdzić, czy da się tu coś znaleźć.

– Komu?

– Przecież wiesz, tym z nowego laboratorium, jasne?

Hölm podrapał się po głowie.

– O rany, chyba czas przejść na emeryturę.

Franz popatrzył na esesmanów beztrósko zdeptujących polanę – mało prawdopodobne, żeby technicy znaleźli cokolwiek na takim terenie.

Jego ludzie podnieśli zwłoki, żeby ułożyć je na noszach. Odwrócił się. Przez piętnaście lat w SA i SS widział rzeczy niewyobrażalne, widział dużo makabry i sam przyczynił się do wielu bestialskich czynów, nie potrafił jednak znieść widoku tej kobiety z rozplatanym brzuchem leżącej na noszach.

– Mamy świadków?

– Nikogo oprócz tych spacerowiczów. Będziemy jeszcze szukali. Musi się znaleźć jakiś włóczęga albo zboczeniec. Ale to miejsce jest naprawdę paskudne.

Beewen się odwrócił i popatrzył na rzekę.

– Pogadaj też z tymi z barek. Nigdy nic nie wiadomo.

Poczuł gorycz w gardle. Jak mogło dojść do tych morderstw? Dlaczego śledztwo tak długo stoi w miejscu? Trzy ofiary w Berlinie, gdzie aż roi się od mundurowych i szpicli na usługach SS...

Chyba że morderca wcale nie wygląda na przestępcę i dobrze zna swoje ofiary. Beewen nie mógł wpaść w tę pułapkę – szukać gościa, który ma wypisane na czole, że jest bandytą, kogoś w rodzaju „wampira z Düsseldorfu” albo innego „rzeźnika

z Hanoweru”. Nie, ten człowiek jest dandysem, uwodzicielem. To facet, który wie, jak zabawić znudzone żony i wciągnąć je na swoje terytorium.

Przypomniał sobie Simona Krausa. Pod wieloma względami przystawał do profilu. Trzeba jeszcze sprawdzić, czy Susanne Bohnstengel i Leni Lorenz też były jego pacjentkami. Był przekonany, że ten karzeł ma swoje wejścia do Klubu Wilhelma, pasowałyby tam. Ale morderstwo? Czyżby? Przy swoim chłopięcym wzroście nie miał szans, ofiary powaliłyby go na łopatki. Żeby zabić, trzeba być silnym i bezlitosnym – Beewenowi płacono za to, żeby wiedział takie rzeczy.

Skupił się na prostszym rozwiązaniu: morderca obracał się wśród wysokich rangą członków NSDAP. Elitarne szeregi SS pełne były seryjnych morderców. W pewnym sensie taki warunek trzeba było spełnić, aby zostać przyjętym. Ale żeby aż tak brudzić sobie ręce? Szatkować podbrzusze Bogu ducha winnych kobiet? Beewenowi coś tu nie pasowało. Mordercy Rzeszy byli zabójcami masowymi. Zależało im raczej na liczbie niż na jakości. A już wkrótce mieli rozkoszować się zbrodniami w Polsce.

Dynamo, doskonale znając Beewena, zwrócił się do niego:

– Nie zamartwiaj się. Dopadniemy go. Wszystko dlatego, że nie przywykliśmy szukać prawdziwych sprawców.

Miał rację – nie byli ani policjantami, ani śledczymi. Byli prześladowcami, samozwańczymi katami, umieli tylko taranować drzwi i wlec za włosy podejrzanych, których podawano im na tacy.

Tym razem było zupełnie inaczej. Mieli do czynienia z prawdziwym przestępcą. Z drapieżnikiem, który sam polował i umiał się wymykać tropicielom.

Beewen obserwował zza drzew swoich ludzi – ich kołnierze i czapki błyszcząły w popołudniowym słońcu. Można było pomyśleć, że pędzelek pokrył miodem każdy galon, każdy daszek.

Stado nieudaczników zadeptywało strefę zamkniętą, nie mając pojęcia, jak postępować ani nawet jak reagować. Jeden z nich fotografował, tyle że chyba nie za dobrze znał mechanizm aparatu fotograficznego. Czując, że ktoś go obserwuje, rzucił okiem na Beewena i dowiedział się choć tego jednego: jeżeli spaprze te zdjęcia, będzie doskonalił się w zawodzie fotografa już w kacecie.

Beewen odszedł, nie czekając na Dynamo. Sprężystym krokiem dotarł do szerokiej arterii, która przecinała Tiergarten ze wschodu na zachód. Zamierzał wsiąść do mercedesa, gdy zobaczył podjeżdżające przed park furgony i samochody Gestapo. O dyskrecji można było zapomnieć.

Mercedes ruszył, a Beewena uderzyła skrajna pustka pejzażu. Szeroką aleję z obu stron otaczał tylko las. Od takiego widoku robiło się zimno, nawet teraz, o tej porze, gdy przedwieczne światło zalewało złotem otoczenie.

Dyskrecja, powtórzył. On też był myśliwym. Wiedział, jak podejść zwierzynę. Może jednak powinien zapomnieć o wszystkim, czego nauczył się przez ostatnich piętnaście lat – tych pełnych zgiełku lat w SA i SS – i znów wejść w skórę człowieka, którym był: nie zrównoważonego myśliwego z lasu przodków?

– Zawiodłem się, Hauptsturmführer, naprawdę się zawiodłem.

Tuż po powrocie do siedziby Gestapo Beewen został wezwany przez zwierzchnika, Obergruppenführera Ottona Perninkena, który najwyraźniej wiedział o zabójstwie Leni Lorenz tyle samo co on. Trzeba przyznać, że Gestapo miało pewną zaletę: informacje krążyły tu z prędkością światła.

– Od jak dawna prowadzi pan to śledztwo?

– Od sześciu dni, Obergruppenführer.

– I jakie uzyskał pan wyniki?

– Nic. Zero. Całkowity brak dowodów, podejrzanych. A teraz jeszcze jedna ofiara.

Perninken skrzyżował ręce na skórzanej podkładce na biurku. Był stuprocentowym narodowym socjalistą. Mówił prosto z mostu, nie znosił pustej gadaniny, a nade wszystko zepsucia. Był oficerem zrodzonym nie z łona kobiety, lecz z okopów nad Sommą. Zamiast płynu owodniowego otaczały go krew klęski i pot pokonanych.

Ale o Beewenie można było powiedzieć to samo.

Jednak Perninken popierał każdą ideę hitlerowskich władz. Nie robił tego na oślep, po prostu podzielał całym swoim jestestwem te idee i wartości.

– Morderstwo w Tiergarten popełnił ten sam sprawca?

– Ponad wszelką wątpliwość. Przypuszczalnie...

– Przeczytam pański raport – podniósł głos. – Zdaje pan sobie sprawę z pozycji ofiar?

– Oczywiście, Obergruppenführer.

– Jest pan świadom, w jakim okresie historycznym dane jest nam żyć?

– Doskonale to rozumiem, Obergruppenführer.

– Uważa pan, że taka chwila jest dobra na okazywanie słabości? Że możemy pokazać, że Rzesza nie potrafi chronić małżonek swej elity?

– Nie, Obergruppenführer.

Perninken był łysy jak kolano: zaróżowiona władcza czaszka błyszczała mu jak wyglansowana. Jego rysy wyrażały twardą siłę, moc skały, która łamie dłuta i szczerbi nożyce. Paradoksalnie różowa cera niemowlaka doskonale pasowała do czarnego munduru z grubego, wygodnego sukna podobnego do filcu, z którego robiono żołnierskie derki.

– W takim razie niech mi pan powie, co do diabła pan wyprawia?

– Obergruppenführer, pozwolę sobie przypomnieć, że kontekst jest trudny.

– Gdyby sprawa była prosta, zostawiono by ją Kripo.
– Musimy ukrywać fakty, a to bardzo komplikuje śledztwo. Nie możemy ani otwarcie przesłuchiwać świadków z kręgu osób najbliższych, ani współpracować z innymi służbami policyjnymi.

– Gestapo nie potrzebuje niczyjej pomocy.

– Rozumiem, Obergruppenführer, ale proszę, aby pan także zrozumiał, że te ograniczenia nie ułatwiają śledztwa.

Perninken wstał i podszedł do okna. Ręce trzymał splecione na plecach. Pewnie wszyscy dowódcy policji, bez względu na szerokość geograficzną i epokę, przyjmują taką pozę. *Stanowisko zobowiązuje.*

– Co pan właściwie ma?

Beewen miał ochotę powiedzieć „nic”, jednak w ostatniej chwili ugryzł się w język.

– Ofiary łączy wiele wspólnych elementów. Bywały na przykład w Klubie Wilhelma, modnym salonie, który...

– Znam. Co jeszcze?

Nie miał wiele do powiedzenia, wolał jednak zachować dla siebie rozmowę z karłem psychiatrą i tę historię o Marmurowym Człowieku. *Kto wie...*

– Otóż – dodał ciszej – znały się i często uczestniczyły w elitarnych spotkaniach związanych z Rzeszą.

Perninken obrócił się na pięcie. Był niższy od Beewena, jednak jego sylwetka robiła wrażenie.

– Nie zamierza pan chyba podejrzewać nikogo z nas.

Cała wstecz.

– Nie to miałem na myśli, Obergruppenführer. Prawdę mówiąc, skłonny jestem założyć, że mamy do czynienia z psychopatą, który wybiera na ofiary piękne kobiety, by zaspokoić morderczy popęd.

– Sam pan na to wpadł?

Perninken znów odwrócił się do okna. W popołudniowym słońcu jego łysa głowa, zwykle groźna, wyglądała jak balonik, który zaraz odleci.

Generał miał specyficzną słabostkę – wierzył w uroki, rzucanie czarów, magnetyzm ludzki. Aby się chronić przed niewidzialnymi atakami, ukrył w gabinecie kilka ołowianych płytek, od których biła ciężka, gorzka woń. Zupełnie jak u dentysty.

– Początkowo – mówił Franz, jakby go nie usłyszał – skłaniałem się ku motywom politycznym.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

Kolejna obraźliwa uwaga. Znów musiał się cofnąć.

– Szybko się zorientowałem, że to błąd.

– Zechce pan wyjaśnić.

– No cóż... myślałem, że być może funkcje małżonków ofiar stanowiły motyw zbrodni. Że te morderstwa były próbą ugodzenia w elity narodu.

– Żałosne.

– Ja też doszedłem do tego wniosku.

– A zatem?

– Dziś myślę raczej, że morderca nie ma żadnych motywów poza zbrodniczym popędem. Zwrócił uwagę na te kobiety, śledził je albo zwabił w pułapkę, a potem uległ swoim bestialskim skłonnościom.

– Może powie mi pan coś, o czym nie wiem.

Franz zrobił głęboki oddech. W rzeczywistości głośno myślał.

– Morderca zna swoje ofiary, a przynajmniej potrafi wzbudzić ich zaufanie.

– Co z tego?

– Może to ktoś z obsługi Adlonu albo kierowca czy służący. Jeden z mężczyzn pracujących w cieniu, ktoś, kogo kobiety takie jak Susanne Bohnstengel czy Margarete Pohl zaliczają do swojego otoczenia.

Obergruppenführer przeszedł kilka kroków.

– Uważam, że ma pan rację, Beewen.

Franz poczuł, jak powietrze uchodzi mu z klatki piersiowej. Sam nie zauważył, kiedy przestał oddychać.

– Mordercą jest pospolity osobnik, prawdopodobnie nieczystej krwi. Może to Żyd.

– Zastanawiałem się nad tym, Obergruppenführer.

Kłamstwo – taki pomysł nawet nie zaświtał mu w głowie. Jego zdaniem Żydzi byli zbyt zajęci walką o przetrwanie, żeby kogokolwiek mordować.

– Jednak w najlepszych hotelach nie ma już żydowskiego personelu, podobnie jak w eleganckich restauracjach i innych elitarnych miejscach – podjął. – Pracowaliśmy ile sił, aż udało nam się wyplenić to robactwo z ulic Berlina!

Warto było wzmocnić te słowa, strzelając obcasami. Perninken pokiwał głową. Tego rodzaju peryfrazy zawsze były mile widziane w gmachu Gestapo.

– A co konkretnie pan zrobił?

– Zrekonstruowałem rozkład czasu każdej z ofiar i wyznaczyłem ludzi do obserwacji miejsc, w których bywały. Przesłuchałem także służbę domową, majordomów i kierowców każdej z ofiar. Co do hoteli i restauracji, korzystam z pomocy detektywów oraz szefów sal.

Perninken znów pokiwał głową. Tylko jedno mogło go uspokoić: zapewnienie, że coś się dzieje, że sprawa się posuwa, choć wolno, ale nade wszystko dyskretnie.

– Pętla się zaciska, Obergruppenführer – dodał Franz, wciągając się w grę (mówił jak bohater filmu). – Morderca wkrótce będzie w opałach.

Perninken chodził po gabinecie, wciąż czujny.

– Obserwacja przyniesie efekty – nie ustępował Beewen. – On jest sam, nas są setki. Panujemy w Berlinie. Mamy najlepiej zorganizowaną policję w Europie. Nie uda mu się wymknąć.

Perninken kiwał głową.

– Człowiek z ludu – powtarzał półgłosem, wciąż trzymając ręce za plecami, a kiedy przechodził przed Franzem, ten widział, że nerwowo porusza palcami. – Wykolejeniec, degenerat. Może nie Żyd, ale ma zepsutą krew. To bękart. – Przeszył Beewena surowym spojrzeniem. – Przygotował pan kartoteki tych wszystkich, o których pan mówi?

– Prace trwają. Poza tym, stawiając na hipotezę szaleńca, podjąłem już poszukiwania w zakładach psychiatrycznych w całych Niemczech.

– Słusznie, dlaczego nie.

Przełożony odpowiedział bezwiednie, ale Beewen czuł, że taka ewentualność wcale mu się nie podoba. Dla nazisty tak bezwarunkowego jak on nie do zniesienia był już sam fakt, że na niemieckiej ziemi są jeszcze niepełnosprawni, ograniczeni, chorzy umysłowo.

– No cóż – wtrącił Beewen – w Niemczech zdarzali się już przestępcy o takim profilu.

W roku 1939 wszyscy w Berlinie pamiętali jeszcze nazwiska seryjnych morderców, o których pisały gazety.

– Nie, Hauptsturmführer – uciął nagle Perninken. – Mówi pan o minionych czasach. Dziś Niemcy są pod kontrolą. Myśl, że w Rzeszy jakiś osobnik o cechach potwora mógłby robić, co chce, jest nie do zaakceptowania. Jesteśmy narodem silnym, doskonałym. Nie mamy prawa popełniać błędów. Toteż trzeba rozwiązać ten problem, zanim zrobi się o nim głośno.

Tym razem Franz strzelił obcasami na znak, że rozumie rozkazy. Przez piętnaście lat dobrej, lojalnej służby zdążył wyrobić w sobie przydatne odruchy. Mimo to podjął nowy wątek.

– Jeszcze jedno – zaryzykował. – Niewątpliwie pomocne byłoby dla mnie spotkanie z oficerem policji Maxem Wienerem, który...

– Wykluczone. Beewen, już panu powiedziałem, że Wiener nie potrafił sprostać temu śledztwu. Musimy o nim zapomnieć.

– Zrozumiano, Obergruppenführer.

– Daję panu trzy dni, ani jednego więcej, na wykrycie sprawcy. Potrzebne nam silne dowody jego winy. Nie zniosę ani jednej ofiary więcej, rozumiano? Niech pan mnie nie zmusza do odebrania panu tego śledztwa.

Franz znał język Gestapo. Znaczyło to: *Niech pan mnie nie zmusza, bym pana wysłał do obozu koncentracyjnego. Albo postawił przed sądem wojennym.*

Rozmowa dobiegła końca. Beewen pożegnał zwierzchnika, wyprężając prawą rękę i mówiąc *Heil Hitler!* tak głośno, że z pewnością słyszano go trzy pokoje dalej.

Już naciskał kłamkę, kiedy Perninken dodał:

– Jeszcze jedno. Kiedy będzie pan już miał pewność co do tożsamości winnego, rozkazuję panu przedłożyć mi jak najdokładniejszy raport.

– Oczywiście.

– Mówię o raporcie przed aresztowaniem.

– Słucham?

– Chcę poznać jego tożsamość, zanim zostanie aresztowany, czy to jasne?

Ponieważ milczał, Perninken dodał:

– W tej sprawie musimy postępować z najwyższą ostrożnością. Powtarzam: nawet się pan nie domyśla, jak ważne jest to śledztwo. Reichsführer SS Himmler uważnie nas obserwuje!

Już w roku 1933 Gestapo zagarnęło dawną Szkołę Sztuk Dekoracyjnych przy Prinz-Albrecht-Straße. Był to okazały gmach, którego hol wieńczyły sklepienia łukowe na miarę katedry. Kamienne schody z balustradą w stylu renesansowym prowadziły na piętra. Tam gdzie niegdyś mieściły się pracownie malarskie i rzeźbiarskie, teraz urzędowali gorliwi funkcjonariusze, których głównym zajęciem było przyjmowanie donosów, torturowanie i zabijanie.

Idąc korytarzem na drugim piętrze, Beewen słyszał stukanie maszyn do pisania za drzwiami. Firma pracowała pełną parą, jak każdy najzwyczajniejszy urząd.

Gestapo miało w swoich szeregach ludzi o zróżnicowanych profilach – tępym bydlaków (wielu), sadystów (mniej, niż mogłoby się wydawać), leni (lwia część), a także sporo biurokratów z krwi i kości. Ludzie ci znaleźli sobie pasterza i pobekując, podążali za nim całym czarnym stadem, głupim i groźnym.

Jednak wszystkich łączyło jedno: napawali się władzą. Wszyscy się cieszyli, aresztując niewinnego człowieka, a nawet legitymując przechodnia. Jeszcze kilka lat wcześniej wielu z nich przymierało głodem i piło wodę z rynsztoków. Teraz niepodzielnie władali. Byli panami. Siłą. A to warte było wyzbycia się skrupułów i srania na prawdę.

Beewen nie był wyjątkiem od tej reguły. Wręcz przeciwnie – jako były łotr i morderca w pełni sił czuł się bezpiecznie przy Prinz-Albrecht-Straße. Tu żyło się w odrębnym świecie, do którego nie docierały głosy ludzkości, w którym nie było ani litości, ani empatii. W świecie okrucieństwa, w którym złoczyńcy stawali się dobrymi uczniami.

– Wytrzymaj sobie kąciki ust.

Beewen uniósł głowę: jego zaciekły wróg Philip Grünwald stał w progu gabinetu. Jak wścibska dozorczyńca, tyle że z wąsami à la kajzer. Prawdę mówiąc, Grünwald wyglądał jak szermierz albo amator boksu francuskiego z początku stulecia.

– Co?

– A co? Nie robiłeś loda Perninkenowi?

– Odwal się.

Beewen minął durnia, ale czuł, że tamten wie dzie za nim wzrokiem jak lufą karabinu. W Gestapo wszyscy byli dla siebie wrogami. Tego wymagał system: zasada podejrzliwości obowiązywała także we własnych czterech ścianach. Każdy esesman

pilnował kolegów, a oni pilnowali jego. Atmosfera wiecznej rywalizacji i podejrzliwości była przytłaczająca.

Wśród zwykłych wrogów zawsze znalazło się dwóch czy trzech, których trzeba było szczególnie się wystrzegać. Na przykład Grünwald, alter ego Beewena zajmujący sąsiedni gabinet, obrał sobie za najważniejszy życiowy cel wyeliminować rywala. Z pewnością teraz zazdrościł mu nawet tego cholernego śledztwa. *Co za dureń.*

Spotkanie z Perninkenem tylko potwierdziło obawy Franza. Ta sprawa była niebezpieczna. Za morderstwami, za tożsamością ofiar kryło się coś, czego nie należało odkrywać.

Beewen nie był pewien, czy aż tak sprawnie balansuje na linie, żeby podołać wyzwaniu. Na przykład zdemaskować mordercę, ale nie domyślić się jego motywów. Albo określić profil ofiar, nie wzbudzając podejrzeń ich najbliższego otoczenia.

Wszystko to było dla niego zbyt finezyjne. Ale musiał wywiązać się z zadania. Wiedział, że się wywiąże. Poda Perninkenowi nazwisko mordercy na tacy, jak podano królowi Herodowi głowę Jana Chrzciciela.

To wszystko był tylko jeden z etapów, rozgrzewka. Liczyło się wyłącznie to, co nadejdzie, jego nagroda. Przeniesienie do Wehrmachtu albo do Waffen-SS. Wojna, front, Francja.

Jego gabinet miał numer 56 – nigdy nie rozumiał dlaczego. Jasne pomieszczenie, błyszczące segregatory, masywne biurko – komfort biurokraty. Ten pokój dzień w dzień przypominał mu o dominującym elemencie pracy: o pisaniu raportów, a to naprawdę nie była jego domena. Na Dynamo tym razem nie mógł liczyć, wiedział, że to półanalfabeta. Na szczęście mieli młodego sekretarza, Alfreda, który podnosił nieco średni poziom i wziął na siebie podłe obowiązki skryby.

Zamierzał usiąść, kiedy usłyszał głuchoe odgłosy i śmiechy za cienką ścianką. Szybko wyszedł i bez pukania otworzył drzwi pokoju, który dzielili jego dwaj współpracownicy.

Dynamo właśnie błaznował, udawał, że biegnie. Na głowie miał kosz na papiery, ręce wyciągnął przed siebie jak ślepiec.

– Co ty wyprawiasz?

Dynamo bez pośpiechu zdjął kosz z głowy. Alfred, któremu zależało na wizerunku poważnego członka zespołu, chichotał, zasłaniając usta ręką.

– Opowiadałem mu o narodowych mistrzostwach SA. Biegałem wtedy na sto metrów w masce gazowej, przez którą nie widziałem toru.

To była jedna z jego ulubionych historyjek – zawody sportowe SA: wyścigi w maskach gazowych, rzut granatem... Kiedy Hölm opowiadał o tych cyrkach, zawsze dodawał na zakończenie, że najtrudniejsze zawody odbywały się wieczorem, a był to konkurs piwoszy.

– Wydaje ci się, że nie mamy nic do roboty? – ofuknął go Beewen. – Chodź ze mną. – Ledwie zamknął za sobą drzwi gabinetu, rzucił: – Szybko wróciłeś.

– Zostawiłem ten bajzel innym. Przyjechali ludzie z Charité. W tej chwili trwa już pewnie sekcja.

Dynamo nie nadawał się do biurowego życia. Był stworzony do manifestacji, bójek, nalotów. Do rozkwazania twarzy, a potem chlania löwenbräu lub odwrotnie. Pierwotnie Günter Hölm był tak zwanym stekiem – dawnym bolszewikiem, który przeszedł na stronę wroga, czyli do NSDAP. „Czarny z wierzchu, czerwony w środku”. W rzeczywistości nie miał żadnych poglądów politycznych. Chciał tylko mieć zapewnione żarcie, czasem porządną bijatykę, a do tego kobiety i piwo – wtedy wszystko było w porządku.

– A szukanie świadków?

– Zleciłem to kilku chłopakom, ale jeśli mam być szczerzy, to nie znajdzie się raczej nikt, kto cokolwiek widział w tej paskudnej części parku. Nie. Czegoś tu jednak nie rozumiem. Po takiej rzezi morderca musiał być zalany krwią. Jak wrócił do domu? Przebrał się na miejscu?

Beewen pomyślał o przepływającej obok rzece. Pierwsze morderstwo popełniono na Wyspie Muzeów. Drugie w parku Köllnischer, o krok od Sprewy. A teraz w Tiergarten, kilka metrów od brzegu. Może bliskość wody odgrywała jakąś rolę w obłędzie mordercy, może była częścią jego rytuału? Czymś symbolicznym, sam nie wiedział. A może po prostu uciekał wpław.

Kiedy Beewen siadł, Hölm rzucił mu na biurko szarą teczkę z dokumentami. Beewen dobrze znał teczki w tym kolorze. Oznaczały wywiad, tropienie, gestapowską stygmatyzację.

– Co to?

– Leni Lorenz, z domu Klink. Nie miała w sobie nic z anioła, rozumiesz, co mam na myśli.

Beewen otworzył teczkę, ignorując komentarze Dynama.

Leni faktycznie nie miała łatwego życia. Urodziła się w 1908 roku w skromnej rodzinie w Nadrenii, a jako dziesięciolatka straciła rodziców – zmarli na gruźlicę. Po trzech latach spędzonych w sierocińcu pod Kolonią uciekła do Berlina. W 1922 pracowała w podrzędnych kabaretach. Mając czternaście lat, występowała w music-hallach. W późniejszym okresie wielokrotnie zatrzymywana za nieład. Mało oryginalne. Za tamtych czasów mawiało się: „Kilo chleba kosztuje milion marek, dziewczyna jednego papierosa”.

Bardziej zaskakujące, że w 1929 roku wyszła za Willy’ego Beckera. Dobrze znał to nazwisko. I mroczną postać, z którą zetknął się za czasów Unterweltu. Sutener, homoseksualista, zarazem oszust i artysta. Willy Ciota, Willy Sodomita, Willy Rybeńka. Jak Leni Lorenz mogła zostać Frau Becker?

Rozwód w 1934. Po roku Leni wyszła za Hansa Lorenza, jednego z najbogatszych berlińskich bankierów. Beewen się domyślał, że rozwód nocnych marków miał zwolnić miejsce dla Lorenza – partii takiej jak on nie wypuszcza się z ręki, zwłaszcza z przeszłością Leni.

Pochłonięty lekturą Franz dopiero po chwili się zorientował, że Hölm przez cały czas do niego mówi.

– Czy ty w ogóle mnie słuchasz?

– Przepraszam. Co mówiłeś?

– Mówiłem, że Willy Becker byłby żelaznym podejrzanym.

Beewen pokręcił głową, odrzucając tę hipotezę.

– Niemożliwe.

– Dlaczego? Becker to śmieć, a...

– To nie w jego stylu. Nie brudziłyby sobie rąk, zabijając kobietę. Ewentualnie załatwiłyby faceta, ale i to w ostateczności. Poza tym dlaczego miałyby to robić?

– Z zazdrości.

Beewen tylko się uśmiechnął.

– Nie sądzę, żeby Willy i Leni mieli tego typu relacje.

– Może nie chciała już dłużej opłacać się dawnemu alfonsovi.

Kolejny błąd w ocenie popełniony przez Dynamo. Beewen nie zaglądał im pod pierzynę, ale był pewien, że między Leni a Willym nie było stosunku wykorzystujący–wykorzystywany. Byli współnikami. Drobną różnicą.

– Załóżmy, że Willy to zrobił – powiedział. – Ale po co to bestialstwo? I dlaczego miałyby zabić dwie pozostałe?

Hölm usiadł na krześle na wprost biurka Beewena. Tym dla oskarżonych. Chwycił kałamarz i przekładał go z ręki do ręki.

– A może wcale ich nie zabił? Może tylko naśladował styl mordercy, żeby pozbyć się Leni?

– Nikt nie wie o tych morderstwach.

– Gość taki jak Willy wie o wszystkim.

– Dobra – ustąpił Beewen. – Wieczorem pójdę go przesłuchać. Ma klub dla pedałów na Nollendorfplatzu.

– A ja?

– Przyjrzyj się dwóm twarzom Leni. Frau Becker i Frau Lorenz. Ustal jej dawne kontakty i aktualne.

– Zrobi się spora gromadka... I co mam im mówić?

– Liczę na twoje wrodzone zdolności psychologiczne. I ani słowa o morderstwie.

Beewen wstał i skierował się do drzwi.

– Dokąd się wybierasz? – spytał Dynamo.

– Poinformować Hansa Lorenza o śmierci małżonki.

Hölm parsknął śmiechem.

– Czasami się zastanawiam, czy rozumiesz, w jakim świecie żyjemy. Naprawdę myślisz, że Lorenz jeszcze o tym nie wie? Przecież kiedy tylko ustalono jej tożsamość, powiadomiono go. Wszystko dzieje się poza tobą, Franz.

Beewen skinął głową. Wbrew wszystkiemu zachował naiwność wieśniaka. Tak czy inaczej, nawet jeśli nie miał nic do powiedzenia Lorenzowi, z pewnością mógł wiele się od niego dowiedzieć.

Dom Lorenzów usytuowany był w dzielnicy Grunewald. Przeważającą część tego zakątka porastał majestatyczny las, a pośród zieleni było tylko kilka wysepek, nad którymi wznosiły się dachy.

Willa wybudowana na szczycie wzgórza stała nad niewielkim jeziorem. Na pierwszy rzut oka nowoczesna (Beewen uważał za nowoczesne wszystko, co nie było wilhelmiańskie). Oficer SS nie potrafił zrozumieć nadzianych ludzi, którzy woleli takie bunkry od ładnych, bogato zdobionych rezydencji. Z jego punktu widzenia dachówki, ornamenty, rzeźby ocieplały fasadę i wzbudzały poczucie bezpieczeństwa.

Zadzwoił do bramy. Służąca podeszła, by mu otworzyć. Była to młoda, pulchna kobieta w czarnej sukience i białym fartuchu – dokładnie w jego typie, ale teraz nie miał do tego głowy. Poprowadziła go żwirową alejką. Odcienie zieleni lekko się zmieniały: od ciemniejszych po jasne, od zimnych po ciepłe.

Surowy beton, dach płaski jak stół, wielkie okna wyglądające, jakby ich nie wykończono – w jego oczach ta chałupa była doskonałą ilustracją *Entartete Kunst*, sztuki zdegenerowanej.

Wystrój wewnątrz nie miał nic wspólnego z modernizmem bryły. Był czysto germański, aż chciało się wzniesć toast za Wilhelma II. Pokoje nie aż tak duże, pełne bibelotów i błyskotek, a do tego piękne tapety ze srebrnymi i złotymi motywami. Elegancko.

Służąca wprowadziła go do pierwszego pokoju po prawej, zapewne salonu lub jadalni łączącej się ze strefą foteli z czerwonej skóry. Światło docierało tu przez duże podwójne okno. Beewen przeszedł kilka kroków. Zatrzymał go olbrzymi stół z czarnego drewna, który lśnił tak, jakby był mokry.

Po prawej na marmurowym kominku stał pozłacany zegar, którego tykanie brzmiało jak maleńkie dzwoneczki. Wszędzie połyskiwały drobiazgi z saskiej porcelany, szklane figurki, bogato zdobione świeczniki. Uwagę zwracała kolekcja kufli ze znakami sławnych piwiarni.

Gdyby jego matka miała pieniądze, na pewno tak właśnie dekorowałaby dom. Trudno mu było połączyć ten „barwny” styl z bankierem Hansem Lorenzem, człowiekiem niewątpliwie wykształconym i o wyrafinowanym guście.

Zobaczył go u końca stołu, w półcieniu. Można by wziąć go za jeszcze jeden bibelot. Jego twarz, ubiór, postura – wszystko przypominało glinianą figurkę z szopki.

Binokle. Wąsy. Stojący kołnierzyk. Czarna marynarka ze sztywnymi wyłogami. Beewen nie widział jego nóg, ale mógłby się założyć, że nosi getry. Wyobraził go sobie przy biurku, gdy służy poradą i podpisuje dokumenty, udzielając kredytów. Bibuła, księgi rachunkowe, liczby, wieczne pióra – wszystko musiało być na swoim miejscu, tylko że operacje Lorenza były nielegalne.

Beewen się przedstawił, ale pan domu nie zareagował. Sztywny Kołnierzyk siedział nieruchomo, trzymając obie dłonie na stole.

W końcu zabrał głos:

– Wiem, co pana tu sprowadza. Proszę usiąść.

Najwyższy czas. Pozostało mu tylko wydukać konwencjonalną formułkę, której zresztą nie znał. Potem będą mogli przejść do rzeczy.

Beewen wybrał jedno z krzeseł po swojej stronie i ostrożnie usiadł. Miał wrażenie, że między nim a panem domu rozciąga się lodowisko.

Zaczął – co chyba było dość niezręczne – od pytania, czy Leni miała wrogów.

– Raczy pan żartować – odparł bankier. – Leni nie prowadziła życia, które daje okazję do wzbudzania nienawiści.

Beewen odchrząknął.

– A w przeszłości?

Lorenz zaśmiał się drwiąco. Brzmiało to jak gdakanie zachrypniętej kury.

– Nie urwałem się z choinki, wiem, skąd pochodziła Leni. Złe języki powiedzą, że z rynsztoku. Ja odnoszę się do tego z większą życzliwością, więc powiem, że z kryzysu roku dwudziestego trzeciego albo dwudziestego dziewiątego, zawsze mi się to myli, co nie świadczy za dobrze o mnie jako o bankierze.

– Wiedział pan, że była już mężatką?

– Tak, jej mężem był Willy Becker.

– Utrzymywała z nim kontakt?

– Sądzę, że tak. Pozostali przyjaciółmi.

No cóż, a Pan Binokle należał do tolerancyjnych mężów.

– Czy nigdy nie wspominała panu o mężczyźnie, którego się obawiała, a który wywodził się z tamtego środowiska?

– Powiedziałem, że widywała się z Willym, nie mówiłem, że nadal bywała w nocnym świetle.

Wypowiedzi Lorenza były dość krótkie, suche, intonacja sprawiała, że słowa brzmiały jak trzask szuflady kasowej.

Beewen pozwolił sobie dotknąć drażliwego tematu:

– Wychodząc za pana, Leni mogła wzbudzić zazdrość.

– Wyjść za takiego starca jak ja... – Bankier gorzko się zaśmiał. – Nie wiem, czy jest czego zazdrościć.

– Mówiłem o aspekcie... materialnym.

– Zrozumiałem pana. Ale Leni była tak dobra, tak inteligentna, że potrafiła udobruchać zazdrosnych. Jak by to powiedzieć...? Rozbrajała ich...

Beewen zaczynał dostrzegać oznaki rozpaczy pod nieruchomą maską.

Zaatakujmy ostrzej.

– A czy pan ma wrogów?

– Każdy bankier ich ma.

„Ale nazistowski bankier wdeptuje ich w ziemię buciozem Gestapo”, o mało nie skomentował Beewen. Powstrzymał się. To nie był odpowiedni moment.

– Na czym polega pańska działalność?

– Darujmy to sobie. – Lorenz się uśmiechnął. – Z pewnością uzyskał pan już takie informacje.

– Jest pan właścicielem banku, tak?

– Zgadza się.

– I udziela pan pożyczek w ramach programu aryjskiej czystości?

– Zawsze udzielaliśmy pożyczek, na tym polega rola bankierów, ale w obecnej sytuacji gros naszej działalności skupia się na tego typu wykupie spółek i nieruchomości. Owszem.

– Czyli spekuluje pan na konfiskatach i wywłaszczeniach.

– Owszem, można to tak ująć.

– Nie sądzi pan, że tego rodzaju aktywność może przysporzyć panu wrogów? Na przykład ludzie wyrzuceni z domów, zdesperowani, mogą pragnąć zemsty.

Lorenz wzruszył ramionami. Był to pierwszy zauważalny ruch, jaki wykonał od początku ich rozmowy.

– Mówiąc wprost, moimi wrogami mogliby być Żydzi, których dobra odkupiliśmy za kromkę chleba. Jednak powiem szczerze, że nie bardzo potrafię wyobrazić sobie Żyda, który w dzisiejszym Berlinie mógłby zbliżyć się do kogoś takiego jak Leni Lorenz. A tym bardziej wciągnąć ją w pułapkę.

Franz podzielał tę opinię – i znów wracali do tej samej hipotezy: morderca znał ofiarę. Należał do jej środowiska. *Nie był Żydem.*

– Czy pełni pan jakieś funkcje polityczne, Herr Lorenz?

– Mówi pan o funkcjach partyjnych? Nic z tych rzeczy. Podejrzewa pan, że to zamach? Biorąc pod uwagę stan, w jakim była Leni, można moim zdaniem wykluczyć tę hipotezę.

– Widział pan ciało?

– Tak, w Tiergarten.

Hans Lorenz zajmował wyjątkowe miejsce w nazistowskim świecie. Pociągał za sznurki na giełdzie, a ściślej na jednej z giełd. Hölm miał rację – powiadomiono go jako pierwszego. Zdążył nawet zobaczyć zwłoki żony, zanim Beewena wezwano na miejsce zbrodni. W Trzeciej Rzeszy liczyły się tylko wpływy. Mundury były dobre na paradę.

– Uważam zresztą, że w Berlinie zostało niewielu terrorystów. Przyzna pan?

Beewen rozpoznał sygnał zawarty w wypowiedzianych słowach. Takie zdania sugerowały tylko jedną odpowiedź.

– Ciężko pracujemy – powiedział, starając się, by nie zabrzmiało to ironicznie.

– Proszę też pamiętać, że na czele partii stoją setki osób ważniejszych ode mnie. Gdyby ktoś chciał ugodzić Rzeszę, wybrałby inną ofiarę. Albo zaatakowałby bezpośrednio mnie.

Odrzucić niedorzeczną teorię zabójstwa politycznego.

Postanowił wrócić do kwestii fundamentalnych:

– Czy wie pan, co robiła wczoraj małżonka?

– Wydaje mi się, że wybrała się z przyjaciółkami na obiad do Bayernhofu.

Bayernhof to bardzo modna restauracja, w której Beewen nigdy nie był.

– A potem?

– Na pewno poszła do hotelu Adlon. Widzi pan, przypuszczam, że Leni należała do pewnego rodzaju klubu, zgadza się?

Beewen potwierdził skinieniem głowy.

– Morderstwa... – zaczął. – To znaczy morderstwo...

Ależ palnął. Nawet w rozmowie z mężem nie wolno mu wspominać o innych morderstwach.

– Już o tym wiem. – Uśmiech pod wąsami nieco się rozluźnił. – Himmler osobiście wyjaśnił mi sytuację – szepnął.

W gruncie rzeczy nie miało to jednak wpływu na charakter przesłuchania.

– Czy Leni mówiła panu o Marmurowym Człowieku?

– O Marmurowym Człowieku? Ma pan na myśli jakiś posąg?

– Nie wiem. Inna ofiara o nim mówiła.

– Nie, nigdy. Czy to jeden z pańskich tropów?

Beewen zignorował to pytanie. Zresztą i tak już skończył. Nie dowiedział się niczego poza tym, że Pan Sztywny Kołnierzyk kryje żalobę w sercu.

– Czy mógłbym zobaczyć państwa sypialnię? – spytał.

– Ma pan na myśli sypialnię Leni? Mieliśmy oddzielne sypialnie.

Franz starał się nie okazywać zaskoczenia. Nie rozumiał, dlaczego para, która pobrała się zaledwie cztery lata wcześniej, ma oddzielne łóżka, dlaczego mężczyzna, który daje bogactwo, i kobieta, która daje piękno, nie chcą wypełniać kontraktu co noc, dlaczego mężczyzna, który sprawia wrażenie kochającego (i rozumiejącego) żonę, nie chce dzielić z nią pełnej intymności – chwil snu i wypoczynku.

– Widzę, że to pana szokuje – stwierdził Lorenz. – Wszyscy śpią osobno. Przynajmniej mentalnie. Przecież sen to najbardziej osobista sprawa. Dobro niezbywalne. – Zdjął binokle z nosa. Jego oczy wydawały się mniejsze, cała twarz jakby skurczyła się o połowę. Jej wyraz, gdy była obnażona, świadczył o żalu, o rozpacz. – W pewnym wieku – podjął – małżeństwo opiera się na swoistej umowie. Każda ze stron wie, co może oferować jej ta druga, i decyduje, czy taka spółka ma sens. Ja zapewniałem Leni bogactwo, ochronę, wygodne życie. Ona wniosła do mojego domu piękno, młodość, śmiech. Leni była bardzo pogodna, bardzo dowcipna.

Beewen, który najwyraźniej nie obawiał się już grać szczerością, spytał:

– Ale... kochał ją pan?

– Hauptsturmführer, zagalopował się pan. Nazistowskie Niemcy nie mają już nic wspólnego z miłością. Jest pan z Gestapo, tak?

– Owszem.

– Wie pan lepiej niż ktokolwiek, że Niemcy nie są już krajem w takim sensie, jakie zwykle nadaje się temu słowu. To machina wojenna, rozpędzony mechanizm, który będzie pracował bez wytchnienia i nie cofnie się, dopóki sam się nie zatraci. To zresztą dość niezwykle, że umysły tak... jak by to powiedzieć... niespokojne jak Hitler czy Göring zdołały wprowadzić tak skuteczne mechanizmy.

Beewen nie spodziewał się takich słów. Wysyłał ludzi do kacetów za mniej niż to. Ale cóż, Pan Binokle był osobą dziwną – z wierzchu urzędnikiem, w głębi filozofem.

Przy okazji Beewen się domyślił, dlaczego Leni wyszła za tego staruszka. Uosabiał kwadraturę koła: bogaty jak nazista, inteligentny jak więzień polityczny. Naprawdę rzadki okaz.

– Sypialnia Leni jest na pierwszym piętrze, drzwi na prawo od schodów.

Franz ostrożnie podniósł się z krzesła, nie chcąc, by zaskrzypiała skóra jego munduru. Nie było to łatwe.

Zbliżał się do drzwi, kiedy Lorenz go zawołał:

– Hauptsturmführer...

Odwrócił się. Bankier znów miał na nosie binokle, teraz jednak szkła były zamglone.

– Niech go pan znajdzie, proszę. Niech pan dopadnie tego bydlaka i przynajmniej raz z czystym sumieniem przećwicz na nim wasze osławione metody.

Wchodząc do pokoju Leni, Beewen stracił wszelkie wątpliwości – to ona ozdobiła resztę domu. Szklane figurki, kufle do piwa, serwetki... Stary bankier przed laty wybudował ten dom zaprojektowany zapewne przez znanego architekta, mając głowę pełną nowoczesnych idei, potem jednak uległ czarującej Leni i pozwolił jej zmasakrować marzenie estety tanimi bibelotami i wystawkami żywcem przeniesionymi ze sklepiku z pamiątkami.

Pokój wyglądał jak bombonierka pełna różowych cukierków. Ta mała degeneratka, która znała życie od każdej strony, mimo wszystko pozostała naiwną sklepową o sercu jak poduszka z różowego aksamitu.

Kryształowy żyrandol, łóżko z baldachimem, ozdobne zasłony, tapeta w ciemnoróżowe prążki, lampy z abażurami w odcieniu fuksji – wszystko jak z bajki dla sekretarek. A jakby tego było mało, ciężka woń wiciokrzewu sprawiała, że trudno było oddychać.

Na widok sypialni w szokująco złym guście Franza Beewena ogarnęło silne wzburzenie. Choć tego nie chciał, gniazdko miłości łączyło się w jego głowie z widokiem z Tiergarten – kobiety oblepionej skrzepłą krwią, z brzuchem jak otwarta torba.

Gestapowca ogarnęło skrępowanie, wręcz zawstydzenie na myśl o przeszukaniu tego kokonu. Mimo to wsunął dłonie w skórzane rękawiczki.

Najpierw tylko się rozejrzył. Na ścianach Leni rozwiesiła afisze ze spektakli – wspomnienia z kabaretów, w których grywała drobne role. Fotosy stały także na komodzie. Leni w letniej sukience. Leni w słomkowym kapeluszu płynąca łodzią. Leni w stroju narciarskim roześmiana od ucha do ucha. Prawdopodobnie zrobiono je w Garmisch-Partenkirchen albo w Schwarzwaldzie.

Sprawiała wrażenie osoby, która lubi siebie, a Franz musiał przyznać, że miała do tego podstawy. Trudno byłoby wskazać silny punkt jej urody, przyjmijmy jednak, że jej spojrzenie, linia brwi, blask bijący z oczu okolonych rzęsami znajdowały się na samym początku listy. Reszta była oczywista: kształtny nos, piękne usta. Rozpoznał brudną twarz z Tiergarten – nawet martwa, Leni wciąż była piękna.

Wysunął szuflady komody. Wypchane jedwabną bielizną, zwiewnymi koronkami, kryły drobiazgi, o których nie wiedział nawet, gdzie mają górę, a gdzie dół, czy są po prawej, czy po lewej stronie. Mimo to wsunął rękę między fatałaszki – miał wrażenie,

że zanurza ją w stawie pełnym różowych, srebrzących się karpia, jeszcze żywych i nieuchwytnych.

Niczego nie znalazł.

Podobnie jak w szafie. Przetrzęsnał każdy jej zakamarek, podniósł każdą rzecz, nie pominął żadnego rogu. Nic. Wszedł do łazienki. Marmury na ścianach, porcelanowe umywalki i wanna, mozaika na podłodze. Całość w duchu znanego stylu art déco czy też art nouveau – nie potrafił ich odróżnić.

Interesowało go zresztą zupełnie co innego: chciał otworzyć kufarki, ostukać posadzkę, wsunąć rękę za piec. Był raczej hydraulikiem niż architektem, robotnikiem, a nie dekoratorem. Wciąż nic.

Wrócił do sypialni i patrzył na swoje odbicie w lustrze toaletki. Był cały czerwony, pot spływał mu po skroniach. Nie zdjął marynarki i konał z gorąca w tym wyperfumowanym pokoju. Prostack w buduarze...

Dopiero wtedy zauważył mały kominek przy oknie, częściowo ukryty za zasłoną. Podszedł: palenisko było zamknięte metalową płytą jak zwykle latem. Ukląkł, żeby je odsunąć.

Obyło się bez problemów – kominek był dobrze utrzymany. Woń sadzy podrażniła mu nozdrza. Pod kratką paleniska, w popielniku, coś błyszczało i odcinało się kolorami od szarości. W pierwszej chwili pomyślał, że Leni paliła coś w pośpiechu i że ogień nie strawił wszystkiego.

Pomylił się. Ujrzał pudełko po czekoladkach firmy Erich Hamann, słynnej cukierni z Kurfürstenstraße. Ostrożnie wy dobył metalową puszkę, zdmuchnął popiół i z jeszcze większą ostrożnością uniósł wieczko.

Znalazł listy i fotografie.

Fotografie ukazujące Leni w nader skromnym przyodziewku – w stroju galowym, czyli z piórami we włosach i w pończochach sięgających do połowy uda albo całkiem nagą, taką białą, podaną na łożu księżniczki.

Stwierdził, że figura kobiety pasuje do twarzy – była idealna, skandaliczna, istny policzek dla wspólnoty śmiertelników.

Przejrzał listy – o dziwo, wcale nie miłosne. Pod wszystkimi podpisał się Willy Becker, a ich ton wskazywał na dobrą, szczerą przyjaźń.

Leni striptizerka i Willy męska dziwka nigdy nie byli parą, jaką tworzą mąż i żona. Z każdej linijki listów wyzierało natomiast doskonałe porozumienie łączące tych dwoje. Były tam też liczby wypisane w kolumnach, aptekarskie obliczenia. Przeczyta to później, kiedy trochę odpocznie, bo teraz nie zdołałby się zorientować, kto był czym dłużnikiem i w jakim kierunku przepływały pieniądze.

Schował listy do kieszeni, a po chwili wahania zabrał także zdjęcia. Zanim zniknęły w jego kieszeni, przejrzał je jeszcze raz. Jego uwagę przykuło jedno, które za pierwszym razem mu umknęło.

No, no...

Leni była w stroju Ewy, ale tym razem miała towarzystwo. Kochanek, także nagi, leżał przy niej (użyli samowyzwalacza). Na nosie miał binokle, a roześmiana Leni – jego melonik na głowie.

Beewen od razu rozpoznał Simona Krausa oraz miejsce, gdzie zrobiono zdjęcie: różową sypialnię, w której się znajdował.

Ta dwójka łajdaków pieprzyła się więc po południu w domu Lorenza, kiedy bankier, naiwny jak wszyscy rogowce, tyrał w swoim gabinecie, żeby zapewnić madame pieniądze.

Gorzka fala nienawiści zalała mu gardło. Coraz bardziej nie znosił tego gnoma, który bawił się w podrywacza. Degenerat najgorszego sortu, niczego nie szanował. Może był błyskotliwy (tak twierdziła Minna), ale zepsuty, zdeprawowany, bez odrobiny przyzwoitości.

Równocześnie Beewen czuł wielką satysfakcję – mały szubrawiec zaczynał pasować do obrazu.

– Z tobą, łajdaku, jeszcze sobie pogadam – powiedział.

Sekcja to chwila nagiej prawdy. Żadnych ubrań, żadnej krwi, żadnych zwiędłych liści, żeby ukryć potworne okaleczenia i zastygłe, ziejące jamy. To kontrast, biel, czern. Zimna brutalność rzeźni.

W tej sali Leni Lorenz nie miała już w sobie nic ludzkiego. Nie pozostała jej ani szczypta intymności czy tajemniczości. Teraz była organiczną bryłą, jakby wycięto ją w kopalni zamrożonego ciała. Forma ostra i precyzyjna. Mineralna.

Franz nie znał się na sekcjach. Na ogół odwiedzał kostnicę szpitala Charité, żeby ukryć morderstwo popełnione przez jednego ze swoich ludzi. Nie rozumiał tego lekarskiego żargonu, a poza tym wcale go to nie interesowało.

Nie widział dotąd nawet tego owalnego amfiteatru, którego część zajmowały krzesła ustawione pnącymi się w górę rzędami. Na wprost przeszklona ściana wychodziła na szpitalne ogrody, a raczej na gęste zarośla i zwarty mur drzew, które przesłaniały cały horyzont. Prawdopodobnie była to sala, w której prowadzono zajęcia dla studentów. Co robiło tutaj ciało Leni? Czyżby jej zwłoki miały posłużyć do specjalnych zajęć? Niemożliwe. To ciało objęto tajemnicą państwową. Zwłoki Leni za autorytarnych rządów Trzeciej Rzeszy po prostu nie istniały.

Pierwsza rana, która rzuciła mu się w oczy, biegła po szyi, ciągnąc się od ucha do ucha. Została umyta, oczyszczona i tworzyła teraz dziwną pogrubioną linię, była jak uśmiech stracha na wróble, którego robił ojciec, kiedy Franz był dzieckiem.

Druga rana znajdowała się niżej: szeroka na co najmniej trzydzieści centymetrów, ciągnęła się od biodra do biodra. Luźno opadająca skóra brzucha pozwalała się domyślać, że pod spodem niewiele zostało.

I wreszcie dwadzieścia ran na klatce piersiowej i ramionach. Beewen nie zauważył ich pod sukienką, ponieważ zadano je już po śmierci, dlatego nie krwawiły. Teraz przypominały wielkie czarne pijawki. Od szyi po brzuch ciało Leni było cętkowane jak futro rysia.

Tego było dla Beewena za wiele, a przecież znał się na morderstwach, torturach, okaleczeniach. Jednak on był ulicznym zabójcą, przydatnym społecznie łotrem. I zawsze potrafił w głębi ducha usprawiedliwić swoją brutalność.

– Niesamowite, co?

Walther Koenig, który w białym kitlu wyglądał niechlujnie, był najwyraźniej zadowolony z nieboszczki leżącej na jego stole, jak rzeźbiarz bywa zadowolony

z nowego dzieła. Koenig kierował Instytutem Medycyny Sądowej w szpitalu Charité. Tak przynajmniej stało na jego wizytówce, wypisane czarnymi wypukłymi literami.

W rzeczywistości wykonywał inny zawód.

Nawet zmarły człowiek ma jeszcze sporo do powiedzenia. Walther Koenig był tu, żeby uciszać umarlaków. Zatrudniony praktycznie w pełnym wymiarze godzin w Gestapo, miał za zadanie pisać raporty pod dyktando tajnej policji.

Za kilkaset marek lekarz zapominał o przysiędze Hipokratesa i przerabiał człowieka w szlafroku, z dwiema kulkami w głowie, w winnego „zastrzelonego podczas próby ucieczki”, a torturowanego z jeszcze widocznymi śladami przypalania żelazkiem w „topielca” – ofiarę wypadku.

W szpitalu Charité prawdziwym oddziałem ratunkowym było okienko, w którym wydawano zezwolenia na pochówek. Szybko podpisywano raport, a potem jeszcze szybciej zamykano trumnę albo – najchętniej – przeprowadzano kremację zwłok.

Naczelny kamuflant, Walther Koenig, był uprzejmy i sympatyczny. Zawsze potrafił powiedzieć coś zabawnego, zawsze pytał o zdrowie, o rodzinę – zupełnie jakby to nie on wykonywał ponurą robotę makijażysty z urzędu przydzielonego niektórym zmarłym.

Zaczął swój wywód, jakby wygłaszał wykład. Miał małą, kurzą główkę na długiej, wygiętej szyi.

– Przyczyną śmierci była rana szyi. Morderca zaatakował ofiarę od tyłu, chwycił ją za włosy, a musiał być od niej wyższy, i odchylił jej głowę. Wtedy wykonał cięcie na wysokości krtani i tchawicy, jakby zarzynał zwierzę. – Koenig podszedł do zwłok. – Co się tyczy miednicy, to najpierw wyciął duży płat skóry, a potem wsunął ręce do jamy... – Dwoma palcami dłoni w rękawiczce uniósł skórę na brzuchu. Beewen odwrócił oczy, zdążył jednak zauważyć zasinione mięśnie, poczerńiałe tkanki, blade kości. Nawet nowicjusz by się zorientował, że morderca „opróżnił” jamę brzuszną. Bardzo dosłownie. – Pobrał wszystkie narządy płciowe, a poza tym wątrobę, część jelit i żołądka...

– To fachowiec? Chciałem powiedzieć, lekarz?

– Albo rzeźnik. Albo myśliwy. Zna anatomię ssaków. Te cięcia...

– Dlaczego to robi?

To pytanie wymknęło się Beewenowi.

– Nie mam pojęcia. – Koenig wskazał zakrwawionym palcem Beewena. – To już twoja działka. Przecież psychologia to po trosze specjalność Gestapo.

Beewen zignorował tę sarkastyczną uwagę.

– Co możesz mi powiedzieć o narzędziu zbrodni?

Lekarz przez chwilę przechadzał się obok zwłok niczym wartownik.

– Cienkie ostrze. Dwadzieścia dwa centymetry długości, trzy i pół szerokości. Sprawca jest praworęczny.

– Zawsze używa tego samego narzędzia?

– Nie mam co do tego wątpliwości.

– A potrafiłbyś określić, jaki to typ noża?

– Mogę znacznie więcej. Pozwolisz?

Sięgnął nad zwłokami do pasa Beewena i chwycił rękojeść jego kordzika na łańcuszku, nim esesman zdążył go powstrzymać.

I natychmiast budzącym odrazę gestem zanurzył klingę w jednej z ran klatki piersiowej. Ostrze weszło tak gładko, że Beewen wyobraził sobie murenę wracającą do rozpadliny w skałach.

– Co tam...?

Koenig wyciągnął i podał kordzik Beewenowi trzonkiem do przodu. Nazista od razu podszedł do zlewu, żeby opłukać ostrze. Pot wystąpił mu na czoło. Był przerażony. Po chwili przemył twarz zimną wodą.

– Twój sztylet idealnie odpowiada głębokości i kształtowi rany – podjął Koenig, kiedy Beewen stanął obok niego. – Jest jeszcze coś bardziej jednoznacznego. Popatrz tu. – Pochylony lekarz przywołał go skinieniem ręki. – Zauważ, że po obu stronach każdej rany są po dwa małe poziome ślady prostopadłe do rany.

Każdy, kto zobaczył sztylet SS z bliska, wiedział, że na jelcu znajdują się dwie bruzdy. Beewen nigdy zresztą nie miał pojęcia, do czego mogą służyć.

Zapominając o odrazie, w końcu się pochylił. Nie mógł zaprzeczyć – każda rana Leni nosiła te ślady: dwa po lewej i dwa po prawej stronie.

Kordzik SS jako narzędzie zbrodni to nie błahostka. Beewen dobrze pamiętał rytuał inicjacji, podczas którego wręczono mu sztylet. Musiał złożyć przysięgę przy blasku pochodni: „Adolfie Hitlerze, ślubuję ci, jako Führerowi i kanclerzowi Rzeszy Niemieckiej, wierność i odwagę. Uroczycie przysięgam tobie i wyznaczonym przez ciebie przełożonym wierność do śmierci. Tak mi dopomóż Bóg”.

– Podczas sekcji pierwszej ofiary – ciągnął Koenig – nie byłem jeszcze pewny. I szczerze mówiąc, nie chciałem mieć racji. Ale kiedy trafiła tu Margarete Pohl, przeprowadziłem test praktyczny. Nie miałem już wątpliwości. Szerokość ostrza, jego długość, te cztery ślady wokół rany... wszystko wskazuje, że morderca tych kobiet używa kordzika SS.

Trudno byłoby sobie wyobrazić, że ktoś ukradł sztylet oficerowi SS albo że któryś z oficerów zgubił tę broń. Bo to nie była zwyczajna broń, to był... przedmiot liturgiczny. „To jest ciało moje, to jest krew moja”.

– Mówiłem już o tym Wienerowi.

- Po pierwszym morderstwie?
- Nie, po sekcji Margarete Pohl.
- Niczego takiego nie znalazłem w twoim raporcie.

Koenig wybuchnął śmiechem.

– Nie rźnij durnia, Beewen, takich informacji nie puszcza się w obieg, zwłaszcza na papierze. Radziłem zresztą Wienerowi, żeby był ostrożny. Moim zdaniem nie słuchał moich rad, bo zniknął z dnia na dzień.

– Zrobiłeś zdjęcia ran?

– Jeszcze nie.

– Natychmiast je zrób i trzymaj w zapieczętowanej kopercie. Kiedy już będziesz je miał, skontaktuj się z Dynamem.

Chociaż w sali panował chłód, Beewen pocił się w mundurze. Morderca z SS. *Do kurwy nędzy!* Za coś takiego mógł albo awansować, albo skończyć w anonimowym grobie. Wszystko zależało od sposobu wykorzystania informacji.

– Czekam na raport, napisz go możliwie najszybciej. I nikomu ani słowa.

– Masz na myśli kordzik?

– Mam na myśli wszystko. Nikt nie powinien wiedzieć, że Leni Lorenz została zamordowana.

– W przypadku tamtych dwóch też nakazano mi milczenie.

Beewen zdjął rękawiczkę, sięgnął do kieszeni i wyciągnął plik marek. Wsunął je do kieszeni fartucha lekarza.

– W takim razie po prostu nadal trzymaj język za zębami, a jeszcze trochę pożyczysz.

Szedł przez szpitalny park, głęboko oddychając powietrzem, w którym unosiły się zapachy lipy i kasztanowców.

Morderca z SS.

Nie mógł wymazać tych słów z głowy. Przestroga, której udzielił Koenigowi, odnosiła się także do niego. Musiał ukrywać tę informację, dopóki nie uzyska pewności, że ma niepodważalne dowody.

Wybrał jedną z ławek i usiadł, rozejrzawszy się wokół. W ogrodzie nie było żywego ducha. Jeszcze raz wciągnął silną woń i popatrzył na budynki szpitala. Ceglane, czerwone, z wieżyczkami i uskokami, przypominały fortecę w stylu flamandzkim. Pamiętał, że wzniesiono je w XVIII wieku, aby chronić się przed dżumą.

Przypomniało mu się zdanie wypowiedziane przez Perninkena: „Kiedy będzie pan już miał pewność co do tożsamości winnego, rozkazuję panu przedłożyć mi jak najdokładniejszy raport... Mówię o raporcie przed aresztowaniem”.

Obergruppenführer już wiedział, że morderca jest esesmanem. To on zataił wnioski Koeniga z sekcji Margarete Pohl. I on wyeliminował Maxa Wienera. Nie wiedział, kto dokładnie jest mordercą, ale od tej chwili ta informacja stała się tabu. Dlatego powierzono sprawę Gestapo – ze względu na dyskrecję, którą potrafiło zachować. A także dlatego, że pośmiertnie wszystko dla się zaaranżować tak, żeby było strawne.

Ten, kto odkryje tożsamość mordercy, nie powinien się łudzić – dostanie kulkę w łeb. Czarny Zakon nie znał innej metody utrzymania tajemnicy.

Ale Beewen wykaże się sprytem. Po pierwsze, dobrze zna ten system. Po drugie, od ponad piętnastu lat uczestniczy w knowaniach SA i SS. Potrafi zmanipulować ten wysoce toksyczny materiał.

Podsumujmy...

Morderca, niewątpliwie wysokiej rangi, wybierał kobiety podczas kolacji, premier teatralnych, może spotkań w Adlonie. I zabijał je jedną po drugiej. Czuł się bezpieczny dzięki swojej pozycji i dystynkcjom, które zresztą pomagały mu zaskarbić zaufanie ofiar i wciągnąć je w pułapkę.

Zbyt wcześnie na domysły co do jego motywów, poza tym Beewen nie miał dość wyobraźni, by się na to silić, ale teraz zyskał konkretny dowód – narzędzie zbrodni, a przynajmniej jego model.

Dzięki temu zdoła dotrzeć do właściciela.

W gruncie rzeczy ta informacja nie była problemem, ale rozwiązaniem. Kiedy patrzył, jak ostrze zanurza się w czarnej ranie, od razu zrozumiał, że ten obraz to podsumowanie jego własnej sytuacji – dowód, który idealnie mu pasował, wina, która posłuży spełnieniu jego planów.

Po pierwsze, ustalić sprawcę i zachować to w sekrecie dla siebie. Żadnego aresztowania, żadnych raportów. Nic. Potem bardzo ostrożnie szepnie Perninkenowi do ucha nazwisko winnego i dodatkowo podsunie strategię załatwienia sprawy z zachowaniem najwyższej dyskrecji.

Nikt nie chciał oskarżenia esesmana o zabójstwo. Nikomu nie zależało na zbrukaniu honoru oficera. Wszyscy esesmani, wszyscy bez wyjątku, byli mordercami, ale obowiązywały pewne zasady. Podrzynanie gardła kobietom w parku, w dodatku żonom wpływowych nazistów... Doprawdy, to było niewyobrażalne.

Co pozostawało? Dyskretna eliminacja. Beewen mógł wziąć to na siebie, już wiedział, w jaki sposób. Zaproponuje Perninkenowi, że osobiście zajmie się winnym, że mówiąc wprost, sam zamknie tę sprawę.

Zamknął oczy i się przeciągnął. Może w końcu uda mu się uwolnić od tego śledztwa i od problemów.

Siedząc na taczce, Minna von Hassel patrzyła na świat jak przez różowe okulary. Suche ziemie wokół szpitala Brangbo zaróżowiły się w świetle zachodzącego słońca (przetoczyła ten swój prowizoryczny fotel za bramę), a w jej głowie zrobiło się kolorowo od koniaku, który sączyła już od dobrej godziny.

Było dość chłodno, więc Minna otuliła się pledem w szkocką kratę. Magiczna godzina. Pora rozejmu. Pacjenci zjedli kolację, zaraz pójdą spać. Szaleństwo trochę przycichło. A poza tym ten dzień nie był aż tak straszny.

A przynajmniej nie gorszy od innych.

Nagadała się, uspokajając zdeorientowane rodziny, które odwiedzały pacjentów – nadciągała wojna, zaczną spadać bomby, co począć z chorymi? Hans Neumann wracał tymczasem do siebie po ukąszeniach i tkwił w swojej celi. W Wężowej Fosie panował względny spokój. Ojciec Beewena uparł się za to, by z nią pomówić, bo musiał jeszcze raz opowiedzieć jej swoją historyjkę o gazie w rurach. Rutyna...

Poza tym była zadowolona, ponieważ dostarczono świeży zapas morfiny i środków nasennych. Istny cud. I jeszcze dlatego, że kilku okolicznych chłopów zdecydowało się przyjechać do niej z plonami na sprzedaż. Może w końcu uda jej się prowadzić Brangbo jak normalny instytut.

Teraz siedziała tutaj, było jej dobrze, czuła zapach ziemi i skoszonej trawy, patrzyła na świeżo obsiane pole – czarną płaszczyznę upstrzoną źdźbłami słomy. Oczywiście przez okienka w murze, przez kraty bramy obserwowało ją kilku chorych. Rzucali pod jej adresem obsceniczne uwagi albo coś bełkotali, ale przywykła do tego – byli częścią jej codzienności. Byli jej pacjentami, jej dziećmi. Jej punktem zahaczenia.

I nagle pewien szczegół zburzył doskonałość chwili: na horyzoncie dostrzegła przesuwający się tuman kurzu. Nadjeżdżał wóz, a może nadciągała banda żądnych krwi Czejenów. Dobrze się złożyło – Minna miała na sobie kowbojską kurtkę.

Obłok się konkretyzował. Minna wstała z taczki i ukryła butelkę koniaku pod pledem. Osłaniając oczy przed słońcem, obserwowała tę scenę, czekając, aż to, co kryło się w kurzu, stanie się widoczne.

Ze zdumieniem stwierdziła, że to BMW R12, używany przez wojsko model motocykla, już nie najnowszy. W pierwszej chwili wpadła w panikę, przekonana, że będzie mieć SS na karku. Jednak po chwili zauważyła, że ani kierujący, ani pasażer nie mają wojskowych hełmów. Wkrótce znaleźli się w odległości kilkudziesięciu metrów od niej, a warkot silnika i smuga dymu stały się nieznośne.

Pierwszy wyłączył silnik, drugi z trudem wydostał się z kosza. Był krępy i niski – miał niewiele ponad metr sześćdziesiąt pięć. Zdjął skórzaną pilotkę i okulary motocyklisty. Podobnie jak ten, który prowadził, był ubrany w długi czarny płaszcz, co nie wróżyło niczego dobrego – takie stroje upodobali sobie gestapowcy.

W opadającym pyłe mężczyzna zdjął płaszcz i poskładał, aby zostawić go w koszu pasażera. Nosił mundurową marynarkę rozpiętą na wydatnym brzuchu, spodnie do jazdy konnej i wysokie buty, które pobieleły od kurzu. Ostrożnie wsunął na nos małe okulary, a potem ruszył w stronę Minny.

Szedł jak buhaj – na krzywych nogach, szeroki w barach, z głową spuszczoną jak pod jarzmem. Około pięćdziesiątki, z brzuchem jak kapusta, którą musiał się obżerać, był rudy i pozował na jowialnego i nieprzekupnego.

W okrągłych okularach przypominających dwie szklane kulki miał wszelkie cechy postaci z książki dla dzieci. Marchewkowa cera, wesoła mina, a na środku nalanej twarzy obramowanej szerokimi faworytami garbaty nos zakończony zupełnie niepasującą do całości ciemniejszą, prawie fioletową kulką.

Pomachał jej, jakby doskonale się znali, i uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Fraülein von Hassel!

Zrobiła kilka niepewnych kroków – tym razem naprawdę przesadziła z koniakiem.

– To ja.

Zdecydował się na długi uścisk dłoni – gest zaskakujący u wojskowego, nawet rozchełstanego. W tych czasach witano się raczej, prężąc rękę tak, że groziło to zwichnięciem stawu.

– Pozwoli pani, że się przedstawię: profesor Ernst Mengerhäusen.

– W czym mogę pomóc?

Czuła, że jej dłoń bezwładnie spoczywa w łapie tego zwierza. Teraz dzieliło ich ledwie kilka centymetrów. Za szklami jego ruchliwe czarne oczka wyglądały jak pestki arbuza.

– Kieruję Komisją Higieny i Etyki Szpitali Rzeszy.

– Nie słyszałam o takiej komisji.

Mężczyzna cofnął się o krok i jak przed minutą Minna, osłonił oczy daszkiem z ręki, być może chcąc dokładniej przyjrzeć się rumowisku, które z uporem nazywała „instytutem”.

– Naszym zadaniem jest kontrola warunków sanitarnych w szpitalach Brandenburgii.

– Jest pan... psychiatrą?

– Skądże. – Parsknął śmiechem. – Ginekologiem położnikiem!

– Nie widzę zatem związku...

– To proste. Zaczęliśmy od oddziałów położniczych w szpitalach publicznych i od prywatnych porodówek. Teraz władze Rzeszy powierzyły nam inspekcję innych placówek.

Minna zdążyła już całkowicie wytrzeźwieć. Zawsze obawiała się tego typu wizyty. Zdawała sobie sprawę, że nie zostawią jej zdanej na siebie w tej dziurze. Zamkną Brangbo.

Mimowolnie zerknęła na motocyklistę, który palił papierosa oparty o maszynę. Prawdziwy osiłek, typ ochroniarza, ale z twarzą inteligenta w okularach i starannie uczesany. Ci dwaj goście byli dziwni.

– Czy... zechce pan wejść?

– Dziękuję, ale nie. Raporty, które do nas trafiły, są wymowne.

– Jakie raporty?

– Głównie od krewnych tych chorych psychicznie.

Minna ugryzła się w język, żeby nie zakląć: wypruwała sobie żyły, by zapewnić znośną egzystencję pacjentom, dzień w dzień przyjmowała zapłakanych krewnych, a teraz w podzięce została zadenuncjowana jak pospolita przemytniczka papierosów.

Mengerhäusen wciąż się uśmiechał. Jego gęste włosy i imponujące faworyty okalały twarz niczym piana rdzawe piwo.

– Nie powinna pani czuć się rozżalona – rzucił dobrotliwym tonem. – Rodziny zawsze są niewdzięczne. I zawsze widzą szklankę do połowy pustą.

W jej przypadku szklanka dawno się potłukła, a ten człowiek zaraz ją poinformuje, że ma tylko kilka dni, aby pozmiatać szkło.

– Przywiozłem pani zdjęcia – dodał, biorąc do ręki zakurzoną teczkę, którą trzymał pod pachą.

Zaczął od jej otrzeptania, potem zdmuchnął resztki pyłu. W miarę jak ukazywał się wielbłądzi kolor teczki, narastało zdziwienie Minny jej podobieństwem do włosów profesora. *Skórzany człowieczek.*

Wsunął rękę do teczki i wyjął plik zdjęć. Ukazywały duży budynek inspirowany stylem barokowym i wznoszący się wśród zieleni.

– Zamek Grafeneck! – oznajmił. – To w pobliżu Gomadingen w Górnej Szwabii.

– Co z tego? – spytała chłodno.

– Minno, jestem posłańcem opatrzości. Pozwoli pani, że będę się do niej tak zwracał. Pierwotnie zamek służył kalekim, ale przeprowadziliśmy gruntowny remont, by mogli tam trafić inni pacjenci.

– Jakiego rodzaju pacjenci?

Mengerhäusen wskazał brodą odrapany mur, którego okienka wyglądały jak ozdobione naturalnymi gargulcami – to obłąkani wyciągali szyje przez kraty, usiłując

zobaczyć, co się dzieje.

– Umysłowo chorzy!

Minna milczała. Kręciło jej się w głowie. Czuła, jak strach rozchodzi się po całym jej ciele i stopniowo nasącza każdą komórkę. Ten człowieczek był posłańcem śmierci.

– A zresztą chętnie skorzystam z pani zaproszenia.

– Zapraszałam pana?

– Wejdźmy do środka.

Prawie wyrwał jej z rąk zdjęcia i ruszył w stronę bramy. Minna podążyła za nim. Miała nadzieję, że większość pacjentów jest już w łózkach i że ogród warzywny nie przypomina, jak to zwykle bywało, Dziedzińca Cudów. Niestety wciąż było tu sporo chorych. Błądzili wśród źle przyciętych krzewów i zdziczałych roślin.

Mengerhäusen zachowywał się, jakby ich nie widział. Jego uwagę zwrócił stół ogrodowy z metalu pomalowanego na biało, wciśnięty koślawymi nogami w miękką ziemię. Przysunął metalowe krzesło i usiadł. Minna zrobiła to samo.

– Może napije się pan kawy albo czegoś innego? – zapytała niepewnym głosem.

– Dziękuję, niczego mi nie trzeba.

Zdążył już rozłożyć fotografie na stole. Minna kątem oka zobaczyła dwóch pacjentów, którzy rozebrani do połowy szli, gapiąc się w górę.

– Czekamy na nowe szlafroki – rzuciła na wszelki wypadek.

Jednak to wszystko wcale nie obchodziło Mengerhäusena. Niepodważalnym faktem było, że Instytut Brangbo to kloaka zdatna najwyżej na oborę dla bydła. Ta ponura farsa była już przeszłością. On przyjechał rozmawiać o przyszłości.

– Przywiozłem pani listę – oznajmił, wyjmując z teczki dwie spięte kartki.

Ujęła dokument dwoma palcami i zerknęła na niego. Już na pierwszy rzut oka rozpoznała nazwiska.

– Wkrótce zorganizujemy pierwszy transfer. Przyjedziemy po tych pacjentów za kilka dni. Zapewnimy im dostosowane do tego autobusy.

– Przewieziecie ich do... – wskazała fotografie leżące na stole – ...do tego zamku?

– Oczywiście. Minno, żyjemy w wyjątkowych czasach, to dla nikogo nie jest tajemnicą. W razie wypowiedzenia wojny trzeba będzie chronić chorych. To nasz lekarski obowiązek. Przecież nie zapomniała pani o przysiędze Hipokratesa!

Ta scena była groteskowa. W nazistowskiej wersji groteski, gdzie każde słowo stawało się swoim przeciwieństwem, gdzie każda mina, każdy gest byłyby komiczne, gdyby nie to, że motyw przewodni spektaklu był zawsze ten sam: śmierć.

– W Grafeneck będzie im dużo lepiej. Proszę spojrzeć. Wygodne pokoje. Czyściutkie łazienki. Uśmiechnięte pielęgniarki. No i przede wszystkim zdrowe, smaczne jedzenie!

– Zabijecie ich?

To pytanie jej się wymknęło. Przypominała sobie teraz najstraszliwsze pogłoski. Naziści nienawidzili obłąkanych. Uważali, że w tej kwestii rozwiązanie jest tylko jedno – definitywne.

Mengerhäusen spojrział na nią z głębokim zdumieniem, a jego wyuczona mina sprowadziła się do uniesienia brwi, które utworzyły dwa mostki, oraz do ułożenia ust w „o”. A potem parsknął śmiechem, potrząsał głową, jakby próbował powiedzieć: „Świetny kawał”.

Pomacał kieszenie kamizelki i wyjął długą fajkę z pozótkłej kości słoniowej oraz sakiewkę z tytoniem, a potem cierpliwie, z dużą delikatnością, zaczął nabijanie.

– Pali pani?

– Czasami.

– Myli się pani. – Zapalił fajkę i zaczął wypuszczać ciężkie kłęby dymu. Po chwili dodał niespokojnym głosem: – Co też pani opowiada, Fräulein von Hassel. Niewiarygodne, że takie myśli chodzą po pani ślicznej główce!

Pierwsze kłęby dymu podkreśliły jego marchewkową cerę. Przez sekundę patrzył na fajkę, którą trzymał palcami niemowlaka.

– Prawda, że ładna? – Zwrócił czarne źrenice na Minnę. – Sam ją wyrzeźbiłem z kości udowej francuskiego żołnierza. Kiedy człowiek siedzi w okopach, musi jakoś zabijać czas między dwoma szturmami.

Minna oniemiała. Co miała odpowiedzieć temu człowiekowi, który działał jak porażająca trucizna? Z każdą sekundą jego toksyczny efekt się nasilał.

Znów parsknął śmiechem i z rozbawienia klepał się po udach.

– To oczywiście był żart. – Potem spoważniał i podjął zniżonym głosem: – Muszę jednak przyznać, że pani refleksja jest ciekawa. Piękna jest ta idea, wedle której każde życie ma taką samą wartość. Piękna, ale fałszywa. Cóż na przykład warte jest życie bez celu, bez możliwości spełnienia się? Albo co gorsza, życie w cierpieniu, bez cienia nadziei na poprawę? Takie życie jest nic niewarte, Minno. A w dodatku ono kosztuje. Kosztuje innych, tych, którzy pracują, którzy zakładają rodzinę. Czy nie ma swego rodzaju obowiązku skrócenia takiej nieprzydatności, takiego bólu?

Zabijają ich. Te wszystkie pogłoski są prawdą...

– To Bóg decyduje o ludzkiej śmierci – odparła. – Naszym zadaniem jest chronić życie, podtrzymywać je, polepszać. Sam pan przywołał przed chwilą przysięgę Hipokratesa. To nasz święty obowiązek zgodny z ewangelicznym przesłaniem miłości.

– Pani chrześcijańska postawa jest godna podziwu, Minno. Nie spodziewałem się zresztą niczego innego po kobiecie z rodu von Hassel. Ale złapię panią za słowo. Czyż w Ewangelii Świętego Mateusza nie czytamy: „Błogosławieni ubodzy w duchu,

albowiem do nich należy Królestwo Niebieskie. Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem oni będą pocieszeni”? Czyż naszym obowiązkiem nie jest raczej skrócenie tych cierpień na ziemi, przyspieszenie wyzwolenia nieszczęśników? Czekają ich wieczna szczęśliwość...

Minna czuła się ociężała, otępiona. Czasami tak bywa, kiedy pije się alkohol do obiadu. Teraz zmagła się z drugą falą – nie była już pijana, ale jej ciało i umysł popadały w rozleniwienie. Po prostu chciała zasnąć, tu, teraz, choćby nawet pod stołem.

– Proszę przejrzeć tę dokumentację – powiedział Mengerhäusen, jakby czuł, że traci uwagę rozmówczyni. – Niech pani popatrzy na zdjęcia, przeczyta broszurę. – Powiódł wzrokiem po marnej namiastce ogrodu wokół nich. – Uważam, że pani pacjenci poczują się tam lepiej niż tu.

Idealnie zgrany w czasie motocykl za murem zawarczał. Mengerhäusen wstał i zapiął teczkę. Nawet nie zapytał o liczbę pacjentów ani o choroby leczone w tej placówce. Nie przejawiał zainteresowania metodami stosowanymi przez Minnę ani ich rezultatami.

Przyjechał, żeby ją poinformować. To wszystko.

– Dam pani znać – zapewnił. – Jesteśmy w trakcie przygotowywania autokarów. Wszystko potoczy się tak, jak potrafimy wszystko zorganizować: perfekcyjnie!

Patrzyła, jak odchodzi przygarbiony, na krzywych nogach, machając ręką, jakby żegnał się z dzieckiem na peronie dworcowym.

Widziała jeszcze przez kraty bramy, jak znika w tumanach kurzu – on, motocykl i ten tajemniczy motocyklista, a razem z nimi mroczne plany.

Rozejrzała się wokół i zauważyła, że po ogrodzie krąży teraz sporo pacjentów. Nazywano to „wieczornym spacerem”. Wkrótce Albert i jego pomocnicy obwieszczą koniec przechadzki.

Jeszcze jeden dzień – jeden dzień mniej w szpitalu Brangbo.

Spojrzała na listę, którą wciąż trzymała w ręce.

I zalała się łzami.

MIRIAM WINTER
WERNER STEIN
HANS SCHUBERT
CONRAD GROTH
KATRIN DISSEN
ALEXANDER HOFFMANN
RUDOLF GOETTER
SEBASTIAN RITSCH
LUDWIG WERNINGER...

Wyliczanka się ciągnęła, budząc wspomnienia, obrazy, ale i wiele beznadziei. Ta lista zawierająca trzydzieści nazwisk obejmowała schizofreników, chorych z zespołem Downa, opóźnionych umysłowo, paranoików... Jej zakład nie był klasycznym szpitalem psychiatrycznym, ale raczej składzikiem, a nawet, gdyby ktoś chciał być złośliwy, śmietnikiem... Celem zakładu nie było leczenie chorych, a tym bardziej ich uzdrawianie, lecz po prostu odizolowanie ich.

Minna otarła łzy i starała się myśleć rozsądnie. To, co stało się dziś, od lat wisiało w powietrzu. Projekt eliminacji umysłowo chorych narodził się w roku 1935 wraz z ustawami norymberskimi. Oficjalnie nakłaniano do sterylizacji kalekich, obłąkanych, wszystkich, których naziści uważali za wybryk natury. Od sterylizacji do egzekucji był już tylko jeden krok. Maleńki kroczek.

Minna widziała w kinie propagandowe filmy wyświetlane przed rozpoczęciem seansu. Ich przesłanie było oczywiste. *Leben ohne Hoffnung* (Życie bez nadziei) pokazywał potwory z rozdziawionymi ustami, zdeformowanych, śmiejących się głupio ludzi o ogolonych głowach. Trzymali się kurczowo krat klatek jak w zoo. *Opfer der Vergangenheit* (Ofiary przeszłości) prezentował z obsceniczną brutalnością bezkształtne twarze chorych i dla porównania twarze młodych sportowców z Hitlerjugend.

Ale najbardziej przerażający był całkowity brak litości, życzliwości czy choćby tylko zawstyżenia tą jawną wolą pozbycia się ciężaru. W oczach rządzących ci nieszczęśnicy już byli martwi.

Jeszcze raz popatrzyła na listę – procedura eliminacji właśnie się zaczynała i spadła na nią. *Scheiße!*

Zastanawiała się, czy może liczyć na jakąkolwiek pomoc. Instytut Göringa? Ale to na pewno oni nadzorowali realizację planu. Minister zdrowia? Teraz podlegał Ministerstwu Spraw Wewnętrznych, ponieważ obecnie wszystko znalazło się pod nadzorem SS. Pomyślała o kilku dawnych wykładowcach, jednak albo byli Żydami i zniknęli, albo byli Aryjczykami i w 1933 roku zmienili poglądy. „Marcowe fiołki”...

I nagle nasunęło się jej nazwisko: Franz Beewen.

Był jedynym nazistą, którego znała, i niewątpliwie miał pewne wpływy. Gestapo wiedziało wszystko i mogło wszystko.

Ale jak go przekonać, by jej pomógł?

Od dawna czuła, że ten cyklop ma do niej słabość, ale to nie wystarczy.

Znów zerknęła na listę nazwisk i wpadła na pomysł.

Tak, to jedyna metoda!

– Witaj, kotku.

Simon Kraus, który siedział przy barze w wypełnionym po brzegi Nachtigallu, odwrócił głowę: Willy Becker, chodzący szkielet w brokatakach, stał za nim. Metr osiemdziesiąt, najwyżej pięćdziesiąt kilogramów wagi, gęba pociągła i twarda jak drewno. Ubrany w dopasowany smoking z bordowej tafty z czarnym szalowym kołnierzem. Powieki umalował tuszem aż po same brwi.

– Prosiłem, żebyś się do mnie tak nie zwracał.

Willy położył długie palce na jego ramieniu.

– Znowu ten kompleks liliputa. Co zamówiłeś?

– Cosmopolitana.

Willy się pochylił. Bił od niego zapach drzewa sandałowego i jakaś inna woń, nieokreślona, ale bardzo męska.

– Bracie, nie powinienem ci tego mówić, ale to dobre dla cioty.

– Pewnie dlatego tutaj to serwują.

Willy wypiął pierś, którą miał zapadniętą i najprawdopodobniej zżartą przez gruźlicę.

– Co ty sobie wyobrażasz? Ja lubię mężczyzn, prawdziwych facetów, twardzieli, takich z tatuażami.

Simon parsknął śmiechem. Poeta zamiast goździka wsunął do butonierki orchideę. Na jego brokatowej marynarce koloru bordo ten zmysłowy kwiat wyglądał jak zwiastun śmierci.

– Przyniosę ci go – rzucił, przeciskając się przez tłum.

W latach dwudziestych Berlin był europejską stolicą sztuki, music-hallu i zepsucia. Nigdzie nie było tylu kabaretów, tylu burdeli. I to mimo nędzy i powszechnego chaosu. Raz po raz krajem wstrząsały zamachy stanu, panował głód, lecz kiedy nastawała noc, miasto ogarniały konwulsje, łamane były wszelkie zasady moralne.

Podczas studiów Simon poznał schyłek tej epoki. Dziś narodowy socjalizm zrobił swoje i bohaterowie nocy skryli się w podziemiu.

Ale niedogaszone ogniska wciąż się tliły.

Na Nollendorfplatzu w dzielnicy Schöneberg przetrwało jeszcze kilka czarnych perełek. Na przykład Nachtigall, klub dla homoseksualistów, diabli wiedzą jak się uchował w cieniu metra naziemnego.

Właściciel, Willy Becker, sam w sobie zasługiwał, by tu zaglądać. Tancerz, aktor, pisarz, był też gejem, narkomanem, alfonsiem i oszustem. Niegdyś miał swój czas świetności w kabaretach literackich, grał w horrorach, tańczył w wielu spektaklach, pisał wiersze do okrytych złą sławą czasopism, a potem został impresariem Anity Berber, sławnej artystki, która lubiła tańczyć nago wszędzie, gdzie jej się podobało, a zmarła w zapomnieniu jako narkomanka i skończona pijaczka.

Legenda głosiła, że Willy, pijany jak świnia i suchotnik jak poeta, przyszedł na jej pogrzeb półnagi, płacząc w strumieniach deszczu i niosąc w zębach kwiat. Za tamtych czasów Berlin miał styl...

Dlaczego jednak mały Simon przywłókł tego wieczoru swoją uroczą bladą buźkę do dogorywającego kabaretu? Ponieważ po śmierci Anity Berber Willy znalazł nową współniczkę w osobie Leni. Leni także była tancerką, mało znaną, ale równie rozwiązłą. We dwoje musieli nabić w butelkę niejednego burzuję, aż w końcu Leni trafiła się gruba ryba – bankier Hans Lorenz.

Te dwa ptaki nocy nadal ze sobą trzymały i była duża szansa, że to stary bankier finansuje kabaret suchotnika.

– Proszę, mój panie – zażartował Willy, stawiając przed Simonem trunek. – Cosmo starannie przygotowane, specjalnie dla dostojnego gościa!

Jego duże oczy puszczyka wpatrywały się w Krausa, który odruchowo wtulił głowę w ramiona.

– Dziękuję.

– Co cię sprowadza, kotku? Czyżbyś nagle zmienił upodobania?

– Chciałem się dowiedzieć, co u Leni.

Na twarzy alfonsa pojawił się grymas.

– Nie widzimy się już od pewnego czasu, trochę się pokłóciliśmy.

– O co?

– O tego jej dziadka, o, przepraszam, męża.

– Powinieneś nabrać do tego dystansu – poradził Simon. – W Berlinie każdy radzi sobie, jak może, a Leni wyszło to całkiem nieźle.

– No ale ten bankier... Podejrzewam, że jego fiutek jest cieniutki jak stary fenig.

– Może Leni takie lubi.

Wypił łyk alkoholu. Dżin, cointreau, sok cytrynowy, syrop malinowy... Faktycznie paskudztwo.

Muzycy wychodzili na scenę. Saksofon, kontrabas, gitara, cymbały. Artyści – bez wyjątku po czterdziestce – byli ubrani w mundurki Hitlerjugend: brunatne koszule, czerwone opaski ze swastyką, pas z orłem na klamrze, krótkie spodenki i podkolanówki.

Willy naprawdę nie był tchórzem. W dzisiejszych czasach za taki żart można było stanąć przed plutonem egzekucyjnym.

– Nie przejmuj się. – Właściciel klubu się uśmiechnął, dostrzegłszy niepokój Simona. – Połowa *warme Brüder*, którzy tu siedzą, to naziści. To stara tradycja z czasów SA. Jeżeli Hitler potrzebuje paru kutasów do obrony lebensraumu, to tu ich znajdzie.

Nachtigall należał do nielicznych już w Berlinie miejsc, gdzie można było zapomnieć o polach swastyk i ponurych gębach esesmanów.

– Czyli nie wiesz, co u niej słychać? – Simon wrócił do interesującej go kwestii.

– Nie.

– Od jak dawna?

– Już jakiś tydzień.

Willy nagle zmarszczył brew, co przy czarnym jak węgiel makijażu było ledwie zauważalne.

– Powinno mnie to niepokoić?

– Skądże. Po prostu nie przyszła na ostatnią sesję.

Znow napił się różowego koktajlu. Willy miał rację – trunek dla panienek.

– Pewnie ma już dość opowiadania ci pikantnych historyjek i płacenia za to, że słuchasz. Z psychoanalizą jest coś nie tak. Kiedy idziesz do teatru, płacisz za to ty, widz, a nie aktor.

Simon dobrotliwie pokiwał głową – gdyby przyszło mu spisać wszystkie krytyczne uwagi o metodzie Freuda, które słyszał, zebrałaby się z tego spora biblioteka.

– Mimo wszystko chciałbym się z nią zobaczyć. Jako przyjaciel.

– Patrz, o wilku mowa...

Willy właśnie zauważył nowych klientów, którzy wyszli zza czarnej aksamitnej kotary zasłaniającej drzwi wejściowe.

– Wybacz, muszę się zająć Brunatnym Domem.

Simon spojrział w stronę wejścia i rozpoznał – a w każdym razie tak mu się wydawało – dostojników państwowych. Gęby systematycznie pokazywane na zaszczytnych tytułowych stronach takich szmatławców jak „Völkischer Beobachter” czy „Der Stürmer”. Nie był jednak w stanie przypomnieć sobie ich nazwisk. Tylu ich było.

Willy krzyknął do niego, oddalając się:

– Zabaw się, za moje zdrowie.

W tym momencie Hitlerjugend zagrało *It Don't Mean a Thing (If It Ain't Got That Swing)*, plując na wszystko, co w tych czasach można było grać w Berlinie. Po popołudniowym *Tar Paper Stomp* dzień był naprawdę jazzowy.

I natychmiast dandysi w garniturach, damy o łydkach atletów, marynarze w bluzach z dużymi kołnierzami i czapkach ze złotymi pomponami, androgyni z wydepilowanymi brwiami i ustami pomalowanymi czarną szminką wyszli na mały parkiet przygotowany naprędce między stolikami, gdzie zaczęli rytmicznie się poruszać. Radosne okrzyki mieszały się z ostrym dźwiękiem saksofonu.

Simon wystarczająco długo obracał się w tym środowisku, żeby rozpoznać każdą grupę: „chłopców hotelowych”, którzy puszczały się z gośćmi, „bad boys” ubranych w krzykliwe kolory i mających kieszenie wypchane afrodyzjakami, „dzikie dzieci” bez grosza przy duszy i dachu nad głową, włączające się pod Muzeum Anatomii nieopodal Unter den Linden i idące z każdym, choćby za kilka papierosów...

Dyskretnie odszedł w stronę schodów prowadzących do toalety. Przebijał się przez tłum podążających w przeciwnym kierunku, na parkiet.

Becker nie oszczędzał na dekoracjach. Zgromadził elementy pochodzące z kabaretów z lat dwudziestych i próbował zharmonizować te kiczowate kawałki. Mieniające się złotem ścianki wyglądały w jaskrawym świetle reflektorów jak Droga Mleczna na niebieskim albo fioletowym niebie, baloniki w stylu mauretańskim maskowały boksy, stiukowe kopuły i minarety wisiały nad stołami, ławy były wyściełane wyszywanymi złotą nicią tkaninami, poduszki rozrzucone po sali. Nachtigall naśladował to, co mauretańskie albo tureckie, albo arabskie, a w każdym razie – sprośne i egzotyczne.

Simon zszedł do sutereny. Była to strefa niebezpieczna dla ładnych chłopców. Po obu stronach wyściełanego czerwona satyną korytarza mieściły się półmroczne sale z alkowami, materacami, leżącymi na sobie mężczyznami.

– A ty co tu robisz? – warknął ktoś, przygniatając go łapą goryla do ściany.

Potrzebował chwili, by rozpoznać Hauptsturmführera Franza Beewena. Kolos zamiast munduru z runami SS miał na sobie czarny smoking o doskonałym kroju, zapewne odebrany jakiemuś Żydowi. Także jego fryzura była teraz inna, przetykana złocistymi pasemkami, a jasne pukle nad czołem nawet nie drgnęły, sztywne od brylantyny.

– Odpowiadaj! – wrzasnął jarmarczny Herkules, unosząc pięść.

Simon ledwie zdążył nabrać tchu i się uśmiechnąć.

– Wiesz, co mówił Freud? „Agresja to niedostatek słownictwa”.

Silniejsza od strachu, silniejsza od rozsądku, jego mania zgrywania się na mądrąkę znów go dopadła. Pięść Beewena ruszyła. Simon zamknął oczy. Uderzenie padło tuż przy jego uchu. Otworzył oczy. Nazista skrzywił się z bólu po zderzeniu ze ścianą.

Łaskawca puścił psychoanalityka, jakby wrzucał rybę do wody.

– Co tu robisz? – zapytał znowu. – Jesteś pedziem?

Simon wygładził marynarkę.

– Nie, raczej nie. Moim zdaniem obaj przyszliśmy tu z tego samego powodu.

– Czyli?

– Leni Lorenz.

– Leni nie żyje, durniu.

Pod Krausem ugięły się nogi. Obawiał się tego od popołudnia, ale teraz, kiedy usłyszał potwierdzenie, poczuł ostry, przeszywający ból w okolicy wątroby.

– Zamordowana?

Franz Beewen przytaknął, bardzo mocno zaciskając szczęki, zupełnie jakby chciał zmiażdżyć „tak” niczym orzech.

– Susanne Bohnstengel też? – zapytał Simon.

Cyklopie oko rozbłysło okrutnym ogniem.

– Ty i ja mamy chyba do pogadania.

Zdjęli buty i usiedli w słabo oświetlonej alkwie tuż przy wielkiej arenie seksu – okrągłej sali, której środek zajmował parkiet taneczny. Dookoła znajdowały się boksy, w których zawieszono małe lampy naftowe podobne do natrętnych, dokuczliwych świetlików.

Simon i Beewen zgodnie odwrócili się plecami do parkietu i sąsiednich alków. Chłopcy całowali się tam namiętnie albo spótkowali ustawieni gęsiego, albo smakowali jedni drugich, jak próbuje się różnych karmelków na festynie.

Kraus wolał nie wyobrażać sobie, jak razem wyglądają: karzeł i tytan, obaj w smokingach i skarpetkach, wyprostowani jak świece, otoczeni przez homoseksualistów kopulujących radośnie w cuchnącym szczynami wnętrzu.

– Dlaczego zapytałeś właśnie o Susanne Bohnstengel? – zaatakował Beewen.

– Ponieważ jej także śnił się Marmurowy Człowiek.

– Co?

– Powtarzam: jej także śnił się Marmurowy Człowiek.

Simon wszystko mu wyjaśnił. Jeżeli rzeczywiście chciał prowadzić własne śledztwo, to potrzebował pomocy, a tylko gestapowiec mógł mu jej udzielić.

Skądś z gramofonu płynęły piosenki Marlene Dietrich. Coś od zawsze łączyło te zmysłowe, romantyczne utwory śpiewane z homoseksualną melancholią przez kobietę o głosie mężczyzny. Nie potrafiłby określić, na czym polegała ta więź.

*Ich hab' noch einen Koffer in Berlin,
Deswegen muss ich nächstens wieder hin.*

Zanim Simon opowiedział wszystko Beewenowi, zlał się potem. W alkwie panowała potworna duchota, a przegrzane powietrze cuchnęło wyziewami. Do tego zewsząd słychać było pomruki. Domyślał się, że Beewen nie zrozumiał w pełni jego hipotez o człowieku, który najpierw pojawiał się ofiarom we śnie, a potem zabijał je na jawie.

To nie miało sensu. Jak jednak uwierzyć, że to jedynie przypadkowa zbieżność? Tak czy inaczej, Kraus powiedział swoje, teraz przyszła kolej na Beewena. Czy da się wciągnąć w tę grę? Gestapowcy otaczają sekret istnym kultem.

Simon musiał trochę go przycisnąć.

– Ty też potrzebujesz pomocy. Nadajesz się do prowadzenia tego śledztwa jak ja do defilowania w mundurze nazisty.

Beewen skrzywił usta i trudno było odgadnąć, czy ten pomysł wzbudza w nim odrazę, czy raczej go śmieszy.

W końcu podjął decyzję i wyrzucił z siebie wszystko, co wiedział o serii morderstw. Nazwiska. Daty. Sposób działania. A przede wszystkim najważniejszy dowód: narzędzie zbrodni, którym był nazistowski kordzik.

Simon był mocno podekscytowany. Nie wątpił, że we dwóch mogą wykryć prawdę. Beewen dysponował logistyką najlepszej policji świata. On poruszał się w świecie ofiar (a zapewne także mordercy) jak ryba w wodzie.

Jednak ich teorie nie przystawały do siebie. Według Beewena zabójcą był oficer, który wybrał ofiary na jakiejś gali. Według Simona była to postać na poły fantastyczna, rodem ze snów, przybywająca, by wymierzyć karę.

Po jednej stronie pragmatyk.

Po drugiej znawca świata onirycznego.

Ale Simon miał argument, który ich pogodził:

– Marmurowy Człowiek może powiedzieć nam coś o twoim oficerze.

– To znaczy?

Znajdowali się chyba w najgorszym na świecie miejscu do rozmów o psychoanalizie i wyjaśniania mechanizmów marzenia sennego, mimo to Simon podjął próbę:

– W ciągu dnia twój mózg skupia się przez krótką chwilę na jakimś szczególe. Ten szczegół trafia do magazynu pamięci krótkotrwałej, do szufladki, w której przechowujesz elementy na pozór nieistotne. Jednak nocą marzenie senne wykorzystuje właśnie takie wspomnienia, by opracować swój scenariusz. Ten fragment staje się wektorem dla lęku, który chcesz wyrazić. Rozumiesz?

– Nie, niezbyt dobrze. Podaj jakiś przykład.

– Zima dobiega końca. Spacerujesz po Berlinie i zauważasz, że w tym roku wcześniej zakwitły petunie na balkonach. Ta refleksja zajmuje twój mózg przez jedną dziesiątą sekundy. Ale przez tę dziesiątą sekundy myśl niepodzielnie nad nim panuje i odrywa go od normalnych trosk. A przez to taka refleksja nabiera szczególnego znaczenia.

– I co dalej?

– Najbliższej nocy śni ci się, że masz czternaście lat. Należysz do Hitlerjugend i umierasz ze strachu, ponieważ Hitler ma dokonać przeglądu twojej jednostki. Z tej okazji masz wręczyć mu bukiet kwiatów, bukiet petunii. Przez cały sen nośnikiem twojego lęku będzie ta roślina. Była bodźcem, który go wywołał.

– Zabawne.

– Ale ja nie żartuję. Postać Marmurowego Człowieka odgrywa w naszej historii właśnie taką rolę. Ofiary gdzieś zobaczyły tę postać, rzeźbę, rycinę, a może nawet człowieka, którego przez jakiś szczegół kojarzysz z kamieniem.

– Jakie to ma znaczenie dla śledztwa?

Ocieranie się skóry, jęki i charczenie dobiegały do ich uszu jak bulgotanie mrocznego bagna.

– Sądząc po datach sesji, Damy Adlonu śniły o Marmurowym Człowieku w tygodniu poprzedzającym swoją śmierć. Oznacza to, że każda z nich kolejno widziała coś, co wywołało ten sen.

– Nadal cię nie rozumiem.

– Trzeba odtworzyć ich plan zajęć w tygodniu poprzedzającym morderstwo i odwiedzić miejsca, w których były, bo gdzieś tam właśnie kryje się morderca. Może to kościół albo muzeum, albo po prostu jakiś sklep.

Beewen nie wyglądał na przekonanego. Pewnie liczył, że Simon wybierze się do Klubu Wilhelma, by posłuchać, co się tam mówi. Nie przewidział, że psychoanalitik spróbuje nakierować śledztwo na tak pokrętne tory.

– Masz wybujałą wyobraźnię – skwitował.

– I to łączy mnie z mordercą.

Simon wstał. Miał wilgotny od potu kołnierzyk koszuli, a smród panujący w suterenie nieznośnie drażnił mu nozdrza. Nie mógł dłużej siedzieć w tym chlewie.

– Skontaktuję się z tobą, jeżeli czegokolwiek się dowiem – powiedział. – Jedna rada: ubieraj się po cywilnemu, prowadząc to śledztwo. Mundur SS nie zapewnia dyskrecji.

Cyklop chwycił go za rękę.

– Dobrze, ale nigdy nie zapominaj o jednym.

– O czym?

– W moich oczach jesteś podejrzany.

– Możesz przeszukać mój dom. Nie mam nazistowskiego kordzika.

– Nie, ale tylko ty sypiałeś ze wszystkimi trzema ofiarami.

Simon zamarł.

– Skąd o tym wiesz?

– Zwyczajna intuicja.

Psychoanalitik uznał, że najlepiej rozbroić tę pogroźkę żartem:

– Masz rację. Kto wie? Może faktycznie jestem człowiekiem z kamiennym kutasem.

– To prawda, mówi się przecież, że karły mają wielkie fiuty.

Po wyjściu z Nachtigalla Franz Beewen postanowił iść na kurwy. Sprawa była nagląca – chciał wyzbyć się samczego smrodu, którym przesiąkł.

Wsiadł do samochodu – dał wolne kierowcy – i pojechał na południowy zachód, w stronę Neukölln, gdzie znajdował się dobrze znany oficerom SS Clara Haus. Nie był to burdel w pełnym tego słowa znaczeniu, ale bar, gdzie panowała rozpasana miłość do nazizmu i gdzie dziewczyny nie żądały ani pieniędzy, ani uczuć, byle tylko iść za mundurem.

Beewenowi kręciło się w głowie, jednak nie od alkoholu, lecz od tego, co usłyszał z ust Krausa i co raczej zaciemniało mu obraz sprawy, niż pomagało. Kiedy nareszcie znalazł prawdziwy trop, ten kurdupel zaczął opowiadać mu o snach i podświadomości.

Po wyjściu Krausa przesłuchał Willy'ego Beckera. To był szemrany typek, nawet bardzo, nie mógł jednak zabić tych biednych dziewczyn, a zwłaszcza okaleczyć Leni Lorenz, która była jego przyjaciółką.

W kwestii listów i rachunków Becker starał się mówić jak najmniej – musiało chodzić o jakieś lewe interesy, bez znaczenia dla śledztwa, jednak zaskakujące w przypadku kobiety, której pod względem materialnym niczego nie brakowało. Cóż, jak to się mówi, czym skorupka za młodu nasiąknie...

Beewen był zadowolony z tej krótkiej rozmowy. Willy był zatwardziałym pedałem i przypominał mu czasy SA. Spodobały się Röhmowi i jego klice zboczonych zabijaków. *Niech spoczywają w pokoju...*

Zmagał się też z wyrzutami sumienia – nie powiedział Willy'emu o śmierci Leni. Najważniejszy był jednak obowiązek dochowania tajemnicy.

Z Nollendorfplatzu do Neukölln był kawał drogi – dobrych kilkanaście kilometrów. Ale noc w Berlinie była spokojna, ulice opustoszały, toteż mercedesem pokonał tę odległość w niespełną godzinę i wkrótce ujrzał mury Clara Hausu.

Nienawidził tego miejsca, nie miał jednak ani żony, ani dość wolnego czasu, żeby uregulować tę sferę życia. Musiał w ten czy inny sposób egzystować.

Parkując, pomyślał jeszcze o Nachtigallu, o tej magmie splątanych męskich ciał, która wzbudziła w nim takie obrzydzenie. Opowiadano mu, że za czasów starożytnej Grecji, a więc w epoce szczytnego rozkwitu kultury, wszyscy uprawiali seks z własną płcią. *Witaj, wspaniała cywilizacja!*

Skręcił w Rykestraße, potem w małą poprzeczną uliczkę, gdzie Clara i jej dziewczyny znalazły sobie dom. Dobrze izolowanych drzwi pilnowali wartownicy w uniformach. To był klub tylko dla wtajemniczonych.

Żeby wejść, musiał pokazać odznakę, ponieważ nadal był ubrany po cywilnemu. Już wewnątrz pomyślał, że Simon Kraus miał rację – nie mógł połapać się w tym śledztwie. Chwylił się tropu kordzika, bo nie miał innych dowodów materialnych. Nie starał się zrozumieć motywów mordercy, ponieważ był do tego niezdolny. Pozostał zbirem przerobionym na oficera. Żeby zrozumieć takiego mordercę i zwęszyć go, trzeba być człowiekiem takim jak Kraus – skomplikowanym, zepsutym, obytym z psychozami.

Swym wejściem do salonu zrobił duże wrażenie. On jeden był tu w smokingu. Mogłoby to stanowić atut, ale nie tu, gdzie dziewczyny robiły się wilgotne tylko na widok wojskowych czapek i dębowych liści. Na szczęście jego gęba mówiła więcej niż mundur.

W jego wspomnieniach to miejsce nie było tak dziwaczne, jak mu się teraz wydawało. W dużej sali o szarych ścianach po lewej znajdował się bar, a stoły ustawiono pod murami, by środek mógł służyć do tańca. Pod sufitem unosił się gęsty dym papierosowy, który wszystko zasnuwał mgłą, pomieszczenie cuchnęło piwem i moczem. To wszystko. Sprzęty były tanie, brudne koce zasłaniały okna, na podłodze widać było mokre plamy. W głębi znajdowały się schody do pokojów.

Beewen skierował się do baru, próbując jakoś oddychać w tym smrodzie. Dym był tak gęsty, że widział najwyżej na trzy metry. Zamówił sznapsa i odwrócił się, oparty o bar, by przyjrzeć się teatrowi operacji.

Coś potwornego. Pijany oficer nękał drobną blondynkę, ciekaw, czy pierdzi, kiedy sika, inny obmacywał krocze partnerki, drugą ręką próbując wyciągnąć broń z kabury – chyba się wahał, nie był pewny, gdzie ma rozporek, a gdzie rewolwer. Kilka półnagich par tańczyło, a raczej zataczało się w rytm sprośnej piosenki. Było to coś o myśliwych i o łasiczkach, ale gramofon tak skrzeczał, że nie dało się zrozumieć słów.

Wtedy przypomniał mu się komentarz Lorenza, tego bankiera w binoklach: w Niemczech miłość już nie istnieje. Kiedy wdowiec wypowiedział te słowa, oficer o mało nie wyśmiał jego naiwności. Tymczasem bankier mówił prawdę. Nawet nienawiść, ta nienawiść, którą chronił w sobie jak skarb, straciła na intensywności. Wszystkie uczucia – dobre czy złe – zbrukało teraz ohydne błoto.

Zostawił pieniądze na barze i poszedł do wyjścia. Nic tu nie było warte ani jednej straconej minuty snu. Kiedy odsunął kotarę w drzwiach, wpadł na niego nowy gość.

– A co ty tu robisz? – krzyknął, rozpoznając Dynama.

– Przyszędłem po ciebie.

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem?
- Śledzenie szefa to odruch zawodowy gestapowca.
- Czego chcesz?
- Odnaleziono Hauptmanna Maxa Wienera.
- Gdzie?
- Na polu kartofli. Został tam zakopany, ale niezbyt głęboko.

Dwa trupy w ciągu dnia to nawet dla gestapowca trochę za dużo.

Jechali pół godziny, zanim znaleźli się na wsi na południe od Berlina.

Beewen dobrze znał rytm ziemi. Kiedy wysiadł z samochodu, nie zaskoczyła go woń rozkładu. Trwały podorywki. Po żniwach zakopywano resztki słomy, żeby przyspieszyć jej rozkład. Orano także, by napowietrzyć glebę, a potem zasilano ją nawozem – i stąd brał się smród.

– Nie wiem, jak tutejsi ludzie mogą oddychać tym paskudztwem – rzucił Dynamo.

– Gdzie zwłoki? – Beewen zignorował jego uwagę.

Hölm wyciągnął palec wskazujący i obaj poszli przez pole, grzęznąc w miękkiej ziemi. Ekipa Gestapo tym razem działała dyskretnie. Tylko jedna furgonetka z wyłączonymi światłami parkowała przy drodze. Kilku ludzi w cywilnych ubraniach stało w pobliżu. Można by pomyśleć, że to złodzieje warzyw...

Dynamo wspomniał o kartoflisku, ale zupełnie się na tym nie znał. Tutaj niedawno skoszono owies albo pszenicę, a to zupełnie co innego. Chociaż z ich punktu widzenia niewiele to zmieniało.

– Dlaczego Gestapo, a nie Kripo? – spytał nagle Beewen.

– Zwykły fart. Rolnik znalazł ciało późnym popołudniem, kiedy orał pole. Natychmiast zgłosił to esesmanowi odpowiedzialnemu za tę wieś. Facet nie za bardzo wiedział, kogo wezwać. Porozumiał się z burmistrzem, nazistą, którego kuzyn jest u nas, w Gestapo. No i w końcu zadzwonili do niego.

Wciąż brnęli przez pole i już sam ten wysiłek był dla Beewena źródłem cichej satysfakcji. Na zaoranej ziemi przypominał sobie całe dzieciństwo, a wraz z nim powróciła ta myśl: wyrwał się z tego. *Kurwa*. Udało mu się uciec od tego gówna i życia niewolnika.

– Tam – powiedział Dynamo.

Sto metrów dalej po lewej zobaczyli szare płótno ułożone między bruzdami. Policjanci przycisnęli cztery rogi płachty kamieniami, żeby nie sfrunęła. Elementarne czynności.

Dynamo odchylił płachtę i włączył latarkę elektryczną marki Daimon Telko Trio, z której był bardzo dumny. W sinym świetle ukazało się im nagie ciało. Beewen od razu zauważył ślady tortur. Wziął latarkę z rąk Hölma i przyklęknął, żeby dokładniej przyjrzeć się denatowi.

Paznokcie u rąk i nóg wyrwane. Palce u stóp nadpalone – na pewno wsunęli mu między nie watę, a potem podpalili. Ślady papierosów na szyi i wokół sutków. Ślady po elektrowstrząsach na genitaliach. Niezliczone siniaki. Prawdopodobnie wszystkie kości twarzy połamane.

– Skąd wiadomo, że to Wiener?

– Jeden z ludzi, których tu przysłano, służył wcześniej w Kripo. Rozpoznał go.

Beewen wstał, po czym jeszcze na chwilę zwrócił snop światła latarki na obrzękłą twarz zmarłego.

– Dobrze oko ma ten twój facet. Przy takich obrażeniach...

– Ale przecież i tak jest duże prawdopodobieństwo, że to on, prawda?

– Znamy przyczynę śmierci?

Hölm wziął od niego latarkę i butem odwrócił ciało. Dwie rany postrzałowe w potylicy.

– Fachowa robota.

Pewnie chciałby dodać „nasza robota”, ale się powstrzymał.

Zresztą słowa nie były im potrzebne. Obaj doskonale znali te tortury. I taką technikę eliminacji. Metody Gestapo, których używali przez okrągły rok, razem, w suterenie.

Na skraju pola rozbłysły światła, zalały gliniastą ziemię. Mrużąc oczy, Beewen rozpoznał czarnego mercedesa Perninkena.

– *Scheiße!* Kto go poinformował?

Hölm tylko zarechotał, kopiąc grudkę ziemi.

Beewen miał nieodparte wrażenie, że zawsze dowiaduje się o wszystkim ostatni, zupełnie jak mąż, któremu żona przyprawia rogi. W Gestapo każde śledztwo było dublowane innym, dotyczącym samych śledczych. Geheime Staatspolizei była tylko siecią kretów, informatorów, donosicieli. Gniazdem węży, które pożerały się między sobą.

Hölm wyciągnął z kieszeni butelkę.

– Łyczek sznapsa przed egzaminem?

– Nie trzeba, dziękuję.

Wzniósł oczy ku niebu i głęboko oddychał wonią wsi. Owszem, to był smród łajna, ale znajomy.

W górze gwiazdy migotały na ciemnym niebie. Każdy zachwyciłby się tak majestatycznym widokiem. Ale nie Beewen. Kiedy był dzieckiem, sklepienie niebieskie przytłaczało go, przyprawiało o zawrót głowy, a nawet wpędzało w panikę.

Zawsze postrzegał gwiazdy jako sygnał rozpaczony przysłany z innego świata. Świata, którego istnienia nie można było potwierdzić ani nawet wymyślić. Otchłani, w którą

pewnego dnia on też wpadnie.

W takich chwilach obiecywał sobie, że wróci na łono Kościoła, że porozmawia z kapłanem, jedynym wsparciem dla umysłów tak ograniczonych jak jego. Zaśmiał się pod nosem. Kapłan i on? Każdy przemijający dzień zbliżał go raczej do piekła...

Perninken już szedł w ich stronę, ubrany o pierwszej nad ranem tak, jakby wybierał się na paradę na Stadionie Olimpijskim.

– Zostaw mnie samego – szepnął Beewen.

Hölm bez słowa położył kamienie na płachcie, którą przykryto Maxa Wienera, i odszedł.

Widząc strój Beewena, Perninken sarkastycznie gwizdnął. Ostra ironia oficerów Gestapo.

– Proszę o wyjaśnienia – rozkazał.

Obergruppenführer wiedział już wszystko, a może nawet trochę więcej, ale Franz musiał wypełnić swój obowiązek. Krótco ujął informacje, raczej zdawkowe, które podał mu Hölm.

Perninken nie zamierzał oglądać zwłok. W czapce na głowie był pozbawiony połowy osobowości – wyglansowanej czaszki.

Żeby go sprowokować, Beewen przedstawił sposób przeprowadzenia egzekucji – bo to była egzekucja – i szczegółowo opisał tortury, jakim poddano nieszczęsnego policjanta.

Obergruppenführer milczał. Stał wpatrzony w ziemię zaledwie metr od Beewena, który nie widział jego twarzy. Za to jego galony, odznaki i medale błyszcząły w świetle księżyca.

– Jak pan wyjaśni, że oficer Kripo wylądował zakopany na tym polu, zabity dwoma strzałami w potylicę, a przedtem poddany torturom?

„To ja powinienem zadać panu to pytanie”, miał ochotę zripostować Beewen, lecz taka bezczelność na nic by się zdała.

– Zbyt wcześnie na takie wyjaśnienia, Obergruppenführer, jednak śledztwo...

– Żadnego śledztwa nie będzie – przerwał mu spokojnie Perninken. Zapalił papierosa i oddał się swej manii przechadzania się, chociaż na tej glebie nie było to łatwe. Widząc, jak się potyka, Beewen zmienił opinię o zwierzchniku. Jeszcze nigdy ten oficer nie wydawał mu się tak realny i... próżny. – Prawdziwe pytanie brzmi: kto to zrobił?

– Tak, kto? – Beewen mimowolnie powtórzył pytanie teatralnym tonem.

– To może być pan, mogę być ja – podjął bez zmrżenia oka Perninken. – Albo ci łajdacy z SP. Albo nawet... bo czemu nie...? sama Kripo.

– Śledztwo...

– Powtarzam, że go nie będzie. Nikt nie będzie tracił czasu na sprawę, która tak czy inaczej zostanie wyciszona. Wiener jest tu, pod naszymi nogami, i może winić tylko siebie. Drogi Führera są... niezbadane.

Nawet cienia ironii w głosie. W SS sprawa była jasna: Adolf Hitler jest bogiem.

Beewen wolał zmienić temat.

– Dziś wieczorem rozmawiałem z Herr Koenigiem.

– Wiem. Dzwonił do mnie.

– Dlaczego pozwolił mu pan ujawnić mi informację o kordziku?

– Nie wyobrażam sobie, jak miałyby pan prowadzić śledztwo, nie znając wszystkich elementów sprawy.

Tym razem Beewen o mało nie wrzasnął: „Niech pan nie obraża mojej inteligencji!”. Postanowił jednak przybrać pokorny, niemal uniżony ton, ripostując:

– Mimo to dopiero teraz wspomniano mi o tym niezwykle istotnym elemencie. Nie ma o nim żadnej wzmianki w...

– Najpierw musieliśmy sprawdzić, czy można na panu polegać.

– W jakim sensie?

– Obserwowaliśmy pana, Beewen. Teraz myślimy, że przed schwytaniem mordercy będzie pan potrafił działać w odpowiedni sposób.

– Pozwalając wam go zabić? – Beewen powiedział to zbyt brutalnie. Nawet w Gestapo pewne rzeczy należało ujmować nieco subtelniej. – Gdybym aresztował tego człowieka – złagodził – jego proces i skazanie nie leżałyby w niczyim interesie. Taka sprawa zbrukałaby wizerunek Rzeszy. Nie wspomnę już nawet o zagranicznej prasie.

Perninken nie skomentował tych słów. Z jego milczenia wyłaniało się przyzwolenie.

– Można oczywiście załatwić sprawę z największą dyskrecją, za zamkniętymi drzwiami – ciągnął Beewen – ale to także narobiłoby hałasu. Zniknięcie oficera SS nie przejdzie niezauważone. Zaczną się plotki...

– Do rzeczy, Hauptsturmführer.

Beewen zrobił głęboki wdech i skoczył w nieznane:

– Jest taki teren, na którym oficer SS może zniknąć w zupełnie naturalny sposób.

– Co to za teren?

– Wojna, front polski.

– Co panu chodzi po głowie, ale dokładnie?

Wyrzucił z siebie jednym tchem:

– Znajdę mordercę, podam panu jego nazwisko, a pan wyśle go na front. Tam można dyskretnie... dokonać egzekucji. Cóż bardziej naturalnego niż śmierć na polu walki?

– A kto wzięłby na siebie tę... egzekucję? Pan?

– Zgadza się.

Perninken uśmiechnął się w półmroku.

– Znow ta pańska obsesja mobilizacji.

– Obergruppenführer, rozmawialiśmy już o tym, przecież...

– Poinformuję o tym górę – przerwał mu Perninken. – Wciąż jednak brakuje panu głównego elementu planu: nazwiska mordercy.

– Wkrótce je ustalę, Obergruppenführer.

– I tego panu życzę. – Otto Perninken znow podjął mozolną wędrówkę pomiędzy grudami ziemi. Z pewnością nie zdawał sobie sprawy, jak ironicznie brzmią jego słowa, gdy dodał: – I niech pan uważa, w co pan wdeptuje, Beewen.

– Będę bardzo ostrożny.

– Przypomina mi pan oficera SS, którego dobrze znałem. Myślał, że może wykorzystywać nazistowską władzę do celów, że tak powiem, osobistych.

– Co się z nim stało?

Generał popatrzył na pola, które niknęły w ciemnościach.

– O ile mnie pamięć nie myli, leży tu gdzieś w pobliżu.

Spotkanie z Ernstem Mengerhäusenem nie wypadło korzystnie, ciąg dalszy również był kiepski. Minna von Hassel zalewała się łzami, marząc, by zabrać swoje „dzieci” za morze, daleko od nazizmu, aż w końcu skulona na taczce zasnęła jak stara pijaczka. Obudziła się dopiero około jedenastej, żeby się wyrzygać – kiedy piła koniak, efekt zawsze był taki: padała, gwałtowne wymioty i palący smak żółci w gardle.

I wtedy wbrew wszelkim oczekiwaniom rozdzwonił się szpitalny telefon.

Dzielnica Moabit, usytuowana na zachód od Berlin-Mitte, słynęła niegdyś z dwóch rzeczy: z więzienia i z czerwonych idei. Po sześciu latach narodowego socjalizmu sytuacja uległa zmianie – zaginął ślad po ideologii, a w celach tłoczyło się coraz więcej więźniów politycznych.

Moabit to duża wyspa, na południu odgraniczona przez Sprewę, na zachodzie przez kanał Charlottenburg, a na północnym zachodzie przez kanał Westhafen i wreszcie przez kanał nawigacyjny Berlin-Spandau na północnym wschodzie i północnym zachodzie. Był to odrębny świat, zrodzony z dziewiętnastowiecznej industrializacji, która pozostawiła po sobie zapchane po brzegi robotnicze domki, jeszcze dziś znajdujące nocą dodatkowych lokatorów – siennik za kilka marek.

Innymi słowy o pierwszej w nocy w północnej części Moabitu, przy porcie rzeczonym Westhafen, nie paliło się ani jedno światło, a na ulicy nic nawet nie zaszeleściło – robotnicy spali snem sprawiedliwego.

Otóż zadzwoniła do niej Ruth Senestier. Nie słyszała o niej od co najmniej dwóch lat. Malarka, rzeźbiarka, lewicująca lesbijka – nie wiadomo, jakim cudem przetrwała dotąd w narodowosocjalistycznych Niemczech.

– Co u ciebie?

Kobieta nie odpowiedziała. Poprosiła tylko, żeby Minna jak najszybciej spotkała się z nią w Gineceum, safickim klubie przy jednym z basenów Westhafen. *To pilne.*

Minna błyskawicznie wzięła prysznic, ubrała się i wskoczyła do swojego pocziwego starego mercedesa mannheima. Jeszcze godzina i wróciła na łono cywilizacji, czyli do Berlina-Mitte, a potem pojechała bulwarami nad Sprewą do elektrowni ciepłej w Moabicie (HKW).

Kiedy zaparkowała przed potężnym kompleksem budynków z wieżą w kształcie dzwonnicy i kominami jak gigantyczne naboje, ruszyła rozwidlającymi się uliczkami do dużej arterii, której szukała. Domki z cegły wyglądały tu jak plastry piernika.

Żadnych latarni, ubita ziemia zamiast chodnika – pustkowie, na które strach się zapuszczać.

Minna czuła się niepewnie. Modliła się w duchu, żeby wzięli ją za mężczyznę. Ubrana w szerokie spodnie i żakiet ze sztruksu, na wierzch narzuciła prochowiec z paskiem. Nie zapomniała też o berecie artysty, *à la française*... Może zrobi takie wrażenie.

W końcu zobaczyła magazyn, w którym mieściło się Gineceum. Okna były zasłonięte, przy drzwiach żadnego szyldu. Tylko lampa – słabiutka – mrugała. Ten, kto wybrał miejsce na klub przy dokach, miał genialny pomysł – nikomu nie wpadłoby do głowy, żeby szukać kwiatu berlińskich lesbijek pomiędzy drewnianymi skrzyniami i wytatuowanymi robotnikami portowymi.

W rzeczywistości w Trzeciej Rzeszy lesbijki nie były prześladowane jak homoseksualni mężczyźni. W tamtych czasach paragraf 175 niemieckiego kodeksu karnego potępiał tylko stosunki seksualne między mężczyznami. O relacjach lesbijskich jako niezgodnych z prawem nie było mowy. Ale cóż, ostrożności nigdy za wiele.

Minna zapukała. Oko w judaszu, szczęk zasuw, zasłona, która się unosi – Minna znalazła się w klubie. Miejsce wydało jej się barwniejsze niż we wspomnieniach. Ceglane mury pomalowane na biało, stoły oświetlone wiszącymi lampami gazowymi albo olejnymi. Płomyki tych lamp zdawały się unosić w zadymionym powietrzu jak błędne ogniki. Dodatkowe światło zapewniały małe świece na obrusach.

Nie znalazła Ruth w pierwszej sali. Artystka nie podała jej żadnych szczegółów. Ani słowem nie uzasadniła tego zagadkowego spotkania, nie wyjaśniła, co jest tak naglące. Ale Minna znała ją wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że to nie kaprys.

Druga sala była mniejsza i podzielona na alkowy ukryte za białymi zasłonami, na które osoby znajdujące się wewnątrz rzucały bajeczne chińskie cienie. Klub wyglądał jak opanowany przez zjawy.

Nagle jedna z kotar się odchyliła i Ruth Senestier z promiennym uśmiechem na twarzy podstarzałej lalki powitała Minnę. Na głowie miała taki sam beret jak panna von Hassel.

– Witaj, Fräulein! – rzuciła serdecznym tonem.

Minna usiadła przy stole i oznajmiła, śmiejąc się:

– Tak się cieszę, że cię widzę!

– Aż trudno uwierzyć, to już tyle czasu! A ty wciąż na wsi ze swoimi wariatami?

Minna się nie odezwała, ale jej twarz – choć chciała tego uniknąć – zachmurzyła się.

– Dobra. – Ruth wstała. – Pójdę po absynt.

Zniknęła za kotarą. Minna obserwowała przez niewielką szczelinę typową klientelę Gineceum: kobiety w smokingach, łotrzyce z włosami lśniącymi od brylantyny, półnagie istoty w maskach ptaków albo lisów i wiele innych dziwadeł, jak kobiece pary całujące się namiętnie.

– *Madame est servie!* – powiedziała po francusku Ruth, wsuwając się do alkowy.

Na srebrnej tacy niosła butelkę absyntu, wodę z lodem, dwie ażurowe łyżeczki, cukiernicę i dwie ozdobne szklaneczki.

Podobno w Gineceum podawano najlepszy absynt w Berlinie, jednak z tego, co wiedziała Minna, już tylko tam można było skosztować tego trunku.

Przypatrywała się Ruth dopełniającej rytuału. Najpierw porcja alkoholu do szklaneczek, na których położyła ażurowe łyżeczki do absyntu. Umieściła na nich po kostce cukru, a potem powoli polewała go lodowatą wodą. W miarę jak cukier się rozpuszczał, absynt na dnie szklanek jakby mętniał.

Patrząc na smugi tworzące się w zielonym alkoholu, Minna pomyślała o życiu Ruth. Poznała ją w latach dwudziestych w szpitalu Charité jako początkująca studentka. Artystka rzeźbiła wówczas mosiężne maski dla żołnierzy, których twarze uległy deformacjom podczas Wielkiej Wojny. Minna natychmiast się zakochała i w jej sztuce, i w osobowości.

Starsza o dziesięć lat Ruth stała się dla niej wzorem. Zarazem twórcza i altruistyczna, była przeciwieństwem samotnej artystki zamkniętej w wieży z kości słoniowej. Żeby się utrzymać, długo rysowała dla czasopism takich jak „Die Dame” czy „Simplicissimus”. Poza tym w swojej pracowni rzeźbiła osobliwe zwierzątka, które zaczynały cieszyć się popularnością za granicą.

Ruth Senestier szła pod prąd życia w dekadentckim Berlinie. Kiedy był stolicą wszelkiej perwersji i pogrążał się w zepsuciu i grzechu, Ruth wiodła żywot zakonnicy oddanej tylko sztuce. Potem, kiedy nazizm wszystkich pogodził, ona podążyła za własnymi skłonnościami i wybrała lesbijstwo. Dziś Ruth kolekcjonowała miłosne przygody z kobietami. To był jej sposób, by dać wyraz swemu buntowi i odrębności artystki.

Podawała Minnie szklaneczkę, z której wydobywała się intensywna woń anyżku.

– *Na zdrowie!* – krzyknęła z rosyjska. – Za nas!

Minna przytaknęła i wypila do dna, odchylając głowę do tyłu. Nie była wielbicielką tego specyficznego trunku, jednak ilekroć sięgała po zielonego czarodzieja, odnosiła wrażenie, że przenosi się do Paryża schyłku minionego stulecia, w czasy jej ulubionych poetów – Baudelaire’a, Verlaine’a, Rimbauda...

Ostrożnie odstawiała szklaneczkę, trzymając ją między kciukiem a palcem wskazującym, i spytała:

– Co to za pilna sprawa? Opowiadaj.

Ruth Senestier nie zdążyła nic powiedzieć, ponieważ kotara znowu się uchyliła. Do alkowy wsunął głowę ktoś o wyglądzie fenka: wielkie uszy okalały nastroszone włosy barwy piasku. Osobnik – o, przepraszam, osobniczka – trzymała w zębach fajkę zupełnie jak kreskówkowy Popeye. Była tak pijana, że gdyby nie cybuch, pewnie nie utrzymałaby równowagi.

– Wszędzie cię szukamy! – warknęła z silnym słowiańskim akcentem.

– Spadaj.

Zamiast posłuchać, kobieta, zataczając się, weszła do środka.

– Przedstawisz mnie przyjaciółce?

Wyciągnąwszy rękę, żeby natrętka nie upadła na stolik, Ruth szepnęła do Minny:

– Iwana Kuokkala, rosyjska malarka.

Kobieta z fajką zachichotała – miała na sobie kurtkę ze stójką.

– A jak ty się nazywasz?

– Minna von Hassel.

Minna miała duże doświadczenie w kontaktach z szaleńcami i знаła ich nieprzewidywalność. Sama zresztą przez połowę czasu była albo zalana, albo naćpana. Mimo to bliskość osoby pijanej zawsze wprawiała ją w zakłopotanie.

– Czym się zajmujesz?

– Kieruję zakładem dla psychicznie chorych.

Odpowiadała z pełną powagą. Przy pijakach ogarniał ją cichy wstyd za nich, za siebie, za ludzkość. Takie gwałtowne wyzwolenie z pęt konwenansów nie było ani wolnością, ani zwycięstwem, a tylko rozluźnieniem trzewi, ujściem brudnej wody.

– Jak ich zabijasz?

– Słucham?

– Pytam, jak zabijasz swoich pacjentów.

Minna zbladła.

– Spadaj – powtórzyła Ruth.

– Gazem czy promieniowaniem radioaktywnym?

– Wynoś się stąd!

Ruth kopniakiem wypchnęła artystkę z alkowy. Minna poczuła się naprawdę źle: a więc już wszyscy wiedzą o planie eliminacji chorych. Wizyta Mengerhäusena nie była zapowiedzią, ale potwierdzeniem.

– Najpierw wariaci – rzuciła szyderczym tonem malarka już zza kotary – a potem artyści!

– Nie zwracaj uwagi na tę idiotkę – uspokajała Ruth Minnę. – Nie jest zła, ale po paru kieliszkach robi się napastliwa.

Minna pokiwała głową i znowu się napiła. Miała wrażenie, że połyka fosforyzujący likier. Nie powinna teraz skupiać się na własnych zmartwieniach, nie po to tu przyszła.

– A więc – powiedziała z wysiłkiem – dlaczego zadzwoniłaś do mnie w środku nocy?

– Potrzebowałam porozmawiać.

– O czym?

Ruth się wahała. Wpatrzona w dno szklanki, zdawała się szukać tam odwagi. Miała okrągłą twarz, niegdyś dającą pozór wiecznej młodości. Dziś jednak to jabłuszko przywiędło, a połówka cera przypominała kość szpikową.

– Zrobiłam głupstwo.

– Jakiego rodzaju?

– Spotkałam się z kimś, z kim nie powinnam się już widywać.

Minna wysiliła się na żart:

– No, no, czyżby nowa namiętność w Berlinie?

– Nic z tych rzeczy, nie o to chodzi. Zupełnie nie o to.

– Więc o co?

Ruth wzruszyła ramionami, jakby wzdrygnęła się na zimnym deszczu.

– Rzecz w tym, że nie mogę powiedzieć.

– Dlaczego?

– To zbyt niebezpieczne.

– Ma związek z bandą Hitlera?

– Gdyby chodziło tylko o to...

Minna zaczynała się naprawdę niepokoić. Nie wyobrażała sobie nic gorszego od zagrożenia ze strony SS.

Ruth dołała sobie absyntu. Tym razem ceremonia odbyła się błyskawicznie. Bo trzeba było pić, pić jak najszybciej.

– Nie wiem, po co cię tu ściągnęłam. To egoistyczne. Po prostu miałam ochotę porozmawiać.

Minna wzięła ją za rękę.

– Dla ciebie zawsze znajdę czas.

Ruth próbowała się uśmiechnąć, ale mechanizm – zupełnie jak w zegarze – chyba nagle się zaciął. Minna dopiero teraz zauważyła, że obie są ubrane w ten sam sposób. Nie dość, że na krótkich włosach miały berety, to jeszcze te męskie marynarki

i spodnie. Na ławce zobaczyła trencz, który dopełniał całości. Pomyślała, że w tej alkwie znalazły się lustrzane odbicia. Uniosła szklaneczkę do ust i pozwoliła, by absynt powoli rozchodził się po jej ciele. Miała wrażenie, że jej mózg się rozpływa.

– Przyjęłam zamówienie... – szepnęła Ruth, której głos ochrypł od alkoholu. – To był błąd.

– Rzeźba?

– Tak, pewnego rodzaju.

– Kto jest zleceniodawcą?

Ruth uśmiechnęła się jak ktoś, kto z kąpielą wylewa dziecko, a przy okazji mydło i ręcznik.

– Diabeł.

Wychodząc z klubu, Minna znowu była pijana. Dwa razy w ciągu jednej nocy – pobiła własny rekord. Jednak nie żałowała tego nocnego wypadu. Ruth wezwała ją na pomoc, a ostatecznie to ona się podbudowała. Nie do końca uchwyciła istotę problemu przyjaciółki, ale ziołowe opary absyntu pomogły im obu odzyskać dobry humor. Przez dwie godziny naprawiały świat, nie przejmując się spektaklami, jakie Gineceum w regularnych odstępach proponowało zgromadzonym paniom.

Teraz musiała znaleźć samochód. Jeżeli dobrze zapamiętała, wystarczyło trzymać się tej szerokiej drogi z ubitej ziemi, tej zabudowanej czerwonymi domkami. Na jej końcu rysował się na tle nieba komin elektrowni ciepłej. *W porządku.*

Minna знаła tę okolicę. Moabit był liczącym się dostawcą wariatów i chorych na depresję, robotników pracujących przy taśmie, którzy całkowicie stracili siłę albo wolę życia, bo naziści okazali się pilnymi uczniami Taylora. Ludzie-maszyny łatwo tracili rozum, wkręcając śrubki. Zaśmiała się, wyobrażając to sobie. Faktycznie musiała się uchlać.

Domy robotników, wszystkie niemal identyczne, miały smutne fasady, a czasami ogródeczki, też ciemne i bardziej przypominające otwarty grób niż ogród. Wszystkie okna były zamknięte. Wydawało się, że noc wywłaszczyła mieszkańców. Pozostał tylko zapach – ciężki i duszący, spotęgowany letnimi temperaturami. Zaczynała się bać. Jej kroki, tłumione przez błotnistą ziemię, jakby się zacierały, choć stale szła.

Odwróciła się gwałtownie. Jakieś drgnienie, a raczej skurcz ostrzegł ją – ktoś za nią szedł. Jak okiem sięgnąć ani żywego ducha. Przyspieszyła kroku. Ale to nie takie proste, kiedy człowiekowi kręci się w głowie, a na nogach ma pantofelki jak lalka. Komin był coraz bliżej. Jeszcze kilkaset metrów i będzie przy samochodzie.

Kolejny sygnał. Tym razem zauważyła cień. Tylko mignął. Było po trzeciej rano. Pomyślała o tej okropnej malarce, która ją obraziła, ale dziewczyna była zbyt pijana, żeby za kimkolwiek iść...

Jeszcze szybciej. Kiedy znalazła się w obrębie elektrowni, skrzyła w prawo, potem w lewo, chociaż nie miała już pewności, czy zbliża się do celu. Dachy domów się zacieśniały, zasłaniały widok. Nie mogła zobaczyć kraftwerku. Ślepe mury, zamknięte okiennice, czarne drzwi... *Idź dalej, aż znajdziesz bulwary. Potem trzeba już tylko przejść wzdłuż basenów.* Znowu skrzyła, całkowicie zdając się na intuicję. Ziemia nigdy nie wydawała się jej tak twarda i płaska.

Nagle za podszeptem intuicji zerknęła przez ramię i zobaczyła go. Płaszcz z paskiem, ręce w kieszeniach, kapelusz zsunięty na czoło. Szedł prosto przed siebie w jej stronę.

Minna stłumiła krzyk i zdjęła pantofle. Wcisnęła je do kieszeni i pobiegła bosą po ubitej ziemi. Zimny grunt pod nogami dobrze jej zrobił. Rozpędzała się, czując, że trzeźwieje i że adrenalina zaczyna jej pomagać.

Po krótkim sprincie stanęła – drogę odcinały jej tory. Tory jak okiem sięgnąć, krzyżujące się, łączące i rozdzielające jak splątane węgorze w poświacie księżyca. W głębi ciemne zarysy stacji przeładunkowych, składów, hangarów. *Baseny są za torami*. Ruszyła bez namysłu. Każdy krok przypłacała otarciem skóry – nie biegła już po ziemi, ale po kamieniach, które przetaczały się i kaleczyły ją ostrymi brzegami.

Wcisnęła się między dwa wagony i zaryzykowała, oglądając się za siebie. Mężczyzna nadal podążał jej tropem. Trzymał ręce w kieszeniach, szedł bardzo szybko, nierównym krokiem. Szeroki w barach, oddychał, jakby nie wiedział, co to zmęczenie.

Wskoczyła w pantofle i pognąła w stronę ciemnych brył hangarów. Potykała się na kamiennym podłożu, ale przynajmniej nie raniła stóp. Biegąc, jakby patrzyła na siebie z góry – mała, zataczająca się sylwetka w trenczu i berecie, ryzykująca skręceniem nogi w labiryncie torowisk.

Przez krótką chwilę niczego nie widziała. Wpadła w czarną dziurę o posmaku rdzy. *Scheiße!* Rozbiła sobie głowę. Podniosła się i splunęła krwią. Może z kawałkiem wargi. *No już, ruszaj się*. Wciąż za nią szedł, zbliżał się, jakby nic nie było w stanie spowolnić jego marszu. Za kilka sekund ją dopadnie i – nie miała już co do tego wątpliwości – poderżnie jej gardło.

Chciała krzyczeć, lecz nie mogła. Chciała myśleć, ale też nic z tego. Wlokła się do składów, utykając, plując i jęcząc. Lada chwila nóż wbije się jej w szyję i zatoczy łuk jak szal o ostrzu brzytwy.

Ziemia zadrżała. Tory zaczęły wibrować, kamienie podskakiwać. Pociąg. Nadjeżdżał pociąg. Torem, który biegł kilka metrów przed nią. Albo za nią. Mogła pobiec i dostać się za te cholerne tory. Jeśli zdąży, to o włos, ale powinna spróbować. Dudniąca i gwizdząca masa składu odetnie drogę mordercy.

Ruszyła. Udręczone nogi, skatowane płuca... Kwas mlekowy ją zalewał, zżerał. Brakowało jej tlenu, komórki spaliły za dużo cukru. Była przecież lekarzem. Wiedziała, że fermentuje jak mleko.

Znów upadła. Alternatywa: umrzeć od ciosów mordercy albo pod kołami pociągu. Obłok, a raczej wybuch dymu przysłonił blask księżyca. Teraz niebo jakby pękło, pokryte rysami pary. I ten turkot kół, ten oszałamiający rytm...

Zgubiła pantofel. Po omacku szukała go na kamieniach, postrzegając jego utratę jako zapowiedź swej zguby, swej śmierci... W końcu namacała i chwyciła skórę, jej oczy oderwały się od lokomotywy i zwróciły w prawo. Mężczyzna był kilkadziesiąt metrów od niej, wciąż trzymał ręce w kieszeniach. Zobaczyła rondo jego kapelusza przecinające parę i światło jak okrągłe ostrze, które niszczy każdą przeszkodę, każdą barierę...

Pociąg już tu był. Zdołała tylko przeturlać się na bok i zacisnąć powieki. Potworny trojaki rytm ośwładnął ziemię – niesamowity turkot zagarnął wszystko, czas i przestrzeń. W tym momencie nie było już tej miarowości, która sieka świat i pluje parą, nie było ciężkiego sapania ani zgrzytu stali.

Mężczyzna nie zdążył przejść. Była ocalona. Utykając, szła dalej. Próbowiła włożyć but. Nareszcie mur hangarów kolejowych – lokomotywnia. Baseny na pewno były za nimi.

Znalazła przejście i przekonała się, że miała rację. Woda. Nabrzeża. Światło. Reflektory bezlitośnie odsłaniały każdy element: ruchome ramiona żurawi, wciągarki, haki na linach, barki... Choć spanikowana, nie zapomniała o swoim celu. Elektrownia. Nigdzie ani śladu komina. W lewo? W prawo? Musiała wybrać – jeden z końców basenu łączył się z kanałem nawigacyjnym i doprowadzi ją do elektrowni. Skręciła w prawo i zwolniła, żeby odetchnąć. Nie myśleć już o tym, co się wydarzyło. Najpierw wrócić do samochodu. I odjechać. Potem myśleć.

Nieoczekiwanie u stóp żurawia pojawiła się tamta sylwetka. Płaszcz, kapelusz – fedora, teraz widziała go wyraźnie. Nie miała czasu krzyknąć ani myśleć – odwróciła się i pobiegła w przeciwną stronę. W końcu zabije ją zmęczenie. Będzie musiała się poddać, bo jej krew nie podoła, bo po prostu opadnie z sił. Pokonana przez rezygnację.

Już prawie czekała na nóż kata jak na ulgę, gdy zobaczyła samochód. Nie swój, tylko mercedesa 170V. Wóz glińiarzy albo żołnierzy, albo jakichś innych mundurowych.

Chciała wrzasnąć, ale struny głosowe miała jak wypalone po wysiłku. Mężczyzna w mundurze stał oparty o karoserię, palił, jakby żył w innym świecie, beztroski, niegroźny. Wydawało się, że coś obserwuje przez szparę w rozwalającym się ogrodzeniu.

– *Herr Offizier!* – krzyknęła w końcu. – *Herr Offizier!*

Mężczyzna rzucił niedopałek. Był z gołą głową i to wydawało jej się dziwne. Nie widziała koloru jego munduru – zielony, czarny, szary. Orpo, SS, Wehrmacht... Zresztą i tak zawsze je myliła.

Szła dalej. W hangarze dwaj żołnierze, odwróceny do niej plecami, dobijali mężczyznę w koszuli. Klęczał cały we krwi i chyba miał zwichniętą żuchwę. Okruchy

szkła okularowego błyszcząły w jego oczach jak mika.

Szofer już dobył broni. Jak w koszmarnym śnie odwróciła się na pięcie i odeszła szybkim krokiem.

– Stój! – wrzasnął mężczyzna. – Stój!

Zobaczyła komin, zauważyła uchylone drzwi. Weszła. Kręcone schody, ohydny smród. Była w piecu. Na kolejnym stopniu spojrzała w dół. Nazista był na dole, z lugerem w ręku sprawdzał miejsce przed podjęciem pościgu.

Wstrzymała oddech. Zobaczyła, że mundurowy wchodzi na stopnie. Odruchowo popatrzyła w górę, ale widziała tylko schody niknące w ciemnościach. Jeśli tam pójdzie, wpadnie w pułapkę i będzie miała do wyboru skoczyć w przepaść albo dostać kulę w brzuch.

Mimo to szła w górę, trzymając się zaokrąglonej ściany, jakby liczyła, że się w nią wtopi, że zdoła zniknąć. Drażniąca woń się nasilała. Minna była coraz bliżej wahadła, jakiejś maszyny. Tik-tak, tik-tak... To wyglądało jak zegar, ale potężny, stworzony tylko po to, by wybić godzinę własnej śmierci.

Znów się wychyliła i zobaczyła rękę trzymającą się balustrady. Postawić wszystko na jedną kartę, zbiec z pochyloną głową i staranować go? Facet zdąży nacisnąć spust.

Wchodziła tyłem, głowę rozsadzało jej tykanie mechanizmu, które brzmiało jak odliczanie. Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem... Nagle za plecami poczuła pustkę – o mało się nie przewróciła. Mur się skończył. Odwróciła się, uświadamiając sobie, że oparła się o krawędź niszy – przewodu wentylacyjnego albo jakiegoś innego. Weszła tam na czworakach i skuliła się we wnęce.

Stukot butów było coraz bliższy, rozlegał się w dysharmonii z tykaniem, wciąż głośniejszym. Rozsądna osoba pozwoliłaby naziście przejść obok, modląc się, żeby jej nie zauważył. Ale Minna nie należała do takich osób. Kiedy zobaczyła mundur tak blisko, że mogła już rozpoznać błyszczącą w ciemnościach kłamrę, z rozmachem wyprostowała nogi i pchnęła żołnierza na balustradę. Nie spadł, jak się spodziewała. Zdążyła tylko wysunąć się z kryjówki, klęknąć i chwycić go za łydki.

Krzyknęła, wstając, ale nie tak głośno jak mężczyzna spadający w przepaść. Nawet nie sprawdziła, jak to się dla niego skończyło – facet poleciał z wysokości co najmniej dziesięciu metrów, podrywając tumany gryzącego kurzu. Zbiegła po schodach, pokonując po trzy stopnie i trzymając się poręczy, jakby była w wesołym miasteczku.

Nawet nie rzuciła okiem na ciało. Nie obejrzała się za siebie. Na zewnątrz w euforii oddychała świeżym powietrzem, upewniając się tylko, czy pozostali mężczyźni nie ruszyli w pościg za nią. Nie było żywego ducha.

Wybrała przypadkowy kierunek, nie przejmując się, dokąd właściwie idzie. Ważne było, żeby jak najbardziej oddalić się od morderców. Biegła od kilku chwil, gdy ktoś

brutalnie ją chwycił i wciągnął pomiędzy metalowe ścianki.

Nie któryś z nazistów, lecz morderca. Jego twarz nadal osłaniał kapelusz. Minnie przemknęła przez myśl idiotyczna w takiej sytuacji refleksja: „To nie fedora, tylko homburg”. Mężczyzna uniósł głowę i przyłożył Minnie sztylet do gardła. Ta sekunda była na swój sposób fascynująca dla psychiatry. O czym myślimy w obliczu śmierci? Przed oczyma nie przesuwają się jej sceny z życia, nie pomyślała o najbliższych i kochanych – *niby o kim?* Nic. Tylko puste wyczekiwanie, olśnienie, już jakby śmierć, ale na opak.

I wtedy wydarzyło się coś niesłychanego. Mężczyzna zwiesił rękę, opuścił sztylet, uwolnił ofiarę. Po sekundzie już go nie było.

Minna osunęła się wzdłuż stalowej ścianki i usiadła na mokrym bruku. Szlochała. Z radości, z poczucia ulgi, ze wstydu. Nic z tego nie rozumiała.

Jednak przez łzy przebijał się jeden szczegół. Coś zdumiewającego, jakby żywcem wyjętego z horroru.

Twarz mężczyzny.

Nie widziała jej wprawdzie zbyt dobrze, bo było ciemno, jednak nie miała wątpliwości – to była twarz z marmuru.

II

MARMUROWY CZŁOWIEK

Obudził go deszcz. Zupełnie nie pamiętał, w jaki sposób wrócił do domu, ale przynajmniej leżał we własnym łóżku. Nie pamiętał też choćby szczątków swego snu, a tego bardzo nie lubił. Spał, jakby wpadł głową w świeży beton, który natychmiast „chwycił” na skroniach.

Nachtigall, alkohol, Beewen... Simon zbyt dużo wczoraj usłyszał, żeby cokolwiek sobie przypomnieć. W tej chwili wszystko było jak magma, poplątane, zupełnie niespójne. Usiadł na łóżku, wyciągnął rękę i zdołał otworzyć oko.

Deszcz nad Berlinem.

Letni deszcz – lekki, odświeżający, pachnący – niespodziewany gość, który skupia na sobie wszystkie spojrzenia i oczarowuje wyjątkowym wdziękiem. Nastawił ucha – słyszał wyraźniej plusk kropli spadających na chodniki, dłuższe brzmienie tych, które dudniły o dachy i zsuwały się po nich, głuche bębnienie roztrzaskujących się o karoserie samochodów zaparkowanych na ulicy. Wsłuchiwał się też w rozedrgany szelest, w chłupot w koronach drzew – w ten zielony, gładki szmer, spokojny i jakby wznoszący się ku niebu.

I wreszcie wszystko sobie przypomniał. Trzy morderstwa. Susanne Bohnstengel. Margarete Pohl. Leni Lorenz. Trzy jego pacjentki. Trzy przyjaciółki. Trzy kochanki... Przychodziły do jego gabinetu, leżały na kanapie, otwierały się przed nim. Wszystkie śniły o Marmurowym Człowieku...

Wstał i poszedł do kuchni. Nie miał pojęcia, która może być godzina. Zerknął na zegar wiszący nad kuchenką gazową. Jedenasta rano. To nic. Nie miał żadnej sesji, a brutalna śmierć cechowała się szczególną mocą – spychała w kąt wszystkie inne sprawy życiowe.

Kawa. Młynek. Dzbanek. W roztargnieniu włączył radio w bakelitowej obudowie – VE 301 (Volksempfänger), tani model rozpowszechniony przez Josepha Goebbelsa, zwany „gębą Goebbelsa”.

Nagle wszystkie ziarna kawy rozsypały się po posadzce.

Młynek wypadł mu z ręki, gdy usłyszał tę wiadomość. Tego ranka, o świcie 1 września 1939 roku, Niemcy zaatakowały Polskę. A właściwie odpowiedziały na napaść na nadajnik radiowy w Gliwicach. Na tę prowokację Wehrmacht odpowiedział szeroko zakrojoną akcją, ripostując od północy, południa, zachodu, i już maszerował na Warszawę. *Tylko tyle.*

Nikt nigdy nie uwierzył w tę historię o stacji nadawczej, z całą pewnością przygotowaną przez Himmlera i jego klikę. To był szczegół. Faktem o zasadniczym znaczeniu było zaangażowanie się Niemiec w wojnę.

Simon patrzył jak zahipnotyzowany na ziarna kawy rozsypane po całej posadzce. Monotonny głos kontynuował relację na temat „niedopuszczalnej agresji ze strony Polski” i mówił o „pełnym prawie Niemiec do riposty”.

Wojna. Pamiętał, że Francja i Anglia obiecały Polsce wsparcie, a to oznaczało, że oba te kraje również wkroczą na wojenną ścieżkę.

Dobry Boże, tego ranka, 1 września, doszło do wybuchu drugiej wojny światowej.

Szybko otworzył okno. Powietrze oczyszczone po deszczu, niebieskoszary obraz przemoczonego miasta migocącego jak płomień – ten widok go pokrzepił. Zebrał ziarna, podniósł młynek i zaparzył sobie mocną kawę w dzbanku Bialetti Moka Express.

Nagle przypomniał sobie, że umówił się na obiad. Z Gretą Fielitz. W Bayernhofie. O dwunastej trzydzieści. Nie mógł odwołać spotkania. W żadnym wypadku, bo rozmowa z Gretą to początek jego śledztwa. Greta dobrze знаła ofiary.

Szybko opróżnił filiżankę i pobiegł wziąć prysznic.

Wyszedł na ulicę, deszcz już ustał. Teraz wszystko wskazywało, że dzień będzie upalny. W jeszcze parnym powietrzu wyczuwało się ciężką wilgotną masę, która sunęła na Berlin, żeby go udusić.

Gdy Simon znalazł się na zewnątrz, samoloty z hukiem przemykały po niebie. Wojna. Dobry Boże. Nie da się o tym zapomnieć. Na Potsdamer Platzu zobaczył oddziały, które miały ruszyć na wschód – wozy pancerne, ciężarówki transportowe, samochody z naczepami... Samochody zarekwirowano, by przewozić nimi żołnierzy na front w Polsce.

Pod jeszcze burzowym niebem ten orszak prezentował się wspaniale. Jak na zamówienie słońce torowało sobie właśnie drogę pomiędzy chmurami i uderzyło dokładnie w lśniący od deszczu sznur pojazdów. Palec Boży...

Na ulicach spodziewał się wyraźnego poruszenia – paniki albo entuzjazmu. Nie było ani jednego, ani drugiego. Nikt nie czytał gazet, stojąc na środku ulicy, nikt nie osłupiał. Nie było zbiegowisk ani gorących dyskusji, które rozpalają umysły. I na pewno żadnej manifestacji przed ambasadami wrogich państw. Albo berlińczycy nie wierzyli w wojnę, albo wierzyli zbyt mocno, a znużenie było ich reakcją.

Wpół do pierwszej mały Kraus przyszedł do Bayernhofu. Mimo wszystko zdążył zadbać o wygląd – wybrał homburg ozdobiony gamsbartem, pędzlem zrobionym z brody kozicy, który przystraja kapelusze Bawarczyków. Patriotyczną postawę należało okazywać właśnie w takich chwilach.

Bayernhof przy Potsdamer StraÙe 10–11 wzniesiono na początku wieku. Była to ogromna, niemodna już restauracja, bardziej przypominająca historyczną ciekawostkę niż dobry lokal. Ogrody z kamiennymi fontannami, sale tak duże jak hala dworcowa, olbrzymie żyrandole, mozaiki na platformach przedstawiające minnesingerów i innych trubadurów tradycji germańskiej.

Greta Fielitz już czekała. Zobaczył ją siedzącą prosto na krześle tuż przy kominku. Przeszedł jednym z trzech rzędów pomiędzy stolikami ustawionymi jak pionki do tryktraka. Wszystkie były zajęte, a zgiełk rozmów, przeplatany podzwanianiem sztucców, brzmiał jak fanfary.

Greta była naburmuszona. Jej buzia jak rumiany owoc wyglądała posępnie, niczym wiśnia u schyłku sezonu. Usta, za którymi szalał cały Berlin, były zaciśnięte, oczy zasnuła mgła, a w ich kącikach – o zgrozo! – rysowały się wyraźne zmarszczki. Z miejsca, w którym się znajdował, widział nawet zgromadzony między nimi puder.

Nasunęło mu się skojarzenie (za które się skarcił) z kurzem osiadłym na egipskiej masce.

– Wyglądasz, jakby coś się stało – powiedział, siadając.

– Słuchałeś wiadomości?

– Przecież się tego spodziewaliśmy.

– Tak, ale... Co teraz będzie?

Wyjęła z torebki puderniczkę i otworzyła ją opuszką kciuka. Przejrzała się w lusterku i nerwowo chwyciła puszek, by delikatnie przytknąć go w kilku punktach do twarzy, zupełnie jakby osuszała krwawiącą ranę.

Simon nie zamierzał wdawać się w powierzchowne dyskusje geopolityczne, nie był to najlepszy temat do obiadu. Obserwując Gretę kątem oka, zastanawiał się, jakie były jej relacje z Susanne, Margarete, Leni... W Klubie Wilhelma wszystkie utrzymywały, że są przyjaciółkami, ale ich znajomość wydawała się bardziej skomplikowana. Każda z nich często napomykała o tym na kanapie w jego gabinecie. Zazdrość mieszała się z rywalizacją, podziwem i... pożądaniem.

Pomyślał, że Greta byłaby zaszokowana wiadomością o ich śmierci... *Zapewniam cię, że to o wiele brutalniejsze od wiadomości porannych.* Zaschło mu w gardle. Sięgnął po butelkę adelholzenera, ulubionej wody mineralnej berlińczyków, napełnił nią szklanekę i łapczywie pił gazowany napój.

Najpierw postawił na swój normalny styl – mieszankę dowcipów i szczyptę komplementów, które zwykle pozwalały osiągnąć pożądany efekt. Nie dziś. Greta nawet się nie uśmiechnęła. Domyślił się, że jej ponury nastrój musi mieć inne przyczyny. Była przede wszystkim Damą Adlonu, polityka stanowiła dla niej tylko anegdotyczną kanwę.

Podszedł do nich kelner. Greta zamówiła swoją kartoffelsalat – a jednak – Simon poszedł w jej ślady, decydując się na lekki posiłek.

– Co się stało? – spytał z życzliwością. – Mnie możesz powiedzieć o wszystkim. Nadal jestem twoim psychoanalitykiem.

– Nie zaczynaj!

Simon zamilkł. Greta dojrzała. Musiał tylko zaczekać, aż owoc spadnie.

– Od dwóch nocy – zaczęła – mam ten sam sen...

Simona przebiegł dreszcz.

– Widzę biuro... Jestem tam, cała drżąca, w ręce trzymam swój certyfikat aryjskości. Patrzy na mnie mężczyzna. Nie rusza się, nic nie mówi, ale wyczuwam jego moc...

Simon się pochylił, przez nieuwagę popychając talerz i przewracając szklanekę.

– Ten mężczyzna... – zagadnął, niedbale stawiając naczynie. – Powiedz... jak on wygląda?

- Wolę... o tym nie mówić.
- Spróbuj sobie przypomnieć. To ważne.

Podniosła głowę. Jej delikatnie wyregulowane brwi, jasne jak włosy, kreśliły łuki na porcelanowym czole.

- Co chcesz mi powiedzieć?
- Opisz mi go.

Znów zwiesiła głowę, uporczywie nią kręcąc, w końcu jednak wyrzuciła to z siebie:

- Miał maskę. Przerazającą maskę.

Simon zacisnął pięści. *Do diabła, to niemożliwe...* Widział w jej oczach maleńkie srebrne błyskawice. Przy odrobinie wyobraźni można było je wziąć za runy SS.

- Marmurową maskę – ciągnęła. – Z białymi i czarnymi żyłkami, i...
- Wybacz na chwilę.

Simon już wstał.

- Zaraz wracam.

Niemal biegiem przeszedł przez salę. Ta luksusowa jadłodajnia, gdzie ludzie żarli i gawędzili, kiedy wybuchła wojna, wzbudzała w nim odrazę.

Przy wejściu zapytał, czy może zatelefonować. Wskazano mu kabinę. Podał numer i szybko wszedł.

- Co? – powiedział tylko Beewen, kiedy Simon wyjaśnił mu sytuację.
- Przyjdź. Jesteśmy w Bayernhofie. Nie ma chwili do stracenia.
- Lepiej wy tu przyjedźcie.
- Na Gestapo? Wykluczone. Nie powie ani słowa.

Beewen chyba się zastanawiał. Simon wyobrażał sobie minę tego draba z zezowatym okiem, kiedy głowił się nad śledztwem przerastającym i jego inteligencję, i wyobraźnię.

- Zaraz tam będę – powiedział w końcu gestapowiec.
- Tylko przyjdź po cywilnemu – dodał Simon. – Nie pogarszaj swojej sytuacji.

Wracając do stolika, uśmiechał się od ucha do ucha – nie chciał wzbudzać podejrzeń Grety.

Teraz musiał zyskać na czasie, a przede wszystkim nie pozwolić jej już mówić. Beewen musiał usłyszeć każde słowo jej relacji. Sam nie wiedział, jak mu się to udało, ale przez całe pół godziny prowadził z nią swobodną rozmowę o niczym.

Nagle Greta spojrzała na niego ostro.

- Wezwałś policję?

Wpatrywała się w wejście do sali. Simon odwrócił głowę i zobaczył Beewena, który się rozglądał. Był ubrany w letni garnitur, ale to nikogo nie zmyliło. Wyglądał, jakby miał wypisane na czole: GESTAPO. Świecącymi literami.

Simon wziął Gretę za rękę.

– Nie bój się. Wszystko będzie dobrze.

Simon uniósł rękę i gestapowiec w końcu ich zauważył. Przejściu Beewena przez salę towarzyszył szmer, ledwie wyczuwalne poruszenie – tacy jak on zawsze wywoływali strach. W Berlinie we wrześniu 1939 roku ta mroczna siła zdawała się poważnie wzmagać.

Greta poderwała się z miejsca.

– Co to ma znaczyć? Jak mogłeś mi to zrobić?

Wyciągnęła rękę po torebkę, ale Simon ją przytrzymał, ciągnąc spokojnie:

– Pozwól, że przedstawię ci Franza Beewena, mojego przyjaciela. Nie obawiaj się niczego.

Greta nie odrywała oczu od kolosa. Strach uczynił ją zaskakująco arogancką.

– Jest pan esesmanem? – spytała takim tonem, jakby chciała splunąć mu w twarz.

Simon rozejrzał się po restauracji – wszystkie oczy zwróciły się na nich. Przysunął krzesło od sąsiedniego stolika i kazał Beewenowi usiąść.

– Jestem z Gestapo – powiedział Beewen, zajmując miejsce – ale przyszedłem jako przyjaciel.

– Naprawdę niczego nie musisz się obawiać – powtórzył Simon.

Greta, wyraźnie zmęczona, osunęła się na krzesło. Na twarzy miała rumieńce, a pasemka kręconych włosów zdawały się drżeć na jej czole.

– Zależałoby mi – podjął serdecznym głosem Franz – żebyśmy porozmawiali tu i teraz, prywatnie, a nie formalnie.

– O czym?

– O pani śnie. O tym Marmurowym Człowieku.

Greta spojrzała pytająco na Simona.

– Nie rozumiem.

Psychoanalityk wyjaśnił uspokajającym tonem:

– To proste. Ten sen nas interesuje. Nie prosź mnie teraz, żebym ci tłumaczył dlaczego, ale Marmurowy Człowiek odgrywa istotną rolę w śledztwie, w którym uczestniczę.

– Jaką rolę?

– Greto, odpręż się. I po prostu opisz nam tę postać.

Siedziała ze spuszczoną głową i nerwowo bawiła się widelcem. Wydawało się, że sekundy się spalają w tym skrajnym napięciu.

– Najpierw – podjął Simon, jakby chciał ją oderwać od rozmyślań – powiedz nam, kiedy dokładnie zaczęłaś o nim śnić.

– Przedwczoraj. W dniu, kiedy się widzieliśmy.

– A wczoraj sen się powtórzył?

– Tak, tej nocy.

– Jego twarz jest z marmuru, dobrze zrozumiałem?

– Nie. Już ci powiedziałam, że on nosi maskę. Podobną do balowych, zasłaniającą tylko górną część twarzy... Kamień jest gładki, zielonkawy.

– A w jaki sposób widzi?

– Na wysokości oczu jest szczelina.

– Czy coś ci powiedział?

– Nie. Wygląda jak zwykły urzędnik. Jest... obojętny.

– Wspomniałaś o biurze. Pamiętasz jakieś elementy wystroju wnętrza?

– Obok niego stoi piec.

– Masz na myśli kuchenkę?

– Nie. To żeliwny piec, jak w lokomotywie. Drzwiczki są otwarte, widać, jak tańczą w nim płomienie, słychać trzask ognia. W moim śnie to palenisko nie służy do ogrzewania, to śmietnik. Może mężczyzna rzuci w płomienie mój certyfikat, a może nawet mnie, jeśli uzna, że nie jestem dobrą Niemką...

Zapadła cisza. Ale tylko na chwilę. Podszedł do nich kelner i pytająco spojrział na Simona – żadne z nich nie tknęło jedzenia. Psycholog dał mu znak, by zabrał talerze.

– Co dalej? – spytał Simon, kiedy kelner odszedł.

– To już wszystko. Scena się powtarza: przychodzę, Marmurowy Człowiek prosi mnie o certyfikat aryjskości. Mój sen na tym się urywa. Nie wiem, czy mój dokument jest właściwy, czy nie, czy ja sama jestem właściwa... Patrzę na piec i wyobrażam sobie, że płonę żywcem.

Kraus zerknął na Beewena. Niewzruszony, z kamienną twarzą, obserwował Gretę, która najwyraźniej go zainteresowała. Chyba rzadko zdarzało mu się spotykać z kobietami tak pięknymi jak Frau Fielitz.

– Potrafiłabyś powiedzieć, gdzie wcześniej widziałaś tego Marmurowego Człowieka?

– Co masz na myśli?

Simon udzielił jej krótkiego wyjaśnienia, w jakich celował:

– Nie sądzę, żeby ta postać była tworem twojej podświadomości. To strach, dręczący cię lęk uczyniły go bohaterem scenariusza snu. Ale moim zdaniem postać ta wywodzi się ze wspomnienia. Widziałaś ostatnio podobną rzeźbę, obraz...

– Nie przypominam sobie.

– Zastanów się. Gdzie mogłabyś się natknąć na tak dziwnego osobnika? W książce? W muzeum, w hotelu?

– Nie spędzam życia w hotelach – zaproponowała urażonym tonem.

– Może w jakiejś galerii?

– Powtarzam ci: nie wiem.

Simon wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął z niej pióro Dia. Przedramieniem odsunął szklanę, karafkę z wodą i serwetki.

– Powtórzmy wszystko. Bardzo dokładnie opiszesz mi tego człowieka, a ja go narysuję.

To śledztwo było dla niego okropne. Boże, jak on go nienawidził. Jeszcze rankiem, po przebudzeniu, myślał, że wszystko zaczyna się układać. Mimo że spadło mu na kark trzecie morderstwo, no a potem ten martwy gliniarz, o którym trzeba było natychmiast zapomnieć.

Lecz w końcu udało się ustalić narzędzie zbrodni. Precyzował się profil podejrzanego. Esesman morderca – to nie była dobra wiadomość, jednak istniały możliwości rozwiązania problemu. Beewen znalazł już pewien sposób, Perninken chyba był skłonny go zaakceptować.

I wtedy ten kurdupel wetknął swoje trzy grosze, wyciągając z kapelusza kolejną „śniącą”, która doskonale nadawała się na potencjalną ofiarę. Greta Fielitz. Trzydzieści jeden lat. Żona Güntera Fielitza, saksońskiego arystokraty o nazistowskich poglądach. I oczywiście członkini Klubu Wilhelma.

Podskakując na siedzeniu mercedesa, wpatrywał się w rysunek, który trzymał w rękach. Musiał przyznać, że Simon Kraus naprawdę świetnie rysował. Wyglądało na to, że ten dupek ma wszelkie talenty.

Skup się. Mężczyzna w dobrze skrojonym garniturze siedział za biurkiem. Na głowie miał rodzaj hełmu przypominającego średniowieczne z przyłbicą – z opuszczoną na twarz osłoną z otworami tworzącą rodzaj dziobu. Zamiast dziur, które ograniczały pole widzenia, przyłbica miała poprzeczną szczelinę biegnącą od końca do końca.

Absurdalne. Tym bardziej absurdalne, że opierając się na słowach Grety, Simon nadał masce dość jednoznaczne cechy – na wierzchu narysował brązowe i białe żyłki charakterystyczne dla marmuru.

Beewen miał ochotę wyrzucić to dziwadło przez okno. Tak oto wyglądał ich podejrzany, a w każdym razie gość snów, który obwieszczał rychłą egzekucję ofiary.

Dobrze, możliwości nie było tak dużo. Albo – i tu należało opuścić krąg racjonalnego myślenia – ta postać faktycznie wykradała się ze snów, by patroszyć ofiary, albo – i taką teorię przedstawił Kraus – kobiety widziały Marmurowego Człowieka w jakimś muzeum, restauracji, na filmie lub podczas spaceru z przyjaciółkami.

Kupił tę drugą hipotezę, ale nie wносиła niczego nowego. Jeżeli nawet przyjąć, że Susanne, Margarete, Leni i Greta były w tym samym miejscu, razem albo osobno, że widziały tę samą postać i zapamiętały ją, a potem żywiły nią sny, nie mówiło to nic o mordercy. Absolutnie nic.

– Dojeżdżamy, Herr Hauptsturmführer...

Beewen postanowił zajrzeć po drodze do domu. Z makabrycznej nocnej wycieczki udał się prosto do siedziby Gestapo, przebrał się w mundur i zajął analizą materiałów ze śledztwa. Próbował wyczytać coś między wierszami, odgadnąć, co takiego odkrył Wiener, że zarobił dwie kulki w łeb.

– Zaczekaj na mnie. Wrócę za dziesięć minut.

Beewen poszedł w kierunku odrapanej kamienicy, w której mieszkał. Nigdy nie chciał przenieść się do koszar. Cenił sobie niezależność, własne mieszkanie i swobodę. Efekt był oczywisty – za skromny żołd mógł pozwolić sobie tylko na pokoik w tym podrzędnym pensjonacie w Prenzlauer Bergu. W okolicy dominował browar, a kadzie fermentacyjne dniem i nocą wypluwały opary. Smród mocno wpływał na poziom czynszu. A latem – Bóg mu świadkiem – należałoby zwalniać mieszkańców z opłat, opary bowiem aż dusiły.

Beewen zapomniał na chwilę o śledztwie, żeby skupić się na prawdziwej wiadomości dnia: na wypowiedzeniu wojny. Był na to gotów. Wkrótce zamieni swój stopień w Gestapo na galony Wehrmachtu. Najpierw front w Polsce, potem Francja. Nareszcie!

Mimo to nie odczuwał żadnej radości – ba, nawet zainteresowania – w obliczu tak ważnego wydarzenia. *Mein Gott*. Po tysiącokroć wyobrażał sobie tę wojnę. Obmyślał ją starannie, drobiazgowo. Modelował ją jak rozgrzany do białości metal. Znał wszelkie jej mechanizmy, wszelkie możliwości. I oto teraz nic, no, prawie nic go nie obchodziła. Śledztwo nie dawało mu spokoju. Zakończyć dochodzenie – to było najpilniejsze. Potem zajmie się wojną.

Dzielił łazienkę z lokatorami ze swojego piętra, ale o tej porze – dochodziła trzecia po południu – nikogo tam nie było. W łazience znajdowały się sedes, umywalka, kabina prysznicowa, a nawet bidet. Jednak nic nie działało, posadzka była lodowata, zewsząd ciekła woda – tylko nie z kranów i nie z sitka prysznicza.

Dziś brązowawa strużka spełniła jego oczekiwania. Mógł się pod nią umyć, myśląc o ostatnich chwilach spotkania z Gretą Fielitz. Przed Bayernhofem wepchnęli ją do jego auta z kierowcą i usiłowali uspokoić. Beewen podjął już decyzję o przydzieleniu jej ochrony złożonej z gestapówek.

Zanim się rozstali, spytał Krausa:

– Znasz lekarkę psychiatrii, niejaką Minnę von Hassel?

– Oczywiście. Studiowaliśmy razem.

– Co o niej sądzisz?

– Nic.

– Powiedziałaś to tak, jakbyś zadławił się ością.

– Nie lubię burzujek, które zgrywają się na święte.

– Wolisz żony nazistowskich bankierów?

Kraus obrzucił go ponurym spojrzeniem.

– Może Leni czy Margarete nie leczyły wariatów w walącym się instytucie, ale wywalczyły sobie wszystko, co miały. Minna von Hassel urodziła się ze srebrną łyżeczką w rączce, a pozuje na męczennicę.

– Ona cię podziwia.

Simon zmarszczył brwi.

– Znasz ją?

– Leczy mojego ojca.

Beewen nie miał pojęcia, dlaczego zdradził mu tę informację. Zawsze uważał chorobę ojca za swoiste kalectwo, za wstydlivy sekret.

Simon był zbyt inteligentny, żeby drążyć temat.

– Wiesz, że napisała pracę doktorską na temat morderców recydywistów? – podjął Beewen.

– Podobno uważa się to opracowanie za szczególnie ważne, ale nie czytałem go. To nie moja problematyka. O ile pamięć mnie nie myli, Minna pracowała z psychiatrą, który badał wiele przypadków seryjnych morderców. Miał nawet możliwość rozmowy z nimi.

– Jak mógłbym się skontaktować z tym psychiatrą?

– Nie możesz. To Żyd. Prawdopodobnie nie żyje.

Usłyszawszy to, poszedł do swojego pokoiku i wyjął najlepszy mundur, ze srebrnymi galonami, lśniącymi pagonami i kordzikiem na łańcuszku.

Idąc do mercedesa, zauważył spojrzenia przechodniów. Strach łączył się w nich z podziwem. Kochał to. Nagle w uszach zadźwięczał mu głos małego Krausa, te słowa, które padły w Nachtigallu: „Jedna rada: ubieraj się po cywilnemu, prowadząc to śledztwo. Mundur SS nie zapewnia dyskrecji”.

Ubierać się po cywilnemu?

I co jeszcze?!

Doskonale czuł się w mundurze, doskonale czuł się na Prinz-Albrecht-Straße. Ten potężny gmach z ciosanego kamienia – prawie muzeum – był jego prawdziwym domem. Płaszczem, który go otulał i chronił. Człowiek ma taką rodzinę, jaką ma – akceptował tę prawdę jak fatalista: należał do obozu złych.

Przychodząc tam, Franz zawsze myślał o tym, czym był ten budynek, zanim zawładnęli nim naziści, o pracowniach, salach wykładowych, bibliotece... A wszystko pełne dzieł sztuki, teorii estetycznych i nadziei artystów. To był świat Krausa i Minny. Musiał ustąpić światowi Beewena. *Ustąpić młodości!* Ha, ha, ha!

Wbrew powszechnie panującemu przekonaniu podejrzanych przesłuchiwało się raczej w biurach niż w celach w suterenie. Dlatego idąc w górę po schodach, można było usłyszeć krzyki, jęki, tępe odgłosy uderzeń i błagania... Beewen od dawna nie zwracał na to uwagi. Podobnie jak on, większość jego kolegów z pracy wywodziła się z SA i przywykła do takich ponurych odgłosów. Były jak skrzywienie masztów i łopot żagli na statku.

Ktoś gwizdnął z podziwu, wrywając go z zadumy. Nawet nie zauważył, że jest już na swoim piętrze, i Grünwald, ten sfrustrowany świr z SS, stał jak zwykle w progu swojego gabinetu, udając teraz, że zachwyca się jego mundurem.

– Wystroiłeś się.

– Nie wszyscy mogą chodzić obsrani.

Grünwald i jego ekipa słynęli z niechlujstwa i brudu. Beewen wyobrażał ich sobie na froncie, jak błąkają się obdarci niczym strachy na wróble. Znikną tam, bardzo daleko, w zimnie, pod ostrzałem...

– Licz się ze słowami.

Beewen tylko się uśmiechnął. Może byłoby najlepiej, gdyby porachowali się raz a dobrze na dziedzińcu, na pięści albo na pałki, zamiast szykanować się na korytarzach jak głupie urzędaszy. Zrobił krok w stronę wąsacza, ale zrezygnował i tylko machnął ręką, pokazując, że nuży go ta potyczka. Miał pilniejsze sprawy na głowie.

W pokoju 56 Dynamo rozparł się w jego własnym fotelu. Położył brudną, zatłuszczoną torbę myśliwską na biurku obok maszyny do pisania Beewena.

– A co to ma być?

Hölm dźwignął się z fotela, wzdychając jak człowiek u kresu sił. Chwycił płócienną torbę za dwa rogi i pociągnął do góry: na biurko posypały się kordziki, spychając akta, pieczątki i pióra, tak że niektóre spadły na podłogę.

– Ejże, uspokój się! – krzyknął Beewen, starając się zminimalizować zniszczenia.
– Przecież tego chciałeś, nie? – zarechotał Dynamo. – Przyniosłem ci sporo naszych sztyletów, ale wyłącznie po to, żeby sprawić ci przyjemność. Niczego nie da się z tego wyłuskać.

– Mów jaśniej.

– Zadzwoń do Reichszeugmeisterei, które odpowiada za kontrolę sprzętu naszych jednostek.

– Dziękuję za wyjaśnienie, wiem, co to jest RZM.

– Wbrew temu, co ci się wydawało, nasze chłopaki masowo łamią kordziki, niszczą je albo gubią, czasem nawet sprzedają, ale o tym lepiej nie mówić. Administracja nadzoruje zamówienia, dostawy i udaje, że szuka winnych. Ale równie dobrze mogłaby szukać igły w stogu siana.

Beewen patrzył na noże rozrzucone po skórzanej podkładce. Były rozmaite. Widział rękojeści, gardy, ostrza, pochwy, zaczepy, łańcuszki – detale, które nieznacznie różniły się między sobą.

– Mamy tu kordziki SS model 33 i model 36, a także pojedyncze sztuki sztyletów SA, Wehrmachtu, SS-TV, kordziki honorowe, egzemplarze kolekcjonerskie, w tym opatrzone podpisem Ernsta Röhma czy Heinricha Himmlera. Ale to wszystko na nic się nie przyda. Jedyne, co ma dla nas znaczenie, to kształt ostrza i bruzdy na jelcu. A pod tym względem wszystkie te kordziki są jednakowe.

Beewen przyglądał się śmiertelnośnym przedmiotom o cechach wyrobów artystycznych i zrozumiał, że jego jedyny trop to porażka: na podstawie ran zadanych ofiarom niczego nie zdoła ustalić.

– Skontaktowałem się z wieloma warsztatami w Solingen: z Jacobsem, Carlem Eickhornem, Karlem Böckerem... Odpowiedzi były jednoznaczne. Nie da się odróżnić konkretnego kordzika na podstawie śladów. Wszystkie ostrza są identyczne, jeśli pominąć niemal niedostrzegalne detale.

Teraz, kiedy nabrał pewnego dystansu, dowód wydał mu się zbyt ewidentny, wręcz teatralny. I ten gest lekarza sądowego, który chwycił jego kordzik, by włożyć go w ranę... To wszystko było dziwne. Morderca, którego nigdy nie widział żaden świadek, który nie zostawiał żadnych śladów, jakby potrafił się dematerializować. Ktoś taki nie podałyby policji tego tropu na tacy.

Powrót do punktu wyjścia.

Beewen wyciągnął rękę i wepchnął cały ten bałagan do płóciennej torby.

– Mam dla ciebie zadanie – powiedziała, prostując się. – Trzeba przydzielić dwie funkcjonariuszki do obserwacji pewnej kobiety. Nazywa się Greta Fielitz. Na pewno mamy jej akta.

- Jest podejrzana?
- Nie, grozi jej niebezpieczeństwo. Trzeba ją ochraniać.
- Skąd wiesz, że coś jej grozi?
- Nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedział.

Rozległo się pukanie. Alfred wsunął głowę przez uchylone drzwi.

- Wiadomość dla pana, Hauptsturmführer.
- Zajmę się tym za chwilę.
- To prywatna wiadomość. Od kobiety.

Dynamo zarechotał, Beewen się wyprężył.

- Od kobiety?

Wciąż stojąc w progu, Alfred przeczytał z karteczki, poprawiwszy okulary w bardzo delikatnych oprawkach przypominające czułki szarańczy.

- Od Minny von Hassel. Powiedziała, że chodzi o pańskiego ojca.

Głośna muzyka płynęła z altany. Wokół stoliki, białe krzesła i stołki skupiały się pod zawieszonymi w górze balonami. Pośrodku wirowały pary z wesołą, zadowoloną z siebie, wręcz upojną lekkością. Panowała atmosfera radości – letniej, pachnącej kwiatami i piwem.

Beewen od lat nie był w biergarten – piwiarnie na świeżym powietrzu nigdy go nie pociągały. W jego odczuciu takie połączenie słońca, muzyki, piwa i kiełbasek nie miało sensu. Przyroda nie chciała walczyków ani zapaszków flammekueche. Szlachetne drzewa o bujnym listowiu zdawały się z politowaniem spoglądać na ludziki, które krążyły jak owady po parkiecie tanecznym albo opychały się przy stolikach.

Ogródek piwny znajdujący się na północ od Tiergarten nie różnił się od innych, jednak Franza uderzył panujący tu tłok i radosny nastrój. Właśnie wybuchła wojna, nadciągała apokalipsa, a pod kasztanowcami wszyscy wirowali, podrygiwali, galopowali w zawrotnym rytmie muzyki Josefa Lannera.

Beewen był zły, że Minna wybrała właśnie to miejsce na spotkanie. Prawdopodobnie zrobiła to przez uprzejmość – Beewen nie musiał się fatygować do Brangbo – jednak on nie mógł uwolnić się od myśli, że wskazując pełen ludzi ogródek piwny, postąpiła, jakby chciała uniknąć znalezienia się z nim sam na sam.

Zobaczył ją przy stoliku, samą i niepasującą tu w tej zamszowej kurtce i berecie, jak plama z musztardy nie pasuje do białego obrusa.

Odsuwając balony, przeciskając się między kelnerami i tancerzami, którzy usiłowali dostać się na estradę, Beewen szedł w jej stronę. W czarnym mundurze, z odznaczeniami na piersi i imponującym kordzikiem, on też wręcz raził na tej ludowej zabawie.

– Co to za wygłupy? – zapytał na powitanie.

Minna tak nerwowo mieszała łyżeczką kawę, że rozlewała ją na boki. Oczy miała szkliste, cerę prawie szarą. Wyglądała jak narkomanka.

– Niech pan siada – poleciała mu.

– Uważa pani, że to stosowne miejsce, by rozmawiać o moim chorym ojcu?

– Pański ojciec ma się świetnie.

– Co takiego? Pani wiadomość...

– Musiałam pana jakoś ściągnąć.

Beewen miał mieszane uczucia. Chętnie wpakowałby ją do celi, żeby nauczyć ją życia. Zarazem jednak kamień spadł mu z serca – ojcu nic nie było. W głębi duszy podziwiał też charakter tej kobiety, która nie wahała się użyć wszelkich „możliwych i koniecznych środków”, żeby osiągnąć cel.

– Wydaje się pani, że nie mam co robić? – burknął, niechętnie siadając. – Że marzyłem o kawie w Biergarten w środku popołudnia?

– Chciałam pilnie pomówić z panem o kilku sprawach.

Beewen spojrzał na zegarek.

– Słucham, ale przysięgam, że jeśli ściągnęła mnie tu pani, żeby...

– Ustawa z czternastego lipca trzydziestego trzeciego roku... Coś to panu mówi?

– Proszę darować sobie zgadywanki.

– Prawo o przymusowej sterylizacji.

– Sterylizacji kogo?

– Niepełnosprawnych, nieuleczalnie chorych, dotkniętych chorobami dziedzicznymi, niedorozwiniętych umysłowo, obłąkanych...

Rozejrzał się. Tancerze tańczyli, muzycy – zespół instrumentów dętych – narzucili szybki rytm. Kawalkada galopowała pod drzewami przy dźwiękach trąbki i metalicznym pisku. Można by pomyśleć, że to *danse macabre* przy wtórze sarkastycznych rechotów.

– Ściągnęła mnie pani, żeby mi to powiedzieć?

– Nie. Chciałam sprawdzić, czy słyszał pan o innym programie.

– Mianowicie?

– Ten program jest bardziej radykalny, ma ponoć na celu... eliminację chorych umysłowo.

Oczywiście, że słyszał. Zwykle plotki, tak samo jak przypisywanie nazistom zamiaru eksterminacji wszystkich Żydów albo potopienia Cyganów w Zatoce Kilońskiej.

– Jarmarczne plotki.

– Czy zna pan niejakiego Ernsta Mengerhäusena?

Gdzieś chyba słyszał to nazwisko, nie potrafiłby jednak powiedzieć kiedy ani gdzie.

– Nie – powiedział na wszelki wypadek. – Kto to?

– Ginekolog. Przyjechał do mnie wczoraj z listą.

– Z jaką listą?

– Chorych, których nazistowskie władze chcą przenieść do wzorcowego szpitala w Górnej Szwabii, w zamku Grafeneck.

Podszedł do nich kelner. Beewen zamówił kawę. Kelner skinął głową i ostrożnie postawił przed Minną mohrenköpfy.

Rzuciła się na nie, jakby nie jadła od kilku dni. Było coś obrzydliwego w tym, jak masakrowała łyżeczką ciemne kulki nadziewane kremem angielskim.

Franz skinieniem odprawił kelnera i wrócił do tematu:

– Mówiła pani o zamku Grafeneck. To chyba dobra wiadomość?

– Jak na człowieka z Gestapo jest pan bardzo naiwny. Pacjenci będą tam lepiej traktowani, ponieważ ich pobyt nie potrwa długo.

– Nie rozumiem.

– Zostaną wyeliminowani.

Beewen niespokojnie kręcił się na krześle. Myślał o śledztwie, o uciekającym czasie. Co on tu robi, po co słucha bredni psychiatry przebranej za kowboja?

– Ma pani dowody na to, co pani twierdzi?

– Nie. Właśnie dlatego prosiłam, żeby pan tu przyszedł. Pan może zdobyć informacje.

Wciąż pochłaniała mohrenköpfy, i to nie jak łakoma dziewczynka, ale jak narkomanka, jak osoba nie zrównoważona, która najczęściej zapomina o jedzeniu, za to czasami popada w nierozsądną żarłoczność.

– Przepraszam, naprawdę nie mam czasu.

– To ważne.

– Proszę mi wierzyć, w tej chwili dzieje się wiele ważnych rzeczy.

– Chciałam powiedzieć, że to ważne dla pana.

– Dla mnie?

– Pański ojciec jest na tej liście.

Beewen milczał. Nie zaskoczyło go to. Cóż można począć w Trzeciej Rzeszy z takim bredzącym wrakiem jak jego ojciec? Zgładzić go, to oczywiste.

Peter Beewen nie zasługiwał na wyjątkowe traktowanie. Już od dwudziestu lat przysparzał kosztów państwu, które z naddatkiem spłaciło dług wobec żołnierza Wielkiej Wojny. Teraz najlepszym wyjściem było się go pozbyć.

– Zobaczę, co da się zrobić – powiedział, wstając.

W pewnym sensie spodziewał się takiej chwili już od dawna. Porządek, któremu służył, miał się wkrótce stać jego wrogiem. A raczej, żeby być sprawiedliwym, to on stanie się wrogiem ojczyzny. Ponieważ nigdy nie pozwoli własnym kolegom wywieźć swojego ojca, żeby wstrzyknięto mu uśmiercający środek w Górnej Szwabii.

Już się odwracał, gdy Minna złapała go za rękaw.

– Dowie się pan?

– Już powiedziałem, że...

– Musi się pan pospieszyć. Mengerhäusen mówił o autobusach, o przewozie. Musi pan temu zapobiec!

Beewen spojrzał w dół – Minna wciąż trzymała go za ramię.

– Proszę usiąść – powtórzyła. – Proszę. Jeszcze nie skończyłam.

Spełnił jej prośbę.

– Co jeszcze?

– Tej nocy ktoś na mnie napadł.

– W instytucie?

– Nie. W Moabicie, w pobliżu klubu o nazwie Gineceum.

– Znam.

Minna nie zdołała ukryć zaskoczenia. Beewen o mało nie dodał: „Gestapo wie wszystko”, ale się powstrzymał. Nie zdziwiło go, że Minna von Hassel jest lesbijką.

– Umówiłam się tam z przyjaciółką.

– To zrozumiałe.

– Nie mam takich skłonności, jeśli o to chodzi.

– O nic nie pytałem.

– Widocznie się przesłyszałam.

– Co się stało?

– Było około trzeciej nad ranem. Jakiś mężczyzna szedł za mną...

– Złodziej?

– Nie. Morderca.

Beewen miał dużą zdolność adaptacji, tym razem jednak musiał przyznać, że sytuacja go przerosła. Skąd znowu usiłowanie zabójstwa?

– Czekał na mnie przed klubem i szedł za mną aż do nabrzeża Westhafen.

– Wymknęła mu się pani?

– Nie. Dopadł mnie w dokach, ale w ostatniej chwili mnie oszczędził.

– Dlaczego?

– Przypuszczam, że...

– Tak?

– Musiał mnie z kimś pomylić. Kiedy znaleźliśmy się twarzą w twarz, zauważył pomyłkę.

– Z kim mógłby panią pomylić?

– Przyjaciółka, z którą się spotkałam w Gineceum, była ubrana dokładnie tak jak ja.

– Ma pani inne powody, żeby sądzić, że to ona była celem?

Minna wahała się przez chwilę. Pochłonęła już łąkocie i wypła kawę. Mimo to wciąż obracała łyżeczką w filiżance. Napad mógł usprawiedliwić jej zdenerwowanie, ogół jej zachowań zdradzał jednak, że jest na głodzie. W kartotece zaznaczono, że ta burzujka to alkoholiczka, najwyraźniej jednak sięgała też po inne środki.

– Nie wiem. Ruth... ta przyjaciółka... zadzwoniła do mnie, żeby powiedzieć mi o jakimś problemie, ostatecznie jednak prawie nic nie powiedziała. Wyglądała na bardzo zaniepokojoną. Czuła się zagrożona.

Beewen nie spodziewał się czegoś takiego. Reżim nazistowski był najgroźniejszy na świecie dla tych, którzy nie szli wytyczoną drogą, toteż pospolici łotrzy praktycznie zniknęli z ulic Berlina. Kiedy mordercy są u władzy, przestępcy tracą niejako rację bytu.

– Widziała pani napastnika z bliska? Mogłaby pani go opisać?

Chwyciła się za głowę. Pod berecikiem jej twarz wyglądała jak spróchniałe drewno – była szara i pusta.

– I to właśnie jest niesamowite...

– Co?

– Jego twarz. Jego twarz była z marmuru.

Beewen, jedyny w tym tłumie bezmyślnych wesołków człowiek w żałobnej czerni, o mało nie spadł z krzesła.

– CO TAKIEGO?

– Przysięgam. Miał maskę, która wyglądała na marmurową. To było takie... absurdalne.

Niezdarnie (dwa razy ponawiał próbę, aż w końcu musiał zdjąć rękawiczki) Beewen wyciągnął z kieszeni rysunek Simona Krausa.

Rozłożył kartkę przed Minną.

– Czy napastnik był podobny do tego?

Twarc Minny z ziemistej przybrała biel pigułki aspiryny.

– Skąd pan ma ten rysunek? Czy w jego sprawie toczy się już śledztwo?

– Był do niego podobny? Tak czy nie?

– Tak. Dokładnie tak wyglądał.

Minna nie oczekiwała tak wiele. Beewen bez słowa wyjaśnienia natychmiast zabrał ją do mercedesa i polecił wskazać adres Ruth Senestier. Spodziewała się, że gestapowiec wpadnie w panikę na myśl, że jego ojciec znalazł się na czarnej liście, a historii o napaści wysłucha jednym uchem. Tymczasem stało się wręcz odwrotnie.

Beewen już wiedział o istnieniu mordercy z marmuru, miał nawet jego portret pamięciowy w kieszeni. Minna zarzuciła go pytaniami, ale nie odpowiedział na żadne.

Czy dobrym pomysłem było prowadzenie tego kata do niepokornej Ruth, która i tak wciąż miała problemy z władzą? Tak, bo przede wszystkim należało ją chronić. Nie przed nazistami, złem powszednim, lecz przed mordercą, który z całą pewnością chciał ją dopaść minionej nocy.

– Proszę mi opowiedzieć o tej przyjaciółce – polecił jej Beewen.

Objechali Tiergarten od strony ogrodu zoologicznego, potem skierowali się prosto na południe i minęli Kaiser-Wilhelm-Gedächtnis-Kirche – kościół Pamięci Cesarza Wilhelma – po czym dotarli do Kurfürstendammu, powszechnie zwanego Ku’dammem.

Niegdyś ta przeszło trzykilometrowa aleja była synonimem radości i elegancji, jednak dziś, po kryształowej nocy i wszystkich napaściach na żydowskich sklepikarzy, stała się już tylko miejscem hańby i odrazy. Kto chciał, mógł nadal oglądać tu wystawy, o ile lubił smak krwi.

– Proszę opowiedzieć mi o Ruth Senestier – powtórzył oficer SS nieco już zniecierpliwiony.

– Znam ją od końca lat dwudziestych. Byłam jeszcze studentką. Poznałyśmy się w szpitalu Charité. Ja byłam stażystką na oddziale traum wojennych, na który trafiali żołnierze wojny światowej dotknięci zaburzeniami psychicznymi. Ruth pracowała w sąsiedniej klinice.

– Mówiła mi pani, że to artystka.

– Owszem, ale wtedy współpracowała z Czerwonym Krzyżem. Robiła protezy twarzy dla zmasakrowanych żołnierzy.

– Jesteście bliskimi przyjaciółkami?

– Bardzo bliskimi. – Minna odpowiadała bez wahania, cieszyła się, że może mówić o Ruth. Malarka była niegdyś, a w pewnym sensie pozostała, jej duchową matką chrzestną. – To ona wpoila mi berlińskiego ducha.

– Jakiego ducha?

– Zostawmy to.

– Jest komunistką?

– Nie, bez przesady.

– Z czego żyje?

– Raczej nie ze sztuki, a przynajmniej nie z malarstwa ani z rzeźby. Długo współpracowała z czasopismami, rysowała ilustracje z modą, karykatury, ale musiała przestać...

– Dlaczego?

– I pan o to pyta? – powiedziała z wyrzutem Minna. – Ponieważ wydawca „Die Dame” to Żyd z pochodzenia i od trzydziestego trzeciego roku jest nieustannie prześladowany. Ponieważ „Simplicissimus” musiał przyjąć ideologię nacjonalistyczną, a Ruth tego nie chciała.

– Czyli to kobieta z charakterem – skomentował ironicznym tonem Beewen.

Minna zamierzała zripostować, powstrzymała się jednak – dość już zmarnowali czasu.

Beewen chyba był podobnego zdania.

– Dlaczego nosi francuskie nazwisko?

– Po mężu. Studiowała w Paryżu, a dokładniej w Akademii Juliana.

– Nie słyszałem.

– To jedna z najlepszych akademii sztuki w Europie. Kształcili się tam tacy malarze jak Pierre Bonnard czy Emil Nolde.

– O nich też nie słyszałem.

Minna westchnęła.

– Mówi pan to tak, jakby był z tego dumny. Tak czy inaczej, Ruth wyszła za swojego nauczyciela rysunku, Andrégo Senestiera. Oczywiście małżeństwo się rozpadło.

– Dlaczego „oczywiście”?

– Ponieważ Ruth woli kobiety.

– Rozumiem.

Minna stłumiła westchnienie. Beewen udający, że wszystko potrafi zrozumieć, coraz bardziej ją irytował. Pozował na wielkiego znawcę berlińskiego życia, ale ten etatowy rzeźmieszek w groteskowym mundurze tak naprawdę o niczym nie miał pojęcia.

– Co dokładnie powiedziała o tym zagrożeniu, o którym chciała z panią porozmawiać?

– Już panu mówiłam. Żałowała, że przyjęła zamówienie.

– Obraz? Rzeźba?

– Tak myślałam, ale wydaje mi się, że to coś innego.

- Co?
- Nie wiem.
- Nie podała żadnych szczegółów?
- Powiedziała mi tylko, że zleceniodawca to... diabeł.
- No tak...

Minna spojrzała Beewenowi prosto w twarz i rzuciła głośniej, niż zamierzała:

- Czy pan naprawdę jest taki tępy? Jestem pewna, że Ruth zagraża niebezpieczeństwo!

Wściekła na siebie za ten wybuch, wcisnęła się w kąt siedzenia i wyszeptała zbyt cicho, żeby Beewen mógł ją usłyszeć: „Przepraszam”. W rzeczywistości Minna była naćpana. Po napadzie odnalazła swój samochód i wróciła do willi rodziców. Spała niespokojnie, raz po raz się budząc.

Rano przypomniała sobie, że ukryła – zupełnie jak wiewiórka w lesie – zapasy w różnych zakątkach domu: tu eter, tam morfinę... Sięgnęła po nie, a potem oszołomiona zasnęła na jednej z kanap w salonie. Kiedy się ocknęła, było już po drugiej po południu.

- Minno – odezwał się Beewen, nie patrząc na nią – jeżeli naprawdę pani chce, żebym wam pomógł, to najwyższy czas skończyć z tymi zaczepkami i nie używać wobec mnie tonu drobnomieszczanki rewolucjonistki. Odnoszę wrażenie, że to do pani nie dotarło, ale w Niemczech nie toleruje się już tego rodzaju kaprysów. I zapewniam panią, że ani nazwisko, ani pieniądze nie wystarczą, by wiecznie panią chronić.

- Grozi mi pan?

Uśmiechnął się tylko.

- Wydaje mi się, że dojeżdżamy?

Minna wyszła na słońce i nabrała w płuca świeżego powietrza, w którym unosiły się zapach drzew i woń spalin samochodowych. Zamknęła oczy, delektując się chwilą. Takie szczęście warte było przejażdżki mercedesem Gestapo pod eskortą tępawego esesmana.

Musiała przyznać, że mimo strasznych rzeczy, które wydarzyły się na Ku'dammie, arteria zachowała swój urok. Szum samochodów, przechodnie i drzewa – to wszystko było jak zastrzyk życia, które znów tętni w żyłach. Kilka miligramów Ku'dammu dziennie i można było (prawie) zapomnieć o nazistach.

Ruth odziedziczyła mieszkanie po dalekiej ciotce. Prawdziwy skarb. Ku'damm to nie byle co! Porządna kamienica i ponadpięćdziesięciometrowa przestrzeń podzielona na salon i pracownię. Ruth nie potrzebowała sypialni, spała na podłodze, pod swoimi rzeźbami.

Idąc przez dziedziniec z olbrzymem za plecami, Minna się cieszyła, że znów odwiedza to uroczne miejsce, bo nie była tu od dobrych dwóch lat. Zesłana do Brangbo, nie miała okazji korzystać z tego, co oferował Berlin.

Schody wiły się wokół słupa światła. Idąc po nich, miała wrażenie, że otula ją słoneczny szal. Marzenie życia, życie jak marzenie – w stylu bohemy, z niewielkimi potrzebami i wielkimi pragnieniami. To było życie artystki wyśnzione przez rozpieszczoną córeczkę tatusia, ale też wizja nie tak odległa od codzienności Ruth.

Mieszkanie znajdowało się na piątym piętrze, na poddaszu kamienicy.

– Jest pani pewna, że zastaniemy ją w domu?

– Tak. Znam rozkład jej dnia. Popołudniami zajmuje się prawdziwymi dziełami.

– Nie powiedziała mi pani, co maluje ani co rzeźbi.

– Sam pan zobaczy.

Ruszyli wąskim korytarzem. To nie były komfortowe warunki mieszkaniowe, daleko do tego. Toaleta znajdowała się w korytarzu, a Minna pamiętała, że w maleńkiej kuchni można zrobić co najwyżej naleśniki. Prawdziwy luksus polegał na czym innym: na możliwości życia nad Ku'dammem, uprawiania sztuki w poczuciu pełnej wolności, obserwowania berlińczyków z okna i śledzenia gwarnego tłumu u swoich stóp.

Długo pukali, ale nikt nie otwierał.

– Musimy poczekać. Na pewno zaraz wróci. A może zejść i zapytam dozorczynię. Gdyby...

Beewen właśnie wyciągnął z kieszeni pięknego munduru komplet wytrychów. Bez słowa grzebał w zamku, zupełnie jak pospolity włamywacz.

W tej scenie Minna dostrzegła głęboką prawdę o wszystkich nazistach wystrojonych jak na niedzielną mszę. Banda godnych pogardy łotrów: najpierw zagarnęli władzę, a teraz rabują kraj, którego panami się uczynili.

– Proszę – powiedział Beewen, nie mogąc powstrzymać uśmiešku satysfakcji.

Wszedł do mieszkania, wtedy jednak Minna, w poczuciu niezrozumiałego zawstydzienia, przepchnęła się i poszła przodem. Ruth Senestier zwykła mówić: „Kiedy policja jest kryminalna, każdy niewinny ślad staje się winny”.

Wślizgnęła się do saloniku i stanęła jak wryta. Na ścianie na wprost – na tej, na której Ruth powiesiła kilka oprawionych w ramki karykatur, bo była z nich dumna – długa pionowa smuga krwi sięgała sufitu.

Pod nią przy niskim stoliku leżało poskręcane ciało Ruth. Rzeźbiarka miała rozplątane gardło. Ciemnoczerwone tkanki śmiały się makabrycznym uśmiechem, szczerząc kręgi szyjne niczym zęby widoczne w głębi rany. Głowa, niemal oderwana, trzymała się korpusu tylko dzięki skórze na karku.

Ruth wyglądała, jakby zastygła w konwulsjach: z nogami podkulonymi do piersi, nienaturalnie przekreconą prawą ręką z wyciągniętą dłońią, lewym ramieniem zgiętym pod kątem prostym i leżącym w kałuży krwi, która rozlała się w promieniu metra od zwłok.

– Proszę niczego nie dotykać – ostrzegł Beewen.

Nie musiał – Minna zamieniła się w słup soli. Wodząc wzrokiem po salonie, jakby miała nadzieję znaleźć jakieś wsparcie, a może dementi, że to wszystko to tylko koszmarne sen, zauważyła na wieszaku płaszcz i beret. Minionej nocy Marmurowy Człowiek chciał zamordować właśnie Ruth. I przyszedł do niej, by zrobić to, co nie powiodło mu się koło elektrowni.

Minna osunęła się na podłogę.

– Do diabła, proszę się wziąć w garść. Czy to Ruth Senestier?

Zdołała tylko skinąć głową. Ujął ją pod rękę i jednym pociągnięciem postawił na nogi.

– Proszę usiąść i nie ruszać się z miejsca. Przyniosę pani wody.

Zobaczyła, że wyjął broń, i bezsilnie osunęła się na krzesło. Właściwie jeszcze nie dotarło do niej, co się stało ani czego cudem uniknęła. Ciało Ruth leżało przed nią, boleśnie przywołując ją do rzeczywistości.

Beewen, który niósł szklanekę wody, nagle się zatrzymał.

– Co to jest?

Oficer wpatrywał się w uchylone drzwi, dokładnie przed sobą.

- Jej pracownia.
- Mówię o ścianie.

Podał jej szklankę i podszedł bliżej. Minna wypła kilka łyków, a potem podreptała za nim. Stanęli w progu. Pomieszczenie było niezbyt duże i zagracone mnóstwem prac, na ogół niewykończonych, poniewierających się między szmatami i płachtami osłaniającymi podłogę.

Na sztalugach – malowidła, a raczej rysunki ukazujące blade, niemal przejrzyste kobiety szkicowane lekką kreską. Rzeźby były zupełnie inne – małe zwierzątka z gipsu, brązu, malowanego drewna, stojące na cokolikach, jakby lęk przestrzeni uwięził je na szczycie góry.

Jednak Beewen patrzył na coś innego: na ścianie wisiała seria gipsowych masek. Męskie twarze zniekształcone, okaleczone, z dziurami w ciele, zmiżdżeniami, bliznami. Przerażająca miazga skóry, mięśni i pokruszonych kości, poprzemieszczanych, powgniatanych.

- Mówiłam panu, że Ruth pracowała w Czerwonym Krzyżu – przypomniała Minna. – To odlewy twarzy żołnierzy, którzy odnieśli rany.

- Wspominała pani o protezach...
- Zgadza się. Na podstawie tych odlewów robiła mosiężne maski, żeby...
- Przywrócić im ludzkie twarze?
- Właśnie.

Minna niejako w drgnieniach czoła dostrzegła myśli, które w zawrotnym tempie nabierały kształtu w głowie Beewena. Domyśliła się, że kiedy wspomniała o protezach, gestapowiec wyobraził sobie kauczukowe zaczepty i metalowe płytki tworzące skomplikowane mechanizmy, które umożliwiały okaleczonym poruszanie szczękami albo odzyskanie względnego wyglądu twarzy.

- Może pani chodzić? – spytał nagle.
- Tak, chyba tak.
- W takim razie pomoże mi pani.
- W czym?
- Zaraz wszystko pani wyjaśnię – rzucił, podając jej parę rękawiczek.

– A co wy tu robicie?

Przed jego drzwiami stali Beewen i mała von Hassel, która nawet w ciuchach jarmarcznej artystki wyglądała czarująco.

– Masz pacjentkę? – spytał gestapowiec.

– Oczywiście. A o co chodzi?

Oficer odsunął go, by wejść.

– Pozbądź się jej. Musimy porozmawiać.

Simon patrzył na Minnę potulnie idącą za oficerem. Wyglądała na ogłuszoną, jakby kawał muru z Reichstagu spadł jej na głowę. Beewen też nie sprawiał wrażenia człowieka w dobrym nastroju. Czego chciały te dwa złowróbnne ptaki o szóstej wieczorem?

– Do poczekalni – rzucił kategorycznie.

Przerwał sesję z pacjentką, znerwicowaną z Charlottenburga, której wyznań nawet nie nagrywał – co jasno mówi, jak była interesująca.

Kiedy wrócił, wymownie popatrzył na ciężkie buciory gestapowca depczące jego kubistyczny dywan i na pantofelki laleczki, w których Minna przechadzała się po geometrycznych formach.

– Co się stało?

Nie był w nastroju, nie zamierzał nawet proponować im kawy ani niczego innego. Żadne nie odpowiedziało na jego pytanie.

– Chodźcie.

Przeszli do jego gabinetu. Beewen, nie czekając na zaproszenie, rozsiadł się w fotelu, a leciutka Minna na kanapie. Przybrała skromną pozycję – kolana zwarte, splecione dłonie na udach. Postarzała się, ale nie tak bardzo. Prawdę mówiąc, na jej delikatnej skórze widać było głównie zniszczenia poczynione przez alkohol i narkotyki.

Simon nie oparł się pokusie, by jej odrobinę dokuczyć:

– Jak się miewa nasz kat z Brangbo?

– Dziękuję, doskonale. A żigolak tych damulek?

– Zastanawiam się, jakim cudem twoi pacjenci przeżywają te barbarzyńskie kuracje.

– Przynajmniej próbuję ich leczyć. I nie szantażuję ich.

– Dość! – przerwał Beewen. – Ile wy macie lat, co? Daję słowo, że teraz mamy ważniejsze sprawy.

Siedzący za biurkiem Simon zapalił papierosa i zarzucił nogi na blat, żeby podkreślić, że jest u siebie i czuje się pewnie. Ale chyba trochę przesadził.

Po dziesięciu minutach nogi same zeszły na podłogę, a zapomniany papieros zgasł w popielniczce.

Beewen przyszedł, żeby opowiedzieć mu nieprawdopodobną historię, w której mieszało się usiłowanie zabójstwa Minny von Hassel, morderca z marmurową twarzą (bardzo realny), inne (tym razem udane) zabójstwo na osobie niejakiej Ruth Senestier, z zawodu artystki i wytwórczyni protez twarzy dla żołnierzy pokiereszowanych podczas Wielkiej Wojny.

Jeśli dodać do tego relację Greta Fielitz sprzed zaledwie kilku godzin – a więc wówczas czwartej potencjalnej ofiary – to ten dzień należałoby nazwać wypełnionym po brzegi.

– Wczoraj wieczorem – ciągnął Beewen, jakby głośno myślał – Ruth powiedziała Minnie, że żałuje przyjęcia zamówienia. „Pewnego rodzaju rzeźby”. Dlaczego nie uznać, że mówiła o wykonaniu maski?

– Mogła zrobić maskę mordercy?

– Ruth dodała, że zleceniodawca to diabeł.

Do rozmowy włączyła się Minna:

– Może ten „diabeł” to człowiek ze zdeformowaną twarzą, którego poznała, kiedy wyrabiała protezy. Może zwrócił się do niej z prośbą o wykonanie maski imitującej marmur.

– A może Hitler ma sztuczne wąsy i jest kobietą.

Beewen obrzucił Simona piorunującym spojrzeniem. Psychiatra zapalił drugiego papierosa i spojrzał na swoich rozmówców – olbrzyma w czarnym mundurze (jednak uległ tej słabości) i psychiatrę – tak piękną, błyskotliwą, ale przebraną dziś, diabli wiedzą dlaczego, za kanadyjskiego trapera.

– Jaka jest wasza hipoteza? – zapytał w końcu. – Morderca miałby być żołnierzem, który podczas Wielkiej Wojny doznał obrażeń twarzy?

– To prawdopodobna hipoteza.

– Ale dlaczego miałby zabić Ruth?

– Ponieważ była bliska ujawnienia prawdy. O mało nie powiedziała o wszystkim Minnie.

Simon się zaciągnął i poczuł się, jakby papieros wypalał mu nie tylko gardło, ale i mózg.

– Znaleźliście w pracowni Ruth ślady tej pracy? – podjął. – Mam na myśli coś, co dowodziłoby, że wróciła do wyrobu masek?

– Nie.

– Protezy powstawały w innym miejscu – wtrąciła Minna.
– Skąd wiesz?
– Poznałam Ruth w szpitalu Charité w latach dwudziestych.
– W latach dwudziestych ledwie zaczęliśmy studia medyczne.
– Już wtedy starałam się być przydatna.
– Jasne, zawsze ten syndrom bernardyna.
– W tym czasie ty robiłeś amfetaminę, którą nam sprzedawałeś, i sypiałeś ze starymi hrabinami, żeby...

– Znowu się zaczyna! – wrzasnął Beewen, podrywając się z fotela.

Przeszedł kilka kroków.

– Ruth pracowała wtedy w Studiu Gesicht – podjęła Minna. – Nie wiem, czy nadal istnieje, ale wystarczy skontaktować się z Czerwonym Krzyżem.

– Na czym dokładnie polegała ta praca?

Beewen usiadł niczym nauczyciel, który chce udzielić głosu uczniom.

– Żeby wykonać tego rodzaju protezę, trzeba najpierw zrobić odcisk zdeformowanej twarzy. Potem odtwarza się rysy na podstawie zdjęć albo tego, co da się wydedukować z reszty twarzy. Używając specjalnej plasteliny, Ruth dodawała kości, brakującą tkankę, mięśnie. Po tym etapie robiła nowy odlew z wosku, a następnie wykonywała galwanoplastykę.

– Co to takiego? – zapytał Simon.

Siedząca wciąż na kanapie Minna rozplotła palce i gestykulowała. Jej dłonie były subtelne niczym skrzydła.

Simon wolał za bardzo się jej nie przyglądać. Uroda Minny raniła mu serce. Po pierwsze dlatego, że nigdy jej nie posiadał. Po drugie dlatego, że zawsze wyczuwał w niej głęboką pogardę wobec niego, wyniosłość, która była dla niego torturą.

Młoda baronówna nigdy nie dała się wciągnąć w jego gierki. Nie chciała słuchać wywodów początkującego geniusza. Nigdy nie kupiła od niego amfetaminy, chociaż już wtedy była narkomanką. No i oczywiście nigdy nie traktowała go jak poważnego starającego się.

Był karłem, byle kim, błaznem.

– By powstała maska, formę trzeba zanurzyć w roztworze siarczanu miedzi i puścić prąd stały. Pod wpływem elektryczności cząsteczki miedzi osiadają na jej powierzchni. Po zakończeniu tego etapu uzyskuje się epitezę, czyli protezę twarzy. Nadążasz?

– Nie jestem aż taki głupi. I gość nosi to na twarzy do końca życia?

– Nie ma wyboru. Ruth bardzo starannie malowała maski. Dobierała odpowiedni odcień, dodawała szczegóły, takie jak pory skóry czy włoski na brodzie. Iluzja była doskonała. Rzęsy wycinała z cienkiego metalu, oczy robiła ze szkła albo z drewna. Na

zakończenie często dodawała sztuczne wąsy lub brodę. I wreszcie mocowała maskę ledwie widocznymi drucikami albo wykorzystywała do tego zintegrowane z nią oprawki okularów. W tamtych czasach robiła dziesiątki masek.

Zapadła cisza. Simon uniósł głowę i wolno wypuszczał dym z papierosa, który rozpląwał się pod sufitem. Cała ta historia wytrąciła go z równowagi. Przede wszystkim nie przywykł do trupów mnożących się wokół niego, nawet za rządów nazistowskich. Poza tym trupy, które teraz się pojawiały, wiodły do świata obłądu jeszcze wyraźniej niż same morderstwa. O tym, że baronówna von Hassel nagle wylądowała na jego kanapie i bawi się w detektywa amatora, wolał nawet nie wspominać.

– Jednym słowem – podjął sarkastycznym tonem – morderca ze zmasakrowaną twarzą krąży po Belinie. Niedawno odwiedził kobietę, która po wojnie zrobiła mu maskę, Ruth Senestier. Z nieznanego nam powodu zamówił nową, tym razem o wyglądzie marmuru.

– To tylko jedna z hipotez – przypomniał mu Beewen.

– Dlaczego miałyby zamówić taką maskę?

– Kaprys mordercy.

Simonowi się wydawało, że gestapowiec nie odnajdzie się w takim świecie. Tymczasem Beewen radził sobie nadspodziewanie dobrze. Kraus wyczuwał, że w głębi ducha ten przerośnięty nazista jest podekscytowany współpracą z Minną von Hassel.

– A dlaczego Ruth Senestier miałyby przyjąć takie zlecenie?

– Tego możemy się tylko domyślać – rzuciła Minna, wstając.

Ci dwoje zachowywali się jak po amfetaminie. Ale może był to tylko wpływ adrenaliny. Przecież dopiero co odnaleźli zwłoki tej Ruth. Ciąg zdarzeń wprowadził ich w stan graniczący z transem.

Minna podeszła do biurka, otworzyła papierośnicę Simona, wzięła papierosa, przypaliła go własną zapalniczką i odeszła.

Simon splótł ręce na piersi.

– Wciąż jednak nie rozumiem, dlaczego tu przyszliście i opowiadacie mi te historyjki.

Beewen i Minna zerknęli na siebie. Simona uderzyło panujące między nimi zrozumienie. Rozdrażniło go to. Nie widział się z Minną von Hassel od lat i oto dziś przyszło mu patrzeć, jak puszcza oko do nazistowskiego wieśniaka.

– Chcemy, żebyś dołączył do naszego zespołu dochodzeniowego – oznajmiła Minna.

Wciąż wpatrywał się w swoich gości. W nazistowskiego olbrzyma cyklopa, który tkwił w fotelu jak oprawiony kamień w pierścionku, i w tę pupilkę tatusia, która gorączkowo krążyła za jego plecami. Faktycznie, do tropienia seryjnego mordercy, który grasował po Berlinie, brakowało im już tylko psychiatry oszusta sztukującego się obcasami.

– Nie ma sensu, żebym do takiej sprawy angażował moich ludzi – wytłumaczył się Beewen.

– Jasne, muszą tego mieć wyżej uszu.

– Jesteś z nami czy nie? – zapytała Minna.

Przed oczyma stanęły mu Susanne, Margarete, Leni. Pomyślał o Grecie, której także groziło niebezpieczeństwo. To były jego pacjentki, kochanki, ofiary; im zawdzięczał sukces, komfort, najlepsze chwile w Berlinie. Tak wiele zawdzięczał ich milczeniu – żadna z nich go nie wydała.

– Dlaczego ja? – zapytał tylko.

– Masz swoje wejścia do Dam Adlonu. Jesteś znawcą snów.

– Nie widzę związku.

– Znajdziemy go. To jeden z kluczy do tej sprawy.

Simon łamał sobie głowę, szukając wymówek – nie mógł tak po prostu się zgodzić.

– Nie jestem policjantem.

– Minna też nie. Jesteście mi potrzebni jako doradcy. W pozostałych kwestiach możecie mi zaufać. Gestapo dysponuje wszystkimi niezbędnymi środkami.

Przez krótką chwilę Simon obserwował Minnę, która udawała, że przegląda grzbiety książek w bibliotece. Aż ścisnęło go w żołądku. Z pewnością czytała wszystkie te pozycje. Łączyło ich wspólne wykształcenie, wspólne zainteresowanie szaleństwem, wspólne powołanie do zajmowania się marginesem umysłu i osobowości. Dlaczego nigdy nie udało im się dogadać, choćby tylko spokojnie porozmawiać, bez zjadliwych uwag i bezlitosnych ataków?

Studenckie potyczki, pomyślał głupio. W rzeczywistości to on swymi nędznymi kombinacjami, a także zawsze prowokacyjną postawą, wykopał tę przepaść między nimi. Kompleks niskiego wzrostu. Kompleks pochodzenia.

Te refleksje wznieciły w nim gniew.

– A co się stanie z twoimi biedakami z Brangbo?

– Zaczekają. Tak często mi powtarzałeś, że są nieuleczalnie chorzy. Teraz chcę odnaleźć mordercę Ruth. To dla mnie najważniejsze.

Podjął decyzję. W godzinie nazistowskiej dyktatury, niesprawiedliwości rzucającej się w oczy na każdym rogu ulicy, w godzinie, gdy wojna zaczynała ogarniać Europę, musiał przestać troszczyć się wyłącznie o dobór kapelusza i o pieniądze, które wyciągał od pacjentek.

– Wchodzę w to – powiedział w końcu. – Jaki macie plan?

– Jeszcze dziś wieczorem jadę do Czerwonego Krzyża, żeby przejrzeć archiwum Studia Gesicht i sporządzić listę pacjentów, którymi zajmowała się Ruth Senestier – powiedział Beewen.

– Dlaczego ty, a nie Minna?

– Nawet by jej tam nie wpuścili. Po Wielkiej Wojnie sytuacja w Niemieckim Czerwonym Krzyżu bardzo się zmieniła.

– Masz na myśli to, że są tam sami naziści.

– Mniej więcej.

Simon zwrócił się Minny, która znowu siedziała na kanapie:

– A ty? Może mogłabyś spotkać się z kilkoma ludźmi, którzy wrócili z wojny ze zmasakrowaną twarzą? Nieuleczalni to twoja specjalność.

– Zacznę od pogrzebania we własnym archiwum – odparła spokojnie, ignorując ironiczny ton Krausa.

– W archiwum Brangbo?

– Nie. W materiałach do mojej pracy doktorskiej. Może zapomniałeś, ale pracowałam nad...

– Pamiętam. Ale to jeszcze nie czyni z ciebie specjalistki od tego rodzaju morderców.

– Masz rację. Jednak podczas studiów analizowałam różne profile, rozmawiałam z psychiatrami, sędziami, strażnikami więziennymi. Sporządziłam wtedy nawet listę morderców psychopatów, którzy siali w Niemczech strach od początku stulecia. Być może niektórzy wyszli na wolność. Warto sprawdzić.

Simon znów sięgnął po papierosa i ogarnął ich spojrzeniem, wciskając się w fotel.

– A moja rola w tym wszystkim?

Minna ubiegła Beewena, odpowiadając:

– Dla ciebie zostawiliśmy towarzyski obszar śledztwa.

Korciło go, żeby dać jej w twarz, ale nie należał do mężczyzn, którzy biją kobiety.

– Liczymy, że zajmiesz się tropieniem mordercy wśród członków Klubu Wilhelma – wyjaśnił Beewen. – Z niezrozumiałego dla mnie powodu tam właśnie wszystko się zaczęło. Sprawca zna te kobiety i nie ma problemów ze zbliżaniem się do nich.

– I to jest niezrozumiałe – dodała Minna – jeśli przyjąć, że ma zmasakrowaną twarz.

Simon przestał słuchać. Zaczynał mieć dość ich teorii, ich rad – za dużo słów, za dużo hipotez. Jeżeli chcą, aby wypełnił misję, którą mu powierzyli, muszą pozwolić mu działać tak, jak uzna za słuszne.

Wstał, żeby dać im do zrozumienia, że przerwa – przepraszam – prezentacja dobiegła końca. Dość już usłyszał.

W progu gabinetu uprzedził Beewena:

– Jeszcze jedno. Nie kiwnę palcem, dopóki nie zapoznam się z całością akt.

Wynoszenie akt sprawy, żeby powierzyć je cywilowi, było poważnym wykroczeniem wobec niezależności Zakonu SS. Świątokradztwem w religijnym znaczeniu tego słowa. Albo jeśli ktoś woli, tabu we freudowskim rozumieniu.

– Dostaniesz je jutro rano.

Tylko raz Simon wstał, by zaparzyć sobie kawy. Musiał wszystko przemyśleć. Pozwolił im snuć domysły o elektrycznej masce, o artystce zabitej przez zleceniodawcę, o oszpeconym żołnierzu, który zdołał wślizgnąć się między najpiękniejsze berlinianki, jakby był urodziwym księciem.

To się nie trzymało kupy.

W rzeczywistości pomijali najbardziej pasjonujący element tej historii: dlaczego Marmurowy Człowiek pojawiał się w snach? Kiedy esesman i lekarka psychiatrii bredzili o Ruth Senestier i jej galwanoplastyce, on skupił się na czymś innym. Ujmując to krótko, teraz rysowały się dwie drogi śledztwa: z jednej strony oficer SS i jego zabójczy kordzik (ale Beewen zdawał się odrzucać ten kierunek), z drugiej morderca bez twarzy i jego maska.

Simona zainteresował trzeci trop – morderca zdolny zapowiadać swe nadejście w snach. Wbrew wszelkiej logice powiedział sobie, że przy odrobinie szczęścia on też może śnić o Marmurowym Człowieku. Przecież sny należą do wszystkich...

Z czarną jak smoła kawą pobiegł do pokoiku kryjącego jego skarby, czyli nagrania na płytach, a także pod półkami urządzenie, które szczególnie sobie cenił – „maszynę do czytania snów”. Nazwa nieco na wyrost, bo urządzenie wykonywało tylko elektroencefalogramy w czasie snu.

Wynalazł je w latach dwudziestych niemiecki psychiatra, niejaki Hans Berger, którego Simon miał szczęście poznać jako student. Niestety Berger został *förderndes Mitglied der SS*, czyli dobroczyńcą SS, swego rodzaju mecenasem oferującym NSDAP czas i pieniądze.

Mniejsza o to. W roku 1930 Simon wpadł na pomysł, by wykorzystać tę maszynę odzwierciedlającą aktywność elektryczną mózgu śpiącego pacjenta dzięki elektrodom umieszczonym w wielu punktach specjalnego czepka. Udoskonalił urządzenie, aby rejestrowało również ruchy mięśni twarzy oraz gałek ocznych, a także oddech i rytm serca.

Dzięki eksperymentom Simon mógł obserwować niemal od wewnątrz sen pacjentek. Wyróżnił jego rozmaite fazy. Po zaśnięciu człowiek zapada w lekki sen, potem w coraz głębszy, cechujący się wolnymi falami i zanikiem spójności myśli. Wreszcie nadchodzi to, co nazywał „snem transwersalnym”, który był obszarem „marzeń sennych”. Mniej więcej co dziewięćdziesiąt minut człowiek śni: aktywność jego mózgu się nasila, gałki oczne się poruszają, wydaje dźwięki; temperatura ciała,

ciśnienie tętnicze, oddech – wszystko wzrasta i przyspiesza... Potem wraca spokój kolejnego cyklu.

Ustawił maszynę i przygotował się do snu. Spanie z elektrodami na głowie dawało mu poczucie bezpieczeństwa, jakby był pilnowany, prawie chroniony. Jeśli przypadkiem Marmurowy Człowiek go odwiedzi, pozostanie ślad tego na papierze milimetrowym.

Położył się i zgasił światło, myśląc o dwójce swoich gości. Naprawdę tworzyli parę. Niech ruszają polować na zbrodniarza ze zmasakrowaną twarzą. On zgodnie z obietnicą wywiąże się ze szpiegowskiej misji w Klubie Wilhelma.

Był jednak pewien – i nazwałby to intuicją naukową – że z mroków nocy wyłoni się sensacyjna wiadomość.

Spotka Marmurowego Człowieka. Po tamtej stronie snu...

Były dwa Czerwone Krzyże. Szwajcarska organizacja macierzysta, Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża, w skrócie MKCK, oraz Niemiecki Czerwony Krzyż, który odkąd przywódcą kraju został Hitler, był gniazdem nazistów pod patronatem samego Führera. Te dwie organizacje odnosiły się do siebie z nieufnością, a po tym, jak Szwajcarzy zgłosili chęć odwiedzenia niemieckich obozów koncentracyjnych, wręcz z wrogością. *To była zbrodnia obrazy majestatu.*

Kiedy Beewen przyjechał do siedziby Deutsches Rotes Kreuz, poczuł się jak u siebie. Organizacja wynajęła pomieszczenia w budynku w stylu wilhelmiańskim i równie dobrze mogłoby się tu mieścić ministerstwo Rzeszy lub nawet Gestapo. Sprzyjał temu zwłaszcza otoczony murem brukowany dziedziniec przed gmachem, gdzie parkowały podobne do wojskowych ciężarówki. Ludzie w szarych bluzach ładowali na nie metalowe skrzynie, drewniane pudła, płócienne worki.

Wyruszyli do Polski. Niemiecki Czerwony Krzyż był jednostką medyczną Wehrmachtu, ale szansa, by polscy żołnierze uzyskali od niego jakąkolwiek pomoc, była znikoma.

Wewnątrz też panowała znajoma atmosfera, było zupełnie jak w holu kwatery głównej Sicherheitsdienst (SD) czy w biurze Reichsführera SS. Wszystkie te pełne dostojności miejsca niegdyś służyły chwalebny celom, teraz zaś zeszyły do rangi biur dla bandy barbarzyńców.

Podążając tropem żołnierza ze zmasakrowaną twarzą, Franz nie był pewien swoich wniosków. Ale od początku tego śledztwa niczego nie był pewny. Czy dał się zwieść Minnie? Nie wymyśliła wczorajszej napaści na siebie, a poza tym znaleźli zwłoki Ruth Senestier. Damy Adlonu. Maskę z marmuru. Zamordowana rzeźbiarka. To wszystko układało się w całość. Trzeba było szukać...

Franz nie musiał pokazywać odznaki, jego mundur wystarczał. Głośnie *Heil Hitler!* poinformowało go, że wkracza na znajomy teren. Zapytał o archiwum, więc po prostu zaprowadzono go do sutereny. Czarne schody, woń stęchlizny, potem duża sala, w której neonowe lampy zdawały się pochylać nad lekturą tysięcy segregatorów i teczek, pod którymi ugięły się półki.

Wystrój wnętrza był zgodny ze stereotypami. Nie brakowało nawet archiwisty w sfatygowanym fartuchu, drzemiącego w kącie. Ani jednej kartki na jego biurku, żadnego śmiecia w koszu na papiery. Najwyraźniej ten strażnik świątyni zamierzał stąd wyjść, tak jak wszedł, przez cały dzień nie wyjmując rąk z kieszeni.

Beewen się przedstawił i zrozumiał, że natknął się na pierwszą przeszkodę. Sześćdziesięcioletni mężczyzna ledwie uniósł brew, a czarny mundur wcale nie zrobił na nim wrażenia.

Mężczyzna musiał należeć do grona pacyfistów – najstarszych działaczy. Na pewno był też kombatantem Wielkiej Wojny. Starzy wiarusi pokroju jego ojca jako jedyni nie dali się nabrać nowej władzy. Krew, którą przelali, i Żelazne Krzyże, które zdobyli, uodporniły ich na nazistowski trąd.

– Poszukuję archiwalnych dokumentów Studia Gesicht – oznajmił Beewen.

– Stara historia.

– Są tu czy nie?

– Są.

Beewen westchnął.

– A dokładnie gdzie?

– Pokażę ci.

Zwracając się do oficera per ty, podkreślił, że niczego się nie boi. Wbrew temu, co powiedział, nie ruszył się z miejsca. Jego skrzyżowane nogi wystawały spod biurka, jakby drwiły z wypolerowanych oficerek Beewena.

– Na co czekamy?

– Dlaczego chcesz się z nimi zapoznać?

Beewen nie miał nastroju do pogawędek, mimo to ten szary człowiek (od fartucha archiwisty po faworyty) wzbudził w nim sympatię. Jego ojciec, gdyby nie postradał rozumu, mógłby dziś być takim zbuntowanym urzędnikiem.

– Szukam przestępcy – wyjaśnił. – Doznał obrażeń twarzy podczas Wielkiej Wojny i Studio Gesicht wykonało dla niego metalową maskę.

– Mówisz o prawdziwym przestępcy czy o jednym z tych, których wy tam nazywacie „wrogami ojczyzny”?

– Właśnie zamordował czwartą kobietę.

Mężczyzna gwizdnął z pozorowanym podziwem.

– No to gość robi wam konkurencję.

Gestapowiec tylko się uśmiechnął. Archiwista nareszcie raczył dźwignąć zadek z krzesła. Ruszyli wolno jeden za drugim wąskimi alejkami, mijając ciasno ustawione półki.

Archiwista zaczął mówić niepytany. Franz słusznie się domyślał, że to istna kronika historyczna, człowiek, który zna dzieje Niemieckiego Czerwonego Krzyża na wrywki.

– Ludzie ze Studia Gesicht zrobili kawał dobrej roboty – przyznał. – W latach dwudziestych wykonali setki masek. Pracownią kierował wybitny chirurg, wręcz

geniusz, z pochodzenia Litwin. Był pół naukowcem, pół artystą, a nazywał się Ichok Kirszenbaum.

– Wie pan, co się z nim stało?

Archiwista wiódł palcami po czerwonych i złotych segregatorach, co powodowało dźwięk podobny do cichego warkotu silnika.

– Zniknął. Był Żydem. Ostatnio znika wielu Żydów, zauważyłeś?

– Pamiętasz może Ruth Senestier?

– Oczywiście. Lesbijka, która pomagała mu robić maski.

Beewen zatrzymał się w pół kroku.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Byłem wtedy gońcem. To ja biegałem z siedziby studia do pracowni. Nosiłem dokumentację biedaków, którzy stracili twarze w okopach. Pracownia mieściła się przy Lindenstraße jednaście, w dzielnicy Kreuzberg. Mogę ci powiedzieć, że ostro zasuwałem.

Dotarli do końca alejki. Beewen już zamierzał skręcić w kolejną, kiedy archiwista kopnął metalową skrzynię stojącą na ziemi.

– Wszystko jest tu.

– Pomożesz mi ją przenieść?

– Hola, stąd się niczego nie wynosi.

– Chcę tylko przenieść ją na twoje biurko.

Pięć minut później Beewen szperał już w przykurzonych dokumentach. Na oko były ich setki. Nawet w najbardziej optymistycznych snach nie mógłby wymarzyć sobie tak doskonale uporządkowanego archiwum. Co ważne, dokumentacja była ułożona wedle nazwisk rzeźbiarzy, którzy zajmowali się robieniem protez dla żołnierzy.

W trzech płóciennych teczkach zgromadzono karty pacjentów Ruth Senestier. Każda lewa strona opatrzona była zdjęciem, a po prawej widniały nazwisko, wiek, miejsce, data i okoliczności odniesienia ran. Podawano tam także diagnozę – prawdopodobnie wpisaną na podstawie dokumentacji medycznej. I wreszcie kilka wersów poświęcano środkom ostrożności, jakie należało zachować przy pracach nad maską (modelowanie, przymiarki).

Pismo Ruth (używała pióra i fioletowego atramentu) było równe, proste, bardzo czytelne, co spodobało się Beewenowi. Poświęcił sporo czasu na przejrzanie jednego z albumów ze zdjęciami. Nigdy nie widział czegoś tak odrażającego. To było jak przeorana skóra, jak zmasakrowane tkanki miękkie i kości. Nie dałoby się tego nazwać. Odłamki pocisków i siła eksplozji obnażały mięśnie i włókna trochę jak brona – były poryte, wywrócone, pełne bruzd. Tak zmalretowane ciało nie mogło się zagoić.

Odwiedzając ojca w szpitalu, Beewen widział wielu ludzi z obrażeniami twarzy, jednak kryły się one pod bandażami. Pamiętał tylko, że większość z nich miała pod brodą worki na ślinę. Franz, wówczas jeszcze dziecko, myślał, że są podobni do koni z gospodarstwa zajadających owies z worków zawieszonych na szyi.

Od tego czasu przeczytał wiele książek o wojnie 1914–1918. Zrozumiał, skąd tyle takich ran. Ten konflikt był wojną okopów, toteż najbardziej narażone były głowy, a więc twarze żołnierzy. Można to nazwać loterią masakry na odcinku ośmiuset kilometrów. Rozwój artylerii dokonał dzieła.

Nagle Franz przypomniał sobie o tym łajdaku Clemenceau, który w chwili podpisywania traktatu wersalskiego zażądał obecności pięciu rozkwaszonych francuskich gąb, jakby te rany odnosili tylko oni. *Popieprzeni Francuzi*. Chciałby już wyruszyć na front, żeby im pokazać!

Zamknął segregatory. Musiał zabrać dokumenty. Z Hölmem i Alfredem spiszą nazwiska wszystkich rannych, którymi zajmowała się Ruth, a potem sprawdzą, kto z nich ma kłopoty z wymiarem sprawiedliwości. Albo po prostu kartotekę w Gestapo. Byłby to tylko wstęp, ale od czegoś trzeba zacząć.

Wymknął się tak, aby archiwista go nie zauważył. Pod pachą niósł segregatory. Po raz kolejny pomyślał, że trop Minny jest słaby, lecz po rozczarowaniu, jakim zakończyło się badanie kordzików, innego nie mieli.

Wieczorem korytarz w siedzibie Gestapo był ledwie oświetlony. Kamienny, cichy, z cieniami poręczy padającymi na posadzki. Dopiero w takich chwilach dostrzegało się intymny nastrój opustoszałego kościoła albo uśpionego zamku, gdzie dzieciaki tak lubią się bawić, chodząc tuż pod ścianami, wdychając woń wilgotnego muru i czując pod podszewkami butów nierówności kamiennych płyt.

W takich chwilach Beewen zapominał o naturze tego przeklętego miejsca. Powtarzał sobie, że jest u siebie, że jest panem (albo biskupem, co za różnica) i że w samotności wodza rozmyśla nad wielkiej wagi tajemnicami.

I przeważnie w takich chwilach pojawiali się dwaj gestapowcy wlokący zakrwawionego gościa albo ciężko zatrzaszkiwały się jakieś drzwi, albo nieludzki wrzask rozdzierał ciszę. Słowem – działo się coś, co sprowadzało człowieka na ziemię. Ani pan, ani wódz, a zaledwie inkwizytor, by utrzymać się w konwencji epoki.

Dotarł na swoje piętro. Przez szpary pod drzwiami sączyło się światło. Dla katów nie było wytchnienia. Gestapo nie próżnowało. Wiele dałoby się zarzucić tym żołnierzom Rzeszy, ale na pewno nie brak gorliwości.

Beewen mimowolnie tak stawiał nogi w butach z cholewami, żeby parkiet przed gabinetem Grünwalda nie skrzypiał i żeby zza drzwi nie wychyliła się gęba tego oskubanego koguta. Otworzył swój pokój, rzucił czapkę na wieszak, bo lubił wykonywać ten gest w amerykańskim stylu, a potem kopnął buty Dynamo, który spał w jego fotelu z nogami na biurku.

Hölm gniewnie mruknął. Beewen zepchnął jego nogi i położył wybrzuszone notatki Ruth Senestier na skórzanej podkładce.

– Co to?

– Archiwalia NCK.

– Po co nam?

– Tu może być nasz morderca.

Zagiętym palcem Dynamo otworzył jeden z segregatorów i rzucił okiem na pierwsze strony.

– Fuuuj! Co to za makabra?

– Żołnierze Wielkiej Wojny ranieni w głowę.

– No, z tych nadałby się każdy.

– Nie mów tak. Ci ludzie są ofiarami i dobrze o tym wiesz.

– Bohaterami! – rzucił drwiąco Hölm.

– Owszem.

Dynamo uniósł ręce na znak zgody. Wiedział, że z Beewenem nie można żartować na ten temat.

– Czyżby nasz klient należał do grona tych poszatkowanych twarzy?

– Być może.

Hölm westchnął hałaśliwie, przeciągając się.

– Nie wiem, czego szukasz w tym śledztwie.

Franz roześmiał się mimo woli.

– Też tego nie wiem. Masz jakieś informacje o zwłokach z Ku'dammu?

Po drodze z gabinetu Krausa Beewen zdążył zatelefonować do Dynama i podać mu szczegóły. Wierny zastępca zadzwonił anonimowo do Kripo, żeby umożliwić gliniarzom „znalezienie” ciała podanego jak na tacy.

Franz nie chciał, by udało się powiązać to morderstwo z zabójstwami Dam Adlonu. Przy pomocy Minny wytarł ich odciski palców, przeszukał pracownię i sprawdził, czy nic, ale to absolutnie nic nie może łączyć Ruth z Minną von Hassel albo z którąkolwiek kobietą z Klubu Wilhelma. Niczego takiego nie znalazł. To dobrze. Albo źle.

Nie tracił jednak nadziei, że Kripo wpadnie na coś, co może mu się przydać. Poleciał Hölmowi, by przypatrywał się temu śledztwu – Dynamo znał wszystkich.

– Kontaktowałeś się z kumplami z Kripo?

– Nic nie mają. Ci ludzie są do niczego.

Beewen nie podzielał tej opinii. Policjanci zostali zepchnięci na margines, a to nie ich wina. W państwie takim jak Rzesza, gdzie nie ma prawa istnieć nawet idea zabójstwa cywilnego, policja kryminalna jest zbędna. Kripo była już tylko cieniem siebie. Od roku 1933 naziści zawładnęli nią i skupili się wyłącznie na prześladowaniu niewinnych.

Beewen zachował dla siebie dwa segregatory, a dwa inne dał Hölmowi. Wyjaśnił, o co mu chodzi, następnie zaś odesłał go do sąsiedniego pokoju, żeby zajął się porównaniem nazwisk żołnierzy, którym pomogła Ruth, z firmowym archiwum. Skoro Gestapo naprawdę miało coś na każdego, to musi się znaleźć także informacja o tych ludziach.

Nareszcie sam, Franz osunął się na fotel. Był wyczerpany. Popołudnie minęło tak szybko, że nie zdążył nawet wrócić myślą do niewiarygodnego przypadku, który wpłynął dziś na przebieg śledztwa. Minna von Hassel, psychiatra zajmująca się jego ojcem, wskazała mu nowy trop. Przesądny z natury Beewen nie był w stanie uznać tak dziwnego zdarzenia za zwykły zbieg okoliczności, widział w nim pomocne działanie losu.

Czy postąpił słusznie, podejmując współpracę z tą dwójką psychiatrów, z których każde działało na drugie jak płachta na byka? To się dopiero okaże. Ta część śledztwa pozostawała tajna, zresztą i tak nikt w tym gmachu nie dowie się nigdy, że on, Beewen, szukał wsparcia poza strukturą Gestapo.

Jego myśli skoncentrowały się na chwilę na Minnie. Dowiodła, że jest pełna energii i błyskotliwa. Nie zaskoczyło go to, jednak jego poglądy wcale nie różniły się tak bardzo od opinii Krausa: dlaczego osoba tak bogata, baronówna, inteligentna i wykształcona lekarka, zakopała się w takiej umieralni jak Brangbo?

Ta ostatnia kwestia przypomniała mu o ojcu i o liście, o której mówiła Minna. Ernst Mengerhäusen. Zamek Grafeneck. Zupełnie zapomniał o tym problemie. Cóż z niego za syn...

Wyciągnął nogę i kilkakrotnie stuknął obcasem o ścianę. Po kilku sekundach Dynamo pojawił się w progu gabinetu.

- Co się dzieje?
 - Zdążyłeś dowiedzieć się czegoś o Ernście Mengerhäusenie?
 - O kim?
 - O tym lekarzu, o którym wspomniałem ci dzisiaj. O tym ginekologu.
 - Nie miałem czasu.
 - Zajmij się tym natychmiast. Na pewno coś tu o nim mamy.
- Hölm burknął:
- Zdecyduj się, mam się zajmować tymi oszpeconymi czy łapiduchem?
 - Dynamo, zdradzę ci sekret: mózg ma dwie półkule.
 - Jasne, a ja swoje noszę w spodniach.

Rodzice Minny wybudowali swoją rezydencję w dzielnicy Dahlem, w sercu okręgu Zehlendorf, na zachód od Berlina. Przedmieście miało charakter uniwersytecki i willowy, a po roku 1933 dało się tu poczuć silny podmuch świeżego powietrza, bo wszyscy majątni Żydzi zostali przepędzeni, ich miejsce zaś zajęły gwiazdy nazistowskiego świata: Martin Bormann, Heinrich Himmler, Leni Riefenstahl...

Von Hasselowie nie czekali na tę przemianę i już w latach dwudziestych wzniesli swoją „świątynię” zgodnie z trendem narzucanym przez Bauhaus. Jak przystało na intelektualistów i rewolucjonistów, bardzo wcześnie zainteresowali się genialnymi architektami, którzy odważyli się skończyć ze stylem panującym za czasów cesarza Wilhelma.

Von Hasselowie nie zdołali skorzystać z usług „mistrzów” – Waltera Gropiusa i Ludwiga Miesa van der Rohego, zbyt zajętych rozwijaniem swojej szkoły – lecz zatrudnili jednego z ich uczniów. W myślach architekta narodził się ten dom, który wyrósł wśród sosen i brzoź – bryła ze zbrojonego betonu. Lico z cegły, przeszklone ściany, wyasfaltowane tarasy na dachach: budowla o czystych liniach. Wspaniała.

Minna została więc z willą w stylu entartet (zdegenerowanym) na karku i samotnie krążyła pośród scenerii jak z filmu o duchach, bo wszystkie meble, dzieła sygnowane przez Miesa van der Rohego czy Wilhelma Wagenfelda osłonięto białymi pokrowcami, a obicia ścian zaprojektowane przez Anni Albers pleśniały, zaś okna o motywach geometrycznych – dzieło Josefa Albersa – wyglądały dziś jak więzienne kraty.

Ściśle przestrzegano założeń Bauhausu, toteż ściany ze zbrojonego betonu pozostały surowe. Do tego doszła niesłychana wręcz prostota linii. Żadnych motywów kwiatowych ani krągłości. Żegnaj, stylu art déco, żegnaj, art nouveau. Liczą się tylko forma, materiały, kolory...

Kiedy Minna była młodsza, bała się tego domu, teraz jednak czuła się w nim dobrze, wtulona w blokhauz niczym soból w dziuplę drzewa.

Zanim rodzice wyruszyli w drogę do Nowego Świata, udzielili jej dokładnych wskazówek dotyczących utrzymania domu, a nawet dali pieniądze na pensje dla służby. Minna błyskawicznie roztrwoniła wszystko na rozmaite narkotyki i koniak. Odprawiła służbę i patrzyła, jak pajęczyny porastają dom. Tylko majordomus Eduard przeciwstawiał się podupadaniu rezydencji.

Tak czy inaczej, Minna traktowała swój pobyt w tym miejscu jako swoiste odroczenie. Pewnego dnia jakiś narodowy socjalista zauważył, że całkiem spora

powierzchnia – ponad czterysta metrów kwadratowych podłogi – świeci pustkami w jednej z najmodniejszych dzielnic Berlina. A wtedy urzędzą tu ministerstwo albo jakiś urząd. *Precz z pijaczką!*

Kiedy Minna wysiadła z samochodu, aż podskoczyła. W cieniu garażu stał nieruchomo blady mężczyzna.

– Eduardzie! Wystraszyłeś mnie.

– Cieszę się, że widzę panią baronową.

Eduard był na służbie u von Hasselów od panowania Wilhelma II, więc stał się już jakby elementem wystroju wnętrza. Odkąd willa opustoszała, przychodził codziennie, by zadbać o zaopatrzenie i o porządek.

– Mnie też miło cię widzieć – rzuciła oschle, jego cicha obecność bowiem irytowała ją.

Eduard, który trzymał się zasad, był ubrany w białą marynarkę i nosił muszkę do koszuli z wysokim kołnierzykiem. Przypominał jej kelnerów z eleganckich barów, w których spędziła tyle wieczorów, zanim wzięła na siebie obowiązek kierowania Instytutem Brangbo.

Trzymał w rękach jakieś czarne siatki, które na tle jego marynarki wyglądały jak zwarta chmara much.

– Co to jest? – spytała.

– Gaza, pani baronowo, na reflektory pani samochodu. Wydają ją w ratuszu. Na pewno pani wie, że Niemcy zaatakowały tej nocy Polskę. Obowiązuje zaciemnienie. Teraz w Berlinie nie wolno już palić światła, a wszystkie reflektory aut muszą być osłonięte.

Ten banalny nakaz uświadomił jej sytuację: Berlin był narażony na bombardowania przez francuskie i angielskie samoloty. Zupełnie zapomniała o tym wydarzeniu. *Trzeba to zrobić.*

Popatrzyła na dziesięć kanistrów benzyny po dwadzieścia litrów każdy.

– Benzyna również jest racjonowana, pani baronowo – ciągnął żałobnie Eduard. – W Berlinie działa tylko dwanaście stacji benzynowych, więc pomyślałem, że warto zrobić zapasy paliwa.

– Dobrze postąpiłeś – powiedziała, żeby zrobić mu przyjemność.

– Zgromadziłem też zapas latarek elektrycznych i...

– Dobrze, Eduardzie, pomówimy o tym później.

Wychodząc z garażu, zauważyła na wieszaku kilka masek przeciwigazowych. Wzięła nogi za pas. Nie miała ochoty, żeby Eduard straszył ją tą twarzą ducha i kasandrycznymi przepowiedniami.

Nie włączając światła, przeszła przez salon i skierowała się do kuchni. Tu zaparzyła sobie herbaty – koniak mógł trochę zaczekać – w imponującym czajniczku ze szkła ognioodpornego Wilhelma Wagenfelda.

Miała niewiele wspomnień z tej wielkiej stodoły. Kiedy rodzina tu zamieszkała, ona studiowała już medycynę i większość czasu spędzała, ucząc się w swoim pokoju. Dopiero teraz odkrywała opustoszały dom, gdzie kurz tłumił trochę pogłos i gdzie wszystko przypominało jej o ponurych widokach na przyszłość. Przy odrobinie szczęścia umrze w tym sanktuarium – albo pod gruzami po bombardowaniu, albo po przedawkowaniu eteru lub w śpiączce alkoholowej.

Gdy herbata się zaparzyła, Minna z przezroczystym czajniczkiem w ręku poszła usiąść na podłodze – o ironio, obok szeszlona projektu Miesa van der Rohego, ponoć wartego fortunę, ale dla nazistów zapewne doskonałego jako opał.

Trzymając filiżankę w obu rękach, jakby chciała się rozgrzać, z całych sił błagała o cud, który ziścił się niemal natychmiast: o ulewę. Właśnie to najbardziej lubiła w tym wielkim domu: słuchać dudnienia deszczu, które wypełnia całą przestrzeń, zmieniając rytm i brzmienie, ale wciąż wyśpiewując ten sam refren ku czci życia, płodności, oczyszczenia.

Zamknęła oczy. Deszcz nad Berlinem... W takich chwilach odzyskiwała nadzieję. Potęga życia przetrwa, to ona tchnie nową siłę w ocalałych po tym strasznym czasie i wymiecie nazistowską zarazę. To właśnie widziała pod zamkniętymi powiekami, na to miała nadzieję.

I nagle dotarło do niej, że już teraz śmierć Ruth schodzi w cień jako rzeczywiste zdarzenie i staje się jednym z wielu elementów śledztwa. Musiała być ze sobą szczerą – dochodzenie ją fascynowało. Niemal zapomniała o zagrożeniu, jakie zawisło nad Brangbo.

Wypiła kolejny łyk herbaty; to była angielska, a właściwie indyjska herbata, zbierana u podnóża Himalajów, w tych czasach cenniejsza od francuskiego wina. Zrozumiała też, choć z pewnym opóźnieniem, że ucieszyło ją spotkanie z Simonem Krausem. Z mikrusem o tak silnej obsesji na punkcie wzrostu, że wyparł wszelkie powody, jakie miał, aby stać się większym. Należał do tych, którzy wolą sztukować się obcasami, niż zyskać na wielkości, pisząc poważną książkę, choć przyszłoby mu to bez trudu. Wymuskany gnojek, sarkastyczny i pretensjonalny, palił muratti za muratti i ubierał się w doskonałej jakości garnitury, na jakie mogło sobie pozwolić najwyżej dziesięciu berlińczyków.

Tak, cieszyła się, że będzie wraz z nim szukała mordercy, skoro nie mogła prowadzić z nim badań psychiatrycznych. W gruncie rzeczy było to prawie to samo, więc ogarnęła ją radość, że ma okazję pracować z tak błyskotliwym kolegą. Rzec

jasna chciała wykryć mordercę Ruth, pragnęła jednak dorównać partnerowi w tym śledztwie, błaznowi, który nie był błaznem króla, ale królem błaznów.

Wstała, mówiąc sobie, że musi się zmobilizować. Jak zawsze o zmierzchu stała na rozdrożu: praca czy ćpanie, skupienie czy odlot... Koniak musi poczekać, na ten wieczór miała bogaty program.

Wchodząc na piętro, uchwyciła swoje odbicie w lustrze. Jak ona wygląda! Zbyt pociągła twarz, podkrążone oczy czarniejsze od smoły, no i wreszcie cera, Boże! Błady róż z nalotem szarości, popiołu między palcami zmierzchu...

Weszła do składziku, który pełnił funkcję strychu. Bez problemu odnalazła kufry, w których znajdowały się jej archiwa osobiste, od pierwszych pamiętników po notatki ze studiów. Odszukała dokumentację, którą zebrała do swojej pracy doktorskiej o niemieckich mordercach. Odwiedzała wtedy sądy, przeglądała całe roczniki gazet i raporty psychiatryczne.

Ze wszystkich tych materiałów wyłaniał się zaskakujący obraz pierwszych dekad XX wieku w Niemczech. W cieniu wojny światowej, gdy zwłoki liczyło się w milionach, było też całkiem sporo innych przestępstw. Zamachy, napady bandyckie, rzecz jasna, ale oczywiście znajdowały się także istne perełki: morderstwa popełniane dla czystej przyjemności zabijania albo pod wpływem nieodpartego impulsu. To właśnie były mordy psychopatów.

Pojawiły się też gwiazdy tego gatunku, jak Peter Kürten, zwany Wampirem z Düsseldorfu, który w latach dwudziestych zabijał i gwałcił dzieci i dorosłych. Skazany na śmierć i stracony w 1931 roku po przyznaniu się do osiemdziesięciu zbrodni, a także do picia krwi swoich ofiar, doczekał się upamiętnienia dzięki filmowi Fritza Langa *M – Morderca* zainspirowanego jego czynami.

Fritz Haarmann, Rzeźnik z Hanoweru (Niemcy lubią nadawać takim potworom przydomki), który między rokiem 1918 a 1924 zabił prawie trzydziestu mężczyzn, w większości prostytuujących się. Dlaczego „rzeźnik”? Powiadano, że sprzedawał na czarnym rynku kawałki ludzkiego ciała. Zgilotynowany w roku 1925.

Karl Denke też był niezły. Nazywany Tatuśkiem Denkem, ochoczo proponował bezdomnym ciepły posiłek. Biedacy nie mieli jednak pojęcia, że ich własne ciało stanie się podstawą kolejnego posiłku Tatuśka. Podczas rewizji w jego domu odnaleziono dużo zębów i kości, a także zapas ludzkich szczątków. Powiesił się w celi wkrótce po aresztowaniu w roku 1924, toteż nie miał okazji wytłumaczyć się z tych upodobań kanibala.

Byli też inni. Odgrzebując te dokumenty, nawet Minna z zaskoczeniem przypominała sobie, jak wielu zbrodniarzy w Niemczech zabijało, okaleczało, zjadało swoje ofiary tylko przez ostatnie trzy dekady. Ze zdziwieniem i rozczuleniem patrzyła także na swój charakter pisma pilnej studentki. Te notatki można było wziąć za

pamiętnik nastolatki, choć przecież dotyczyły morderczych bestii, tematu, który – musiała przyznać – zawsze ją pasjonował. Szczególnie interesowali ją ci, których nazywała „czystymi mordercami”, ludzie czyniący ze śmierci substytut miłości, a z żądz mordu – żądzą seksualną.

Przeglądając stare wycinki z gazet, natknęła się na interesujący przypadek. W latach 1911–1912 Albert Hoffmann, urodzony w październiku 1894 roku, zabił w Berlinie dwie kobiety. Cecha szczególna: ukraść ich pantofle.

Nastolatek wcześniej już dwukrotnie siedział w więzieniu za napaść seksualną i usiłowanie gwałtu na własnej matce. Zwolniony w 1910, najpierw zabił Marthę Weber, dwudziestosiedmioletnią modystkę. Poderżnął jej gardło, wypruł wnętrzności i ukraść buty. W Tiergarten. Ponieważ ukraść jej także pieniądze, śledczy nie zwrócili uwagi na bosc nogi ofiary. Rok potem Hoffmann znów popełnił zbrodnię, zabijając Helenę Koch, dwudziestodwuletnią krawcową, nad Sprewą, na północnym cyplu Wyspy Muzeów. Identyczny *modus operandi*, choć tym razem nie tknął pieniędzy ofiary.

Mimo wyraźnych podobieństw obu morderstw – wyprute wnętrzności, kradzież butów – śledczy nie natrafili na żaden trop. Dopiero szczęśliwy dla nich zbieg okoliczności pozwolił w roku 1913 schwytać mordercę. W lipcu w kostnicy katolickiego Szpitala Świętej Jadwigi w dzielnicy Spandau przyłapano mężczyznę, który rozcinał brzuch kobiecym zwłokom.

Po aresztowaniu Hoffmann przyznał się do zabicia Marthy Weber i Heleny Koch. Podał pewne szczegóły znane tylko policji i takie, o których wiedział tylko on, czyli na przykład dokładne okoliczności ataku.

Wojna jeszcze wtedy nie wybuchła. Niemiecka machina administracyjna była dość powolna, poruszała się truchtem. Ale Hoffmanna osądzono. Miał dziewiętnaście lat, nie skazano go na śmierć, lecz na dwadzieścia lat więzienia. Tak zakończyła się ta sprawa.

Minna nic więcej nie wiedziała o smutnym młodzieńcu. Jego przypadek opisała tylko na marginesie, wśród całej masy informacji, które gromadzi się na początku poszukiwań, a potem wcale się ich nie wykorzystuje. Rozmawiała z wieloma mordercami, odwiedzała więzienia w Berlinie i w całych Prusach. Nigdy jednak nie natknęła się na Alberta Hoffmanna, który odsiadywał wtedy wyrok w Moabicy.

Ponownie przeczytała artykuł. Potem jeszcze raz i jeszcze. Pantofle. Wytrzewienie. Miejsca zbrodni: Tiergarten i Wyspa Muzeów. Jeżeli jej obliczenia były trafne, to Albert Hoffmann wyszedł na wolność w 1933 roku. To mogło pasować, acz był jeden szkopuł: jak morderca miałby odnieść rany twarzy, skoro odsiadywał karę w berlińskim więzieniu?

Spojrzała na zegarek. Dwudziesta druga. Ścierpły jej nogi, przed oczyma wirowały gwiazdy. Czyżby już ustaliła, kto jest mordercą? *Spokojnie, kotku.*

Pomyślała o jedynym miejscu, które tej nocy było jeszcze otwarte, bo paradoksalnie zawsze pozostawało zamknięte. Więzienie przy Lehrter Straße w północno-zachodnim Berlinie, w dzielnicy Moabit. To tam urywał się ślad Alberta Hoffmanna. I tam musiała pojechać.

Eduard miał rację, w Berlinie wprowadzono zaciemnienie. Ani jednego światła na ulicach. Latarnie, neony restauracji, podświetlone zazwyczaj pomniki – wszystko pograżyło się w mroku. Jeździło niewiele samochodów, a i one z osłoniętymi reflektorami, trudno więc było je rozróżnić. Autobusom drogę oświetlał tylko sinawy blask jednej latarni, a tramwaje przysłonięto czarną gazą. Wszystkie okna w budynkach były ciemne – gdzie nie było zasłon, tam zawieszono koce.

Piesi, których było dużo, bo nikt nie wierzył jeszcze w możliwość bombardowania, używali latarek z niebieskimi żarówkami. W efekcie ulica wyglądała jak lustrzane odbicie Mlecznej Drogi w kolorze szafirowym, jakby ktoś rozrzucił u stóp berlińskich budynków te szlachetne kamienie, które wirowały niczym świetliki.

Minna skręciła w stronę Moabitu.

Myśl o powrocie po latach w takie miejsce była dla niej przykra, zwłaszcza po wczorajszej ucieczce przed mordercą i śmierci żołnierza. Jednak Lehrter Straße leżała daleko od portu Westhafen, a przez cały wypełniony po brzegi dzień właściwie nie miała czasu myśleć o napadzie.

Jechała ostrożnie. W ciągu dnia pomalowano wprawdzie krawężniki na zakrętach i chodniki na biało, żeby kierowcy i piesi lepiej się widzieli, ale Minna czuła się jak w labiryncie narysowanym kredą na ogromnej czarnej tablicy.

W Berlinie nie brakowało więzień: poza Columbia Haus było jeszcze Spandau, koszary Lichterfelde i wiele wież ciśnień, gdzie SA urządziła dzielnicowe ośrodki przesłuchań. Do tego dochodziły siedziby Gestapo i SD dysponujące własnymi aresztami.

Więzienie Moabit zajmowało jednak szczególne miejsce. Wzorcowe ze względu na nowoczesność, jako jedyne dysponowało jednoosobowymi celami, choć teraz we wszystkich stłoczono na pewno tylu politycznych, ilu się dało.

Sześćohektarowy teren leżał kilka kroków od głównego berlińskiego dworca i był podzielony na pięć „panoptycznych” skrzydeł. Założenie: wybudować okrągłe ogrodzenie, a pośrodku wieżę umożliwiającą strażnikom obserwację wszystkich cel. Lepiej (albo gorzej): więźniowie nigdy nie wiedzieli, czy są obserwowani. Była to angielska koncepcja „pozostawienia nadzoru nadzorowanym”, polegająca na tym, by więźniowie uwierzyli, że są nieustannie pilnowani.

I choć więzienie zostało wybudowane prawie sto lat wcześniej, jego duch i logika doskonale przystawały do założeń nazistowskiej władzy, która w pewnym sensie

tworzyła państwo panoptyczne. Właśnie taki był cel Hitlera, Göringa, Himmlera i spółki – każdy obywatel wielkiej Rzeszy powinien żyć w przeświadczeniu, że jest nieustannie obserwowany.

Minna zaparkowała w pobliżu budynku i mogła przez chwilę go podziwiać. Z zewnątrz więzienie przypominało potężną fortecę z cegły złożoną z kilku kręgów pod gołym niebem. To po tych kręgach wiły się bez końca cele. W środku każdego kręgu znajdował się omiatający go reflektor. Ale nie był jak latarnia morska wskazująca drogę zabłąkanym marynarzom, lecz jak strażnik, który wpędza więźniów w paranoję.

Dzięki legitymacji lekarskiej Minna bez problemu dostała się do więzienia. Kiedy przekroczyła pierwsze drzwi, musiała czekać w betonowym holu, gdzie ustawiono kilka krzeseł i stolik przykryty ceratą. Ściany pomalowano na obsceniczny cielisty kolor. Tekstura farby była specyficzna, jakby ściany pokryto zbyt gęstym smarem, który powlekał zarówno mury, jak i podłogi oraz sufit. Człowiek czuł się w takim wnętrzu jak w jaskini wyżłobionej w ludzkim ciele.

– *Heil Hitler!*

W progu jaskini stał mężczyzna w mundurze SS. Ubrany na czarno, wyraźnie odcinał się od beżowych ścian.

– Minna von Hassel – przedstawiła się, podając mu dokumenty.

– Kto właściwie panią wezwał? – zapytał esesman, uważnie przyjrząwszy się jej dowodowi osobistemu i legitymacji lekarskiej.

– Sebastian Liebermann.

Przed wyjściem z domu zapamiętała kilka nazwisk.

– Trudno uwierzyć, ponieważ trzy lata temu przeszedł na emeryturę.

Metoda, jaką wybrała, była z góry skazana na porażkę. Wszystkich strażników, których tu spotykała, zbierając materiały, z pewnością zastąpili już tacy naziści jak ten. Trzydziestolatkowie wyhodowani w Hitlerjugend, którzy przysięgali Führerowi, że będą mu wiernie służyć przez najbliższych pięć dekad.

– Przepraszam, musiałam coś pomylić. Carl Janowitz.

Mężczyzna zmarszczył brwi i wsunął palce pod skórzany pas. Pewnie nauczył się tego w szkole oficerskiej.

– Skontaktował się z panią dzisiaj?

Udało się. Nie dość, że facet nadal tu pracował, to miał dziś służbę. A ponieważ szczęście też lubi chodzić parami, wypowiadając jego nazwisko, przypomniała sobie, że to niski, krępy blondyn z gęstą czupryną.

– Zadzwoił do instytutu. Chciał, żebym zajrzała do jednego z waszych... osadzonych.

– Mamy własnych lekarzy.
– Jestem psychiatrą. Potrzebuje mojej opinii w sprawie jednego z pacjentów.
– Jak nazywa się ten więzień?
– Nie podał mi żadnych szczegółów. Zadzwoił i poprosił tylko, żebym się pospieszyła. Ale jechałam z Brangbo, więc...

– Proszę tu poczekać.

Teraz już bardzo dokładnie przypomniła sobie tego klawisza, rozczarowanego wiarusa, który zdobył w okopach Żelazny Krzyż i mimo wszystko wciąż potrafił się uśmiechać. Liczyła na jedno – że ciekawość weźmie górę i strażnik się pofatyguje, by sprawdzić, czego od niego chce specjalistka psychiatrii.

– Minna von Hassel.

Carl Janowitz stał przed nią. Jego włosy, teraz już przerzedzone, wciąż tworzyły nad głową obłoczek podobny do waty cukrowej. Blond przemienił się w siwiznę, ale duch pozostał: lekki obłoczek unoszący się nad okrągłą twarzą, a poniżej gęste, nadające pozór srogości wąsy.

Stał nieruchomo ze złączonymi nogami i rękami na plecach. Jego mundur wydawał się za ciasny, jakby to był ten sam, który nosił, kiedy był o kilka kilogramów lżejszy. Z tymi złotymi guzikami i lśniącym pasem wyglądał jak ołowiany żołnierz, który oberwał młotkiem po głowie.

– Pamięta mnie pan?

Na jego twarzy pojawił się uśmiech od ucha do ucha.

– Rzadko widuje się tu kobiety. Co to za bajka o więźniu, który potrzebuje psychiatrii?

– Musiałam się z panem pilnie spotkać. Wymyśliłam to sobie.

– Pilnie? – powtórzył dość ostrym tonem. Widać było, że tego człowieka krępuje nie tylko przyciasny mundur, ale także dyscyplina, więzienne otoczenie, lata nadzorowania. Sprawiał wrażenie strażnika pilnującego samego siebie. – Kawy? – zaproponował, wysuwając wreszcie ręce zza pleców.

W jednej trzymał porcelanowy kufel z ołowianą pokrywką, w drugiej dwa kieliszki do rumu. To dziwne połączenie nasuwało myśl o „nalotach”, jakie klawisze zwykli robić na cele.

– Z przyjemnością.

Usiedli równocześnie i Janowitz poczęstował ją swoją kawą. Na kuflu namalowano mężczyznę w krótkich spodenkach i kobietę w dirndlu, której bujne piersi wylewały się z kaftanika. Tańczyli szalonego schuhplattlera.

Pili w milczeniu pyszny, ale gęsty jak smoła napój.

– Minna von Hassel – powtórzył w rozmarzeniu. – Nasza studentka. – Nagle wzniosł oczy, jakby sobie uświadomił, że wspomnienie siedzi na wprost niego. – Co u pani słyhać?

– Teraz jestem psychiatrą. Kieruję Instytutem Brangbo dla psychicznie chorych.

Zaśmiał się pod osłoną gęstych wąsów.

– Wiedziałem, że się pani uda.

– A pan? – spytała przez grzeczność.

– No cóż... Nadal tkwię tu, w tym ogromnym więzieniu. Mury stoją, gdzie stały, ale reszta wywróciła się do góry nogami.

– Co pan ma na myśli?

Dolał im kawy.

– Dawniej źli siedzieli za kratami, a dobrzy ich pilnowali. Dziś jest odwrotnie.

Janowitz najwyraźniej uważał, że nie musi obawiać się represji ze strony nazistów. Szczepionkę na nich nosił na piersi: Żelazny Krzyż, który błyszczał takim blaskiem jak samotna gwiazda na ciemnym niebie.

– Panno von Hassel, już prawie północ – odezwał się po chwili milczenia. – Nie przyjechała pani tu tylko po to, żeby zapytać, co u mnie słyhać. Czego pani chce?

– Przyjechałam, żeby zasięgnąć informacji o jednym z pana osadzonych. O Albercie Hoffmannie.

– Tylko w tym skrzydle znam co najmniej dwóch ludzi o tym nazwisku.

– Został skazany w trzynastym roku za morderstwo.

– W trzynastym? Toż to matuzalem! Wtedy nawet tu jeszcze nie pracowałem.

Ta sprawa miała dwadzieścia sześć lat, a od tego czasu nad krajem przetoczyła się Wielka Wojna, potem nastąpiła Republika Weimarska, narodowy socjalizm...

– Mówię o bardzo groźnym przestępcy. Wtedy trafił do więzienia za zabicie dwóch młodych kobiet.

– I nie skazano go na śmierć?

– Był nieletni. Dostał dwadzieścia lat. – Pochyliła się. Rozmowa nie zaczęła się najlepiej, ale nakryty ceratą stolik, ściany pomalowane farbą olejną, woń gumy unosząca się w powietrzu, to wszystko nagle wydało jej się ciepłe, bezpieczne, niosące nadzieję. – Herr Janowitz, niech pan posłucha. Mam podstawy sądzić, że Hoffmann znowu zabił. Niedawno. Równocześnie uważam, że walczył podczas wojny światowej.

– Jak to?

Oparła się na krzesło i rozłożyła ręce.

– Liczyłam, że pan mi to powie.

Janowitz spuścił głowę. Jego broda zmarszczyła się jak jedwabne draperie. Pozycja, jaką przybrał, świadczyła o zamyśleniu, trzeba jednak powiedzieć, że była też typowa

dla drzemiącego na służbie klawisza.

– Proszę chwilę zaczekać – powiedział, wstając.

Odszedł nierównym krokiem, a Minna została sama w gołym, pustym pomieszczeniu. Czekać na ołowianego żołnierzyka, rozglądała się wokół. Stwierdziła, że wszystko jest tu czyste, idealnie czyste. I to sprawiło, że ogarnęła ją smutek: nawet więźniowie nazizmu mieszkali lepiej niż jej pacjenci.

– Ma pani rację – potwierdził strażnik, wracając.

Niósł przed sobą kartonową teczkę, na niej płócienny woreczek. Znów usiadł przy stoliku, a Minna o mało nie rzuciła się na dokumenty, które leżały przed nim.

– Pani Albert Hoffmann został zmobilizowany w siedemnastym roku – powiedział, rozwiązując tasemki.

– Jak to możliwe?

Janowicz poślinił palce i zaczął przerzucać kartki.

– Tamtego roku wojskom niemieckim brakowało ludzi. Powoływano dzieciaki, starych, chorych umysłowo. Zwyczajne mięso armatnie. Także skazańcom proponowali skrócenie kary za pójście na front. Dlaczego nie? Siedzieli beczynnie, kiedy innym chłopakom francuskie bomby urywały głowy.

– I Albert Hoffmann zdecydował się iść na front?

Janowicz dotknął palcem kartki z odręcznymi zapisami.

– Tak, dziesiątego marca tysiąc dziewięćset siedemnastego roku. Został zmobilizowany, ale szczęście mu nie dopisało. – Strażnik przewracał kartki. – Poległ w bitwie pod Arras dwudziestego drugiego kwietnia tysiąc dziewięćset siedemnastego. Ja też tam byłem. Bomby i szrapnele leciały jak deszcz. Istne piekło. Ludzie padali jak muchy.

Minna czuła, że te informacje potwierdzają jej hipotezy, równocześnie im przecząc. Hoffmann żył, była tego pewna.

– Jak zginął? – zapytała.

– Nic o tym nie napisano – ciągnął strażnik. – Przeważnie nikt nie wiedział, jak umierają chłopcy. W przypadku Hoffmanna nie ma też wzmianki o miejscu pochówku. Trzeba pamiętać, jak to wówczas było, tysiące nieboszczyków dziennie.

– A ten worek?

Nie mogła oderwać oczu od płóciennej torby, którą Janowicz położył obok dokumentów.

– To jego rzeczy osobiste. Nie miał rodziny. Zwrócono je tutaj, do Moabitu.

– Mogę?

Janowicz skinął głową. Minna chwyciła torbę i otworzyła ją. Wysypała zawartość na stół. Zapalniczka, medalik z Matką Boską, nieśmiertelnik mordercy poległego

w walce.

Na ocynkowanej tabliczce widniał wygrawerowany napis:

ALBERT HOFFMANN

BERLIN

15-9-1898

1067543914

Ersatzdivision, IX. A.K.

Reservekorps: R.K.

Trzymała tabliczkę drżącymi palcami. W jakimś zakamarku mózgu rodziła się już koncepcja.

Janowicz podsunął lekarce dokumenty i torbę.

– Prezent – powiedział z uśmiechem.

– Czy to znaczy...

– Niech pani to zabiera. Skoro ten gość panią interesuje, dokumenty przydadzą się pani bardziej niż nam.

– Dziękuję, Herr Janowicz, nie wiem, jak mogłabym...

– To niech pani nic już nie mówi i pozwól mi się zdrzemnąć. Miło było panią znowu zobaczyć, Fräulein.

– Śpisz z brylantyną na włosach?

– To nie brylantyna.

Simon stał w progu mieszkania przylizany, a zarazem potargany. Dopiero się obudził i oczy jeszcze jakby mu się zapadały.

– Co to? – dopytywała Minna.

– Żel do elektrod.

– Jakich elektrod?

– Jest druga w nocy. Czego chcesz?

– Chyba ustaliłam, kto jest mordercą.

Weszła, nie czekając na zaproszenie. W półmroku zauważyła szkic Paula Klee, kubistyczny dywan. Podobało jej się to mieszkanie, łączyło dobry gust z odwagą. Ostatni bastion sztuki jutra.

– Beewen już jedzie. Zaparzysz nam kawy?

Godzinę później siedzieli we trójkę w gabinecie. Zajęli pozycje, by zacząć od nowa: Simon za biurkiem, Beewen w fotelu, a Minna na kanapie z rękami w kieszeniach, udając powściągliwość, choć przecież to ona przyniosła rewelację tej nocy.

Nie miała najmniejszego problemu z odnalezieniem Beewena, który nawet o tej porze przebywał w siedzibie Gestapo. Zastanawiała się, czy ten człowiek ma prawdziwe mieszkanie.

Simon potrzebował kilku minut na ubranie się i uczesanie, toteż teraz jego włosy wyglądały jak namalowane. Miał na sobie błękitny sweter żeglarski i płócienne spodnie, zupełnie jakby wybierał się na cumujący w pobliżu jacht.

Minna w kilku słowach opowiedziała im o swoim odkryciu, Albercie Hoffmannie. Jego profil przystawał do ich mordercy, do tego dochodziła mobilizacja. I zniknięcie.

– Do czego zmierzasz? – zapytał Simon, uśmiechając się drwiąco. Wprawdzie poczęstował ich kawą, ale bez entuzjazmu. Skoro facet zginął, trop prowadzi donikąd.

– Właśnie. Myślę, że on nie umarł.

– A na jakiej podstawie?

– Hoffmann zniknął po bitwie pod Arras. Tam była potworna jatka. Mógł z łatwością podmienić swój nieśmiertelnik, zabierając ten poległego kolegi.

– Nie wydaje ci się, że posuwasz się zbyt daleko?

– Pozwól jej mówić – uciszył go Beewen, znacznie bardziej zainteresowany tą hipotezą niż Simon.

Minna wstała z kanapy i przechadzała się za plecami Beewena. Czuła się, jakby krążyła w cieniu góry.

– Wyobrażam sobie tę scenę – powiedziała tonem, który jej samej wydał się zbyt patetyczny. – Wybuch masakruje twarz Hoffmanna, on jednak przeżywa. Przez cały dzień leży w błocie.

– Dlaczego przez cały dzień? – zapytał Simon, zapalając muratti.

– Bo sanitariusze mogli zabrać rannych dopiero nocą – odpowiedział mu Beewen. – W ciągu dnia wróg strzelał do nich jak do zajęcy.

Simon uniósł brew, co mogło znaczyć „nie wiedziałem” albo „to trzeba sprawdzić”.

– Jednym słowem – ciągnęła Minna – konał w błocie, na zimnie. I wtedy powiedział sobie: „Jeżeli z tego wyjdę, to z nową twarzą. A na pewno z inną głową. I co mnie czeka po wojnie? Więzienie”. Oczywiście skrócono by mu karę za służbę dla ojczyzny, ale nie uniknąłby jeszcze kilku lat odsiadki. Poza tym ciągnęłaby się za nim smutna sława mordercy kobiet. Co zrobił? Zabrał nieśmiertelnik martwego żołnierza, który leżał w pobliżu, a swój wsunął mu do kieszeni. Ta rzeźnia była niespodziewaną okazją, by zmienić tożsamość. I zacząć nowe życie.

Odezwał się Beewen. Wydawało się, że postanowił bez względu na wszystko popierać Minnę.

– Moim zdaniem to nie był jednostkowy przypadek. W chaosie pola bitwy wielu dezercerowało albo podawało się za poległych. Kiedy trafiło się do piekła, nie ma się już nic do stracenia.

Simon patrzył na gestapowca ze zdumieniem. Takie refleksje, wypowiedane z empatią w głosie, nie pasowały do niezłomnego oficera, którego znał.

Minna aż się zarumieniła – tego wieczoru miała sprzymierzeńca. Beewen stanął po jej stronie, czuła jednak, że nie jest w pełni obiektywny.

– Krótko mówiąc – podjęła – wybrał kogoś podobnej postury, może po prostu podobnego do siebie, i zamienił nieśmiertelniki. Nikt tego nie zauważył. Stał się kimś innym, co prawda oszpeconym, ale z czystą kartoteką.

– I co? – zapytał Simon, ostentacyjnie skupiając się na dymie z papierosa.

– To, że Albert Hoffmann krąży dziś po Berlinie, bez twarzy i pod cudzym nazwiskiem.

Simon nie wytrzymał.

– Dobry materiał na powieść. Nie masz żadnego dowodu na potwierdzenie tych domysłów.

– Nie mam dowodu, ale możemy coś sprawdzić. – Minna wstała, sięgnęła do kieszeni i położyła na biurku owalną tabliczkę z blachy cynkowej. – To nieśmiertelnik Alberta Hoffmanna. Z jego nazwiskiem i numerem batalionu.

– Co z tego?

– To, że Franz dostał dziś listę rannych, którymi zajmowała się Ruth Senestier.

– Nadal nie rozumiem.

– Trzeba ją porównać z listą batalionu Hoffmanna. Jeśli znajdziemy na obu to samo nazwisko, rozwieją się wątpliwości. Poznamy nową tożsamość Hoffmanna.

Zapadła cisza. Minna nie była pewna, czy dobrze zrozumieli manewr Hoffmanna. Zawłaszczył tożsamość poległego żołnierza i pod nowym nazwiskiem trafił do szpitala. Potem skierowano go do Studia Gesicht, gdzie w latach dwudziestych Ruth Senestier wykonała dla niego maskę.

Nowe nazwisko. I nowa twarz.

– Dobrze – ustąpił Simon. – Idź dalej tym tokiem myślenia.

– Nie wiem, co Albert Hoffmann robił przez te wszystkie lata, jednak rozbudziła się w nim żądza mordu i zapragnął uderzyć znowu, nosząc osobliwą maskę. Zwrócił się do Ruth i poprosił o wykonanie jej. Dlatego Ruth mi powiedziała, że przyjęła niebezpieczne zamówienie i że zleceniodawca to „diabeł”. Albert Hoffmann pod nowym nazwiskiem. Z połataną twarzą wciąż jest groźnym mordercą.

– To tylko powieść – podsumował Simon.

Beewen poderwał się z fotela.

– Minna ma rację, to można bardzo łatwo zweryfikować. Porównamy rejestr żołnierzy batalionu Hoffmanna z listą „operowanych” Ruth. Jeżeli pojawi się na nich to samo nazwisko, mamy naszego sprawcę. Nazwisko żołnierza, który zginął u boku Hoffmanna i którego tożsamość ten zawłaszczył.

Minna się uśmiechnęła – nie wyraziłaby tego lepiej. Nie czuła dumy z powodu swojego odkrycia, nie irytował jej Simon, choć próbował storpedować każdy jej pomysł. Chciała tylko ustalić, kim jest ten łotr. I nieważne, co kto robi. Nieważne jak. Później będzie czas na opowiadanie o tym.

Beewen patrzył na nią otwartym okiem. Drugie zdawało się już spać.

– Minno, byłaby pani skutecznym gestapowcem.

– Uchowaj Boże. Ale możesz mówić do mnie per ty.

Simon Kraus – mimowolny świadek tej serdecznej rozmowy – wywrócił oczyma.

– Minno, proszę się trochę przespać – dodał jeszcze słodszy głosem Beewen. – Zasłużyła pani na to. A my pędzimy do archiwum.

Te słowa wyrwały Krausa z odrętwienia.

– My? Do jakiego archiwum?

– Do Deutsches Heer!

Simon Kraus pograżył się w koszmarze. Najpierw ta nadęta wariatka wyrwała go ze snu o drugiej w nocy i wdarła się do jego domu pobudzona jak elektron. Potem Kolos przybiegł za nią chyba po to, żeby spijać z jej ust każde słowo. Następnie zaczęła się ta absurdalna opowiastka o seryjnym zabójcy – uwięzionym, uwolnionym, zabitym, a wreszcie zmartwychwstałym. *Co za brednie!*

Ale koszmar trwał. Jadąc mercedesem Beewena, czyli korzystając z transportu w stu procentach nazistowskiego, z orłami i swastykami po prostu wszędzie, zmierzali do Kreuzbergu, gdzie według gestapowca znajdował się NSKOV, Narodowosocjalistyczne Stowarzyszenie Ofiar Wojny. Już sam skrót przyprawiał go o migrenę.

Eufemizmem byłoby stwierdzenie, że był w złym humorze. Kiedy Minna zadzwoniła do drzwi, musiał zdjąć elektrody, czujnik mierzący puls oraz ten do kontroli ruchów powiek. Nie zdążył nawet zerknąć na wykresy. Nie miał pojęcia, w jakiej fazie snu przerwała jego eksperyment, ale nie pamiętał żadnego marzenia sennego. *Scheiße!*

Potem musiał znosić pokrętne wywody, wciągając dym z muratti jak tlen z pompy. Coś mu nie pasowało w tym śledztwie. To, że Minna albo on chcieli pomóc, było jeszcze do przyjęcia. Ale Beewen, Hauptsturmführer z Gestapo, który nie znalazł sobie lepszego wsparcia niż dwójka marginalnych psychiatrów bez żadnego doświadczenia w zakresie dochodzeń kryminalnych – to już było absurdem. Oficer coś przed nimi ukrywał. Simon był przekonany, że Beewen załatwia własne sprawy, po cichu, w tajemnicy.

– Dojechaliśmy – oznajmił gestapowiec, stukając w szybę dłonią w rękawicze.

Znaleźli się przed budynkiem, w którym ani jedno okno nie było oświetlone. Od ulicy oddzielał go rozległy trawnik. Kiedy ich oczy oswoiły się z ciemnością, osłupieli. Setki drewnianych skrzyń, kufrów i skrzynek stało na ziemi, pozostawiając tylko wąską dróżkę do wejścia. Dwóch przysypiających wartowników pilnowało tego „dobytku”.

– Są w trakcie przeprowadzki – wyjaśnił esesman, wysiadając z samochodu i włączając latarkę.

Dwa miliony zmarłych zajmuje dużo miejsca. Nazwiska, daty, okoliczności śmierci, to wszystko zapełnia kilometry półek, niezliczone segregatory, nabazgrane notatki na kartkach, podpisy, pieczętki. Nie można też zapomnieć o czterech milionach rannych, którym także należała się papierowa dokumentacja: stan zdrowia, historia. To wszystko mogłoby zająć kilka pięter, utworzyć papierową górę, ale na razie „polegli za

ojczyznę” i ci, którzy przeżyli wojnę, poniewierali się po dziedzincu w skrzyniach ustawionych w stosach, byle jak, niczym w dokach Westhafen.

Beewen znalazł dyżurnego archiwistę, z którym rozmawiał tajemniczym językiem cyfr, dat, nazw regimentów, batalionów, eskadr. Simon nic z tego nie rozumiał i nawet nie próbował zrozumieć. Usiadł po prostu na skrzyni jak dzieciak, który patrzy na przejeżdżające pociągi.

Kiedy esesman i jego nowy towarzysz gry szli tymczasowymi alejkami (widać było, jak krzyżują się snopy światła ich latarek), Simon czuł się coraz bardziej przytłoczony bliskością tych wszystkich zabitych, zamkniętych teraz w drewnianych skrzyniach. Przed oczyma miał okopy tonące we krwi, błotniste, pełne cierpienia, szcurów i komarów, wodę skażoną rozkładającymi się częściami ciał, powietrze przenoszące tyfus i gruźlicę. Widział brudne twarze, wszy chodzące po brwiach i włosach, głowy okaleczone odłamkami pocisków, usta zadławione błotem...

Miał wrażenie, że słyszy świst kul, potworne eksplozje, terkot karabinów maszynowych. To wszystko odbijało się echem od skrzyń i kufrów zgromadzonych tu jak w końcu tunelu.

Nie był znawcą historii, ale wiedział to co wszyscy. Wojna nazywana pompatycznie pozycyjną oznaczała, że żołnierze obrzucali się granatami albo materiałami wybuchowymi upchniętymi w puszcze po konserwach, którą przywiązywali do raketki. Może się to wydać śmieszne, ale właśnie za sprawą takiej broni ci biedacy, którzy nie mieli nic do powiedzenia i których nikt nie pytał o zdanie, kończyli ze zmasakrowaną twarzą.

– Mam!

Beewen stał między dwoma stosami pudeł, wymachując dokumentami, które w tym momencie były dla niego cenniejsze od Graala.

– Wszyscy polegli i ranni dwudziestego drugiego kwietnia siedemnastego roku z batalionu Hoffmanna! – krzyknął, podchodząc. Wydawał się cieszyć, że tak dużo krwi mieści się na tak niewielu stronach. Zwinął papiery w rulon i trzymając je dłonią w rękawiczce, podsunął je pod nos Simonowi, który jednak nie podzielał jego entuzjazmu. – Teraz będziemy mogli porównać te nazwiska z listą osób, którym Ruth robiła protezy, i...

– Wszystko jasne.

Gestapowiec lekko się zasepił. Wciąż trzymał w drugiej ręce włączoną latarkę, oświetlając swoją twarz od dołu jak w ekspresjonistycznych niemych filmach.

– Nie masz do tego przekonania?

– Mógłbym powiedzieć, że wierzę w tę wersję jak dzieci w Świętego Mikołaja. To piękna historia, chociaż taka ponura, ale powiem szczerze, że żeby ją przełknąć,

trzeba tego bardzo chcieć.

Beewen zbliżył się jeszcze o krok. Simon, który nadal siedział, cofnął się na wszelki wypadek.

– Sprawdziłem wszystkie tropy. Zastosowałem wszystkie metody dochodzeniowe, a przede mną to samo robili ludzie z Kripo. KTI, najlepsze w Europie laboratorium kryminalistyczne, wszystko przeczesało i zbadało. Niczego nie udało się znaleźć. Minna to pierwsza osoba, która zaproponowała mi coś nowego.

– Minna... – powtórzył Simon z lekkim uśmiechem na ustach.

– O co chodzi?

– O nic.

Beewen wsunął dokumenty pod pachę i gwałtownie opuścił latarkę, oślepiając Simona. Ten gest był agresywny, a praktyka zapewne często stosowana przez Gestapo.

Simon liczył się z tym, że oberwie po głowie, tymczasem Beewen zapytał jakby w onieśmieleniu:

– Myślisz, że mam szansę?

– Co?

Beewen zgasił latarkę.

– Z Minną. Myślisz, że mam u niej szansę?

Simon przez chwilę nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. A potem uległ temu, co było silniejsze od niego, i zamiast odpowiedzieć, wybuchnął gromkim śmiechem.

Kiedy zadzwonił telefon, Simon był przekonany, że nie zdążył zmrużyć oka. W rzeczywistości była już siódma, przedrzemał więc dwie godziny.

– Halo?

Głos Beewena rozgrzany do białości. Głos narkomana – Simon się zastanawiał, czy ten nazista nie sięga po jakiś nowy specyfik. Wyglądał na takiego, który chętnie wypróbowałby na sobie nową amfetaminę *made in Germany*.

– Co się stało?

– Co się stało? – powtórzył podniesionym głosem Beewen. – Stało się to, że znalazłem mordercę! Ustaliłem, kim jest, i namierzyłem go.

Simon, czując gorzki posmak w ustach, myślał o swoich snach. Tym razem je pamiętał. Zdążył przespać pełny cykl – zaśnięcie, lekki sen, sen głęboki. Dzwonek telefonu wyrwał go ze środka marzenia sennego.

Oczywiście w tym śnie nie było ani śladu Marmurowego Człowieka.

– Podam ci adres. Przyjedź tu.

– Co takiego?

– Jestem w Meyers Hof przy Ackerstraße sto trzydzieści dwa, w dzielnicy Wedding.

Simon nie mógł pojąć tej woli wciągania go we wszystkie kolejne etapy śledztwa. Mógł ewentualnie pomóc Beewenowi w przesłuchaniu Dam Adlonu czy w analizie profilu psychologicznego zabójcy, ale na pewno nie w aresztowaniu faceta ze zmasakrowaną twarzą i uganianiu się za nim w strumieniach deszczu. Bo o szyby dudniła ulewa.

Może to było wyniesione z Hitlerjugend upodobanie do działania w grupie, tylko że Beewen był za stary, by uczyć się w gronie tych okrutnych skautów.

– Będę czekał na ulicy na wprost.

– Ale... Chcesz, żebyśmy to zrobili tylko we dwóch?

– Będą jeszcze mój zastępca Dynamo i asystent Alfred.

Kraus zrozumiał, że nie warto z nim dyskutować. Nie zatrzyma się rozpędzonej kriegslokomotive. Ubrał się szybko, co było dla niego absolutnie nietypowe. Włożył płaszcz, chwycił przypadkowy kapelusz, fedorę, i w drogę, panie bracie!

Berlin u schyłku lata lubił deszcz. A może odwrotnie. Tak czy inaczej, Simon uwielbiał taką pogodę. Ale tego ranka go mdliło, był zmęczony i nie miał siły cieszyć się deszczem.

Pod parasolem biegł do Alte Potsdamer Straße w nadziei, że uda mu się złapać taksówkę, ale nigdzie nie było ani jednej – od wczoraj trwała wojna, taksówki stawały się rzadkością.

I wtedy zobaczył wóz zaprzężony w konia, który szedł ze spuszczoneym łbem, obojętny na deszcz, na samochody, na pieszych. Simon skinął ręką prawie przed nosem zaspanego woźnicy.

Wóz się zatrzymał. Pod plandeką leżały pietruszki, a może ziemniaki – cały upakowany ziemią stos. Simon poprosił woźnicę, żeby za zwitek marek zawiózł go na Wedding. Nieco ponad cztery kilometry można było pokonać truchtem w czterdzieści minut.

Woźnica, równie rozmowny jak jego szkapa, zgodził się, Simon usiadł więc obok niego, mogąc już nie przejmować się deszczem. Nie wiedział, czy się śmiać, czy płakać. W mokrym powietrzu przesiąkniętym ziemistym zapachem warzyw, w rytm miarowego stukotu kopyt, jechał na swoje pierwsze aresztowanie. Jednak pod plandeką, o którą uderzały ciężkie krople, ogarnęło go dziwnie miłe uczucie. Było mu dobrze. Wóz trzęsący się na bruku, podskakujący na wybojach, trucht konia – to wszystko go otępiało. Powieki zaczynały mu się zamykać.

Poczęstował wieśniaka muratti i obaj palili w milczeniu, widząc przed sobą długą, rozedrganą Bellevue Straße. Simon zastanawiał się nad swoim porannym snem, którego urywki unosiły się jeszcze w jego pamięci jak drobne wiry na rzece. Jego sny były zawsze niespokojne, skomplikowane, bolesne. Budził się zmęczony, wręcz wykończony, zastanawiając się, jak jego umysł może dalej pracować po takich doznaniach.

Te dwie godziny nie odbiegały od normy – widział, jak jego skóra bieleje, lśni niczym masa perłowa, jak rosną mu łuski. Między palcami pojawiła się łącząca je błona – ręce zmieniły mu się w płetwy. Nie wiedział jak ani dlaczego, ale znalazł się na stole operacyjnym oślepiiony silnym światłem lampy. Nie widział ani lekarzy, ani pielęgniarek, słyszał za to szcęk narzędzi chirurgicznych.

Kiedy spuścił oczy, zobaczył dłonie w rękawiczkach ostrożnie pobierające kilka jego łusek. To go bolało i łaskotało. A przede wszystkim czuł się ponizony, jakby jego wstydlivy sekret stał się widowiskiem dla obcych ludzi.

Był nagi, bezbronny, potworny. Widział szczypce odrywające mu białe płytki lśniące jak paznokcie. Widział, jak te płytki lądują w nerce „do analizy”. Najbardziej przerażające było jednak to, że te oderwane cząstki nadal sprawiały mu ból, kiedy ich dotykano, bolały nawet z daleka.

– Proszę pana, nic panu nie jest?

Simon drgnął. Znow miał sen. Drżał, czuł, że pot spływa mu wzdłuż kręgosłupa – mimo burzy wciąż było bardzo ciepło. Poczęstował woźnicę kolejnym papierosem. Poczł ulgę, bo żył. Mimowolnie spojrzł na swoje dłonie – nie miał łusek.

– Dojechaliśmy.

Simon zapłacił woźnicy i wyskoczył na deszcz.

Mietskaserne były to kamienice wybudowane pod koniec XIX wieku dla biednych rodzin, które tysiącami napływały do stolicy. Te „mieszkaniowe koszary” nie zapewniały ani wygód, ani przyzwoitych warunków sanitarnych. Była to czysta spekulacja nieruchomościami opierająca się na prostym zamyśle: pomieścić maksymalną liczbę ludzi na jak najmniejszej powierzchni. W efekcie powstały grupy betonowych budynków skupione wokół wewnętrznego dziedzińca, höfe, i można było pomyśleć, że to istny dziedziniec cudów ciągnący się bez końca, poszatowany, tworzący labirynt.

Wyznawca marksizmu powiedziała, że te królicze klatki z oknami i podwórkami, gdzie ścieki płynęły przed oknami zamieszkiwanych suterren, były dziełem Minotaura zwanego kapitalizmem. Ten, komu się spieszyło, mógł zwariować, próbując odnaleźć drogę w tej plątanie budynków, podwórek w amfiladzie, identycznych bram...

Meyers Hof było niewątpliwie najlepiej znaną mietskaserne w Berlinie. I jedną z największych. Ponad dwa tysiące ludzi tłoczyło się tu w zaledwie dwustu pięćdziesięciu mieszkaniach, co dawało średnio osiem osób na lokal. *Nieźle.*

Beewena jeszcze nie było. Zgodnie z umową Simon stanął na chodniku na wprost i palił pod parasolem. Do diabła, co on tu robi?

Obserwował, jak papieros pali się z trudem w jego palcach, i rozmyślał o swoich losach, o karierze. Pokonał tę drogę po to, żeby wylądować w tym miejscu, obiema nogami w kałuży, i czekać na zmiłowanie bandy gestapowców... Daleko było stąd do jego znakomitego gabinetu, do jego badań nad „marzeniami sennymi i ludzką psyche”, do jego wyjazdu do Stanów Zjednoczonych.

Przyjechał Beewen. Towarzyszył mu krępy, barczysty facet na krótkich nogach. Drugi był jak wykrzyknik w wielkich okularach. Wszyscy trzej byli ubrani po cywilnemu. Jeśli można to tak nazwać... Długie skórzane płaszcze, miękkie kapelusze – typowe przebranie, nieoficjalny mundur Gestapo.

Esesman pospiesznie przedstawił swoich ludzi: ten o wyglądzie masywnej szafy nazywał się Dynamo, a wydłużony – Alfred. Uścisk łap w strugach deszczu.

– Chodź z nami i bądź cicho – rozkazał Beewen. Simon machinalnie kiwnął głową. – Masz broń?

– Ależ... oczywiście, że nie.

Beewen mrugnął okiem do Dynama, który niósł na ramieniu torbę myśliwską zdolną pomieścić kilka ustrzelonych zajęcy. Mężczyzna wyjął z niej pistolet, lugera

PO8. Simon znał ten model, bo sypiał z pewną hrabiną, która kolekcjonowała takie zabawki.

– Nie chcę broni.

– Nie bądź głupi – rzucił nazista. Wziął pistolet od Dynama i dosłownie wepchnął go Simonowi. – Umiesz strzelać?

– Nie...

– Świetnie. W razie kłopotów wyciągnij broń i machnij nią. To zupełnie wystarczy.

Simon czuł w dłoni drewnianą kolbę. Luger był ciężki i dodawał pewności. Jego lufa przypominała fabryczny komin pełen mrocznej energii.

– Nasz człowiek nazywa się Josef Krapp.

– Skąd wiesz?

Beewen spojrzał na zegarek. Miał minę oficera, który musi wyjaśnić swoim ludziom pewne elementy, zanim rozpocznie się operacja.

– Josef Krapp został ranny nocą dwudziestego drugiego kwietnia tysiąc dziewięćset siedemnastego roku podczas bitwy pod Arras. Tej samej nocy, kiedy rzekomo zginął Albert Hoffmann. Obaj służyli w jednym batalionie.

– Co z tego?

Esesman westchnął, nerwowo wciskając ręce do kieszeni.

– To, że tamtej nocy zmarł Krapp. Hoffmann z obrażeniami twarzy zabrał jego nieśmiertelnik i stał się Josefem Krappem. *Verstanden?*

– Zdajesz sobie sprawę, że cała ta historia opiera się na niczym? To tylko teoria pupilki tatusia, która przeczytała za dużo powieści.

– Zamknij się. Josef Krapp mieszka w tej mietskaserne. Zatrzymamy go i przesłuchamy. Gestapo wie, jak się do tego zabrać.

Simon znów pokiwał głową, tym razem bez cienia ironii. Podniecenie, które dostrzegał u tych trzech łotrów, zaczynało mu się udzielać.

– Mieszka w budynku po prawej, na trzecim podwórku, prosto przed nami. Drugie piętro. – Beewen się cofnął i powiedział do całej trójki: – Ja i Simon idziemy na górę. Dynamo i Alfred, zostajecie na dole, żeby zgarnąć ptaszka, gdyby próbował skakać przez okno.

Gestapowiec mówił jak bohater powieści Karola Maya, kowboj, który nie był nigdy za Renem.

– Simon, na wszelki wypadek przeładuj lugera.

Kraus nie zdążył poprosić o dokładniejsze instrukcje, powtórzył tylko zdecydowany ruch Beewena, który także trzymał broń w ręce. Wystarczyło mocno nacisnąć zamek, który, o dziwo, się uniósł, a potem wyprostował jak mechaniczne ramię, i sprawa załatwiona: nabój znalazł się w lufie.

Dwaj pozostający na dole też przeładowali broń, a Simon zadrżał, słysząc metaliczny dźwięk. Teraz naprawdę chciał jak najszybciej iść na górę.

Deszcz był ich sprzymierzeńcem. Spoglądając na ciągnące się jedno za drugim podwórza, przekonali się, że wszędzie jest pusto. Zwykle mietskaserne żyła własnym życiem osobnego miasta. Tu się mieszkało, jadło, spało, a także pracowało. Przez większość czasu na zewnątrz, na podwórzach. Rzemieślnicy, handlarze, wszelkiego rodzaju dostawcy mieli swoje stanowiska pracy na podwórzu, a sprzęt i towary przechowywali w mieszkaniach. Była to istna kloaka cuchnąca rozgrzanym do białości żelazem i gnijącymi warzywami. Do tego trzeba dorzucić gromady dzieciaków i szczury.

Ale dziś *nichts*. Wszyscy schowali się pod dachem.

Kraus i Beewen przeszli przez pierwsze podwórze, potem przez drugie. Deszcz dudnił niewyobrażalnie głośno, ciężki pod bramami, delikatny i srebrzysty w podwórkach. Żadne z nich nie przekraczało powierzchni trzydziestu metrów kwadratowych. Simon pamiętał, że to minimalna powierzchnia umożliwiająca operowanie sikawką strażacką.

Na granicy trzeciego dziedzińca Beewen przystanął i jego ludzie także. Woda sięgała im już do kostek. Patrząc w dół, Simon zobaczył ich odbicia: trzech ludzi w skórzanych płaszczach, czwarty w trenczu, wszyscy w kapeluszach. Robili wrażenie.

Beewen powiódł wzrokiem po fasadach, po oknach, zamkniętych straganach. Nawet żaden szczur nie miał ochoty zmoczyć sobie futra. Skinął głową, każąc Simonowi iść za sobą. Dynamo i Albert zostali w ukryciu.

Przecięli podwórze na skos i weszli do budynku. Zatrzymał ich smród. Cuchnęło szczynami, śmieciami, zgnilizną. To wszystko było jak ściana, przez którą trudno się przebić. Simon potrzebował kilku sekund, by oswoić wzrok z półmrokiem. Dziesięć par oczu obserwowało ich w milczeniu. Dzieciaki siedziały na schodach, podpierały ściany, trzymały się poręczy. Małe twarzyczki były wychudzone z głodu, postarzałe z nudy, blade jak u suchotników.

Kopniakiem Beewen zmusił kilkoro do zejścia mu z drogi – ujawniły się stare nawyki z SA. Potem ruszył na górę. Simon pomyślał, że te schody nie wytrzymają studwudziestokilogramowego faceta, jednak konstrukcja przetrwała. Ruszył za nim.

Jeszcze kilka stopni i dziecięce zjawy poszły w zapomnienie. Teraz przeszkodę stanowiły ciemności. Żadnego źródła światła w tej ciasnocie. Tylko to nieustające dudnienie deszczu, który smagał fasady, okna, nawet – tak im się wydawało –

wdzierał się do wnętrza kamienicy. Po omacku wspinali się w górę. Simon miał wrażenie, że zapuszcza się w głąb odwróconej studni.

Pierwsze piętro. Poszli, nawet nie zerkając na korytarz, który biegł w prawo i w lewo. Znów schody. Simon podążał za gestapowcem, trzymając w ręce lugera i nie wierząc, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Drugie piętro. Dopiero teraz zobaczył buty Beewena – jasnobrązowe derby niepasujące do czarnych spodni. Widok tego fatalnie ubranego prostaka, który jednak miał prawo decydować o życiu albo śmierci wielu berlińczyków, przyprawił go o nerwowy śmiech.

Beewen dał mu wyraźny znak – w prawo. Dyskretnie skręcili w korytarz i mimowolnie się zawahali. Widok, jaki mieli przed sobą, był szokujący, jakby wyjęty ze świata troglodytów wegetujących w zbombardowanym mieście.

Farba odpadała ze ścian pasmami, dziury zatkano kartonem, a cały korytarz był zawalony szczątkami rowerów, zwiędłymi roślinami i wiadrami, do których spływała przeciekająca woda.

Beewen przeszedł nad pierwszym wiadrem. Simon trzymał się blisko niego.

– Krapp mieszka w końcu korytarza – rzucił Beewen, patrząc na wyblakły plan, który trzymał w ręce.

Mijali otwarte drzwi mieszkań. Liczna społeczność budynku tłoczyła się w nich po pięcioro, sześcioro, siedmioro, ośmioro, dziesięcioro... z łózkami, sprzętami, pamiątkami i nocnikami.

Strzały kompletnie ich zaskoczyły. Beewen odskoczył w lewo, do mieszkania. Simon wyciągnął przed siebie broń, zamknął oczy i nacisnął spust. Niewiarygodna reakcja, która wzięła się z niczego, porażająca jak zapomniany odruch odziedziczony po przodkach wojownikach albo myśliwych.

Wtedy go zobaczył: z lugerem, w mundurze SS, dwie trzecie górnej części twarzy miał zasłonięte czarnym tiulem, jakby żałobną woalką, za którą widać było tylko jedno oko. Oko z koszmaru, obserwujące człowieka z okopów, z perspektywy odrzuconej śmierci i rozszarpanego ciała. Simon strzelił jeszcze raz.

Krapp zniknął.

Ogarnięty, wręcz opętany brutalnością chwili Simon rzucił się w pościg, gdy Beewen wychodził z kryjówki. Zderzyli się. Psychiatra poleciał w prawo, do pokoju, którego prawie nie widział. Szczękanie rondli, oparcie krzesła, które spadło mu na głowę, i małe buty, cała masa butów dzieci, które ledwie zdążyły uciec, żeby nie staranował ich ten dorosły w płaszczu wrzucony do ich domu.

– *Scheiße!* – wrzasnął Simon, wstając.

Jedna noga utknęła mu w wózku, niemowlę wyło, na tapczanie leżał starzec wyglądający jak trup, a dzieciaki kręciły się wszędzie niczym szczury po ładowni statku.

Simon wydostał się z tego chaosu i ruszył pędem na koniec korytarza. Beewen pierwszy dotarł do nory mordercy. Zobaczyli już tylko otwarte okno wyrwane z zawiasów, targane wiatrem firanki i deszcz, wciąż ten deszcz wciskający się do pokoju jak ostrze w worek.

Kraus dobiegł i chwycił się parapetu.

Sekundę wcześniej Beewen wyskoczył na cynkowany dach przybudówki. Kiedy spadł na blachę, tak mocno przysiadł na nogach, że o mało nie wbił sobie kolan w brodę. W tym momencie Krapp zniknął już w labiryncie podwórek.

– Beewen! – krzyknął Simon, kiedy nogi gestapowca w czysto mechanicznej reakcji rozprostowały się i pchnęły go do przodu.

Po fantastycznym salcie wylądował na plecach na krytej plandeką taczce. Alfred, który to widział, zamienił się w słup soli. Dynamo ruszył już w pościg za zbiegiem i był na sąsiednim podwórzu.

Simon wyszedł z mieszkania, potknął się o wiadro, skierował się w przeciwną stronę. Odgłos strzałów wywołał taki efekt jak kopnięcie mrowiska: dzieciaki biegały, kobiety podniosły krzyk, mężczyźni nadciągali uzbrojeni w kije i noże.

Simon strzelił jeszcze raz, w powietrze, ryzykując przedziurawieniem sufitu już i tak mocno nasiąkniętego wodą. Udało mu się dojść do schodów. Stracił równowagę, poślizgnął się i zjechał na plecach na pierwsze piętro. Jakoś się pozbierał i wstał prawie pewny, że nie połamał kości. Udało mu się w dodatku nie wypuścić z prawej ręki lugera. Przełożył go do lewej, żeby chwycić się poręczy i zejść na dół.

W strugach deszczu Alfred wyciągnął Beewena z taczki. Wszyscy lokatorzy wyglądali przez okna. W końcu nie co dzień byli świadkami takiego widowiska: wariat z Gestapo utknął w taczce.

Simon nie czuł ani strachu, ani bólu. Nic nie czuł. Fala adrenaliny elektryzowała go tak, że nie wiedział już nawet, kogo właściwie ściga – mordercę Hoffmanna czy może siebie, Simona Krausa, trochę mniej łajdackiego niż zwykle, małego, ale dzielnego faceta z pretensjami, który sobie poradzi.

Pobiegł w tę samą stronę co Dynamo. Kule świstały w powietrzu, uderzając w mury pasażu. Z tyłu słyszał wołanie Beewena: „Simon!”. Ale ten głos wydawał mu się za daleki, nierealny, a plusk deszczu stał się bliski i dawał gwarancję prawdy.

Simon minął jedno podwórze, potem drugie. Teraz już w progu każdej klatki schodowej stały dzieci, wysuwając nosy jak ciekawskie zwierzątka. Simon nadal nie

widział Dynama, a tym bardziej Krappa/Hoffmanna. Może weszli do budynku, do jakiejś piwnicy?

Rozległ się strzał. Simon znów ruszył biegiem, aż woda z ronda jego kapelusza chlusnęła jak z przepełnionej rynny.

Wewnętrzne podwórko. I znów nie od razu dotarło do niego to, co zobaczył: wbita w fasadę belka. Na końcu tej belki lina, a na końcu liny Dynamo z twarzą we krwi, miotający się i rozpaczliwie próbujący poluzować pętlę, która go zabijała.

Po prawej morderca kończył mocowanie liny do pierścienia wbitego w mur. Pierwszy odruch Simona: strzelić do mordercy. Chybił. Za to Josef Krapp, a dla wtajemniczonych Albert Hoffmann, wycelował w niego i po tym, jak tamten trzymał broń, Simon się domyślił, że dla niego to nie nowość. Psychiatra cofnął się do bramy i pechowo upadł prosto do rynsztoka. Natychmiast poczuł masy wody wciskające się między jego skórę a ubrania.

Podniósł się z wielkim trudem. Nie myślał o Dynamie, który konał, ani o Beewenie wołającym go skądś z daleka, z głębi labiryntu. Nie myślał o niczym. *Widział*. Oko – oko Potwora, Zła, otulone czarnym całunem. Ciało tego człowieka, jego zmasakrowana twarz, jego zniszczona dusza – wszystko należało do oka. To ono rozkazywało i skupiało całą brutalność chwili niczym piorunochron ściągający gromy.

Mężczyzna mógł jeszcze strzelić, ale odwrócił się i zniknął za kolejną bramą. Simon znów biegł – Dynamo jeszcze się ruszał. Simon zobaczył beczkę i przeturlał ją do wisielca. Jednym pchnięciem postawił ją dokładnie pod gestapowcem, który znalazł oparcie dla nóg. Był ocalony. Simon podniósł lugera i ruszył śladem Hoffmanna. Dalej było już ostatnie podwórze. Zbieg tam utknie jak w ślepym zaułku. A jednak nie. Zobaczył tylko trzy mokre od deszczu fasady, wejścia do kamienic czarne jak krecie nory, mur ogrodzenia, za którym kryły się inne tereny, inne budynki.

Padł na kolana: Bestia im się wymknęła. Nie tylko dziś, ale na dobre, bo odtąd morderca będzie się miał na baczności.

Wyjaśnienia Dynama były mętne: morderca zaczął się na niego ukryty na jednym z podwórek, uderzył go deską, potem zaciągnął do liny i... Beewen nawet nie słuchał, zaprzątnięty przeszukiwaniem pokoju Josefa Krappa.

Dwadzieścia metrów kwadratowych pod sufitem poczerniałym od kozy, która stała na środku. Łóżko, stół, krzesło, szafa, komoda. I tyle. Nie był to apartament królewski. A już na pewno nie garsoniera, do której Krapp sprowadzałyby kochanki. Nora dla samotnego, oszpeconego człowieka, który prawdopodobnie utrzymywał się z renty SS.

Ale tak było przed wizytą Hauptsturmführera Franza Beewena. Teraz pokój zamienił się w pobjowisko. Rozwścieczony oficer opróżnił wszystkie szuflady, rozrzucił po podłodze wszystko, co leżało i stało na półkach, ściągnął i rozpruł materac. Nie darował także kołdrze, zaatakował nawet mały zlew w kącie kuchennym. Wyrwał go ze ściany i potłukł na kawałki, nie przejmując się strużką wody ciekącą z uszkodzonych rur. Pociął sztyletem książki, które wpadły mu w ręce, darł papiery, zdjęcia, broszury.

Kopał i okładał pięściami ściany, szukając ewentualnej skrytki. Skutek był taki, że wszystkie rzeczy, szczątki naczyń, strzępy tkanin na podłodze przysypał gipsowy pył.

Może w nazistowskim słowniku dało się to nazwać rewizją, jednak zwykły obywatel oceniał to raczej jako napad obłędu. Simon, który ledwie otrząsnął się po swoich przeżyciach, patrzył na rozszalałego gestapowca. Ile mieszkań tak zdemolował? Ile małżeństw wyrwał ze snu w środku nocy, świecąc im latarką w oczy? Ilu rodziców pobił na oczach dzieci? Ile kobiet włókł za włosy po mieszkaniu?

Teraz nazistowski oficer pastwił się nad podłogą, własnymi rękami wyrywając deski. Idąc za nim, Dynamo i Alfred układali je pod ścianą.

I nagle Beewen wydał triumfalny wrzask. Właśnie znalazł damskie pantofle pod belkami wspierającymi deski podłogowe. Zaczął wydobywać je ze skrytki, wydając ciche okrzyki zadowolenia.

A znajdował najrozmaitsze: botki, czółenka, sandały, balerinki, niebieskie, czarne, czerwone, skórzane, zamszowe, płócienne, futrzane...

Po powitaniu z lugera to znalezisko potwierdziło prawdziwą tożsamość Josefa Krappa. Czy jednak na pewno był Marmurowym Człowiekiem?

Franz Beewen w każdym razie nadawał się do domu wariatów.

Idąc po głównych schodach siedziby Gestapo, czuł się, jakby szedł na szafot. Była dopiero dziesiąta rano, ale spojrzenia kolegów mówiły wiele: wszyscy już wiedzieli. A *Heil Hitler!*, którymi go witano, brzmiały jak pożegnanie, niezbyt empatyczne.

Szybkim krokiem pokonał korytarz, chcąc uniknąć krytycznych spojrzeń i sarkastycznych uwag głównych rywali z Grünwaldem na czele. Dotarł do biura bez przykrych spotkań.

Nagle za jego plecami pojawił się Hölm. Wepchnął go do środka i po cichu zamknął drzwi:

– Nie powinieneś zostać w Meyers Hof? – zdziwił się Beewen.

Dynamo, który miał obandażowaną głowę, skwitował tę uwagę machnięciem ręki.

– Zostawiłem to komu innemu. Nie jestem potrzebny do przesłuchiwania tego dziadostwa, które nic nie słyszało, nic nie widziało. – I wyrzucił z siebie jednym tchem: – Zabrali nam akta.

– Które?

– Zgadnij!

– Alfred wrócił z tobą? Może ma...

– Alfred wlażł pod biurko. Boi się o siebie i o rodzinę. Oberwie nam się, Franz. Przez ciebie i te twoje genialne pomysły.

– Uspokój się, zdarzały się gorsze rzeczy.

– Ale ta będzie ostatnia.

Dynamo miał rację: jego ekipa nie przetrwa takiej porażki. Zorganizowane na poczekaniu aresztowanie bez powiadomienia przełożonych. Samowolne wciągnięcie w sprawę cywila. Ucieczka celu interwencji. Błędy Beewena można było wyliczać bez końca.

– Nie martw się – powiedział. – Wezmę wszystko na siebie.

– Gadanie. Jedziemy na tym samym wozie i nie mamy niczyjego poparcia.

– Zaczekaj tu na mnie.

Beewen wyszedł z gabinetu i w kilku krokach dotarł do biura Perninkena.

Rzuciwszy *Heil Hitler!*, które brzmiało jak okrzyk wojenny, przeszedł do sedna sprawy:

– Obergruppenführer, gdzie są akta mojego śledztwa?

Nawet tu, w tym gnieździe drapieżników, atak bywał najlepszą obroną. Perninken wstał, nie okazując najlżejszego wzburzenia. Ani zaskoczenia, ani niezadowolenia –

żadnych emocji.

- Kazałem je przenieść.
- Dokąd?
- Zapewniam, że niedaleko.
- Odbiera mi pan sprawę?

Obergruppenführer w milczeniu wyszedł zza biurka, a potem, trzymając ręce za plecami, stanął przed Beewenem. Nie sprawiał wrażenia oburzonego zuchwalstwem oficera. Wobec skazańca można być wielkodusznym.

- Lepiej niech mi pan opowie, co się wydarzyło dziś w Meyers Hof.

Beewen próbował przełknąć ślinę, bo wydawało mu się, że jego gardło wydaje dźwięki przypominające zgrzyt ostrzonego noża. W kilku słowach przedstawił sprawę. Przemilczał wiele istotnych faktów: zabójstwo Ruth Senestier, Marmurowego Człowieka i jego maskę, zmianę tożsamości, udział dwojga cywilnych psychiatrów w śledztwie.

– To wszystko? – zdziwił się Obergruppenführer, wysłuchawszy pięciominutowego monologu podwładnego.

Perninken potrafił odróżnić prawdę od wciskanych mu kłamstw.

– Nie – powiedział bez wahania Beewen. – U Josefa Krappa odnaleźliśmy damskie buty.

- To ma być wystarczający powód, by uznać, że to on jest mordercą?
- Uciekł, kiedy nas zobaczył, Obergruppenführer.
- Na wasz widok wszyscy uciekają.
- Był uzbrojony, Obergruppenführer. To oficer SS. Posługuje się kordzikiem, mordując ofiary.

Wyprężony jak maszt Perninken zaczął przechadzać się przed Beewenem. To było jego typowe zachowanie. Franz czuł opary ołowiu. Wciąż te sztuczki magnetyzera. I ten zapach jak u dentysty.

- Czyli dziś rano poszedł pan zatrzymać Krappa?
- Tak jest.
- Nie uprzedzając mnie.
- Działiałem w nagłej sytuacji. Popełniłem błąd.
- Bez najmniejszej koniecznej liczby ludzi.
- Chciałem to załatwić możliwie dyskretnie.
- Aresztowanie zabójcy tego kalibru? Powinien pan zabrać ze sobą cały batalion!

Beewen skłonił głowę. W nazistowskim języku taki zdecydowany ruch oznaczał skruchę.

– Powtarzam, to był błąd. Ale miałem rozkaz, by w tym śledztwie działać zawsze z dużą powściągliwością – zaryzykował, usprawiedliwiając się.

– Skutek jest taki, że podejrzany uciekł. Ilu was było?

– Ja, mój zastępca Günter Hölm i mój asystent Alfred Mark.

– Mówiono mi też o jakimś cywilu.

Kto go szpiegował? Szofer? Czy chodzili za nim inni gestapowcy? Beewen gotów był iść o zakład, że to blockleiter z Meyers Hof.

– Nie wiem, o kim pan mówi – skłamał bez zmużenia oka.

– Zostawmy to. Wie pan, gdzie może być teraz podejrzany?

– Nie.

– Jak pan zamierza go odnaleźć?

Beewen postawił na szczerość. Posunął się już tak daleko...

– Problemem jest jego twarz, Obergruppenführer. Josef Krapp ma zmasakrowaną twarz.

– Tym łatwiej będzie go znaleźć.

– Nosi maskę.

– Maskę?

Franz wolał zachować powściągliwość.

– Niektórzy żołnierze z obrażeniami twarzy skorzystali z pomocy Czerwonego Krzyża. Wykonano dla nich metalowe protezy, żeby poprawić ich wygląd.

– W czym problem?

– Nie wiemy, jak wygląda ta maska.

Beewen spodziewał się lawiny krytyki, tymczasem Perninken powiedział tylko:

– Josef Krapp jest oficerem SS. Z twarzą czy bez, nie powinien być trudny do odnalezienia.

To stwierdzenie dawało nadzieję – Beewen nie wypadł jeszcze z gry.

– Ma pan rację, Obergruppenführer. Ale po tej pożałowania godnej akcji Krapp się ukryje i...

– Nikt nie zdoła uciec przed Gestapo.

Beewen strzelił obcasami i już miał rzucić *Heil Hitler!*, żeby dać wyraz wierze w te słowa.

– Jednak ma pan rację, śledztwo stało się teraz trudniejsze, ponieważ idiotycznie zmarnował pan przewagę, jaką daje zaskoczenie. Właśnie dlatego postanowiłem, że dołączy do was druga ekipa. Pokieruje nią Hauptsturmführer Grünwald.

Beewenowi chciało się wyć. Na liście najgorszych nowin ta była na pierwszym miejscu.

– Wiem, co pan myśli o Grünwaldzie – ciągnął Perninken prawie z rozbawieniem. Pod maską powagi skrywał twarz dzieciaka, który się bawi, machając bykowi czerwoną płachtą przed pyskiem. Oczywiście bykowi na uwięzi. – Jednak to oddany i odpowiedzialny oficer. Wnieście do pańskiego śledztwa porządek, którego w nim brakuje.

– Tak jest, Obergruppenführer.

– Właśnie teraz zapoznaje się z aktami. Chcę was tu widzieć obu dziś w południe, aby wszystko podsumować i zdecydować, jakie podjąć działania.

– Tak jest, Obergruppenführer.

Beewen starał się wygłaszać te formuły z jak największym zapałem. W rzeczywistości czuł, jak lodowaty pot spływa mu po plecach. W aktach nie było nic, absolutnie nic o tym, co skierowało jego podejrzenia na Josefa Krappa.

Grünwaldowi wystarczy pięć minut, aby się zorientować, że jest inne śledztwo, prowadzone w tajemnicy, z udziałem cywilów, w dodatku psychiatrów.

– Dam panu jeszcze czterdzieści osiem godzin – zakończył Perninken. – Niech pan weźmie tylu ludzi, ilu trzeba, otoczcie Berlin. Proszę korzystać z pomocy wszystkich naszych informatorów, wypytać blockleiterów, ale przede wszystkim musi pan zdobyć się na transparentne działanie wobec Grünwalda. Współpraca ekip ma być solidna.

– Obergruppenführer, to oznacza, że każdy będzie wiedział o...

Perninken uderzył pięścią w blat biurka. Zazwyczaj był tak spokojny i chłodny, że patrząc na niego, widziało się różowawą kulę lodową, wszyscy wiedzieli jednak, że potrafi wpaść w niepoohamowany gniew.

– Nie rozumie pan, że jest już za późno, Hauptsturmführer? Jeżeli Grünwald potwierdzi, że ma pan solidne dowody, zaczniemy działać z rozmachem.

Beewenowi stanął przed oczyma mężczyzna w mundurze i czarnej gazie zasłaniającej twarz. Cień, zjawa.

– Przekroczył pan czerwoną linię – dobił go Perninken. – Jeżeli sprawa wyjdzie na jaw, to z pańskiej winy. Miejmy nadzieję, że zdołamy przynajmniej zapobiec wybuchowi skandalu poza murami tego gmachu. Niech pan weźmie ludzi, włączy do działania informatorów, przetrząśnię Berlin i sprowadzi tu tego potwora. Tylko proszę pamiętać, chcę go dostać żywego.

– A... co z Klubem Wilhelma, Obergruppenführer?

Przełożony patrzył na niego, nie rozumiejąc.

– Wie pan, że te panie założyły klub w hotelu Adlon. Wydaje się, że morderca wybiera ofiary z ich grona i...

– Proszę im nic nie mówić. Mężowie ofiar wiedzą, a to już za dużo. Niech pan nie wywołuje paniki w tym kurniku!

Beewen pomyślał o Grecie Fielitz. Poleciał już Hölmowi, by zapewnił jej ochronę. Najgorsze, co mogłoby się teraz zdarzyć, to kolejna ofiara.

Perninken już się uspokoił.

– *Mein Gott*, niech pan się skupi na Krappie! Polowanie na człowieka w Berlinie powinno pana podniecać!

Franz Beewen nie czekał, aż Grünwald zakończy „analizę” akt i przyjdzie, żeby zadawać mu podchwytliwe pytania. Przedstawił sytuację Dynamowi i kazał mu udawać głupka do swojego powrotu. Potem wymknął się jedną z bocznych klatek schodowych – dyskretną, przykurzoną, półmroczną, dla niego wręcz idealną – i szybkim krokiem przeszedł przez wewnętrzny dziedziniec, nie racząc nawet powtarzać *Heil Hitler!*

Wsiadł do mercedesa. Postanowił zaufać swojemu szoferowi, nie miał zresztą innej możliwości – podał mu adres koszar SS-Untersturmführera Josefa Krappa w dzielnicy Friedrichshain.

Kazał przynieść z archiwum jego akta i teraz się w nie zagłębił. Powinien był zrobić to wcześniej, sprawdzić życiorys faceta, ustalić, że jest esesmanem, a więc ma broń; lepiej poznać jego przeszłość i tak dalej. Krapp, ten prawdziwy, urodził się w 1895 roku w Lipsku. Był synem urzędnika. Ożenił się w 1914, został zmobilizowany w 1915, ranny w 1917. Jego jedynym doświadczeniem dorosłego życia były okopy. Potem jego miejsce zajął Hoffmann. Przeżył, rany się zagoiły, później trafił do Studia Gesicht i dostał maskę Ruth Senestier...

Przez wiele lat Krapp/Hoffmann pozostawał w drezdeńskim szpitalu, w kwaterach dla inwalidów. Potem wrócił do Berlina i dołączył do SS-Verfügungstruppe. Facet wykazał się hartem ducha, skoro po tym, co przeszedł w 1917 roku, zdecydował się zostać esesmanem. Kiedy wybuchnie wojna, on z twarzą czy bez jako jeden z pierwszych pójdzie na front. Poza tym był weteranem i czy nazywać go Krappem, czy Hoffmannem, przekroczył czterdziestkę, a w SS oznaczało to, że jest stary.

– Dojeżdżamy, Herr Hauptsturmführer.

Jako Untersturmführer Krapp powinien mieszkać w koszarach, jednak ze względu na kalectwo z pewnością został zwolniony z tego obowiązku. Za rentę inwalidzką i żołąd wynajmował nędzne mieszkanie, które odwiedzili rankiem. Beewen zamierzał przesłuchać jego bezpośredniego przełożonego, Hauptsturmführera Hermanna Fuchsa, i pociągnąć go za język. Z pewnością doskonale zna podwładnego.

Beewen zamknął teczkę. Nie znalazł w niej żadnego zdjęcia. Nie było to zgodne z regulaminem, znów więc zrobiono wyjątek dla biednego oszpeconego żołnierza.

Wjazd za mury koszar nie stanowił problemu dla osoby korzystającej z modelu mercedesa, jakim dysponował Beewen. Budynek ustawione w podkowę otaczały rozległy plac i były całe czarne.

Mimo wysiłku nazistów berlińskie budowle nadal nosiły ślady minionych dekad. Lat głodu, lat biedy, gdy palono marnym węglem w przeludnionych mieszkaniach, w których wszyscy konali z głodu i chłodu. Koszary nie były wyjątkiem. Czarne jak smoła fasady podziurawione niezliczonymi oknami wyglądały jak wzniesione ze skał wulkanicznych.

Czy lepiej było mieszkać w mietskaserne, jak z dzisiejszego ranka, czy w takim czarnym garnizonie? On już dawno dokonał wyboru. Nie zamierzał dołączać do żołnierzy z Schutzstaffel zobowiązanych do życia w koszarach.

Świat SS nie był dla niego ani korporacją, ani armią. Raczej hodowlą.

Heinrich Himmler, hodowca kur, tego chciał: jego stadka musiały być karmione, edukowane i reprodukowane zgodnie z jednym jedynym modelem, tym, który wypracował. Celem nie była hodowla ludzi, ale nadludzi.

Co się tyczy edukacji, wszystko zostało powiedziane: Hitlerjugend dla najmłodszych, a dla innych szkolenia, treningi, seminaria. Edukacja, która miała pozory wykładów o charakterze uniwersyteckim, w rzeczywistości jednak wpajała tylko rasistowskie brednie wzięte z *Mein Kampf*.

Ćwiczenia fizyczne w zasadzie nie budziły wątpliwości. Esesmani byli wysportowani, to pewne, i trzymali się zasady „w zdrowym ciele zdrowy duch”. Problem w tym, że nazistowska ideologia nie była zdrowa, toteż większość żołnierzyków wcześniej uzależniała się od amfetaminy. *Ale pomińmy to.*

Kolejnym problemem było jedzenie. Koniec z poranną kawą, w koszarach powrócono do starych, dobrych germańskich śniadań: mleka i owsianki. Menu śniadaniowe i obiadowe układali eksperci eugeniki, którym najogólniej mówiąc, brakowało wiedzy kulinarnej.

Ostatnia kwestia: kobiety. Mistrz Himmler chciał zarządzać także związkami swoich pupili. Żadnego ślubu bez zgody hauptamtu, czyli dowództwa naczelnego. Przyszła małżonka musiała dowieść aryjskiego pochodzenia i przejść badania lekarskie, wykazać, że jest wysportowana i ma doskonałą konstrukcję fizyczną. Chodziło o małych Aryjczyków, których wyda na świat. I wreszcie musiała przejść szkolenie „filozoficzne” zgodne z ideologią rasistowską i megalomanią, a ponadto opanować na kursach umiejętności wychowawcze, kulinarne oraz sztukę prowadzenia domu. Dobra żona robiła na drutach, gotowała i rozkładała nogi. I wystarczy.

Esesmani byli ludzkimi królikami doświadczalnymi i szczycili się tym.

Z tych wszystkich powodów Beewen, który nade wszystko pragnął iść na wojnę, wybrał jednak Allgemeine SS, a nie SS-Verfügungstruppe, której powołaniem było wyruszyć na front.

Nie chciał być kogucikiem karmionym najlepszym ziarnem. A już na pewno nie takim, któremu wybiera się kury.

– Herr Hauptsturmführer, Herr Hauptsturmführer zaprasza.

Wojskowy świat nie boi się powtórzeń... Beewen poszedł za żołnierzem wąskimi schodami, także czarnymi, na pierwsze piętro. Czuł się jak u krewnych – panowała tu taka sama atmosfera, na pozór obojętna i wyciszona, jak w Gestapo. Parkiety skrzypiały, pokoje były ciasne, bibuła poplamiona, lampy małe. W cieniu władczych orłów i olbrzymich swastyk topografia pozostawała taka sama, trąca skąpstwem, z tanimi meblami i podejrzliwymi funkcjonariuszami, którzy podpisywali dokumenty i przybijali pieczętki.

W końcu dotarli do gabinetu Hermanna Fuchsa. Panowie przedstawili się sobie, wesoło strzelili obcasami. Beewen musiał jednak się obejść bez hitlerowskiego pozdrowienia: Hauptsturmführer miał tylko jedną rękę.

Właściwie Fuchs zrobił na nim dobre wrażenie. Około pięćdziesiątki, nie wyglądał na esesmana, ale na wojownika. Kanciasta głowa, ostrzyżone na jeża włosy barwy stali, a poniżej sporo zmarszczek i łukowate usta o cienkich wargach ułożonych w uśmiech do góry nogami. Z jakiegoś zagadkowego powodu Fuchs pachniał octem.

– Dobrze znam Krappa – zaczął, nie pytając o śledztwo, które prowadził Beewen. Najwyraźniej nie miał pojęcia o pościgu w Meyers Hof. – Zwykle albo ma złą passę, albo pecha.

Fuchs podsunął gestapowcowi krzesło. Miał dużo do powiedzenia. Franz usiadł i postanowił zapomnieć o Grünwaldzie, Perninkenie i ich pomysłe spotkania w samo południe. Niech sobie radzą bez niego.

– Krapp został ranny pod Arras. Dostał co najmniej czterema odłamkami w twarz. Jest pan za młody, żeby wiedzieć, jak wyglądała Wielka Wojna.

Nie aż taki młody, pomyślał Beewen.

– Sanitariusze go nie zabrali, bo myśleli, że nie żyje. Że ma odciętą głowę, a ona tylko utknęła w błocie. – Fuchs zamilkł na kilka sekund, żeby jego słowa wywarły odpowiednie wrażenie. Ale Beewen był wytrwanym znawcą takich makabrycznych historyjek. – Krapp nie mógł krzyczeć. Usta miał pełne błota, nos oberwany, mięśnie twarzy w strzępach. Mimo to znalazł w sobie dość siły, żeby wstać i zawlec się do okopów, trzymając się za zakrwawioną twarz.

I żeby ukraść nieśmiertelnik sąsiada, o mało nie dodał Beewen.

Fuchs kontynuował opowieść, ale Beewen słuchał go jednym uchem. Coś go zafascynowało: ten oficer na pewno stracił rękę na polu bitwy, a teraz mówił o żołnierzu, który wrócił z wojny bez twarzy, lecz to niczego nie zmieniało. Czuło się, że Fuchs kocha wojnę. Mówił o niej jak o potędze, którą należy szanować i czcić.

Z jego jasnych oczu, jakby odlanych z tej samej stali co włosy, można było wyczytać przerażenie, ale także nieodparty pociąg do walki, niszczenia, rozpasania, jakim jest wojna.

Intuicja podpowiadała Beewenowi, że Albert Hoffmann alias Josef Krapp jest człowiekiem tego samego pokroju. Rwał się do powrotu na front, a tymczasem kroił Damy Adlonu.

– Czytałem, że Krapp się ożenił w czternastym roku...

– Żona odwiedziła go w szpitalu, ale uciekła. Rok potem się rozwiedli. Po wojnie były tysiące takich przypadków. Kobiety nie chciały nawet słyszeć o potworach, jakimi

stali się ich mężowie.

Beewen odczytywał słowa Fuchsa w innym kontekście. Dla Hoffmanna strzępy twarzy były najlepszym możliwym przebraniem. To dzięki okaleczeniom mógł zacząć życie naprawdę od początku.

– Na czym polega jego praca tutaj?

– To głównie sprawy administracyjne. Ale kiedy będą nas mobilizować na front w Polsce, zapewniam, że nie będzie się ociążał.

– Jaki jest? Mam na myśli jego osobowość.

– Samotnik. Unika kontaktów z ludźmi, ale to odpowiedzialny i sumienny oficer.

– Nigdy nie miał pan z nim problemów?

Milczenie Fuchsa było już częściową odpowiedzią. Beewen cierpliwie czekał.

– Trafiały do nas skargi na niego – rzucił w końcu Hauptsturmführer, a w jego głosie pobrzmiwał smutek.

– Jakiego rodzaju?

– Od kobiet... A właściwie od ich mężów. Krapp ponoć na nie napadał.

– To znaczy?

Nagle Fuchs wydał się znużony. Zapadły mu się policzki, zmarszczki się pogłębiły.

– Nigdy nie przedstawiono solidnych dowodów.

– Na czym polegały te napaści?

– Zarzucano mu obmacywanie, napastowanie... Ale trudno to ocenić. Kiedy ktoś ma taką twarz, łatwo oskarża się go o najgorsze.

– Spisał pan raport?

– Woleliśmy wyciszyć sprawę, udzielić mu nagany, ale nie wywoływać skandalu.

– Jak zareagował?

– Oczywiście zaprzeczył, twierdząc, że każde jego wyjście na ulicę wywołuje panikę.

– Nie rozumiem. Josef Krapp nosi przecież maskę, prawda?

– Nie widział go pan?

Sylwetka w mundurze, oko widoczne za czarnym woalem. Istny anioł śmierci.

– Nie – skłamał.

– Z daleka ta maska tworzy iluzję, jednak z bliska... Krapp ma jedno drewniane oko, maska jest z malowanego mosiądzu, okulary służą do podtrzymywania protezy. Ta niby-twarz jest zupełnie nieruchoma.

– Ma pan tu jego fotografię?

– Nie. Nie godził się, żeby robić mu zdjęcia, a my to respektowaliśmy.

Pełne empatii odpowiedzi były wzruszające, ale Beewen wiedział, jak wygląda świat SS. Tu ochraniało się swoich. Za czasów SA Franz nie zliczyłby gwałtów, wymuszeń,

morderstw, które musiał ukryć. Dowództwo SA już wcześniej siedziało w więzieniu, toteż miało osobliwą koncepcję prawa.

- Była też ta historia ze ślizgawki.
- Proszę mi ją opowiedzieć.
- Krappa przyłapano w damskiej szatni, kiedy kradł buty.

Beewen poczuł falę gorąca w żyłach. A więc w ten sposób Krapp powiększał swoją kolekcję obuwia. Szatnie przy lodowiskach, pływalniach, klubach sportowych.

W pewnej chwili uznał, że czas zaostrzyć ton.

- Dziś rano próbowaliśmy go zatrzymać.
- Pod jakim zarzutem?
- Zna pan zasady, nie mogę tego ujawnić.

Fuchs pokiwał głową. Dla wojskowych takich jak on „sekret” i „szacunek” były synonimami.

- Uciekł wam?
- Tak.

– Wcale mnie to nie dziwi. Mimo kalectwa i wieku Krapp jest doskonałym esesmanem. Szybki, obdarzony intuicją, zawsze czujny. Trudno go zaskoczyć.

Kto zabił cztery kobiety, musi być czujny.

– Domyśla się pan, gdzie moglibyśmy go znaleźć? Ma jakichś przyjaciół, którzy by go ukryli? Kolegów?

Fuchs wstał. Jego prawy rękaw, złożony i przypięty agrafką, wisiał jak szalik na wieszaku.

– Już mówiłem, że to samotnik. Nie ma ani rodziny, ani przyjaciół. W dodatku nie ma pieniędzy. Renta, którą dostaje od państwa, jest głodowa, a oficerski żołd też nie pozwala na szaleństwa. Prawdę mówiąc, Krapp ma tylko nas, SS-Verfügungstruppe.

- Myśli pan, że mógłby ukryć się w tym gmachu?
- Szczerze wątpię. Powtarzam, że jest nietuzinkowym esesmanem. Jest doświadczony i inteligentny. Poza tym przez tę twarz musiał czasem się ukrywać, znaleźć sposób, by zachować dyskrecję.

- Przez twarz i grzeszne skłonności.
- Pan tak twierdzi.
- A pan naprawdę nie wie, gdzie go szukać?
- Wiem.

Beewen zapytał bez nadziei na odpowiedź. Już na nią nie liczył.

– Jutro, w niedzielę, w Wittenau odbędzie się defilada kombatantów. Ma to być manifestacja poparcia dla naszych chłopców walczących w Polsce.

- Sądzi pan, że Krapp tam będzie?

- Jestem tego pewien. Odkąd go znam, nigdy nie opuścił tej defilady.
- Nie podjąłby takiego ryzyka.
- Ma pan jego rysopis?
- Nie.
- W takim razie weźmie udział w defiladzie.

– Jakaś baba do ciebie.

– Kto?

– Nie wiem. Chyba ta dziewczyna, która dzwoniła wczoraj.

Beewen chwycił Dynama za rękę i wepchnął do pierwszego pokoju, obok którego przechodzili.

– Co ty opowiadasz?

– Słowo daję. Przyszła pół godziny temu. Nie mam pojęcia, co powiedziała wartownikom na dole, ale jakoś się tu dostała. Wprowadziłem ją do twojego gabinetu. Robi się nieprzyjemnie, Franz. Grünwald zaglądał do nas trzy razy i...

Beewen wyleciał z pokoju jak wicher i wpadł do swojego gabinetu niczym burza.

– Co ty tu robisz? – wrzasnął.

Zwrócił się do niej per ty, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Minna poderwała się z krzesła. Z jej oczu wyczytał panikę. Mimo że rozgniewany, odbierał sprzeczne sygnały. Zauważył, że Minna ubrała się w plisowaną sukienkę w maleńkie zygzaki, że użyła szminki w kolorze krwi albo wiśni – jak kto woli. A jednak na jej twarzy odcisnęło się potworne zmęczenie i rozpacz, jakby przeplakała wiele godzin.

– Franz, oni ich zabrali.

– Kogo?

– Zabrali ich, a mnie tam nie było.

– O kim, do diabła, mówisz?

– O liście! O liście moich pacjentów! Przyjechali po nich rano specjalnymi autokarami.

Beewen musiał się skoncentrować, przewinąć film. Brangbo. Lista. Mengerhäusen. Grafeneck.

– Ojciec jest z nimi?

Stała przed nim wystrojona i półżywa. Nie sięgała mu nawet szyi.

– Okłamałam cię, Franz – powiedziała, spuszcżając głowę.

– To znaczy?

– Twojego ojca nie było na tej liście.

Beewen nie miał już siły, żeby krzyżeć.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Żeby cię zmotywować. Trzeba ich powstrzymać, rozumiesz? – powiedziała, chwytając go za wyłogi marynarki.

Gestapowiec się oswobodził i posadził ją łagodnie. Pod tą letnią sukienką jej wątle ciało prawie się rozsypanywało.

Usiadł przy biurku i zapytał:

- Wiesz, dokąd ich wywieźli?
- Sądzę, że do Grafeneck.

Mógł wykonać kilka telefonów. Może spowolniłby bieg zdarzeń, ale na pewno by ich nie zatrzymał. Był jednym z trybików nazistowskiej maszyny.

- Zobaczę, co da się zrobić.
- Już mi to obiecywałeś. Dowiedziałeś się czegoś o Mengerhäusenie?
- Jeszcze nie.
- Łajdak.
- To trwa. Prosiłem o jego akta. Znajdziemy sposób, żeby...
- Kłamiesz.

Beewen milczał. Złość już mu przeszła. Dopiero teraz zauważył, że Minna ma kapelusz, rodzaj bogato haftowanego czepka z lekkiej tkaniny, może z lnu. Ten drobiazg wręcz wabił spojrzenie, ale tylko po to, by ściągnąć je zaraz potem ku szczupłutkiej twarzy, w której dominowały oczy. Zmysłowe oczy sułtanki...

- Chcę ci zaproponować układ – oznajmiła nagle.
- Układ?
- Dzwoniłam do Krausa. Opowiedział mi o waszej porannej wyprawie.
- I co?
- To, że facet wam uciekł, a wy nie wiecie, jak wygląda.
- Zgadza się.
- Wiem, jak poznać jego wygląd.
- Jak?

– W pracowni Ruth są odlewy. Jestem pewna, że uda się znaleźć jego kartotekę i ustalić, który z odlewów wiszących na ścianie odwzorowuje twarz Krappa.

Kolejny atak furii!

– I co mi z tego?! To tylko odcisk jego zdeformowanej gęby, a nam potrzebna jest maska, którą nosi!

- Znam kogoś, kto z tej formy potrafiłby odtworzyć protezę, jaką dziś nosi.
- Kto to?

Minna milczała. Była tak zdeterminowana, że z jej twarzy zniknęły oznaki płaczu i lęku. I była tak zachwycająca jak Dama Adlonu.

- Obiecuj, że pomówisz z Mengerhäusenem.
- Minno, nie graj tak ze mną.
- Obiecuj.

Franz pomyślał o uciekającym czasie. Perninken był o krok od odebrania mu sprawy, Grünwald skoczy mu do gardła, jutro odbędzie się *Veteranenparade*, a Krapp przejdzie mu pod nosem jako jeden z tysięcy kalekich, w tym – pozbawionych twarzy.

– Przysięgam.

– Dziś?

– Minno, nie możesz...

Podniosła się i chwyciła torebkę.

– W tamtych latach w Studiu Gesicht Ruth pracowała pod kierunkiem niezwykle utalentowanego chirurga, który niegdyś był także rzeźbiarzem.

Beewen się domyślił, że Minna mówi o „geniuszu” wspomnianym przez archiwistę z Czerwonego Krzyża. Podawała mu rozwiązanie na tacy.

– Wiesz, gdzie go szukać?

– Tak.

Spojrzał na zegarek.

– Zdołałby zrekonstruować maskę w niespełna dwadzieścia cztery godziny?

– Tego nie wiem. Trzeba go zapytać.

– Gdzie jest ten chirurg, Minno?

– Mam twoje słowo, że pomówisz z Mengerhäusenem?

Zacisnął pięści. Już dawno nie spotkał się z takim traktowaniem ze strony żadnego cywila. Może nawet nigdy.

– Tak.

Otworzyła torebkę, jakby chciała sięgnąć po puderniczkę. Wyjęła jednak złożoną na czworo kartkę i podsunęła ją Beewenowi.

Rozłożył ją i przeczytał. Był to adres człowieka, którego potrzebował.

– To jakiś żart?

– Nie.

Wstał.

– Muszę się przebrać. Zaczekaj tu.

To był świat handlu wymiennego i targowania się. Jakby pchli targ, na którym wszystko sprzedawało się za bezcen. Przez ostatnie lata w Berlinie powstały liczne żydowskie getta. Spychano do nich *Juden*, wciskano ich do stref odciętych od aryjskiego świata. Na dole kamienic mury oblepione były ogłoszeniami, odbywały się licytacje, całkowite wyprzedaże. Stragany nigdy nie znikwały, były też stoliki, dywany rozłożone na ziemi, a na nich dobytek, którego ci zepchnięci na margines społeczeństwa ludzie wyzbywali się za półdarmo, marząc o ucieczce z Niemiec.

Teraz, kiedy Żydzi nie mieli już szansy wydostać się z Niemiec, ponieważ od 1 września granice zostały zamknięte, ten targ był jak krzyk rozpacz.

Profesor Ichok Kirszenbaum nie mieszkał w Scheunenviertel, Dzielnicy Stodół, w pobliżu podmiejskiego Spandau, ale obok, kilka ulic dalej. Minna i Beewen wpadli najpierw do Ruth Senestier i bez problemu znaleźli właściwą maskę, ponieważ każda opatrzona była numerem odnotowanym w zeszycie, w którym figurowało nazwisko rannego.

Minnę zdumiał stan mieszkania Ruth. Wszystko było na miejscu, jakby Kripo po zabraniu zwłok nie przeprowadziła przeszukania. Wolałaby zobaczyć pracownię przewróconą do góry nogami, bo świadczyłoby to o zainteresowaniu policji sprawą. Okazało się tymczasem, że ta śmierć nikogo nie obchodziła.

W drodze do Spandau Minna przypomniała sobie, co wiedziała o profesorze, genialnym chirurgu plastycznym – przynajmniej według Ruth – który potrafił zrekonstruować twarz, pracując w glinie, i wykonać wspaniałą protezę. Nie miała problemu z odszukaniem go, bo przyjaźniła się z wieloma Żydami, a niektórzy prowadzili własne rejestry, zbierali nowe adresy wszystkich rodzin, kupców, lekarzy. Gestapo z radością przejęłoby taką księgę.

Myślała też o przenosinach swoich pacjentów. Jak długo jeszcze pożyją? Jakie metody uśmiercania stosują ci mordercy? To nie była jej jedyna troska. Hans Neumann, pacjent, którego leczyła, wywołując gorączkę, ostatecznie zmarł na malarię. Obłąkani, których przeraziły podjeżdżające autokary SS, rzucili się do ucieczki i nie udało się ich odnaleźć. To był koniec Brangbo, nie mogła się już łudzić.

A tymczasem ona biegła po Berlinie w sukience w zygzaki (francuski model), tropiąc bandytę wraz z jednookim gestapowcem. Absurdalne. Życie wymykało jej się z rąk. Początkowo uznała odnalezienie mordercy Ruth Senestier za swój moralny obowiązek. Ale teraz? Sama nie wierzyła już w swoją historię o zmianie tożsamości

i obawiała się, że podsunęła Beewenowi fałszywy trop. Beewen natomiast po prostu kolekcjonował błędy i tonął w tym śledztwie jak mucha w lepkim soku.

– To tu.

Budynek nie był ruiną, jak się spodziewała, wyglądał całkiem solidnie, a białe kamienie, z których powstał, nadal lśniły w słońcu. Cała bryła bardzo wyraźnie odcinała się od błękitu nieba.

Zupełnie inaczej prezentowało się wewnątrz. Z holu wszystko ukradziono albo wyrwano. Pozostała pustka. Na ścianach nie było farby. Tynk odpadał, toteż na podłogach zalegał pył, marmurowe płyty zniknęły. Klatka schodowa była nieoświetlona, zabrano nawet poręcze, a po zdobieniach i dekoracjach nie pozostał żaden ślad.

Nic, tylko walizki. Wszędzie walizki: na podłogach, pod ścianami, na schodach. Wydawało się, że cała ta kamienica zbudowana jest z metalowych kufrów, skórzanych toreb, drewnianych skrzyń. Srebrne sprzączki i klamry połyskiwały w ciemnościach, rzemienie odcinały się beżem, brzuchate torby zdawały się spać w kątach. Spakowane życia, prowizoryczne węzłki, wspomnienia stłoczone jak bryły węgla w worku z juty.

No i oczywiście kobiety, mężczyźni, dzieci związani z tymi bagażami. Poblądłe twarze, odarte z energii rysy, wytrzeszczone oczy. Te istoty skazane były na exodus w ślepej uliczce, bez celu ani nadziei. Kamienice getta były niczym nabrzeże, do którego nie przybije żaden statek.

Minna dała Beewenowi znak, by został tam, gdzie był. Jego sylwetka, sposób poruszania się i tak wywoływały już niepokój. Zasięgnęła języka, pokazując legitymację lekarską: Ichok Kirszenbaum mieszkał na trzecim piętrze pod numerem 34.

Musieli utorować sobie drogę po schodach. Była na siebie zła za tę sukienkę – każdy nieszczęśnik mógł teraz oglądać jej majtki. Ale nikt nawet się nie ruszył. Znużenie brało górę nad wszystkim. Rozpacz i rezygnację widać było na każdym kroku.

Na drugim piętrze Minna zerknęła przez ramię. Beewen był tuż za nią. To, co wyczytała z jego oczu, zaskoczyło ją: ani odrobiny współczucia, wyrzutów sumienia. Raczej podskórny lęk. Jakby się bał, że ktoś go tu rozpozna albo że przywali go ciężar własnych grzechów, tu, na miejscu, pośród przechodniów, którzy donikąd nie szli, ale otrzymali rozkaz przesiedlenia podpisany przez jednego z jego kolegów lub wręcz przez niego.

W tym momencie ogarnęły ją mieszane uczucia wobec Franza Beewena. Ten olbrzym miał w sobie coś rozczulającego, coś duchowego, kruchego. Trudno jednak było zapomnieć o jego brutalności, zaślepieniu, obojętności. Jak każdy esesman Beewen był uosobieniem zła.

Na trzecim piętrze wszystko wyglądało tak samo: zjawy tłoczące się na korytarzu, stopy walizek i rozmaitych rzeczy. Skręciła w prawo, starając się iść tak, żeby zaniechano im nie przeszkadzać. Za sobą słyszała ciężkie kroki Beewena, pod którym skrzypiały deski.

I wreszcie numer 34. Właśnie miała zapukać, kiedy otworzyły się drzwi. Z mieszkania wyszli starszy pan, dwoje dzieci i nastolatka. Odsunęła się, żeby ich przepuścić, i patrzyła, jak znikają, wtapiając się w tłum. Domyśliła się, że mieszkańcy tego lokalu tłoczą się tam jak śledzie w beczce.

Nie oglądając się na Beewena, weszła do środka.

Po świetle walizek ujrzała świat prześcieradeł.

Mieszkanie wyglądało na cztero- czy pięciopokojowe. Dawniej zajmowała je z pewnością bogata rodzina, teraz jednak każdy pokój podzielono rozwieszonymi prześcieradłami na dwie lub trzy klitki. Tak powstał labirynt białych zasłon, czasem zastępowanych kocami, by za miękką ruchomą ścianą mógł się skryć osobny świat: rodzina, jej sprzęty, drobiazgi.

– Profesorze Kirszenbaum? – nawoływała Minna. Nikt nie odpowiadał. Szli korytarzem, natykając się na ludzi, walizki, buty. – Profesorze Kirszenbaum?

– Tutaj.

Głos dobiegał zza zasłony po prawej. Minna prześlizgnęła się między lekkimi ścianami i skórzanymi walizkami, wciąż słysząc za sobą Beewena, który szerokimi barami burzył spokój tego świata niepewnego jak domek z kart.

Uniosła połatane prześcieradło i zobaczyła siedzącego mężczyznę w bładoniebieskiej koszuli. Parzył herbatę na piecyku. Przypomniała sobie profesora, człowieka niezwykle przystojnego.

Nadal był wspaniały, być może nawet piękniejszy z siwymi włosami i zmarszczkami, które uwydatniały doskonałość jego rysów. W jej wspomnieniach chirurg był wysoki, szczupły i... sarkastyczny. Na jego ustach zawsze czaił się drwiący uśmiech, który zdawał się mówić: „Przetrwałem potworności wojny, amputacje pod gołym niebem, koszmar szpitali przy froncie, nie próbujcie więc tego ze mną”.

Korzystając z przywileju starszeństwa, mógł ułożyć swoje posłanie blisko pieca. Latem nie było to zbyt dobre rozwiązanie, bo w dodatku musiał spać, wdychając wyziewy popiołu i pył węglowy. Ale zimą to miejsce stanie się strategiczne. O ile on oczywiście nadal tu będzie.

– Dzień dobry, panie profesorze. Nie wiem, czy pan mnie pamięta, nazywam się Minna von Hassel.

Uśmiech rozjaśnił jego twarz.

– Oczywiście, Minno... Miło, że zechciała mnie pani odwiedzić w moim nowym domu. Jak na samotnię jest trochę przeludniony, ale cóż, trzeba się dostosować. Tyle się wydarzyło od naszego ostatniego spotkania! Czemu zawdzięczam pani wizytę?

Głos lekarza harmonizował z łagodnością jego rysów. Kirszenbaum każdego potrafił udobruchać, wszystko załagodzić, jakby z jego ust sączył się miód.

Minna nie miała czasu na długie wyjaśnienia ani uprzejmości. Nie raczyła nawet przedstawić Franza, który zahaczył o sznur i szarpał się z nim jak mors złapany

w sieci.

W kilku słowach opisała sytuację i to, jak pilna jest jej prośba. Wyjęła z torebki zawiniętą formę. Kirszenbaum okiem eksperta przyglądał się uszkodzeniom twarzoczaszki.

– Jednym słowem – powiedział – chciałaby pani, żebym pomógł w identyfikacji mordercy nazistowskich kobiet.

– Tak.

– A pan – zwrócił się do Beewena, który zdążył się oswobodzić – co pan zrobi, żeby zatrzymano zabójców żydowskich kobiet i dzieci?

Franz nie odpowiedział. Wyglądał jak kat, który zaniemówił na widok ściętej głowy gadającej do niego z kosza. Minna nie powinna była go tu przyprowadzać. Efekt musiał być negatywny.

– Proście mnie o pomoc – podjął chirurg. – Co proponujecie w zamian?

– Nic – odparł Beewen. Zbliżył się o krok. Kolanem uderzał już o piecyk, a od chirurga dzieliło go kilkadziesiąt centymetrów. – Nie proponujemy panu niczego, ponieważ cokolwiek byśmy obiecali, byłoby to kłamstwem.

Kirszenbaum wolno pokręcił piękną, siwą głową.

– Obawiam się, że w tej sytuacji nie mogę państwu pomóc.

– Ja natomiast mogę przyspieszyć pewne sprawy – podjął lekko podniesionym głosem Beewen. – Nie wiem, ile czasu pan tu jeszcze spędzi, ale pański los może się rozstrzygnąć choćby jutro. Jedno moje słowo...

– Pogrożki? – Kirszenbaum się roześmiał. – Drogi panie, grozić można komuś, kto ma jeszcze coś do stracenia, ale nie żywym trupom jak my tutaj. Wydaje się panu, że nas przestraszy, ale my już jesteśmy martwi, a świat, w który wierzyliśmy, także zginął.

Minna włączyła się do tej wymiany zdań – brutalne metody Beewena były idiotyczne. Sięgnęła po nowy argument:

– Panie profesorze, morderca, którego szukamy, zabił Ruth Senestier. Zrobiła mu nową maskę. Tę, którą nosi, kiedy morduje swoje ofiary. Zabił Ruth, żeby nie mogła go wydać.

Uśmiech zamarł na twarzy profesora jakby zawieszony w próżni, suchy.

Minna wykorzystała element zaskoczenia:

– Profesorze, nie zna mnie pan zbyt dobrze, ale ja znam pana od dawna. Kiedy pracowałam w szpitalu Charité, widziałam pana w akcji, ratującego setki pacjentów, twarzy. Miałam okazję wyczuć pańską empatię, szlachetność. Bez względu na aktualną sytuację nie może pan odmówić nam pomocy. Jest pan naszą jedyną szansą.

Kirszenbaum zastanawiał się przez chwilę. Chwycił gipsową formę i znowu się jej przyjrzał.

– Nie mam już pracowni.

– Może pan skorzystać z pracowni Ruth.

Ten pomysł nagle wpadł jej do głowy.

– Potrzebowałbym na to tygodnia. Co najmniej.

– Ma pan noc.

– Słucham?

– Jutro w południe ten mężczyzna będzie uczestniczył w defiladzie kombatantów. Do tego czasu musimy wiedzieć, jak wygląda. Tylko wtedy będziemy mogli go aresztować.

Lekarz położył dłonie na sterczących kolanach i wstał, opierając się na nich. Był wzrostu Beewena.

– Proszę mnie zabrać do Ruth. Nikt pod żadnym pozorem nie może zakłócać mi spokoju.

Żeby nie siedzieć beczynnie – a była sobota, nie miał więc żadnej pacjentki – Simon Kraus postanowił się zabawić w ochroniarza Greta Fielitz.

Po pościgu w Meyers Hof i szaleństwie Beewena w mieszkaniu Krappa wrócił do domu. Postać mordercy w czarnej gazie na twarzy i hitlerowskim mundurze nie dawała mu spokoju.

Wziął prysznic, potem drugi, trzeci... Przez całe przedpołudnie usiłował się uwolnić od makabrycznych scen. Morderca z zamaskowaną twarzą, Dynamo wiszący jak na szubienicy, on sam z lugerem w garści gotów siać śmierć i zniszczenie wokół.

O jedenastej rano wrócił do ulubionego tropu: nawet jeżeli Albert Hoffmann/ Josef Krapp jest naprawdę mordercą, którego szukają, to co z zagadką snów? Jak wyjaśnić, że zabójca pojawia się w snach swoich ofiar?

Powrócił do pierwszej teorii: Marmurowy Człowiek „usadowił się” w myślach Dam Adlonu, ponieważ zobaczyły przedmiot albo obraz o takim wyglądzie. Było już za późno, by zapytać o to Susanne, Margarete i Leni, ale Greta mogła coś pamiętać.

A przede wszystkim mogła oprowadzić go po Berlinie, po miejscach, w których bywała, by wspólnie z nim szukać wskazówki. Ale Simon zapomniał o ważnym fakcie: Greta nie wychodziła teraz z domu. Nie dalej jak poprzedniego dnia razem z Beewenem przekonali ją, że grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo. W efekcie tej rozmowy młoda kobieta postanowiła zabarykadować się w swojej willi. Na dokładkę Beewen przydzielił jej dwóch cerberów, którzy krążyli pod jej oknami.

W rozmowie telefonicznej Simon usłyszał pierwszą odmowę, lecz nie dał się zniechęcić i pospieszył do jej domu, a raczej do rezydencji w okolicy Ku'dammu.

– Pochodzić po sklepach?! – wrzasnęła Greta. – Mam spacerować, kiedy czyha na mnie morderca? Już powiedziałam, że się stąd nie ruszę!

– Będą nas chronili twoi goryle. Nic ci nie grozi.

– Dlaczego chcesz to zrobić?

Simon ujął ją za rękę – były bardzo ciepłe. Może miała gorączkę.

– Jestem przekonany, że zanim ci się przyśnił ten Marmurowy Człowiek, musiałaś go gdzieś widzieć.

– Co z tego?

– Żeby go odnaleźć, musimy przejść się twoimi typowymi drogami i...

– *Mein Gott...*

Zasłoniła usta ręką, jakby same słowa Simona przypomniały jej tę potworną sytuację.

– Dobrze ci to zrobi – nalegał. – Nie możesz siedzieć zamknięta w domu.

– Mój mąż nigdy na to nie pozwoli.

– Czyżby twój mąż miał teraz coś do powiedzenia?

Greta nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Zaczekaj minutkę.

Simon tkwił w salonie przez pół godziny, ale jego cierpliwość została nagrodzona.

Greta przebrała się od stóp do głów. Popołudniowa sukienka z różowej krepy, ażurowy kołnierzyk z haftem angielskim, płócienne pantofelki na koturnie, wiązane wokół kostki. Stała przed nim jak potencjalna ofiara.

W samochodzie zwierzyła mu się szeptem:

– Przez całą noc nie zmrużyłam oka. Wczoraj wieczorem telefonował do mnie Himmler.

– Heinrich Himmler?

– A znasz innego? To przyjaciel mojego męża.

– Co ci powiedział?

– Chciał mnie uspokoić. Uważa, że sprawa jest pod kontrolą. Wszystkie służby policyjne Rzeszy szukają tego potwora. Mimo to radził mi zachować ostrożność.

Jeśli potrzebował potwierdzenia, właśnie je uzyskał: sprawa Adlonu w najwyższym stopniu niepokoiła władze. Paradoksalnie właśnie dlatego Beewen tak „prymitywnie” prowadził śledztwo – korzystając z pomocy dwójki cywilów bez stanowisk.

– Dokąd idziemy? – spytał Simon.

– Do fryzjera.

Nie krył zdziwienia.

– Chcesz przejść moimi trasami czy nie?

Z salonu fryzjerskiego poszli do dużych sklepów, a potem do sprzedawcy precli. Przemierzali centrum Berlina wzdłuż i wszerz, a Simon uważnie wszystko obserwował, każdą witrynę, zakątek galerii, słup ogłoszeniowy... Żaden obraz, żadna sylwetka nie przypominała Marmurowego Człowieka.

– Co teraz?

– Manikiur.

Nie oczekiwał, że będzie to przygoda kulturalna, ale jednak... Dobrze znał Gretę. Od czterech lat była jego pacjentką, czasem sypiali ze sobą, żeby „rozplątać ostatnie węzły gordyjskie jej nerwic”. Takie uzasadnienie jej wcisnął, żeby przełamać opory.

Wiedział, że Greta jest inteligentna, ale inteligencją zwierzęcą, obejmującą drobne sprawy dnia powszedniego i relacje międzyludzkie. Była niezwykle przenikliwa,

każdego potrafiła rozszyfrować. Poza tym jednak nazwałby ją niemal analfabetką.

I właśnie dlatego ją kochał. Intelktualiści jego pokroju czasem są zmęczeni własnymi wywodami. Kiedy spotykają takie miłe stworzonko jak Greta, doskonale dostosowane do swojego biotopu, rozkoszują się jego prostotą i spontanicznością, która nie dba o pozory.

– Ładnie?

Pokazała mu dłonie o delikatnie pomalowanych paznokciach.

– Cudownie.

Mówił szczerze. Greta dbała o urodę jak żołnierz o broń i miała rację. Przecież Beewen też musiał co wieczór rozkładać swojego lugera i czyścić część po części.

Wsiedli do auta i kierowca, niemy jak deska rozdzielcza, ruszył.

– Kolejny etap?

Greta, która odzyskiwała wigor, zastanawiała się przez chwilę.

– Hm... Mój typowy program dobiega końca.

– A czy jest jeszcze jakiś typowy ostatni przystanek?

– Café Kranzler.

Café Kranzler na rogu Unter den Linden i Friedrichstraße była jednym z najpopularniejszych lokali w Berlinie, Simona zdziwiło więc, że Greta upodobała sobie to miejsce, zdecydowanie zbyt pospolite dla członkini Klubu Wilhelma.

Simon lubił ten lokal za świetlisty szyld, za litery jak wyhaftowane na tle poziomych prążków. Miał wrażenie, że kawiarnia, mimo nieodzownych sztandarów ze swastyką powiewających nad wejściem, obiecuje radość i swobodę.

Usiedli na tarasie. Simon spokojnie obserwował przechodniów przetaczających się po chodniku jak drobne kamienie w korycie rzeki. Można by pomyśleć, że w cieniu tych wszystkich orłów, swastyk, kolumn niczym szubienice berlińczycy będą przemykali pod murami bladzi, jakby utoczono im krwi.

A było wręcz przeciwnie.

Ludzie byli rozgadani, zaśmiewali się o zmierzchu, ciężkie kufle stukały o siebie w rytm beztróskich *Prost*. Cały taras zdawał się upajać latem, skąpany w długich smugach światła.

Żołnierze wchodzili i wychodzili, przejeżdżały furgony załadowane sprzętem wojskowym, jednak oznaki wojny, zamiast przerażać ten mały światek, zdawały się dodawać berlińczykom otuchy. Panował porządek. Wszystkie te roboty – czarne, zielone i szare – miały ich chronić. *A co ma być, to będzie.*

– Wolałabym siedzieć w domu, niż wlec za sobą grabarza – powiedziała Greta.

Simon uniósł brwi.

– Słucham?

– Nie odzywasz się ani słowem.

– Wybacz.

– O czym myślisz?

– Myślę, że zmarnowałem czas.

Z drwiącym uśmiechem patrzyła na swoje paznokcie.

– Urocze.

– Mam na myśli pożytek dla śledztwa.

– Czyżbyś teraz prowadził śledztwo? Na co liczyłeś? Że facet z moich snów wynurzy się z jakiejś bramy?

– Na pewno nie przechadzałaś się przez ostatnie tygodnie po innych miejscach?

– Przepraszam, że jestem taka monotonna.

– Zastanów się. Ten fryzjer, sklepy... Czy jesteś pewna, że wszystkie tam bywałyście?

– Mniej więcej. Mamy wspólne miejsca, ale każda ma też swoje upodobania. Zaprowadziłam cię w te, które są obowiązkowe.

Wypiła łyk löwenbräu. Ten spacer ją ożywił, zdawała się nie bać już mordercy ani nawet nie myśleć o zamordowanych przyjaciółkach.

– Muszę iść. Günter nie lubi, kiedy po powrocie nie zastaje mnie w domu.

Simon skinął głową i zostawił na stole kilka marek.

– Pożegnamy się tutaj – powiedział znużonym głosem. – Wrócę piechotą.

– A nie chciałbyś po drodze rzucić okiem na pasaż Lipowy?

– Po co?

– Ponieważ zawsze nim wracamy.

Psychiatra wzruszył ramionami.

– Skoro chcesz...

Ruszyli w drogę, a w ślad za nimi ochroniarze, o których prawie zapomnieli.

Pasaż Lipowy zmienił się nie do poznania. Niegdyś był rodzajem przykurzonej galerii pełnej brudnych witryn, stosów towaru, ornamentów udających renesansowe. Panowała tam szemrana atmosfera, za sprawą której można się było poczuć jak w tandetnej kopii jaskini Ali Baby.

Wszystko poddano renowacji. Szklany dach przykrywający aleję był idealnie czysty, marmurowe płyty oddzielały zbyt mocno oświetlone witryny. Galeria zamieniła się w Lodowy Pałac, lśniący i męczący blaskiem.

I nagle zobaczył.

W witrynie sklepu z afiszami filmowymi Simon zauważył plakat z filmu fantastycznonaukowego *Duch z przestworzy*, z Kurtem Steinhoffem. Za gwiazdorem ujętym z profilu stał potwór w sinym hełmie podobnym do maski, którą Simon narysował.

Był przekonany, że ma rację. Jeżeli Damy Adlonu zaglądały tutaj, to musiały mijać „ducha z przestworzy”. Jego hełm z poprzecznym nacięciem, zaokrąglony jak czapka pilota, wyglądał na rzeźbiony w cennym marmurze, to zaś, co widać było poniżej, nie wyglądało zachęcająco: ani czarne wargi, szerokie i grube jak ciemny, nabrzmiały owoc, ani groźne szczęki jakby wykute z kamienia równie twardego jak hełm.

Simon chwycił Gretę za rękę.

– Popatrz na ten plakat. Coś ci to przypomina?

– *Mein Gott...* – szepnęła. – To on... Człowiek z moich snów!

– Pamiętasz może, czy już go widziałaś?

– Nie.

Simon rozejrzał się wokół. Męski krawiec. Ptaszarnia. Sklepek z fajkami. Dalej wejście do Muzeum Anatomii, które od kilku lat nazywano Muzeum Nadczołowieka. Bistro z kiełbaskami i piwem z beczki. Księgarnia specjalizująca się w książkach antykwarycznych.

Czy morderca pracował w którymś z tych sklepów? Był dostawcą? Stróżem? Nazistowskim oficerem, którego biuro znajdowało się w pobliżu? Tak czy inaczej, on też widział plakat. I z pewnością wiedział, że piękności z Adlonu również go zauważyły. *Czy to naprawdę Josef Krapp?*

– Zaczekaj na mnie – polecił Grecie.

Wszedł do sklepu i kupił plakat, od niechcienia pytając sprzedawcę, czy to jedyny egzemplarz. Czy ktoś już kupił taki sam? Czy ktoś interesował się tym filmem albo obrazem? Mężczyzna odpowiadał także od niechcienia, a jego wyjaśnienia nie były zbyt rzeczowe. *Duch z przestworzy* to seria klasy B z 1932 roku. Próba sił niemieckiej kinematografii w dziedzinie fantastyki naukowej. Bez dalszego ciągu. Wystawił ten plakat, ponieważ uznał go za znacznie lepszy od reklamujących filmy długometrażowe. Ten miał w sobie moc sugestii.

Simon podzielał jego opinię. Ta moc sugestii oddziaływała tak, jak nikt by się nie spodziewał. Kiedy sprzedawca zwijał plakat w rulonik (reprodukcja była niewielka, około sześćdziesięciu na czterdzieści centymetrów), Simon rozglądał się wokół. Czuł się, jakby kradł świętość, jakieś złote runo.

Za drewnianą ladą wisiało lustro, w którym mógł obserwować czekającą na zewnątrz Gretę, obojętnych przechodniów... Szukał sylwetki, spojrzenia. Wyobrażał sobie czyhającego mordercę, który z przerażeniem patrzy, jak rabują jego fetysz.

I nagle dostrzegł mężczyznę opartego o zdobioną stiukowymi motywami kolumnę. Ten człowiek obserwował go spod runda kapelusza. Miał na sobie skórzany płaszcz, nie potrzebował więc ani wizytówki, ani napisu na czole: Gestapo. Czyżby Beewen dodał Grecie jeszcze jednego ochroniarza? Nie, ten nie interesował się piękną berlinianką, choć stała kilka metrów od niego.

Bezczelnie gapił się na ubranego we flanelowy garnitur Simona.

To jego śledził.

– Nie rozumiem tych twoich akt.

Grünwald z falującymi włosami, podkreślonym wąsem i przygarbioną sylwetką był reliktem innej epoki. W dodatku lubił przybierać pozę pruskiego oficera, splatając ręce za plecami i opierając ciężar ciała na wyprężonej nodze, drugą zaś uginając. W wysokich, lśniących butach był niczym dziewiętnastowieczny kawalerzysta, który zostawił konia na zewnątrz, by pokazać się na dworze Wilhelma II.

Na pierwszy rzut oka Hauptsturmführer nie miał w sobie nic z nazisty. Zbrodniczy obłęd rozkwitał w jego mózgowicy, która ponad wszelką wątpliwość pasowała do standardów Brunatnego Domu.

Należał do najbrutalniejszych oficerów Gestapo, a w walce o ten tytuł konkurencja była ostra. To on na przykład wprowadził pierwsze tortury prądem elektrycznym. Podczas „sesji” lubił słuchać piosenek kabaretowych.

– Musisz mi to wyjaśnić.

Daremny trud. Po pierwsze dlatego, że inteligencja Grünwalda bez problemu mogłaby przejść szczeliną pod drzwiami. Po drugie, akta śledztwa były mało przekonującym zbiorowiskiem różnych elementów – fragmentów śledztwa Maxa Wienera, standardowych weryfikacji prowadzonych przez Gestapo, relacji blockleitery, mało wartościowych zeznań...

Najważniejsze było poza aktami.

Najważniejsze, czyli to, co Beewen, Minna i Simon badali po cichu. Najważniejsze, czyli to, czego nie mógł ujawnić, a co doprowadziło ich – jego i jego współników – do Meyers Hof.

– Pytaj – powiedział ugodowo. – Wyjaśnię ci wszystko.

Grünwald ujął dwoma palcami akta w teczkę i pogardliwie upuścił je na biurko.

– Mam jedno pytanie: z czego wnioskujeś, że Josef Krapp to nasz morderca?

„Nasz” nie pozostawiało wątpliwości. Grünwald wsiadł na pokład. Może nawet stał już przy sterach. Beewen cierpliwie wyjaśniał albo próbował wyjaśnić, że prowadził dochodzenie, biorąc pod uwagę fetyszystów gromadzących buty. Josef Krapp znalazł się na czele grupy.

– Doprawdy? Nie ma tu ani słowa na ten temat.

– Przechowuję ważne dowody w bezpiecznym miejscu.

– Co ty bredzisz? Nie ma bezpieczniejszego miejsca niż gmach Gestapo.

Żeby uciąć temat, Beewen postanowił nastraszyć Grünwalda.

– Nie zastanawiałeś się, co spotkało Maxa Wienera, kriminalinspektora, który wcześniej prowadził to śledztwo?

– Wyrzucili go. W Kripo pracują sami nieudacznicy.

– Wiener był jednym z najlepszych w tych służbach. Nie wyrzucili go. On zniknął.

Wąsy Grünwalda zadrżały.

– Powiedziano mi, że został przeniesiony.

– Owszem. Półtora metra pod ziemię.

Hauptsturmführer pobladł. W Gestapo nie siedziło się w fotelach z funkcją katapultowania, ale raczej na własnym grobie.

– Wiener umarł, ponieważ zawalił śledztwo. Rzesza nie lubi przegranych.

– Mam odmienną opinię.

Grünwald, który nie wynalazłby nawet sznapsa, wił się, jakby drapał go mundur. Nie lubił, kiedy ktoś tak mówił. Paradoxy, półsłówka, tajemnice...

– Wiener umarł, ponieważ odkrył coś, czego nie powinien był odkryć.

– Chcesz mi wmówić, że jeżeli wam się uda, my też skończymy jako nawóz?

– Tego właśnie chciałbym uniknąć, jednak to śledztwo od początku jest grą przegraną. Jeśli nam się nie uda, trafimy do kacetu, jeżeli znajdziemy sprawcę i dowody, czeka na nas kartoflisko.

Grünwald milczał. Wąsy tworzyły nad jego ustami dwa krowie różki. Brakowało tylko monokla.

– Domyślasz się chociaż, co jest takie groźne?

– Nie, ale kryje się za tym jakiś skandal. Skandal, który nie może wyjść na jaw.

– Nie może chodzić o to, że Krapp jest jednym z nas.

Tym razem Beewen zgadzał się z Grünwaldem – nazista, który zabija kobiety, to coś, co go brzydziło. Ale na pewno nie był to koniec świata.

Grünwald przechadzał się przez chwilę ze spuszczoną głową i prawą ręką na gardzie kordzika. Udane naśladowanie Perninkena, dla którego inspiracją był jego ukochany Führer.

– Jaki masz plan? – zapytał w końcu.

– Musimy rozesłać list gończy. Rzucić wszystkich naszych ludzi do poszukiwań. Poinformować blockleiterów. Krapp nie zdoła się wymknąć z sieci Czarnego Zakonu.

Chyba nie przekonał Grünwalda. Zasiał tylko w jego umyśle wątpliwości.

– Co zamierzasz zrobić, jeżeli go dopadniemy?

– Oddać go w ręce wymiaru sprawiedliwości, aby miał uczciwy proces.

– Pytam poważnie.

Nie zamierzał ujawniać swojego planu egzekucji na froncie polskim. *Sprawa osobista.*

– Zastrzelić jak psa i modlić się, żeby nam nie zgotowano takiego samego losu.

Grünwald wciąż krążył, wyraźnie zakłopotany. Listwy podłogi skrzypiały pod jego podszwami.

– Od chwili podjęcia tego śledztwa – odezwał się – nie udało ci się ustalić, co się za nim kryje?

– Nie. O ile oczywiście się nie okaże, że Krapp nie jest mordercą.

– Co?

Zaskoczony Grünwald gwałtownie uniósł głowę. Potem zdołał się opanować i znów zmarszczył brwi.

– To jedna z możliwości – przyznał. – Sam pracuję nad innymi tropami.

Tym razem to jemu udało się zaskoczyć Beewena.

– Nad jakimi?

– Dowiesz się, kiedy przyjdzie czas.

Beewen nie mógł przemilczeć takiego niedomówienia.

– Przed chwilą przeczytałeś akta, a już zamierzasz rozważać inne tropy? I te hipotezy tak po prostu wpadły ci do głowy po lekturze?

Uśmiech wąsacza rozkwitł.

– Co ty sobie wyobrażasz? Że dopiero teraz zainteresowaliśmy się tą sprawą? Że odkąd nad nią pracujesz, nikt nie ma cię na oku?

Czasami Beewen trochę za wolno kojarzył fakty. Oczywiście, przecież Grünwald od początku był jego doppelgängerem, cieniem, który podążał za nim krok w krok.

Beewen przełknął ślinę, która paliła mu gardło. Pomyślał o Minnie, o Simonie. Co właściwie wiedziała ta gnida z okopów?

– Jakie to inne tropy? – naciskał. – W tej sprawie musimy pracować razem. Tego oczekuje od nas Perninken.

– Poinformuję cię, kiedy przyjdzie pora – odparł tajemniczo Grünwald.

Beewen spojrział na zegarek – marnował czas z tym durniem. Niech robi, co chce.

– Wracam do gabinetu – powiedział, stukając obcasami. – Kiedy zdecydujesz się mówić jaśniej, sam mnie znajdziesz.

Beewen złożył Minnie obietnicę, musiał ją spełnić. Dlatego przycisnął Dynama, aby zdobył w końcu teczkę Ernsta Mengerhäusena.

– To nazista od samego początku – poinformował go Hölm. – Uczestniczył w puczu w piwiarni. Chwali się przed wszystkimi legitymacją partyjną, bo ma numer szesnaście. Znasz ten typ.

– Praktykuje jako lekarz?

– Nie. To raczej naukowiec. Jeżeli dobrze zrozumiałem, wybitny.

– Opowiedz mi o nim dokładniej.

Hölm, który siedział na wprost biurka Beewena, zaszeleścił kartkami.

– Ma pięćdziesiąt cztery lata. To czysty etniczny Niemiec. Pochodzi z Karlsruhe, medycynę studiował na uniwersytecie w Heidelbergu. Początkowo wybrał ginekologię i położnictwo, ale nie pracuje w żadnym szpitalu. Wykładał na Uniwersytecie Charité i prowadził badania nad hormonami, współpracując z firmą farmaceutyczną Schering-Kahlbaum. To było na początku lat trzydziestych. Badania zaowocowały... – Dynamo musiał zawiesić głos, by odczytać nazwę: – ...zaowocowały powstaniem progynonu i prolutonu.

– Co to takiego?

– Leki na bezpłodność. Podobno cenione za skuteczność. Ten gość to prawdziwy pionier.

Mengerhäusen, któremu tak spieszo było zlikwidować „darmozjadów”, najpierw pracował na rzecz życia. W sumie nie była to sprzeczność – wszystko zależało od życia, o którym mowa.

– Dziś jest jak zjawa w świecie SS. Jeździ swoim samochodem i nikt nie wie, co właściwie robi.

– Do jakiej struktury jest przypisany?

– Może do Kancelarii Führera, ale to nic pewnego.

– A nad czym obecnie pracuje?

– Tego też nie wiadomo. Mówi się, że stoi za programem Gnadentod.

– Co to znaczy?

– „Śmierć zadana z litości” albo „miłosierna śmierć”. Naziści chcą się pozbyć kalekich i chorych umysłowo.

Beewena przebiegły ciarki. Minna. Lista. Zamek Grafeneck. A zatem to wszystko było już (prawie) powszechnie wiadome.

– Istnieje jakiś oficjalny program?

– Znasz esesmanów. Tylko nazwiska powtarzane po cichu, ale nie ma wątpliwości, że Ernst Mengerhäusen jest zaangażowany w ten program.

– To wszystko, czego się o nim dowiedziałeś?

– Nie. Przed sprawą z „miłosierną śmiercią” pracował nad sterylizacją chorych umysłowo i Cyganów. To prawdziwy świr. Wdrażając ustawy norymberskie, przeprowadził wiele operacji... – Dynamo znów pochylił się nad kartką. – Podwiązywanie jajowodów, wazektomia, kastracja, usunięcie macicy... Ale jego metoda to podobno naświetlania. Wystawić nieudany egzemplarz na działanie promieni gamma, radu, i wypalić te niebezpieczne narządy płciowe. To świr, powtarzam.

Kolejny szalenciec na scenie. Ale to nie było warte nawet złamanego pazura orła SS, który krążył właśnie nad głowami Minny i ojca Beewena.

– Ma chyba jakieś biuro?

Dynamo wyciągnął z kieszeni karteluszek.

– Tu masz adres. Komitet konsultacyjny czy coś takiego. Nazwa jak zwykle napuszona: Komitet Rzeszy do spraw Naukowego Rozwiązania Problemu Ciężkich Chorób Dziedzicznych i Wrodzonych. Wtajemniczeni mówią krótko „Komitet Rzeszy”. W rzeczywistości ta struktura oficjalnie nie istnieje, jednak ma siedzibę pod tym adresem. Mówi się, że facet tam ma biuro.

Beewen rozłożył kartkę i przeczytał: Enkircher Straße 13, Frohnau. Północne przedmieście Berlina. Ponad piętnaście kilometrów. Na drogę w obie strony straci co najmniej dwie godziny, ale trudno – obietnica to obietnica.

Wsunął kartkę do kieszeni.

– Zostawiam cię samego. Poszukaj jeszcze czegoś o Krappie i jego zwyczajach.

– Poradzę sobie.

– Masz kumpli w zespole Grünwalda?

– Jeżeli dwaj gestapowcy mogą być kumplami.

– W sprawie Adlonu wybrał inny trop. Postaraj się dowiedzieć, o co chodzi.

Beewen był już przy drzwiach, kiedy Hölm zawołał:

– Jeszcze jedno.

– Co?

– Mengerhäusen ma ochroniarza, Hansa Wirtha. To osiłek z gębą nauczyciela.

– Co z tego?

– Facet ze Stuttgartu. Dawniej w Kripo. Fanatyk zimny jak uścisk dłoni Hitlera.

– Widywaliśmy już takich, nie?

– Chciałem cię tylko uprzedzić. Znam go. Jest naprawdę niebezpieczny.

Dramatyzowanie nie było w stylu Dynama, ale Beewen wolał zapomnieć o tym nowym zagrożeniu. Zamierzał tylko potrząsnąć Mengerhäusenem i szybko wrócić do pracy.

Uznał, że do Frohnau na północnych krańcach Berlina lepiej będzie pojechać pociągiem. Bez szofera, bez ogona. A pomyśl, żeby po cywilnemu wtopić się w normalny berliński tłum, między ludzi wracających ze spaceru, nawet mu się podobał. Tym razem dołożył starań, żeby wyglądać jak należy: ubrał się w pumpy, białą koszulę z krótkim krawatem i tweedową marynarkę.

Jechał teraz linią nordycką, tą, która prowadzi aż nad Bałtyk i przyprawia o dreszcz od pierwszych chwil podróży. Beewen od dziecka lubił pociągi. Wagony, które się kołysały, drewniane ławki, które uważał za bardzo eleganckie, turkot kół. Zawsze odczuwał podniecenie taką podróżą, a było to tym bardziej paradoksalne, że nigdy nie podróżował.

Z każdą kolejną stacją jego myśli stawały się posępniejsze. Martwiło go to, czego dowiedział się o Mengerhäusen. Był uosobieniem czystej, bezwzględnej nienawiści nazistów do wszystkiego, co odstawało. Do inwalidów, obłąkanych, aspołecznych... Tymczasem on z ojcem wariatem, a może też z nieczystą krwią, miał wedle kryteriów NSDAP niewielką wartość. A może nawet figurował już na jego liście.

Frohnau było miastem-ogrodem na północ od Reinickendorfu, a jego budowę rozpoczęto w pierwszych latach XX wieku. Potem, gdy wybuchła wojna, gdy krajem targały zamachy stanu i kryzysy polityczne, zapomniano o tym projekcie – pozostały po nim tylko duży las i rozrzucone tu i tam wille oraz wysoka wieża, której funkcji Beewen nie znał.

Jedno było pewne: tego wieczoru w zachodzącym słońcu miasteczko wyglądało jak zaczarowane. Wydawało się, że leży gdzieś daleko od Berlina, w Schwarzwaldzie albo w Bawarii. Dochodziła ósma, była sobota i Beewen się zastanawiał, czy zastanie kogokolwiek w siedzibie Komitetu Rzeszy.

Przy Enkircher Straße wznosiła się typowa dla tej okolicy willa o białych murach, kryta czerwonym dachem, prawdziwie germańska, zdrowa jak dziewczę o jasnej cerze z rumieńcami na policzkach. Nie dom dla lalek, ale laleczka wśród domów.

Na skraju ogrodu zobaczył motocykl. Dobry znak. Żadnego wartownika. Żadnej nazistowskiej flagi. Mengerhäusen wolał działać dyskretnie. Trzymał się w cieniu, był jak duch, którego nazwisko nie pojawia się w żadnej strukturze. Dynamo musiał wykorzystać cały swój talent psa myśliwskiego, który zawsze potrafi wytropić zwierzyńnię, żeby zdobyć tę garść informacji.

Beewen zadzwonił, wylegitymował się i wszedł do małej poczekalni jak u lekarza. Zastanawiał się, ilu rodziców czekało tu, by omówić eliminację kalekiego dziecka, ponieważ ich wezwano albo dlatego, że woleli uprzedzić wezwanie, nie wyobrażając sobie wychowania upośledzonego dziecka pod niechętnym okiem Rzeszy.

– Hauptsturmführer! – rozległ się głos, który łączył brzmienie trąbki z dźwiękiem klaksonu.

Niski rudzielec, równie szeroki jak wysoki, pojawił się w sali. Na przetartym mundurze nosił biały kitel.

– W pewnym sensie spodziewałem się pana. Proszę ze mną.

Mengerhäusen wyglądał jak żywcem wyjęty z bajki dla dzieci. Jego bardzo gęste rude włosy wiły się niesfornymi pasmami przedłużone o równie gęste faworyty sięgające podbródka. Piegowata twarz wydawała się wesoła i przyjazna.

Beewen podążył za nim korytarzem, mijając pokój, w którym jeszcze trwała praca. Na razie było tu tylko dziesięciu gryzipiórków. Wkrótce komitet miała obsługiwać setka ludzi. Później ta służba przeobraziła się w ośmiornicę i to ona odpowiadała za śmierć tysięcy, jeśli nie milionów ludzi. Bezwiednie uległ fascynacji tą sumienną, metodyczną biurokracją, która rozwrzeszczane barbarzyństwo zastąpiła wyciszonym okrucieństwem w zarękawkach i okrągłych okularach.

Usiedli w pokoju, który wciąż jeszcze oscylował między gabinetem lekarskim a biurem notarialnym. Leżanka, lampa, oszklona szafka z chromowanymi narzędziami – to gabinet lekarski. Stosy dokumentów, ogromna maszyna do pisania, biblioteka pełna książek prawniczych (na grzbietach niektórych widniały nawet łacińskie tytuły) – to biuro prawnika.

Mengerhäusen siedział za biurkiem. Wyciągnął z kieszeni na piersi długą fajkę z kości słoniowej. Beewen już zamierzał zrezygnować z próby zastraszenia tego fanatyka, który prawdopodobnie był na ty z Heydrichem albo Himmlerem, a może nawet z samym Hitlerem.

Lekarz położył małe, tłuste dłonie na maszynie do pisania przypominającej organy.

– Czemu zawdzięczam pańską wizytę, Herr Beewen?

– Mówiono mi o pewnych transferach chorych...

– No, no, widzę, że wieści szybko się rozchodzą.

– Herr Mengerhäusen, jestem z Gestapo. Moją rolą...

Rudzielec uciszył go, unosząc łapę.

– Wątpię, żeby wspomniane transfery mogły interesować pańską formację.

– W Niemczech nie ma spraw, które nie interesują Gestapo.

– Chyba że rozkazy zostały wydane... jak by to powiedzieć... nad pańską głową.

Wszystko stało się jasne. Mengerhäusen nie zamierzał marnować czasu na tłumaczenie się przed niższym oficerem.

Nabił fajkę i uśmiechnął się do niego, żeby nieco złagodzić ton pogróżki pobrzmiwającej w jego słowach.

– Chciałbym, żeby dobrze mnie pan zrozumiał – rzucił, przypalając fajkę. – Jesteśmy w przededniu potężnej operacji nadzorowanej przez najwyższe władze państwowe. I oczywiście ściśle tajnej. Nie muszę więc panu tłumaczyć, dlaczego nie będę się nad tym rozwodził.

Beewen pomyślał, że na próżno odbył podróż. Co powie Minnie?

– Mimo to – dodał Mengerhäusen, wstając – dla pana zrobię wyjątek.

Pyknął z fajki.

– To znaczy? – spytał z zainteresowaniem Beewen.

– Mówię o pańskim ojcu.

Franz poczuł dławienie w gardle. Kartoteki. Te cholerne kartoteki Gestapo, które tworzyły niewidzialną kanwę codziennego życia narodu niemieckiego. Nagle przed oczyma stanęła mu irracjonalna wizja świata, w którym ludzie nie rzucają już cienia na chodnik, a jedynie wywołują szelest kart maszynopisów znaczących każdy ich krok.

Cokolwiek powie albo uczyni Hauptsturmführer Franz Beewen, na zawsze pozostanie synem Petera Beewena, żołnierza odznaczonego wprawdzie medalem, ale także człowieka psychicznie chorego, gnijącego w domu wariatów.

– Nie ma pan powodu do obaw – powiedział lekarz, obserwując wyraz twarzy Beewena. – Pański ojciec nigdy nie trafi na nasze listy. Gdy w grę wchodzi wyższe dobro, potrafimy czynić wyjątki.

– Czyli wszystkich pozostałych zabijecie?

Uśmiech, który pojawił się na twarzy Mengerhäusena, nasuwał skojarzenie z trybikami małego złotego zegarka.

– Odbyłem już tę rozmowę z pana przyjaciółką Minną von Hassel.

Beewen pokiwał głową. Musi o tym pamiętać: Gestapo nie poda mu informacji o Mengerhäusenie, ale przekaże informacje o nim Mengerhäusenowi.

Kłęb dymu.

– Czas skończyć z tą odwieczną chrześcijańską litością i ideą nieodzownej miłości bliźniego – ciągnął lekarz, wstając. Wszedł zza biurka i oparł się o nie, splatając krótkie ręce na brzuchu. – Trzeba raczej przyjąć do wiadomości, że Bóg w swym nieskończonym dziele mógł popełnić pewne błędy. Czyż zresztą Genesis nie uczy nas, że stworzył człowieka na swoje podobieństwo? A kiedy replika nie przypomina już wzoru, należy ją chyba usunąć, skrócić jej cierpienia?

– Tak zwana śmierć miłosierna...

Beewen przyjął sarkastyczny ton i zaraz tego pożałował. Nie było z czego się śmiać.

– Trzeba przywrócić prawa Stwórcy i pogodzić się z selekcją naturalną – oświadczył Mengerhäusen. – Poprzez tę selekcję wyraża się duch Boży, nie przez każde Jego stworzenie. A my powinniśmy Mu w tym dopomóc.

Wciąż puszczając dym z fajki, wskazał worki pocztowe leżące w rogu gabinetu.

– Co pańskim zdaniem zawierają te listy? To prośby o eutanazję adresowane do naszego Führera. Co dnia otrzymujemy ich setki. Od rodziców, którzy byliby szczęśliwi, mogąc się uwolnić od ciężaru, jakim jest nienormalne dziecko. Od rodzin, które się modlą, by „bezużyteczny ciężar” odszedł „śmiercią wolną od cierpienia”.

Franz patrzył na płócienne worki, myśląc, że Niemcy obrały całkowicie błędny kierunek. Dążenie do doskonałości krwi opanowało umysły ludzi niczym zabójcza trucizna.

Mengerhäusen się odwrócił i obszedł krzesło rozmówcy.

– Duch *völkisch*, Beewen. Obywatele Rzeszy wiedzą, że gra toczy się o cel wyższy od ich sentymentów, od przywiązania do potomstwa. – Pochylił się nad nim, jakby chciał szepnąć mu coś do ucha: – Eugenika jest nauką, przyjacielu. Ulepszanie narodzin, eliminacja odpadów... Postrzegamy państwo jak ludzkie ciało, dla którego niepożądane komórki stanowią poważne zagrożenie. Zaczęliśmy od sterylizacji. Teraz musimy podjąć bardziej radykalne kroki. Pasożyty żerują na ciele narodu. My jesteśmy antidotum. Jesteśmy na to remedium!

Beewen gwałtownie poderwał się z miejsca i odwrócił, żeby stanąć z nim twarzą w twarz.

– Jaka jest pańska rola w tym wszystkim?

Mengerhäusen cofnął się instynktownie – nie sięgał nawet brody gestapowca.

– Nie pełnię żadnej funkcji, nie ponoszę odpowiedzialności... oficjalnej odpowiedzialności. Jestem jakby... inicjatorem – poruszył małymi rękami – poetą, źródłem inspiracji...

Franz chwycił go za poły fartucha i podniósł, jakby lekarz ważył tyle co wata cukrowa. Mengerhäusen wypuścił z ust fajkę, która upadła na podłogę, sypiąc iskrami.

– Nie waż się zbliżyć do Brangbo i do Minny von Hassel.

– Oho ho – zarechotał lekarz czerwony jak piwonia. – Podejrzewam nierozsądne zadurzenie.

– Jestem pewien, że znasz przebieg mojej służby.

Wymachując nogami w powietrzu, Mengerhäusen jeszcze perorował.

– Rzecz jasna. Urodzony morderca. Brutalny ponad wszelką normę. W typowym społeczeństwie od dawna gniłbyś w więzieniu!

Beewen przygwoździł rudzielca do ściany i rzucił jednym tchem:

– Obaj należymy do tego samego systemu. To dyktatura dała nam na ograniczony czas nadzwyczajną władzę. W starciu z tobą znaczę niewiele, ale wiesz, że jeżeli zechcę, znajdę sposób, żeby się z tobą porachować jak mężczyzna z mężczyzną. I Rzesza ci nie pomoże.

Mengerhäusen zmienił kolor na buraczkowy.

– Czego... czego chcesz?

– Wykreśl Brangbo ze swojej listy i zapomnij o Minnie von Hassel.

– Powtarzam, że twój ojciec...

Franz oswobodził jedną rękę, żeby walnąć go pięścią w nos. Potem rzucił nim o bibliotekę prawniczą.

– Nie mówię o moim ojcu, ale o wszystkich pacjentach z Brangbo. Po prostu zajmij się czym innym.

Mengerhäusenowi płynęła z nosa krew. Jej kolor przypominał Beewenowi Minnę i jej szkarłatną szminkę. Ani krew, ani wiśnia, pomyślał, a potem pchnął Mengerhäusena na maszynę do pisania i dokumenty. Kiedy lekarz wylądował pod biurkiem, cały stos teczek runął mu na głowę.

Franz chwycił kilka kartek i wytarł nimi dłonie. Zapewne były to karty kolejnych pensjonariuszy zamku Grafeneck. Mengerhäusen skulił się w kącie gabinetu.

– I nie zapomnij odesłać do Brangbo pacjentów, których stamtąd wywieźliście! – rzucił Beewen i wyszedł, nie oglądając się za siebie. W korytarzu natknął się na nadbiegających urzędników. Na jego widok cofali się pod ściany.

Jego zachowanie było czystym szaleństwem. Gorzej, to był wyrok śmierci. Czarny Zakon nie zdoła go powstrzymać od porachowania się z tamtym? Ha, ha, ha! Dobry żart! Jutro go aresztują i rozstrzelają.

Na zewnątrz nabrał w płuca ciemnoczerwonego powietrza. Życie, to prawdziwe, nadal się toczyło, obojętne na nazistowskie Niemcy, a pory roku przemieniały się mimo tylu podłości.

Jedyną szansą na uzyskanie przebaczenia byłoby zatrzymanie zabójcy Dam Adlonu i podarowanie jego truchła Führerowi.

Na ulicy wciąż parkował motocykl z koszem. Siedzący na nim okrakiem mężczyzna palił papierosa. Barczysty i krępy, trochę w typie Beewena, miał twarz intelektualisty. Kanciasta twarz, okulary w złotych oprawkach, jasne włosy jakby przylepione masłem do głowy i rozbijającą łagodny uśmiech. Uśmiech pewnej siebie, spokojnej siły i zabójczej obojętności.

Beewen rozpoznał go, chociaż nigdy się nie spotkali. Hans Wirth, niegdyś z Kripo. Ochroniarz ze Stuttgartu.

Zrozumiał przesłanie. Gdyby chciał zabić Mengerhäusena, najpierw musiałby zmierzyć się z Wirthem. A o ile ginekologa udusiłby jedną ręką, o tyle z zaprawionym w okopach osiłkiem nie poszłoby tak łatwo. Zasalutowali sobie, a potem idący w stronę dworca Beewen czuł spojrzenie tamtego śledzące go niczym celownik mausera.

Skupił myśli na jutrzejszej defiladzie.

Aresztować Josefa Krappa.

To była kwestia jego życia albo śmierci.

Około dziesiątej wieczorem znów ktoś dzwonił do jej drzwi.

„Znów”, ponieważ dwie godziny wcześniej przyszedł Franz Beewen. W pumpach i tweedowej marynarce wyglądał tak, że brakowało już tylko fajki z pianki morskiej i wyżyła długowłosego, by wyruszyć na wędrówkę po Schwarzwaldzie.

- Mengerhäusenem możesz się już nie przejmować – oznajmił.
- To znaczy?
- Nie zbliży się więcej do Brangbo.
- A... a co z innymi szpitalami? Ten program eutanazji naprawdę istnieje?
- Tak.
- Trzeba to powstrzymać, trzeba...
- Nie zawracaj mi głowy.

Wypili sznapsa. On w podkolanówkach i fatalnym nastroju, ona już lekko podchmielona. Po niezapowiedzianej wizycie w siedzibie Gestapo nie miała siły jechać do Brangbo.

Beewen dość szybko zasnął na kanapie. Poszła po koc (w kratę, pasujący do marynarki), a potem patrzyła na niego, sącząc alkohol.

A teraz pod drzwiami stał Simon Kraus błyszczący jak nowiutka moneta.

– Jak zdobyłeś mój adres? – spytała.

– Wszyscy wiedzą, że von Hasselowie, komunistyczna gałąź rodu, mieszkają w willi w stylu Bauhausu w Dahlem.

- Wejdz.
- Przeszkadzam? – zapytał na widok Beewena na sofie.
- Nie bądź śmieszny. Czego chcesz?
- Może tego samego co on – rzucił, mrugając do niej okiem.

Minna wolała zignorować tę odpowiedź.

– Masz coś do picia?

– Zawsze. – Podała mu kieliszek jasnobursztynowego trunku. – Beewen przez całe popołudnie próbował się do ciebie dodzwonić.

- Byłem na spacerze.
- Być może znaleźliśmy sposób, żeby dopaść Josefa Krappa.

W kilku słowach opowiedziała mu, co wydarzyło się tego popołudnia. O paradzie wojskowej, o Kirszenbaumie. O możliwości poznania wyglądu Krappa na tyle szybko,

żeby go zidentyfikować. Simon gwizdnął z podziwu. Tyle że w tym podziwie pobrzmiwała nieskrywana ironia.

– Co to jest? – zainteresowała się, zauważywszy tekturową tubę pod jego pachą.

Napełnił kieliszek i potrząsnął głową jak rżący koń. Był cudowny. Zawsze broniła się przed przypisywaniem większego znaczenia wyglądowi, ona, święta Minna od Wariatów. Ale ta twarz... Doskonałe proporcje, te subtelnie pałające, łagodne oczy ocienione rzęsami podkreconymi jak równiutkie przecinki.

Bez słowa otworzył tubę i rozwinął kolorowy afisz filmu fantastycznonaukowego z początku lat trzydziestych, *Duch z przestworzy*.

Minęło kilka sekund, zanim to zobaczyła. Zza szlachetnego profilu Kurta Steinhoffa, największej ówczesnej gwiazdy niemieckiego kina, ujętego na pierwszym planie, wyłaniał się szarozielony kosmita, który groził światu gniewem swojej planety.

Marmurowy Człowiek.

Dokładnie taka sama maska biegnąca ukośnie przez twarz i zasłaniająca jej górną część, pokryta białymi i czarnymi żyłkami. Jak maska napastnika z Westhafen.

– O Boże...

– Wiedziałem! – krzyknął Simon i klasnął w dłonie.

Minna go uciszyła, unosząc rękę – nie chciała budzić Beewena. Po pierwsze, żeby pozwolić mu odpocząć. Po drugie, żeby nie przerywał wyjaśnień Simona, które zapowiadały się na skomplikowane.

I rzeczywiście. Opowiedział jej o popołudniu w towarzystwie Greta, o tym, jak odkrył afisz, o hipotezie, zgodnie z którą wszystkie ofiary widziały tę złowrogą twarz i przywoływały ją we śnie.

– A morderca?

– On na pewno też widział ten afisz.

– W galerii?

– Albo gdzieś indziej. Jego maska jest inspirowana filmem.

– Czy to nie jest zbyt śmiałe założenie?

– Nie na mnie napadła ta kamienna morda.

– Czyli sny ofiar nie miałyby nic wspólnego z mordercą?

– Nic poza maską, ale to może być tylko zbieg okoliczności.

Historia Simona nie trzymała się kupy, lecz jak zwykle w jego wypadku inteligencja, elokwencja, temperament sprawiły, że wszystko stawało się strawne, a nawet przekonujące.

– A co z Josefem Krappem?

Simon wypił łyk koniaku.

– Tu tkwi problem. Jeżeli przyjmujemy moją teorię, ale dodamy jeszcze żołnierza ze zmasakrowaną twarzą, zaczyna się tego robić dużo. Prawdę mówiąc, za dużo.

– Krapp nie byłby mordercą?

– Nie wiem. Przecież wszystko oparliśmy na twoim podwójnym założeniu, że Hoffmann to morderca, którego ścigamy, i że zawłaszczył tożsamość Josefa Krappa. Ale tak naprawdę nie mamy żadnego bezpośredniego dowodu na trafność takiej wersji.

– Krapp jest oficerem, ma kordzik.

– Jak każdy nazistowski oficer.

– A pantofle?

– Może Krapp i Hoffmann to jedna i ta sama osoba, ale to nie znaczy, że jest mordercą Dam Adlonu. Zresztą nie wyobrażam sobie, jak z taką twarzą mógłby się do nich zbliżyć. Dobrze je znałem. Żadna nie poszłaby z byle kim do lasu.

– Krapp uciekł, kiedy się pojawiliście.

– No wiesz, ucieczka na widok gościa typu Beewena w progu mieszkania... To zwyczajny przejaw zdrowego rozsądku.

– Usiłował zabić Dynama.

– Samoobrona.

Powinna zirytować się słowami tego małego faceta z lśnącymi od brylantyny włosami, który demontował cegiełka po cegiełce jej konstrukcję. Ale stało się inaczej – cieszyła się, że ma z kim pogadać. Z człowiekiem wielkiej inteligencji, zawsze wyprzedzającym innych o krok, przewidującym tok myślenia, a w dodatku tak fantastycznie wczuwającym się w każdą osobowość.

Tego wieczoru, kiedy przyjechał Beewen, podziwiała jego siłę fizyczną i czuła, że ten blok surowego minerału przyciąga ją jak magnes. Teraz uświadomiła sobie, że mały Simon w rzeczywistości jest znacznie silniejszy od esesmana. Cokolwiek by mówiła, cokolwiek by robiła, grając zdesperowaną kobietę, którą pociąga zwierzęcość, dla niej ważniejszy był intelekt. Nic nie miało takiej mocy uwodzenia jak błyskotliwa inteligencja. Nic nie było tak czarujące i magiczne jak finezyjna myśl.

– Tak czy inaczej – podsumował Simon, zwijając afisz – jutro poznamy odpowiedź.

– Chcesz powiedzieć: kiedy zatrzymamy Krappa?

– Nie wierzysz w to?

– Beewen nie poinformował o niczym swoich przełożonych – powiedziała w zamyśleniu. – Znowu chce podjąć akcję małego oddziału.

Simon zerknął na esesmana, który chrapał pod kocem w kratę.

– Nie potrafię zrozumieć tego faceta. Dlaczego tak bardzo nas w to wciąga? Dlaczego nie zwróci się do swoich przyjaciół z Gestapo? Przecież prawie nas nie zna.

– Nie mam pojęcia, ale jestem w tej sprawie z nim. Ktoś zamordował Ruth i chcę dopaść mordercę.

– Oczywiście. Czasami jednak nie wystarczy zacisnąć pięstek małej burżujki, żeby być skuteczną.

Minna popatrzyła na niego z zaciekawiona.

– A ja nigdy nie potrafiłam zrozumieć ciebie. Na uczelni byłeś najlepszy z nas wszystkich. Byłeś materiałem na przyszłego ordynatora.

– Chyba zapomniałaś, jak traktują w Niemczech psychiatrów.

– Mógłbyś się przyczynić do postępu nauki, leczyć tysiące...

Popatrzył na nią tak, że zamilkła. Na dnie jego źrenic rozbłysnął srebrny pył.

– Za późno, by odwrócić bieg zdarzeń, moja śliczna. Dziś w Niemczech można już tylko płynąć z nurtem. Próby chronienia tych, którzy są skazani, to luksus, na jaki nie mogę sobie pozwolić.

– Więc co? Mamy patrzeć na to beczynnienie?

Simon westchnął. Pod przylizanymi włosami naprawdę miał głowę lalki – zgrabną, subtelną. Ale ten niespokojny błysk w oczach przyprawiał o dreszcz. Słowa, które mu się nasunęły, dawały upust kompleksom. To nic nie znaczyło.

– Urodziłaś się po stronie władzy, pieniędzy, arystokracji. Nigdy nie musiałaś o nic walczyć, więc w pewnym sensie twoja waleczność nie została nadszarpnięta. Ale my, tacy jak ja czy Beewen, musieliśmy zaangażować całą energię, żeby awansować.

– I to doprowadziło was do zubożenia, cynizmu, braku wrażliwości? To wasze usprawiedliwienie?

– Kiedy biedny walczy, żeby coś osiągnąć, zawsze ma rację, ma do tego prawo, prawo biednego, sprawiedliwości, prawo poniżonych.

– Podejrzewam, że to samo powtarza sobie Hitler.

Simon się uśmiechnął, a ona poczuła, że topnieje jak cukierek pod językiem.

– Zapomniałem, że jesteś mistrzynią riposty.

– Bo słuchasz tylko własnych.

Wzniósł kieliszek.

– Wypijmy za nasze przegrane sprawy.

– Chcesz tu przenocować?

– Z tobą?

Uśmiechnęła się nerwowo, niezdarnie. Domyślała się, że Simon nie całkiem żartował, a dreszcz, który poczuła, też nie był udawany. Topiła się w alkoholu, uciekała w tę życzliwą łatwość, która sprawia, że nic już nie ma znaczenia, a pożądanie słabnie, aż zupełnie się zatraci.

– Lepiej wróć do domu – zdołała powiedzieć po chwili. – Przyjdiesz jutro na defiladę?

– Nigdy nie opuszczam tak obiecujących imprez.

Odprowadziła go do wyjścia i szybko otworzyła drzwi. Zniknął w ciemnościach ze swoim afiszem pod pachą. Jego krok był nierówny, jakby podskakiwał albo wręcz tańczył.

Minna zamknęła drzwi i uwolniła płuca od powietrza, które zatrzymywała od kilku sekund. Kraus czy Beewen: w każdym przypadku dokonałaby bardzo złego wyboru.

Minęły dwie godziny, a ona nadal nie spała.

Włożyła płaszcz – najwyższa pora rozgrzać silnik mercedesa i złożyć wizytę jednej z nielicznych osób, które podobnie jak ona wciąż nie zmrużyły oka. Ruszyła w kierunku Ku'dammu. Samochód mknął opustoszałymi alejami, nigdzie nie widać było ani osłoniętych reflektorów, ani silnych świateł. Na tle ciemnego nieba odcinały się tylko orły i swastyki – potężne cienie, groźne symbole, które czekały na swój czas.

Nawet Kurfürstendamm o tej porze wyglądała jak wymarła. Godzina policyjna była zaledwie przedsmakiem życia, jakie wkrótce miało stać się udziałem berlińczyków, bytowania w rytm starć i rzezi urządzanych we wszystkich zakątkach Europy, dopóki te masakry nie powrócą do źródła i sami ich nie doświadczą.

Minna nie czuła się pewnie. Wszyscy wiedzieli, że zaciemnienie sprzyja kradzieżom, gwałtom, morderstwom. Nie znajdzie się nikt, kto udzieliłby jej pomocy w razie napadu, a w tej kwestii miała już przerażające doświadczenie.

Jadąc aleją, zauważyła mimo wszystko kilka prostytutek, których niebieskie latarki migały w ciemnościach jak wędrujące po niebie gwiazdy. Ten widok trochę ją uspokoił. Nie była w Berlinie sama.

W kamienicy nie paliło się żadne światło, ale Minna wiedziała, że co najmniej jedno mieszkanie jest widne. Zaparkowała i weszła na piąte piętro.

Po cichu zapukała do drzwi Ruth Senestier i czekała. Po chwili Ichok Kirszenbaum otworzył, wcale niezaskoczony tą wizytą. Miał na sobie fartuch – nie lekarski, ale artystyczny, podobny do obszernej szarej sukni zawiązanej pod brodą. Minnie nasunęło się skojarzenie z togą prawnika, adwokata ludzkiej godności i zrekonstruowanych twarzy.

– Jeszcze nie skończyłem – uprzedził.

– Przyszłam, żeby dotrzymać panu towarzystwa.

Cofnął się, by mogła wejść. W oknach zawiesił grube koce, żeby nikt z zewnątrz nie dostrzegł światła. Minna poszła za nim do pracowni, starając się nie patrzeć tam, gdzie pozostała zaschnięta plama krwi – na dywan w salonie.

Twarz Krappa była już prawie gotowa. Na gipsowej formie Kirszenbaum odtworzył prawe oko, ale nie poprzez umieszczenie wymodelowanej gliny, lecz warstwa po warstwie, dorzucając mięśnie, ścięgna, a prawdopodobnie także rekonstrukcję kości, której nie mogła zobaczyć. Potem umocował dwoje szklanych, mocno lśniących oczu.

Ich blask, ich nieruchome skupienie miały w sobie coś niepokojącego, jak ślepia wypchanych zwierząt, które wydają się zarazem skamieniałe i gotowe do ataku.

Przywrócił też objętość policzkom, odtworzył nos, uformował kości policzkowe. Z odległości kilku metrów iluzja byłaby bardzo dobra, gdyby ta dwukolorowa twarz z gliny i gipsu nie wyglądała jak oblicze chorego na ciężką przypadłość skóry.

Kirszenbaum usiadł na stołku i zabrał się do pracy. Pod nogami miał otwartą walizkę pełną peruk, bród, okularów. Chirurg artysta zachował więc materiały, których niegdyś używał.

– Zrobiłem to szybciej, niż przewidywałem – wyjaśnił. – Bazuję na doświadczeniu i na pamięci. Wiem, jaką pracę wykonała wtedy Ruth. Zadanie było niezwykle trudne, ponieważ środek twarzy po prostu nie istniał.

Minna przypatrywała się twarzy, która jakby rzucała jej wyzwanie, spokojna i nieruchoma jak oblicza rannych żołnierzy, gdy pozowali rzeźbiarzom.

– A tak przy okazji... Nie zrekonstruowałem twarzy Krappa, ale maskę, którą wykonała Ruth. Chyba na tym wam zależało?

– Zgadza się.

– W takim razie jestem na dobrej drodze. Ruth miała poetyckie podejście do swojej misji. Kiedy rekonstruowała twarz, starała się odzwierciedlić duszę.

Jaka dusza kryje się za chorym mózgiem takiego Krappa/Hoffmanna?

Przygarbiony na taborecie chirurg wykańczał dzieło delikatnymi ruchami szpatułki. Minna obserwowała go z taką fascynacją, z jaką obserwuje się skrzypka wirtuoza czy akrobatę. Już otworzył słoiczek beżowej farby, by nadać całości jednolitą barwę skóry.

– Zaletą tej farby jest to, że schnie w kilka sekund i...

– Przepraszam – przerwała mu nagle Minna.

Bez słowa wyjaśnienia odwróciła się i wybiegła, szukając ubikacji. Szybko się zorientowała, że w mieszkaniu nie ma tego przybytku. Zataczając się, wyszła na korytarz. Czuła, że żołądek podchodzi jej do gardła jak lodowata, ciemna fala.

Nawet dla niej dawka koniaku przekroczyła tej nocy dopuszczalny poziom.

W końcu korytarza znalazła ustęp. Była to pocziwa stara ubikacja turecka z odrapanej emalii, osłonięta trzema cementowymi ścianami. Smród nie pozwalał tu ani na myślenie, ani na dłuższe przebywanie.

Zamknęła oczy, ukucnęła, spuściła głowę, a ręce zacisnęła na kolanach. Zwymiotowała cały wieczór – słowa, uniesienia i pełne zrozumienie. Kieliszki koniaku wciąż jeszcze podzwaniały jej w głowie. Pod palącymi powiekami czaił się demon, a ona odprawiała egzorcyzmy.

Kiedy wróciła do pracowni Ruth, była zupełnie trzeźwa.

I stał się cud – przed sobą ujrzała Josefa Krappa z brwiami i okularami uzupełniającymi maskę.

– Nie doda mu pan brody?

– Nie sądzę, żeby ją nosił. Dół twarzy ma nienaruszony. Nie ma powodu go ukrywać.

Minna była nieco stropiona. Bez maski dawny żołnierz nie miał już twarzy, ale w masce także jej nie miał. Była tak banalna, tak przeciętna, że mógł się przechadzać, nie zwracając na siebie uwagi w tłumie, w biurze, nocą.

– Fantastyczna – szepnęła, mając na myśli pracę artysty.

Kirszenbaum nie krył dumy.

– Nie straciłem wprawdy! – powiedział, ocierając palce o fartuch. – Mówiła pani coś o zdjęciach?

Minna sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej voigtlandera avusa 9 × 12. To był jej drugi – po mercedesie – skarb. Ustawili światła na głowę i szukali najlepszego kąta.

Zrobiła kilka ujęć. Manipulując aparatem, rozkoszowała się subtelną ironią sytuacji. Właśnie fotografowała maskę, żeby odnaleźć ukrywającego się pod nią człowieka.

W willi rodziców miała pracownię fotograficzną. Zostało jej jeszcze kilka pojemników wywoływacza i kwasu octowego. Miała też papier srebrowy czarno-biały. Będzie potrzebowała niecałej godziny, żeby przygotować kąpiel, wywoływacz i odtworzyć ciemnię. Skrywany cel: wywołać fotografie, zanim obudzi się Beewen.

Nim skończyła robić zdjęcia, Kirszenbaum zdążył spakować swoje rzeczy – fartuch i narzędzia znalazły się w walizce. Teraz owijał głowę szmatą.

– Prezent – powiedział, dając jej dziwny przedmiot.

Minna nie wiedziała, co powiedzieć. Na jego twarzy znów pojawił się ironiczny uśmiech, a ona zrozumiała, że krótka chwila wspólnoty Aryjki i Żyda przeminęła.

– Proszę zachować to na pamiątkę – nalegał Kirszenbaum. – Może kiedyś, kiedy już będzie po wszystkim, pośmieje się pani z tego.

Wzięła głowę, która nie była tak ciężka, jak się spodziewała.

– Nie sądzę.

– Ja też nie. W każdym razie tu nasze drogi się rozchodzą. Mam nadzieję, że złapiecie tego mordercę.

Próbowała dobrać słowa pociechy, których mogłaby użyć, ale naprawdę nic nie przychodziło jej na myśl.

Znów się uśmiechnął i po przyjacielsku uścisnął jej ramię.

– Niech pani wraca do swojego koszmaru. Ja wracam do mojego.

Przed ratuszem okręgu Reinickendorf, przy Rathausparku w pobliżu dzielnicy Wittenau, wznosił się pomnik ku pamięci poległych podczas wojny 1914–1918. Kombatanci tamtych lat tradycyjnie wybierali to miejsce na swoją defiladę, a czynili to z błogosławieństwem nazistów, również wykorzystujących te obchody do celów wojennej propagandy.

Pomnik miał postać łuku z cegły, pod nim krył się stojący mocno na nogach żołnierz – uosobienie siły i agresji. Ten monument w niczym nie przypominał smętnych i pełnych rozżalenia miejsc upamiętniających ofiary. Całość miała lekko orientalny, trochę ezoteryczny charakter, jakby ten żołnierz ze stopu metali, w hełmie i z bronią, był hinduskim bóstwem albo perską wyrocznią zdolną przepowiedzieć bliski czas szału i triumfu.

Wybiło południe, słońce zalało całą dzielnicę, bezlitośnie ją prażąc – nikt nie mógł przed nim uciec. Simon Kraus jak zawsze zadawał sobie pytanie, po co tu przyszedł. Beewen powtarzał te same błędy, zorganizował kolejną operację w takim samym składzie: Dynamo, jego zastępca; Simon, jego maskotka; a do kompletu Minna w roli egerii.

Podjechali po niego o dziesiątej. Potem skierowali się dokładnie na północ, do dzielnicy fabryk i ugorów, w smutną okolicę, gdzie jednak wznosił się lśniący nowością budynek ratusza no i ten dziwny pomnik poległych.

Mimo toczącej się wojny w słoneczny dzień wielu berlińczyków na pewno spacerowało już po Tiergarten albo kąpało się w otaczających miasto jeziorach. Ale nie oni. Oni czekali na cotygodniową defiladę kombatantów, którzy w tę niedzielę grozili rozróbami, żeby wesprzeć żywotną siłę narodu maszerującą na Warszawę.

I tym razem Minna von Hassel okazała się szybsza i sprytniejsza od partnerów. Tego ranka każdy członek grupy miał w kieszeni portret mordercy, a więc i podstawę, by odnaleźć jego głowę wśród innych zakazanych gąb.

Zgromadziły się tłumy, toteż Beewen, Simon, Minna i Dynamo ustawili się po obu stronach ulicy, którą mieli defilować dawni żołnierze, aby dopaść Krappa, kiedy się pojawi.

Wkrótce rozbrzmiała muzyka. Trochę metaliczna, z brzmieniem fletu, a zarazem skandowana przez głuche basy i jęczące skrzypce. W swoich badaniach nad snami Simon Kraus wyznaczył muzyce szczególne miejsce. Czy świat snów ma dźwięki? W niektórych koszmarach słyhać było nieharmonijną, złowrogą muzykę. Podobną do

rozbrzmiewającej tutaj... Trąbka grająca fałszywie i źle, do tego metaliczny hałas i ten rytm bum-bum, twardy, niedopuszczający sprzeciwu.

Simon rozpoznał w końcu *Erikę*, marsz wojskowy Trzeciej Rzeszy. Było to pewne urozmaicenie po oficjalnym nazistowskim hymnie *Horst Wessel Lied*, melodii do poetyckiego tekstu Horsta Wessela, zamordowanego łotra, z którego Rzesza uparła się zrobić ofiarę walk politycznych.

Pod łopoczącymi sztandarami, pod symbolami drapieżnych orłów kroczyła prymitywna siła. Chora siła. Simon najpierw zauważył ludzi z NSKOV-u w niebieskich mundurach, brunatnych koszulach z czarnymi krawatami, w czapkach z insygniami Nationalsozialistische Kriegsopferversorgung, pomocy społecznej dla kombatantów, i z ostrzem u pasa.

W propagandowych filmach nazistowskie defilady zawsze wyglądały podobnie: piękni, blondwłosi, postawni figuranci zdawali się wybierani przez samą Leni Riefenstahl. Rzeczywistość była inna: Simon widział samych cherlawych mężczyzn o przygarbionych plecach i odpychająco brzydkich twarzach. Choćby nie podobało się to Hitlerowi, taka była młoda gwardia SS: nastolatki urodzeni w czasach głodu, ludzie słabej budowy i o oczach debili. Tak, ci Aryjczycy byli doprawdy piękni.

Ale oto dawni frontowi żołnierze.

Osiemset tysięcy amputacji to mnóstwo ludzi. Na szczęście nie wszyscy tu byli. Jednak ci, którzy szli, też tworzyli tłum. Ta zwarta masa opowiadała o jednym: o cierpieniu.

Po pierwsze, jeżdżący: na wózkach konnych, w fotelach na kółkach, na rowerach trójkołowych – na czymkolwiek, byle tylko jechało. Same kadłuby, pół ludzie, pół rowery, nie we współczesnych mundurach, garderobie projektowanej przez Hugona Bossa, ale w uniformach z Wielkiej Wojny w kolorze błota i klęski.

Po drugiej stronie tłumnego orszaku skrzypiących kół, naoliwionych łańcuchów i zwisających kikutów Simon widział Minnę, której twarz częściowo zasłaniały czarne okulary i nieodstępny beret. Nieco dalej ubrany po cywilnemu Beewen z rozbieganym zdrowym okiem. Kraus przygryzł policzek – tym razem nie wolno im się pomylić.

Za ludźmi na kółkach podążali weterani z protezami. Trzymali się w pionie, jednak wszyscy byli okaleczeni. Przypominali o kończynach urwanych przez pociski, obciętych, amputowanych. Simon pomyślał o obrazie Ottona Dixa *Gracze w skata*, który ukazywał ponaprawianych jak przez majsterkowicza nieszczęśników grających w karty palcami u nóg.

I wreszcie pojawili się „twarzowcy”. Simon pamiętał fotografie, które widział w archiwach NSKOV-u, ale na żywo to było zupełnie co innego. Większość ukrywała

rany. Przepaski, bandaże, szaliki, czasem białe, często czarne przecinały ich zdeformowane, wyniszczone twarze i zasłaniały to, na co nie dało się patrzeć.

Inni nosili maski jak Josef Krapp i prezentowali się lepiej. Jednak po kilku sekundach patrzenia robiło się niezręcznie. Twarze były zastygłe. Skóra sucha. Oczy nie mrugały. Simon przypomniał sobie afisz *Ducha z przestworzy*. W pewnym sensie oni też byli kosmitami.

Nagle muzyka zamilkła, a z głośników popłynęły najnowsze informacje. Anglia wypowiedziała Niemcom wojnę, a Francja wkrótce pójdzie jej śladem. Negocjacje zakończyły się fiaskiem. Ukochany Führer jeszcze dziś miał się udać na front.

Wtedy pojawił się Krapp.

Simon nie musiał wyjmować fotografii: miał ją wdrukowaną w głowę. Lekarz rzeźbiarz nie popełnił błędu, to była ta sama twarz. Tak banalna, że aż smutna, a do tego nieruchoma jak maska pośmiertna. Pospolite, ale lekko zaburzone rysy (szklane oko błyszczało nienaturalnie za okularami, brwi wyglądały jak z końskiej sierści) tworzyły iluzję, lecz pod warunkiem, że nie patrzyło się ze zbyt bliska.

Simon odruchowo zerknął na Minnę i Beewena. Oni też zauważyli Krappa. Prawie czuł zakończeniami nerwów ich podniecenie. Pewnie tak samo odbierał to stojący po jego stronie Dynamo, którego jednak stracił z oczu.

Krapp był już prawie na ich wysokości. Beewen zdawał się zastanawiać, czy rzucić się na niego tutaj, natychmiast. Simon był wściekły. Dlaczego ten idiota przyszedł po cywilnemu? W mundurze mógłby działać. Jego stopień zrobiłby wrażenie, a przynajmniej pozwolono by mu wyjaśnić przyczynę takiego zachowania. Ale w tym stroju? Służby porządkowe zatłuką go pałami, może nawet zastrzelą. Tak reagowano w roku 1939.

Beewen skoczył naprzód, ale Josef Krapp już zniknął, jakby rozpułnął się wśród potworów i automatów defilujących ulicą. Simon bez namysłu ruszył za Beewenem, torując sobie drogę między kombatantami. Maski spadały, odsłaniając twarze bez żuchwy, bez podbródka. Psychiatra chciał krzyknąć, ale osłupiał na widok innej gęby, z sinymi, jątrzącymi się ranami. Upadł. Klęcząc na jednym kolanie ze spuszczoną głową, widział przewracających się o niego ludzi, drewniane gałki oczne toczące się po ziemi.

Nagle silna ręka chwyciła go za kołnierz i podniosła jak królika. Świat wokół zawirował. Dopiero po chwili zobaczył, że ktoś unosi odznakę Gestapo, by utworzyć sobie drogę. A potem dotarło do niego, że to sam Dynamo, czerwony jak cegła, pcha go między wystraszonych gapiów udręczonych przez słońce.

Jeszcze kilka sekund i wydostali się z tłumu. Biegli za Beewenem i Minną, którzy już ścigali Josefa Krappa.

Wtedy w rozgrzanym przez słońce powietrzu zabrzmiał głos. Wrzaskliwy głos Führera płynął z megafonów na czterech rogach placu:

– UCZYNILIŚMY WSZYSTKO, BY UNIKNAĆ WOJNY.

Krapp biegł teraz przez ugór w stronę zaparkowanych na drugim końcu placu samochodów. Czy miał tam auto? Ścigający go Beewen był coraz bliżej. Minna truchtała za nim jak myszokoczek. Dalej byli outsiderzy: Dynamo i Simon, obaj niewysocy, pędzący ze spuszczoneymi głowami, jeden jak dzik, drugi bardziej w stylu peloty baskijskiej.

Nad nimi niczym złowieszczy ptak unosił się głos Führera:

– ANGLIA ODRZUCIŁA WSZYSTKIE NASZE PROPOZYCJE.

Simon miał już tylko kilka metrów do drogi. Krapp minął szereg samochodów. Beewen i Minna przeciskali się między zderzakami. Kiedy Kraus i Hölm dotarli do tego miejsca, obaj byli w takim samym stanie: ledwo dyszeli, rozpaleni, zlani potem.

Nagle, podrywając obłoki pyłu, ruszył na nich ambulans. Ledwie zdążyli odskoczyć. Simon przez chwilę widział twarz kierowcy – Josef Krapp nie miał tym razem woalu, a tylko nieruchomą maskę.

– NIEMCY NIE MOGĄ ZNOSIĆ TAKICH PONIŻEŃ!

– Mój samochód! – krzyknęła Minna.

Pozostali popatrzyli na siebie – zgięty wpół Beewen na oślepie przeładował lugera, Dynamo upadł na zadek i siedział, ledwie dysząc, Simon wpatrywał się w niebo, jakby prosił o światło i o radę, jaką podjąć decyzję. Bez słowa pobiegli za Minną.

Przed samochodami zatrzymali ich żołnierze – nikt nie mógł bezkarnie zakłócać parady kombatantów. Wymachując gestapowską odznaką, Beewen rzucał rozkazy, a może obelgi – tego Simon nie był pewien. Nie rozumiał ani słowa z tego wojskowego niemieckiego, wyszczekiwanego gotykiem. Żołnierze się cofnęli, pozwalając im biec dalej.

– NIEMCY NIE POZWOLĄ, BY OBCE PAŃSTWA NARZUCAŁY IM PRAWO.

Wciąż ten gardłowy głos Hitlera, który raczej skandował, niż mówił, wypluwał więcej, niż myślał...

Kiedy dołączyli do Minny, silnik już pracował. Wskoczyli do samochodu i po chwili za szybami zobaczyli oddalający się ratusz Reinickendorfu z wieżyczką z szarzielonym dachem.

– Musiałem przeoczyć jeden odcinek – powiedział siedzący z tyłu Simon. – Dokąd jedziemy?

– Nie mam pojęcia – odparł Beewen.

– A ja wiem – rzuciła Minna, ostro hamując przed dworcem w Wittenau.

Ambulans Krappa stał tam porzucony. Zobaczyli odjeżdżający pociąg.

– Wsiadł – powiedziała z przekonaniem. – Ta linia jedzie prosto na dworzec towarowy przy Eberswalder Straße, niedaleko od Gesundbrunnen. Przy odrobinie szczęścia nie wyskoczy w biegu, więc będziemy mogli go zgarnąć z dworca.

– NASZA SIŁA UDERZENIOWA JEST POTĘŻNA. NIKT NIE MOŻE...

Pewnie nie byli co do tego przekonani, ale żaden nie miał lepszego pomysłu. Minna ruszyła z kopyta. Jechali uczepli, czego się dało, a pisk opon i ryk klaksonu, który wciskała z wściekłością, zastępowały wycie syren. Chwilami jechała po chodniku, chwilami pod prąd, ale nie zwolniła ani na moment.

W samochodzie wszystkich dręczyła jedna myśl: nie dostaną trzeciej szansy. Pozwolili mu uciec z Meyers Hof. Nie złapali go w Wittenau. Dworzec towarowy to już gra o honor.

Jechali teraz po moście kolejowym. Berlin Nordbahnhof tworzył równinę pociętą torami, ciągnącą się od Bernauer Straße do Ringbahn, linii, która otaczała miasto niczym pierścień Saturna.

– Pociąg już jedzie – uprzedziła Minna, zatrzymawszy samochód na moście.

Cztery pary oczu zwróciły się na ogromną sieć torów i wagonów. Tylko jeden skład był w ruchu: ciężki, powolny, na lewym krańcu terenu. To ten pociąg odjechał im spod nosa w Wittenau, niektóre jego wagony były pomalowane na czerwono, a na cysternach widniały litery KAT.

Minna ruszyła z piskiem opon. Zaraz za mostem skręciła w prawo w brukowaną ulicę, która ostro opadała do dworca przeładunkowego. W mercedesie pasażerowie trzymali się foteli. Na tych wybojach podskakiwali jak kości w kubku.

Minna nie zwalniała. Simon nigdy nie podejrzewał, że mała von Hassel uważa się za Bernda Rosemeyera. Jadąc zygzakami między samochodami i wozami konnymi, nie zdejmowała ręki z klaksonu. Na razie najważniejsze było przeżyć ten pościg, który zamienił się w jazdę po torze przeszkód. Woźnice z wraskiem usuwali im się z drogi, konie stawały dęba i rżały, Minna skręcała, odbijała, przyspieszała, a wszystko to w potwornym pyle.

Simon zorientował się dopiero po pewnym czasie, jaki zamiar ma jego koleżanka ze studiów. Za stojącymi składami, za lokomotywami na bocznicach wciąż widziała pociąg z czerwonymi wagonami. Nadal jechał. Jeżeli nie wypadną z drogi, może zdołają dopaść Krappa, kiedy wysiądzie.

Minna nie szukała już nawet przejazdów – jechała po torach, o ile tylko widziała, że między pociągami jest dość miejsca. Samochód ciężko skakał po szynach albo uderzał o nie, zsuwając się po żwirze.

W końcu zrównali się z pociągiem, który teraz toczył się wolno, zbliżając się do kresu podróży. Rozległ się gwizd – niewidoczny zawiadowca stacji kierował manewrami. Minna gwałtownie zahamowała i cała czwórka jednocześnie wyskoczyła z samochodu. Lokomotywa była tuż przed nimi, czarna, ogromna, udrapowana długimi wstęgami białej pary.

Beewen dał znak Simonowi i Dynamowi, każąc im przejść na drugą stronę toru i obserwować skład. Biegli wzdłuż wagonów z bronią w ręku. Szukali mordercy.

Simon wciąż powtarzał sobie, że to nie ma sensu. Krapp mógł wyskoczyć w biegu przed dworcem albo na samym początku stacji, kilka kilometrów stąd. Mógł też zostać w pociągu, ukryć się w jednym z wagonów, których było co najmniej trzydzieści. Może zresztą wcale nie wsiadł do tego składu.

Nagle żółtawy blask przeciął kłęby pary. Zaraz potem rozbrzmiała detonacja. A może tuż przedtem. Wrażenia były tak silne, że Simon trochę się pogubił. Zawołał Hölma. Odpowiedziała mu cisza. Nic nie widział. Wszystko przesłaniała para. Łzy. Szok.

Potknął się o ciało. Hölm klęczał, zgięty wpół, zaciskając ręce na brzuchu. Simon przyklęknął i rozpiął mu bluzę. Kula trafiła w lewy bok. Ściągnął marynarkę i przycisnął ją do rany.

– Coś poważnego?

Beewen wychylił się spomiędzy dwóch wagonów.

– Trzeba wezwać pomoc.

– Gdzie ten bydlak?

Simon bezwiednie odwrócił głowę w stronę pola, które rozciągało się po lewej stronie. Mężczyzna w mundurze biegł przez nie ile sił w nogach. Z daleka przypominał biegusy, suche rośliny, które przetaczają się bez końca po pustyni.

Minna podeszła do nich. Chciała pomóc Simonowi, ale Beewen ją powstrzymał.

– Wracaj do samochodu – powiedział, rzucając jej odznakę Gestapo. – Objedź dworzec, po drodze powiadom szupowców i podjedź do mnie na stację Eberswalder Straße. Tym razem nam nie ucieknie.

Simon patrzył, jak Minna znika między wagonami. Beewen ruszył w przeciwnym kierunku. Spojrzał na Dynama, szukając w jego oczach odpowiedzi.

– Idź! – powiedział gestapowiec.

Simon wstał i pognął za Beewenem. Zrozumiał jego rozkazy dopiero na stacji. W tym miejscu przebiegała napowietrzna linia metra U-Bahn 2, z dołu widać było gigantyczną, utworzoną z łuków konstrukcję. Ten most dominował nad całą okolicą i jeśli Krapp będzie chciał się na niego dostać, Minna zauważy go bez trudu.

Dogonił Beewena pod kolumnami wiaduktu. Nad ich głowami z potwornym hukiem przejeżdżało metro. Żółte wagony wyglądały jak gruby promień słońca, jak masa gwiazd w procesie fuzji niesionych własną energią.

– Co teraz? Co robimy?

– Tam.

Simon się odwrócił i zobaczył Josefa Krappa, który w galowym mundurze szedł po schodach na stację. Jego twarz – a raczej maska – widoczna była w całym swym bezruchu. Simon i Beewen wiedzieli, jak wygląda jego prawdziwa twarz czy też to, co z niej zostało po wojnie. Maska powodowała, że był bardziej przerażający. Kamienny, wyniosły, nieludzki.

Pobiegli w stronę wejścia na stację. Nie spodziewali się tam Minny, a ponieważ Beewen oddał jej swoją odznakę, sam musiał teraz pertraktować z kontrolerami. Postura była jego silnym atutem – pracownicy U-Bahnu dali się przekonać.

– A teraz żadnych głupstw – wycedził przez zęby, jakby rozwścieczony. – Bierzesz lewą stronę, ja prawą. Chcę go dostać żywego, chcę...

Pomruk nad ich głowami zapowiedział przyjazd następnego składu metra. Pobiegli każdy w swoją stronę, przeskakując po cztery stopnie. Simon czuł, jak schowany do kieszeni luger uderza go po biodrze. W uszach dźwięczały mu słowa Beewena: „Chcę go dostać żywego”. Żartowniś!

Pod półkolistym dachem peronu berlińczycy wsiadali i wysiadali. Wielu było w mundurach: w tę piękną niedzielę w Berlinie aż się roiło od eleganckich oficerów. Simon zauważył Krappa wsiadającego do metra w odległości dwunastu metrów. Zdążył tylko wskoczyć do najbliższego wagonu. Gdzie ten Beewen?

W tym momencie przez okno wagonu zobaczył scenę, która sprawiła, że zamarł. Z sąsiedniego peronu, nie zważając na nadjeżdżający z przeciwnej strony pociąg, gestapowiec skoczył na szyny, żeby przedostać się na drugą stronę, do niego. Światła metra zdawały się go zalewać, izolować w nierzeczywistej bieli.

Metro już ruszało. Simon stał z twarzą przyklejoną do okna. Nie widział już nic poza wtaczającym się na stację pociągiem. Czy rozjechał Beewena? Czy gestapowiec zdołał wskoczyć do ostatniego wagonu? Teraz Simon musiał odnaleźć Krappa i tyle. Może będzie mógł poprzestać na śledzeniu go niepostrzeżenie z bezpiecznej odległości.

Rozpychając się łokciami, szedł między rzędami ławek. Raz po raz dostawał plecami w twarz, obrywał czyjąś ręką i wciągał w nozdrza smrodki spod pach wszystkich, którzy unosili ręce, żeby trzymać się uchwytów. *Przeklęty świat niskich...*

Dotarłszy do końca wagonu, nacisnął metalową klamkę, otworzył i starł się z hukiem w rękawie między wagonami. Dźwięki rozpedzonej maszyny były

ogłuszające. Przeszedł i zamknął za sobą drzwi.

I znowu przepychał się przez coraz bardziej zatłoczony wagon, między coraz bardziej cuchnącymi pasażerami. Był prawie na końcu wagonu, kiedy metro zatrzymało się z wściekłym świstem. Napisy na stacji informowały: Schönhauser Allee.

Miejsca siedzące opustoszały i Simon przeszedł do następnego wagonu. Drzwi metra już się zamykały. Jeśli dobrze oszacował, to Krapp jest w następnym wagonie, musiał więc teraz zachować wzmożoną ostrożność. Ruszył, starając się utrzymać równowagę z rękami zaciśniętymi na uchwytych. Wpatrywał się w szybę w drugim końcu wagonu. Jeszcze jeden i...

Drzwi się otworzyły. Simon zamarł w pół kroku. Przed sobą miał Josefa Krappa z twarzą nieruchomą, ciężko dyszącego, zaślinionego. Tak, Beewenowi udało się wsiąść do pociągu. Okazał się szybszy od Simona, przebiegł przez wszystkie wagony i już dopadł uciekiniera.

Krapp trzymał lugera lufą do podłogi, ale rozpoznawszy Simona, natychmiast w niego wycelował. Strzelił bez wahania, obojętny na pasażerów i ich pełne przerażenia krzyki. Simon upadł – rzucił się na ziemię instynktownie, dzięki czemu pocisk go nie zranił. Wślizgnął się za drewniane ławki i zdołał wyjąć broń. Przypomniawszy sobie, jak działa mechanizm lugera, i jednym ruchem go odbezpieczył.

Zanim ucichł zgrzyt broni, zauważył nad sobą cień. Spojrzał w górę: Krapp stał tuż obok, gotów znów strzelić. Zamknął oczy, ale nie usłyszał detonacji, tylko nieludzkie wycie. Głos dobywający się z trzewi, ostry i przerażający.

Przetarł oczy, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi: Beewen przyparł Krappa do szyby i starał się go rozbroić. Podczas szarpaniny maska opadła, odsłaniając organiczny krater otoczony zgrubieniami ciała.

Jednak najgorsze było to, co Simon zrozumiał dopiero po chwili – Krapp nie krzyczał ustami, ale przez dziurę w twarzy. Ryk wydobywał się spośród obnażonych chrząstek, z ciemnego otworu nad wargami.

Krapp strzelił. Kula utkwiała w suficie. Pasażerowie uciekali na czworakach, ukrywali się pod siedzeniami, piszcząc jak spłoszone zwierzęta. Simon się zastanawiał, czy powinien coś zrobić, lecz pojedynek olbrzyma z potworem rozgrywał się w niedostępnym dla niego wymiarze. Tezeusz walczył z Minotaurem, Perseusz z Meduzą. Nie było gdzie wcisnąć choćby małego palca.

Jeszcze jeden strzał. Tym razem Beewen jakby nabrał rozmachu, a może tylko złapał drugi oddech i zaczął walić zmasakrowaną głową Krappa/Hoffmanna o szybę, jakby chciał wybić tą czaszką okno. Po chwili rozległ się dźwięk tłuczonego szkła.

Twarz zniknęła pośród rozpryskujących się odłamków, smuga światła padła na tryskającą krew, kładąc kres tej chwili zmagania. A wszystko przy przejmującym wyciu wiatru, który wdarł się do środka.

Kiedy głowa Krappa roztrzaskała okno i wysunęła się za nie, z przeciwnej strony akurat nadjechał rozpędzony pociąg do Pankowa. Porwał ze sobą głowę mordercy, niczym gilotyna ucinając dalsze śledztwo w sprawie Dam Adlonu.

Dopiero w domu Simon Kraus zauważył, że jest cały we krwi.

Nie pamiętał nawet, jak zdołał wrócić. Prawdopodobnie taksówką. Przypomniał sobie tylko, że Beewen wypchnął go z metra na najbliższej stacji, mówiąc szeptem: „Znikaj”. Dobry gestapowiec chciał sam ponieść konsekwencje rzezi. *Niechaj los mu to wynagrodzi.*

W stanie granicznym z transem Simon dotarł do gabinetu. Poruszając się jak automat albo jak robotnicy z *Metropolis* Fritz Langa, skierował się do łazienki, kucnął w wannie i odkręcił kurek prysznic. Minęło kilka minut, zanim się zorientował, że zapomniał zdjąć ubranie.

Wstał, wciąż pod silnym strumieniem wody, i z dużym trudem ściągnął garnitur – szyty na miarę, lniany i bezpowrotnie zniszczony. Nagi usiadł w wannie i uświadomił sobie, że niczym nie różni się od nieszczęsnych obłąkańców, których zostawia się na całe dni w stygnącej, brudnej brei.

Z tego stanu wyrwał go dopiero brak wody.

Wyszedł z wanny-sarkofagu i sięgnął po szlafrok. Chciał tylko jednego: spać. Bez snów i bez elektrod. Po prostu zapaść w kilkugodzinną komę. Kto wie, może czarna otchłań wymaże, a przynajmniej złagodzi brutalność tego, co przeżył?

Zamykając oczy, poczuł, że ma rozpalone powieki. Nie, nie powieki, ale mózg i myśli. Wydawało mu się, że wydobywają się przez oczy, rozgrzane gorączką i strachem. Wytrzymał to. Często stosował autohipnozę. Była to jedna ze sztuczek mistrza Freuda.

W końcu usnął, nawet szybko, lecz zaraz obudził go dzwonek u drzwi. Otworzył oczy w tym oszołomieniu, jakie towarzyszy wyrwanym z głębokiego snu. Przez krótką chwilę nie pamiętał o niczym – ani o śledztwie, ani o Damach Adlonu, ani o bezgłowym Krappie, zanim jednak na dobre wstał, makabryczne wspomnienia powróciły.

Zawiązał pasek szlafroka i ruszył w stronę drzwi. Nikogo się nie spodziewał. Kilka kroków, które musiał przejść, wystarczyło, by wzbudzić niepokój. Wszystko, co na niego czekało za progiem, to czarny mundur. Doskonała pruska tkanina, ciemna i mięsista jak aksamit. Simon Kraus westchnął – Beewen już zrobił mu taki numer, ale teraz nie miał nastroju, żeby odpowiadać na jakiegokolwiek pytania.

Oficer, któremu towarzyszyło dwóch osiłków w podobnym stylu, pokazał odznakę. Simon nawet na nią nie spojrział.

– Hauptsturmführer Grünwald – przedstawił się przybyły. – Geheime Staatspolizei.
Jest pan aresztowany.

– Słucham?

– Tylko bez komedii. Niech się pan ubierze.

Dopiero wtedy Simon uważnie spojrział na twarz gestapowca. Była długa niczym ostrzałka, z podkręconymi wąsami, które jak przecinki sięgały kości policzkowych. Nie wyglądał na swój fach, a raczej na tancerza z Belle Époque.

– A mógłby mi pan przynajmniej powiedzieć, co mi się zarzuca?

– Ubieraj się. Nie mam czasu.

– Mam prawo...

– Jesteś oskarżony o morderstwa na Susanne Bohnstengel, Margarete Pohl, Leni Lorenz. Teraz lepiej?

– Co? Ależ...

Grünwald wymierzył mu siarczysty policzek. Simon zatoczył się i wpadł na obrazy Paula Klee. Z zakrwawionymi ustami poszedł do pokoju, żeby się ubrać. Nie był w stanie uporządkować myśli. Powtarzał sobie, że nazwisko Beewena zadziała. On wytłumaczy im, że to pomyłka, on...

W przedpokoju zastał trzech gestapowców, których dowódca, splótłszy ręce za plecami, patrzył na ryciny Paula Klee. Nie wyglądał na konesera, ale raczej na rabusia, który już cieszył się przyszłym łupem.

– Hauptsturmführer Franz Beewen wszystko panu wyjaśni – szepnął Simon.

Gestapowiec parsknął śmiechem.

– Co w tym zabawnego?

– Ty, on. Naprawdę wypełniacie mi ten dzień po brzegi, Herr Simon Kraus!

– Doliczono się dwudziestu rannych wśród inwalidów wojennych. To duże osiągnięcie. Ucierpiały sklepy i warsztaty, a mówię o sklepach niemieckich, nie o żydowskich. Do tego trzeba doliczyć własność publiczną, własność Rzeszy, która uległa uszkodzeniu. O zniszczeniach na kolei nawet nie wspomnę.

Obergruppenführer Perninken głęboko westchnął. Różowa cera, brwi jak namalowane grubą kreską i łysa głowa czyniły z niego chodzącą postać z dziecięcego rysunku. Stojący przed biurkiem Beewen miał minę winowajcy na ławie oskarżonych.

– I kogo znajdziemy za tą długą listą dewastacji? Pana!

– Obergruppenführer...

– Milczeć. Jesteśmy siłą ponad prawem, ponad narodem, ponad gospodarką. Jesteśmy porządkiem i władzą. Jeżeli jesteśmy pewni naszej sprawy, a zatem ochrony ojczyzny, możemy sobie pozwolić na wszystko. Ale o jaką sprawę chodzi tym razem?

Beewen odchrząknął i odważył się powiedzieć:

– Morderca Dam Adlonu został unieszkodliwiony.

– A ja słyszałem o inwalidzie, o biedaku ze zmasakrowaną twarzą, ofierze Wielkiej Wojny. I kogoś takiego skazał pan na dekapitację, zrzucając go na tory U-Bahnu.

– Obergruppenführer...

– Mam na karku ludzi z NSKOV-u, twierdzą, że brutalnie tratował pan kombatantów, inwalidów wojennych, kaleki. Mam też rozsierdzonych dowódców SA ze służb porządkowych defilady. Ponoć pobił pan ich ludzi. Skarży się również policja drogowa. Ten pościg zakłócił ruch uliczny. A do tego policja kolejowa twierdzi, że wielokrotnie naruszył pan prawo na ich terenie. Mam mówić dalej? Nawet cywilni właściciele odważyli się wystąpić o odszkodowania. Od Gestapo! – Perninken westchnął i wsunął palce za pas. – Może się pan pochwalić dużym osiągnięciem: zjednoczył pan wszystkich. Żądają pańskiej głowy.

Jak dotąd ani słowa o Simonie i Minnie. Przynajmniej to się udało.

– Obergruppenführer – zaatakował – wszystko wskazuje, że Josef Krapp to morderca, którego szukaliśmy. Naprawdę nazywał się Albert Hoffmann i...

– Gdzie dowody na to? Kiedy dochodzi do serii morderstw i urządza się taki burdel jak dziś, trzeba mieć konkretne, solidne dowody.

– Mam ich aż za dużo, Obergruppenführer.

Blef, jedyne możliwe wyjście.

– Mam nadzieję. Co z Hölmem?

– Rana jest powierzchowna. Lekarze mówią, że szybko dojdzie do siebie.
Zapadła krótka, ale groźna cisza. Beewen czuł, że jeszcze mu się oberwie.

– Kim jest ta kobieta?

– Jaka kobieta?

– Beewen, niech pan nie udaje idioty. Kto siedział za kierownicą mercedesa?

– Konsultantka.

– Konsultantka? – powtórzył Perninken, wstając. Gniew znowu w nim kipiał. Jego różowa twarz nabrała barwy soczystego buraka. – Co pan sobie wyobraża? Gdzie my jesteśmy? To nie komisja ekspercka!

– Jest lekarzem. Przedstawiła mi swoją opinię w tej sprawie.

– I pan mówi mi o tym dopiero teraz?

– Jej wskazówki dopiero w ostatnich dniach przyniosły efekty.

– Jaką specjalizację ma ta lekarka?

– Jest psychiatrą.

Perninken tylko się skrzywił.

– Wspomniano mi też o mężczyźnie niskiego wzrostu.

– To również mój doradca i także psychiatra.

– Co to za cyrk?

Beewen zobaczył, że Perninken ma przed sobą akta sprawy Dam Adlonu. W tej sytuacji nie pozostało mu nic innego niż atak.

– Obergruppenführer – szepnął, pochylając się nad biurkiem – tego typu mordercy nie zatrzymuje się z pomocą SA i kilku zardzewiałych pistoletów.

Perninken spojrział na niego.

– Jutro rano chcę dostać pański raport.

Beewen wezwał kierowcę i pojechał do szpitala Charité, dokąd przewieziono Hölma. Kilka słów zamienionych w bardzo białym korytarzu zupełnie go uspokoilo. Dynamo przeszedł operację i jeszcze nie odzyskał przytomności, jednak lekarz był pełen optymizmu. Stary osiłek się wyliże.

Po głowie Beewena krążyło kilka pomysłów, a on przyglądał się im jak krupier ruletce i musiał w końcu pogodzić się z prawdą – ani czerwone, ani czarne, ani parzyste, ani nieparzyste: jego popołudnie kończyło się pustką. Miał tylko jeden plan: wrócić do biura, zamknąć się i zapisać tony papierów, próbując wytłumaczyć, dlaczego ten poranny chaos to sukces.

To nie było w jego stylu.

Nie zamierzał wrastać w krzesło przy maszynie jak jakiś gryziپیórek spod znaku trupiej czaszki (czyli oni wszyscy). Powierzy to zadanie Alfredowi, przedtem jednak musi uporządkować własne myśli, żeby wyjaśnić wszystko podwładnemu.

Wrócił do mercedesa, kopniakiem w zadek wyrzucił kierowcę, bo teraz był już pewien, że ten niewolnik to wtyczka Perninkena, i ruszył w kierunku willi von Hasselów. Uznał, że Minna to najlepsza towarzyszka, by wypić po kieliszku, a potem zmierzyć się z niezliczonymi pytaniami, jakie sobie jeszcze zadawał.

Dzwonił, pukał, okrążył dom. Minna wyjechała, na pewno do Brangbo. W wesołym nastroju pojechał jej tropem. Zmierzch zalewał jego trasę jeziorem ciepłej krwi. Nie rozkładał dachu mercedesa. Wiatr, ciepło... Ta samotna wyprawa autostradą wybudowaną przez rodzinę von Hassel przypominała mu cięcie nożycami długiej szkarłatnej tkaniny, której osnowa poddaje się w starciu z metalem. Był srebrzystym ostrzem. Błyskawicą w purpurowej magmie.

Letni wieczór w stylu Beewena, jeszcze z krwią na rękach, kiedy zatrzymywał się, żeby na polu zmienić ubranie, zrzucił przeklęty mundur i odzyskiwał ludzką twarz. Schował wojskowe łachy do bagażnika razem z pistoletem i poczuł niezwykłą ulgę.

Odetchnął pełną piersią, by wciągnąć zapach ziemi i nawozu, i – co raczej mu się nie zdarzało – doznał prawdziwej rozkoszy. Nie radości płynącej ze wspomnień, o nie, lecz z poczucia oswobodzenia, najzwyczajszej wolności w szczerym polu. Tak dobrze było czuć się małym ogniwem łańcucha, którego się nie pojmuje, a nie trybikiem groźnej maszyny, którą rozumie się aż za dobrze!

Ruszył, zostawiając za sobą wolno opadający pył. Kupił butelkę koniaku, co było żenującym ustępstwem wobec słabostki Minny, ale zrobił to bez żadnych skrywanych

zamiarów. Zresztą w takich rozgrywkach młoda kobieta położyłaby go na łopatki – pierwszy wpadłby pod stół. Poza tym, jeśli kiedyś coś miało się między nimi wydarzyć, to na pewno nie w tym strasznym zakładzie, no i przede wszystkim nie w pobliżu celi jego ojca.

Gdy dojeżdżał do Brangbo, uderzył go inny znajomy zapach – wypalanych pól. U schyłku lata rolnicy wyrwali zeschnięte chwasty i palili je, żeby potem rozsypać popiół i tak zasilić ziemię.

Beewen lubił ten zapach. Nie zniszczenia, ale obietnicy płodności. Zawsze przebiegał go dreszcz. Dostrzegał w tym połączenie wielu różnych doznań, jakich mogła dostarczyć mu natura, skoncentrowanych i spotęgowanych w ognisku. Przenikały do krwi, chwytaly za gardło, wzbudzały chęć, by krzyczeć z radości. Tak, to były płomienie radości.

Bardzo szybko w tym zapachu, nasilonym przy dużej prędkości (chłostał go po twarzy, uderzał mu do głowy, jakby wdychał eter), wywęszył wyziewy, które nie powinny się pojawiać. Topiącej się smoły, wypalonego kamienia, benzyny, a nawet smród palącego się mięsa...

Przyspieszył, uświadomiwszy sobie, że mrok gęstnieje – czerwień nabrała ciemnych odcieni, była bardziej zwarta. Gdy znalazł się na wąskiej drodze wiodącej do instytutu, jego wątpliwości ostatecznie się rozwiały: zakład dla psychicznie chorych płonął.

Z budynków prawie nic już nie zostało. Dachy się zapadały, ramy potłuczonych okien popękały, mury zdawały się osuwać jak roztopiony asfalt. Ostatnie trzaski za ogrodzeniem brzmiały jak odgłosy problemów jelitowych. Coś brutalnego i bardzo bolesnego działo się poza zasięgiem wzroku.

Sto metrów dalej trudno już było oddychać. Gęste chmury z wijącymi się ciemniejszymi smugami wznosiły się wolno, tworząc wrażenie, że park wokół zakładu zamienił się w odrażający kocioł, z którego wydobywają się opary toksycznych substancji. Czarny obłok ruszył na podbój czerwonego nieba i... to było piękne.

Beewen znalazł się na ogniu. Domy podejrzanych, żydowskie kamienice, synagogi – nie policzyłby, ile ich spalił. Zaczynając od samego Reichstagu, który podpalił bez wahania. Przeczuwał, że ten pożar nie wybuchł przypadkiem. Dostrzegł kilka zarzewi ognia, wszystko zaczęło się w tym samym czasie, zaplanowane tak, żeby nie dać żadnych szans budynkom ani ich mieszkańcom.

Myślał o ojcu, nie robiąc sobie nadziei, że znajdzie go żywego, ale wyobrażał sobie też tych nieszczęśników, których zdążył poznać, a nawet polubić, jak wiją się w płomieniach, smażą w kaftanach bezpieczeństwa, wyją za kratami. Potworność, szczyt bestialstwa. Atak na najsłabszych, bo uznaje się ich za szwankujący element społeczeństwa.

Oślaniając usta i nos rękawem, szedł przez dziedziniec. To, co ujrzał, było dla niego wstrząsem. Siostry, czarne od stóp do głów, biegały z wiadrami, pielęgniarze się zataczali i wymiotowali, zatruci dymem. Ani śladu chorych w zwęglonym warzywniku. Scena nie wymagała komentarza. Pozostały tylko zgliszcza budynków, bliskie zawalenia i wciąż dymiące. I ten smród przypalonego prosiaka unoszący się w wieczornym powietrzu.

Zobaczył Alberta siedzącego na schodkach szklarni, w której nie było już ani jednej osoby.

– Co tu się stało?

Pielęgniarz odwrócił głowę i spojrzał na niego, jakby go nie poznawał. Oczy w otocze sadzy upodobniły go do aktora filmu niemego.

– Kurwa, mów, co tu się stało?

Ostatnia ściana szklarni runęła z brzękiem resztek szkła.

– Przyjechali tuż po południu. Było ich ze trzydziestu... Ciężarówki, samochody, motocykle z koszami, psy... Dużo psów. Zamknęli wszystkich chorych. Mieli miotacze

ognia.

– A jak wyglądali żołnierze?

– Tak jak pan.

Beewen miał ochotę przywołać go do porządku, ale dym wpadł mu do gardła, tylko więc zakasłał.

– Byli po cywilnemu?

Albert miękko pokiwał głową.

– Mundurowe gęby... bez mundurów.

Beewen popatrzył na własny ubiór, na żałosne przebranie, które miało ukryć, kim naprawdę jest. Jednym z tych, którzy przyjechali po południu, jednym z ludzi zdolnych zwrócić miotacze ognia na biedaków w kaftanach albo uwięzionych w wannach.

– Co potem?

– Nic. Kiedy się paliło, nie pozwolili chorym wyjść. To było jak egzekucja.

Beewen wyobraził sobie mężczyzn uzbrojonych we flammenwerfer 35, nowy model, który z pewnością będzie miał spustoszenie podczas zaczynającej się wojny. Widział esesmana z dwoma zbiornikami na plecach (w jednym była mieszanka zapalająca, w drugim materiał pędny), gdy z odległości ponad dwudziestu metrów kierował dysze ziejące ogniem na budynki. Temperatura sięgała ponad tysiąca stopni.

– Co z moim ojcem?

Albert wskazał budynek główny, którego okna dotąd pluły czarną mazią. Szczątki dopalały się powoli. Czasem z drzwi albo okna odrywał się zwęglony fragment, wznosił się w górę, a potem opadał, ciągnąc za sobą snopy iskier.

– Opowiedz mi o tym dokładniej – nalegał jak ktoś, kto rozgrzebuje własną ranę.

Pielęgniarka rzuciła kilka słów o jakimś motocyklu. Potem pojawiły się konkrety. Dowodził rudy gość koło pięćdziesiątki, pasażer motocykla z koszem, który obserwował zdarzenia, gdy jego kierowca jeździł po wewnętrznym dziedzińcu.

Mengerhäusen.

Odnajdując siebie w tym podłym cynizmie, Beewen mimowolnie roześmiał się na myśl, że biedna Minna bała się tajnej operacji. Przecież nazizm nie potrzebował tajnych planów ani zamaskowanych akcji, żeby tępić na swoim terytorium pasożyty. Wystarczyło wysłać bandę pijaków, by wszystko zniszczyli. A potem można było mówić o wypadku, sabotażu, niedopełnieniu obowiązków.

Niedawno Perninken powiedział mu: „Jesteśmy siłą ponad prawem, ponad narodem, ponad gospodarką. Jesteśmy porządkiem i władzą. Jeżeli jesteśmy pewni naszej sprawy, czyli ochrony ojczyzny, możemy pozwolić sobie na wszystko”. Nazizm był sędzią, a partia środkiem i celem.

W takim systemie można przeżyć pod jednym warunkiem – trzeba przestrzegać zasad władcy i nigdy go nie prowokować. W tym tkwił jego błąd. Uderzył Mengerhäusena, groził mu, popełnił zbrodnię obrazy majestatu. To on, tylko on odpowiadał za tę tragedię.

Rozglądał się, szukając Minny. Widział jedynie zakonnice, które wciąż walczyły z ogniem, pielęgniarzy chodzących jak błędni w brudnych fartuchach i kilku chorych dogorywających na trawie.

W końcu ją zobaczył. Siedziała skulona na tacy niczym ukarana uczennica w szafie. Wyglądała jak stos gałganów przygotowanych do wrzucenia do kotła i wygotowania. Nawet osmolona twarz nie odróżniała się od poszarzałego ubrania.

Podszedł do niej. Nie płakała. Twarz miała suchą jak mury, które waliły się za nimi. Czarne oczy, wilgotne mimo powietrza, które wszystko wysuszało, były wytrzeszczone. Murzyńskie oczy, przygasłe, osłupiałe, całkowicie odcięte od otaczającego ją świata.

Ironycznym elementem tej sceny był papieros w jej ustach. Paliła odwrócona plecami do stosów.

– Minno...

Milczała.

– Minno, tak mi przykro.

Zwróciła na niego oczy, jakby sobie przypominała. Ale nie jego, tylko swoje własne życie.

– Mengerhäusen... – szepnęła. – Powiedział mi przed odjazdem: „Możesz podziękować swojemu przyjacielowi Beewenowi”.

Zdjął buty – sobie, a potem także Minnie. To były balerinki na płaskim obcasie. Nie znalazł przełącznika, ale światło księżyca było wystarczająco silne – widział pomieszczenia, meble w pokrowcach, przycięte krzewy w ogrodzie i rzeźby, których nie rozumiał. Wszystko miało wyraźne, precyzyjne zarysy, jakby ktoś nakreślił linie białą kredą.

Weszli na górę. Krok Beewena był zdecydowany. Podtrzymał Minnę, która się ześlizgiwała, ledwie muskając bosymi stopami schody. Czuł, że jest wiotka jak szmaciana lalka i niewiele cięższa.

Wciągnął ją do pierwszej łazienki, którą znalazł, i nie odczuwając zawstydzenia, jakby było mu całkowicie obce, rozebrał ją. Nie zwracał najmniejszej uwagi na to drobne, prawie wychudzone ciało. Dostrzegał raczej luksusowe elementy wystroju – białą-czarną terakotę, stylizowane krany, prawdopodobnie mosiężne, choć on, patrząc oczyma biedaka, wyobrażał sobie, że są złote, ręczniki tak grube, że w jego domu uważano by je za koce.

W wannie polewał ją prysznicem, jakby płukał nasiąknięty morską wodą kombinezon do nurkowania. Jej szara od popiołu skóra odzyskiwała naturalną biel, ale nie blask. Minna przypominała mu figurkę z matowego szkła. W tej mlecznej przejrzystości zdawało się kryć potajemne, przytłumione życie. Przytłumione, lecz twarde i uparte.

Tarł mocno, skupiając się na opornych smolistych plamach. Ciało Minny ani go nie rozczarowało, ani nie rozczuliło. Po prostu było, odcinając niczym nóż wszelkie pożądanie, wszelkie fantazje.

W rzeczywistości Beewen myślał o ojcu.

O śmierci starego.

Teraz zrozumiał, że głęboko się mylił co do swoich uczuć. Żył w przekonaniu, że bardzo obawia się śmierci ojca, a tymczasem czekał na nią. Odwiedzając ojca, wydając cały żołądek, by utrzymać przy życiu tego starca, traktował swoje poświęcenie z „potulnością trupa”, jak przystało na dobrego Germanina. Nigdy nie zastanawiał się nad własnymi emocjami. Spuszczona głowa, skamieniałe serce, mózg ograniczony do obowiązkowego minimum – prawdziwy Niemiec to taki, któremu poczucie obowiązku przysłańca całą resztę.

Teraz nie był poruszony. Ani nawet smutny. Poczul ulgę. Ojciec zmienił jego dzieciństwo w koszmar, a okres dojrzewania w bunt. Potem stał się ciężarem,

dominując nad całym jego życiem i niszcząc je coraz bardziej z każdą wizytą. Nie, nie czuł ani żalu, ani braku. Jak powiadał Hitler, czas, by zdobył własną przestrzeń życiową.

Znalazł pokój Minny, ale nie poznał go po drobiazgach osobistych, lecz po zalegających tam papierach. Zrzucił z łóżka cały ten zakurzony śmietnik i położył ubraną w szlafrok kobietę z delikatnością i troskliwością księcia z bajki.

Patrzył na nią, widział jednak na jej miejscu ojca. Nienaturalnie bladą, porytą bruzdami, złowieszczą twarz, która prześladowała go od dziecka. Nigdy nie pomodlił się przy zwłokach Petera Beewena – Żelazny Krzyż i kamienna czaszka poszły z dymem. To nic. Wymyślałby sobie wzruszające wspomnienia, podniosłe refleksje, a to wszystko byłaby jedna wielka bujda.

Minna zapadła w sen narkomanki. Nie poruszała się, jej twarz wydawała się amimiczna. Jakby umarła. Ale przecież przeżyła szok, okropną tragedię, a teraz czekało ją poczucie pustki. Miał nadzieję (ze względu na nią), że nie wyruszy na krucjatę przeciwko Mengerhäusenowi albo co gorsza, przeciwko nazistowskiemu państwu. Jakiegokolwiek byłyby jej oskarżenia czy zeznania, zostałaaby zmiażdżona przez maszynę administracyjną równie skutecznie jak przez czołg Panzer IV. Należało się modlić, żeby nie ją oskarżono o zaniedbanie albo niedopełnienie obowiązków służbowych, które doprowadziło do tego „nieszczęsnego wypadku”.

Minna nie miała już terazniejszości, a on nie miał przyszłości. Po śmierci ojca jego gniew nagle wygasł, wielkie plany – wojna, zemsta – straciły sens. Kogo właściwie miał pomścić? Żołnierza Deutsches Heer, który nawdychał się niemieckich gazów? Kombatanta, który popadł w obłąd, a potem został spalony żywcem przez przedstawicieli nowej armii niemieckiej?

To był jeden wielki absurd. Chociaż siedział, ugięły się pod nim nogi. Mąciło mu się w głowie. Widział, jak otwiera się przed nim przepaść znacznie głębsza niż otchłań, nad którą stała Minna. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo nie jego jest obecna wojna. Podbój przestrzeni życiowej, zniszczenie ras niższych, nastanie rasy nordyckiego człowieka... To wszystko ani trochę go nie obchodziło.

Otulił Minnę kocem i poszedł w stronę drzwi. Musiał oprzeć się o jakiś mebel. Stłumił śmiech. Przypomniały mu się dwie amerykańskie kreskówki, które można było jeszcze zobaczyć w kinie. Obie go rozbawiały. Była tam taka postać, która wybiegała nad przepaść i pędziła dalej, poruszając nogami w powietrzu. I za każdym razem ta postać spadała, zanim zdążyła zrozumieć, co jej się przytrafiło.

Potem było spadanie.

A cała sala głośno się śmiała.

Właśnie w takim punkcie życia się znalazł.

Stracił ojca, stracił mordercę, stracił wojnę. Mógł jeszcze przez chwilę pedałowac,
ale upadek był nieunikniony.

Pierwszy przedmiot o mało nie trafił go w twarz. Drewniana suszka do atramentu. Odbiła się od drzwi. Drugi, opasły Kodeks cywilny, prawie wybił szybę w bibliotece. Trzeci, akta, które Perninken chwycił oburącz, uderzył w ścianę.

Wszystko potoczyło się błyskawicznie.

Ledwie wszedł do budynku Gestapo, powiadomiono go, że Perninken chce natychmiast go widzieć. Beewen nie zdążył się zaniepokoić ani nawet zadać sobie pytania, skąd ten pośpiech. Zapukał, wszedł i uchylił się przed pierwszym pociskiem.

Teraz Obergruppenführer kontynuował bombardowanie nożem do papieru, kubkiem na pióra, telefonem. Beewen pomyślał, że kiedy nie zostanie mu pod ręką nic poza portretem Führera, sam się uspokoi.

Krążyły legendy o atakach gniewu Perninkena. Co z tego, że miał twarz postaci z satyrycznego rysunku – kiedy dał się ponieść złości, nikomu nie chciało się śmiać. Robił się pąsowy, grube żyły występowały mu na czole, oczy stawały się przekrwione, a jego skrzeczący głos mógł konkurować z tembrem przemówień Hitlera. W takich chwilach wydawało się, że płynie prosto z oczu, a serce wydobywa się z ust. Brwi łączyły się nad nosem i wyginały jak czarna gąsienica na grillu. Gardło się wydymało, jakby raptem wyrósł mu wielki guz albo wole pełne wściekłości i litrów żółci.

Beewen, który tego dnia miał już nadmiar wrażeń, zdążył wtrącić:

– Obergruppenführer... mógłby mi pan wyjaśnić...

– Wyjaśnić?

Perninken zaczął nerwowo przerzucać dokumenty, które zostały jeszcze na biurku, i znów posypały się papiery i ołówki.

W końcu znalazł szarą kopertę i wysypał jej zawartość na blat.

Tym razem Beewen o mało nie padł trupem.

Na zdjęciach zobaczył ciało Grety Fielitz. Leżała pod drzewem wyprężona w konwulsjach agonii. Na szyi miała czarny kołnierzyk, a raczej krezę, jakie noszono w XVI wieku. Sukienka była rozchylona, podarta od pępka w dół – odsłaniała odrażającą ranę. Wnętrznosci, mięśnie, ścięgna, wszystko było na wierzchu.

I ani śladu butów.

– Co to...

– Jakie: co to?! – wrzasnął Perninken. – Zaczął znowu, ty durniu! Kiedy uganiał się za inwalidami, kiedy zakłócaliście defiladę kombatantów i sialiście panikę

w berlińskim metrze, morderca, ten prawdziwy, zabił czwartą ofiarę! Jak pan mógł to przeoczyć! Przecież rozkazałem zapewnić ochronę Grecie Fielitz!

- Obergruppenführer, ona miała ochronę.
- Milczeć, do diabła.

Osunął się na fotel nagle przygnębiony, a Beewen najchętniej zrobiłby to samo. Pomyślał jednak, że zanim pozwoli sobie na załamania i w pełni oszacuje rozmiary porażki, musi wiedzieć, jak naprawdę wygląda sytuacja.

- Wiadomo, o której doszło do morderstwa?
- Po południu.
- Wcześniej czy przed wieczorem?

Perninken otarł twarz ręką.

– Co za różnica? Zabił pan, tak, powiedziałem: zabił pan nieszczęsnego kalekę około południa. Ten niewinny człowiek z pewnością nawet nie zbliżył się do żadnej z ofiar. A tymczasem prawdziwy morderca kontynuował swoją rzeź.

Tylko nie wybuchnąć, nie krzyczeć. Nie walnąć pięścią w blat biurka albo wręcz w pysk Perninkena. Pomylił się na całej linii, a powaga tego błędu dosłownie wciskała mu głowę w ramiona, jakby przygniatał go niewidoczny pancerz.

- Gdzie są Hiller i Markovics?
- W celi. Przymknąłem ich, żeby mieli czas na przemyślenia.
- Z jakiego powodu, Obergruppenführer?
- Są podejrzani. I co pan na to? Ci dwaj durnie jako ostatni widzieli Gretę żywą. Rozstrzelivano już za drobniejsze uchybienia. I to tutaj!

Znał tych dwóch ludzi, nie nazwałby żadnego roztargnionym. Musiał z nimi pomówić.

- Przykro mi – powiedział w końcu, nie znajdując lepszej formuły.
- Mnie również jest przykro – odparł Perninken. – Z pańskiego powodu. Został pan zdegradowany.

Taka kara, na miarę sądu wojennego, była nieproporcjonalnie wysoka. Wiedział jednak, że w ten sposób Perninken wyświadcza mu swego rodzaju przysługę, bo mógł go posłać do kacetu. Albo na kartoflisko, tam gdzie trafił Max Wiener.

– Ma pan jak najszybciej zwolnić gabinet. Jutro dowie się pan, co dalej. Na razie przechodzi pan do Kochmiedera. Niezwłocznie. Do trupów, Beewen!

W i tak niezbyt szczytnej służbie Gestapo grupa Kochmiedera, totengräberzy – „grabarze” – sytuowała się na najniższym szczeblu.

Kiedy wychodził, Perninken zapytał jeszcze:

- Gdzie pan był dziś wieczorem? Wszędzie pana szukano!
- Pojechałem do zakładu Brangbo.

– A to w jakim celu?

– Zmarł mój ojciec, Obergruppenführer.

Perninken pokręcił głową i machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: „W pańskiej sytuacji...”.

Gdy wszedł do willi, uderzyła go niezwykła cisza.

– Minna?

Nie odpowiedziała. Musiała jeszcze spać. Jednak wewnętrzny głos szeptał mu: „Nie, to nie to...”. Poszedł na pierwsze piętro i udał się do jej pokoju.

– Minna?

Leżała w łóżku nienaturalnie wygięta, jak posąg męczennicy. Od razu rozpoznał tę pozycję, zauważył pobladłą twarz, szeroko otwarte usta, jakby czekające na śmierć, która już zawładnęła tym miejscem.

Samobójstwo.

W swoim fachu przywykł do tego rodzaju sytuacji. Niektórzy Żydzi, wiedząc, co ich czeka, woleli sami ze sobą skończyć. Trudno byłoby mu zliczyć wisielców, tych, którzy odkręcili gaz albo zażyli truciznę.

Ale Franz już na pierwszy rzut oka poznał, że w przypadku Minny nie wszystko jeszcze jest stracone. Pochylił się, sprawdził puls, ustalił, co mogła zażyć. Na stoliku nocnym znalazł mnóstwo fiolek z lekami, lecz ich nazwy nic mu nie mówiły.

Były dwie możliwości: albo naprawdę postanowiła odejść, a znając się na lekach i mając za sobą doświadczenia narkomanki, z pewnością zrobiłaby to skutecznie; albo tylko blefowała, wołała o pomoc. Ze wszystkich sił.

Beewen uznał, że można ją jeszcze uratować.

Trzeba natomiast było działać, czyli przede wszystkim nic nie robić. Nie próbować jej poić. Nie wywoływać wymiotów. Nie wpływać w żaden sposób na wchłanianie trucizny.

Tylko jedno było pilne – zabrać ją do szpitala.

Wydała mu się znacznie cięższa niż po powrocie z Brangbo. Dawał już o sobie znać ciężar śmierci. Szedł w dół po schodach, starając się nie uderzać jej głową o ściany ani o poręcze i dziwne meble, których nie rozumiał. Do samochodu miał tylko kilka kroków. Nie zamknął dachu. Odjechał, nawet nie patrząc na willę, której kilka oświetlonych okien zdawało się go obserwować.

Jechał szybko, ale nie szalał. W głębi duszy czuł, że Minna przeżyje. Uśmiechnął się. Gestapowiec, łotr, ratował małą narkomankę, zrozpaczoną lekarkę psychiatrę, która musiała patrzeć, jak wszystkie jej marzenia obracają w popiół miotacze ognia.

Nie wiedział natomiast nic o berlińskich szpitalach. Gestapo nie było instytucją, która dbała o leczenie swoich interesantów. Na Prinz-Albrecht-Straße lekarze

zatrudnieni przy przesłuchaniach mieli tylko jedno zadanie – utrzymać podejrzanego przy życiu, dopóki wszystkiego nie powie.

Ta myśl podsunęła mu rozwiązanie. Przez całą dobę w gmachu dyżurował lekarz, bo przesłuchania prowadzono także nocą. Ten lekarz miał doświadczenie w ratowaniu samobójców, którzy próbowali uniknąć tortur. Franz skierował się w stronę dzielnicy Wilhelm.

Patrząc na Berlin, miał wrażenie, że miasto otwiera przed nim swoje place, ulice, aleje. Płynność jazdy, łagodne powietrze składały się w jego odczuciu w logiczną całość – wszystko na tym świecie wspierało jego próbę ratowania Minny. A w pewnym sensie pomagało mu w ratowaniu siebie.

Zaczął podśpiewywać starą piosenkę z filmu *Pieśń nocy* nakręconego na początku lat trzydziestych:

*Heute Nacht oder nie sollst du mir sagen nur das Eine:
Ob du mich liebst...*

*Tej nocy albo nigdy mów mi tylko jedno:
że kochasz mnie...*

Popadł w dziwny stan niezrozumiałej lekkości ducha.

W ciągu kilku godzin stracił ojca, pracę i wszelką nadzieję pójścia na wojnę. Dowiedział się w dodatku, że śledztwo, które prowadził, to największa klęska w jego życiu. Poświęcił całą energię na ściganie niewinnego, a w każdym razie nie tego, kogo szukał. Tymczasem prawdziwy Marmurowy Człowiek popełnił kolejną zbrodnię.

Żadnej teraźniejszości, żadnej przyszłości – co lepsze?

Rzucił okiem na siedzącą nieruchomo Minnę, której krótkimi włosami targał chłodny nocny wiatr.

Znów się uśmiechnął. Uratuje ją, był tego pewny.

A to było najważniejsze.

Kiedy się ocknęła, pomyślała, że ją aresztowano. Cztery betonowe ściany, twarde wyrko, brudny koc. Goła żarówka pod sufitem dawała białe, nieprzyjazne światło. Trafiała do więzienia Gestapo? Aresztowano ją? Ochraniano?

Zauważyła wbita w przedramię igłę kroplówki. Zapach wymiocin był dodatkową informacją. Ktoś zajął się jej leczeniem. Miała płukanie żołądka. Potem ją umyło. Ale ten szpital naprawdę nie wyglądał normalnie.

I wtedy sobie przypomniała.

Pożar. Leki. Śpiączkę. Beewen pewnie pomyślał, że usiłowała popełnić samobójstwo. A ona chciała tylko długo pospać. Zapomnieć o wszystkim. I wcale się nie obudzić.

Dobrze, lepiej nie bawić się słowami.

Widziała, jak płonął jej instytut. Słyszała, jak ciała pękają, trawione przez ogień, jak kości się łamią w coraz wyższej temperaturze. Ludzie Mengerhäusena trzymali ją – przeżyła coś na kształt ataku nerwowego, a potem osunęła się na taczkę. Nie ruszała się, nie myślała. Popadła w katalepsję. A zakład dla psychicznie chorych wciąż się palił.

Tylko dlaczego to zrobili?

„Możesz podziękować swojemu przyjacielowi Franzowi Beewenowi”.

Mimo nocy w śpiączce nie zdołała zapomnieć tego zdania. Czyli to jego wina.

A on siedział na podłodze przy jej łóżku i spał oparty o nie łokciem, z głową wtuloną w zgięte ramię. Spał trochę jak dzikie zwierzę – zarazem głęboko, ale lekko, snem przynoszącym wytchnienie, lecz czujnie.

Szczerze mówiąc, nie potrafiła mieć mu tego za złe. To ona wezwała go na pomoc, ona zmusiła do starcia z Mengerhäusenem. Zresztą to wszystko sięgało znacznie dalej i naprawdę ich przerastało. Porwał ich wartki nurt rzeki horroru i podłości, cokolwiek by więc zrobili, ich starania okazałyby się równie daremne jak walka człowieka, który się topi.

– Obudziłaś się? – spytał Beewen, unosząc głowę.

– Tak, przed chwilą. Gdzie ja jestem?

– W budynku Gestapo.

– Dlaczego?

– Bo tu miałem przynajmniej lekarza. Jak się czujesz?

– Podejrzewam, że lepiej niż ty.

Strzępy wspomnień. Troskliwe gesty Beewena. Mercedes, wiatr owiewający twarz.

- Skąd wiedziałeś, że nie można prowokować u mnie mdłości?
- W SS uczą nas podstaw ratownictwa medycznego.
- Żebyście mogli ratować swoje ofiary?

Uśmiechnął się. Ona też. Ta ledwie uchwytna chwila miała w sobie miękkość, ulotność, była jak moment w lustrzanym odbiciu.

– Coś ty sobie pomyślał? – powiedziała nagle, nie chcąc, by czar trwał. – Że próbowałam się zabić?

- Nic nie pomyślałem.
- Nie usiłowałam odebrać sobie życia.
- Świetnie, oczywiście.

Znów przybrał ten ironiczny ton, który tak ją drażnił.

– Co ty możesz o tym wiedzieć! – rzuciła pogardliwie.

Przysunął się i odważył wziąć ją za rękę.

– Posłuchaj, powiedzmy, że nie chciałaś popełnić samobójstwa, równocześnie trochę tego chcąc. Człowiek nie uchroni się w życiu przed zaskoczeniami.

– Tak czy inaczej... dziękuję.

Przed oczyma znów migąły jej sceny pożaru. Słyszała przejmujące krzyki, trzask, gdy dach rozpadał się na żagwie. Mengerhäusen zmusił ją, żeby na to patrzyła. Powtarzał jej, że to skutek jej nieodpowiedzialności, bezmyślności, arogancji. Nikt nie przeciwstawia się Trzeciej Rzeszy. Nie wolno kwestionować planów Bożych.

„Możesz podziękować swojemu przyjacielowi Beewenowi”.

Gestapowiec wstał i otrząpał ubranie – na marynarce i spodniach wciąż jeszcze miał popiół.

- Przyniosę ci kawę.
- Wolałabym koniak.
- Tego nie serwujemy.
- Żartowałam.
- Jasne. Taki żarcik pijaczki.

Powiedział to ostrym tonem, z wyraźnym wyrzutem. Jeśli pozwoli mu zbyt blisko się zbliżyć, zarzuci ją mnóstwem takich uwag, zakazów i tą ohydłą życzliwością. Nie znosiła tego.

- Możesz chodzić? – spytał.
- Chyba tak.

Beewen podał jej rzuconą na podłogę brązową marynarkę. Dopiero po chwili poznała w niej swoją ulubioną, od Davy’ego Crocketta, teraz zwęgloną na dole, podziurawioną na środku.

– Idziemy do kostnicy – oznajmił. – Oderwiesz się od swoich zmartwień.

Poniedziałkowy ranek w Berlinie.

Wiatr rozwiewał im włosy, a dzień zapowiadał się na wyjątkowo pogodny. Słońce już wślizgiwało się ponad dachy, dodając blasku skamieniałemu miastu. Jeszcze lekko zamroczona Minna poddawała się czarowi tego świtu kontrastujących barw. Na ulicach każdy obiekt, każdy detal zdawały się budzić i podejmować walkę o to, by zaistnieć w tym nowym dniu.

Minna zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że jest w Indiach. Nigdy tam nie była, ale widziała zdjęcia, kolorowe zdjęcia. Wywnioskowała z nich, że wszyscy są tam czarni i że wszyscy – kobiety i mężczyźni – noszą przetykane złotą nicią stroje, a w rękach zawsze trzymają kwiaty. Rozkosz dla zmysłów. Deszcz płatków o przywędłej woni. Uniosła powieki: tego ranka tak właśnie widziała Berlin.

Pomiędzy pracownikami kawiarni, którzy w białych fartuchach zamiatali chodniki przed lokalami, szyldami, które już mieniły się w słońcu, kobietami biegnącymi drobnym krokiem do pracy dostrzegała podobne kontrasty. Twarze spowite cieniem, wszędzie plamy kolorów rozświetlonych przez wschodzące słońce – to wszystko zdawało się pokazywać, że nazizm nie przemalował jeszcze całego świata na szaro.

Wpatrzony w drogę Beewen już relacjonował jej ostatnie wydarzenia. Opowiadanie chyba stało się jego specjalnością. Doszło do kolejnego morderstwa. Josef Krapp/Albert Hoffmann nigdy nie był Marmurowym Człowiekiem. Zginął za nic, a już na pewno nie za popełnienie serii morderstw. Byli najgorszymi śledczymi, jakich widział świat. Przede wszystkim Minna, która wymyśliła tę bajkę o Hoffmannie.

Beewen został oczywiście odsunięty od śledztwa. Przydzielono mu najpodlejsze miejsce w hierarchii SS. Simon i ona mogli wrócić do zawodu psychiatry, choć to nie całkiem prawda, bo Minna nie miała już swojego instytutu. Los dał im szansę, ale ją zaprzepaścili. Gestapo znajdzie innych agentów i im powierzy wytropienie mordercy.

Beewen zaparkował przed szpitalem Charité i powiedział prosto z mostu:

– Nie mamy prawa spotykać się z lekarzem sądowym. I nie mogę powiedzieć, że to mój przyjaciel. Ale Koenig, bo tak się nazywa, z pewnością nie wie o odebraniu mi sprawy. Musimy teraz zdobyć jak najwięcej informacji. To nasza ostatnia szansa.

Minna słuchała jednym uchem. Jak zareaguje na widok zwłok? Jej dziedziną byli niedożywieni obłąkańcy. Nowa ofiara, prawdopodobnie równie ładna jak wcześniejsze, dobrze odżywiona, subtelna, proporcjonalnie zbudowana, mogła

stanowić większe wyzwanie od zwłok, do których przywykła. Ta śmierć była świętokradztwem, pogwałciła piękno i młodość.

Beewen się odwrócił, oparł łokciem o jej fotel, drugą rękę trzymając na przekładni biegów.

Cuchnął spalenizną, cuchnął potem, cuchnął nieprzespaną nocą.

Wstyd przyznać, ale podobało jej się to.

– Skończmy najpierw z tym pożarem – powiedział tonem rozkazu. – Przedwczoraj odwiedziłem Mengerhäusena i trochę nim potrząsnąłem. Groziłem mu. Uderzyłem go. Popełniłem poważny błąd. Wciąż jeszcze rozumiem tak, jakbyśmy żyli w normalnym świecie, gdzie każdego mogłem postraszyć pięścią. Ale nie takich jak Mengerhäusen. Bo to oni wykreowali ten strach, oni stworzyli mnie i innych brutalnych bydlaków z SS.

Takie podejście do sprawy zmroziło Minnę.

– Mówisz wyłącznie o sobie. Nic mnie nie obchodzą twoje esesmańskie rozterki. Kto rodzi się w gnoju, nie powinien się dziwić, że pewnego dnia budzi się po uszy w gównie.

– I tak byli skazani, doskonale o tym wiesz. Realizacja programu eliminacji jest w toku. Nie mam pojęcia, jakie dokładnie będą ich procedury, ale miałaś już przedsmak, ten zamek w Górnej Szwabii. Ośrodek eksterminacji, jakie powstaną w całych Niemczech.

– Programem kieruje Mengerhäusen?

– Na pewno ma w tym swój udział. Jego status nie jest jasny. Niby tam jest, ale go nie ma. Jest inspiratorem, wpływa na decyzje, jednak sam niczym nie kieruje. Moim zdaniem jest zaangażowany w wiele innych działań, których cel jest zawsze taki sam.

– To znaczy?

– Eliminacja anomalii, umocnienie silnych ogniw.

– Jak?

– Nie mogę zapuszczać się na ten teren. Najlepiej będzie zapomnieć o tej kreaturze.

Beewen miał rację, ale jak wymazać z pamięci takiego łotra z fajką z ludzkiej kości? Jak wymazać wycie chorych ginących w płomieniach?

– Nie masz nic do picia?

– To niczego nie rozwiąże.

– Odpowiedz mi.

Nerwowym gestem otworzył schowek. Zobaczyła butelkę whisky – ukryty zapas. Otworzyła ją i zrobiła kilka łyków.

Pierwsza dawka alkoholu o ósmej rano. Zdarzało jej się robić gorsze rzeczy. Czując palenie w gardle, zamknęła oczy i odrzuciła głowę do tyłu.

– Lepiej ci?

Nie odezwała się. Nie była w stanie wybiec myślą poza ten łyk alkoholu o lekko karmelowym smaku. Idealny byt. Perspektywa zwierzęcia – bez świadomości, bez refleksji. Życ chwilą, a jeśli ta chwila to łyk alkoholu, to jeszcze lepiej.

– Gdzie Simon? – spytała nagle.

– Nie mam pojęcia. Po tej rozróbie w metrze wrócił do domu. Był w szoku. Mam nadzieję, że Gestapo nie będzie się go czepiać.

– Wiedzą, że był z tobą na dworcu?

– Wiedzą wszystko. Śledztwo prowadzi ktoś inny. Philip Grünwald. Jest prawie tak głupi, jak okrutny. Tacy jak on to zagrożenie publiczne. Wpadniemy potem do Krausa sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Przeszli przez park. Minna wsunęła rękę pod ramię Beewena i wsparła się na nim. Wewnątrz, w korytarzu, mijali kolejne drzwi. W końcu znaleźli się w małej sali wykładowej, której tylko tylna ściana była przeszklona. Sala anatomiczna. Minna doskonale ją znała.

– Czekałem na pana – powitał ich mężczyzna w białym kitlu.

Podeszli do niego. Koenig uniósł prześcieradło i odsłonił ciało. W Minnie momentalnie obudził się lekarz. Ledwie spojrzała na rozległą ranę jamy brzusznej, nie zwracała uwagi na anielską twarz znieruchomiałą jak oblicze kariatydy.

Skupiła się na całym ciele. Na wyglądzie skóry, proporcjach kończyn... Najpierw zauważyła na biodrach drobniutkie pęknięcia naczynek krwionośnych. Potem ledwie dostrzegalne zarysy żyłaków tworzących się po wewnętrznej stronie nóg.

Zauważyła spuchnięte łydki i kolana.

Zerknęła na twarz i rozpoznała ostudę – przebarwienia na skroniach.

– Ta kobieta była ciężarna – oświadczyła.

Koenig spojrzał na nią nieufnie, ale zaraz się odprężył. Rozpoznał w niej koleżankę po fachu, wtajemniczoną. Wąż Eskulapa owinięty wokół laski to najsilniejsza więź między lekarzami. Są braćmi, a przynajmniej towarzyszami.

Rozłożył dłonie w rękawiczkach, potwierdzając jej wniosek.

– Oczywiście – powiedział. – Jak trzy poprzednie.

III

KOLEBKI

Simon Kraus nie mógł pojąć tego, co go spotkało. Poszedł z esesmanami, nie wdając się w spory, wylądował w ich furgonetce, a potem w celi na Gestapo. Nie mógł oddychać, nie mógł myśleć, spodziewał się, że lada chwila może dostać pięścią albo zarobić kulę w łeb, bo dlaczegoż by nie?

Ale nic takiego się nie stało.

Nawet więzienie nie było tak przerażające, jak się spodziewał. Wyobrażał sobie cele ze śladami krwi na ścianach, przeraźliwe krzyki w korytarzach, odgłosy strzałów na dziedzińcu. Nic z tych rzeczy. Tej nocy w więzieniu Geheime Staatspolizei panował spokój.

Mimo to nie zmrużył oka. Wciśnięty w róg celi czekał. Reszty dokonał strach, paraliżując ciało i zatruwając każdą myśl. Przez całą noc Simon podskakiwał, nasłuchiwał, dygotał.

Dopiero o świcie rozum wziął górę. Wraz z pierwszymi promieniami słońca – w jego celi wysoko, pod sufitem, było okienko – zaczął analizować sytuację.

Coś mu tu śmierdziało. Grünwald oznajmił, że jest oskarżony o dokonanie morderstw Dam Adlonu. Oczywiście jego profil przystawał do roli podejrzanego: analityk (i kochanek) każdej z ofiar, miał swoje dojścia do Klubu Wilhelma. Ktoś taki jak on mógłby zabrać Susanne, Margarete czy Leni na Wyspę Muzeów albo w odludny zakamarek Tiergarten. Jak jednak mogli go nadal podejrzewać, skoro prawdziwy morderca, Josef Krapp, umarł rano na jego oczach?

Kiedy się nad tym zastanawiał, nasunął mu się wniosek, że Grünwald musi być tym rywalem, którego przełożeni przydzielili do śledztwa Beewena. Ale na czym polegało to równoległe śledztwo? I dlaczego on znalazł się na celowniku? Teraz pozostawało tylko się modlić, żeby Beewen jednoznacznie wykazał winę Krappa.

Te rozważania przerwało mu wczesnym rankiem uwolnienie. Wszystko stało się bez słowa wyjaśnienia. Simon znalazł się na ulicy z głową pełną myśli. Prawdopodobnie Beewen złożył przełożonym raport. Śmierć Krappa/Hoffmanna automatycznie wykluczyła innych podejrzanych. Simon został oczyszczony z zarzutów. Poczł się niemal zawiedziony. Spędził całą noc w sercu terroru, a nie miał zupełnie nic do powiedzenia.

I teraz szedł o świcie ulicami Berlina.

Dotarł do gabinetu, kierując się instynktem, zupełnie jak stara szkapka z klapkami na oczach. Prysznic. Ubranie. Kawa. W końcu świadomość zaczęła rozpoznawać każdy

szczegół jako pozytywną informację: uniknął tortur i śmierci. Uniknął tego, czego najbardziej bał się każdy berlińczyk: nie skonał zakatowany przez gestapowców, nie trafił do kacetu, gdzie wielu kończyło na ogrodzeniu z drutu kolczastego. Uratował się. Gotów był ucałować swój włoski ekspres do kawy, obrazy Paula Klee, stylowe meble...

Zmrużył oczy jak wielki kocur i wtulił się w fotel, wtedy jednak ktoś zadzwonił do drzwi. Za szybko się ucieszył. Ze ściśniętym sercem, które było jak grudka wypalonego, ostudzonego węgla, poszedł otworzyć, zastanawiając się już, czy tym razem powinien spakować walizkę.

W progu ujrzał Beewena i Minnę trzymających się pod rękę. Nikt jednak nie wzięłby ich teraz za parę. Trudno było znaleźć ludzi tak od siebie różnych i fizycznie, i niejako estetycznie jak oni. On w cywilnych łachach wyglądał, jakby obrabował trupa włóczęgi, a ona w osmolonej (diabli wiedzą dlaczego) marynarce trapera i z tą czarującą, tak zmysłową buzią, która chyba jeszcze bardziej wyszczuplała.

Myśl, że przyszli może, aby szampanem uczcić triumf, już przyprawiła go o aure migrenową. O ósmej rano naprawdę nie miał ochoty na takie świętowanie. Jednak ich twarze nie promieniały. Co się znowu stało?

– Przecież mnie wypuścili, nie? – rzucił lekko spanikowany Simon. – Myślałem, że złożyłeś raport i...

– Niczego nie złożyłem, a zwolnili cię, ponieważ doszło do kolejnego...

Dziesięć minut później Simon tkwił w fotelu, ledwie mogąc się ruszyć. A on myślał, że to aresztowanie będzie anegdotą dnia! Instytut Minny spłonął! *W porządku*. Von Hassel zapadła w śpiączkę. *Cud, że nie zdarza jej się to częściej*. Przede wszystkim jednak popełniono kolejne morderstwo. Greta Fielitz, ostatnia kobieta, która śniła o Marmurowym Człowieku, czwarta na liście, nie żyła...

Greta, moja kochana Greta... Umieścił ją w zakątku pamięci, by móc opłakać już potem, kiedy zostanie sam, w ciszy.

Zatem całkowicie się mylili.

Simon nie miał nawet czasu rozkoszować się ironią tej sytuacji – podczas gdy czekał w celi przy Prinz-Albrecht-Straße 8 na egzekucję, Beewen i gestapowski lekarz zajmowali się Minną kilka metrów dalej. *Kiepski żart!*

Jednak najlepsze goście zachowali na koniec: Greta Fielitz, podobnie jak trzy wcześniejsze ofiary, była w ciąży.

O dziwo, w pierwszej chwili uderzyło go, że te cztery kobiety zakpiły z niego. Wysłuchiwał ich, analizował je, uwodził, manipulował nimi, szantażował... a nie wiedział o tak ważnym fakcie: przez ostatnie miesiące podlegały metamorfozie, miały wydać na świat dzieci, on zaś wciąż jeszcze groził, że doniesie na nie gestapowcom.

Wciąż popełniał błędy... Tylko po co w takim razie przychodziły na sesje? Po co te zwierzenia? Nie zmyśliły tych groźnych snów. I może to było kluczem. Były w ciąży. Z mężem. Z kochankiem. Ich sprawa. Jednak Marmurowy Człowiek odwiedzał je we śnie. A strach wyjaśniał regularne wizyty – chciały uwolnić się od koszmaru. Oczekiwać dziecka w spokoju. Oczyszczyć się duchowo.

- Czego właściwie chcecie? – zapytał, żeby położyć kres własnym refleksjom.
- Zacząć śledztwo od początku.

Simon nie był pewien, czy chce w to wchodzić. Czwarte morderstwo, o ile dobrze zrozumiał, miało miejsce w czasie jego pobytu w areszcie. Ale ledwie uciekł spod katowskiego topora. Nie zamierzał znowu prowokować ludzi z SS.

Beewen nie dał mu chwili namysłu.

– Oboje z Minną uważamy, że te ciążę to motyw zbrodni.

– To znaczy?

– Według lekarza sądowego morderca za każdym razem kradnie płód.

Simon przypomniał sobie zdjęcia, które widział. Morderca zanurzał dłonie we wnętrznościach ofiar. Szatkował je, patroszył, bezcześcił. Lecz nie robił tego z czystego okrucieństwa, nie odprawiał żadnego odrażającego rytuału. On szukał płodów.

– Czy to ginekolog? – zapytał Simon.

– Może – odparła Minna. – Tak czy inaczej, wie, jak postępować, a nie każdy by sobie z tym poradził.

– Dlaczego to robi?

– Nie wiem – powiedział Beewen. – Jednak ktoś poinformował go o ciążach, mimo że był to dobrze strzeżony sekret.

– Na jakiej podstawie tak twierdzisz?

– Na podstawie twojej reakcji.

– Jakiej reakcji?

– Wiedziałaś?

– Nie.

– Skoro nawet ich psychoanalitik o niczym nie wiedział, to najwyraźniej te kobiety naprawdę nie chciały nikomu o tym mówić.

Minna zapaliła papierosa i oznajmiła z pełną powagą:

– Właściwie to mógł być ich własny ginekolog.

– Przede wszystkim trzeba sprawdzić, kto prowadził te ciążę – powiedział Beewen. – Bardzo możliwe, że to ten sam lekarz.

Simon usiadł przy biurku i sięgnął po papierosa. Ci dwoje zaczęli działać mu na nerwy. Czy już zapomnieli, jak bardzo błędne okazały się ich poprzednie hipotezy? Że z powodu ich rojeń zginął człowiek? Trup jeszcze nie ostygł, a oni już zaczynają od nowa...

– Przyhamujcie trochę – powiedział ostro. – Ciut za szybko odrzucacie to, co jeszcze wczoraj uważaliście za prawdę. Czyli mordercą nie jest już fetyszysta zbierający buty? Już nie przyciąga go nurt Sprewy? I ta maska nie ma już znaczenia?

Minna wstała, udając, że jak za pierwszym razem przegląda grzbiety książek psychiatrycznych w jego bibliotece.

– Niczego nie odrzucaliśmy – odparł Beewen. – Przekonaliśmy się po prostu, do czego nas to doprowadziło. Teraz musimy wykorzystać nowe tropy. Morderca wiedział, że te kobiety są w ciąży. Albo był ich lekarzem, albo kimś bliskim, albo... bo i tego nie można wykluczyć... wspólnym kochankiem. Trzeba popracować nad tym wątkiem.

Minna zwróciła się do Simona:

– Kto wie? Może ty byłeś ojcem...

Już zadał sobie to pytanie. W przypadku Susanne i Leni było to wykluczone, ponieważ od co najmniej roku nie miał z nimi stosunków. Z Margarete nie uprawiał seksu od sześciu miesięcy.

Co do Grety... Nie, nie był ojcem dziecka Grety.

– Dlaczego ojcami nie mogą być po prostu ich mężowie?

W rzeczywistości odpowiedź na to pytanie najlepiej znał Simon. Ani przemysłowiec Werner Bohnstengel, który ważył pewnie więcej niż dostawca osi napędowych, ani generał Hermann Pohl wiecznie przebywający na manewrach, ani bankier Hans Lorenz, który miał ponad siedemdziesiąt pięć lat, nie rokowali zbyt dobrze, jeśli chodzi o płodzenie potomstwa, mimo to...

Był jeszcze Günter Fielitz, arystokrata koło pięćdziesiątki, zapewne chętny do wypełniania obowiązków małżeńskich. Ale Greta nie wydawała się zbyt zainteresowana tą sferą życia. Prawdę mówiąc, kiedy te cztery opowiadały mu o swoim życiu seksualnym – czy to na sofie w gabinecie, czy w jego łóżku – zawsze powtarzały, że nic się w nim nie dzieje.

– Jaki macie pomysł? – rzucił. – Cztery panie miały jednego kochanka, który postanowił się zabawić w odbieranie tego, co przez nieuwagę zostawił w ich brzuchach? Nie macie żadnych mądrzejszych pomysłów?

Żadne nie odpowiedziało. Ciszę wypełniały ich indywidualne porażki, ich łatwość formułowania hipotez, pochoptność, z jaką rzucali oskarżenia, aż do tej wspólnej klęski – śmierci Josefa Krappa.

Historyjka była piękna, owszem. Minna miała talent do budowania domków z kart, a Beewen, prostak z SS, zawsze skłonny był iść tam, dokąd chciała, nie zadając żadnych pytań. W gruncie rzeczy Simon nie był od nich lepszy, bo jego pomysły

związane z człowiekiem, który może swobodnie przenikać ze snu do rzeczywistości, też były niezłe.

– Jedno jest pewne – odezwał się w końcu esesman. – Ta sprawa z ciążą to nie przypadek. I od tego musimy zacząć. Trzeba odnaleźć ojców. Przesłuchać ginekologów. Musi istnieć jakiś związek między ciążą a morderstwem.

– One nie chciały mieć dzieci.

– Co? – Minna aż drgnęła.

– Te kobiety nie chciały mieć dzieci – powtórzył Simon. – Wypełniały małżeńską powinność, zabezpieczając się. To wszystko. Bały się przyszłości, świata, który chce zbudować Hitler. Nie tego pragnęły dla swojego potomstwa.

Beewen wzruszył ramionami.

– Po prostu cię okłamały. Mam wrażenie, że nie darzyły cię zaufaniem.

Sól na otwartą ranę.

– Skoro mowa o zaufaniu – zrewanżował się – to jak mi wyjaśnisz, dlaczego lekarz sądowy dopiero po czwartym morderstwie powiedział ci o tych ciążach? Może i teraz nie dowiedziałabyś się o tym, gdyby nie obecność Minny, która zauważyła, że Greta jest brzemienna?

Na twarzy oficera pojawił się grymas.

– Koenig, ten lekarz, wyznał mi, że otrzymał ścisłe instrukcje. Ani ja, ani Max Wiener nie mogliśmy się dowiedzieć o tym istotnym fakcie.

– Dlaczego?

– Nie mam pojęcia. Może moi przełożeni uznali, że to byłby dodatkowy skandal. W nazistowskim świecie Hitlera to świętość.

Simon wstał i wyszedł zza biurka, a potem oparł się o blat i zapalił papierosa.

– Jeżeli macie ochotę, badajcie swoje historie o płodach, ja zamierzam skupić się na masce.

– To znaczy? – spytała Minna, patrząc na niego ze szczerym zaciekawieniem.

– Przypomnij sobie, przecież to ty powiedziałaś, że Ruth Senestier pracowała w filmie – odparł.

– To prawda. Robiła dekoracje, rekwizyty.

– A jeśli to ona wykonała maskę do *Ducha z przestworzy*? Nie ma najmniejszych wątpliwości, że Ruth znała mordercę. I tylko ona została zabita z przyczyn, że tak powiem, obiektywnych. Morderca chciał ją uciszyć. Prawdę można wydobyć z kina.

Beewen uderzył się obiema rękami po udach. Ten chłopski gest nie pasował do tego, kim się stał, jednak wydawał się niezwykle autentyczny.

– Dobrze. Weźmy się natychmiast do pracy. W południe zaczynam służbę, ale do tego czasu mogę skupić się na śledztwie.

– Jaką służbę?
– Nowa robota w Gestapo. Nie mam ochoty o tym mówić.
– Kolejne szlachetne zadania...
– Znacznie gorsze, niż ci się wydaje. Jednak najpierw muszę wpaść po akta sprawy do biura.

– Pozwolą ci je wziąć? – zaniepokoiła się Minna.
– Oczywiście, że nie. Po prostu sfotografuję najważniejsze dokumenty, a ty wywołasz zdjęcia.

Beewen i Minna popatrzyli na siebie porozumiewawczo. Simon zacisnął pięści. *Do diabła, to niemożliwe...* Nie dość, że tych dwoje idiotów uważało się za wytrawnych detektywów, to może jeszcze oboje uwierzyli, że są zakochani.

Simon wciąż stał oparty o biurko i patrzył na drzwi, co było jasną propozycją, by goście zwolnili już miejsce.

– Potem – ciągnął Beewen, jakby nie zauważył jego sugestywnych spojrzeń – Minna rozpocznie poszukiwanie ginekologów ofiar.

Simon nagle uzmysłowił sobie, że jest poniedziałek i że przez całe popołudnie ma pacjentki. Gdyby chciał skupić się na Ruth Senestier i studiach filmowych, musiałby odwołać sesję. Psiakrew, cała ta historia doprowadzi go do ruiny.

Wsunął rękę do kieszeni i ruszył w stronę przedpokoju, żeby odprowadzić natrętów.

– Jeszcze jedno, miej się na baczności przed Grünwaldem – ostrzegł Beewen. – On tak łatwo nie wypuszcza ofiar.

– A co ja mogę? Ale skoro nie jestem zabójcą Grety, to on też nic nie może mi zrobić.

– Po prostu bądź czujny.

Takie rady udzielane przez profesjonalnego kata oznaczały, że ten drugi gestapowiec musi być potworem. *Okaze się.*

Zamknął drzwi za gośćmi i wrócił do gabinetu, gdzie rozsiadł się w fotelu. Jedna myśl, jedno poniżenie nie dawały mu spokoju: kłamstwa jego pacjentek. Jak mógł niczego nie wyczuć? Kochankowie. Ciężce. Pomyślał o swoich nagraniach, o „świętyni prawdy”, i tylko gorzko się zaśmiał.

Nie potrafił zrozumieć ukrytych powodów tych kłamstw. Po co przychodzić do niego na sesję, skoro opowiada się bajki albo ukrywa prawdę? Nie miał wątpliwości, że kobiety nim manipulowały. Ale dlaczego? Czy to była zмова?

Przemknęło mu przez myśl, że przydałby mu się jeszcze jeden sznaps, lecz nie dźwignął się z fotela – zasnął jak trup na dnie jeziora.

- Jedź dalej.
- Dokąd?
- Jeszcze kawałek. I podjedź po mnie za pół godziny.
- Zdasz?
- Nie martw się. Zatrzymaj się tu.

Beewen wysiadł z mercedesa, wziął voigtlandera avusa 9 × 12 i skinął Minnie głową. Sprężystym krokiem poszedł Prinz-Albrecht-Straße, mijając gestapowców, z których żaden nie spojrzał na niego krzywo ani nie zrobił drwiącej miny za jego plecami. Może wieść o jego degradacji nie rozeszła się jeszcze po biurze albo informacja o śmierci Krappa nie została ujawniona. Dziwne. Przeszedł przez zalany światłem korytarz do głównych schodów. Spodziewał się, że siedziba Gestapo wyda mu się obca, nawet wroga. Nic z tych rzeczy. Poczciwy stary gmach Akademii Sztuk Pięknych wciąż witał go jak księcia, który wraca do swego zamku.

Na drugim piętrze jeszcze bardziej przyspieszył kroku, ale i tu nikt nie zwracał na niego uwagi. Drzwi jego gabinetu były natomiast zamknięte na cztery spusty. Właśnie wtedy młody Alfred nadszedł charakterystycznym lekkim krokiem – bardziej przypominał chrząszcza niż żołnierza w podkutych buciorach.

- Hauptsturmführer? Ale co pan...
- Zapomniałem kilku drobiazgów. Masz klucz do mojego gabinetu?
- Tak, ale...
- To już, otwieraj.

Alfred wykonał rozkaz.

- I niech nikt mi nie przeszkadza – polecił, jakby nadal był panem tego miejsca.

Zabrał Alfredowi klucze, zamknął za sobą drzwi i zasunął rygiel. Oparty o ścianę, wreszcie mógł odetchnąć. Dał sobie nawet chwilę, żeby usiąść, ale nie tam gdzie zwykle, za biurkiem, tylko na krześle dla podejrzanych. Czy będzie mu brakowało tego miejsca? Na pewno nie.

Funkcji i odpowiedzialności? Tym bardziej nie. Galonów? W rzeczywistości te wszystkie stopnie i dystynkcje to tylko chimery. W pewnym sensie lepiej wypełnia się obowiązki na dolnych szczeblach hierarchii. *Chwała prostego żołnierza...*

Wyjął aparat fotograficzny Minny. Grünwald jeszcze nie przysłał swoich zbirów, żeby ograbili jego segregatory. Szybko wyselekcjonował najważniejsze dokumenty. Nie miał czasu fotografować wszystkich, poza tym Minna i tak dała mu tylko trzy rolki

filmu po dwadzieścia cztery klatki każda. Rozłożył kartki na biurku i zabrał się do roboty.

Spocony z gorąca i strachu, że lada chwila ktoś przekręci klucz w zamku, uwijał się jak w ukropie. Kiedy skończył, spojrzął na zegarek: dwadzieścia trzy minuty. Zostało mu sporo czasu do godziny wyznaczonej Minnie. Odłożył dokumenty na miejsce i wyjrzał na zewnątrz. Droga była wolna.

Wsunął filmy do kieszeni, ukrył aparat pod bluzą i wyszedł. Nieliczni mundurowi, których mijał, zdawali się go nie zauważać. Może po prostu stał się niewidzialny.

Oddał Alfredowi klucze i ruszył dalej. Tuż przy schodach ktoś go zawołał:

– Beewen.

Odwrócił się i zobaczył krępego faceta w pomiętym mundurze. Jego twarz była koloru rzepy i miała jej kształt. Do tego nastroszone włosy i szkliste jasnoszare oczy. Jedno z nich zasnuwało bielmo. To było oko ślepeca. Facet musiał kiepsko widzieć.

– Jestem Untersturmführer Kochmieder, twój nowy szef, chłopcze.

Mężczyzna uściśnął mu rękę, jakby chciał ją wyrwać.

– Miło mi – powiedział Beewen.

Mężczyzna wykrzywił się w drapieźnym uśmiechu. O stanie jego zębów lepiej nie wspominać, bo każda ruina, nawet najgorsza, zasługuje na szacunek. „Miło mi” Beewena zabrzmiało jak prowokacja – esesmani tak się nie wyrażali.

– Tylko nie zaczynaj od zgrywania się na durnia – odparł Kochmieder. – Ciężarówka stoi z tyłu, na dziedzińcu. Wyjeżdżamy za dziesięć minut.

– Co to za zadanie?

– Już ci mówiłem, żebyś nie rznął głupka.

Beewen popatrzył na Untersturmführera. A więc teraz będzie spędzał całe dni z takimi śmieciami. Totengräberzy. Grabarze. Hieny SS.

– Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

Kochmieder westchnął i oznajmił sentencjonalnym tonem:

– Powiedziałbym, że nasze dzisiejsze zadanie do złudzenia przypomina wczorajsze i jutrzejsze. – Wyraz jego twarzy stał się niemal krwiożerczy. – Będziemy zbierali pieprzone żydowskie trupy, które walają się po Berlinie. Tym właśnie się zajmujemy.

– Czyli to coś w rodzaju serwisu gwarancyjnego.

Kochmieder mrugnął do niego okiem – bielmo na chwilę zniknęło pod bladą powieką.

– Czuję, że mi się spodobasz – rzucił, spluwając na podłogę. – Będziesz robił dokładnie to, co ci każę, i zapomnisz o swoich wielkich planach. To skończone. A poza tym pozbędziesz się zaraz tych galonów. Teraz jesteś pod moim butem, módl się więc, żebym nie kazał ci go lizać.

Beewen strzelił obcasami.

– Tak jest, Untersturmführer!

– No właśnie, dupku – odparł Kochmieder. – I powiem ci coś jeszcze: nie czas na maniery. *Juden* nie zawsze są martwi, kiedy przyjeżdżamy. Naszym zadaniem jest ich dobić, chwytasz? Kto kocha, nie liczy.

Nagle Beewenowi przemknęło przez głowę wspomnienie. W powieści przygodowej, którą czytał jako chłopiec i której akcja rozgrywała się w Indiach, pisano o pewnej szczególnej kasty (właściwie nie była to nawet kasta) – o nietykalnych, jedynych, którzy mogli dotykać zwłok i palić je nad brzegiem rzeki.

On dołączył teraz do nietykalnych nazizmu. *Gratulacje, Beewen.*

– Za pięć minut na dole. *Heil Hitler!*

Nie raczył odpowiedzieć. Odwrócił się na pięcie i zbiegł po schodach – był już spóźniony o trzy minuty. Minna nie mogła długo czekać przed gmachem Gestapo. Stwierdzenie, że parkowanie na Prinz-Albrecht-Straße było zakazane, zabrzmiałoby jak żart. Porządni ludzie woleli tędy nawet nie przechodzić.

Kiedy wyszedł na ulicę, mercedes nadjeżdżał w żółwym tempie. Przeszedł przez jezdnię i czekał na samochód. Minna lekko zwolniła, a on wsiadł.

– Zrobiłam już trzy okrążenia! – warknęła. – Zachowywali się, jakby mieli ochotę do mnie strzelać!

Beewen wepchnął jej rolki do ręki i oddał aparat.

– Kiedy możesz wywołać te zdjęcia?

– Dziś po południu.

– Wieczorem do ciebie wpadnę.

Zawróciła na skrzyżowaniu i znów podjechała na Prinz-Albrecht-Straße 8. Kiedy zatrzymała się przed wejściem, Beewen uśmiechnął się do niej i szybko wysiadł. Wchodząc do środka, przypomniał sobie, że ochroniarze Grety, Hiller i Markovics, siedzą w areszcie w suterenie.

Nie zastanawiając się, poszedł w tamtym kierunku i znalazł się w wąskim korytarzu między celami. Kazał otworzyć tę, w której ich uwięziono. Zamknięto ich razem, a nawet przykuto jednego do drugiego jak dwie kulki połączone sznureczkiem.

– I co, jesteście z siebie zadowoleni? – napadł na nich Beewen.

– Straciliśmy ją, Hauptsturmführer – wydukał jeden. – Co można jeszcze powiedzieć?

Kiedy Beewen usłyszał swój stopień, zrobiło mu się gorąco.

– Gdzie?

– W hotelu Adlon.

Wszystko zaczynało się w tym samym miejscu, zgodnie z tą samą logiką. Dlaczego nie zdołali dowiedzieć się czegoś więcej o tym cholernym klubie, który morderca wziął na celownik?

– O której to było?

– Około siódmej wieczorem.

– Co znaczy „około”?

– Greta Fielitz weszła tam o szóstej. Zmienialiśmy się z Markovicsem, mieliśmy ją na oku. Drzwi były otwarte, wyraźnie widzieliśmy, co się dzieje w środku.

– Co potem?

– Nic. Kiedy Damy Adlonu wyszły, jej tam już nie było.

Wszystko okazało się banalnie proste i właśnie dlatego tak irytujące. Mógłby to porównać do użądlenia, które piecze, albo do silnego bólu zęba. Greta spokojnie wymknęła się drugimi drzwiami.

Trudności z odtworzeniem ostatnich godzin życia ofiar wynikały stąd, że każda coś ukrywała. Może nawet w pewnym sensie była w zмовie z mordercą.

Pomyślał o ciąży, zapewne najistotniejszym z dotychczasowych tropów. Jaki związek istniał między ich (potajemnym) zapłodnieniem a śmiercią? Czy morderca jest ginekologiem? Kochankiem? A może przeciwnie? Może to one skontaktowały się z nim, żeby się pozbyć „kłopotu”?

Od wielu lat polityka demograficzna Rzeszy była wręcz drastyczna. Należało płodzić jak najwięcej dzieci – to najkrótsza droga do podboju Europy i umocnienia niemieckiej potęgi. Krótko mówiąc, usunięcie ciąży w Berlinie w roku 1939 było równie dobrym pomysłem jak przejście na judaizm.

Usunięcie ciąży. Może to właściwy trop.

– Wypuszczą nas? – spytał Hiller.

Beewen uderzył w metalowe drzwi, wzywając strażnika.

– Zobaczmy – rzucił takim tonem, jakby coś jeszcze zależało tu od niego.

Przeszedł korytarzem do schodów, a na parterze skierował się do wyjścia na wewnętrzny dziedziniec. Zdążył w ostatniej chwili – trwał apel, jak w szkole.

Do wypełniania najpodlejszych zadań Himmler zwolnił z więzienia sporą grupę pospolitych przestępców, zwłaszcza członków SA, którzy trafiali za kraty za gwałty, zabójstwa i rabunki.

A teraz pojawiali się, czyściutcy jak noworodki w becikach, z gębami wykrzywionymi w morderczym grymasie, wspomagani przez reżim w swych zbrodniczych skłonnościach i brutalności. Jak nigdy dotąd nabrali wiatru w żagle, a na zabijanie wszystkiego, co im się nie podobało, mieli *carte blanche*.

Było ich około dwunastu, w tym jeden bardzo młody, istny dzieciak o prawie białych włosach i w mundurze przyprószonym czymś białym, jakby wpadł do worka z mąką. Drugi nosił skórzany płaszcz do ziemi, co przy tym upale było szaleństwem, i buty szturmowe z klamrami. Trzeci pojawił się w rozchełstanej bluzie, która odsłaniała goły umięśniony tors i srebrny łańcuch, *zuhälter*, dokładnie w stylu alfonsów z Ku'dammu.

– A, jesteś? Stań w szeregu jak wszyscy. *Schnell!*

Kochmieder najwyraźniej sporo jeszcze widział tymi oczyma w kolorze wódki.

Beewen wykonał rozkaz. Zdążył już usunąć dystynkcje z munduru. Teraz, cały przepocony, w lekko rozdartej bluzie, nie raził w tym gronie.

Nietykalni.

Męty społeczne.

A on wśród nich.

Wbrew prośbom Beewena Minna nie wróciła prosto do willi, żeby wywołać zdjęcia. Postanowiła pojechać do Brangbo, bo musiała rozmówić się z Albertem, pielęgniarzem poetą.

Kiedy zobaczyła osmolone zgliszcza zakładu, poczuła dławienie w gardle i się rozszlochała. Przez długie minuty płakała jak dziecko, siedząc w samochodzie.

Siostry zakonne zniknęły. Albert zwołał okolicznych chłopów, żeby wysprzątać te ruiny.

W końcu wyjaśnił jej, jak wygląda sytuacja (był czarny jak górnik): nie udało się zidentyfikować żadnego ciała, a zresztą i tak nie mieli pełnych nazwisk pensjonariuszy, bo archiwum spłonęło. Obłąkani zniknęli na dobre – i fizycznie, i administracyjnie. Naziści wypełnili swoje zadanie. Jak na operację próbną, ta okazała się mistrzowska.

Minna pomyślała o krewnych. Jak ich zawiadomić? Nie pamiętała nawet nazwisk, nie mówiąc o adresach. Pozostawało czekać, aż sami się pojawią, a to zdarzało się nader rzadko. Brangbo – dom wariatów dla zapomnianych, miejsce wymazane z mapy.

Niewiele mogąc, poprosiła Alberta, żeby dogadał się z miejscowymi. Niech ustawią skrzynkę na listy, podadzą numer telefonu – krewni w końcu napiszą albo zadzwonią. Wtedy wyjaśni się im „sytuację”.

Czy powinni urządzać ceremonię pogrzebową tych zbłąkanych dusz? Postanowiła, że tak, ale na samą myśl o tym robiło się jej słabo.

Ucałowała poczciwego starego Alberta, który musiał teraz znaleźć inną pracę w jakimś zakładzie psychiatrycznym, choćby w jednym z tych nowych, takich jak Grafeneck. Będzie tam miał wygodniej, dostanie lepszą pensję – taka praca ma swoje zalety. A jeśli będą kogoś tam palić albo truć gazem, to w odizolowanych pomieszczeniach, nie na oczach „personelu medycznego”.

Zanim wsiadła do samochodu, odkaszlęła. W ustach i gardle czuła spaleniznę. Miała wrażenie, że ssie kawałek węgla. Splunęła, siadła za kierownicą i odjechała, nie oglądając się za siebie.

Dotarła do willi, gdy zegar wybijał siedemnastą. Była zadowolona, że po tej ponurej wyprawie może zamknąć się w pracowni fotograficznej i z butelką w ręku spędzić kilka godzin na wywoływaniu zdjęć przy lampie ciemniowej.

Pierwszy etap wymagał jednak kompletnej ciemności, a Minna najbardziej lubiła wykonywać te czynności jak niewidoma, utracić jeden ze zmysłów, gdy pozostałe zdążył już zaburzyć alkohol. Miała wrażenie, że para się pracą rzemieślnika, pograżając się równocześnie w otchłani.

Po omacku delikatnie przewinęła klisze na specjalną szpulę, którą umieściła w cylindrycznym pojemniku. Potem mogła już włączyć lampę. Wlała wywoływacz. Biorąc pod uwagę czułość DIN filmów używanych przez Beewena, musiała wywoływać je w dwudziestu stopniach przez osiem i pół minuty. Zaczęła poruszać cylindrem, jak barman potrząsa shakerem. Od czasu do czasu uderzała nim o dno zlewu, żeby pozbyć się z wnętrza pęcherzyków powietrza.

Skojarzenie z shakerem sprawiło, że poczuła pragnienie, przerwała więc na kilka sekund pracę i wypita łyk whisky. Czuła rozkoszne ciepło w gardle, lekkie, jak wtedy, kiedy szeptem wyznaje się grzechy przy konfesjonale. Zamknęła powieki, by delektować się tym stanem.

Weź się w garść. Kiedy minęło osiem i pół minuty, wyjęła filmy i opłukała je pod bieżącą wodą, żeby przerwać działanie wywoływacza. Potem zanurzyła je w utrwalaczu. I w końcu obejrzała negatywy. Były doskonałe. Beewenowi udało się przynajmniej zrobić wyraźne zdjęcia.

Już wcześniej włączyła piecyk, żeby ciepło rozeszło się po pomieszczeniu. Używając spinaczy do bielizny, rozwiesiła klisze na sznurze. Wyszła z ciemni rozgrzana jak iskra, która wystrzeliła z kominka. Przypomniała sobie o drugim zadaniu – o odnalezieniu ginekologów czterech ofiar.

Dla lekarza było to łatwe. NSDAP przejęła niemieckie ubezpieczenia społeczne utworzone u schyłku ubiegłego stulecia. Telefonując do Głównego Urzędu do spraw Zdrowia Narodowego, dotarła do pracownika kartotek. U nazistów wszystko było odnotowane, zwłaszcza to, co dotyczyło rozrodczości, szpiku kostnego Rzeszy. W karcie każdej zarejestrowanej kobiety figurowało nazwisko jej ginekologa.

Minna miała szczęście – trafiła na uprzejmą urzędniczkę, która najwyraźniej nie zamierzała się rozłączać, dopóki nie udzieli informacji. Okazało się zresztą, że sprawa jest prosta, bo ani Susanne Bohnstengel, ani pozostałe nie miały ginekologa. W przypadku dorosłych kobiet był to absurd, zwłaszcza w przypadku kobiet ciężarnych.

Minna nie dopytywała. Wróciła do swoich garnków, czyli do ciemni. Wyłączyła piecyk i otworzyła drzwi, żeby przewietrzyć rozgrzane pomieszczenie. Ustawiła powiększacz i ułożyła negatywy w ramce pod obiektywem. Następnie włączyła lampę ciemniową, której czerwone światło nie powodowało żadnych reakcji chemicznych soli srebra. Pod spodem umieściła papier światłoczuły i przymocowała go, a następnie

zaczęła rzutować na niego zdjęcia. Przygotowała już trzy kuwety z dokładnie tymi samymi płynami co do wywoływania negatywów: wywoływaczem, wodą, utrwalaczem.

Teraz czekał ją etap, który także bardzo lubiła – patrzeć, jak unoszący się papier, na którym już coś widać, ujawnia coraz więcej szczegółów wyłaniających się niczym włosy topielicy falujące na wodzie.

Żadna nie miała ginekologa. Co to mogło oznaczać? Z pewnością leczyły się u jednej ze sław Rzeszy, poza wszelkimi rejestrami. Czy to był Ernst Mengerhäusen? Nie. Dlaczego ten rudzielec miałby się interesować czterema paniami z kręgów burżuazji? Poza tym on już przecież nie praktykował.

Wybrała format 13 × 18. Pierwsza kąpiel mogła wystarczyć do wywołania trzydziestu odbitek. Obserwowała, jak nabierają kształtu – dawało się swobodnie odczytać maszynopisy raportów i wyniki różnych analiz. Zdjęcia zwłok też były wyraźne.

Znów zagłębiała się w śledztwie. Wolała nie obciążać się psychicznie. Na razie w pełni wystarczały jej zajęcia manualne. Odbitki były gotowe, wykonała dobrą robotę. Zostawiła je, żeby wyschły, i wyszła do parku. Musiała odetchnąć świeżym powietrzem.

Poszła nad basen. Leżak. Whisky. Słońce. Uśmiechnęła się do nieba. Cokolwiek robiła, cokolwiek mówiła, pozostawała – i to na zawsze – ukochaną córeczką tatusia chronioną pod kloszem z reichsmarek.

Telefony do studiów filmowych nic nie dały. Najwyraźniej ludzie tam mieli pilniejsze zajęcia niż rozmowa z nim i odpowiadanie na jego pytania. Co do Ruth Senestier, to nikt nie widział jej od kilku miesięcy. Lista filmów, przy których pracowała? Musiałby udać się do Universum Film AG (UFA), jej głównego zleceniodawcy, i przejrzeć katalogi.

Simon nie był natrętny i powiedział sobie, że to popołudnie powinien zakończyć raczej w Adlonie, żeby wyczuć temperaturę panującą w najbardziej frywolnym z berlińskich salonów.

Zaczął przygotowania i co rzadkie, wybrał garnitur z jasnego lnu. Chciał utrzymać styl „lekki i beztroski”. Chciał wyglądać jak ktoś, kto nawet nie słyszał o napaści na Polskę ani o tym, że teraz już nie tylko Wielka Brytania, ale także Francja, Nowa Zelandia i Australia przystąpiły do wojny z Niemcami. Jak prawdziwy lekkoduch.

Tego dnia herbatka z tańcami miała naprawdę osobliwy smak.

Smak czuwania przy zmarłym.

Wszyscy byli ubrani na czarno. Simon w białej panamie i błękitnym garniturze wyglądał niczym plama. Mógł się poczuć jak facet, który przyszedł na ślub, a trafił na pogrzeb.

W zagarniętym przez Damy salonie panowała łązawa atmosfera. Rozmowy prowadzono szeptem.

Simon zbliżył się do pań, a kiedy otrząsnął się ze zdziwienia, przez moment delektował się swoim szczęściem – jeszcze kilka godzin temu gnił w hitlerowskim więzieniu, teraz zaś otaczały go najpiękniejsze kwiaty Rzeszy, a także atmosfera luksusu tego wyszukanego wnętrza. Taki klimat poczuć można było tylko w Berlinie.

Tego rodzaju wzloty i upadki były specyfiką klimatu nazistowskich Niemiec. Klimatu kontynentalnego, bardzo suchego, cechującego się gwałtownymi skokami temperatury.

Sonja wyrwała go z zadumy. Jak zwykle nosiła kapelusz lekko zsunięty na oczy.

– A co ty o tym myślisz?

– Hm...

– Co z nami będzie? Cały świat zwraca się przeciwko nam!

Simon uśmiechnął się dobrotliwie, jakby chciał uspokoić dziecko. Uwielbiał wolność panującą w Klubie Wilhelma. Te Damy, które zupełnie nie znały się na polityce i ledwie wiedziały, gdzie leży Gdańsk, mogły wątpić, zastanawiać się, krytykować,

czyli ogólnie rzecz ujmując, pozwalać sobie na wypowiedzi, które Gestapo uznałoby za „antypatriotyczne”, i nie musiały się obawiać, że spadnie im za to włos z głowy.

Co więcej, jeśli chciały Goebbelsa „Kopf und Schwanz” („głowa i kutas”), ponieważ miał kochanek na pęczki, albo jeśli zachciało im się przedrzeźniać Hitlera, przytykając palec wskazujący pod nos, mogły. I nikt nawet ich nie skarcił. Były w sercu kręgu, tam gdzie nawet władza nie mogła zwrócić się przeciwko nim.

Tymczasem Sonja kontynuowała swe anksjogenne wywody na temat wojny, a Simon słuchał jej jednym uchem. Czyżby nikt tutaj nie zauważył nieobecności Grety? I pozostałych? Nikogo to nie zastanawiało? Te kobiety miały zupełnie inne powody do niepokoju niż wojna.

Zauważył Magdę Zamorsky, która siedziała w kącie wyraźnie wzburzona. Zawsze pociągała go ta białowłosa bogini, zarazem jednak onieśmiałała, jakby czuł, że trzyma go na dystans.

– Myślisz, że mam rację?

Sonja obserwowała go czarnymi oczyma. Wydawało się, że to przesączone atramentem spojrzenie zachowuje wierną kopię każdej chwili.

– Sądzę, że za wcześnie, by wdawać się w takie analizy – rzucił trochę na chybił trafił.

– Czyli nie masz zdania.

Simon parsknął śmiechem i wstał.

– Właśnie! Wybacz.

Podszedł do Magdy, usiadł obok niej i postawił na podłokietniku fotela lampkę szampana.

– Wolałabym piwo.

Simon natychmiast pobiegł do baru. Twarz Magdy towarzyszyła mu, rozgrzewała serce i nerwy. Zawsze wyglądała tak, jakby wynurzyła się z krystalicznego strumienia, którego woda osiadła kropelkami na białych włosach i lśniła w szarych oczach.

– Coś ci dolega? – spytał, wracając z löwenbräu.

– Wyjeżdżam z Berlina – powiedziała, wypiwszy kilka łyków.

Delikatny biały puszek otaczał jej usta jak morska piana. Magda Zamorsky była nie tylko księżną, ale i jedną z najbogatszych wdów w Berlinie. Jej mąż aż do śmierci był potężnym poplecznikiem i dobroczyńcą partii nazistowskiej. Od początku finansował oddziały szturmowe i partię narodowosocjalistyczną za pośrednictwem pozornie amerykańskiego konsorcjum bankowego. Mówiło się nawet, że robił przelewy na prywatne konta partyjnych dygnitarzy, w tym Hitlera.

– Dlaczego wyjeżdżasz?

– Wkrótce nie będzie dobrze być Polką w Berlinie.

– Wrócisz tam?

Magda popatrzyła na niego skonsternowana.

– Jeżeli wrócę do Warszawy, będą mówili, że jestem Niemką. Jeśli zostanę w Berlinie, powiedzą, że jestem Polką. I wszyscy błyskawicznie zapomną o milionach, które mój mąż dawał Hitlerowi.

Magda, którą zawsze uważano za powierzchowną śmieszkę, najwyraźniej nabrała głębi myśli i mądrości. Zwykle jej ulubionymi tematami były etole i kostiumy kąpielowe.

– Dokąd zamierzasz jechać?

– Do Stanów Zjednoczonych. – Skrzywiła się pogardliwie. – Jak Żydówka.

Od zawsze krążyły zabawne opowieści o polskim antysemityzmie, który jak mówiono, był jeszcze gorszy od niemieckiego.

– Widziałaś dziś Gretę? – spytał, rozglądając się jakby w roztargnieniu po salonie.

– Jaką Gretę?

– Fielitz.

– Chyba nie. – Uśmiechnęła się, jej oczy były już suche. – Chciałeś się z nią zobaczyć?

– Owszem, byłoby mi bardzo miło. Ostatnio nie widuję też Susanne ani Leni.

– Są na wakacjach, jeśli się nie mylę, nad Bałtykiem.

Musiał podjąć bardziej otwarty atak.

– Dowiedziałem się czegoś dziwnego o Grecie. Wiedziałaś... Cóż, słyszałem, że jest w ciąży.

– Greta? – powtórzyła szczerze zaskoczona Magda. – Raczej nie przypuszczam.

– Dlaczego?

– Przecież ją znasz. To nie jest kobieta, która będzie patrzyła, jak jej spódnice pękają w szwach z powodu bachora w brzuchu.

Trudno byłoby o bardziej pragmatyczne podsumowanie sytuacji.

– Chyba że... – szepnęła.

– Coś ci przychodzi do głowy?

Magda wpatrywała się w niego z napięciem, a potem, jakby odruchowo, chwyciła ciemne okulary. Miała wrażliwe oczy. Często obrzeża jej powiek były zaczerwienione, zdarzało jej się też przekrwienie gałki oka.

– Greta nie jest taka jak my.

– Co masz na myśli?

– Jest znacznie bardziej... przekonana.

– Przekonana o czym?

Magda wskazała uchylone drzwi salonu. Simon powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem, a raczej wyobraził sobie, na co padło zza ciemnych szkieł. Hitlerowscy oficerowie prowadzili ożywioną rozmowę, stali wyprężeni niczym ogiery rwące się do klaczy.

– Jest narodową socjalistką?

Pytanie było idiotyczne. W 1939 roku w Berlinie wszyscy byli narodowymi socjalistami. Ale może Greta zaangażowała się jako działaczka albo nawet fanatyczka. Na kanapie nigdy, nawet zdawkowo, nie wyjawiała swoich poglądów politycznych. Wydawało się, że traktuje nazizm jako groźne zrządzenie losu i trzyma się od niego na dystans, wiodąc frywolny żywot i... korzystając z majątku męża.

Być może Greta ukryła przed nim także to. Im dalej się posuwał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że praca psychoanalitka to maskarada. Jego sesje, te wszystkie nagrania były zwykłą bzdurą. Mała Fielitz i inne tak zwane pacjentki grały przed nim komedię. Tylko w jakim celu?

– Co to ma wspólnego z jej ciążą?

– Nigdy nie słyszałeś o Führerdienst?

– O służbie Führerowi?

Nie był to co prawda nakaz prawny, lecz zasada, której przestrzegania zalecano: każda kobieta powinna począć dziecko specjalnie dla Adolfa Hitlera. Często chodziło o dość późne macierzyństwo, o beniaminka rodziny. Stanowiło to „wysiłek dla pokoju”, niekiedy powiększający i tak liczną gromadkę.

– Chcesz powiedzieć, że Greta zafundowała sobie dziecko dla... Führera?

Magda milczała. Odniósł wrażenie, że zauważyła coś ciekawszego, może kogoś, kto właśnie przyszedł, gdzieś w drugim końcu salonu. Młoda wdowa miała na głowie poważniejsze troski niż poświęcenie Grety dla Hitlera i jej demony.

– Magdo...

Księżna w ciemnych okularach jakby przypomniała sobie o Simonie.

– Najlepiej – zakończyła, wstając – żebyś poszedł na nieszpory.

– Na nieszpory?

Chwyciła notes z inicjałami hotelu Adlon i zapisała adres.

– Kaplica Kampen niedaleko Alexanderplatzu. Codziennie późnym popołudniem odprawiane jest nabożeństwo. Idź tam jutro. Sam zrozumiesz.

– Ale...

Magda położyła mu rękę na ramieniu, żegnając się z nim, i podeszła do jednej z grupek. Audiencja dobiegła końca. Zerknął jeszcze na kartkę, którą wsunęła mu do ręki, włożył ją do kieszeni i dopił piwo polskiej wdowy.

Wyszedł z Adlonu oszołomiony. Jego zwykle taneczny krok wyglądał teraz jak zataczanie się ociężałego opoja. Popołudniowe słońce wciskało mu się pod powieki jak gorący wosk, mózg był wysuszony niczym pancierz skorpiona.

Greta Fielitz w ciąży z enigmą.

Greta Fielitz jako fanatyczna nazistka.

Greta Fielitz jako żarliwa katoliczka.

Patrzył na Unter den Linden, która wyglądała teraz jak wykuta w lazurowym lodowcu. Orły. Swastyki. Cienie. Wojna – jawiła się dziś jako nieunikniona już bliska fala, przypływ, który zmiecie wszystko, co znajdzie na swej drodze.

Jego Berlin już nie istniał.

A Berlin Hitlera nigdy nie będzie istniał.

Pomiędzy dwiema pustkami pozostawało śledztwo. Ponieważ nie mógł zapobiec drugiej wojnie światowej, wraz z Beewenem i Minną mógł przynajmniej powstrzymać mordercę z marmuru i tę rzeź w szeregach berlińskich piękności. *To całkiem niezłe.*

– Szukaj tu – rzucił Kochmieder. – Twój dzieciak żyje.

Mężczyzna z zakrwawioną twarzą nie ruszył się. Jedno oko wypadło mu centymetr od oczodołu, drugie zniknęło pod opuchlizną. Nos był złamany w kilku miejscach. Z drżących warg przez połamane zęby wydobywał się dziwny świst. Totengräberzy lubili „spreparować” swoich Żydów, zanim się z nimi ostatecznie rozprawili, a polegało to na „wepchnięciu żydowskiego nochala we wredną gębę”.

– Mówię ci, szukaj. Możesz go jeszcze uratować.

Mężczyzna stał przed wypełnioną trupami naczepą ciężarówki. Krew spływała na ziemię. Ciekła każdą szczeliną. Przelewała się przez boczne ścianki. Błoto pod nogami Żyda i gestapowców było brunatne, kałuże szkarłatne. Beewen nigdy nie widział tak dużo krwi naraz, a przecież nie był w tej dziedzinie prawnikiem.

– No rusz się wreszcie! Tam jest twój syn!

Kochmieder chwycił mężczyznę za kark i zmusił go do wdrapania się na stos trupów. Więzień bez słowa próbował stanąć na deskach, ale ześlizgnął się i wpadł w błoto. Żołnierze gruchnęli śmiechem.

Po wielu mozolnych próbach w końcu chwycił się łachmanów ofiar i wszedł na wóz. Gestapowcy z zadowoleniem obserwowali nieszczęśnika poruszającego się na czworakach po stercie zwłok. Śmiali się, dopingowali go i obrzucali obelgami.

Dla Beewena nie była to nowość. Przypominały mu się dawne czasy, kiedy należał do SA i kiedy jego zadaniem było bić każdego, komu nie podobały się czarne mundury. Z czasem dla takich opornych przygotowano stroje w niebieskie pasy. Wtedy tortury podobne do dzisiejszych były rutyną. Jednak teraz zmieniła się motywacja katów. Oni nie musieli już walczyć jak tamta milicja, ale po prostu oczyszczać. Poruszali się po podbitym terytorium.

Wczesnym popołudniem czekała na nich robota na bagnach, niedaleko jeziora na północ od Berlina. Musieli załadować dziesięć trupów, które zostały tam przez zapomnienie. Prace opóźniły się przez zuchwałych Żydów, którzy przyszli wykupić ciała bliskich. Kochmieder, oswojony z takimi sytuacjami, spokojnie negocjował, jakby był handlarzem na bydłowym targu. Płacąc po kilkaset marek, krewni mogli zabrać jedno albo dwa ciała.

Beewen nigdy nie był antysemitą, ale teraz zaczynał być antynazistą. Bez słowa wraz z kolegami pogrzebał anonimowe zwłoki w zbiorowej mogile w rozmokłej ziemi, która przy każdej wydobywanej łopacie wydawała dźwięk zasysania.

Nie oni pierwsi tu kopali. Kiedy tylko jego but zagłębiał się w gruncie, w górę wzbijały się chmary much. Beewen czuł pod podeszwami twarzę, ramiona, torsy innych podejrzaných, których pochowano tu kilka centymetrów pod powierzchnią.

Następne zadanie polegało na wykwaterowaniu Żydów z kamienicy z napisem „Juden” i zawleczeniu ich na dworzec główny. Tam trzeba było wtłoczyć ich do pociągu towarowego. Poza smrodem potu – było lato, ludzie pocili się ze strachu i z gorąca – poczuł dławiącą woń ołowiu. Przed każdym wagonem na zakończenie operacji czekał kolejarz, żeby zaplombować drzwi roztopionym metalem.

Teraz kończyli służbę w Hellersdorfie, na podwórku kamienicy, gdzie półżywy człowiek szukał półmartwego dziecka w stosie nieboszczyków.

Rozległy się oklaski – mężczyzna znalazł dziecko. Oparty kolanami o czyjeś nieruchome plecy, mobilizował siły, by wyciągnąć drobne ciało z plątaniny kończyn. Żaden łotr się nie ruszył. Przeciwnie. Na ten widok dosłownie im stawały.

Kiedy wreszcie mężczyźnie udało się wydobyć dziecko spod trzymających je rąk i nóg, spojrzał na jego buzię i dopiero wtedy jego ocalałe oko rozbliżyło. Posępnym, gniewnym blaskiem – to nie był jego syn.

Bez słowa, bez jęku popychał dziecko, przesuwając je na skraj paki. Chociaż się starał, mały wyslizgnął mu się z rąk i runął pod ciężarówkę.

Oszołomiony mężczyzna też zszedł, ledwie trzymając się na nogach.

– I co, chłopie, wygląda na to, że się zawiodłeś – skomentował Kochmieder. – To nie on? Pomyliłem się? – Broń już trzymał w garści. Ledwie zamilkł, strzelił dziecku w skroń. – Przykro mi, chłopie. Nawet nie mogę obiecać, że następnym razem bardziej się postaram, bo nie będzie następnego razu.

Mężczyzna osunął się na kolana, czekając, aż gestapowiec go dobije.

Kochmieder spojrzał na Beewena.

– Twoja kolej, kolego!

Franz od kilku godzin obawiał się tej próby. Chrztu bojowego. A raczej chrztu krwi.

Wyciągnął z kabury PO8, odbezpieczył i strzelił. Czaszka Żyda roztrzaskała się na kawałki. W ciszy, która zapanowała po detonacji, gestapowiec poczuł się, jakby spadał w przepaść. Pomyślał o Damach Adlonu i zrozumiał, że nie zostało mu już nic poza tym śledztwem. Może było żalonym usprawiedliwieniem jego tchórzostwa, ale z pewnością jedynym prawdziwym powodem, by dalej żyć.

Wpakował w martwego człowieka drugą kulę – za Susanne.

I trzecią za Margarete.

Kolejną za Leni.

I jeszcze jedną za Gretę.

Kochmieder zarechotał.

– No, chłopcze, coś mi się wydaje, że nie przepadasz za Żydami!

– Szykuj się. Dziś wieczorem wychodzimy.

Beewen wszedł do mieszkania Simona. Miał na sobie mundur poplamiony krwią. Cuchnął padliną, a błoto oblepiało jego buty i spodnie aż do kolan.

– A cóż to za przebranie?

Simon mimowolnie cofnął się pod ścianę, żeby wpuścić Beewena, ale przede wszystkim żeby nie czuć tego odrażającego smrodu.

– To moje ubranie robocze. Mogę się u ciebie umyć?

– Hm... Tak, tak, oczywiście.

Beewen trzymał w ręce torbę z dwiema nazistowskimi runami. Zdążył wejść do budynku Gestapo po strój wieczorowy. Nadal miał dostęp do garderoby. Już od kilku dni nie zaglądał do domu i kiedy nie chodził w mundurze, nosił ubrania po zmarłych. Teraz nie tylko wyglądał na włóczęgę, ale po prostu nim był. W cieniu swastyki i Bramy Brandenburskiej.

– Gdzie jest łazienka?

Simon odpowiedział dopiero po chwili. Sprawiał wrażenie oszołomionego. Może już spał, bo wprawdzie była dopiero dziesiąta wieczorem, ale twarz miał pomiętą jak te listy, które Żydzi przysyłali im dzień w dzień, pytając o informacje o krewnych. Listy, które Beewen wyrzucał do kosza, wcale ich nie czytając.

W końcu pan domu poprowadził go do łazienki. Beewen wszedł pod prysznic pełen obaw, że coś uszkodzi. Łazienka Simona była bardziej wyszukana niż w domu Minny. Lśniąca glazura kojarząca się z metrem, ciemne armatury, istna kolekcja marmurów. Umywalka i wanna jak na obrazach ukazujących greckie świątynie, krany dopracowane niczym dzieła rzemieślnika doskonałego.

Myjąc się, powtarzał w myśli, że Simon na pewno zagarnął łazienkę (wraz z całym mieszkaniem) po jakiejś żydowskiej rodzinie. Był dokładnie taki sam jak on, tylko w innej skali – Beewen chodził w ubraniach zmarłych, a Kraus mieszkał w apartamencie deportowanych. Dwa pasożyty, dwie hieny żerujące na resztkach po prześladowanych.

– Zrobiłem ci kawę.

– Dziękuję.

Beewen przebrał się w smoking, który ze sobą przyniósł. Dopiero gdy go wkładał, zauważył na plecach dwie opalone na brzegach dziury po kulach na wysokości serca.

– A co ma znaczyć ten strój?

– Powiedziałem przecież, że wychodzimy.

Simon przygotował porcelanowe filiżanki ze złoconymi brzegami. Beewen najchętniej wszystko by tu rozwalił. To był łup wojenny człowieka, który nawet nigdy nie walczył.

– A dokąd się wybieramy?

– Do Nachtigallu.

– Po co?

Franz odstawił filiżankę, trochę za mocno ją ściskając. Porcelanowe uszko zostało mu w ręce.

– Przepraszam.

– Drobiazg, mam inne.

Jasne. Całe serwisy, a wszystko ukradzione niewinnym ludziom, którzy mieli usta pełne ziemi.

– Dlaczego do Nachtigallu? – powtórzył Simon.

– Bo chcę ci coś pokazać.

– Stolik dla trzech osób!

Beewen rzucił rozkaz, jakby krzyknął: „Rozstrzelajcie ich!”. Kelner – efeb w przebraniu pazia – natychmiast spełnił życzenie gości. Simon i Franz wpadli po drodze po Minnę – *razem zawsze raźniej* – i około drugiej w nocy dotarli do lokalu Willy’ego Beckera. O tej porze w klubie na Nollendorfplatzu atmosfera była gorąca. Goście tańczyli na stołach, pili, leżeli na kanapach, całowali się „z języczkiem”, jakby świat miał się skończyć jutro, co dla większości homoseksualistów było więcej niż prawdopodobne.

Usiedli przy jednym z wydzielonych stolików, w boksie stylizowanym na mauretański balkon, i podziwiali wystrój wnętrza. W lokalu panowała atmosfera rodem z *Baśni z tysiąca i jednej nocy* czy z *Ali Baby i czterdziestu rozbójników*. Reflektory obracały się jak lufy FlaK-ów, dział obrony przeciwlotniczej. Żyrandole w kształcie lamp Aladyna, bogato zdobione, ażurowe, rzucały smugi światła na cztery strony sali.

– Franz, co my tu robimy? – wrzasnął Simon, przekrzykując donośny dźwięk trąbki towarzyszącej męskiemu striptizowi.

Beewen z rozbawieniem powiódł wzrokiem po tłumie. Cioty podrygiwały na woskowanym parkiecie jak żaby w ukropie. Jedni wybrali przygładzone fryzury i błyszczące smokingi (trochę tak jak on), inni przekroczyli Rubikon i przebrali się za kobiety. Jeszcze inni nosili maski – ptasie dzioby, domina, zasłaniające pół twarzy, ostry makijaż. *Mniejsza o ciotę, byle dała upojenie...*

Po dniu, który dał mu w kość, to była naprawdę apoteoza. Szyderczy śmiech z koszmaru. Po tych godzinach spędzonych z totengräberami Beewen najchętniej poszedłby spać, przykrywając głowę kamienną płytą zamiast poduszki, ale jeden z blockleiterów zostawił mu wiadomość. Franz chciał osobiście zweryfikować tę nową informację.

Beewen zerknął na swoich współników, powiedzmy raczej – partnerów. Zaczynał ich lubić. Chociaż rzadko używał tego słowa, zdawał sobie sprawę, że darzy ich szczególnymi względami. Do Simona odnosił się zarazem z lekceważeniem i troską, jaką mógłby otoczyć młodszego brata. Chłopca, któremu wiele się wybacza, ponieważ szkody, jakie czyni, zawsze są mniejsze od emocji, jakie potrafi wzbudzić jednym spojrzeniem czy uśmiechem.

Z Minną było inaczej. Pociągała go, to oczywiste. Banalny pociąg fizyczny, ale i intelektualny do kobiety o tajemniczej twarzy i skomplikowanej osobowości. Ten

pociąg jednak zaczynał ogarniać znacznie szerszą strefę, nabierać większej mocy, niżby chciał. Teraz już nie potrafił go poskromić i czuł, że się w nim zatracą.

Nad ich głowami rozległ się głos – pohukiwanie nocnego drapieżcy.

– Co mógłbym wam podać, kaczuszki?

Unieśli głowy i zobaczyli Willy’ego Beckera w białym smokingu z połyskującym kołnierzem, na którego brzegach wyhaftowano nuty. Jego twarz wyostrzała się jak zawsze w cieniu przyczernionych oczodołów. Dwojga czarnych skrzydeł, zza których jak z antycznej maski wpatrywały się w nich oczy barwy hematytu.

Beewen położył na stoliku banknot.

– Sznaps dla wszystkich.

– Chyba pomyliłeś lokale, chłopcze – zripostował Becker, zmieniając ton. – To nie monachijska piwiarnia. Naziści czy nie, tutaj wszyscy piją wyłącznie koktajle. Elegancja ma pewne wymagania.

Franz popatrzył na pstrokatą menażerię wokół siebie.

– Widać, że to elitarny klub.

– Zgadza się. Nie zapominaj o greckim antyku, dupku. A może taki prymityw jak ty nie słyszał o starożytności, co wydaje się całkiem możliwe.

Beewen zacisnął pięści, ale nie mógł sobie pozwolić na danie upustu gniewowi. Wolał się uśmiechnąć i rozładować napięcie.

– W takim razie sam wybierz. Przecież zapłacisz za tę kolejkę.

Willy Becker wydobył z orlej twarzy nadspodziewanie dobrotliwą minę.

– Uczynię to z najwyższą przyjemnością, panie – rzekł, małpując głęboki ukłon.

Nagle reflektory zgasły. Właściciel lokalu zniknął jak przykre wspomnienie. Snopy światła ponownie rozbłysły i zwróciły się na scenę – Beewen poczuł przewrotną, niezdrową radość: udało mu się znowu zaszokować kompanów.

Teraz na huśtawce bujała się kobieta w gorseciku, podwiązki i szapoklaku. To osobliwe wcielenie Marlene Dietrich nuciło, zbliżając się i oddalając, popularną piosenkę z *Błękitnego anioła*:

Ein rätselhaften Schimmer

Ein je-ne-sais-pas-quoi

Liegt in den Augen immer

Bei einer schönen Frau...

Marlene nigdy nie miała tak niskiego głosu ani tak grubych łydek. Mężczyzna, który się w nią wcielił, nie był do niej ani trochę podobny, nawet w tym kostiumie. Jego twarz była biała od pudru, ale mimo grubej warstwy makijażu murzyńskie rysy nikogo

nie zwiodły, a usta – olbrzymie, prowokujące, obleśne – otwierały się jak dziób pelikana, by śpiewać basem:

*Doch wenn sich meine Augen
Bei einem vis-à-vis
Ganz tief in seine saugen
Was sprechen dann sie?*

Podano im koktajle i Beewen, nie odrywając oczu od sceny, wypił swój duszkiem. Transwestyci zawsze wprawiali go w wielkie zakłopotanie, a ten bardziej od innych. Jego owłosione nogi w białych pończochach panny młodej, zbyt szczupła talia podkreślona spódniczką baletnicy, silne dłonie o skomplikowanym kształcie zaciskające się na linach huśtawki – wszystko to składało się na ponury, sprzeczny z naturą, złowróżbny spektakl.

– Wytłumaczysz nam w końcu, po co tu przyszliśmy? – spytał znów Simon, zniżając głos do szeptu.

Beewen się uśmiechnął i wzniósł kieliszek, patrząc na Lolę-Lolę.

– Przedstawiam wam Güntera Fielitza, męża Grety.

Odkąd Minna poznała Ruth Senestier, często odwiedzała garderoby w kabaretach. W Berlinie na każdym kroku tętniły zmysłowość i siła twórcza. Tancerki pokazywały się nago, artyści wachali eter, mężczyźni nie stronili od radości Erosa, a kończyli jako suchotnicy, grając Damy Kameliowe w obskurnych hotelach, a tymczasem kobiety piły koniak prosto z butelki i namiętnie się całowały. Rozpasanie, owszem, ale nie tylko. Najwięksi europejscy malarze tworzyli na mansardach, ekspresjonizm dawał o sobie znać w całym mieście, kino oddawało głos podświadomości i snom...

Minna widziała ten ogon komety, poznała też – w dosłownym słowa znaczeniu – kulisy tego świata. Kiedy towarzyszyła Ruth właśnie za kulisami, jeszcze oczarowana sztuką lub innym spektaklem (zwłaszcza taniec wydawał się jej baśniowy), odkrywała nędną rzeczywistość. Świat biedy i odrzucenia, artystów, którzy narkotyzowali się na końcu stołu, butelki po sznapsie turlające się po podłodze jak po pokładzie dryfującego statku.

Właśnie takie emocje towarzyszyły jej tego wieczoru, gdy szła z Beewenem i Simonem płataniną korytarzy pomalowanych na czarno. Ta nocna eskapada była dla niej niczym tunel. Bez sensu, bez powodu – ci dwaj mądrale przyjechali po nią. Simon prezentował się doskonale w szytym na miarę smokingu, natomiast smoking Beewena o mało nie pękł w szwach.

Męczyła się, oglądając ponury występ Güntera Fielitza, który w przebraniu Loli-Loli wyglądał jak ostatni arystokrata – ofiara świata spustoszonego przez rozpustę i cynizm, świata, który wyniszczał cię od środka, pogrążając się w zepsuciu i wżgardzie.

Pytanie sugerowane przez Beewena było oczywiste: kto zapłodnił Grekę, skoro miała takiego męża? Ta sama zagadka dotyczyła trzech pozostałych Dam.

Przed otwarciem drzwi garderoby Beewen uderzył pięścią w wyprostowaną dłoń (włożył przedtem rękawiczki).

– Dziś rozegramy to po mojemu.

Puk-puk-puk. Beewen pchnął drzwi, nie czekając na odpowiedź. Günter Fielitz siedział w jedwabnym szlafroku przed toaletką, której lustro otaczały małe żarówki. Zdjął już perukę, odsłaniając przypłaszczony siatką włosy.

Jego twarz nie miała w sobie teraz ani odrobiny kobiecości. Wyrażała raczej intymny dramat smutnego klauna. Była tragicznym obliczem niemogącym wywołać

śmiechu, zbyt żalosnym, by nad nim zapłakać. Na prawej brwi zostały resztki kredki, która spłynęła. Dokładnie tak jak na twarzy Arlekina.

– Hola – rzucił basem Günter – a co to ma znaczyć?

Jego grube wargi przecinały pociągłą twarz, na której wyglądały jak ślimak bez skorupy. Po obu stronach rozplaszczonego nosa rysowały się zmarszczki zgorzkniałego człowieka – głębokie, ze śladami pudru. Oczy miał głęboko osadzone, obwiedzione rozmazanym tuszem i kholem.

Beewen przepuścił Simona i Minnę, a potem zamknął drzwi, popychając je plecami.

– Przyszliśmy złożyć ci kondolencje, Fielitz.

– Co to ma znaczyć?

Beewen wyjął odznakę Gestapo i prawie natychmiast schował ją do kieszeni. W takim krótkim czasie nikt by nie odczytał, co na niej wygrawerowano. Ale informacja trafiła do zainteresowanego.

– Urząd Rzeszy, Fielitz!

Urząd Rzeszy do Walki z Homoseksualizmem i Przerwywaniem Cięży, który utworzono w połowie lat trzydziestych, był koszmarem berlińskiego środowiska artystyczno-literackiego. Od roku 1936 polowanie na pedałów nabrało rozmachu za sprawą Himmlera, który pałał do nich nienawiścią. Zarówno jako do anomalii natury, jak i hamulca reprodukcji rasy aryjskiej.

Kiedy urząd spadał komuś na kark, oznaczało to dla niego natychmiastową banicję społeczną. Przy dużym szczęściu kończyło się na utracie wszystkiego i życiowej ruinie. W najgorszym razie czekał go obóz koncentracyjny albo domowa kastracja podczas niezapowiedzianej wizyty.

– Nie wiecie, z kim macie do czynienia – odparł wyniosłym tonem Fielitz i wyprężył pierś. Ale jego błazeński makijaż i postura nie były imponujące. – Powiadomię o wszystkim Führera i...

– Niech pan zostawi naszego ukochanego Führera w spokoju. W tej chwili mamy inne problemy.

– Pan... – zaczął Fielitz, wstając.

Beewen jedną ręką zmusił go, żeby usiadł.

– Wiesz, że ja i moi tu obecni przyjaciele uważamy, że dziwnie przeżywasz żałobę?

– Mój ból to wyłącznie moja sprawa.

– Twój ból? Jakiś szurnięty sadysta pokroił twoją żonę, a ty kręcisz zadkiem przed bandą ciot przebrany za kobietę?

Beewen położył rękę na jego kroczu i ścisnął genitalia. Fielitz wrzasnął. Gestapowiec wgniół mu twarz w otwartą puderniczkę.

Mężczyzna chwycił się toaletki, a wtedy Minna zobaczyła jego sygnet z wygrawerowanym herbem rodu Fielitzów.

Beewen uniósł jego twarz – pod pudrem skóra transwestyty czerwieniała w oczach.

– Posłuchaj uważnie, lachociągu, możesz robić loda, komu tylko zechcesz, nie obchodzi nas to. Przyszliśmy wyłącznie po to, żeby pogadać o twojej zmarłej żonie.

Fielitz przez chwilę kasłał, potem pluł różową śliną. Szminka do ust rozmazała mu się w kącikach ust, które wyglądały jak wielka otwarta rana.

– Odpowiedz na nasze pytania, a za pięć minut znikniemy. Jeżeli będziesz udawał idiotę, wylądujesz na Gestapo, a tam rozwałą ci łeb pałą. – Beewen gładził go po głowie, parodiując zmysłowe gesty. – Daję ci słowo, że różowy trójkącik będzie pasował do twojej cery.

Minna czuła odrazę do obrzydliwej sztuki, której mistrzem okazał się Beewen, zarazem jednak podziwiała jego umiejętności. Wiedział, jak stosować przemoc i poniżenie. Jak ugodzić słowem i zadać cios, który poskutkuje. Każda sylaba była jak uderzenie taranem w fundamenty ludzkiej godności.

Jako psychiatra Minna z zainteresowaniem obserwowała stan umysłu Beewena. Tu wszystko rozgrywało się na poziomie reakcji chemicznych. Gdzieś na dnie duszy esesmana skryzalizował się związek złożony z negatywizmu, nienawiści, okrucieństwa. Zła, jakby odwrócona siła, toksyczna i niszczycielska.

Fielitz wymamrotał w końcu:

– Nie wie pan, kim jestem...

– Doskonale wiemy, kim jesteś, ale jak to się mawia w mojej wiosce, z im wyższego spadasz konia, tym mocniej potłuczesz sobie dupę. Słyszałeś o paragrafie sto siedemdziesiąt pięć, kochanie? – Beewen pochylił się nad nim. – Znacznie go rozbudowano, daję słowo. Za naszych czasów komuś, kto jest szanowanym obywatelem, nie służy robienie loda facetom, zapewniam cię. Himmler chciałby nawet wykastrować was wszystkich. Jestem przekonany, że znasz go osobiście, więc nie muszę ci tłumaczyć, że kiedy naszemu hodowcy kur zaświta w głowie jakiś pomysł, trudno mu go z tej głowy wybić.

Fielitz gniewnie wyrzucał z siebie niezrozumiałe słowa, trzymając głowę wciśniętą między uda, na których miał podwiązki.

Beewen złapał go za kołnierz szlafroka.

– Co mówisz? Nie słyszę!

– Zostawcie Gretę w spokoju i pieprzcie się. Teraz spoczywa w pokoju. Bóg...

– Bóg? – Beewen wcisnął mu palce pod oczy. – Bóg? A co takie słowo robi w gębie cioty? Jebany świrze, jesteś chodzącym bluźnierstwem, obrazą nieba, kupą łajna! – Przycisnął jeszcze mocniej, aż tamtemu oczy wyszły z orbit jak ślimaki ze skorup. – Gadaj, co wiesz, pieprzona cioto. Albo sam wypróbuję na tobie kastracyjne pomysły Himmlera.

Pchnął go na podłogę, zrzucając przy okazji wszystkie przybory do makijażu. Fielitz odruchowo się skulił, żeby chronić się przed ciosami.

– Ale co miałbym wam powiedzieć? – jęknął.

– Choćby to, jak twoja żona mogła zajść w ciążę. Bo przecież tym swoim obfajdanym kutasem na pewno nie zrobiłeś jej dziecka!

Fielitz uniósł głowę. Krew i łzy mieszały się na jego bladej twarzy, kreśląc czerwone smugi.

– Greta była w ciąży?

– Czyżbyś o tym nie wiedział?

– Ależ... nigdy w życiu! Greta nie chciała słyszeć o dziecku!

– Jasne, że z tobą nie miała na co liczyć! To jak wyjaśnisz ten cud?

W tym momencie otworzyły się drzwi – jakiś tancerz zajrzał do środka i aż pisnął z przerażenia. Rozjuszony Beewen chwycił broń i wycelował w pechowego intruza.

– Spadaj.

Nie ruszył się. Drżał jak migawka ze starego filmu, ale stał w drzwiach. Beewen strzelił w futrynę.

– Powiedziałem: spadaj!

Mężczyzna zniknął. Mijały sekundy. Wystarczająco dużo sekund, by wszyscy uświadomili sobie, że pewien odgłos nie pasuje do tego pomieszczenia. Fielitz, wciąż klęcząc na podłodze, kołysał się do przodu i do tyłu i walił głową w ścianę. Wydawało się, że postradał rozum.

– Greta w ciąży – powtarzał saksoński arystokrata, rechocząc.

– To cię bawi?

Uniósł udręczoną twarz.

– Brzemienna! – Śmiał się, jakby w to nie wierzył.

Beewen wymierzył mu siarczysty policzek.

– Miała kochanków?

Fielitz nie odpowiedział. Nie widać już było jego tęczywek, tylko białka oczu migajął między podkreślonymi czernią powiekami. Wywrócił oczy jak szaman w transie.

– Nie – westchnął po chwili.

– A skąd możesz wiedzieć?

– Wiedziałem wszystko o mojej żonie.

Mówiąc to, Fielitz obrzucił niechętnym spojrzeniem niskiego Simona. Minna odgadła, że Simon sypiał z Gretą, a jej mąż o tym wiedział. *Co za menażeria!*

– Co znaczy „wiedziałem wszystko”? Kazałeś ją śledzić?

– Po co? Jej szofer codziennie składał mi raport. Greta nie miała kochanków. Przynajmniej w ostatnich miesiącach.

– Ona była w ciąży, skurwielu. Ktoś musiał zmajstrować to dziecko.

– Niemożliwe.

– Ale to fakt. Lekarz sądowy stwierdził to jednoznacznie. Jej bebechy leżały na stole sekcyjnym. Kiedy ktoś tam trafia, niczego nie może już ukryć.

– Z nikim się nie spotykała. Wiem o tym.

– A co możesz mi powiedzieć o morderstwie?

Błada twarz na chwilę zastygła, a potem nagle popękała jak porcelanowy wazon. Fielitz wybuchnął płaczem.

– Odpowiedz! – wrzasnął Beewen.

– Nic nie wiem!
– Przed chwilą powiedziałeś, że wiesz wszystko.
– Ale nie o morderstwie.
– Greta pilnowało dwóch moich ludzi. Zniknęła z samego środka hotelu Adlon, jak to wyjaśnisz?

– Nie wyjaśnię.
– Czy ostatnio przejawiała jakieś obawy? Mówiła ci o czymś, co ją niepokoi?
– Zostawcie mnie...
– Mamy cię zostawić?
– Tak, z moim bólem.

Beewen parsknął śmiechem.

– Jeszcze sobie popłaczesz, łajdaku. Od Reichszentrale dzieli cię tylko krok. Na najbliższe wakacje pojedziesz do kacetu. – Esesman przyklęknął na jednym kolanie i rzucił ostro: – Nazwisko jej szofera!

– Weber. Hans Weber.

Beewen wyciągnął notesik i zapisał nazwisko.

– Nic wam nie powie – wyszeptał Fielitz. – To mój człowiek, to...

Beewen wymierzył mu cios w szczękę.

– Tylko mi nie mów, że jego też dupczysz! – warknął.

Splunął na Fielitza i się odwrócił. Zachowywał się, jakby zupełnie zapomniał o Simonie i o Minnie, którzy poszli za nim.

– Ciężarna, Greta była ciężarna! – krzyczał Fielitz. Jego desperacki śmiech zamieniał się teraz w charczenie z powodu krwi zalewającej usta. – Jak Matka Boska!

Minna odwiozła Simona, a potem pojechała w stronę willi. Beewen siedział w mercedesie, paląc papierosa za papierosem. Wyglądał, jakby był obrażony. Gestapowiec mieszkał w dzielnicy Prenzlauer Berg – to nie było na jej trasie. Poprosił, żeby pożegnali się przed jej domem. Stamtąd wróci już sam.

Minna była wstrząśnięta. Beewen okazał się zwykłym prostakiem, a do tego mordercą. Czego się spodziewała? Był w SA, potem w Gestapo. Piął się po szczeblach hierarchii stowarzyszenia złoczyńców. Jego pierwotną – i prawdziwą – naturą była przemoc. Krew za krew, prawo pięści. Był wilkiem z bajek, mordercą z kiepskiej powieści, łajdakiem, którego pragnie się nienawidzić. Radykalnym antidotum na wszelkie marzenia o przywiązaniu czy przyjaźni.

Jak mogła się z nim sprzymierzyć? Jak mogła prosić go o pomoc i ulec czarowi tego jednookiego ogra?

Kiedy dojechała do Dahlem, zaczęło padać. Zatrzymała się przed bramą posiadłości, żeby przy pomocy Beewena rozłożyć dach. Pracował z zaciśniętymi zębami, wciąż drżąc z gniewu.

Oby tylko nie chciał przenocować...

Beewen zrobił coś znacznie gorszego – próbował ją pocałować. Po tym odrażającym zachowaniu w Nachtigallu to było ostatnie, na co mógł liczyć.

Minna spokojnie go odepchnęła, kręcąc głową. Mimo że kontrolowała swój gest i chciała, by wyglądał na łagodny, nie zdołała ukryć wzgardy i konsternacji. *Tego między nami nie będzie.*

Beewen stłumił przekleństwo, w którym kryło się wiele zła. Pomruk, który z siebie wydał, wyrażał ogrom goryczy i cierpkości, a może nawet odwieczną niechęć mężczyzny do kobiety.

– Przecież ty też wcale tego nie chcesz – szepnęła, żeby go uspokoić.

– Skąd możesz wiedzieć?

– Myślisz o tym od tygodni, a wybierasz właśnie wieczór, kiedy pobiłeś niewinnego biedaka, byle coś zrobić.

– Uważasz mnie za łotra?

Uśmiechnęła się.

– Najpierw się zastanów, jak ty siebie oceniasz. Kiedyś o tym pogadamy.

Kolejne przekleństwo, ale tym razem już tylko jako echo pierwszego. Lżejsze, wypowiedziane z mniejszym przekonaniem.

– Intelktualiści mnie męczą – wymamrotał.

– Sam się męczysz, udając prostaczka. Myślenie to nie wstyd. I nie musisz się wstydić, że masz zasady i przestrzegasz ich. Nie możesz być przez całe życie sługusem zgniłej władzy.

Beewen uśmiechnął się złowieszczo.

– Ta władza długo nie potrwa.

– Mam nadzieję. W każdym razie nie możesz nadal być grabarzem.

– Skąd wiesz, co robię?

– Znam ten odór.

Wsunął palce za wyłogi smokingu, przyjmując groteskową postawę. Wciąż stał przed bramą parku otaczającego willę i mókł na deszczu.

– Nawet w tym wieczorowym stroju?

– Śmierć sączy się wszystkimi porami twojej skóry.

Bardzo wysoko nad nimi przeleciała eskadra samolotów.

Wciąż to zagrożenie, to poczucie, że poza ich świadomością dokonują się wielkie przemiany. *Nadciąga trzęsienie ziemi.*

Zakłopotany pokiwał głową.

– Osiągnąłem naprawdę kres... człowieczeństwa.

– Nie. Właśnie teraz powinieneś dowieść człowieczeństwa.

– Ty również budzisz we mnie odrazę. Bawisz się słowami. Uważasz, że nic nie wiąże się z konsekwencjami, że wszystko jest tylko gadaniną. Mówisz jak pupilka tatusia, która zawsze miała alternatywę. Twój instytut i pacjenci spłonęli. Ale czy to wpłynęło na twoje życie, coś w nim zmieniło?

Minna zachowała łagodny ton:

– Zapomnij o mnie. Zapomnij o swoim gniewie. Działaj tu i teraz. Nie myśl już ani o przeszłości, ani nawet o przyszłości.

– Dość tych bredni.

Wsunął ręce do kieszeni, jakby smoking zamienił się w zwyczajną wojskową bluzę, i odwrócił się na pięcie. Patrzyła, jak jego wysoka, potężna sylwetka wtapia się w mrok, jakby pogrążała się w mrocznej toni. Właśnie dostrzegła pod skórą bestii kruchość i wrażliwość, jaką widywała u obłąkanych – zarazem gwałtownych i bezsilnych, agresywnych i bezbronnych.

– Zaczekaj!

Odwrócił się. Uśmiechnęła się do niego.

– Jeżeli chcesz, możesz tu przenocować.

Zawrócił z głową wtuloną w ramiona i rękami w kieszeniach. Chociaż nie dojrzał do balów urządzanych przez arystokrację berlińską, uczestników niejednego

przyprawiliby o dreszcz.

– Naprawdę? – szepnął.

– Naprawdę. Ale do niczego nie dojdzie.

W końcu Beewen też się uśmiechnął.

– Dojdzie do tego, że będziemy spali pod jednym dachem.

– Zawiedziony?

– Dla mnie to znaczy więcej niż cała reszta.

Jego twarz lśniła od deszczu, ale leżał w łóżku. Niebo pokryło się miliardami perlanych kropli, lecz on był w swojej sypialni. Błyskawica rozdarła jego pościel, przeobraziła jej fałdy w sine pęknięcia. Była jak blask fleszy. Oczywiście to mu się tylko śniło. Śnił jednak tak niespokojnie, że jego ciało wiło się niczym żmija przyciśnięta butem. Uderzał głową w poduszkę tak mocno, jakby walił młotem w skałę. Dobry Boże, ta burza w bieli i czerni, te jaszczurki światła i strugi deszczu miały moc realnych zdarzeń oddziałujących na wszystkie zmysły.

Nagle otworzył oczy i usiadł na łóżku. Burza naprawdę szalała. Szyby drżały od uderzeń piorunów, błyskawice rozświetlały ulicę.

I wtedy go zobaczył.

Stał w drzwiach, w mokrym płaszczu i homburgu z szerokim rondem, nieruchomy, z rękami w kieszeniach. Każda błyskawica oświetlała jego maskę, zielonkawą, na pół twarzy. Makabryczną. Wykonana z marmuru, zasłaniała mu oczy.

Średniego wzrostu, przeciętnie postawny, morderca nie był jednak podobny do niczego typowego, znajomego. Pół człowiek, pół kosmita, przypominał człekokształtny twór, któremu przeszczepiono fragmenty tkanki ludzkiej, kawałki żywego organizmu. A może odwrotnie.

Simon był przerażony, a zarazem oczarowany. Czy śni? Czy wreszcie udało mu się przyciągnąć Marmurowego Człowieka do swych snów? A może przez tę burzę doznał halucynacji?

Otarł twarz ręką, jakby przewracał kartkę książki, żeby poznać jej dalszy ciąg. Zjawa zniknęła. Simon wyskoczył z łóżka, zrywając elektrody przyklejone do głowy. Poszedł do sąsiedniego pokoju, poczekalni, ale i tam nie było nikogo. Tak samo jak w gabinecie.

Wbiegł do przedpokoju i zobaczył sylwetkę znikającą za drzwiami. Już chciał ruszyć w pościg, ale uświadomił sobie, że jest w kalesonach. Głupi automatyzm, uwarunkowanie moralne czy coś w tym rodzaju kazało mu wrócić do pokoju, żeby ubrać się przyzwoicie.

Ulewa na zewnątrz była gorsza niż w jego śnie. Ulica zdawała się lewitować, dematerializować niespokojnymi falami. Trudno było już nawet powiedzieć, czy krople uderzają o ziemię, czy może kałuże, strugi i strużki podnoszą asfalt jak zwyczajny dywan.

Nigdzie ani samochodu, ani przechodnia. No i oczywiście ani śladu Marmurowego Człowieka. Spływający już wodą Simon zmusił się do racjonalnego myślenia i odpychał od siebie cisnące mu się do głowy pomysły, aberracje i rojenia, które wymknęły się ze snu. Czekał, aż dokonają żywota na berlińskiej ulicy.

Przeszedł kilka kroków opustoszałą aleją i zauważył między dwoma zaparkowanymi samochodami otwarty kanał ściekowy. Ciężka metalowa pokrywa leżała na chodniku.

Marmurowy Człowiek zszedł do tej studzienki. Teraz uciekał kanałami, którymi płynęła wzburzona woda. Opierając się o obrzeża otworu, Simon zwiesił nogi i szukał dla nich oparcia, aż natrafił na drabinkę. Odwrócił się, chwycił szczebla i zaczął schodzić, uwięziony między ulewą z nieba a kipiela w dole. Rozumiał, że dzieje się coś niepojętego: przeniknął fizycznie do snów Dam Adlonu.

Zetknięcie z lodowatą wodą zaparło mu dech w piersi. Najpierw poczuł brutalny atak na kostki, potem na kolana – jakby ktoś piłą odcinał mu kości. Zanurzony do połowy, chcąc nie chcąc, dostosował się do porażającego oparzenia zimnem.

Wydawało mu się, że widzi jakąś sylwetkę dwieście metrów dalej. Tak, coś się tam ruszało, daleko, w głębi tunelu: plusk, piana... Nie zważając na lodowaty pancerz, który ścisnął go już do pasa, Simon się schylił i zaczął iść jak człowiek przepływający przez bagna. Każdy jego mięsień musiał przełamywać opór wody, która na niego napierała. Deszcz spływał pod ziemię przez kratki ściekowe. Tworzyły się istne wodospady błyskawicznie napełniające system kanałów.

Gdy jego oczy oswoiły się z mrokiem, zauważył coś, co go zaskoczyło – ten tunel był czerwony. Sklepienie, ściany – wszystko wykonane z cegły – przechodziły w szkarłat i odbijały się krwistymi tonami w czarnym lustrze wody.

Simon poruszał się z trudem. Sklepienie było zaokrąglone, podłóże także. Raz po raz tracił równowagę, walcząc z wartkim nurtem. Nie nadrabiał odległości, raczej jeszcze bardziej zostawał w tyle, mimo to dokładniej widział przesuwanego się przed nim mężczyznę w kapeluszu.

Woda sięgała mu teraz po łokcie – lodowata masa, wciąż zasilana przez kanały ściekowe, przybierała. Pomyślał, że przegra ten wyścig, bo sam się wycofa. Za kilka minut straci grunt pod nogami. Od dzieciństwa zawsze pierwszy „tracił grunt pod nogami”.

Zacisnął zęby i przysięgł sobie, że tej nocy wzrost nie okaże się jego wadą. Odepchnął się mocno i po prostu zaczął płynąć. Teraz z większą łatwością pokonywał dystans dzielący go od tamtego, bo na powierzchni nurt był nieco łagodniejszy.

Zobaczył, że zamaskowany mężczyzna zrobił to samo. Zgubił też kapelusz i Simon widział tył jego maski, a raczej kask, który osłaniał kark jak średniowieczny hełm.

Teraz, gdy płynął raz czałem, raz strzałką, Marmurowy Człowiek jeszcze bardziej go wyprzedzał. Potwierdziło się, że jest niezwykle wysportowany, a także to, co Simon przeczuwał od początku – morderca działał w pobliżu Sprewy, na Wyspie Muzeów, w parku Köllnischer, w północnej części Tiergarten albo nad jeziorem Plötzen, żeby łatwiej uciec. Woda była jego żywiołem, jego królestwem.

Woda i sny...

Podziemny strumień zamieniał się w niespokojny, wzbierający potok. Simon uniósł głowę, żeby nie stracić z oczu ściganego. W tym momencie mężczyzna zniknął gdzieś po lewej stronie, poniesiony przez niewidzialną siłę. Już po kilku sekundach Simon znajdzie się w tym samym miejscu i on także da się porwać jak kartka płynąca rynsztokiem. Krzyżowały się tam kanały, burzyły się masy nacierających na siebie wód, żółtawa piana dosłownie kipiała, a wir wciągał wszystko, na co natrafił. Simon się miotał wchłaniany, pożerany, zalewany przez toń.

Pod ścianami zauważył rury systemu pneumatycznego – dumę Berlina – linie telefoniczne, przewody elektryczne... Wyprężył się, skoczył i chwycił jeden z kabli. Nie myślał teraz o Marmurowym Człowieku. Pod sklepieniem woda sięgała mu ust. Przy każdym ruchu łykał jej szklankę. Pluł, kasłał, krztusił się. A wody wciąż przybywało. Miał ledwie kilka centymetrów powietrza.

I wtedy pomyślał o studzienkach odpływowych. Nabrał powietrza i puścił kabel. Natychmiast wciągnęło go pod wodę, mimo to zdołał nie zamknąć oczu. Widoczność była marna, ale dostrzegł smugę światła wpadającego przez otwory.

Jaśniejszy krąg. Wyciągnął rękę i znalazł cementowe obrzeże. Chwycił się go i znieruchomiał. Szybko wrócił pod sklepienie i zaczerpnął powietrza pomiędzy dwiema kaskadami wody. Mało, tylko odrobinę, żeby przez moment się nie udusić.

Zamknął oczy, zrobił kolejny wdech, puścił obrzeże. Porwany przez wir, otworzył oczy, poszukując kolejnego otworu. Brakowało mu tlenu. Jak długo to wytrzyma? Nie obliczył – nawet nie przyszło mu do głowy, żeby to zrobić – odległości pomiędzy studzienkami.

Światło, a raczej nie tak gęsta ciemność...

Po sekundzie trzymał się już betonu. I tym razem zdołał wsunąć do otworu rękę. Mocno trzymając się palcami, wysunął głowę, choć masy wody zalewały otwór i wciskały mu się do ust. Unosząc brodę, chwycił kilka milimetrów sześciennych powietrza.

Spijał je jak życie, napinając wargi, unosząc twarz, jak unosi pysk wyjące zaszczute zwierzę. Woda z rynsztoka zalewała mu twarz, uszy, ale mógł oddychać. Trzymał się pewnej myśli. Gdzieś w tunelu prędzej czy później pojawi się nad nim krata. Może zdoła ją przesunąć i wydostać się z tego piekła.

Chwycił kolejny łyk powietrza i znów dał się ponieść nurtowi. Porwał go jak drobinę. Prawdę mówiąc, takie unoszenie się ku własnej śmierci było jak narkotyk. Po co właściwie się opierać?

Krata. Nareszcie. Simon zdołał się jej chwycić i przytknąć usta do szczeliny między metalowymi prętami. Mocno się trzymając, ustami szukał życia. Pił noc łykami, lizał kratę jak pijak pustą butelkę.

Spróbował obiema rękami poruszyć pokrywę. Nigdy by nie uwierzył, że ma tyle siły, zwłaszcza gdy tak bardzo brakowało mu tlenu jako paliwa, jednak to była jego jedyna nadzieja na przeżycie. *Dopóki jest nadzieja, dopóty jest i życie.* Uderzał, pchał, napierał pięściami, głową, ramionami. Poruszał się z energią człowieka, który nie ma już nic do stracenia.

I nagle pokrywa drgnęła. Pchnął jeszcze mocniej i tym razem się udało. Przesunęła się. Odepchnął ją i bardzo głęboko zaczerpnął powietrza bez wody.

Uratował się.

Żył.

Był deszczem i życiem.

Był powietrzem i nocą.

Wrócił do domu, szczękając zębami, półprzytomny i wyczerpany. To, co wydawało mu się wycieńczającym pościgiem w środku nocy, oddaliło go od domu o trzysta, najwyżej czterysta metrów. Nie myśląc o tym, pobiegł pod prysznic i rozkręcił jak najcieplejszą wodę.

Pod gorącym strumieniem powrócił do wydarzeń tej nocy.

Po pierwsze, Marmurowym Człowiekiem nie był ani Josef Krapp, ani żaden wyimaginowany byt ze snów. To był zamaskowany człowiek średniego wzrostu, noszący kapelusz i prochowiec. I potrafił niepostrzeżenie zakraść się do cudzego domu.

Simon wytarł się (już tak nie dygotał) i poszedł zaparzyć sobie kawę. Była trzecia nad ranem, ale tak podekscytowany raczej rozsądziłby wszystkie zegary w okolicy, niż zasnął.

I druga informacja – morderca jest doskonałym pływakiem. Z tego punktu widzenia Simon, choć dobrze pływał i często w niedzielę chodził nad jeziora Müggel, Weißen, Schlachten, Plötzen, nie mógł się równać z tak wysportowanym typkiem.

A zatem Marmurowy Człowiek zabierał ofiary nad Sprewę albo Plötzen, żeby odpłynąć z miejsca zbrodni. To nie był element jego zbrodniczej psychozy, ale strategia. Po prostu.

W rzeczywistości trop nie był determinujący, zwłaszcza w Niemczech, gdzie tak mocno stawiano na ćwiczenia fizyczne i rozrywki na świeżym powietrzu. Zwykle pół Berlina w każdą niedzielę pływało w niezliczonych jeziorach i rzekach stolicy. Nazizm był dyktaturą tryskającą życiem, co rano uprawiającą gimnastykę.

Kawa. Młynek. Ekspres. Wykonywał te gesty z pełną swobodą. Znowu, jak po uwolnieniu z więzienia, odczuwał coś w rodzaju wdzięczności wobec wszystkiego, co go otaczało, od glazury w kuchni po błękitny płomień kuchenki gazowej. Czuł wdzięczność wobec nieba i ziemi, które go przyjęły, gdy wyszedł z kanału. Do diabła, żył. Funkcjonował.

Ale uwaga. Po przeżyciu więzienia Gestapo i wyratowaniu się z topieli jego kapitał szczęścia był już mocno nadszarpnięty. Wkrótce może zabraknąć mu kuponów.

Nagle przypomniał sobie o czymś. O swojej maszynie. O elektroencefalografie. Postawił filiżankę kawy i poszedł do sypialni. Nerwowym gestem chwycił pokryty sinusoidami papier i przyjrzał się zapisowi fal mózgowych z czasu odwiedzin Marmurowego Człowieka.

Te linie pokazywały istotną prawdę – kiedy gość się pojawił, Simon nie śnił. Był w fazie snu głębokiego, a to oznaczało, że nie śnił o burzy ani o Marmurowym Człowieku, ale widział i to, i to. Grzmot go obudził, a on w stanie półświadomości pomieszał elementy rzeczywistości ze snem.

Wreszcie zrozumiał, jak Marmurowy Człowiek pojawiał się w snach ofiar. Po prostu odwiedzał je nocą. Budził je, może tylko na ułamek sekundy, żeby jego obraz zapisał się w ich mózgach (zbyt ociężałych, zaspanych, żeby całkiem oprzytomnieć). W ten sposób się wślizgiwał, by tak to ująć, w szczelinę ich świadomości. Umysły kobiet robiły resztę. Człowiek w masce z marmuru wyrastał w ich myślach jak ziarno.

Tak samo postąpił z Simonem. Burza, piorun, sylwetka – wszystkie te elementy znalazłyby się w snach, gdyby się nie obudził i pozwolił mordercy przeniknąć do swego mózgu. Tym razem jednak to atakowany wyrwał się ze snu i dołączył do napastnika na jawie.

Po co ta wizyta? Czy Marmurowy Człowiek chciał go zabić? A może chciał go wystraszyć? Albo naprowadzić na jakąś drogę?

Wciąż trzymał taśmę elektroencefalogramu, z roztargnieniem patrząc na wykres aktywności mózgu, gdy nagle się zorientował, że od powrotu do domu coś mu tu nie pasuje.

Jakiś szczegół, jakiś element bił na alarm, ale on wciąż nie wiedział, co to jest. Wyszedł z sypialni i udał się do poczekalni. Wszystko było w porządku. W kuchni też nie zaszła żadna zmiana, pomijając zapach palonej kawy. Wrócił do przedpokoju, gdzie panował idealny porządek, jeśli nie liczyć mokrych ciuchów, których jeszcze nie posprzątał.

W końcu wszedł do gabinetu, myśląc o swoich płytach – może Marmurowy Człowiek ukradł mu nagrania? Nie, schowek był zamknięty na klucz.

Więc co?

Odwrócił się i wolno wodził oczyma po całym gabinecie, nie pomijając żadnego elementu: kanapa, biblioteka, obrazy, płyta z politurowanego drewna, a na niej pióra, bibuły, kalendarze, notatnik...

Wszystko na swoim miejscu.

Wszystko poza jednym elementem.

Kiedy to odkrył, o mało nie krzyknął, choć sam nie potrafiłby powiedzieć, czy z rozpaczy, czy na znak triumfu. Zniknęła kartonowa tuba, w której przechowywał afisz z filmu *Duch z przestworzy*.

A więc po to przyszedł tu Marmurowy Człowiek. Po swój fetysz. Po swój wzór. Simon miał rację: obraz ze sklepiku w pasażu Lipowym był obiektem jego uwielbienia.

Kierując się dyskrecją, może nawet obawą, nie kupił go. Wolał go podziwiać przez szybę jak święty obraz w kościele.

Simon wciąż się wahał, czy wydać triumfalny okrzyk, czy wyć z rozpacz, bo stracił jedyny dowód rzeczowy.

Ostatecznie wybrał trzecią opcję, choć może zdecydowały jego szczęki. Wybuchnął śmiechem, nie mogąc, jak mu się wydawało, zdusić szlochu.

Mały Kraus był naprawdę u kresu.

U kresu, ale ciągle żywy...

Obudzili się o świcie i zgodnie stwierdzili, że powinni jak najszybciej jechać do Charlottenburga, do Güntera Fielitza. Nie po to, by znowu dręczyć Berlińską Wariatkę, ale by przesłuchać szofera Grety, niejakiego Hansa Webera. Od służby się dowiedzieli, że po śmierci pani człowiek ten zamieszkał ze swoją matką pod Wandlitz, na północ od Berlina.

Teraz stali w punkcie obserwacyjnym, w mercedesie ukrytym przy skrzyżowaniu z drogą gruntową prowadzącą do gospodarstwa. Czekali, aż pojawi się bohater dnia. Beewen dobrze znał wiejskie obyczaje. Wiedział, że Weber pracuje już od kilku godzin i że zanim siądzie do chłopskiego śniadania, musi się umyć na ganku przed chałupą.

Krajobraz wyglądał jak z tradycyjnej ryciny, takiej, jakie wisiały na ścianach jego rodzinnego domu. W złocistym świetle wschodzącego słońca widać było w dali typowy dla Brandenburgii długi dom z mansardą pod strzechą, z elewacją pokrytą gontem, z oknami w ramach z bali. Wszystko utrzymane było w tonacji brązu, szarości, czerwieni, sjeny... Słoma zalegająca pod ścianami, wiadra, które się tam poniewierały, zardzewiałe narzędzia, a nawet błoto i kałuże... wszystko wyglądało jak ufarbowane orzechem.

Minna pożyczyła Franzowi jeden z garniturów ojca, równie barczystego jak on. Może nieco przyciasny pod pachami, był jednak całkiem wygodny. W głębi ducha Beewen był dumny, że nosi wełniany garnitur z jedwabną podszewką w jodełkę, ze stębnowanymi wyłogami, a do tego spodnie z wysoką talią. Czuł się prawie zażenowany, wkładając ubranie barona von Hassela i choć raz nie dobierając spodni i marynarki po umarlakach.

Punktualnie o ósmej pojawił się Hans Weber w spodniach do jazdy konnej, grubej koszuli i szerokich płóciennych szelkach.

– Beewen – uprzedziła Minna – dziś to ja prowadzę przesłuchanie. I nie życzę sobie patrzeć, jak podnosisz rękę na tego chłopaka.

Franz odburknął niechętnie – ciekaw był, jaką strategię zamierza obrać Minna. *Znowu tylko stracimy czas...*

Weber zaczerpnął wody ze studni, a potem usiadł na taborecie przed progiem domu. Najpierw zanurzył głowę w wiadrze zimnej wody. Zanim ją wystawił, Minna von Hassel i Franz Beewen stali już przed nim.

Hans był młodym mężczyzną o łagodnej twarzy i szczupłej sylwetce. Gęba mięczaka na ciele androgyna. Franz rozprawiliby się z taką ciotą w minutę, ale pozwolił działać

Minnie. Jeszcze zdąży sięgnąć po sprawdzone metody.

Minna, nie przedstawiając się, wydała polecenie:

– Chodź z nami.

Beewen ze zdumieniem stwierdził, że wycelowała do chłopaka z lugera. Skąd wzięła tę broń? Metody baronówny nie różniły się więc tak bardzo od tych, które sam stosował.

Na szczycie pagórka górującego nad domem rosło samotne drzewo. Lipa o popielatym pniu i jasnych liściach. Ruszyli w jej stronę. Beewen się spodziewał, że z domu lada chwila wyjdzie matka ze strzelbą w ręku. Nie wyszła. Prawdopodobnie doiła krowy w oborze.

– Siadaj tu.

Hans posłusznie osunął się pod drzewo.

– Kim jesteście? – zapytał w końcu nieśmiałym głosem. – Co... co mi zrobicie?

Raz po raz zerkał z przerażeniem na Beewena – jednooki osiłek, który nic nie mówi, pewnie bije w razie potrzeby. Spoglądał też na Minnę, która wzbudzała w nim chyba jeszcze większy strach, bo właśnie wyjęła z torby sterylizator i przygotowywała strzykawkę.

Weber rozpląkał się jak dzieciak. Szczupły, delikatny wieśniak – szofer prawdopodobnie czuł się lepiej w łóżku Güntera Fielitza, niż pracując na roli.

– Co chcecie ze mną zrobić? – zapytał znowu przez łyzy.

Minna nałożyła igłę na strzykawkę i przełamała ampułkę. Wprawnym ruchem, świadczącym o opanowaniu i doświadczeniu, wsunęła do niej igłę i nabrała leku. Potem spuściła kilka kropli, żeby pozbyć się powietrza ze strzykawki.

Beewen obserwował jej ręce. Substancja, która skapnęła z igły, była gęsta jak olej i purpurowa jak miąższ owocu.

– Podwiń mu rękaw – poleciła.

Tym razem Beewen uległ ciekawości.

– Co to takiego? – zapytał.

– Coś, co sprawi, że nie będziesz musiał go bić.

Chłopak ledwie się bronił, kiedy Beewen odsłonił jego przedramię. Szarpał się jak dziecko u dentysty.

Beewen nienawidził zastrzyków. Igła przechodząca przez tkankę tłuszczową albo wbijająca się w żyłę była jego zdaniem gorsza od wszelkich tortur, którym poddawał ludzi w gmachu Gestapo.

Mimo to zdołał się skupić – był asystentem Minny, nie mógł przecież odwrócić głowy. Weber dygotał. Bukoliczny pejzaż potęgował zdumiewający charakter tej sceny. Ptaki śpiewały, rosa lśniła, liście szeleściły. Zapowiadał się przepiękny dzień.

Trzymając strzykawkę w zębach, Minna zacisnęła na bicepsie „pacjenta” kauczukową opaskę. Oklepując wewnętrzną stronę jego łokcia, aby uwidoczniła się żyła, rozkazała:

– Licz!

– Co mi pani wstrzykuje?

Wbiła igłę w niebieskie naczynie, które uwypukliło się pod skórą.

– Licz.

Weber zdusił jęk. Wyprężył się z bólu tak, że uderzył głową o pień lipy.

Zaraz potem dostał silnych drgawek, podskakiwał w trawie jak silnik spalinowy. Beewen go trzymał, a Minna wciąż wciskała tłok strzykawki. W miarę jak środek znikał w sienie żyły, Beewen wyobrażał sobie, że krąży w ciele Webera i przenika do najdrobniejszych naczyń krwionośnych.

Nagle kark mężczyzny zeszytywniał, tułów jakby się zablokował. Na nieruchomą twarz wystąpił pot gęsty jak przed chwilą łzy.

Wydawało się, że jakaś wewnętrzna moc zawładnęła jego klatką piersiową, a teraz naciera na mózg. Beewen widział, jak ta toksyczna siła przechodzi przez gardło, przez twarz, groźna jak oślizgły wąż, który rozpycha tkanki i dusi.

Minna wyciągnęła igłę i przycisnęła wacik do miejsca wkłucia.

– Licz – powtórzyła znowu, obojętna na cierpienie Webera.

Oczy chłopaka zasnuły się mgłą. Źrenice się wywróciły i zniknęły pod przymkniętymi powiekami.

– Licz! – nakazała Minna, chwytając go za drugą rękę.

Znowu wzięła strzykawkę w zęby i błyskawicznie zawiązała gumę. Zaraz potem igła weszła w żyłę.

Chłopak znów dostał drgawek. Beewen pomyślał, że lepiej było oberwać parę razy, niż przeżywać te chemiczne tortury, ale Minna wyglądała na pewną tego, co robi.

W końcu Weber się odprężył.

– Licz – powiedziała jeszcze raz.

Weber zaczął grobowym głosem:

– *Eins, zwei, drei...*

Zafascynowany Beewen obserwował jego metamorfozę. Chłopak położył obie ręce na trawie, zwracając je wewnętrzną stroną dłoni ku niebu, i wyglądał, jakby wtapiał się w światło dnia.

– *Vier, fünf, sechs...*

Na tym skończył – zasnął.

– Do diabła, coś ty mu wstrzyknęła? – szepnął Beewen.

– Tiopental sodu. Wiesz, co to jest?

– Nie.

– A pentotal?

– Też nie.

– To środek znieczulający. Przy odpowiednim dawkowaniu oddziałuje na centralny układ nerwowy, pozbawiając siły woli. Nazywa się go „serum prawdy”. Dziwię się, że nie używacie tego w Gestapo.

Nie odważył się odpowiedzieć, że ich metody są bardziej... tradycyjne. Jednak w Geheime Staatspolizei mówiło się o użyciu środków chemicznych wobec najbardziej opornych podejrzanych. Minna byłaby cenioną doradczynią przy Prinz-Albrecht-Straße 8.

Wymierzyła Hansowi Weberowi silny policzek i zaczęła do niego mówić takim tonem, jakby znali się od dawna. Mężczyzna sprawiał wrażenie półprzytomnego. Łzy spływały mu po policzkach. Oczy wyrażały głęboki spokój.

– Dobrze się czujesz?

Milczał. Jego ciało wciąż rozpływało się w świetle, przypominało kupkę bezwolnej siły, rozleniwionej i zaczerwienionej.

– Dobrze się czujesz?

– Tak – wyszeptał w końcu.

– Jesteśmy twoimi przyjaciółmi. Chcemy ci pomóc.

Weber starał się na nich spojrzeć, ale chyba ich nie widział.

– Powiesz nam wszystko, co wiesz?

– Tak.

– Jak się nazywasz?

– Hans Weber.

– Kim jesteś z zawodu?

– Kierowcą.

Zanim Minna zdążyła zadać kolejne pytanie, Weber zabrał głos, tym razem bardzo zdecydowanie:

– Najważniejszy jest kodeks drogowy. Kodeks drogowy trzeba znać na wyrywki!

– A ty go znasz?

– Nikt nie zna go lepiej niż ja.

– Jakim samochodem jeździsz?

Weber nie odpowiedział. Zachowywał się, jakby brakowało mu powietrza, otwierał usta, chwytając je jak ryba wyjęta z wody. Strużka śliny zaschła mu w kąciku ust.

– To kodeks drogowy – powtórzył ciszej.

– Oczywiście. Opowiedz mi o Grecie Fielitz.

Przed oczyma latały mu muchy. Co odważniejsze przysiadają nawet na lepkiej od potu twarzy.

– I refleks... – ciągnął, jakby jej nie słyszał. – Na drodze refleks jest kluczowy.

Jego głos przygasł. Beewen czekał na moment, gdy nieszczęsny chłopak rozleje się po trawie jak woda z przewróconego wiadra.

– Hans.

Weber znów zasnął.

– Hans!

Kolejny policzek. Chłopak doszedł do siebie. Źrenice, które znowu zniknęły, wyłoniły się spod powiek i wpatrzyły w horyzont.

– Opowiedz mi o Grecie Fielitz.

– To moja pracodawczyni.

– Co możesz mi o niej powiedzieć?

– Nie żyje. Zamordowana.

Szofer został więc wtajemniczony, zapewne ze względu na szczególne relacje z małżonkiem Greta. Co za chlew!

– Woziłeś ją wszędzie, po całym Berlinie?

– Wszędzie.

– Miała przyjaciół?

- Mnóstwo.
- Kobiety czy mężczyzn?

Weber zaśmiał się drwiąco. Ten lekki, urywany śmiech brzmiał, jakby dobiegał z korony lipy, z nieba, które robiło się granatowe.

- I to, i to.
- Gdzie się z nimi spotykała?
- W hotelu Adlon, w kawiarni Ziglera...

I wymieniał półgłosem kolejne nazwy. Jego mowa była bełkotliwa, chwilami niezrozumiała.

- Bywała czasami w ich domach?
- Czasami.
- Miała kochanków?
- Nie, żadnych kochanków.
- Jesteś pewien?
- Jestem.
- A dlaczego jesteś tego taki pewny?

Hans Weber odrzucił głowę do tyłu. Widząc go z daleka, można było pomyśleć, że przypomina sobie wiersz i recytuje go, ledwie poruszając ustami, wpatrzony w skąpane w słońcu konary lipy.

Beewen wyczuwał w narastającym upale pewną formę odrętwienia. To wszystko było naprawdę dziwne. Leniwe przesłuchanie pod gołym niebem w porze, gdy przyroda się budzi. W niczym nie przypominało brutalnych sesji w jego gabinecie.

- To zabronione.
- Przez jej męża?

Znowu się zaśmiał, a potem powoli wyciągnął prawą rękę, parodiując hitlerowskie pozdrowienie.

- Przez Führera!

Lekarka nie zareagowała. Należało pozwolić chłopakowi na swobodne dywagacje i wychwytywać ważne odpowiedzi. Beewen się domyślał, że Minna jest specjalistką od takich rozmów. Używając barbituranów, szukała dawnych traum, symptomów ukrytych głęboko w podświadomości pacjenta.

Hans wyciągnął palec i dodał:

- Nasz Führer to bardzo poważny człowiek!
- A gdybym ci powiedziała, że Greta była w ciąży?

Odwrócił głowę i popatrzył na Minnę. Wyglądał na rozczarowanego. Jej niewiedzą. Jej głupotą. A może niewinnością.

– Nic pani nie wie. Hitler chce, żeby wszystkie kobiety miały dzieci. Trzeba mieć dzieci.

– I ty, i ja wiemy, że Günter Fielitz nie był ojcem tego dziecka.

– Oczywiście, że nie był.

– A wiesz, czyje to dziecko?

– Nie.

– Czy wśród jej przyjaciół był jakiś mężczyzna, z którym spotykała się częściej? Przypominasz sobie może jakieś szczególne miejsce, w które ją zawiozłeś?

Weber wybuchnął gromkim śmiechem. Minna zagryzła usta. Nawet ona zaczynała tracić cierpliwość. O Beewenie lepiej nie mówić. Słuchanie bredni naćpanego szofera było bez sensu. Za pomocą pięści znacznie szybciej uzyskałby efekty.

Hans dalej błaznował. Teraz położył palec wskazujący na ustach.

– Ciii – syknął. – To tajemnica.

– Greta miała kochanka? Czy znasz jego nazwisko?

– Nie miała kochanka. Dziś w Niemczech nie trzeba ani kochanka, ani męża, żeby zrobić sobie dziecko.

Minna zerknęła na Beewena. Żadne z nich nie rozumiało sensu tego zdania, jednak intuicyjnie oboje czuli, że są bliscy odkrycia czegoś niezwykle ważnego.

Hans mówił teraz szeptem:

– Wystarczy wypowiedzieć magiczne słowo.

– Jakie to słowo?

– Lebensborn.

Heinrich Himmler miał problem. Wielka Wojna zdziesiątkowała naród niemiecki, a potem, za czasów Republiki Weimarskiej, nędza, potworne warunki życia, panujący pesymizm doprowadziły do poważnego spadku liczby narodzin – małżeństwa nie chciały mieć dzieci, liczba aborcji nigdy wcześniej nie była tak wysoka.

Z nastaniem Trzeciej Rzeszy nad narodem zawisło inne niebezpieczeństwo: wojna. Gdyby nawet pominąć niezliczone ofiary reżimu, należało liczyć się z milionami zabitych podczas nadciągających konfliktów. Tysiącletnia Rzesza musiała więc znaleźć sposób, by zasilić swoje szeregi. Dominacja nazistów nie była możliwa bez najsilniejszego atutu: ludzi. Aby zawładnąć Europą, a potem światem, Niemcy musieli być liczni. Banalne.

Już w roku 1933 Heinrich Himmler podjął kampanię propagandową zachęcającą do prokreacji. Plakaty, pogadanki radiowe, filmy, ale także prawa, przywileje, zasiłki. Cel: czworo dzieci na rodzinę, w tym jedno poczęte specjalnie dla Adolfa Hitlera. Führerdienst, „służba Führerowi”...

Ta strategia okazała się niewystarczająca. Wykrwawione podczas wojny światowej Niemcy lat trzydziestych liczyły znacznie więcej kobiet niż mężczyzn. A wszystkie te Mütter w kwiecie wieku powinny rodzić. Himmler obalił uświęcone mieszczańskie i chrześcijańskie wartości. Małżeństwo, wierność, ognisko domowe – to wszystko były egoistyczne, antypatriotyczne bzdury. Teraz Reichsführer SS głosił cudzołóstwo, poligamię, wymianę. Trzeba było się pieprzyć, *Mensch Meier!* I tylko to się liczyło.

Matki panny stanowiły szczególny problem – młode ciężarne kobiety porzucone przez mężczyzn myślały tylko o tym, by ich błąd nie wyszedł na jaw. Należało jak najszybciej położyć kres skrobankom.

I tak Himmler wpadł na pomysł, by powołać instytucję Lebensborn. Nazwa łączyła *Leben* (życie) i *Born*, stare słowo oznaczające „źródło” czy „fontannę”. „Źródło Życia” powstało, żeby udzielać pomocy pannom, cudzołożnicom i wszystkim tym, które mogły wpaść na fatalny pomysł przerwania ciąży.

Powołane w roku 1935 pod egidą Głównego Urzędu Rasy i Osadnictwa stowarzyszenie Lebensborn otwierało ośrodki, które oferowały zarówno opiekę prenatalną i poród, jak opiekę po narodzinach dziecka. Dlatego lebensborny stały się poważną alternatywą dla kobiet, które nie chciały ani wychowywać, ani uznać dziecka. Rzesza nad nimi czuwała, a właściwie czuwała nad dziećmi bez rodziców. Uznawała je za swoje i czyniła z nich – dosłownie – „dzieci narodu”.

Właściwie to wszystko, co Minna wiedziała o tych owianych tajemnicą miejscach. Bo Himmler popełnił błąd – nie godził się, by prowadzono otwartą kampanię informacyjną na temat tych ośrodków. W efekcie krążyły o nich pogłoski.

– Wiesz, co to są lebensborny? – spytała Minna, gdy wracali.

– Często rozmawiamy o tym z kolegami. – Beewen zaśmiał się głupkowato. – To chyba coś w rodzaju burdeli. Burdeli dla SS.

Bywał czasem tak przewidywalny, tak żałośnie przewidywalny, że aż rozczulający.

– Czyli Greta była kurwą?

– Ja tego nie powiedziałem.

– A dlaczego nie Susanne, Margarete, Leni?

Esesman nie odpowiedział. Hans Weber po prostu wyjaśnił im, że wielokrotnie woził swoją panią do lebensbornu znajdującego się w południowej części Berlina, do ośrodka Zeherthofer.

Jego informacje były niezbyt precyzyjne, bo takie skutki uboczne wywoływał pentotal, ujawniły jednak istotny fakt – Greta Fielitz nawiązała kontakt ze „źródłem życia” przed zajściem w ciążę, już w marcu albo kwietniu.

Ta informacja potwierdzała zapewne pogłoski na temat lebensbornów. Powszechnie mówiono, że te specyficzne kliniki wyszukiwały dla kandydatek na matki mężczyzn, którzy je zapłodnią. Stąd brały się plotki utożsamiające te ośrodki z burdelami.

Czy Greta udała się do ośrodka Zeherthofer, żeby znaleźć ojca dziecka, bo jej homoseksualny mąż nie mógł jej zapłodnić? Czy nie miała żadnego kochanka, który świadomie albo nieświadomie mógłby wyświadczyć jej tę przysługę? Choćby taki Simon Kraus?

– Zatrzymaj się tu – polecił Beewen.

Nie dojechali jeszcze do Prinz-Albrecht-Straße 8, ale gestapowiec nie chciał, aby ktoś zobaczył, że młoda, krótkowłosa kobieta odwozi go mercedesem mannheimem WK10. Musiał teraz okazać nieco pokory.

Minna zatrzymała auto i zwróciła oczy na Beewena. Dopiero wtedy dostrzegła potworne przygnębienie na jego twarzy. Wyglądał jak człowiek, który rusza do konkretnego i jemu tylko znanego piekła. Znów ubrał się w mundur bez galonów i dystynkcji, cuchnący zimnym mięsem i zakrzepłą krwią. Przypominał bezdomnego mordercę.

– Wszystko w porządku?

– Nie pytaj.

– Co to za nowa praca?

– Powiedziałem, nie pytaj mnie o to.

Nie mogła uzalać się nad jego losem. Uważała, że w tych gównianych Niemczech każdy, kto choć na jeden dzień się złąjdaczy, złąjdaczy się już na zawsze. Beewen bił Żydów, komunistów, Cyganów, homoseksualistów. Robił to od lat. Czyżby nagle dopadły go wyrzuty sumienia? Nie mógł dłużej znieść mordowania z zimną krwią niewinnych ludzi, nie mógł robić tego, zachowując wrażliwość?

Nie zamierzała płakać nad jego losem. A jednak mimo wstrętu i niesmaku, które chwilami w niej wzbudzał, ku własnemu zaskoczeniu skinęła głową, kiedy szepnął:

– Do zobaczenia wieczorem.

Ktoś mógłby ich wziąć za stare małżeństwo.

Kpina!

Ruszyła, nie czekając, aż zatrzaśnie drzwi wozu.

Teraz musiała zdobyć dokładniejsze informacje o lebensbornach.

Nic prostszego.

Znała jednego z głównych sponsorów Czarnego Zakonu. Głównego członka wspierającego tych panów. Ten szczodry donator, cichy dobroczyńca nazistów, był jej stryjem, bratem ojca zwanym przez niemiecką prasę „asfaltowym baronem”.

Inaczej w klanie von Hasselów mówiło się o nim „wujaszek Gerhard”.

Gerhard von Hassel mieszkał w dużym dworze niedaleko od willi w stylu Bauhausu, na obrzeżach lasu Grunewald. Podobnie jak rodzice Minny nie czekał, aż dzielnica Dahlem stanie się modna, by wybrać właśnie ją. Dwór wznosił zresztą jego ojciec już na początku stulecia.

W głębi cieniściego parku obsadzonego drzewami, których listowie wypełniało go łagodnym szmerem, jedna z największych fortun przemysłowych Niemiec prosperowała bez problemów. Nic – a już na pewno nie nazizm – nie mogło spędzać snu z powiek wujaszka Gerharda w jego twierdzy.

W dzieciństwie Minna bała się tego domu. Neogotycką, a może neorenesansową budowlę – styl trudno było rozpoznać – okalały dwa boczne skrzydła z licznymi oknami i wieżyczkami. Kompleks ciężko przysiadł na ziemi i przeglądał się w jeziorze żwiru, którego skrzywienie i przesuwanie się Minna wciąż czuła w koniuszkach palców u stóp.

Rzecz jasna w centralnym punkcie panoszyła się fontanna, a wokół anioły plotkowały ze sobą, pewne, że nikt ich nie podsłucha przy tym plusku wody. Wzdłuż jednego skrzydła w galerii z drewnianymi kolumnami znajdowały się boksy dla koni, które żyły tu po królewsku. To było jedyne radosne wspomnienie Minny z domu wuja. Długie konne przejażdżki po rodowych ziemiach, tak rozległych, jakby leżały na dalekiej wsi.

Minna nie uprzedziła o swojej wizycie, ale znała zwyczaje Gerharda. Wdowiec, a może rozwodnik – nawet tego już nie pamiętała – przedpołudnia lubił spędzać w domu, zarządzając swym królestwem przez telefon, pocztą pneumatyczną, poprzez telegramy czy choćby opatrzone pieczęcią listy. Gerhard nie przemawiał głosem dyktatora, lecz dyktafonu – na woskowych cylindrach, a jakże.

Tuż za progiem wkraczało się tu w erę marmuru. Twardość i blask kamienia panowały na każdym kroku. Marmurowe posadzki. Marmury na szerokich schodach, których stopnie były lodowate. Marmurowe płyty na ścianach holu, który mroził wchodzących jak grób. Własne kroki zdawały się brzmieć tu jak podzwonne.

Ale Minny wcale to nie onieśmiewało. Deptała dziecięcymi pantofelkami te lśniące powierzchnie, urządziła sobie na nich ślizgawkę, grała w klasy, jeździła na rowerku...

Otworzyły się przeszklone drzwi salonu i stanął w nich kamerdyner, którego imienia nie pamiętała. Służący w takich dużych domach byli krzyżówką istot ludzkich

z automatami. Poruszali się sztywno, jakby mechanicznie, precyzyjni niczym zegar na komodzie.

Minna była córką bogaczy. Była przywiązana do tych „domowników” (zarówno do służby stryja, jak do personelu we własnym domu), ale tak jak lubi się bibeloty, rzeczy, detale rodzinnego gniazda. Czasami kogoś trzeba było wymienić. Po kilku dniach wymazywała z pamięci tego, kto odszedł.

– Herr von Hassel przyjmie panią.

Służący zwracał się do niej jak do cudzoziemskiej dyplomatki składającej wizytę władcy. Nie zasługiwali na takie ceremonie – ani ona, bezrobotna lekarka, ani jej stryj, przemysłowiec z branży asfaltowej, z każdym dniem bardziej kompromitujący się swoją postawą wobec nazistów.

Salon przypominał wystrój Adlonu – takie same bawarskie sklepienia, podobne posępne obrazy na ścianach i atmosfera jaskini z wagnerowskiej legendy. Aby nadać wnętrzu nieco bardziej osobisty charakter, Gerhard ustawił tu kilka starych zbroi i zawiesił na ścianach halabardy. Nie mogło oczywiście zabraknąć kominka na prawo od drzwi i tak potężnego, że można by upiec w nim wołu. Skórzane fotele, dębowe stoły i tureckie dywany dopełniały wystroju wnętrza, a wszystko utrzymane było w ciemnych i rdzawych barwach.

– Kochanie – rozległ się niski głos, który brzmiał tu jak bzyczenie trzmiela w kościele.

Ach, ten Gerhard. Barczysta, potężna sylwetka, która ruszała na podbój przestrzeni, kwadratowa, kanciasta twarz, jakby ociosana siekierką. Słowo, które na jego widok cisnęło się na usta, to „gęstość”. Całe jego jestestwo emanowało wyjątkową intensywnością, jakby trzymała je magma, której stygnięcie wywołuje zjawisko kurczenia. Patrząc na niego, Minna myślała o sercach umarłych gwiazd, o których mówiono (zastanawiała się, kto to obliczył), że łyżeczka do kawy ich materii waży tyle co cały mercedes.

Jego twarz – więźniarka własnej masy – zachowywała iście defiladową powagę. Mimika, której obserwacja była całkiem ciekawa, nie polegała na płynnych zmianach, ale raczej na rwanych migawkach, jakby nie tworzyły jej mięśnie i skóra, lecz stal i koła zębate. Zwłaszcza śmiech dobywający się z istic wilczej paszczy, w której wyszczerzone, lśniące zęby zawsze zastygały o ułamek sekundy za długo – dość, by porządnie wystraszyć rozmówcę.

Natomiast jasne oczy cechowała niezwykła wyrazistość – każda emocja, każde uczucie odbijały się w nich natychmiast. To nie było zimne spojrzenie, przeciwnie, aż parzyło błękitem, takim samym jak na końcówkach płomieni, gdzie temperatura jest najwyższa.

Miała w wujaszku Gerhardzie była głęboka spójność fizyczna i społeczna. Nawet najdrobniejszy szew garnituru odzwierciedlał to, kim był: człowiekiem solidnym, jednym z najbardziej wpływowych przemysłowców Trzeciej Rzeszy. Każda jego decyzja powodowała drżenie niemieckiej gospodarki.

Nie miał nic wspólnego z nazistowskimi przywódcami, którzy nie dość, że wprowadzali niespójne, mordercze zasady, to jeszcze fizycznie byli uzurpatorami. „Jak rozpoznać idealnego Aryjczyka? To proste. Blondyn jak Hitler, wysoki jak Goebbels, smukły jak Göring”.

Minna nie była medium, ale mając przed sobą tego uśmiechniętego mężczyznę, który witał ją z otwartymi ramionami, przeczuwała, że rodzina von Hasselów przeżyje nazizm, wojnę, klęskę. Pewnego dnia, nie tak dawno, Gerhard powiedział jej: „My pracujemy dla innego Führera, kochanie, znacznie potężniejszego niż człowiek z wąsikiem. Dla boga, który przerasta wszystkie te patetyczne próby zmiany biegu historii. Dla pieniądza. Świat opiera się na pierwszym kapitaliście w dziejach, czyli na człowieku. To najpewniejszy walor, którego kurs nigdy nie spada, nigdy nie zawodzi – uporczywy egoizm istoty ludzkiej”.

– Czemu zawdzięczam przyjemność, jaką sprawia mi twoja wizyta?

Uściskał ją tak mocno, że aż zaboląły ją ramiona. Poczowała jego specyficzne perfumy – połączenie drzewa sandałowego z lawendą – ale także woń śniadania: kawy i grzanek.

Nie czekając na odpowiedź, ciągnął:

– Co słyhać w twoim szpitalu?

Nie było to ironiczne pytanie. W każdej bogatej rodzinie jest jakiś dziwak, artysta, odmieniec – drobna słabostka dynastii godnej tego miana. U von Hasselów ta rola przypadła Minnie.

Nie miała sumienia opowiadać mu o spaleniu instytutu, mówić, że sprawcami tej zbrodni byli właśnie ci, których von Hasselowie finansują swymi darowiznami.

– Wszystko w porządku.

Położył jej ręce na ramionach – różnica wzrostu była ogromna. Minna mogłaby wsunąć się wujowi pod pachę, a w jego marynarce zmieściłoby się cztery czy nawet pięć takich jak ona, oczywiście gdyby stanęły bokiem.

– Koniaku?

Gerhard znał słabostki bratanicy. Ochoczo przystała na jego propozycję, chociaż była dopiero jedenasta.

Przemysłowiec podszedł do komody zastawionej butelkami i karafkami. Stał plecami do niej, a ona podziwiała harmonię tej scenki: masywna sylwetka pana domu, lśniące meble, niski dźwięk towarzyszący wyciąganiu szklanego korka, który

podzwaniał o szyjkę karafki. Zaczęła wyobrazać sobie przejrzysty strumień lejącego się alkoholu, gęstego jak bursztyn. Aż poczuła narastające pragnienie, od którego mrowiła ją skóra pod włosami.

– Mów, moja mała. Co cię sprowadza?

Podając jej kieliszek, niemal siłą usadowił ją w fotelu.

– Przyszłam, bo chcę pomówić z tobą o lebensbornach – powiedziała spokojnie.

– O lebensbornach? – powtórzył zdziwiony. – Mam nadzieję, że nie narobiłaś głupstw?

– Chodzi o moją przyjaciółkę.

– Właśnie tak się mówi, kiedy zrobi się głupstwo.

– Przysięgam ci, że nie chodzi o mnie. Moja przyjaciółka zwróciła się do ośrodka Zeherthofer pod Berlinem. Chciałabym mieć pewność, że nic jej nie zagraża. Ludzie opowiadają niestworzone historie o tych instytucjach. Jestem przekonana, że ty znasz prawdę.

– Schlebiasz mi, kochanie.

Opadł na fotel na wprost Minny. Odcienie jego marynarki, brąz, butelkowa zieleń, czekolada, wzbudzały chęć, by wtulić się w tkaninę i zasnąć na niej. Dobry asfaltowy wujaszek, serdeczny i groźny jak niewielu innych.

– Na pewno myślisz, że finansuję tę dobroczynność, i masz rację. Otóż wszyscy esesmani mają obowiązek składać się na lebensborny. Od tego zależy dobro partii, rozumiesz?

Znów ten ironiczny ton. W klapie marynarki miał owalny srebrny znaczek. Sześć dębowych liści, a pod nimi napis: „Podziękowania SS za wierne wsparcie w latach walki”. To wyróżnienie otrzymywali darczyńcy sprzed 1933 roku. Wtedy von Hassel finansował zapewne i komunistów, i nazistów. Na wszelki wypadek.

– Od czego mam zacząć?

– Chyba najlepiej będzie, jeśli zaczniesz od początku.

Wypił łyk koniaku, a potem przemówił barytonem:

– Początkowo były to zwykle porodówki zorganizowane przez SS. Ośrodki, które pomagały pannom dyskretnie urodzić dziecko. Możesz to nazwać alternatywą wobec skrobanek, które były wówczas bardzo częste. Specyfika lebensbornów polegała na tym, że w razie potrzeby proponowały pozostawienie dziecka. Oddawano je dobrym niemieckim rodzinom, które miały problem z bezpłodnością. I wszyscy byli zadowoleni.

– Tylko tyle?

– Niezupełnie. Akcja nabrała rozmachu, kiedy Himmler zaczął propagować Führerdienst. Wiesz, że nigdzie ludzie nie pieprzą się tak jak w Niemczech?

Minna, chcąc zachować trzeźwość umysłu, zmagiała się z pokusą sięgnięcia po kieliszek. Ale ręce ją świerzbiły.

– Dziś ten kraj wpadł w istną histerię seksualną. Pieprzą się w Hitlerjugend. Pieprzą się w Bund Deutscher Mädel. Każde zebranie Reichsarbeitsdienstu zamienia się w orgię. I wszyscy są w doskonałych nastrojach! No cóż, przecież chcą zrobić przyjemność naszemu Führerowi.

Trudno było oddzielić obiektywną prawdę od upodobania wuja do prowokacji. Minna wciąż siedziała nieruchomo, ale kieliszek puszczał do niej oko, a usta jej zaschły i prawie się skleily.

– Dziś lebensborny rozkwitają. Na razie jest ich chyba około dwudziestu. W Bawarii, w Saksonii, w Brandenburgii. Naziści chcą osiągnąć poziom pięciuset narodzin rocznie w każdej placówce. Himmler, który myśli przede wszystkim w kategoriach militarnych, już wyobraża sobie Niemcy za dwadzieścia lat bogatsze o sześćset pułków. Według jego obliczeń w latach osiemdziesiątych sto dwadzieścia milionów Niemców będzie rządzić światem!

W końcu Minna pozwoliła sobie na odrobinę koniaku. Łagodność trunku, zarazem cierpkiego i miękkiego, przyprawiła ją o dreszcz.

– Lebensborny czasami zatrzymują dzieci, tak?

– Owszem, coraz częściej.

– Przypuszczam, że te dzieci przechodzą szczególną... edukację?

– Rzecz jasna. Wszystko zaplanowane jest tak, by produkować dobrych małych nazistów. Zresztą ten proces zaczyna się już przedtem, w momencie doboru przyszłych mam. Nie wszystkie są tam mile widziane. Trzeba być niebieskooką blondynką i spełniać wiele innych kryteriów fizycznych. Himmler nigdy nie zrezygnował z idei rasy aryjskiej. Zaludnić Niemcy, owszem, ale tylko silnej budowy blondynami i atletycznymi pannami!

– Jak przebiega ta selekcja?

– Specjaliści od rasy przyjmują brzemienne dziewczęta. Mierzą je, badają, wypytyują. Sprawdzają ich pochodzenie, tak samo jak pochodzenie ojców (zawsze trzeba ustalić, kto nim jest). Przyjmowane są tylko te kobiety, które mają realną szansę urodzić dziecko rasy nordyckiej.

– Sporo musi być odrzucanych, prawda?

Gerhard drwiąco zachichotał.

– Zwłaszcza w Bawarii, gdzie Niemcy są niskimi brunetami! Himmler nie chce zrozumieć, że jego wzorzec jest raczej szwedzki albo polski. Uważam, że kiedy Niemcy podbiją te kraje, będą korzystać z tamtejszego materiału. To ironia losu: karmić krew zwycięzców krwią pokonanych.

– A wychowanie jako takie?

– Himmler pomyślał o wszystkim. Sam kontroluje dietę, to, co należy mówić dzieciom, jakie książki dawać im do czytania. Czy wiesz, że zanim stanął na czele SS, hodował kury? Wszystko to można by uznać za zabawne, gdyby nie było takie... tragiczne.

Stanowisko Gerharda było naprawdę chwiejne. W zaufanym gronie rodzinnym zawsze odnosił się do nazistów z głęboką pogardą, niemniej robił z nimi interesy i z zapałem budował dla nich autostrady.

– Przeprowadziłeś własne śledztwo? – zadała mu kolejne pytanie.

Sięgnął po karafkę i napełnił kieliszki. Nie robił problemu z alkoholizmem bratanicy. W jego oczach uzależnienie stanowiło element „oryginalności” Minny.

– Lubię wiedzieć, dokąd trafiają moje pieniądze. Zatrudniłem detektywów, żeby trochę powęszyli.

– To dość niebezpieczne.

– Są stosownie opłacani.

– Czego jeszcze się dowiedziałeś?

Gerhard skrzyżował nogi. Czuł się w pełni swobodnie zarówno w fotelu krytym skórą pytona, jak i w garniturze, który wyglądał jak z miękkiego filcu. Po chwili parsknął śmiechem.

– Że to tylko fasada. W rzeczywistości lebensborny, jak wszystko, co robią hitlerowcy, pogrążone są w totalnym chaosie. Ponieważ powyrzucano lekarzy Żydów, a zniechęcono tych, którzy pozostali wierni przysiędze Hipokratesa, nie mogą znaleźć nikogo, kto kierowałby ich „źródłami życia”. Czasami szefem kliniki jest nawet dentysta. Także matki są specyficzne. Większość to stuknięte fanatyczki. Część dziewczyn rodzi, wpatrując się w portret Hitlera, jakby był ich bogiem. Inne przeżywają ciężę w nerwach, bo zaszyły w nią powodowane obsesyjnym pragnieniem „służby” Führerowi. Są też takie, które nie chcą się w to bawić. Tuż po porodzie biorą dziecko pod pachę i biegną do najbliższego kościoła, żeby je ochrzcić. Albo po prostu chcą skorzystać z lepszych warunków oferowanych przez ośrodki. Kawa i czekolada do woli. Pielęgniarki i położne kradną leki, pościel, pustoszą magazyny i podwędzają pensjonariuszkom jedwabne pończochy i biżuterię. Moi ludzie byli przerażeni – ciągnął. – Pod pozorami porządku i dyscypliny kryje się niewyobrażalny burdel. Przy rejestracji narodzin mylone są dzieci, w zupie można znaleźć gwoździe, pod łózkami szczury. Strażnicy próbują dobierać się do ciężarnych i do położnic. Ich psy wariują, kiedy któraś z kobiet zaczyna znowu miesiączkować. Mówiono mi też o dzieciach, które zapomniano zabrać ze słońca, które udusiły się w łódeczku, a także o epidemiach, które potrafią zabrać cały miot noworodków. To kwintesencja nazizmu: obłąkańczy projekt zrealizowany przez bandę niepiśmiennych obwiesiów. Ludzie

Rzeszy mogą sobie paradować w tych pięknych mundurach i obwieszać się medalami, ale nigdy nie wzniosą się ponad poziom cuchnącej piwiarni, z której wyszli.

I wszystko było już jasne. Pozostała tylko najważniejsza kwestia:

– Krążą pogłoski – podjęła Minna – że lebensborny to lupanary dla oficerów SS. Miejsca, gdzie chętne kobiety idą, żeby przespać się z muskularnymi Aryjczykami. Co o tym sądzisz?

Gerhard wyjął z górnej kieszeni cygaro wielkości pocisku. Ceremonia przypalania go trwała ponad minutę. Minna od przyjścia czekała na tę chwilę. Zawsze widywała stryja w gęstych kłębach dymu.

– Wciąż te plotki – powiedział w końcu zza białego oparu. – Nie da się ich uciszyć.

– Te historie to bajki?

– Moi detektywi nie odkryli niczego w tym rodzaju, trudno jednak wykluczyć „prokreację sterowaną”. – Von Hassel wypuścił dym i znów się zaśmiał. – Himmler z pewnością jest zdolny do wymyślenia czegoś takiego. Hodowli ludzi, gdzie kobiety przychodziłyby, żeby dać się zapłodnić przez jakiegoś byka rozplodowego. Prawdę mówiąc, myślę, że to mu się marzy, że taka hodowla to jego skrywana pasja. Stworzyć superrasę! – Wstał i rozłożył ręce, wszak odrobinka teatralności nigdy nie szkodzi wykładowi. – Właściwie czemu nie, gdyby wszyscy się na to zgodzili?

– Chciałabym, żebyś poparł moją kandydaturę.

To zdanie wystrzeliło, zanim zdążyła je przemyśleć.

– Co takiego?

– Chciałabym zgłosić się jako ochotniczka do spotkania z aryjskim plemnikodawcą.

– Kochanie, co się z tobą dzieje? Brak ci faceta? Jeśli tak, to chętnie przedstawię ci cały legion młodych, piekielnie bogatych dziedziców, to będzie pewna odmiana po artystach z suchotami.

– Nie. Chcę nawiązać kontakt z utajnionym biurem lebensbornów.

Gerhard machał ręką, jakby chciał rozerwać zasłonę siwego dymu.

– Przecież powiedziałem, że to tylko hipoteza!

– To biuro istnieje i wiesz o tym równie dobrze jak ja. Chcę spotkać się z ludźmi, którzy nadzorują tę... hodowlę. Chcę zaproponować, aby mnie tam zapłodniono.

Arystokrata zmarszczył brwi.

– Co ci strzeliło do głowy? Chcesz spółdzić dziecko z jednym z tych esesmanów półidiotów? To do ciebie niepodobne.

– Tak daleko się nie posunę, ale chcę wiedzieć, jak to się odbywa.

– Dlaczego?

– Ponieważ moja przyjaciółka przeszła tę drogę. Jestem tego pewna.

Myśli zaczynały się układać w logiczny ciąg. Greta nie potrzebowała ani męża, ani kochanka, żeby zająć w ciążę. Zwróciła się do Lebensbornu. Któregoś marcowego dnia 1939 roku udała się do ośrodka na przedmieściu Berlina i zgłosiła chęć urodzenia „dziecka dla Hitlera”.

Taka hipoteza nie przystawała do osobowości Greta, jednak Minna czuła, że jest już bliska prawdy. Frau Fielitz pragnęła się przyczynić do odbudowy demograficznej Niemiec.

– Nie rozumiem – westchnął Gerhard, siadając. – Skoro sądzisz, że twoja przyjaciółka to zrobiła, dlaczego po prostu jej nie zapytasz?

– Ponieważ ona nie żyje. Została zamordowana.

Na zasnutą dymem twarz barona widać było zaszepienie.

– Uważaj, w co się pakujesz, moja mała. Berlin stał się bardzo niebezpiecznym miastem. Łatwo się tu umiera.

– Chcę wiedzieć, co się stało.

– Podejrzewasz, że jej śmierć ma związek z lebensbornami?

– Nie mam pojęcia. Ale chcę nawiązać kontakt z tymi ludźmi.

Wuj rozparł się w fotelu.

– Przykro mi, Minno, ale nie mogę ci pomóc.

– Nie możesz czy nie chcesz?

– Przykro mi, to zbyt ryzykowne.

– W jakim sensie?

– Z ludźmi pokroju Himmlera nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć.

Wstała, nie nalegając. Poradzi sobie inaczej. Poprosi o pomoc Beewena albo choćby Simona.

Stryj odprowadził ją do marmurowego holu. Był zaniepokojony.

– Jak nazywa się ta twoja przyjaciółka?

– Nie martw się – odpowiedziała i pocałowała go w policzek. – Zapomnij o tej sprawie. To nie takie ważne.

Przeszła przez dziedziniec, gdzie wciąż szemrała fontanna, i wsiadła do mercedesa. Przepęłniało ją osobliwe ciepło, które nie miało nic wspólnego z koniakiem wypitym o tak wczesnej porze. Teraz była już pewna, że znalazła właściwy trop.

Motyw zbrodni miał coś wspólnego z lebensbornami.

Studio Babelsberg znajdowało się w Poczdamie, na południowy zachód od Berlina. Było jedynym w Europie mogącym konkurować z Hollywoodem i stało się prawdziwą legendą kina niemieckiego. To tu nakręcono filmy *Nosferatu – symfonia grozy* i *Metropolis*.

Rozpowszechniała się opinia, że studio ograniczyło aktywność po nastaniu nazizmu. To nieprecyzyjne twierdzenie. Władze Rzeszy położyły łapę na produkcji kinematograficznej, ale nie żeby ją przygasić, wręcz przeciwnie. Od roku 1933 studio Babelsberg pracowało pełną parą, produkując niemal sto filmów rocznie.

Mówiło się też, że wszystkie talenty uciekły przed nazizmem. To kolejny błąd. Oczywiście, Fritz Lang, Robert Wiene, Marlene Dietrich, Peter Lorre czy Samuel Wilder szybko spakowali manatki, ale wielu aktorów i reżyserów zostało. Jedni opowiadali się za wartościami nazizmu, inni byli po prostu oportunistami, lecz i ci, i ci pracowali jak nigdy wcześniej i na terytorium Niemiec byli rozpieszczanymi gwiazdami. Emil Jannings, Lil Dagover, Kurt Steinhoff, Gustav Fröhlich mieszkali w kraju, a tacy reżyserzy jak Georg Wilhelm Pabst czy Veit Harlan nie próżnowali.

Simon doskonale znał niemieckie kino. Po pierwsze dlatego, że uwielbiał filmy, czerpał niewypowiedzianą radość z patrzenia na postacie olbrzymów, srebrzystych półbogów, którzy wyrażają uniwersalne uczucia na tle fantastycznych dekoracji i romantycznej muzyki. Po drugie dlatego, że miał wśród pacjentów wielu aktorów i inne osoby z tych kręgów. Jak zawsze nie przestrzegał jednej z podstawowych zasad psychoanalizy: zachować dystans wobec pacjenta, i z radością przyjmował zaproszenia do studia Babelsberg czy do UFA na Tempelhofie.

Dziś nie przyszedł tu, żeby się przechadzać i zwiedzać. Wraz z Minną szukali Sylvii Müthel, od wielu lat zajmującej się kostiumami dla UFA. Właśnie ona pracowała przy filmie Albrechta Wegenera *Duch z przestworzy* z roku 1932.

Neubabelsberg był rozległą równiną, na której ustawiono ogromne hangary bez okien – studia filmowe w czystym tego słowa znaczeniu. Dowiedzieli się, że Frau Müthel pracowała na planie filmu muzyczno-tanecznego, jakich produkowano wówczas wiele, zatytułowanego *Nikt nie odbiera*.

Kolejny stereotyp: naziści kręcili wyłącznie filmy propagandowe. Wręcz przeciwnie, woleli ogłupiać publiczność komediami romantycznymi i mydlanymi operami. Na każdy taki film jak *Triumf woli* Leni Riefenstahl czy *Młody hitlerowiec Quex* Hansa

Steinhoffa przypadają dziesiątki filmów rozrywkowych, gdzie każdy problem rozwiązywało się piosenką.

Plan *Nikt nie odbiera* znajdował się w trzecim studiu po lewej. Pojechali szeroką ulicą, mijając ciężarówki, na których stały jupitery, oraz kilku żołnierzy w hełmach z czasów wojny 1870 roku.

Simon i Minna przyjechali tu rano, każde z własną rewelacją: on ścigał Marmurowego Człowieka, tego prawdziwego, ona miała już pewność, że Greta była w lebensbornie i to tam zaszła w ciążę. Kto wygrał? Sensacja kontra sensacja – dwójka psychiatrów próbowała konkurować ze sobą. Ich informacje się równoważyły, można powiedzieć, że był to remis i nikt nie zdobył przewagi, na jaką oboje liczyli. Przede wszystkim ich sensacje nie łączyły się ze sobą, więc nie pozwalały stworzyć spójnej całości.

Dotarli do wskazanego studia. Drzwi były otwarte, zanurzyli się więc w głębokich ciemnościach hangaru. Tylko dekoracje były oświetlone i w tej ogromnej mrocznej przestrzeni wyglądały jak makieta (którą przecież były). Potykali się (każdy potyka się w studiu) o kable i oświetlenie.

Przeprosili i zapytali, gdzie znajdą Sylvie Müthel – mimo woli zniżali głos do szeptu, jak w świątyni. Technik wskazał im pokój w najdalszym krańcu studia, rodzaj wozu zagubionego pośród nocy.

Zapukali, ale nikt nie odpowiedział. Weszli. Przestrzeń wypełniały rzędy ciasno powieszonych ubrań, od szat dworskich z czasów Fryderyka II poprzez średniowieczne stroje po redingoty rosyjskiej arystokracji. W powietrzu unosiła się dziwna woń, jakby wiórów, kurzu i wilgoci. Woń śmierci i zapomnienia.

Wślizgnęli się między wieszaki i doszli do stołów krawieckich. Jakaś kobieta wybierała materiały, siedząc przy maszynie do szycia potężnej jak armata.

– Dzień dobry.

– W jakiej sprawie?

Sylvia Müthel wyglądała jak nauczycielka. Miała wysokie czoło, masywne okulary, siwe włosy związane w kok nad karkiem. Nosila fartuch malarski z bardzo szerokimi rękawami – wyglądała jak czarodziej z bajki.

Przedstawili się – dwoje psychiatrów pragnących się dowiedzieć jak najwięcej o produkcji filmu *Duch z przestworzy* i roli, jaką Ruth Senestier odegrała przy tworzeniu maski Ducha.

– Po co wam te informacje?

– Ponieważ Ruth Senestier – odparła bez wahania Minna – była moją przyjaciółką, a my jesteśmy przekonani, że jej śmierć ma jakiś tajemniczy związek z tym filmem i z maską, którą nosił Duch.

- Co was uprawnia do prowadzenia tego śledztwa?
- Przyjaźń. Pamięć o Ruth.
- Co chcecie wiedzieć?
- Wszystko, co zdoła sobie pani przypomnieć.
- Pamiętam wszystko. Nazywano ten film *Wielkim Przeklętym*.

– To były szczególne zdjęcia – zaczęła. – Dekorator opracował system, który imitował rozgwieżdżone niebo i zmuszał nas do kręcenia w ciemnościach przez cały dzień. Poza tym aktorzy, którzy grali role kosmicznych nawigatorów, nosili hełmy nagłośniające ich oddech. Na planie ciągle słychać było to niepokojące dyszenie, które odbijało się od ścian studia.

– Dlatego mówiła pani o „kłątwie”? – spytała Minna.

– Nie. Od początku zdjęć dochodziło do wypadków. Plan filmowy jest jak okręt. Obawa przed nieszczęściem szybko się rozprzestrzenia. Wystarczy jakieś dramatyczne zdarzenie, by wszyscy uwierzyli, że nad filmem wisi klątwa.

– A co się stało? – spytał Simon.

Stali przed stołem, słuchając kobiety siedzącej pośród stosów tkanin. Zapach kurzu sprawiał, że powietrze było tu gęste, niemal namacalne. Gdzieś w pobliżu słychać było westchnienia żelazka parowego.

– Najpierw jednemu z techników spadł na głowę gorący reflektor. Jego włosy zapłonęły jak pochodnia. Potem elektryk zleciał z wysokości pięciu metrów. Połamał obie nogi. To wystarczyło, żeby zaczęły się pogłoski.

– Ale dlaczego „kłątwa”? – dopytywała Minna.

Sylvia Müthel beztrosko machnęła ręką.

– Świat kina jest bardzo przesądny, już pani mówiłam. Zawsze są jakieś historie o duchach, pechu... Krążą po studiu. To element naszego folkloru. Ale wszystkich dobiła postać Edmunda Fromma.

– Kto to?

– Aktor, który grał Ducha w starciu z Kurtem Steinhoffem, bohaterskim kosmonautą, naszym gwiazdorem narodowym.

Kurt Steinhoff był młodym gwiazdorem, który zmiękczał serca pokoleń Niemców oczarowanych jego twarzą torreadora i przygładzoną fryzurą. Simon nie znał Edmunda Fromma. Pewnie był jednym ze złych. Jednym z wielu. Ale na wzmiankę o aktorze, który nosił maskę Ducha, poczuł mrowienie z tyłu głowy. Widział siebie, gdy minionej nocy brnął kanałami pełnymi deszczówki. *To wszystko dzieje się za szybko.*

– Co takiego szczególnego było w tym człowieku? – zapytała Minna.

– Właściwie wszystko. Choćby jego twarz. Fromm zawsze grał potwory albo zjawy, często bez charakteryzacji. Za czasów ekspresjonizmu pasował do anamorficznego

scenografii i gry światłocieni.

– To wszystko?

– Nie. Jego osobowość była... jak by to powiedzieć... specyficzna.

– To znaczy?

– Na przykład nigdy nie zdejmował maski.

– Chwileczkę – wpadła jej w słowo Minna. – Najpierw coś wyjaśnijmy. Czy tę maskę wykonała Ruth Senestier?

– Oczywiście. Na podstawie rzeźby przygotowanej w jej pracowni. Potem zastosowała technikę galwanoplastyki. To sposób, jakiego używała po wojnie do...

– Wiemy.

Kobieta zagryzła usta – nie lubiła, kiedy jej przerywano. Ale podjęła takim samym oschłym tonem, opisując wydarzenia w najdrobniejszych szczegółach, w żaden sposób, intonacją ani mimiką, nie zdradzając emocji.

– No. Wykonała więc tę maskę, nawiasem mówiąc, po prostu przerażającą, w taki sposób, żeby Fromm mógł ją nosić przez wiele godzin bez przerwy. Zrobiła na przykład szczeliny wentylacyjne i podbiła całość flanelą, która wchłaniała pot. Wszystko było doskonałe, a raczej byłoby, gdyby nie to, że Fromm już wcale nie zdejmował tej maski, a wieczorem wracał w niej do domu!

Simon i Minna popatrzyli na siebie – po aferze z Krappem nie było mowy, żeby się rzucali na pierwszego lepszego podejrzanego, jednak dziwak, który utożsamiał się z Marmurowym Człowiekiem, wymagał większej uwagi.

– Czy miał jeszcze jakieś... dziwne zachowania? – spytał Simon.

– Niech pan lepiej zapyta, czy był skończonym wariatem. Porównywali go do Maxa Schrecka, aktora, który grał Nosferatu, jednak mogę pana zapewnić, że Schreck był czarującym człowiekiem. Nie zdziwiłabym się natomiast, gdyby się okazało, że Fromm to wampir.

– Co pani ma na myśli?

Sylvia Müthel westchnęła, jakby się zastanawiała, jak wyjaśnić niewytłumaczalne.

– Nigdy nie opuszczał swojej garderoby, a jeśli już musiał, wychodził w masce. Zaczęły krążyć plotki. Poza tym pojawiły się te dziwne zapachy.

– Jakiego rodzaju?

– To było coś organicznego, żelazistego, jak krew. Pewnego dnia reżyser poszedł się temu przyjrzeć. W garderobie Fromma znalazł słoiki pełne krwi, a także coś w rodzaju purée z podrobów.

– Szczątki zwierzęce?

– Tak właśnie powiedział Fromm. Dyrektor produkcji usłyszał od niego, że to szczątki jego kota. Bo uwielbiał tego kota. Ale innym razem wyjaśniał, że to królik.

A kiedyś tłumaczył, że jest na diecie skomponowanej z surowego mięsa. Stażysta przysięgał wówczas, że widział go pijącego krew ze słoika.

Zapadła cisza. Dwójka psychiatrów porozumiała się spojrzzeniami.

– Gdzie jest teraz ten Fromm? – spytała Minna.

– Zmarł.

– Kiedy?

– W trzydziestym trzecim albo trzydziestym czwartym roku, nie pamiętam. Odebrał sobie życie. W studiu nikt po nim nie zapłakał. To był naprawdę dziwaczny typek.

Znów zmarnowali czas. Ledwie na horyzoncie pojawiał się podejrzan, a już się okazywało, że wąża kwiatki od spodu.

– Proszę opowiedzieć nam o Ruth – podjął Simon.

– Była dobrą koleżanką – powiedziała, nie pytając nawet, jak zmarła artystka, bo w hitlerowskich Niemczech nie zadawało się już takich pytań. – Doskonały fachowiec i świetna współpracownica. Z sercem na dłoni, zawsze gotowa pomóc.

– Co może nam pani powiedzieć o masce Ducha?

Müthel wzruszyła ramionami, co w obszernym fartuchu wyglądało jak lekkie falowanie i samo w sobie było odpowiedzią.

– Niewiele. Ruth była specjalistką, doskonale imitowała minerały. Ta maska miała wyglądać jak z marmuru, a raczej czegoś w rodzaju marmuru, bo przecież przybysz pochodził z innej planety, rozumieją państwo. Przypominam sobie, że Ruth bardzo starannie malowała żyłkowania na tym niby-marmurze. Iluzja była doskonała. Naprawdę świetna robota.

– Czy pani wie, co się stało potem z tą maską?

– Została zniszczona. Jak inne akcesoria po zakończeniu zdjęć do filmu.

Fromm nie żył, maska zniknęła. Ta rozmowa do niczego nie prowadziła. Mimo to Simon wyobraził sobie aktora pijącego krew i przechadzającego się po planie w masce o rogach jak ostrze noża.

– Czy przypomina sobie pani szczególne relacje między Ruth Senestier a Edmundem Frommem? – zapytał.

– Tak.

Simon drgnął: nie spodziewał się odpowiedzi twierdzącej.

– Ruth się nad nim litowała. Na planie wszyscy go unikali. To było jak zmowa. Ruth nie wdawała się w konflikty, zawsze znajdowała dla niego czas. Pamiętam, że ciągle poprawiała coś przy masce, naprawiała każdy detal. Cierpliwie malowała na niej nowe żyłkowania, wygładzała róg, retuszowała...

Nagle Simonowi przyszło do głowy coś innego.

– Mówiła pani, że kręciliście ten film w ciemnościach. Czy zdarzało się, że ktoś z ekipy zasnął?

Po raz pierwszy Sylvia Müthel się uśmiechnęła.

– Od razu widać, że nie jest pan z naszego środowiska. Na planie panuje taka wrzawa, że tylko głuchy zdołałby usnąć.

– Ale czy nikt nie robił sobie przerw?

Tym razem parsknęła śmiechem.

– Powiedziałam panu, że wszyscy mieliśmy stracha, ale nie że Duch wpędził nas w obsesję!

Po przesłuchaniu szofera Greta Beewen pojechał do szpitala Charité, żeby zasięgnąć informacji o Dynamie. Jego podwładny błyskawicznie dochodził do siebie. Czuł się już na tyle dobrze, że zdobył się na kilka dowcipów i udzielił mu paru rad. Coś w rodzaju: „Przede wszystkim nie rzucaj się nikomu w oczy” albo: „Nie wtrącaj się już w tę cholerną sprawę”. Dynamo, choć zgrywał głupekowego pajaca, miał dużo zdrowego rozsądku. Grali i przegrali. Koniec partii. Próba dalszej gry byłaby zwykłym samobójstwem.

Beewen przytakiwał przez grzeczność. Dynamo wyzdrowieje i to była dobra wiadomość. I nie dość, że uniknął degradacji, to odniesiona rana dawała mu swoistą ochronę. Może nawet awansuje.

„Nie wtrącaj się już w tę cholerną sprawę”. Mimo to znalazł się tu, na drugim piętrze gmachu Gestapo, w pobliżu swojego dawnego biura.

– Nic tu po tobie.

Odwrócił się – Hauptsturmführer Grünwald, któż by inny! Sterczał w progu swojego gabinetu jak cieć w bramie.

– Przyszedłem odwiedzić dawnych kolegów.

Grünwald tylko pokiwał głową. Z tą wklęsłą klatką piersiową, wąsami lśniącymi od jakiegoś smarowidła, przylizanymi włosami w kolorze gówna wyglądał jak szczotka do sedesu.

– Beewen, ty już nie masz tu przyjaciół. Jesteś tu persona non grata.

Beewen podszedł do niego. Grünwald udał, że wacha w zaniepokojeniu.

– Nie wydaje ci się, że jakoś dziwnie tu zalatuje? Jakby woń zepsutego mięsa. – Pochylił się i szepnął Beewenowi do ucha: – O, przepraszam, coś mi się wydaje, że nowe zadania chodzą za tobą krok w krok. Już cuchniesz jak szakal.

Beewen cofnął się o krok, myśląc, jak miło byłoby dać mu teraz w pysk, a potem zawiesić go na wieszaku. Ale nie, bo chociaż w hierarchii nie mógł już niżej spaść, to wylądowałby w areszcie, a miał pilniejsze zajęcia.

– Pozwól moim dawnym kolegom decydować za siebie.

– Nikogo nie ma. Co ty sobie wyobrażasz? Może za twoich czasów wszyscy się tu objali, ale pod moim dowództwem śledztwo się posuwa.

Beewen otworzył usta, żeby odpowiedzieć, lecz Grünwald go ubiegł:

– Szkoda, nie będziesz mógł się z nimi nawet pożegnać.

– Pożegnać?

– Wkrótce wysyłają cię do Polski, ty durniu, żebyś woził taczka trupy Żydów. Będą tam potrzebowali takich specjalistów jak ty. – Splunął mu pod nogi. – Prawdę mówiąc, nigdy nie zasługiwałeś na więcej.

Beewen się uśmiechnął. Grünwald wykazał się przecież swego rodzaju odwagą. Beewen ważył dwa razy tyle co on, a w dodatku pan szermierz nie miał żadnego doświadczenia w stosowaniu przemocy i ulicznych bójkach. Był urodzonym urzędnikiem, od dziecka wyglądał jak dobrze zatemperowany ołówek. Ale przede wszystkim Grünwald wierzył w nazistowską hierarchię. Beewen nie mógł podnieść ręki na wyższego stopniem. To było po prostu nie do pomyślenia.

Znów zbliżył się o krok do oficera, tamten się cofnął (a jednak!).

– Ale ja przynajmniej – szepnął – wyszedłem z tego cało. Nie wszystkim się to uda. Nie zapominaj o Maksie Wienerze.

– Co?

– To śledztwo jest niebezpieczne, Grünwald. Jest jak wyrok na tych, którzy się nim zajmują.

Zobaczył, jak grdyka szermierza podskakuje niczym rzucona moneta. Franz obrócił się na pięcie, zamierzając odejść, pięści miał zaciśnięte, lecz opuszczone.

– A przy okazji, Beewen...

Franz spojrział na niego.

– Przykro mi z powodu twojego ojca. Ale raczej nie cierpiał długo. Starcy palą się jak suche drewno i...

Philip Grünwald nie dokończył zdania.

Pięść Beewena roztrzaskała mu nos i wysłała całość – te przylizane włosy, wąsy, mundur, wypolerowane buty – do lśniącego gabinetu Hauptsturmführera.

Idąc na dół głównymi schodami, spotkał Alfreda. To jego szukał przed chwilą na górze. Zauważywszy Beewena, młody oficer cofnął się, zapewne z obawy, że dawny przełożony znowu zabierze mu klucze albo zmusi go do przysługi, która mogłaby okazać się kosztowna.

Franz chwycił go za kołnierz i zaciągnął pod kamienne schody, gdzie byli poza zasięgiem gestapowskich oczu i uszu.

– Co ze śledztwem?

– Ale...

– Dołączyłeś do zespołu Grünwalda, tak czy nie?

– Tak.

– Mów.

– Stoi w miejscu. Grünwald kazał przesłuchać dziesiątki świadków znad jeziora Plötzen. Nikt nic nie widział.

– Jak uzasadnia te przesłuchania?

– Dochodzeniem. Ale z reguły kiedy do kogoś idziemy, nikt nie zadaje pytań.

Grünwald nie jest więc tak głupi, jak sądził Franz. Wykorzystał strach przed Gestapo, żeby chodzić od drzwi do drzwi, nie przejmując się konsekwencjami. W końcu Geheime Staatspolizei węszyła wszędzie i zawsze.

– Co poza tym?

– Grünwald kazał też przeczesać strefę, w której odnaleziono Gretę Fielitz. Ma nadzieję odnaleźć jakiś przedmiot, jakiś trop....

Hauptsturmführer marnował czas. W każdym miejscu zbrodni przeprowadzono już takie poszukiwania, wzywano KTI, żeby dzieliło włos na czworo i analizowało każdy detal. Wszystko na próżno.

– A bliscy Grety?

– To trudniejsza sprawa. Obracała się wyłącznie wśród elity władzy. Ale Himmler dał Perninkenowi *carte blanche*, ten natomiast rozkazał Grünwaldowi, żeby nie bawił się już w rozpracowywanie sprawy w białych rękawiczkach. Nasi ludzie przesłuchują wszystkich jej przyjaciół i znajomych, a to spora grupa.

– A mąż?

– Nic nie mówi. Ponoć jest pogrążony w rozpacz...

Franzowi stanął przed oczyma Günter Fielitz na huśtawce w przebraniu Marlene Dietrich. *No cóż...* Grünwald prowadził śledztwo jak wielkie manewry, z rozmachem.

Właściwie dlaczego nie? Technika Beewena – skupienie się tylko na kilku faktach przy wsparciu dwojga cywilów – wcale się nie sprawdziła.

– To wszystko?

– Nie. Dziś Obergruppenführer był dwa razy u Reichsführera.

Beewen miał już po uszy tych dziwacznych stopni SS. Ważna informacja: mimo wojny, mimo niezliczonych spraw, które osobiście nadzorował, Himmler nie zapomniał o Damach Adlonu i Beewen doskonale to rozumiał. Cztery ofiary z wyższych sfer zarżnięte i wypatroszone pod nosem dyktatury SS to nie była błahostka, ale zagrożenie chaosem.

Spojrzał na zegarek. Była czternasta, pora zbiórki. Musiał dołączyć do oddziału totengräberów.

– Jeszcze do ciebie przyjdę – powiedział do Alfreda, klepiąc go po ramieniu.

Przeszedł przez kamienny hol do innych schodów, prowadzących do piwnicy, w której dawniej znajdowały się magazyny dzieł sztuki, a dziś posępne cele.

Beewen wszedł do szatni, gdzie esesmańskie wyrzutki piły, jadły i pierdziały, opowiadając sobie mroczne anegdoty, w których przeplatały się seks i szczegółowe opisy różnych egzekucji.

Kochmieder prezentował właśnie swój pomysł – metodę wyciągania zwłok. Dowodzący padlinożerca chciał zostać wynalazcą. Zasłynął już w czerwcu roku 1933, topiąc ciała na dnie rzeki Dahme w zaszytych obciążonych workach, które sam przygotowywał.

Teraz wpadł na pomysł, żeby umieszczać głowę nieboszczyka w drewnianej skrzynce i zalewać ją cementem. Po kilku minutach taka głowa ważyła około pięciu kilogramów.

– Rzućcie to do rzeki – rechotał – a zobaczycie efekt!

Jego ludzie przytakiwali, pełni podziwu dla takiej pomysłowości.

Kiedy Untersturmführer zauważył Beewena starającego się zachowywać dyskretnie, od razu przerzucił się na niego.

– Dzisiaj zafundujemy sobie trochę inną rozrywkę – powiedział.

– To znaczy?

Oficer rozłożył dłonie jak magik, który zamierza wypuścić z nich gołębia.

– *Zigeuner!*

Hitler pałał nienawiścią do Żydów. Ale za *Zigeuner* – Cyganami – też nie przepadał. Początkowo, za czasów *Mein Kampf*, nie interesował się zbytnio tymi koczownikami, lecz z upływem czasu zdołali go przekonać, że są jednym z najgorszych przykładów marginalnej grupy etnicznej, wędrownej, społecznej i zdegenerowanej. Odtąd znaleźli się na celowniku hitlerowców i prześladowano ich pod byle pretekstem.

Totengräberzy jechali teraz ciężarówką, tą samą, którą wczoraj zwozili trupy, podskakując jak worki z kartoflami w smrodzie krwi i mięsa. Na szczęście plandeka była podniesiona. Poczdam. Michendorf. Seddiner See. Zbliżali się do wsi zalanych słońcem, gorących. Wiatr niósł zapach skoszonego siana i palonych roślin.

Beewen usiadł na końcu i próbował oczyścić myśli. Śledztwo. Praca. Przeszłość. To wszystko powinno znaleźć się poza sferą jego myśli. Na pół śpiąc, wolał wczuć się wyłącznie w rytm jazdy po wybojach i czekać, co przyniesie popołudnie.

– Co to za robota dzisiaj? – spytał w końcu.

– Cyganie, którzy udawali idiotów.

– Czyli?

– Stawiali opór podczas łapanek. Esesmani wybili wszystkich mężczyzn. – Żołnierz zacisnął pięść, wyciągnął palec wskazujący i uniósł kciuk, udając, że trzyma pistolet. – Już po nich! – dodał.

– Kiedy to było?

– Wczoraj.

– Zwłoki przeleżały tam całą dobę?

– No i co to komu przeszkadza? Dalej już nie uciekną!

Ciężarówka skręciła w polną drogę. Beewena ogarnęło ponure przecucie. Gdzieś pośród tych wspaniałych pól czekał na nich koszmar. Jedno z drobnych łajdactw SS, obrzydliwe i odstręczające.

Dojechali na rozległą polanę otoczoną zagajnikiem. Kwitnące krzewy ubarwiały skraj lasu, w powietrzu unosił się silny zapach roślin, każdy liść zdawał się ociekać sokiem, nasionami i życiem. Beewen pomyślał o piknikach, pływaniu łódką, popołudniach w kąpielówkach przy dźwiękach jazzu płynących z gramofonu. Nigdy niczego takiego nie przeżył i nie zapowiadało się, żeby wkrótce mógł sobie na to pozwolić.

Kiedy ciężarówka o mało nie wpadła do rowu, wszystko stało się jasne. Nad zwęglonymi cygańskimi wozami w przejrzystym powietrzu unosiły się jeszcze czarne

dymy. Wielki stos gałganów zalegał na łączce, a dalej, tuż pod drzewami, wznosił się pagórek brunatnego błota.

Zbliżyli się o kilka metrów i Beewen zobaczył wszystko wyraźniej. Stos gałganów, jak się okazało, był grupą ludzi, kobiet i dzieci w kolorowych strojach, klęczących jedno przy drugim, śpiewających, zawodzących i płaczących. A błotnisty wzgórek zamienił się w stos nagich, rozkładających się ciał, wzdętych w upale i obleganych przez chmary much.

Beewen zmrużył oczy i zdołał zobaczyć nawet głowy zmarłych – wyprostowane, pochylone, wciśnięte w inne szczątki jak w makabrycznej układance. Niektóre twarze się uśmiechały, inne były wykrzywione. Ich rysy rozmywały się od opuchlizny, w której poruszały się larwy. Większość obsiadły muchy, które jeszcze bardziej przyciemniały smagłą skórę. Widział także rany, efekt dobrej roboty esesmanów – kula w skroń albo w czoło, czasem w pierś.

Tragiczny chór nie milkł, zagłuszając warkot ciężarówka, która grzęzła w ziemi i krowim łajnie. Żołnierze stali na pace, trzymając się prętów, i patrzyli na rozpaczające kobiety.

Ich głosy były wstrząsające, ale i trudne do zrozumienia. Były jak wyciskacz łez, rozdzierały serce, a jednak z jakiegoś niepojętego powodu przynosiły ulgę. Schrypnięte, zdławione, przenikały do głębi, wzbudzając emocje jak krwawa plwocina.

Jedna z kobiet, młoda, a może stara, bo mimo kruczoczarnych włosów twarz miała pokrytą siatką zmarszczek, śpiewała solo, intonując melodie, które podchwytował chór – kobiety i dzieci skupione wokół niej jak plemię wokół totemu. Najbardziej zaskakiwało, że ten chór ubrany w gałgany, a jednak połyskujący złotem i srebrem, patrzył prosto w oczy trupów – mężów, braci, ojców, których brzuchy puchły w oczach, a policzki, już sinozielone, pękały, odsłaniając dziąsła oblepione przez mrówki.

Wokół grupy ułożono półkolem wianki z kwiatów.

– *Herr Gott!* – szepnął sąsiad Beewena. – Co to za bajzel?

Beewen milczał. Pomyślał, że to jakiś obrządek religijny, coś przerażającego, niewytłumaczalnego, co wiąże się z dawnymi bóstwami i niewidzialnymi duchami.

Ciężarówka stanęła, grabarze wyskoczyli. Ślizgali się w ciemnym błocie, z trudem utrzymując równowagę. Podeszli do pilnujących tej grupy esesmanów.

– *Scheiße!* – warknął jeden z nich. – Gdzieście się podziewali? Sterczymy tu od rana, wdychamy smród i słuchamy ich zawodzenia! Tego się nie da wytrzymać!

Beewen spojrział na wianki.

– Pozwoliliście im pleść wianki?

– A skąd, chłopie. Miały je. To ich fach. Są zbieraczami.

Beewen, jak wszyscy chłopci, bał się Cyganów. Był nafaszerowany legendami i przesadami. Ci ludzie utrzymywali potajemne kontakty ze światem czarów, potężnym, niepokojącym. Na próżno ich przepędzano, prześladowano – zawsze okazywali się potężniejsi.

– Dlaczego ich zabiliście?

Wartownik wzruszył ramieniem. Hełm opadł mu na oczy. Beewen zauważył, że żołnierz nawet nie odbezpieczył mausera 98K.

– To nie my – wyjaśnił. – To ten wczorajszy batalion. Nie chcieli iść czy coś takiego. A poza tym co za różnica, czy zdechną tu, czy w obozie, na jedno wychodzi. Przynajmniej oszczędzi się na transporcie.

– Kobiety i dzieci?

– Do Marzahnu.

Po igrzyskach olimpijskich w 1936 roku NSDAP zrobiła porządki. Wszyscy Cyganie z przedmieścia Berlina zostali przeniesieni do obozu w Marzahnie na równinie Barnim, na północny wschód od doliny Sprewy.

W tym zamęcie – dzieci płakały, kobiety śpiewały, grabarze bili je łopatami, żeby zamilkły – Franz zauważył dodatkowe zbędne okrucieństwo. Pośród rozkładających się ciał znalazło się wielu żywych mężczyzn przywiązanych do trupów. Słyszał o tej torturze stosowanej w kacetach, uważanej przez esesmanów za świetny dowcip.

Patrząc na nagich mężczyzn przywiązanych do zwłok i zamieniających się w padlinę przez kontakt z nimi, poczuł, jak wzbiera w nim wściekłość. Tyle odrażających praktyk, tyle bezsensownego bestialstwa. Tego naprawdę nie da się znieść.

Rzucił łopatę i wyciągnął nóż, piękny nazistowski sztylet, który zachował z czasów chwały. Przeszedł kilka kroków, zatrzymał się obok trupów i przeciął więzy niskiego, prawie czarnego mężczyzny, czystej masy mięśni obleczonych jedwabistą skórą, potem uwolnił wysokiego faceta, który jęczał, i jeszcze jednego, który wyglądał już bardziej na martwego niż żywego.

W zamieszaniu z grupy obok wyskoczył chłopiec i rzucił się w ramiona tego wysokiego. Nie trzeba było znać języka cygańskiego, by zrozumieć, że odnaleźli się ojciec i syn.

W tym momencie nadbiegł jeden z totengräberów. Uniósł łopatę, gotowy roztrzaskać czaszkę dzieciaka. Beewen chwycił go za kołnierz i przytknął mu sztylet do gardła. Osłupiały esesman upuścił łopatę w błoto.

– Won stąd. Idź kopać doły i zapomnij o nich, bo jeśli nie, to przysięgam, że to ja ciebie pogrzebię.

Esesman podniósł łopatę i uciekł.

Kochmieder, który widział tę potyczkę z daleka, wrzasnął:

– Beewen, przyhamuj! Nie ty tu rządzisz.

Franz chwycił spodnie i koszulę, które poniewierały się z masą innych łańców, i rzucił je niskiemu mężczyźnie jak wyrzeźbionemu z czarnego drewna.

Ubierając się, Cygan zaczął coś gadać w niezrozumiałym żargonie, z którego Beewen wyłapywał tylko strzępy:

– Na moje jajca, nie zapomnę, coś zrobił, kuzynie. Łotry, kolego, słowo daję, zapłacę kiedyś za wszystkie łajdactwa.

Splunął na ziemię niedaleko od butów Beewena.

– Wybacz, jajca, ale niewiele zrozumiałem z tego, co opowiadasz.

– To nic, kuzynie, mówię ci, kolego, odpłacę ci za to.

Beewen nie bardzo wiedział, jak ten kloc o wyglądzie włóczęgi, ubrany w za długie portki opadające na bosc stopy, w drodze do jakiegoś kacetu, mógłby kiedyś odwdzińczyć się za przysługę. A jednak się uśmiechnął i Cygan odwzajemnił ten uśmiech. Złote zęby błysnęły w różowych dziąsłach.

Beewen poczuł niejasno, że Cygan ma rację: odpłaci mu się.

Kaplica Kampen w dzielnicy Alexanderplatz była skromnym budynkiem z czarnego piaskowca. Raczej nie skłaniała do zmiany wyznania, miała jednak dyskretny, łagodny urok, który kontrastował z ogłuszającym hałasem pobliskich ulic.

Simon, nie wyjaśniając powodów, zaproponował Minnie, aby udali się tam na nabożeństwo o osiemnastej. Minna dała się nakłonić.

Po spotkaniu z Sylwią Müthel w studiu Babelsberg udało im się osiągnąć jeszcze coś: specjalnie dla nich wyświetlono *Ducha z przestworzy* w jednej z sal zazwyczaj wykorzystywanych do przeglądania tak zwanych dzienników, czyli surowego materiału nakręconego w ciągu dnia.

Simon pokładał wielkie nadzieje w tym seansie. Na pewno liczył, że odnajdzie w nim klucz, wiadomość albo po prostu trop, który pomoże mu zrozumieć obsesję mordercy. Okazało się, że zmarnowali czas na oglądanie banalnego filmu fantastycznego. Akademicki scenariusz, aktorzy bez charyzmy, dekoracje z gipsu i kartonu... Nawet Duch wyglądał na niegroźnego. Patrząc, jak ten kosmiczny potwór wchodzi do wnętrza swojego statku pośród sugestywnych cieni, przy dźwięku dramatycznych akordów, mieli ochotę raczej się śmiać, niż bać.

Postanowili spędzić godzinę, która im pozostała, w kafejce o matowych szybach w pobliżu kaplicy Kampen. Po raz kolejny analizowali całą historię, przywoływali każdy szczegół, produkowali nowe hipotezy, ale ani o krok nie zbliżyli się do rozwiązania sprawy.

Nadszedł czas, by udać się na prawie potajemne nabożeństwo, które – liczyli na to – rzuci nowe światło na Damy Adlonu. Simon przekonał Minnę, że tak będzie, sam zaś uwierzył w to pod wpływem jednej z dam, Magdy Zamorsky.

Wchodząc do kaplicy, Minna poczuła onieśmienie. Nie przywykła do tak skromnych miejsc kultu. Jej rodzice, nawet gdy chcieli zaprezentować pokorną postawę protestanckich grzeszników, wybierali duże świątynie stolicy – katedrę berlińską, czyli monstrum o trzech kopułach wznoszące się na Wyspie Muzeów, francuską świątynię we Friedrichstadt albo kościół Pamięci Cesarza Wilhelma na skraju dzielnicy Ku'damm. Wszystkie ciężkie, masywne, niemieckie. Te monumentalne gmachy przystawały do pełnej sprzeczności wiary von Hasselów, zarazem prostej i wyniosłej, skromnej i przebogatej.

Tylko pierwsze rzędy były zajęte, a ołtarz pośrodku nawy błyszczał jak oświetlony żłobek. Simon i Minna dyskretnie przeszli na prawo, minęli kilka rzędów kłęczników,

aż znaleźli miejsca za kamienną kolumną.

Minnę stropiły freski ściennie – na ogół protestanci nie lubią, gdy rozprasza ich widok próżnych ilustracji biblijnych. Tam anioły wzbijały się ku sklepieniu, które niknęło w mroku, święci zamykali oczy i składali ręce, Chrystus dźwigał krzyż, na pół zatarty przez działanie czasu i spojrzeń.

Wyciągnęła szyję, żeby zobaczyć kapłana odprawiającego nabożeństwo. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Nad tabernakulum rozwieszono sztandar ze swastyką, a runy Czarnego Zakonu rozdzierały apsydę niczym dwie szczeliny, przez które może obserwować wiernych sam Führer. Oczywiście nie zabrakło i orła Rzeszy zaciskającego szpony na drewnie ołtarza. Brakowało tylko kilku sztyletów i pochodni, żeby poczuć się jak na jednej z pogańskich ceremonii, które hitlerowcy tak uwielbiali.

Wszyscy czy raczej prawie wszyscy mężczyźni byli w mundurach. Zielonych, czarnych, szarych. Minna już dawno zrezygnowała z prób rozpoznawania formacji. Kobiety należały do świata elegancji. Nigdy nie spotkała się z Damami Adlonu, ale była pewna, że większość tu obecnych stanowią członkinie klubu. *Najpiękniejsze kobiety Berlina...* Były tu, siedziały ze spuszczoneymi głowami, przymkniętymi oczyma, skupione i ciche. Do jakiego Boga się modliły?

– Znasz je? – spytała szeptem.

Simon potwierdził skinieniem głowy. Podobnie jak ona zdawał się zafascynowany tymi nieszporama, które przypominały czarną mszę.

– Bracia i siostry...

Kapłan celebrował nabożeństwo bez zmrużenia oka, jakby te świętokradcze dekoracje były zupełnie naturalne. Także w jego słowach biblijne cytaty przeplatały się z maksymami Führera. „Synkretyzm” to termin, który nasunął się Minnie, nie chodziło tu jednak o łączenie kultur, ale raczej religii z politycznym credo, co tworzyło osobliwą mieszankę.

Minna wciąż spoglądała na kobiety. Na tle świec i krzyża wyglądały jak w ekstazie. Ich wiara niemal się materializowała jako świetliste kręgi wokół ich głów. To już nie był fanatyzm, lecz egzaltacja wtajemniczonych, iluminacja wizjonerów.

Nadeszła pora na kazanie i duchowny łagodnym, spokojnym głosem opisywał napaść na Polskę w chrystusowej wersji, z Führerem, który musiał użyć swojej nadprzyrodzonej mocy, by odpowiedzieć na podłe, podstępne ataki zdegenerowanych Słowian:

– „Nie toczymy bowiem walki przeciw krwi i ciału, lecz przeciw Zwierzchnościom, przeciw Władzom, przeciw rządcom świata tych ciemności, przeciw pierwiastkom duchowym zła na wyżynach niebieskich”.

Minna знаła ten fragment listu Pawła z Tarsu do Efezjan i zastanawiała się, dlaczego jest cytowany. W ustach tego kapłana słowa apostoła zdawały się nawoływać Niemców do marszu na Europę i zniszczenia wszystkiego, co nie jest aryjskie.

– Módlmy się, bracia! – wezwał, wznosząc ręce.

Powieki znów opadły jak zamki broni plutonu egzekucyjnego. Wierni szykowali się do ataku. Mieli wzywać Pana całym sercem, modląc się, by nie zapominał o Swoim wybrańcu, Swoim narzędziu, a może nawet – dlaczego nie – o Swoim Synu...

Zbulwersowana Minna zerknęła na Simona. W półmroku zasnutym dymem kadzidła zobaczyła, że rozdziawił usta. Miał minę okradzionego złodzieja. On, który latami prowadził finezyjną grę ze swoimi pacjentkami, tak naprawdę dał się zahipnotyzować i wyprowadzić w pole. Udając wylęknione małżonki albo puste kokietki, Damy Adlonu tworzyły batalion fanatycznych zwolenniczek Führera.

Minna nie była tak zaskoczona jak psychoanalityk. Zawsze interesowała się związkami Niemek z nazizmem. W roku 1933 masowo głosowały na NSDAP i NS-Frauenshaft (Narodowosocjalistyczna Wspólnota Kobiet), która w roku 1935 liczyła dwa miliony członkiń, a dziś już ponad dziesięć milionów.

Jakimś niepojętym sposobem Hitler – ten ponurak ze śmiesznym wąsikiem – potrafił je oczarować trochę tak jak gwiazdor filmowy. Cóż z tego, że zapluwał się w mikrofon, że przesadnie gestykulował, że wyglądał jak obłąkaniec, którego należałoby zamknąć – zaraził je swoją pasją, wzbudził w nich entuzjazm i doprowadził je do zaślepienia, które nie słabło. *Hitler, siła napędowa tych pań.*

Minny nie dziwiło więc, że w najwyższych kręgach towarzyskich Berlina zaistniał ten sam fenomen. Pod pozorami frywolności Damy Adlonu z pewnością stanowiły rodzaj wymagającej sekty bez reszty oddanej władcy Rzeszy.

– Wychodzimy, nie? – zasugerował Simon.

– Słusznie – odpowiedziała, dając mu kuksańca w bok. – Mam już dość słuchania idiotyzmów.

Po powrocie do willi Minna wyszperała plan Berlina i rozłożyła go na długim stole w salonie – masywnym meblu, który można było rozkładać, wykonanym z drewna różanego i palisandru. Przycisnęła książkami rogi mapy. Potem wzięła garść fenigów.

Postanowiła odtworzyć całą historię od zera. *Nie pytajcie mnie dlaczego*. Obaj panowie – Simon, który wciąż się dąsał, i Beewen, który właśnie wyszedł spod prysznic – słuchali ze znużeniem jej wywodów.

– W piątek czwartego sierpnia trzydziestego dziewiątego roku odnaleziono zwłoki Susanne Bohnstengel. Tutaj, na cyplu Wyspy Muzeów. – Położyła monetę na krańcu wyspy, tuż przy Bode-Museum. – Dwa tygodnie potem, w sobotę dziewiętnastego sierpnia, znaleziono martwą Margarete Pohl w parku Köllnischer nieopodal wybiegu dla niedźwiedzi. To miejsce leży blisko Wyspy Muzeów, co skłoniło Kripo do założenia, że morderca upodobał sobie ten rejon. Pierwszy fałszywy trop. – Położyła drugą monetę nad Sprewą. – Po dwunastu dniach odkryto ciało Leni Lorenz. Zauważyli je spacerowicze na północny zachód od Tiergarten, w pobliżu zamku Bellevue.

Simon zniecierpliwiał się pierwszy.

– Znamy to wszystko na pamięć. Do czego właściwie zmierzasz?

Minna udała, że nie słyszy. Wzięła kolejny pieniążek.

– W ubiegłą niedzielę odkryto czwartą ofiarę. Gretę Fielitz. Zamordowaną nad jeziorem Plötzen. Mimo sporego ruchu ciało znaleziono dopiero około południa.

Tym razem interweniował Beewen:

– Naprawdę nie mamy nic pilniejszego do załatwienia?

– Nie – odparła, umieszczając ostatnią monetę na niebieskiej plamie, która symbolizowała wodę. – Morderca kieruje się swoją logiką, a my musimy postarać się ją zrozumieć.

Simon skrzyżował ręce, patrząc na nią z sarkastycznym okrucieństwem.

– Świetnie, w takim razie słuchamy.

– Pierwsze, co można zauważyć, to przyspieszenie rytmu morderstw. Albo napady szaleństwa stają się coraz częstsze, albo morderca czuje, że musi się spieszyć ze względu na coś, na jakieś niezależne od niego zdarzenie.

– Na przykład?

– Wojna. Koniec lata. Cykl Księżyca. Migracja ptaków. Skąd mam wiedzieć? Ale spieszy się, żeby dokończyć zadanie, jakie sobie wyznaczył.

– Założmy. Co z tego?

– Drugi fakt – ciągnęła, ignorując pytanie. – Sprawca zawsze postępuje tak, żeby ściągnąć ofiary w pobliże rzeki albo jeziora. Prawdopodobnie dlatego, że woda jest częścią jego krwawego rytuału.

Simon uniósł rękę – gorączka śledztwa znowu go dopadła.

– Odpowiedź jest prostsza. Marmurowy Człowiek to doskonały pływak. Zabija nad wodą, żeby uciec, płynąc. To jedyny powód.

Minna wstała i podeszła do baru – orientalnego mebla o lakowanych ściankach, po których wiły się smoki albo orchidee. Przesunęła drzwiczki i bez pytania napełniła koniakiem trzy kieliszki. Alkoholicy i narkomani nazywają to „dzieleniem się”, zawsze jednak chodzi o to, żeby kogoś złamać i wciągnąć w przepaść, w którą samemu się wpadło.

– Co możemy powiedzieć o tym mordercy? – podjęła. – Zna swoje ofiary. Łatwo udaje mu się przekonać je, by poszły z nim w miejsce, które sam wybrał.

Beewen zaprzeczył gestem ręki.

– Najpierw Kripa, a potem Gestapo sprawdzały wszystkich bliskich, wszystkich znajomych ofiar. To nic nie dało.

– Może się mylimy. Może morderca dysponuje innym środkiem perswazji.

– Na przykład jakim?

– Mundurem.

Franz powtórzył swój gest, nie kryjąc lekkiego znużenia.

– To kolejny trop, który drążyliśmy. Hitlerowski oficer. Sztylet. Itede. Znow ślepy zaułek. Nawiasem mówiąc, nie wierzę w faceta w mundurze „porywającego” te kobiety. Po pierwsze, nie pozwoliłyby sobą manipulować. Nie poszłyby na taki spacer, chyba że z Obergruppenführerem. No właśnie, każda z nich się ulatniała, dyskretnie wychodziła. To nie pasuje do galonów, które błyszczą, i butów, które stukają.

Minna położyła otwarte dłonie na stole.

– Dobrze. Kolejne ważne pytanie to maska. Dlaczego morderca w chwili zbrodni nosi maskę?

– Mówiliśmy o tym setki razy – wtrącił Simon. – Oboje widzieliśmy dzisiaj ten film, ale nic z niego nie wynika. Facet ma obsesję na punkcie tej maski i snów, ale nic więcej nie da się powiedzieć. Siebie uważa za marzenie senne. Za zabójczy sen.

Beewen skomentował, trochę zirytowany:

– Po co to wszystko powtarzać? Doskonale wiemy, że facet jest umysłowo chory, ale to nie pomaga nam go schwytać.

Minna zdążyła tymczasem odetchnąć.

– W takim razie pozostają nam tylko lebensborny.

– Co masz na myśli?

– Są duże szanse, że Greta Fielitz została zapłodniona w ośrodku Zeherthofer. Skoro ona, to dlaczego nie pozostałe?

– Co ty opowiadasz?

Lekarka spojrzała czarnymi oczyma w cyklopie oko Beewena.

– Razem z Simonem uczestniczyłam dzisiejszego wieczoru w niezwykłym nabożeństwie. Nazistowscy nawiedzeńcy modlili się gorąco, żeby nasz Führer zdobył swoją przestrzeń życiową.

– Nie bardzo rozumiem.

– Można założyć, że wbrew wszelkim pozorom Susanne, Margarete, Leni i Greta należały do kręgu fanatyków. Dlaczego nie miałyby ofiarować Hitlerowi dziecka?

– Założmy. Ale co to ma wspólnego z morderstwami?

– Nie wiem, trzeba jednak przyjrzeć się lebensbornom.

– Nie ma szansy, żeby tam dotrzeć – zauważył Beewen. – To istne bunkry.

– Mam plan.

Beewen prychnął. Simon westchnął. Wyglądało na to, że żaden nie ma ochoty na kolejną rozgrywkę w stylu von Hasselówny.

– Nie przejmujcie się – powiedziała, widząc ich miny. – Poradzę sobie sama.

– A jak?

– Zrobię to, co Damy Adlonu. Zgłoszę się jako chętna do poczęcia dziecka w tym ośrodku.

Beewen, który obracał w dłoniach kieliszek z koniakiem, uniósł brwi i nie kryjąc zaskoczenia, spytał:

– Co potem?

– Będę mogła dotrzeć do kartoteki i sprawdzić swoją hipotezę. Dowiemy się, czy wszystkie ofiary zgłosiły się do Lebensbornu i kim byli ojcowie płodów.

– A związek z morderstwami?

– Może to był ten sam... plemnikodawca. Może on jest mordercą.

Simon klasnął w dłonie, jakby bił brawo takiemu absurdowi.

– Coraz lepiej! A dlaczego ów plemnikodawca miałby zabijać?

– To moja kolejna hipoteza.

– Dlaczego nie lekarz? Nie pielęgniarz? W końcu to może być nawet dozorca.

– Tak czy inaczej, kiedy znajdę się na miejscu, będę mogła zanotować nazwiska, poznać tożsamości. Chcę...

– Kandydatki do lebensbornów przechodzą drastyczną selekcję – przerwał jej Beewen.

– Co z tego?

– Minno, nie chciałbym cię urazić, ale nie masz żadnych szans.

– Dlaczego?

– Szukają przede wszystkim blondynek o atletycznej budowie. Zupełnie nie twojego pokroju.

– Zapominasz o najważniejszym. O mojej krwi. Cóż z tego, że jestem drobną brunetką, skoro nazywam się von Hassel? Moja genealogia jest niewątpliwie tak czysta, jak żadna inna w Berlinie. Korzenie mojego rodu sięgają co najmniej dwunastego wieku, tworzymy wielką dynastię arystokratyczną. Tysiącletnia Rzesza nie może odrzucić takiej kandydatury.

Tym razem uśmiechnął się Simon.

– Pogadajmy o tej twojej krwi. – Wyciągnął rękę nad stołem i wyjął jej z dłoni kieliszek. – Jeżeli naprawdę zamierzasz tego spróbować, to musisz przejść na suchą dietę. W twoich żyłach płynie alkohol. Nie przejdziesz nawet wstępnych badań.

Minna odchrząknęła – nie miała w ustach kropli śliny.

– Potrafisz się na to zdobyć? – spytał Simon.

– Bez problemu.

Simon postanowił wrócić do domu piechotą wzdłuż Landwehrkanalu, potem brzegami Sprewy do Potsdamer Platzu. Pięć kilometrów forsownego marszu to dobry sposób, żeby się odprężyć.

A zatem znowu laur zwycięstwa przypadł von Hasselównie. Cała uwaga skupiła się na lebensbornach i jej planie przeniknięcia tam. Kolejna sztuczka, żeby wzbudzić zainteresowanie. Nikt za to nie interesował się już maską ani filmem *Duch z przestworzy*. A przecież właśnie po tym tropie można dotrzeć do mordercy! Niezrównoważonego faceta – aktora, reżysera, technika, kogokolwiek, kto na planie filmowym zafascynował się tą maską. Po ośmiu latach, kiedy morderczy popęd stał się nieodparty, skontaktował się z Ruth Senestier i zaczął przygotowania.

Mijając Shell-Haus, zupełnie nowy budynek, którego fasada była jak nadciągająca fala, podjął decyzję. Po raz kolejny będzie kontynuował swoje śledztwo w pojedynkę. Wybierze się na inne plany filmowe studia Babelsberg, wyszpera kolejne afisze, ustali nazwiska członków ekipy *Ducha z przestworzy*...

Przygotowywał w pamięci listę wszystkich czynności do wykonania, gdy skręcał w swoją ulicę. Dostrzegł niezwykle poruszenie, wcale nie tak dziwne w Berlinie roku 1939.

Właśnie eksmitowano Żydów.

Meble wylatywały przez okna, tłukły się szyby, w powietrzu latały szmaty... Mundurowi, ale także ludzie po cywilnemu, nadzorowali te działania, stojąc w charakterystycznej dla strażników pozycji – w rozkroku, z rękami splecionymi na plecach. Pilnowali, żeby eksmisja przebiegała zgodnie z prawidłami sztuki.

Jeszcze kilka kroków i Simon zrozumiał, że to wszystko dzieje się w jego kamienicy, a kiedy wyteżył wzrok, rozpoznał wśród szczątków na asfalcie konsolkę Marcela Breuera, dokładnie taką, jaka zdobiła jego sypialnię, potem niski dwupoziomowy stolik i lampę, którą dobrze znał... To były jego rzeczy!

Biegł, równocześnie szukając w kieszeniach marynarki dokumentów.

– Hola, nie ma przejścia.

Gestapowiec w cywilu zagroził mu drogę.

– Mieszkam w tej kamienicy – wybełkotał Simon, obmacując kieszenie, bo nie mógł znaleźć dokumentów. – Właśnie wyrzucacie rzeczy z mojego mieszkania. Musiało dojść do pomyłki!

Hitlerowiec z postawionym kołnierzem, w miękkim kapeluszu, uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Tak, to zawsze są pomyłki.

W końcu Simon wyciągnął dowód osobisty. Policjant przepuścił go, śmiejąc się drwiąco. W chwili gdy psychoanalityk zbliżał się do bramy, o mało nie spadł mu na głowę jeden z obrazów Paula Klee.

Wbiegł na górę, przeskakując po kilka stopni, i w połowie drogi minął się ze swoim dywanem z wzorem Kandinsky’ego zrolowanym i zjeżdżającym na dół.

W progu jego mieszkania uwijali się rozbawieni żołnierze i policjanci. Zrywali tapety, łamali krzesła, cięli obrazy. Ten widok błyskawicznie „uspokoił” Simona – wyobraził sobie własną głowę pod buciorami tej dziczy.

Wszedł do zdemolowanego mieszkania i jak najuprzejmiej zagadnął jednego z mężczyzn w cywilnym ubraniu. Pokazał dokumenty, zaznaczył, że ma znajomości w NSDAP i...

Mężczyzna bez słowa sięgnął do kieszeni, wyciągnął z niej kartkę, pogniótł ją w rękach.

– Zostałeś pozbawiony tej własności, łajdaku. Zatrzymaj ten dokument na pamiątkę.

Simon z wściekłością cisnął kartką w kąt i nagle ugięły się pod nim nogi. Osunął się i wylądował na podłodze oparty plecami o ścianę. Wstrząsały nim drgawki, nad którymi nie potrafił zapanować. Po meblach i dywanach teraz jego wyrzucą przez okno.

Mężczyzna – cuchnęło od niego czosnkiem, skórą i krwią – pochylił się i szepnął mu do ucha:

– Zaczynamy mieć dość takich gównianych cwaniaków jak ty. Jest wojna, hieno, dla żigolaków twojego pokroju nie ma już miejsca. Bękart!

Simon nagle złał się potem. Przez uchylone drzwi zobaczył swój gabinet wydany na pastwę tych bydlaków – przewrócone biurko, walające się wszędzie dokumenty. Papiery fruwały w powietrzu jak ptaki.

Po chwili przez bucior i skórzane płaszcze zobaczył coś jeszcze gorszego: intruzi wyłamali drzwi tajnego schowka i dewastowali płyty. Tyle lat wysiłku, poszukiwań, niedyskrecji... Gramofon leżał roztrzaskany, spłaszczona tuba tworzyła żalosny trójkąt na parkiecie.

Wybuchnął płaczem.

Nikt nie zwracał na niego uwagi. Kiedy zniszczenie prowadzone jest świadomie i sumiennie, staje się absorbującą pracą. Otarł łzy i podszedł na czworakach do progu sypialni. Te łotry rozwały drzwi szaf, pocięły jego cenny parawan, ale

z nieokreślonego powodu zapomniały o przedmiocie, którego przeznaczenie było dla nich zagadką: zostawiono w spokoju jego „maszynę do czytania snów” ustawioną u wezłowania łóżka.

Poderwał się na równe nogi i szybko podszedł do niej. Wyciągnął wtyczkę z kontaktu, zwinął kabel i liczne przewody połączone z elektrodami wokół korpusu maszyny, a potem wyszedł, trzymając ją pod pachą.

W drzwiach wpadł na gestapowca, którego wcześniej spotkał przed kamienicą.

– Kto wam rozkazał to zrobić? – wrzasnął, zapominając o strachu.

Na twarzy mężczyzny pojawił się uśmiech jak ropiejąca rana. Pochylił się i bez słowa podniósł kartkę rzuconą tu kilka minut wcześniej przez Simona. Wolno ją rozłożył.

– Jak na lekarza nie jesteś zbyt spostrzegawczy. Masz tu czarno na białym, ciemna maso. „Rozkaz Hauptsturmführera Grünwalda”.

Facet z wypomadowanym wąsem. Nazista, który go aresztował i obiecał mu najgorsze tarapaty. Dlaczego wziął się na niego?

Gestapowiec zwinął dokument w kulkę i wepchnął ją Simonowi do ust. Potem chwycił go za ramiona, odwrócił i kopniakiem w tyłek rzucił na schody.

Dusząc się papierem, który utknął mu w gardle, Simon ledwie zdołał chwycić poręcz. Poślizgnął się, upadł na plecy i zsunął piętro niżej, a maszyna do czytania snów przeleciała mu nad głową.

Ledwie dysząc, wypłuł kartkę. Gdyby zadał sobie pytanie, ile jest w tej chwili wart na berlińskim rynku, to wycena była precyzyjna – jednego kopniaka buciorem w dupę i szyderczy śmiech na pożegnanie. Nie zasłużył nawet na szybką egzekucję na ulicy czy choćby na bilet w jedną stronę do kacetu.

Byłoby to zbyt piękne dla wyrzutka jego autoramentu.

Nie miał już nic. Ani gabinetu, ani domu, ani pacjentów. Dokumenty zniszczone, zapisy unicestwione, a wszystkie drzwi od dziś zamknięte. On, Simon Kraus, który patrzył z góry na wszystkich berlińskich psychiatrów i posiadał kilka najpiękniejszych kobiet stolicy.

Od dawna się zastanawiał, jak to jest być Żydem w Niemczech lat trzydziestych. Jego obecne położenie dawało mu wyraźny przedsmak takiej sytuacji. Gorzki przedsmak. Spadanie w przepaść i żadnej ręki, która wyciągnęłaby się na ratunek, żadnej skały, której można by się chwycić.

Tuląc do siebie maszynę, ruszył do willi Minny, jedyne miejsce w Berlinie, gdzie mógł liczyć na nocleg. Znaleźć schronienie w domu jednej z najznakomitszych rodzin arystokratycznych Niemiec to całkiem nieźle jak na pariasa jego pokroju.

Trzymając się wciąż kanału, przeszedł przez część Tiergarten i skręcił w Ost-West-Achse, szeroką aleję wybudowaną przez nazistów jako miejsce monstrualnych parad szeregów żołnierzy maszerujących z wyprężonymi rękami. Simon wciąż szedł w cieniu chorągwi ze swastyką i białych kolumn, na których siedziały pozłacane orły.

Prawie komiczna wydała mu się jego głęboka samotność i dramatyczna sytuacja, gdy wędrował u stóp tych posępnych szubienic, butnych symboli potęgi, która była na najlepszej drodze do zmiążdżenia wszystkiego, na co natrafi. Jego małostkowość, nieodpowiedzialność, cynizm – to wszystko pluło mu teraz w twarz. Przez tyle lat czuł się zwycięzcą, a to było tylko odroczenie wykonania wyroku.

Może powinien spojrzeć na ten upadek jak na łaskę, szansę, by stać się użytecznym, by odnaleźć mordercę kobiet i znów pracować w szpitalu.

Ale cóż go to mogło obchodzić tego wieczoru? Wydawało mu się, że jakaś żyła pękła mu pod czaszką i krew wolno zalewa fałdy mózgu jak czarny atrament zatapiający umysł.

Doszedł do opery berlińskiej, którą naziści nazwali Deutsche Oper. Kolejny dziedziniec neo-coś-tam, powiększony, ciężki, by po wsze czasy składać tu hołd panującym...

Simon skierował się na południe, wszedł w plątaninę uliczek dzielnicy willowej, gdzie wznosił się dom Minny. W końcu zobaczył park, ognistoczerwone krzewy i zielone trawniki. Ten widok poprawił mu nastrój.

Nie musiał dzwonić do bramy, była otwarta. Przeszedł po trawie, którą już ogarniał mrok. Nie wstydził się wracać niejako goły i bosy do owczarni. Niski facet

w obszarpanym garniturze, z potarganymi włosami, zataczający się ze zmęczenia i osłupienia, ten wizerunek zdawał się najlepiej oddawać to, jaki był naprawdę.

Drzwi domu były zamknięte. Zadzwoił, ale w odpowiedzi usłyszał tylko przeraźliwy wrzask. Jakby przejmujące wycie wyrażające gniew i zdumienie. Kobięcy głos.

Drzwi się otworzyły i pojawiła się w nich zmieniona twarz Beewena. Simon znów usłyszał krzyk, tym razem wyraźniejszy i bliższy. Dobiegał z piętra.

– Czy nie można zostawić cię na godzinę, bo zaraz zabierasz się za torturowanie ludzi?

– Dobrze, że jesteś – powiedział Beewen. – Potrzebny mi lekarz.

Kolejny krzyk. Od zwierzęcego cierpienia przechodził już do diabelskiej wściekłości, jakby demon, którego gdzieś zamknięto, zaplukał się bezsilnością.

Weszli na piętro, do pokoju, który musiał być sypialnią Minny. W pierwszej chwili jej nie poznał. Wiła się na łóżku w brudnej koszuli nocnej. Twarz miała mocno zmienioną. Skóra straciła barwę. Oczy błyszcząły chorobliwie, były szkliste. Usta stały się prawie fioletowe i jakby większe.

– Zaraz po twoim wyjściu chciała się napić. Udało mi się ją pohamować. Ale potem rzuciła się na bar. Pobiliśmy się. Dostała napadu... nie wiem dokładnie, co to był za napad. Przywlokłem ją tutaj. Od kilku godzin staram się nad nią zapanować.

Delirium tremens. Alkoholizm Minny to nie był żart. Simon nie mógł oderwać oczu od jej prawie niebieskich warg splekanych z nieopisanego pragnienia.

W szpitalu Simon Kraus często leczył chronicznych alkoholików, którzy cierpieli i na marskość wątroby, i na demencję. Ruina fizyczna i umysłowa, której przebieg doskonale znał, podobnie jak proces powrotu do względnej normalności.

Sądząc z tego, co się działo, Minna przez całą noc będzie widziała szczury biegające po jej zagłówek albo czuła węże wślizgujące się pod jej koszulę nocną.

– Nie przestaje wymiotować. W dodatku zrobiła pod siebie.

Simon rozejrzył się za łazienką. Apteczka narkomanki takiej jak Minna musiała być zaopatrzona w narkotyki i silne psychotropowy.

Delirium tremens. Nie bardzo potrafiono to wytłumaczyć, ale alkohol działał na układ nerwowy jak depresant. Gwałtowne odstawienie powodowało natychmiast hiperaktywność mózgu mogącą doprowadzić do majaków.

Tak jak przypuszczał, szafka z lekami była pełna fiolek, flakoników, pigułek. Na pierwszy rzut oka można było wziąć to za zapasy ratunkowe, ale tu dominowały narkotyki: kokaina, morfina, haszysz, opium, eter...

W tym bałaganie Simon znalazł kilka skutecznych środków, jednak po chwili uświadomił sobie, że nie może zaaplikować ich Minnie. Każda z tych substancji

zostawiłaby ślad w jej krwi i zniweczyłaby wszelkie starania, by wyglądać na „czystą”. Musieli więc pozwolić, by jej mózg dryfował przez całą noc, czekać, aż szaleństwo samo się wypali i unicestwi. Jedyne, co pozostawało Simonowi, to zaspokoić jej potrzeby fizyczne.

Przede wszystkim nawodnić organizm. W drugiej szafce znalazł potas, magnez i trochę witamin. Znalazł też strzykawki, flakony i wężyki, które pozwalały podać kroplówkę.

Wrócił do sypialni, niosąc wszystkie te materiały, i przekonał się, że stan Minny znacznie się pogorszył. Szybkość tego procesu wprawiła go w zdumienie.

– Chodź tu, pomóż mi! – krzyknął Beewen, kiedy Minna się prężyła i rzucała po łóżku.

Simon odłożył leki i sprzęt, zdjął marynarkę i chwycił kobietę za nadgarstki. Jej oddech, pot, łzy – wszystko cuchnęło alkoholem. Trucizna wydostawała się z organizmu przez wszystkie pory jej skóry. Przesączała pościel, ubranie, włosy.

Trudno mu było ją utrzymać, kiedy między dwoma wrzaskami zaczynała na przemian kląć, lżyć ich, błagać, zawodzić. Taka intymna bliskość – nie z Minną, lecz z tym potworem, którego w sobie ukrywała – była w jego oczach obsceniczna.

Beewen, który na chwilę zniknął, wrócił z paskami od szlafroka, sukienek, pasami do walizki... Wziął na siebie przywiązywanie Minny za kostki i nadgarstki do łóżka. Simon mógł ją wreszcie puścić, chociaż wciąż miała drgawki.

Ten atak musiał minąć. Jutro rano Minna odzyska zmysły. Walka ze skutkami abstynencji zacznie się na dobre, jeżeli Minnie będzie na tym zależało. Simon nie był w tej kwestii optymistą. Sądził, że po przejściu badań w lebensbornie baronówna von Hassel znów zacznie pić w najlepsze.

Badanie w lebensbornie. Już te słowa brzmiały absurdalnie. Nie mógł sobie wyobrazić tej drobnej, wychudzonej brunetki wkraczającej do stuprocentowo aryjskiej kliniki i proszącej o partnera do kopulacji jak o lek na receptę. A co potem? Będzie musiała spółkować z oficerem SS? I to wszystko po to, żeby przeszukać dwie czy trzy szuflady w rejestracji?

Simon poszedł do łazienki. Umył ręce i twarz, a potem próbował usunąć plamy wymiocin z krawatu – na próżno. Te zabiegi przypomniały mu, że teraz ma tylko jeden garnitur, ten, w którym przyszedł, i że jest bezdomny.

Wrócił do sypialni, kiedy Beewen podkładał Minnie gruby ręcznik pod plecy. Najwyraźniej znowu zasikała prześcieradło. Kraus się modlił, żeby nie zachowała żadnych wspomnień z tego wieczoru.

Zasnęła. Simon przesunął krzesło stojące przy toalecie, odwrócił je i usiadł. Dopiero wtedy zwrócił uwagę na wystrój sypialni.

Był to pokój młodej niemieckiej dziewczyny, ale nie w klasycznym tego słowa znaczeniu. Minna von Hassel sprzed kilku lat nie marzyła ani o balach, ani o księciu z bajki. Obwiesiła ściany plakatami z mrocznych spektakli, afiszami filmów ekspresjonistycznych, zapowiedziami kongresów psychiatrycznych, spotkań poświęconych literaturze francuskiej i anarchizmowi – wszystkim, co było modne przed rokiem 1933. Zobaczył też książki medyczne, filozoficzne i zbiory poezji na półkach. Stare plakaty na ścianach przypominały o manifestacjach Wandervögel (Ptaków Wędrownych), jakby skautów z bohemy głoszących powrót do natury i pacyfizmu. Simon bez trudu wyobraził sobie Minnę w wieku kilkunastu lat rozmarzoną podczas ich wypraw, a wieczorami czytającą przy kominku Rainera Marię Rilkego czy Arthura Rimbauda.

Zwrócił spojrzenie na leżącą nieruchomo młodą kobietę. Miała sylwetkę gimnazjalistki, chude żabie łydki i szerokie kościste ramiona. I nagle przestał dostrzegać niedożywioną kobietę o bladej cerze, w poplamionej koszuli nocnej. Teraz widział w niej tylko rozpieszczoną dziewczynkę, dziecko zamożnych rodziców chowane pod kloszem, w sukience z falbanami i bufiastych majtasach biegające po parku.

Mała dziewczynka śmiała się nad brzegiem rzeki, gdy ojciec albo matka, nieważne, trzymali ją za ręce i obracali się, obracali, a ona wirowała w słońcu nad soczystą trawą. I nagle ją puszczali, a dziewczynka już się nie śmiała, topiła się w rzece. Widziała, jak rodzice się oddalają, jak odpływa obietnica wiecznego szczęścia, nie rozumiejąc tego, miotając się w wezbranym nurcie nazizmu...

A teraz dziewczynka była szkieletowatą młodą kobietą w brudnej pościeli. Była tą wyniszczoną, marną istotą przesiąkniętą alkoholem i narkotykami, która utrzymywała, że ratuje innych, chociaż nie potrafiła uratować nawet siebie.

Tabliczki czekolady. Precele. Chleb na zakwasie. Suszone grzyby. Korniszony. Bałtycki kawior. Olej z pestek dyni. Konserwowana czerwona kapusta. Słoiki z konfiturą z jagód. Miód ze Schwarzwaldy...

Beewen nie wierzył własnym oczom. Niedawno się obudził, a kiedy wszedł do kuchni i zaczął poszukiwania, otwierając przypadkową szafkę, natrafił na istną jaskinię Ali Baby. Niemcy wdały się w wojnę, żywność była już racjonowana, tymczasem tutaj byłoby czym wyżywić całą armię smakoszy, i to przez kilka tygodni.

Właściwie zatracił nawyk jedzenia. W mieszkaniu nie miał żadnej kuchenki, a żarcie serwowane w Gestapo było jak zemsta Żydów. Ślinka pociekła mu już w chwili, gdy ostrożnie otwierał słoik miodu i delektował się jego zapachem. Miał wrażenie, że jego kubki smakowe stają się aksamitne i delikatne jak ten bursztynowy nektar.

– Nie przeszkadzam?

Franz o mało nie upuścił słoika. Minna stała za nim. Wzięła prysznic, ubrała się. Włosy miała jeszcze wilgotne. Na jej twarzy znów pojawiły się kolory – delikatnie zaróżowione policzki aż kusiły, by kochać się z nią przez całą noc.

Z niedowierzaniem wskazał ręką pełną po brzegi szafkę.

– Na jakiej planecie ty żyjesz?

– Na planecie moich rodziców. Często się. Nie musisz się krępować. Codziennie mam świeże zaopatrzenie.

– A racjonowanie żywności?

– To słowo nieznane von Hasselom.

Jeszcze raz popatrzył na przepelnioną szafkę.

– I ty to wszystko zjadasz?

– Nawet nie dotykam. Dobrze wiesz, że moja dieta jest płynna. Ale mój kamerdyner dyskretnie przejmuje dostawy po dwóch, trzech dniach.

Podeszła do kuchenki gazowej, żeby zagotować wodę. Wykonując wprawne, precyzyjne gesty – od razu było widać, że jest tu u siebie – zaczęła mieć kawę w staromodnym młynku.

– Jak się czujesz?

– Pusta w środku.

– Nie było łatwo.

– Przede wszystkim mnie.

Beewen wysuwał szuflady, poszukując łyżeczki.

– Tamta. – Wskazała mu najdalszą.

Franz znalazł, czego szukał, i już nie czekając, spróbował miodu. Gwałtowna słodycz podcięła mu nogi i zmusiła, by usiadł na krześle. Teraz Minna przygotowywała ekspres ciśnieniowy, który wyglądał jak maszyna alchemika.

Wolno napełniła dwie filizanki, których aromat nieoczekiwanie przeniósł go w zapomnianą epokę życia – do wiejskiego domu, gdzie matka parzyła kawę.

– Ale przynajmniej – odezwał się głosem złagodzonego przez miód – nie masz już alkoholu we krwi.

– We krwi nie, ale w głowie...

– Tego badania nie wykażą.

Wyciągnęła przed siebie rękę, by sprawdzić, czy przestała już drzeć.

– Mam nadzieję.

– Na czym polega dalsza część operacji?

– Pójdę się wystroić, a wy zawieziecie mnie do lebensbornu.

– Umówiłaś się?

– Stawiam na spontaniczne zgłoszenie.

– Efekt von Hasselów, tak?

– Zgadza się.

Beewen zjadł już pół słoika miodu. Praktycznie bez czucia w ustach obserwował Minnę, gdy zapalała papierosa. Miała na sobie czarną chińską piżamę, na pewno jedwabną, zdobioną złotymi motywami.

Franz nie wiedział już, co czuje do tej kobiety ani nawet czy kiedykolwiek coś do niej czuł. Jedno było pewne: choć tak dużo razem przeszli, wciąż szanował ją jak świętą figurkę.

– Gdzie Simon?

– Śpi gdzieś w salonie.

– Nie widziałam go.

– Pewnie jak pudel ukrył się pod poduchami którejś z kanap.

– Tani żart.

– Obawiam się, że tylko to nam zostało.

W kilku słowach wyjaśnił jej, że Simon został wyrzucony z mieszkania, a wszystkie jego rzeczy skonfiskowano. Zdołał uratować tylko dziwną maszynę i podarty garnitur. Aby przypisać sobie istotną rolę, ale też dlatego, że była to prawda, dodał, że całą tę operację przeprowadzono na rozkaz Philipa Grünwalda, jego rywala, który teraz mścił się na nim, prześladowając Simona.

– Ja nie mam już instytutu. – Minna się uśmiechnęła. – On nie ma gabinetu, a ty biura.

– Ale wszyscy mamy śledztwo.

– Pojawia się pytanie, czy potem zostanie nam jeszcze jakieś życie. – Minna nie czekała na odpowiedź. – Pójdę się przebrać. Wyjeżdżamy o jedenastej.

Na moment zatrzymała na nim spojrzenie. Palce lśniące od miodu, pobrudzona bielizna (padł ze zmęczenia o świecę, nawet się nie myjąc).

– Na górze trzecie drzwi po prawej od schodów. To sypialnia ojca. Znasz drogę. Wybierz sobie nowy garnitur z jego garderoby. Do pokoju przylega łazienka. Powinieneś zmyć z siebie ten brud. Cuchniesz na odległość.

Beewen rozchylił już usta, ale baronówna nie dopuściła go do głosu:

– I nie mów mi, że to moje siki i wymiociny. To wymówka nie do przyjęcia.

Gestapowiec dokładnie zakręcił słoik z miodem.

– Masz jakieś ciuchy dla Simona? On też nie ma w czym pokazać się ludziom.

– Znajdzie coś w garderobie mojego brata.

– Przechowujesz jego dziecięce ubrania?

– Kolejny głupi dowcip.

Beewen się uśmiechnął. Był zadowolony, że żadne z nich nie mówiło o koszmarze minionej nocy.

– Masz rację. Już nie będę.

Kiedy wychodziła z kuchni, zawołał ją.

– Jesteś pewna, że ten numer z lebensbornem się uda?

Spod krótkich, czarnych jak atrament w kałamarzu ucznia włosów przesłała mu różowy, poziomkowo-bankierski uśmiech.

– Nie, oczywiście, że nie jestem.

Ośrodek Zeherthofer wznosił się w doskonale utrzymanym ogrodzie. Ogrodnicy w szarych fartuchach stale go pielęgnowali. Zagłodzeni, bladzi, wyglądali, jakby wypuszczono ich z obozu koncentracyjnego. Któż może gwarantować większą dyskrecję niż służący, których za kilka tygodni zabije się jak psy?

Minna von Hassel nie była umówiona, ale przez pierwsze drzwi przeszła bez problemu: każdego dnia po południu odbywały się tu konsultacje dla kandydatek gotowych poddać się selekcji.

Miejsce spełniało zasadę ciepłe–zimne. Park olśniewał cudami zieleni, lecz alejkami chodzili żołnierze z owczarkami niemieckimi. Porodówka prezentowała się jak oaza spokoju, ale nad budynkiem łopotał czarny sztandar z dwiema runami.

Pewnym krokiem szła przez ogrody, deptając podszwami żwir niczym insekty w pękających z trzaskiem pancerzach. Nie myślała jeszcze jasno, nie pamiętała już minionej nocy. *Tym lepiej.* Świadomość, że na oczach Beewena i Krausa półnaga wymiotowała, sikała, wyła, wcale nie była przyjemna.

Budynek, nieco przypominający chatę, obecnie był otynkowany na biało. Wyglądał na dziewiętnastowieczny. Nie pilnował go żaden strażnik. Nie było żadnej tabliczki, żadnego oznakowania, tylko czarny sztandar z podwójnym groźnym S łopotał na wietrze.

Minna przystanąła, żeby popatrzeć na park z majestatycznymi drzewami i umiejętnie przyciętymi krzewami. Światło przenikało tu ze swego rodzaju radosną hojnością. Jego pieśczoła nie przemykała pomiędzy cieniami, jak to się czasem mówi, ale uderzała szerokimi snopami, które tworzyły duże nasłonecznione przestrzenie na zawsze określające charakter ogrodu.

W tym momencie na górze ścieżki pomiędzy gazonami zauważyła nadchodzącą grupę ubranych od stóp do głów na biało pielęgniarek z wózkami. Widok był poruszający: śnieżnobiałe piastunki kroczyły jak batalion Wehrmachtu.

Minna uśmiechnęła się mimo woli. Przyszła do kinderlandu, krainy dzieci.

Pośród świergotu ptaków dało się usłyszeć strzępy rozmów tych dziewczyn, czysto niemieckie brzmienia, gardłowe i niskie, przeplatane okrzykami i westchnieniami.

– Czego pani szuka?

Za jej plecami stała pielęgniarzka w białym fartuchu, białym czepku i swetrze z bufiastymi rękawami. Była ubrana jak wszystkie, jednak czuło się jej władczość.

– Przyszłam na konsultację.

– Proszę za mną.

Pielęgniarka zawróciła, a Minna poszła za nią. Jeszcze raz rzuciła okiem na ścieżkę. Wózki zniknęły. Zostali tylko deportowani o wychudzonych twarzach. Przycinali krzewy, ale wyglądali na umierających. Ciągłe ciepło–zimne.

Hol. Od razu uderzyła ją panująca tu przyjazna atmosfera. Białe ściany, woskowany parkiet, mała, ukwiecona recepcja. To była prawdziwa porodówka, gdzie nie czuło się nawet środków dezynfekcyjnych ani leków. Raczej mleko, ciasteczka i rozwinięte kwiaty.

Jedyną niepokojącą nutą były wypisane gotykiem słowa w ramce na ścianie: PRAWDZIWYM SENSEM ŻYCIA JEST LICZNE POTOMSTWO. KAŻDA NIEMIECKA KOBIETA POWINNA DAĆ FÜHREROWI DZIECKO. PŁODNOŚĆ TO PODSTAWA...

– Poczekalnia jest w końcu korytarza.

Minna poszła we wskazanym kierunku, od niechcienia zerkając na obrazy: matka biegnąca za dziećmi na tle gór, matka karmiąca piersią lub kołysząca dziecko i wpatrzona w nie jak germańska pieta. W głębi korytarza królował mniej przyjazny wizerunek: Hitler z wąsikami i skrzyżowanymi rękami zdawał się wspierać na trzech wypisanych poniżej słowach:

KINDER

KÜCHE

KIRCHE

Dzieci, kuchnia, kościół... To nie było nowe hasło. Ponoć tak mawiał cesarz Wilhelm II. Naziści podchwycili słowa, nie kładąc przesadnego nacisku na ostatnie K, kościół. Brunatny Dom nie dbał szczególnie o religię, pomijając rzecz jasna to, że Führera uważał za boga.

W poczekalni znalazła wolne miejsce i dyskretnie przyglądała się pacjentkom. Były jak bukiet promiennych wiosennych kwiatów, napojonych rosą i pełnych pyłku. Wszystkie były pełnymi życia, życzliwymi blondynkami. Te kobiety się urodziły, tryskając energią i pogodą ducha.

Skacowana Minna ze swoją poszarzałą twarzą i niespokojnym spojrzeniem wyglądała tu jak odpad, jak brzydkie kaczątko. Skuliła się na krześle i spuściła oczy, unikając kontaktu z klanem krów mlecznych.

– Który miesiąc?

Sąsiadka uśmiechała się do niej serdecznie. Była dumną blondynką o mocnej szyi i szerokich ramionach, które okryła lekką pelerynką. Jej wielki brzuch wyglądał jak tykwa ułożona na szerokiej spódnicy.

– Nie jestem w ciąży.

Kobieta uniosła brwi. Przypominała Brigitte Helm z *Metropolis*. Jej twarz okalały drobne lakierowane loki, a Minna, która była naprawdę źle nastawiona do świata, pomyślała sobie, że wyglądają jak nazistowskie runy.

– Nie? – zdumiała się w końcu. – Czyli przyszła pani na zwykłą wizytę?

Mimo wielkiego brzucha kobieta sprawiała wrażenie pogodnej i pełnej wdzięku. Kiedy się śmiała, gruchała jak gołąbka, kiedy patrzyła na rozmówcę, wywracała oczyma.

Minna postawiła na prowokację, czyli jedyny styl komunikacji, jaki uznawała.

– Chcę uprzedzić wezwanie. Przyszłam, aby mnie zapłodniono.

Na ustach blondynki, której te słowa wcale nie stropiły, pojawił się delikatny uśmiech.

– Słyszałam, że proponują takie wsparcie – powiedziała porozumiewawczym, niemal oblesnym tonem.

I znowu cmoknęła. Ta dziewczyna naprawdę była sympatyczna, o ile oczywiście lubi się duże blondynki z barami atlety.

– Uczynimy wszystko, by wyświadczyć przysługę Hitlerowi! – dodała Minna.

Blondynka znowu się roześmiała, ale w tym momencie otworzyły się drzwi. Pielęgniarka obrzuciła ją wymownym spojrzeniem – nadeszła jej kolej.

Podniosła się z trudem, potem powiedziała do Minny:

– Życzę powodzenia.

– Ja pani również.

Minna została z innymi ciężarnymi. Wszystkie były wyperfumowane i ubrane w zwiewne sukienki. Nie uroniły ani słowa z jej rozmowy, ale teraz, bardziej powściągliwe, nie śmiały jej zagadnąć.

I dobrze. Minna była w kiepskim nastroju. Jeszcze nie myślała o alkoholu, lecz już sama świadomość, że o nim nie myślała, dowodziła obecności tej trucizny w głębszych zakamarkach jej mózgu. Pragnienia, pustki, która nieustannie się pogłębiała.

Postarała się natomiast zadbać o elegancję. Wybrała lnianą sukienkę koloru kremowego i pleciony słomkowy kapelusz z szerokim rondem. Dopasowane rękawiczki i torebkę z delikatnego beżowego zamszu oraz sandałki z rzemykami wokół kostki.

Czując nagle narastający głód, a może strach, pomyślała o Simonie i Beewenie, którzy czekali na zewnątrz, w bezpiecznej odległości od kliniki. Obiecali, że zostaną bez względu na to, jak długo potrwa wizyta. Z niewiadomego powodu Franz miał wolny dzień, a Simon był teraz skazany na brak zajęć.

Gwałtowny skurcz żołądka ukąsił ją jak żmija, łuski się przesuwają i wiły po jelitach. Minna zaczęła się wiercić na krześle. Perlisty pot wystąpił jej na czoło.

Mogłaby skorzystać na całej tej historii, żeby wreszcie przestać pić. Ale nie była na to jeszcze zdecydowana, długo natomiast walczyła z poczuciem winy alkoholika, które bierze się z presji społecznej, jaką stanowi burżuazyjna dezaprobatą. Piła i to źle, ale nie zamierzała nikomu pozwolić na psucie jej tej przyjemności. Skoro już się grzeszy, to na całego.

Zacisnęła palce na zamku torebki. Musiała ją trzymać. Musiała się skupić na mordercy, który gdzieś się przyczaił. Podążyć jego śladem aż do lebensbornu...

– Fräulein, zapraszamy.

Dopiero teraz zauważyła, że w poczekalni nie ma nikogo poza nią.

Przyszła jej kolej.

Poszła za inną pielęgniarką. Ponownie poprowadzono ją przez hol, a dalej schodami na górę. Ośrodek, nieznacznie większy od Willi von Hasselów, wzbudzał zaufanie. Stwarzał wrażenie prywatności, komfortu, prostoty – tu wszyscy czuli się jak jedna rodzina.

Zapamiętaj topografię tego miejsca. Biuro administracji łatwo będzie znaleźć. Minna była pewna, że Lebensborn prowadzi karty matek, które zawierają cechy fizyczne i psychiczne uzupełnione niewątpliwie o nazwisko „ojca”.

Na pierwszym piętrze znów szły korytarzem. Przez uchylone drzwi zobaczyła żelazne łóżka osłonięte plisowanymi płóciennymi parawanami. Przed każdym z nich kołyska zdawała się czekać, aż ktoś ją zajmie. W głębi zlewozmywaki, fajansowe kafelki, stoły do przewijania.

Wszystko było białe i czyste. Każdy z tych pokoi wyglądał jak dowód mający ilustrować wielki projekt. Minna pomyślała, że może znalazła się przed jedną z witryn, które tak bardzo lubią naziści. Nienaganną próbką planów, których późniejsza realizacja pozostawiała wiele do życzenia.

W innych pokojach było głośniejsze. Jęki, kwilenie w becikach, piastunki uwijające się z butelkami w rękach, z uśmiechem na ustach, jakby wszystkie wyszły spod tej samej matrycy, wykonane z bryły czystego spokoju i cierpliwości. Ich białe sylwetki pojedynkowały się z własnymi cieniami w czystym, ale ostrym zwarciu czerni i bieli. Nie miało to nic wspólnego z opowieściami wuja Gerharda o kradnących guwernantkach i kawałkach szkła w zupie. Minna jednoznacznie stwierdziła, że Zehertofer to pilotażowa porodówka.

– Zapraszam – powiedziała pielęgniarka, otwierając kolejne drzwi.

Minna znalazła się w typowym gabinecie lekarskim z leżanką, wagą i przyrządem do mierzenia wzrostu. W oszklonych szafkach znajdowały się skomplikowane przybory z drewna i metalu – najprawdopodobniej służyły do pomiarów, ale wyglądały jak astrolabia i zegary słoneczne z dawnych epok.

Lekarz (albo po prostu „znawca rasy”) czekał na nią, siedząc przy biurku. Był jednym z tych ekspertów, którzy mogli wydać certyfikat aryjskości albo wyjaśnić, że germańscy przodkowie Niemców sturlali się prosto z himalajskich lodowców. Po prostu uczone.

Urzędnik zajęty starannym pisaniem piórem w zeszycie uniósł oczy. Był mały, przygarbiony, wąsaty. Schowany za różnymi pieczęciami, kałamarzami i innymi

bibułami, kojarzył się z czujnym zwierzęciem, z tym czymś o niespokojnych, ruchliwych oczach. Z czymś groźnym.

Minna nie zdążyła nawet usiąść. Mężczyzna roześmiał się drwiąco znad papierów. Nie próbował ukryć wzgardy.

– Może pani wracać do domu, Fräulein. Nie ma sensu marnować pani i mojego czasu.

– Nie rozumiem?

Wyprostował się i uśmiechnął, unosząc binokle.

– Absolutnie nie odpowiada pani typowi, jakiego poszukujemy.

Nie tracąc pewności siebie, Minna podeszła. Przez chwilę szperała w torebce, po czym położyła na biurku dokumenty.

Mały gryzoń zerknął na nie z ciekawości. Nagle jego oczy niemal wyskoczyły nad szkła.

– Jest pani córką barona von Hassela?

– Bratanicą.

Mężczyzna poderwał się z fotela i wyciągnął łapkę.

– Sturbannführer Peter Koch. Proszę mi wybaczyć to nieporozumienie.

– Mogę przejść badania?

– Oczywiście.

– Co mam zrobić?

– No cóż... – Wskazał parawan w drugim końcu gabinetu. – Jeśli zechce się pani rozebrać, przeprowadzimy badanie.

Minna szybko zdjęła kapelusz i sukienkę.

– Mogę zostać w bieliźnie? – spytała zza płóciennej ścianki.

– Naturalnie.

Z głosu mężczyzny odgadła, że jest w doskonałym humorze. Baronówna von Hassel. To wielka odmiana po gromadach ciężarnych wieśniaczek, które przechodziły przez jego rękę.

Minna wyszła zza parawanu, odruchowo splatając ręce na piersiach. Miała na sobie tylko biustonosz, majtki i jedwabną halkę.

– Proszę podejść bliżej.

Koch wstał. Był niewiele wyższy od niej.

– Zechce pani stanąć pod miarką.

W ręce trzymał notes i ołówek. W szarym fartuchu doskonale odnalazłby się wśród subiektów Wertheima w dziale dla majsterkowiczów. Wykonała polecenie, a „znawca rasy” mimowolnie się skrzywił, zapisując jej wzrost. Minna miała niewiele ponad metr sześćdziesiąt, czyli stanowczo za mało jak na nordycką matkę.

Zważył ją, osłuchał, zmierzył jej ciśnienie, sprawdził odruchy, obmacał brzuch. Na tym etapie badanie w niczym nie różniło się od internistycznego.

– Proszę usiąść.

Wskazał jej krzesło obok leżanki i otworzył jedną z szafek z dziwnymi narzędziami. Wyjął z niej metalową suwmiarkę, która przypominała przyrząd do mierzenia wzrostu, ale poziomy.

– Poproszę panią jeszcze o podpisanie oświadczenia.

– Jakiego?

– Oświadczam pani, że dobrowolnie poddała się badaniom.

Minna podpisała. Nie miała czasu ani ochoty na czytanie długiego formularza. Zresztą to wszystko i tak było maskaradą.

– Teraz proszę się nie ruszać. I siedzieć prosto na krześle.

Koch cierpliwie mierzył jej czaszkę, wysokość kości policzkowych, głębokość oczodołów, krzywiznę, szerokość i długość nosa...

Podczas gdy manipulował swoim aparatem i robił notatki, Minna oglądała ryciny rozwieszane na ścianach. Zauważyła *Człowieka witruwiańskiego* Leonarda da Vinci, szkice anatomiczne kobiet... Pomyślała o Damach Adlonu. Były idealnymi kandydatkami do Lebensbornu. Wysportowane, silne blondynki o pięknych twarzach i bujnych kształtach.

Koch odłożył w końcu suwmiarkę i wciąż stojąc, skupił się na swoich zapiskach. Wyglądał teraz jak glazurnik, który obmierza kuchnię.

– Od jak dawna jest pani w ciąży?

– Nie jestem w ciąży.

– Słucham?

– Po to właśnie tu przyszedłam. Żeby zajść w ciążę.

Niski mężczyzna podszedł do niej. Minna przypomniała sobie oczy profesora Kirszenbauma, które zdawały się pływać za grubymi szklami okularów. Oczy Kocha były ich przeciwieństwem – małe, niespokojne, o źrenicach, które nieustannie ruszały się za binoklami niczym pijawki w słoju.

– To, że nazywa się pani von Hassel, nie uprawnia pani do drwin z...

– Z niczego nie drwię. Pragnę podarować dziecko naszemu Führerowi. I liczę, że pomożecie mi znaleźć dla niego ojca.

Zamknął oszkloną szafkę i z urażoną miną usiadł za biurkiem.

– Wprowadzono panią w błąd. Nasze ośrodki przyjmują kobiety, które są ciężarne. To porodówki, rozumie pani?

– Czy mogłabym przynajmniej zgłosić swoją kandydaturę? Powinien pan pomówić o tym z przełożonymi. Jestem z von Hasselów. W całych Niemczech nie znajdzie pan

dziesięciu rodów mogących równać się z nami. Przyszłam, by podać wam na tacy swoją krew. Sądzę, że ta oferta jest godna rozważenia.

Sturmbannführer Koch obracał ołówek w palcach, zastanawiając się. Po chwili mocno oparł się o podłokietniki fotela i wstał.

– Proszę się ubrać i iść za mną.

Znów musiała czekać. W tej samej sali co inne przyszłe matki, z których każda z głupią dumą wypinała wielki brzuch. Niektóre były wręcz aroganckie.

Minna nie czuła lęku. Wręcz przeciwnie, gratulowała sobie, że znalazła się w tym miejscu. Nie miała pojęcia, co będzie dalej, jednak po tej wizycie na pewno wyznaczą jej kolejną. Może wtedy będzie mogła wśliznąć się do biura.

Pomyślała o Krausie i Beewenie, którzy wciąż czekali, i ta świadomość wywołała uśmiech na jej twarzy. Nie może się jej stać nic złego.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że od początku badań nawet nie pomyślała o alkoholu. *To akurat bardzo dobrze.*

Nagle drzwi się otworzyły i stanął w nich Koch.

– Pielęgniarka zaprowadzi panią teraz do innego pawilonu. Tam będzie pani mogła przedstawić swoje... oczekiwania.

– Komu?

– Zobaczy pani.

Minna nie zadawała więcej pytań. Krok po kroku zbliżała się do kierujących Lebensbornem. Do nazwisk, twarzy, a wreszcie do listy „ojców” organizacji.

Wyszły na tyły willi. Potem wszystko się rozmyło. Słońce i biel przesłoniły świat. Oślepią Minna osłoniła oczy ręką i dopiero po chwili stopniowo zaczęła widzieć zieleń i strażników z psami.

Podążając za pielęgniarką, dotarła do kolejnego parku, zacięzionego królestwa trawy i drzew, gdzie ciemnobrązowe zarośla tworzyły kępy zwarte jak skała. Wszędzie świergotały ptaki, bzyczały owady, aż poczuła lekki zawrót głowy. Upojenie latem, czyste, wszechogarniające.

Kolejny budynek. Mniejszy od porodówki, porośnięty mchem i pnączami, przypominający domek myśliwski albo daczę w niemieckim guście. Kwatera główna szefa? Dział zapłodnień? A może jeden z nazistowskich burdeli, o których aż huczało w Berlinie? Cmokanie dało wstępną odpowiedź. Po prawej na tarasie, który zacięniały parasole, paplali, sącząc napoje chłodzące, mężczyźni i kobiety. One były w lekkich sukienkach. Oni nosili oficerskie mundury SS. Kobiety sprawiały wrażenie nienaturalnie podekscytowanych. Oni delektowali się własnymi dowcipami. Gruchanie. Cytrynada. Z daleka pachniało grą wstępną do spółkowania.

Cały ten uroczy krąg był jasnowłosy. I nie ciemnoblon, nie słomkowy, ale wręcz biały w słońcu. Raz po raz rozlegał się śmiech. Minna pomyślała, że wybielili im także

mózgi...

– Fräulein...

Weszły do domku chłodnego jak jaskinia. I znów hol, ale już bez recepcji ani tablic. W półmroku delikatnie rysowały się kształty i barwy obrazów. Rdzawa skóra foteli doskonale się z nimi komponowała. W całym wnętrzu panował półmrok w odcieniu miedzi.

– Tędy proszę.

Tu nie było już ani poczekalni, ani innych pacjentek. Szła na spotkanie z zarządzającym tym „źródłem życia”.

Czy rozsądnie było grać w otwarte karty? Tak, że odtąd mogą ją już zidentyfikować, zbierać informacje o niej? Ale nie miała wyboru, a intuicja podpowiadała, że nic jej nie grozi. Właśnie z powodzeniem wypełnia zadanie, jakie sobie wyznaczyła: dotrzeć do serca tej instytucji, przeniknąć do środka maszyny.

W końcu pielęgniarka otworzyła podwójne drzwi, których pierwsze skrzydło było obite skórą. Minna stanęła oko w oko z ostatnią osobą, której się tu spodziewała. Choć jeśli się nad tym zastanowić, nie było to aż tak zaskakujące.

Ernst Mengerhäusen stał w głębi gabinetu, za otwartymi drzwiami balkonowymi, które wiodły na taras. W słonecznym pyłe jego profil odcinał się niczym kuty w żelazie sztyl: niski, brzuchaty facet z rudą czupryną palił fajkę z długim, ozdobnym cybuchem.

Zaraz potem pielęgniarka zniknęła, zostawiając Minnę w gabinecie z politurowanymi meblami jak w biurze notarialnym z XIX wieku, sam na sam z łotrem, który spokojnie palił, wystawiwszy nos na zewnątrz.

I wtedy przez głowę przemknęła jej myśl, by tu i teraz zabić tego bydlaka. Wykorzystać chwilę na osobności i raz na zawsze skończyć z tym śmieciem. Wyłupić mu oko stalówką albo wbić nóż do papieru w szyję.

– Czego pani szuka? – spytał, wracając z fajką w zębach do gabinetu i zamykając drzwi balkonowe. – Skalpela? Pistoletu? – Zaśmiał się dobrotliwie, a potem usiadł za biurkiem. Wyglądał jak postać z ludowych obrazków, które można kupić w bawarskich sklepach z pamiątkami. Szkoda, że nie był ubrany w lederhose, krótkie spodnie z jeleniej skóry na szelkach. – Zechce pani spocząć, Fräulein von Hassel. I niech pani nie robi takich melodramatycznych min. Być może przyszła tu pani kierowana żądzą zemsty, a może z zupełnie innego powodu. Tak czy inaczej, pani wizyta zasługuje na chwilę rozmowy.

Poczuła, że jej ciało nagle traci stabilność, i osunęła się na krzesło.

– Nie wiem, czy prowadziła pani poszukiwania, by mnie tu znaleźć, ale widzę, że zaskoczyła panią moja obecność w tym gabinecie w sytuacji, która nie ma nic

wspólnego z naszymi wcześniejszymi spotkaniami.

Minna milczała.

– I mogę przyznać, że pani również udało się mnie zaskoczyć – dodał, przechylając fajkę w jej stronę niczym łagodnie karcący palec.

Przypomniała sobie, co powiedział o tej fajce. Że wyrzeźbił ją z kości udowej francuskiego żołnierza. „Oczywiście żartuję”, dorzucił. *Gadanie*.

– Wszystko pani wyjaśnię – ciągnął ugodowym tonem. – Ale w zamian oczekuję od pani tego samego.

Minna nie zdołała dłużej wytrzymać.

– Jak pan mógł podpalić mój instytut?

– Każdy czyn pociąga za sobą konsekwencje.

– Jaki czyn?

Spojrzał jej prosto w oczy.

– Cała ta sprawa panią przerasta. Przerasta także mnie. Tu nie chodzi o nas, Fräulein von Hassel. Chodzi o Rzeszę. O Tysiącletnią Rzeszę, rozumie pani?

– Nie widzę związku. Dlaczego zabił pan moich pacjentów?

Wstał i przechadzał się w zamyśleniu, a smuga dymu łączyła jego kroki niczym szarfa.

– Eugenika to bardzo stara idea. Stany Zjednoczone wprowadziły ją w praktykę już na początku stulecia. – Odwrócił się w jej stronę. – Widzi pani, są dwa rodzaje altruizmu: ten, który działa krótkofalowo, i inny, prawdziwy, kierujący się dalekosiężną logiką. Bardzo łatwo litować się nad istotami zdeformowanymi, kruchymi, bezradnymi. Ale czy ich ochrona to naprawdę świadectwo miłosierdzia, człowieczeństwa? Czy kochać bliźniego swego nie oznacza myśleć o jego przyszłości i postępować tak, żeby wszyscy ludzie podążali razem ku szczęściu uzdrowionemu, bez wad i ułomności?

Minna ścisnęła kolana, a jeszcze mocniej zęby.

– Znam te wasze brednie o podludziach, o uszkodzonych, o bezużytecznych gębach... – zdołała powiedzieć. – Traktujecie ludzi jak zapasy psującego się towaru.

Rozłożył ręce w geście bezradności.

– Zadała pani pytanie, więc odpowiedziałem.

– Dlaczego ich pan spalił?

– W zasadzie opowiadamy się za łagodnymi metodami. Nie leży w naszym interesie prowadzenie takich spektakularnych akcji. Ale powtarzam, sprowokowała mnie pani.

– Ja?

– Pani posłaniec. Ten Beewen.

Minna zagryzła usta.

– Niech pani nad nimi nie ubolewa – podjął. – Pani pacjenci i tak byli skazani. Planowaliśmy wszystkich ich przenieść jak najszybciej do Grafeneck.

– Brak mi słów na pański cynizm.

Zaśmiał się, ale zabrzmiało to prawie jak kaszel między dwoma pyknięciami z fajki.

– Spokojnie, spokojnie, przecież mówimy o medycynie. Plan jest w trakcie realizacji. Niewiele może pani zrobić, pozostaje się podporządkować. Żeby dowieść naszych dobrych intencji, pracujemy nad wersją „przypadkowego” wybuchu pożaru w Brangbo. Nikt nie będzie pani niepokoił. Napisaliśmy też do krewnych pani pacjentów, aby powiadomić ich o śmierci chorych.

– Skąd mieliście ich nazwiska?

– Z waszego archiwum. Zabraliśmy wszystko, zanim... to zakończyliśmy. Nie jesteśmy bezwzględnyimi bestiami. Każda rodzina musi zostać powiadomiona. Naród niemiecki nigdy nie padnie ofiarą manipulacji.

Nie warto było rozmawiać z tym człowiekiem, a tym bardziej okazywać przy nim emocji. To byłoby tak, jakby chciał rozczulić bunkier albo wzruszyć karabin maszynowy.

– Co pan tu robi? – rzuciła zirytowana.

– Dobre pytanie. – Uśmiechnął się. – Za chwilę zapytam o to samo panią. Nie powiem pani niczego nowego, przypominając, że nazizm to nie program polityczny, ale projekt biologiczny. Nasz Führer chce umocnić Niemcy, owszem, ale pragnie też wzmocnić Niemców. Nasz naród ma swe przeznaczenie. Nadszedł czas, by sięgnął po to, co jest mu pisane.

Gestem, który był już jak odruch, opróżnił fajkę nad popielniczką, a potem zajął się czyszczeniem jej komina skalpelem.

– Ten program ma dwie strony. Jedna opiera się niestety na eliminacji. Zanim wzmocnimy naród, musimy zebrać śmietankę i oczyścić go. Żeby to wytłumaczyć, używam zawsze metafory drzewa. Niedzielny ogrodnik myśli, że kocha naturę, bo chodzi wokół dębu, który rośnie na jego małej parceli. Ale ogrodnik z prawdziwego zdarzenia rozumie, że nie wolno się wahać, że trzeba obcinać uszkodzone gałęzie, choćby nawet przyszło chwilowo oszpecić drzewo, umożliwiając mu jednak lepszy rozwój.

Podczas gdy mały brzuchacz perorował, Minna się zastanawiała, co robić: dokumenty, które ją interesowały, dotyczące zapłodnionych kobiet i samców rozplodowych, znajdowały się tutaj albo w jednym z sąsiednich pomieszczeń. Wrócić. Szukać. I znaleźć. Kiedy? Najbliższej nocy?

– Proszę mi lepiej opowiedzieć o drugim elemencie programu – przerwała mu.

Umieścił fajkę na blacie i rozłożył tłuste dłonie.

– Przecież jesteśmy tu, gdzie wcielamy go w życie!

– Lebensborny. „Źródła życia”.

– Właśnie. Chodzi nie tylko o to, by doskonalic drzewa, które już wyrosły, trzeba też sadzić nowe! Dużo nowych drzew. Obawiam się, że spotkaliśmy się na najcięższym etapie programu, najkrótszym, ale i najtrudniejszym do zrozumienia, cieszę się jednak, że dziś mogę panią gościć w tej placówce położniczej, która jest przyszłością naszej rasy.

– Dotąd widziałam najzwyklejszy ośrodek dla panien w ciąży.

– Proszę nie bawić się w prowokacje. Doskonale zdaje sobie pani sprawę ze znaczenia tego, co tu robimy. Niemiecka kobieta jest z natury płodna. Musimy jednak bardziej ją zachęcić, stymulować, wspierać. Ona jest dosłownie macierzą naszego zwycięstwa.

Gabinet znajdował się na parterze. Wyłamanie drzwi balkonowych nie będzie wielkim problemem. Czy Simon i Beewen odważą się tu z nią przyjść? Z pewnością.

– Dzięki szeroko zakrojonej i przemyślanej propagandzie – ciągnął lekarz – udało nam się zwiększyć dynamikę: zgłaszają się młode brzemiennie kobiety. Tu nie chodzi o uprawianie miłości, o ślub i chrzciny ani o inne burżuazyjne bzdury. Chodzi o rodzenie dzieci, koniec kropka. O odbudowę ludnościową naszego lebensraumu! Tak drogiej naszemu Führerowi przestrzeni życiowej.

– Ale nie wszystkim ciężarnym kobietom pomagacie.

– Oczywiście, że nie. Selekcji także dokonuje się u źródła. Zachęcamy jedynie nordyckie kobiety i im pomagamy. To właśnie nazwaliśmy „prokreacją zarządzaną”. Chcemy pokolenia czystej krwi!

– Biada drobnym brunetkom, takim jak ja.

Szeroki uśmiech pojawił się na jego twarzy. Był jak cięcie szablą na dyni.

– Niech pani nie będzie taka skromna. Doskonale pani wie, że jej krew jest cenniejsza od innej.

– Skoro pan tak twierdzi...

– Sama powiedziała to pani mojemu koledze, i słusznie. Jednak to nie daje nam odpowiedzi na zasadnicze pytanie: co pani tu robi?

W tym momencie Minna zrozumiała, że dalsze udawanie żarliwej nazistki albo kandydatki na matkę nie ma sensu. Mengerhäusen nie przełknąłby żadnego takiego kłamstwa. Mieli za sobą batalię i tamten spór jasno określał ich pozycje. Minna będzie dużo bardziej wiarygodna jako baronówna, która dostała się tu gotowa poderznąć gardło wrogowi, niż w roli zwolenniczki partii.

– Przyszłam tu z czystej ciekawości.

– Twierdziła pani, że przyszła w poszukiwaniu... ojca dla swego dziecka.

– Czy ja wyglądam, jakbym zamierzała polować tu na mężczyzn?

Mengerhäusen cmoknął i znów nabił fajkę. Aromat bałkańskiego tytoniu podrażnił jej nozdrza.

– Też tak pomyślałem... – powiedział w zadumie. – Ale po co grać tę rolę?

– Ponieważ lebensborny nie wydają mi się zbyt otwarte na wizyty.

Wsunął kościaną fajkę w zęby.

– Ależ jest pani w błędzie! Z radością otwieramy drzwi przed wszystkimi ciekawymi! Zwłaszcza przed tymi, którzy nazywają się von Hassel!

Jego zachowanie stropiło Minnę – jakimkolwiek zasłaniała się kłamstwem, stykała się z mającym odpowiedź na wszystko jowialnym, małym grubasem.

– Chodźmy. Chciałbym przedstawić pani przyjaciół.

Wyszli do parku i Mengerhäusen poprowadził Minnę w kierunku grupki osób, które siedziały pod parasolem, sącząc zimne napoje. Szła z wahaniem, słońce oślepiało ją tak mocno, że przy każdym mrugnięciu widziała czarne plamy.

– Przyjaciele! – zwrócił się lekarz do oficerów SS i ich panienek w letnich sukienkach. – Z radością przedstawiam wam baronównę Minnę von Hassel.

Już od lat nikt tak o niej nie mówił. Próbując uchylić się przed słońcem, uśmiechnęła się nieśmiało i usiadła na krzesło, które jej podsunęto. Tutejsze meble ogrodowe były żeliwne, a w popołudniowym świetle ten materiał wydał się jej twardszy niż zwykle.

Zauważywszy, że dzbanki z cytrynadą są puste, Mengerhäusen zaczął sztorcować służącego, który stał w pobliżu. Był kolejnym szkieletem w szarej piżamie. Na Boga, co ona tu robi? Nic już nie rozumiała.

Na szczęście reszta towarzystwa właściwie nie zwracała na nią uwagi. Mężczyźni flirtowali z młodymi kobietami, które się wyginały i wiły w przejrzystych sukienkach jak srebrzyste węgorze w rzece.

Minna dosłownie czuła cząsteczki pożądania unoszące się w złocistym powietrzu. Blond włosów tych ludzi był tak jasny, jakby otaczała ich księżycowa poświata. Niezwykły magnetyzm ciągnął ich ku sobie.

Czuła też obecność Mengerhäusena za swoimi plecami. Czuwał nad podopiecznymi jak dobrotliwy, uśmiechnięty nauczyciel. Do czego dążył? Dlaczego przyprowadził ją na to naelektryzowane zmysłowością spotkanie? Czyżby chciał ją zaprosić do udziału w orgii?

Podano cytrynadę. Minna dosłownie się na nią rzuciła. Była spragniona, rozpalona, a potrzeba alkoholu znów dusiła ją jak podstępny wąż. Dwukrotnie napełniła szklanke, nawet nie pytając, czy ktoś inny także ma ochotę na napój. Czuła się odurzona słońcem.

Przymknąwszy oczy, czekała, aż chłodna ciecz spłynie i ogarnie jej rozpalone narządy. Głosy unosiły się nad nią, ale nie była już w stanie uchwycić znaczenia słów.

Nagle przypomniała sobie o Simonie i Beewenie. Musiała zmobilizować siły, zdobyć się na to, żeby wstać i pożegnać tych nieznajomych.

– Wiem, co pani robi.

Drgnęła i odwróciła się, kładąc rękę na oparciu krzesła.

– O czym pan mówi?

Pochylił się nad nią, trzymając ręce za plecami jak nauczyciel, który przyłapał ucznia za ściąganiu.

– Co pani sobie myślała, Fräulein? Że nie zebrałem informacji o pani? Że nie kazałem pani obserwować?

Znów zaschło jej w gardle. Nie zdołała odpowiedzieć.

– Minno, lubię panią. Dlatego ostrzegam. Niech pani zapomni o tej sprawie. Niech pani zapomni o Simonie Krausie i Franzu Beewenie. To nie na pani siły.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi.

Jego uśmiech przypominał cięcie sierpem garści zboża. Okrążył ją i dołał jej cytrynady.

Minna patrzyła jak zahipnotyzowana na obrzeże dzbanka i płynącą z cichym pluskiem cytrynadę, na tę cudowną strugę.

Chwyciła szklanekę i piła dużymi łykami.

Wtedy wszystko się zachwiało.

Zobaczyła biały personel.

Błękitne niebo.

A potem już nic.

Kiedy odzyskała świadomość, wokół było ciemno. Otaczająca ją ciemność była nieprzenikniona, głęboka, gęsta. Najpierw poczuła ból głowy. Paskudną migrenę. Potem zauważyła, że jest jej gorąco. Było to naturalne letnie ciepło. Ale przytłaczało ją, otulało z bardzo bliska, sprzymierzyło się z jej potem, żeby ją udusić. Boże, była zupełnie naga. Trzecie przerażające odkrycie – więzy. Na nadgarstkach. I w kostkach. Szerokie skórzane pasy. Przywiązano ją do łóżka.

Zamknęła oczy, dokładając jeszcze jedną warstwę zaciemnienia. Próbowwała odtworzyć ostatnie chwile świadomości. Zobaczyła siebie pod parasolem. Był to oślepiająco biały obraz gdzieś w zakamarkach obolałego mózgu. Uśmiechała się głupawo, pijąc cytrynadę.

Podali jej narkotyk.

Jak mogła dać się tak łatwo podejść? Zapuściła się na terytorium wroga. Powinna była zachować czujność, uważać na każde słowo, każdy gest. Tymczasem bez wahania przyjęła pierwszą lepszą cytrynadę. Co gorsza, piła, dopóki nie ugasiła pragnienia. Zachowała się nieostrożnie, jak rozpieszczone, chowane pod kloszem dziecko. Nie przywykła do przeciwności losu, zawsze polegała na swoim nazwisku i majątku, które chroniły ją nawet z daleka.

Próbowwała przełknąć ślinę i zorientowała się, że znów kona z pragnienia. Czuła, jakby miała w ustach trociny. Całe jej jestestwo pragnęło pić, przełknąć choć kilka kropelek wody, by pozbyć się tej suchości.

Usiłowała zdobyć się na logiczne rozumowanie, ale myśli ciągle się jej rwały siekane obrazami, migawkami, zbyt silnymi bodźcami. Fajka Mengerhäusena. Skalpel, którym czyścił jej komin. Dzbanek z lśniąca w słońcu cytrynadą.

Dlaczego zamknęli ją w tym pokoju? Jej oczy z trudem oswajały się z ciemnością. Co z nią zrobią? Osobowość Mengerhäusena kazała obawiać się najgorszego – tortur, eksperymentów medycznych, gwałtów (oczywiście gwałcicielem nie byłby on, może nawet żaden mężczyzna, ale psy, gady, sterowane maszyny).

Majaczyła. Może tylko wystawili ją na próbę. Mengerhäusen złapał ją za słowo. Będzie ją analizował, żeby zdecydować, czy jest „zdolna do służby”. Nagle przypomniała sobie swoje wysiłki (i nocny horror), by dać tym łotrom krew godną tego miana. Tymczasem tu nikt nie wspomniał o badaniu krwi.

Strach wrócił. Nie miała wątpliwości, że w kręgu szalonych nazistów Mengerhäusen znalazł swoje miejsce. Wierny wartościom Czarnego Zakonu, zapewne sam był

inspiratorem odrażających idei i można się było obawiać z jego strony wszystkiego. Może wytnie jej jakieś narządy, żeby przeanalizować ich kolor i budowę. *Trzewia von Hassel, cenny materiał...* Może podda ją sterylizacji albo wręcz przeciwnie – zapłodni, stosując nieznaną metodę. Może...

Drzwi pokoju otworzyły się, wpuszczając szeroką smugę światła. Zdążyła zauważyć, że to żółtawe, elektryczne światło. A więc była noc. Przespała wiele godzin. Zobaczyła sylwetkę mężczyzny odcinającą się na jasnym tle. Mały, barczysty, z bujną czupryną – Mengerhäusen we własnej osobie robił wieczorny obchód.

Zamknął drzwi i jego głos zdominował ciemności.

– Popełniła pani błąd, Fräulein. Wielki błąd.

Nie była w stanie odpowiedzieć. W gardle wciąż miała pełno pyłu.

– Dziś po południu udałem, że panią ostrzegam, ale było już za późno.

Zdołała przełamać swoje milczenie.

– Na co było za późno?

– Żeby zrezygnować, zapomnieć, odejść.

– O czym pan mówi?

Usłyszała kroki. Lekarz krążył wokół niej jak nocny drapieźnik.

– Mógłbym pani wybaczyć postawę wobec naszego programu.

– Waszego programu?

– Proszę nie udawać idiotki. *Gnadentod*, uśmiercanie z litości. To wyzwolenie, które starannie przygotowujemy i oferujemy wszystkim tym biedakom. – Urwał i mlasnął. Pić, chciało jej się pić. – Uważa się pani za nowoczesną, ale należy pani do przeszłości. Psychiatria, jaką pani uprawia, nie ma już po co istnieć. Ten błąd mógłbym pani wybaczyć. Byłbym nawet gotowy przedstawić pani nasze rewolucyjne zasady. Ale pani było tego za mało, musiała pani wykroczyć poza swoją dziedzinę.

– O czym pan teraz mówi?

Kroki. Jego głos tuż obok.

– Mówię o Damach Adlonu, Fräulein. Mówię o mordercy znad rzeki i jeziora. Mówię o tym niewyobrażalnym ataku na małżonki naszej elity. To niebezpieczna sprawa. Znacznie bardziej niebezpieczna, niż pani sądzi. Tak głupio dała się pani w to wciągnąć Beewenowi! To niepojęte. Beewen to ograniczony gestapowiec, pies nadający się najwyżej do aportowania dowodów. Ale pani! Nie, pani absolutnie nie możemy na to pozwolić.

Myśli w jej głowie wiły się jak płomień. Nic już nie rozumiała. A zatem leżała przywiązana do łóżka, gotowa do złożenia w ofierze, nie w związku z pożarem w Brangbo ani z wtargnięciem do lebensbornu, lecz z powodu śledztwa? Boże. Miała zapłacić za informacje, których nawet nie miała, za prawdę, której nie znała...

I nagle błysnęła ta myśl – gruchnęła jak piorun i rozlała się niczym krwiał pod czaszką.

Marmurowy Człowiek to Mengerhäusen.

– Postanowiłem trzymać panią za słowo, Fräulein...

– Chce mi się... pić – wyszeptała z trudem.

Zapadła dziwna cisza pośród ciszy. Mengerhäusen nad czymś się zastanawiał. Potem znowu rozległy się kroki. Słabo widziała jego sylwetkę, bo nie miał teraz białego kitla, ale zauważyła, że porusza się po pokoju jak w pełnym świetle.

Podzwanianie szkła. Gulgot wody. Stuknięcie szklanego dzbanka o blat.

– Proszę.

Wsunął jej rękę pod kark i uniósł głowę. Miała wrażenie, że po jej skórze przesuwają się wąż, i wzdrygnęła się gwałtownie. Przez moment obawiała się nawet, że to znowu *delirium tremens*.

Ale tuż potem poczuła, jak ogarnia ją miła świadomość. Stał się cud. Doznanie było tak gwałtowne, jakby od tej zimnej wody pękały jej wargi. Teraz się zastanawiała, jak zdołała wytrzymać tak długo. Woda przepełniała ją radością, spokojem, wdzięcznością. Pomyślała nawet, że po takiej rozkoszy mogłaby umrzeć.

Ale te wrażenia nagle zniknęły przerwane brzękiem szklanki, która stanęła obok karafki na stoliku. Minna nie bała się już nawet, że znów podadzą jej narkotyki. Przeciwnie – każde znieczulenie byłoby mile widziane. Bała się cierpienia, wyrafinowanego cierpienia, jakie potrafiłyby zadać jej Mengerhäusen.

Wciąż mrużyła oczy, żeby lepiej widzieć, żeby odróżnić kształty, zyskać orientację. Jednak nie widziała niczego poza tą masywną czarną sylwetką lekarza, który stał przed nią, trzymając ręce za plecami.

– Powiedziałem, że trzymam panią za słowo.

– Co... co pan chce przez to powiedzieć?

– Chciała pani zostać zapłodniona? Pomożemy pani.

– Zamierza mnie pan operować? – wydukała z trudem.

Zaśmiał się.

– Co też pani przyszło do głowy? My po prostu zaaranżujemy spotkanie. Tu nigdy nie robimy nic więcej. Wiedziała pani, że to dawny domek myśliwski? Dość zabawna sytuacja, przyzna pani?

Minna nie mogła sformułować ani jednej spójnej myśli. Co to oznacza? Że zostanie zgwałcona w tym łóżku, przywiązana do niego niczym na wiwisekcję? Ta myśl była prawie znośna w porównaniu do cierpień, które sobie wyobrażała.

– Nazywa się pani von Hassel – podjął Mengerhäusen. – Trzeba pani najlepszego! Dlatego od razu pomyślałem o bardzo zaufanym człowieku, o zapładniającym,

z którym współpracujemy regularnie. To szczyt elity, zapewniam panią. I to pod każdym względem.

– Nie może mi pan tego zrobić.

Usłyszała, że oddała się w stronę drzwi.

– A kiedy poczuje pani, jak nasze dzieło rośnie w pani łonie, przyjdzie mnie pani błagać, i to na kolanach, żebym przeprowadził aborcję, a może nawet żebym panią zabił. Zobaczmy, w jakim będę wtedy nastroju.

– Nie...

– Wszystko będzie dobrze. Dotąd... miałem same pozytywne efekty.

– Oskarżę pana. Powiem o tym...

– Komu pani powie? Proszę nie zapominać, że przyszła tu pani z własnej woli. Podpisała pani nawet oświadczenie, które zwalnia nas z wszelkiej odpowiedzialności.

Minna nie zdążyła zareagować. Drzwi się otworzyły i zaraz zamknęły. Kiedy światło rozprasało się pod jej powiekami, odzyskała nadzieję. Simon i Beewen przyjdą ją uwolnić. Czekają już tyle godzin, muszą umierać ze strachu o nią. Na pewno szukają sposobu, żeby dostać się do tej rezydencji.

Uspokajający efekt tych myśli okazał się nietrwały. Pragnienie wracało, a wraz z nim lęk. „Trzeba pani najlepszego”, „nasz zaufany współpracownik”... Dostrzegła za tymi słowami ogrom ironii. Na pewno wybrał dla niej brutalnego esesmana obdarzonego nieproporcjonalnie dużym członkiem. To musi być coś, co zada jej cierpienie. I raz na zawsze odbierze chęć wtrącania się w cudze sprawy.

Myśli zaczynały się jej rozpierzchać. Na otaczających ją ścianach zobaczyła jeszcze ciemniejszy, zwarty kontur. To było zwierzę. *Stier*. Byk. *Zuchtbulle*. Byk rozplodowy. Była w labiryncie i miała spotkać Minotaura. Była w studni piramidy gwałcona przez Apisa, egipskiego boga z głową byka.

Zaczęła się śmiać. Popadała w obłęd i nie mogła w to uwierzyć. Ona...

Drzwi się otworzyły. Światło elektryczne znów wlało się do pokoju szerokim łukiem. Mężczyzna stał nieruchomo w progu. Niezbyt wysoki, nagi, o posągowej sylwetce widocznej na tle żółtego korytarza. Nie widziała ani jego przyrodzenia, ani twarzy, jednak przypominał miniaturę jednej z monumentalnych rzeźb Arno Brekera albo Josefa Thoraka zdobiących berliński Stadion Olimpijski.

Ani słowa.

Żadnego ruchu.

Mężczyzna w milczeniu obserwował ofiarę.

Minna zaczęła panikować. Obracała tułów, unosiła go, ale nie mogła nawet krzyknąć. Jej rozkraczone nogi tworzyły z resztą ciała krzyż Świętego Andrzeja. Żywy. Gotowy do gwałtu.

Mężczyzna odwrócił się powoli i zamknął drzwi. Powrót do ciemności. Ale to już nie był ten sam mrok. Teraz cały pokój rozświetlała nadzieja. Wystraszona Minna zdążyła zerknąć na swoje więzy. I choć pólżywa ze strachu, zwróciła uwagę na pewien szczegół. Nie, nie na szczegół, na coś znacznie więcej. To była jej deska ratunku.

Otóż doskonale знаła te pasy. Takich samych używano w Brangbo. Skórzane, z metalowymi zapięciami, niemożliwe do zdjęcia jedną ręką, ale tylko dla tych, którzy nie byli z nimi obcy. Zaprojektowane dla szpitali psychiatrycznych, zwane pasami Walfischa od nazwiska wynalazcy, dawały się rozpiąć jednym gestem jak za sprawą czarownika, pod warunkiem że miało się wprawę i opanowało się prawidłowy ruch. Należało szybko przesunąć z prawej w lewą, jakby pisało się w powietrzu Z. Dzięki takiej sztuczce można było uwolnić pacjenta w nagłej sytuacji, kiedy się zranił albo wymagał reanimacji.

Pasy Walfischa. Bóg jej nie opuścił. Zanim mężczyzna zdążył zamknąć drzwi na klucz, oswobodziła się z dwóch obręczy i szybkim ruchem otwierała więzy na kostkach.

W ciemnościach mężczyzna nie widział, co się dzieje, jednak podszedł szybko, podejrzewając próbę ucieczki. Kiedy był blisko, Minna wyprostowała podkulone nogi i z całej siły kopnęła w coś twardego, prawdopodobnie w brodę lub w inną kość twarzoczaszki.

Głuchy odgłos, potem już nic. Siedziała nieruchomo, zapomniawszy nawet o oddychaniu. Nie mogła sobie pozwolić choćby na drobne drżenie. Ostrożnie podkuliła nogi, obróciła się i postawiła je. Teraz już widziała jasne ciało leżące na ziemi. Mężczyzna się nie ruszał. Minna nie mogła w to uwierzyć. Wykluczone, żeby zabiła go jednym kopnięciem.

Wstała. Opierając się plecami o ścianę, doszła do drzwi. Po omacku, nie odrywając oczu od leżącego na podłodze, przekręciła klucz i uchyliła drzwi.

Nie po to, by wyrzeć na korytarz.

Żeby oświetlić pokój.

Kark mężczyzny opierał się o żeliwny kaloryfer. Uraz kręgosłupa szyjnego. Udało jej się skrócić kark temu człowiekowi, jak królikowi. Chciało jej się śmiać, ale się powstrzymała. Szerzej otworzyła drzwi i pochyliła się nad ofiarą. Nie był ani bykiem, ani potworem. Ani nawet nabuzowanym esesmanem, barczystym i wielkim jak czołg, obdarzonym kutasem ogiera. Miała przed sobą tylko najprzystojniejszego mężczyznę, jakiego kiedykolwiek widziała. O zachwycającej twarzy, nierealnej, jakby oderwanej od reguł czasu i przestrzeni.

Dobrze znała tę twarz.

Jak każda Niemka.

Kurt Steinhoff. *Kurt der Geliebte, Kurt die Sonne*. Największy gwiazdor UFA. Aktor, który błyszczał na kinowych ekranach od dwudziestu lat i bez uszczerbku przetrwał wszystkie zawirowania polityczne. Nazwisko, które do dziś zapewniało pełną po brzegi salę. Gwiazdor, którego rozpieszczała nawet nazistowska władza.

Nie miała teraz czasu na łączenie faktów i idei. Otrząsnęła się ze zdumienia, sprawdziła puls aktorowi i z ulgą stwierdziła, że żyje. Tylko go ogłuszyła. Znów palec Boży, a może anioł stróż albo łut szczęścia – co kto chce.

Miał na ręce zegarek. Dwudziesta druga trzydzieści. Pomyślała o Krausie i o Beewenie. Czy nadal na nią czekają?

Jeszcze naga, przeszła nad leżącym i zaryzykowała rzut oka na korytarz. Pusto. Żadnego cienia, żadnego szczerania ani szmerów pośród nocy.

Szansa, którą musiała wykorzystać.

Przede wszystkim zdobyć ubranie.

Szła korytarzem, cichsza od ciszy. Magazynek. Prześcieradła. Powłoczki. Fartuchy... Znalazła lekarski kitel, wyszła, zobaczyła po lewej klatkę schodową. Była na pierwszym piętrze budynku.

Zanim ucieknie, powinna odszukać karty Susanne Bohnstengel, Margarete Pohl, Leni Lorenz, Grety Fielitz, bo te kobiety zostały tu zapłodnione i ich karty muszą być w którymś z pomieszczeń.

Przypomniała sobie, że Mengerhäusen przyjął ją na parterze, zdecydowała więc zejść na dół. Czy Damy Adlonu również zakosztowały pasów i kompletnej ciemności? Zapewne nie. To było wyjątkowe traktowanie, przewidziane dla wścibskich i niepożądanych...

Na dole za pierwszymi drzwiami znalazła puste pomieszczenie, w drugim pokoju sylwetkę śpiącą w pościeli – zapłodnioną kobietę? Oczekującą? Musiała uznać, że raczej miał Beewen, który traktował wszystko brutalnie. Ta klinika była swego rodzaju domem publicznym.

Trzecie drzwi były zamknięte na klucz – wydawało jej się, że tu właśnie ma gabinet Mengerhäusen. Przebiegł ją zimny dreszcz, kiedy uzmysłowiła sobie, że pokój, w którym była uwięziona, znajduje się dokładnie nad nim. Ile par przeszło do poważnych spraw nad jego głową?

Zastanawiała się już, jak włamać się do gabinetu – może wyjść na zewnątrz i wybić szybę? – ale najpierw, w przystępie zdrowego rozsądku, nacisnęła klamkę sąsiedniego pomieszczenia. Było otwarte. Biuro pogrążone w ciemnościach. Lśniące powierzchnie, które zdawały się wylegiwać w blasku księżyca. Szafy, teczki, segregatory, maszyna do pisania. Sekretariat.

Widna noc pomogła jej się zorientować. Zaczęła od sprawdzenia szuflad, natrafiła na różne dokumenty, ale nie na te, których szukała.

Zajęta szperaniem zrozumiała, dlaczego stier zamierzał zgwałcić ją w ciemnościach. Kurt Steinhoff był gwiazdorem, przychodził tu zapładniać dziewczęta incognito, jego wybryki otaczano pełną dyskrecją i nawet partnerki nie wiedziały, kto jest ojcem ich dziecka. Szcęściary, którym dane było otrzymać nasienie wielkiego Kurta. Kochanego Kurta, Słońca... „Należy się pani najlepszy!” Owszem, najlepszy, ale pod warunkiem, że nie widzi się jego twarzy.

Wciąż szukała, pocąc się w kitlu. Zeszyty, segregatory, rejestry, ale nigdzie listy brzemiennych. Nie myślała o Steinhoffie, który mógł ocknąć się lada chwila. Nie myślała o wartownikach, którzy krążyli po parku i których czujność będzie musiała zmylić. Nie myślała już nawet o Simonie ani o Beewenie. Dostała się do skarbca i nie zamierzała go opuścić, dopóki nie znajdzie tego, po co przyszła.

Nagle przez głowę przemknęła jej niechciana myśl: Kurt Steinhoff był bohaterem w *Duchu z przestworzy*. To nie mógł być przypadek. Przypadki zdarzają się ludziom ugodowym, a nie baronównom gołym pod kitem, alkoholikom na głodzie klęczącym w ciemnym biurze.

Koniec z Albertem Hoffmannem/ Josefem Krappem, mordercą ze zmasakrowaną twarzą. Koniec z Edmundem Frommem, niezrównoważonym aktorem posądzanym o najgorsze skłonności. Koniec nawet z Mengerhäusenem, którego przez chwilę podejrzewała. Teraz główna rola przypadła Kurtowi Steinhoffowi, który od początku grał w tym filmie. Zbliżył się do maski. Czysty stier związany z lebensbornem odwiedzanym przez Gretę.

Jakieś inne powiązania?

Oto one: właśnie znalazła listę kobiet ostatnio zapłodnionych w ośrodku Zehertofer. Nie musiała długo szukać, by znaleźć nazwisko Grety Fielitz. W wykazie figurowały także dwie inne zamordowane. Między kwietniem a majem 1939 roku wszystkie one przewinęły się przez budynek w głębi parku. Były tu ich nazwiska. Daty również. A w ostatniej kolumnie po prawej nazwisko ich partnera starannie zapisane piórem.

Zawsze to samo: KURT STEINHOFF.

Od zbieżności do spójności.

Od spójności do oczywistości.

Kurt Steinhoff, byk z Zehertofer.

Kurt Steinhoff, człowiek w masce z marmuru.

Kurt Steinhoff, morderca Dam Adlonu.

Z niewiadomej przyczyny aktor/ byk rozplodowy postanowił odzyskać w najbrutalniejszy na świecie sposób swoje własne dzieła – płody. Dlaczego? Nie czas było się nad tym zastanawiać.

Wyrwała kartki z rejestru i uciekła przez drzwi balkonowe, takie same jak w gabinecie Mengerhäusena.

Dla jej bosych stóp dotyk wilgotnej, chłodnej trawy był niczym boski balsam.

Simon spędził ten dzień na obserwacji, skulony w mercedesie mannheimie Minny zaparkowanym na rogu ulicy, skąd doskonale widać było bramę ośrodka. Ten czas był jak wieczność.

Beewen musiał zostawić go wczesnym popołudniem, kiedy to udał się na Gestapo. Wrócił punktualnie o siódmej wieczorem. Wciąż nic. Za bramą lebensbornu nic nawet nie drgnęło.

Przez te dłużeńce się godziny Simon pertraktował z własnym strachem, bawiąc się w kotka i myszkę z czarnymi myślami, z przyływami optymizmu, z bezkresami niezrozumienia. *Do diabła, co ona wyrabia?* Przeszedł przez wszystkie stadia, rozważał najrozmaitsze scenariusze. Zadzwoić do bramy ośrodka. Udawać zaniepokojonego szofera. Przeskoczyć przez mur i zakraść się do parku. Duchota w samochodzie była nieznośna, pewnie wypocił ze dwa litry wody, bijąc się z podsycającymi lęk myślami.

Na szczęście wartownicy nawet nie zbliżyli się do mercedesa. Zresztą wyglądał, jakby nikogo w nim nie było, bo Simon ledwie wystawał zza kierownicy. Ot, samochód zaparkowany w pełnym słońcu.

Po powrocie Beewena w ciszy obserwowali ulicę, mur ogrodzenia, bramę, która niknęła w mroku obowiązującego zaciemnienia. Pejzaż w nim zatonął, ale to oni szli na dno.

Wiele razy zdecydowali już, że wysiądą i podejną do ośrodka. Ale wokół panowała głucha cisza, której nie zakłócał żaden odgłos. Nawet szczekanie, choć przecież ta wyjątkowa porodówka była należycie strzeżona przez esesmanów z mauserami i czujnymi owczarkami niemieckimi.

Nagle około jedenastej wieczorem, kiedy kręcili się przy aucie, Minna pojawiła się na ulicy. Prawie spadła z muru, w dodatku z gołym tyłkiem, ubrana tylko w rozdarty kitel. Wszyscy troje podbiegli do mercedesa i Simon ruszył z kopyta.

Teraz już wiedzieli.

Minna o wszystkim im opowiedziała i poszła wziąć prysznic. Kiedy wróciła, otworzyła butelkę koniaku, a żaden z nich dwóch nie odważył się robić jej uwag. Zasłużyła sobie na coś na odprężenie. Przestać pić? Naprawdę? *Żeby podejmować decyzje, trzeba mieć przyszłość.*

Toteż żaden z panów nic nie powiedział. Odczuwali to, co w wojennym czasie nazywa się *Bläst*. Efekt podmuchu. Połączenie osłupienia i przerażenia, które można

porównać do ciała rozerwanego przez falę uderzeniową eksplozji. Mieli głębokie przekonanie, że ta siła ich wymiotła, rozproszyła, obróciła w pył.

– Co o tym myślisz? – spytał w końcu Simon, zwracając się do Minny.

Teraz znali już role, jakie im przypadły. Minna była teoretykiem zespołu, Simon poszukiwaczem i alchemikiem. Beewen był pragmatykiem, policyjnym umysłem, który starał się zachować chłodny dystans i uspokoić ich.

– Damy Adlonu – zaczęła, trzymając w ręce kieliszek – zawsze prowadziły podwójną grę. Na pozór były eleganckimi, pięknymi i pustymi kobietkami, które nie dostrzegały niczego, co wykraczało poza rąbek kapelusza. W rzeczywistości były fanatycznymi nazistkami, miały szpiegować wyższe kręgi partyjne i składać raporty Gestapo... a może nawet SS, bo dlaczego nie...? aby dostarczać materiałów do owych *Stimmungsberichte*, „raportów o nastrojach”, które odzwierciedlają reakcję opinii publicznej. Wszystkie były żonami dygnitarzy i notabli nazistowskiego świata, mogłyby poprzestać na tej cichej roli, ale chciały zrobić więcej. Postanowiły rodzić dla Rzeszy. Doskonale wiedziały, że w razie potrzeby lebensborny zapewniają także partnera do poczęcia dziecka. Dlatego skontaktowały się z Mengerhäusenem.

– Znały go? – spytał Beewen.

– Musiały się na niego natknąć na jakichś spotkaniach NSDAP.

– I poprosiły, żeby znalazł im partnera?

– Ale nie było jakiego. W środowisku, w którym się obracały, bez problemu znalazłyby kochanków. Jest tam mnóstwo przystojnych oficerów. Mogły też, przynajmniej niektóre, począć dziecko z mężem. Ale prawdziwa przysługa dla Hitlera polega na ofiarowaniu Rzeszy wspaniałej latorośli. Dziecka czysto aryjskiego, o specyficznych cechach fizycznych i zdolnościach intelektualnych.

Głos zabrał Simon:

– Dlatego Mengerhäusen wybrał tego aktora, Kurta Steinhoffa.

– Owszem. Steinhoff jest powszechnie uważany za najprzystojniejszego Niemca.

– Naprawdę?

Pytanie wyrwało się Beewenowi i o dziwo, można w nim było wyczuć szczyptę zazdrości. Ten wieśniak chyba rzadko bywał w kinie, a świat gwiazd filmowych był mu zupełnie obcy.

– Steinhoff pragnie służyć ojczyźnie swą krwią. Dla Mengerhäusena stał się podstawą hodowli. To jego stier numer jeden.

Zamilkła na kilka minut, zapewne zmagając się z własnymi wspomnieniami.

– Sądzisz, że to on jest mordercą? – przerwał ciszę Simon.

– Tak. Z trudnego do wyjaśnienia powodu chciał odzyskać płody i zniszczyć kobiety, które zapłodnił.

– Skąd to przekonanie?

– Chodzi o maskę. Steinhoff to jedyny element łączący ofiary z filmem *Duch z przestworzy*.

– I co z tego?

– Był blisko maski. Na pewno ją przymierzał. Na pewno był nią... oczarowany. Znał Ruth Senestier. Osiem lat po nakręceniu filmu, kiedy poczuł, że jest gotów zabijać, zwrócił się do niej. To Marmurowy Człowiek i to on uderzył.

– Dlaczego?

– Na razie można tylko snuć przypuszczenia, ale ta obsesja to motyw zbrodni. Jestem tego pewna. Tej nocy, kiedy miałam go przed sobą, coś poczułam.

– Co?

– Falę czystego sadyzmu i okrucieństwa. Steinhoff zapładnia białe gęsi z lebensboru nie dla rozkoszy i nie dla chwały Tysiącletniej Rzeszy. Ma inny powód, by to robić, być może właśnie skłonności sadystyczne. W schemacie, który sobie obmyślił, lubi zapładniać kobiety, pozwala im dojrzeć, a potem je zabija, żeby wydrzeć z nich swoją własność. Mniej więcej tak to wygląda.

Simon się domyślał, że Beewen już nie nadaża. Coś mu przyszło do głowy.

– Może to prostsze. Może motyw jest znacznie bardziej oczywisty.

– Słuchamy.

– Może zabija żona Steinhoffa.

– Co takiego?

– Zastanówcie się. Dlaczego ktoś miałby zabijać te kobiety? I dlaczego wydzierająby z nich rozwijające się płody? Z zazdrości.

– Rozwiń to.

– Nie wiemy nic o prywatnym życiu Steinhoffa. Musimy zebrać informacje o jego małżonce, jeśli ją ma, albo o ewentualnej kochance. Nie trzeba czytać magazynów filmowych, by odgadnąć, że to kobieciarz.

– Może woli facetów – dodał Beewen, jakby koniecznie chciał skomplikować hipotezy, których miał już powyżej uszu.

– Nie gmatwaj sprawy – przerwał mu Simon. – Znerwicowana kobieta nie zniosłaby myśli, że jej mąż chodzi robić dzieci innym. Chyba warto trochę podrażnić?

Minna dołała sobie koniaku.

– Być może, ale to się nie klei. Widziałam Marmurowego Człowieka. Stał przede mną z błyszczącym sztyletem. To na pewno nie była kobieta, kobieta by tego nie zrobiła.

Simon pokiwał głową. On także widział mordercę. Niezbyt wysokiego, ale mocno zbudowanego i silnego. Kobiety tak nie wyglądają. To, że ktoś ma motyw, nie znaczy,

że jest mordercą, a Steinhoff dużo bardziej pasował do profilu. Mężczyzna z obsesją, noszący maskę z jednego ze swoich filmów, mordujący matki swoich dzieci. Jak Uranos, który bał się potomstwa i dlatego je zabijał, zanim wyrosło.

– Co zamierzasz zrobić? – spytał Minnę.

– Z czym?

– Z lebensbornem, z Mengerhäusenem.

– Sama nie wiem.

Beewen wtrącił się do rozmowy:

– Jeśli ci się wydaje, że zostawi w spokoju kogoś, kto mu się wymknął i przejrzał jego tajemnice, to nie rozumiesz jego osobowości.

– Wystarczy, że przypomnę sobie Brangbo, żeby nie mieć co do niego złudzeń.

Minna rzuciła to ostrym, dobitnym tonem, w którym gorzkość mieszała się ze smutkiem i pogardą.

Beewen tak to chyba odebrał, ponieważ odpowiedział błyskawicznie i jeszcze twardszym głosem:

– Przypominam ci, że w tym pożarze zginął mój ojciec.

– Nie urządźcie sobie zawodów – przerwał im Simon. Zwrócił się do Minny: – Beewen ma rację, musisz zniknąć.

– Nie ma mowy.

– Pierwsze, co zrobi Mengerhäusen, to przysłanie tu Gestapo. Potem, jeżeli będzie trzeba, zacnie cię szukać w całym Berlinie.

– Co może mi zrobić?

– Na przykład zabić cię. Albo wysłać do kacetu. Albo torturować cię w podziemiach Prinz-Albrecht-Straße 8. Taki Mengerhäusen może wszystko.

– Nie ośmieliłby się tknąć von Hasselówny.

– Arystokracja to wartość, nazizm to władza.

– Zapominasz o moim wuju, który jada z Hitlerem i Göringiem.

– Nie będziemy dyskutować o tym godzinami. – Beewen westchnął. – Musisz się ukryć i kropka.

Minna, jakby zabrakło jej argumentów, patrzyła to na jednego, to na drugiego, a potem się uśmiechnęła. Jej czarne oczy nabrały bursztynowego blasku, zupełnie jak koniak, który sączyła.

– Nie boję się. W końcu mam tu was, obronicie mnie.

Obaj odwzajemnili jej uśmiech i w pokoju wytworzyła się osmoza, powolna i niebieskawa jak dym z ich papierosów.

Simon zabrał głos, bo obawiał się, że za chwilę wszystkich ich ogarnie sentymentalizm.

– W każdym razie jeśli uznamy, że Steinhoff zabija partnerki, albo jeśli jakiś morderca poluje na noszące jego dzieci kobiety, to szkoda, że nie mogłaś spisać nazwisk wszystkich, które przewinęły się przez jego łóżko.

– O, wybacz. I tak cud, że tak szybko znalazłam właściwą kartotekę.

– A drugi cud, to że udało ci się ujść stamtąd z życiem – dodał Beewen.

Simon, który znalazł się w mniejszości, pokiwał głową.

– Rozumiem – powiedział z rezygnacją. – Ale jeśli Steinhoff... czy on jest mordercą, czy ktoś inny... sypiał z innymi kobietami z lebensbornu, to one są następne na tej liście. – Zauważył, że Minnie opada głowa, a Beewen coraz mocniej wciska się w fotel. Czas spać. Mimo to dodał jeszcze: – Jedno jest pewne: Mengerhäusen kazał nas śledzić. Nasze śledztwo to jego śledztwo. Nie pozwoli, żeby ktoś dłużej masakrował jego matki.

– Wniosek?

– Być może to jedyna dobra wiadomość wieczoru. Dopóki nie znajdziemy mordercy, Mengerhäusen pozostawi nas przy życiu.

Nie mieli już czasu do stracenia. Nazajutrz rano postanowili wrócić do lebensbornu. Nie po to, żeby wyważyć drzwi albo grozić Mengerhäusenowi, tylko po to, żeby – o ile dopisze im szczęście – zagadnąć pielęgniarkę wracającą po nocnym dyżurze.

Ledwie dotarli na miejsce, a było to o siódmej rano, zza bramy wyszła pielęgniarka. Była to przeciwwaga dla poprzedniego dnia, najdłuższego w życiu Simona. W białej sukience, fartuchu na szelkach, nakrochmalonym czepku i zarękawkach – miała na sobie nadal strój sióstr ze „źródła życia”. Na ramiona narzuciła zwykły sweterek, jakby chciała zaznaczyć, że wraca do świata cywilów. Szła w ich kierunku.

Przypominało to scenę z filmu. Samochód zaparkowany przy chodniku, postać idąca w jego stronę, zamknięta w kadrze przedniej szyby, napięcie rosnące z każdą sekundą...

– Tym razem stawiamy na metodę ekspresową – powiedział Beewen tonem niedopuszczającym sprzeciwu. – Żadnych psychologicznych bzdur ani pieprzonych narkotyków.

Simon nie był pewien, czy się nie przesłyszał. Kiedy młoda kobieta – trzydziestolatka przy tuszy z talią podkreśloną przez fartuch – mijiała mercedesa, Beewen wyrósł przed nią jak spod ziemi.

Fräulein cofnęła się o krok. Już miała krzyknąć, lecz oniemiała na widok odznaki Gestapo.

– Wsiadaj do samochodu.

– Ale dlaczego? – jęknęła pielęgniarka, patrząc w panice na dwoje siedzących w kabinie ludzi.

– Wsiadaj. Bez scen.

Po kilku minutach jechali ulicami Berlina. Młoda kobieta wierciła się na tylnym siedzeniu zastraszona przez Beewena, który zajął sąsiednie miejsce. Jej oddech zagłuszał pracę silnika.

Oficer milczał. Pozwalał jej czekać. Wiedział, że strach żywi się samym sobą. Prowadzący wóz Simon widział twarz kobiety w lusterku wstecznym. Jej wytrzeszczone oczy z minuty na minutę robiły się większe. On też się spocił. Rękawem otarł rozpalone powieki.

W końcu gestapowiec wycedził przez zęby:

– Kurt Steinhoff. Mów, co o nim wiesz.

– Ja... Nie znam go.

- Nie chodzisz do kina?
- Nie. Tak.
- Steinhoff często przychodzi do waszego lebensbornu?

Pielęgniarka nie odpowiedziała. Beewen z zaskakującym spokojem załadował broń. Oczy kobiety robiły się coraz większe.

- Kurt Steinhoff. Ośrodek. Słucham.

Kiedy kobieta w końcu się odezwała, jej głos był zduszony:

- Owszem, czasami przychodzi.
- Kiedy? Czasami, czyli ile razy w miesiącu?
- Dwa, trzy razy. Nie wiem dokładnie. Kiedy się pojawia, wszyscy muszą wyjść.
- Dlaczego?
- To tajemnica. Nikt nie może wiedzieć, że jest jednym z naszych stierów.
- Ale i tak wszyscy o tym wiedzą.
- Tak.
- Skręć w prawo – polecił Simonowi.

Dojeżdżali do Tiergarten. Simon prowadził jak automat, bazując na odruchach, bo oczy zalewał mu pot, a serce dudniło w skroniach. Jego ręce bawiły się w „kamień, kartkę, nożyce” na kierownicy, tak mocno drżały.

- Zatrzymaj się.

Simon nie zareagował. Na skrzyżowaniu ze ścieżką, która wiodła przez zagajnik, Minna złapała kierownicę i skręciła. Wóz zjechał na wąską drogę. Simon zdołał jakoś prowadzić, omijając wyboje, gałęzie, które smagały szybę i drapały drzwi.

W końcu wyhamował i stanął.

I nagle rozległ się głos Beewena:

- Przecież w budynku musi zostać choć jedna pielęgniarka, żeby wszystko przygotować.
- Tak, tylko jedna.
- Zdarzyło ci się kiedyś zostać?
- Tak.
- Jak to przebiega? Kto wybiera dziewczyny?
- Nie wiem. Na pewno on.
- Widzi je przedtem? Rozmawia z nimi?
- Nie, nie wiem.
- Co dalej?
- Wszystko musi być zgaszone.
- Co to znaczy?
- Wchodzi, kiedy jest zupełnie ciemno.

– Żeby go nie poznały?

Pielęgniarka milczała. Beewen wprowadził kulę do lufy. Kobieta przeraźliwie krzyknęła:

– Nie!

– Gadaj.

– Podobno... podobno on tak chce. Chce... wkroczyć po ciemku.

– Wciąż nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Dlaczego?

– Mówią... że tak lubi, że lubi gwałcić dziewczyny w ciemnościach, brać je siłą, kiedy niczego nie widzą.

– Ale on też nic nie widzi.

– Widzi. Podobno...

– Mów!

Zaczęła szybko wyrzucać z siebie słowa:

– Mówią, że on widzi nocą! Że zbiera krew dziewcząt i ją pije. Mówią, że ma szpony na końcu prącia. Nazywają go Werwolf! Wszyscy się go boją.

Wszystko, co Sylvia Müthel, garderobiana ze studia Babelsberg, opowiadała o zmarłym aktorze Edmundzie Frommie, w rzeczywistości dotyczyło Kurta Steinhoffa. Frommowi przypisano te mroczne anegdoty, pogłoski, ponieważ miał już złą opinię i podczas zdjęć do filmu nosił maskę. Geist to on. Duch. Zły. Ale w rzeczywistości to nie on, lecz bohater, gwiazdor, Apollo planów filmowych był dewiantem, perwersyjnym wariatem, który wykorzystywał swoją pozycję, by napastować kobiety i zaspokajać zboczone skłonności.

Simon znów pomyślał o Damach Adlonu. A więc przeżyły traumatyczne chwile i nie wspomniały mu o nich. Spały z wilkołakiem, a nie pisnęły ani słowa. Opisywały mu jakieś banalne koszmary senne, a przemilczały gwałt. Skąd ta dwulicowość? Ta zdrada?

– Wysiadaj.

– Co?

– Wysiadaj.

– Co pan chce ze mną zrobić?

Beewen otworzył drzwi, odwrócił się bokiem, podciągając nogę, i wyprężył mięśnie. W przestronnym mercedesie miał dużą swobodę ruchów – z całej siły kopnął pielęgniarkę w bok. Wypadła z wozu, ale zdołała utrzymać równowagę.

Beewen wysiadł i popchnął ją w stronę drzew. Szli po dywanie zwiędłych liści jak dwie marionetki na papierowej scenie. Pielęgniarka bała się już nawet krzyczeć. Szła, cały czas odwracając głowę i patrząc na swojego oprawcę, potknęła się i cofnęła o krok. Nie mogła oderwać oczu od Beewena i od lugera w jego ręce.

– Nie możesz tego zrobić! – zawołał Simon.

– Zostaw go – powiedziała Minna, przytrzymując go za rękę i czując się, jakby sama szukała oparcia. – On blefuje.

Pielęgniarka w końcu potknęła się o korzeń i upadła, ocierając się o pień kasztanowca.

Właśnie wtedy Simon się zastanowił, czy Beewen przespał się z Minną. Gestapowiec wycelował z lugera w leżącą na ziemi kobietę, która zakryła głowę rękami, coś powiedział, ale byli za daleko, żeby go usłyszeć.

W końcu pielęgniarce udało się wstać. Uciekła w las, gniotąc suche liście. Beewen nie ruszył za nią. Minna puściła rękę Simona. Zrozumiał, że bała się bardziej niż on.

W drodze powrotnej Simon wpadł do swego gabinetu nieopodal Leipziger Straße. Nikt tego nie komentował. Brama. Schody. Korytarz. Wyłamane drzwi były uchylone. Wszedł do swojego mieszkania i poczuł się, jakby patrzył na odarte ze skóry ciało. Ukradli mu radio, gramofon, włoski ekspres do kawy. Wywieźli meble, dywany, obrazy. Zniszczyli notatki, książki, płyty.

Ale te rzeczy nic go nie obchodziły. Pobiegł do sypialni i zobaczył, że szafa stoi na swoim miejscu. Za ciężka, żeby ją ruszyć. Otworzył oboje drzwi i przekonał się, że jego domysły były słuszne.

Nie tknęli jego garniturów.

To zwycięstwo zrodziło się z poniżenia. Nie ukradli mu ubrań, ponieważ były za małe. Chyba że ktoś chciałby ubierać dzieci w trzyczęściowe garnitury i homburgi z piórkiem... Ta część łupu była dla nich bezwartościowa.

Zaczął zdejmować je z wieszaka po kilka i układać w stos na podłodze. Za czasów wyrzeczeń, kiedy już mówiło się o kartkach na materiały i buty, jego garderoba stała się skarbem. Kopalnią, z której zasobów on jeden mógł korzystać. Mały facet, który odzyskał lilipucią garderobę. To był jego świat, nieco powierzchowny, ale bardzo mu drogi.

Przez okno zawołał do Beewena i Minny:

– Chodźcie mi pomóc!

Kiedy starannie składał garnitury, doznał wizji, która wracała niczym skrzydło wahadłowych drzwi. Kurt Steinhoff, feniks kina, stier Dam Adlonu funkcjonujący w ciemnościach, swoim środowisku naturalnym, nagi w marmurowej masce, ze zwierzęcym członkiem nabrzmiętym krwią, najeżonym żelaznymi kolcami, a może ostrzami brzytwy.

Na myśl nasunęło mu się jedno słowo: inkub. Demon, który zakrada się do snów kobiet, żeby je gwałcić. Postać mitologiczna, w starożytnej Grecji utożsamiana z Panem, bożkiem z racicami kozła i członkiem w stanie erekcji. W średniowieczu stał się kochankiem czarownic, nocnym diabłem, który kopuluje ze śpiącymi kobietami.

Kiedy Minna i Beewen zobaczyli stertę marynarek z imitacji tweedu, swetrów w serek w stylu tenisowym, koszul z oksfordzkim kołnierzykiem, kapeluszy trilby i borsalino, opadły im ręce.

Simon klasnął w dłonie.

– Ruszcie się, we troje spakujemy to wszystko w dziesięć minut!

Oboje zabrali się do pracy bez sprzeciwu. Zajęcie czymś rąk oznaczało ulżenie głowie. Ale musieli się pośpieszyć.

Werwolf, wilkołak, czekał na nich.

Dochodzenie nabierało nareszcie normalnego charakteru.

Śledzenie. Obserwacja. Rewizja.

W stylu Gestapo. Zeznania pielęgniarki potwierdzały demoniczną naturę aktora. W rubryce „podejrzani” Kurt Steinhoff zajmował obecnie pierwsze miejsce, jak na afiszach filmowych. Teraz nie mogli już spuścić go z oka. Jeżeli piękniś faktycznie był Marmurowym Człowiekiem, to w końcu złapią go na gorącym uczynku, co będzie warte więcej niż zeznania świadków.

Po powrocie do Willi zaczęli zbierać informacje o Steinhoffie. Po pierwsze, musieli go zlokalizować. Wiedzieli już, że przeżył starcie z Minną, bo właśnie kręcił film w studiu Babelsberg. Lekką komedię pod tytułem *Róże na wycieraczce*. Kino to odrębny świat. Choć wybuchła druga wojna światowa, choć Polska stanęła w ogniu i spłynęła krwią, a Francja i Anglia wymachiwały szabelkami, na planach filmowych UFA nic się nie zmieniło: tu nadal ludzie się śmiali, trzymając słuchawkę przy uchu, i śpiewali, stojąc na balkonie.

Plan Beewena był prosty – jechać do aktora i wywrócić jego dom do góry nogami. Minna mu to wyperswadowała: nie wiedzieli nic o Kurcie. Mógł przecież mieć żonę i dzieci. A może całą gromadę służących. Poza tym jego sąsiadami mogli być Himmler albo Göring, a ulica, na której mieszkał, była jak aneks Gestapo.

Zgrzytając zębami, Beewen czekał, aż Minna zbierze informacje. Posługiwała się telefonem po mistrzowsku. Nabierała telefonistki, wciągała je – niczego nieświadome – w swoje dochodzenie. Wiedziała, do kogo zadzwonić i co powiedzieć, umiała zmieniać głos, podawać się za taką to a taką rozmówczynię. Telefon, którego używano jeszcze bardzo oszczędnie, w jej rękach wyglądał jak stary przyjaciel, a zarazem skuteczna broń.

Gestapowiec tymczasem się niecierpliwił, siedząc w fotelu i pijąc kawę za kawą, a stuknięty karzeł, pogwizdując, wieszał swoje garnitury na piętrze w pokoju, który oddała mu do dyspozycji Minna. To już naprawdę był dom wariatów.

Około szesnastej Minna zaproponowała, by podsumowali to, co wiedzą. Odbywając rozmowy telefoniczne, zebrała całkiem sporo danych – tak dużo, że Beewen osłupiał, bo nie przypuszczał, że ktoś tak szybko może zgromadzić tyle informacji.

Kurt Steinhoff przyszedł na świat w Bawarii w roku 1897. Rodzina mieszczańska, edukacja typowa, z tym że Wielka Wojna opóźniła uzyskanie abituru. W roku 1918 podjął studia prawnicze i dołączył do kółka teatralnego na Uniwersytecie Ludwika

i Maksymiliana w Monachium. Jego piękna twarz załatwiła resztę. Został zauważony. Zabiegano o niego. Sprowadzono go do Berlina. Jego kariera płynęła jak wartki, krystaliczny strumień, który drwi z przeszkód i drży w lada promieniu słońca.

Steinhoff nie ucierpiał po przejściu władzy przez nazistów, wręcz przeciwnie – był jej sympatykiem od samego początku. Kiedy wszyscy aktorzy żydowskiego pochodzenia, ci o poglądach komunistycznych albo po prostu nienazistowskich czym prędzej wyjeżdżali z Niemiec, Kurt Steinhoff powiększał swą przestrzeń życiową. Teraz był jednym z najpopularniejszych berlińskich aktorów, a publiczność, która pragnęła zachować bez troskę, jak dopieszcza się swe słabości, tłoczyła się przed kinami, by obejrzeć jego nowy film, gdzie wszyscy są piękni, głupi i szczęśliwi. Takie filmy długometrażowe nie pozostawiały po sobie żadnych śladów, ale właśnie ten brak śladów wypełniał pustkę niemieckiej duszy. Wchłaniania lekkość stała się jedynym antidotum, jakie działało na germański naród, pozwalając mu nie myśleć o nadciągającej apokalipsie.

Sfera życia prywatnego aktora była bardziej skomplikowana. Steinhoff żenił się dwukrotnie. Najpierw w roku 1929 z Lili Purzer, starszą od niego aktorką, która zniknęła wraz z niemym kinem. Potem w roku 1934 z makijażystką, niejaką Karin Kaufman, z którą rozwiódł się po czterech latach. Bulwarówki, które śledziły jego życie dzień po dniu, nigdy nie podały przyczyn rozwodów. Zresztą wszyscy się z nich cieszyli: Kurt był narzeczonym wszystkich Niemek, dlatego musiał pozostać wolny!

– A co u niego sływać w tej chwili? – zapytał zniecierpliwiony Beewen.

– Mówi się, że ma liczne romanse, ale żadne nazwisko nie pojawia się częściej od innych.

– To wszystko?

– Tak. Mieszka sam w willi w dzielnicy Dahlem, o kilka przecznic od Leni Riefenstahl. No i stąd. Jego życie prywatne jest gładkie jak lustro. Podczas premier i wernisaży fotografuje się, mając u boku którąś z najpiękniejszych aktorek, ale nikt nie wie, z kim spędza noce.

Simon skomentował te informacje:

– Przypomina mi to fasadowe życie, jakie pokazują światu homoseksualiści.

– Być może – powiedziała Minna. – Ale takiej hipotezy nie potwierdzają żadne fakty, a już na pewno nie jego wyczyny w Zeherthofer.

Beewen wstał z fotela.

– Tak czy inaczej, nic nas to nie obchodzi. Ani jego życie publiczne, ani prywatne, o ile je ma, nie są dla nas ważne. Powinniśmy się skupić na jego ukrywanej stronie. Na wątku wilkołaka. Na obliczu przestępczego rozpustnika.

– Co proponujesz? – spytała Minna, rzucając mu wyzwanie.

– Jest na planie filmowym? Świetnie się składa. Jedziemy do niego i przeszukujemy...

– Już piąta po południu. Wkrótce wróci do domu.

– W takim razie obserwujmy dom. Przy odrobinie szczęścia wyjdzie wieczorem, a my będziemy mogli to wykorzystać!

Minna i Simon popatrzyli na siebie – pomysł nie wzbudził w nich entuzjazmu, ale przecież nie byli specjalistami. Beewen przez ostatnich dziesięć lat grzebał w brudach mieszkańców Berlina.

– Pójdę z tobą – zdecydował Simon.

Miał na sobie beżowe spodnie w jodełkę, białą koszulę polo z krótkim rękawem i karmelowe brogisy (albo golfy). Ze świeżo wypomadowanymi włosami wyglądał jak żigolak, który kręci się w pobliżu kortów tenisowych w Charlottenburgu, polując na śmiertelnie znudzone burżujki.

Jak można poświęcać tyle czasu na przebieranki? Beewen nie był w stanie tego pojąć, choć czuł, że można wyrobić w sobie tego rodzaju potrzeby i wrażliwość. Weźmy choćby ludzi wytwarzających perfumy, którzy mają łącznie zwierzęcy węch i czują to, czego większość nie wyczuwa, reagują na bodźce dla innych niedostępne.

Pod wpływem tych rozważań pomyślał o Kurcie Steinhoffie, który rzekomo widzi po ciemku.

Pielęgniarka nie zmyśliłaby tej historii. Uwielbiany aktor widzący w ciemnościach jak w biały dzień, ogier, który zapładnia partnerki, pijąc ich krew, mężczyzna budzący strach w domku myśliwskim w głębi parku...

– Pożyczysz nam samochód? – zwrócił się do Minny.

– Oczywiście. Tylko sprawdźcie, co z benzyną. W garażu stoją zapasowe kanistry.

– Świetnie. A ty pamiętaj, żeby wszystko pozamykać.

– Dalej masz tę paranoję?

– Minna, nie wygłupiaj się. Powtarzam, że Mengerhäusen tak tego nie zostawi.

– Jestem dużą dziewczynką.

– Chyba choć tyle możesz dla mnie zrobić. Dopóki jesteś w tej wielkiej chałupie sama, bądź ostrożna. To minimum rozsądku.

Znów opróżniła kieliszek, wielką kulę miodu. Potem pokręciła głową na znak kapitulacji.

– Niech ci będzie.

Beewen ruszył w stronę holu. Odwrócił głowę i spojrzał na Simona, który ani drgnął.

– Jeszcze jedno – rzucił pod jego adresem.

Simon, który stał w lekkim rozkroku z rękami w kieszeniach, mógłby natychmiast wejść na kort i rozegrać kilka setów ze swoimi damami. W beżowych spodniach i białej koszulce polo doskonale wpisałby się w scenerię.

– Co?

– Mógłbyś włożyć coś... dyskretniejszego?

I znowu tkwili w mercedesie mannheimie Minny, czekając w pobliżu posiadłości bardzo podobnej do ośrodka Zeherthofer: taki sam mur ogrodzenia, podobne drzewa przed fasadą, taka sama lita brama. Ten dom nie wyglądał na gościnny.

Przejechali tylko do sąsiedniej dzielnicy, a ulica była równie opustoszała, otoczona ogrodami i domami cichymi jak grobowce.

Ledwie zaparkowali – było około szóstej wieczorem – nadjechał nowiutki samochód: hansa-automobil 1100 z czerwonymi drzwiami i czarną pokrywą silnika. Za kierownicą siedział szofer. Steinhoff wysiadł, a wraz z nim dwaj mężczyźni, których pożegnał serdecznym uściskiem dłoni.

Beewen wyteżył wzrok. W dogasającym słońcu mężczyzna wyglądał jak chromowany: czarne wypomadowane włosy, promienny uśmiech, lekko połyskujący garnitur, który zdawał się płonąć w złocistym świetle. Kurt Steinhoff był Aryjczykiem doskonałym, wzorcem, o którym Hitler i Himmler musieli rozmyślać przed zaśnieciem jako o potencjale narodu, o rodzącej się nadziei.

Aktor był niezbyt wysoki – miał nieco ponad metr siedemdziesiąt – ale mocno zbudowany, a jego barczystą sylwetkę dodatkowo podkreślała marynarka z watowaniem na ramionach.

Beewen uważnie przyglądał się temu stworowi. Nie zapomniał, że cieszy się on opinią „najprzystojniejszego mężczyzny w Niemczech”. I rzeczywiście Steinhoff prezentował się jak książę. Coś w jego spojrzeniu, pod mocno zarysowanymi brwiami, chwyciło światło i odsyłało je wzbogacone, rozedrgane jak alkohol na dnie kieliszka. Beewen nie był znawcą męskiej urody, domyślał się jednak, że te niebieskie oczy mogą przyprawiać o zawrót głowy i silniejsze bicie serca berlińskie sekretareczki.

Zerknął na Simona, którego to piękno uderzyło jak potężna pięść. Dla niego była to obraza osobista. Przed kobietami psychiatra urządzał kino. Kurt Steinhoff był kinem.

Mieli sporo czasu, żeby przetrwać tę przelotną wizję. Do dwudziestej drugiej w willi panował niezmacony spokój. Tak przynajmniej im się wydawało, bo ze swojego punktu obserwacyjnego widzieli tylko część parteru i pierwszego piętra – paliły się światła, ale żaden cień nie przesunął się za oknami.

Wreszcie otworzyła się brama i z parku wyjechał hanomag 2/10. Miał wyłączone reflektory. Skreślił w lewo, nie musiał więc mijać mercedesa Minny.

– Co robimy? Jedziemy za nim? – spytał Simon.

– Nie. Skorzystamy z okazji, żeby przeszukać dom. Szybko! Zanim brama się zamknie.

Rzucili się biegiem i w ostatniej chwili precyzyjnie się między dwoma ciężkimi skrzydłami. Dalej szli pochyleni, jakby każdy dźwigał na plecach księżyc. Przez chwilę trwali w takiej pozycji, wypatrując każdego cienia i wsłuchując się w ciszę. Nie rozległo się szczekanie psa, w żadnym oknie nie paliło się światło. Ani śladu stróża czy służby domowej. Jeśli chcieli działać, to właśnie teraz.

Doszli pod sam dom. Park nie miał w sobie nic oryginalnego – krzewy przycięte pod sznurek, majestatyczne drzewa, których korony wzbijały się pod ciemne niebo jak czarny dym.

Willa nie przypominała rezydencji von Hasselów – był to długi prostopadłościan z licznymi oknami. Żadnych zdobień ani urozmaiceń na frontonie. Jednak ta budowla nie miała nic wspólnego ze stylem nazywanym przez Minnę „Bauhaus”. Beewen nie znał się na architekturze, ale dałby sobie obciąć rękę, że to dzieło Alberta Speera albo któregoś z jego uczniów. Nazistowski styl, który nawet sposobem łączenia kamieni wzbudzał lęk.

Weszli po schodach do drzwi frontowych. Beewen zauważył, że Simon z niemal takim samym zainteresowaniem jak dom obserwuje każdy jego krok. Może podekscytowała go ta nocna wycieczka, a może wątpliwy przywilej przyglądania się oficerowi Gestapo podczas akcji.

Wyjął wytrych. W zasadzie Gestapo przychodziło do kogoś i głośno waliło do drzwi albo wyważało je z hukiem. Ale była i inna technika, mniej znana i subtelniejsza. Gestapowcy potrafili działać dyskretnie i wchodzić do ludzi niepostrzeżenie.

Zamek Steinhoffa nie stawiał oporu. Drzwi zdobione elementami z kutego żelaza były ciężkie, lecz zamek standardowy. Wnętrze nie zaskoczyło ani Simona, ani Franza – mieszczańskie, podzielone na przestronne pomieszczenia, z lśniącymi meblami, fortepianem, bibliotekami. Portret Führera królował w jadalni, na niskim stoliku leżało *Mein Kampf* – zapewne jako dekoracja. Beewen nie znał nikogo, kto przeczytałby tę książkę do końca.

Instynkt już teraz mu podpowiadał, że niczego tu nie znajdzie. Wszedł na wystawę życia Steinhoffa. Tę od południa. Tu prezentował się aktor i zwolennik NSDAP. A on szukał oblicza północnego, zimnego, zachmurzonego. Martwego pola tej wyreżyserowanej egzystencji.

Obejrzelili dom. Było tu tyle pokoi gościnnych co w niewielkim hotelu. Przeszukali szafy, komody, sekretarzyki. Zagląдали pod łóżka, za obrazy, na dno szuflad. Poruszali się po przytulnych wnętrzach, gdzie miło byłoby się zdrzemnąć. Wszystko utrzymane

było w tonacjach złocistobrązowych. Klamki drzwi błyszcząły, na ścianach były boazerie, dywany grube i miękkie jak materace, zasłony ciężkie jak koce.

Beewen spojrział na zegarek – wpół do dwunastej. Ani śladu esesmańskiego sztyletu czy kolekcji damskich pantofli, nie wspominając o masce stylizowanej na marmur.

Delikatnie rozchylił zasłony i ujrzał rozległy ogród na tyłach domu z basenem w centralnej części. Wokół niego rozstawiono pasiaste leżaki. W mroku pod drzewami dostrzegł zarys czegoś, co zapewne pełniło funkcję ogrodowego salonu ze stołem i fotelami.

Beewen zmrużył oczy i zobaczył jeszcze dalej mały betonowy budynek służący prawdopodobnie jako szatnia. Poczł mrowienie w plecach.

– Mały domek – szepnął do Simona. – Tam się to dzieje.

Z bliska czterdziestometrowy budynek bardziej przypominał składzik na sprzęty ogrodowe. Z surowego betonu, bez okien, nawet nieotynkowany – paskudztwo schowane pod drzewami, żeby nie szpeciło otoczenia.

Obaj stanęli przed drzwiami, zdając sobie sprawę, że wyciągają ostatnią kartę. Woń chloru z basenu odkażała tę chwilę, tłumiąc inne zapachy ogrodu.

Zamek w stalowych drzwiach był znacznie solidniejszy i bardziej skomplikowany od tego w domu. *Tu się to dzieje*, pomyślał Beewen, zabierając się do roboty. Po długich dwudziestu minutach manipulowania przy cylindrze i zapadkach wreszcie się z nim uporał.

Wślizgnęli się do środka i zamknęli drzwi. Za ścianami bez okien mogli włączyć latarki. To, co odkryli, kompletnie ich zaskoczyło – łagodnie rzecz ujmując.

Pracownia fotograficzna.

Pojemniki z chemikaliami, czerwona żarówka pod sufitem, odbitki suszące się na sznurze, wszędzie zdjęcia – na blacie, a nawet na podłodze.

Beewen poczuł silniejszy dreszcz. Teraz był już pewien, że znajdzie fotografie wszystkich zamordowanych, dokumentację zbrodni. Zdjęcia robione na gorąco, w intymnej aurze składania ofiary. Zbliżenia na rozplątane brzuchy i pocięte krocza, rany wylewające się poza kadr, udręczone twarze na pierwszym planie.

Bez wahania pociągnął sznurek i włączył żarówkę. Czerwone światło wypełniło przestrzeń, gęste i płynne jak te chemikalia w butlach. Zauważył drugie źródło światła – neonówki na ścianach na wysokości twarzy. Odnalazł przełącznik i zapalił je – były dużo praktyczniejsze podczas przeszukania.

Odwrócił się i spojrzał na zdjęcia leżące na blacie. Tu czekało go rozczarowanie. Te fotografie nie pokazywały trupów, wręcz przeciwnie – to były żywe istoty. I bardzo aktywne. Ciała uprawiające seks od gry wstępnej – przytulania, pieszczot – po kopulację. Pary tarzające się po trawie, splątane ze sobą, z ustami wpijającymi się w usta jak pijawki.

Obaj pochylili się nad fotografiami i zrozumieli, co tak naprawdę mają przed oczyma. Pary kochanków kryły się w ogrodzie, by zaznać rozkoszy w ciemnościach nocy. Zadarte spódnice, rozpięte bluzki, spuszczone spodnie, ręce zanurzone w trawie i koronkach, splątane nogi, niewidoczne twarze ogarnięte rozkoszą.

Te sceny nie dziwiły Beewena. Wszyscy wiedzieli, że z nastaniem nocy berlińskie ogrody i parki stają się teatrem zadartych nóg fikających w powietrzu. Mimo wysiłków

SS, które mnożyło patrole i kontrole, popęd seksualny był silniejszy od strachu, krzewy więc aż trzeszczały.

Ale po co te zdjęcia? Beewena zainteresowała przede wszystkim ich jakość. To nie były zwykłe odbitki. W księżycowej poświacie pokazywały białawy kontrast jak negatyw, ale taki, którego barwy nie są odwrócone. Ciała były mleczne, oczy, jeśli dało się je zobaczyć, bardzo czarne, jak o nienaturalnie rozszerzonych źrenicach, czasem z białą plamką wielkości łebka szpilki.

Autor tych zdjęć używał nowego rodzaju filmu, o którym Beewen słyszał. Były to fotografie w podczerwieni. Filmy zdolne wychwycić światło poza, a raczej pod widzialnym spektrum promieniowania.

Widział już takie zdjęcia, ponieważ znał się trochę na fotografii, a Gestapo rzuciło się na ten wynalazek niemieckich laboratoriów, w nadziei że pozwoli on skuteczniej szpiegować „podejrzanych”, czyli wszystkich obywateli.

Beewen skupił się na szczegółach. Pantofelki z paskami. Okrągłutkie, jedwabiste kolana. Skraj pończochy albo podwiązka. Kapelusz zapomniany w krzakach. Te ludzkie zjawy, jakby skąpane w świetle pośród traw i liści, to byli berlińczycy. Więcej – zwyczajni przechodnie z ulic miasta za dnia, a szaleni kochankowie nocą.

Jednak te pary nie były same. Mężczyźni kryjący się za drzewami, zakradający się w krzakach obserwowali ich miłosne igraszki. Na zdjęciach wyglądali jak przyłapani na gorącym uczynku podglądacze. Jeszcze bardziej niż ci, którzy nurzali się w rozpuście, wyglądali jak unoszące się w powietrzu zjawy, zbyt blade, by mogły być prawdziwe. Grzesznicy, obserwatorzy, myśliwi snujący się pośród zarośli i wyglądający zza kępy krzaków albo zza pnia. Byli tu – skupieni, milczący, pchani przez własne żądze.

Beewen zerknął na Simona, który był chyba równie zafascynowany tym, co zobaczył. Kraus także mocno się pocił – w domku panowała duchota. Jego kark wyglądał jak pokryty rtęcią, szyja i tors przypominały metalową zbroję. Te fotografie jakby wprowadziły psychiatrę w trans – podglądactwo duchów musiało zafascynować badacza dusz, którym był.

Przypomniał sobie, jakie plotki krążyły o Steinhoffie. Ta gadanina tylko wypaczała prawdę. Aktor nie był ani wampirem, ani widzącym w ciemnościach wilkołakiem. Był tylko „podglądaczem podglądaczy”. Ułomnym człowiekiem lubiącym patrzeć na tych, którzy patrzyli. Doskonale wyposażonym, by widzieć w nocy. Co wieczór uzbrojony w swoje aparaty i najnowsze klisze wyruszał, by przyłapywać ukrywające się pary, które nie mogły sobie pozwolić na hotel, i na tych, którzy się onanizowali, patrząc na nie.

– Te zdjęcia nie mają nic wspólnego z morderstwami – powiedział Beewen zduszonym głosem.

Zabrali się za systematyczne przeszukanie – wywracali do góry nogami zawartości szuflad i pojemników, przeglądali klasery, otwierali każdą tekturową teczkę, sprawdzali z lupą niezliczone negatywy, nie zadając sobie trudu odkładania na miejsce rzeczy, które wzięli do ręki.

I nic.

Tylko te nocne orgie w scenerii berlińskich parków i podglądający je onaniści.

– Gdzieś musi być inna kryjówka.

Fotografie morderstw naraziłyby aktora na zupełnie inne problemy i zagroziłyby mu znacznie bardziej niż kompromitujące fotki z uprawiającymi seks w blasku księżyca.

Ale tu ich nie było.

Ani w willi.

Gdzie zatem?

Wracając do zdjęć, Beewen dostrzegł szczegóły, które podsunęły mu nowy pomysł. Na kilku fotografiach widoczne były części pomników z Siegesallee, alei Zwycięstwa w Tiergarten. Droga długości kilometra biegła przez park z północy na południe, od Königsplatzu do Kemperplatzu. Wzdłuż niej ustawiono gigantyczne posągi z karraryjskiego marmuru: byli to cesarze, margrabiowie, władcy Brandenburgii i Prus z dynastii Hohenzollernów.

Otóż niedawno te posągi przeniesiono w różne punkty parku, ponieważ Albert Speer miał wielkie plany wobec alei Zwycięstwa, którą zamierzał poszerzyć, aby mogły się tam odbywać parady.

Beewen wiedział, gdzie usytuowano każdy z pomników. To był jego sekret – kiedy wątpił w swoją przyszłość, odwiedzał rzeźby, bo z nich czerpał nowe siły i nadzieję.

– Idziemy.

– Dokąd? – jęknął Simon, który topił się już we własnym pocie.

Beewen przycisnął palcem róg jednego ze zdjęć. Widniał na nim Albrecht Niedzwiedź, książę Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego żyjący w XII wieku.

Weszli do Tiergarten od strony Kemperplatzu. Po drodze żaden nie otworzył ust – byli oszołomieni swoim odkryciem, ale i rozczarowaniem, że nie znaleźli nic więcej. Berlin był pogrążony w ciemnościach. Nie oświetlała go żadna latarnia, a po północy ulicami nie przechodził już nikt z niebieską latarką w ręku.

Idealna noc na spotkanie z horrorem.

W ciemnościach aleja Zwycięstwa wyglądała jak długa wstęga pobielonej nocy. Posągi przeniesiono w różne zakątki w pobliżu. Beewen, za którym podążał Simon, kierował się do tych ze zdjęć. Raczej domyślał się ich, niż widział muskularnych tytanów, na których barkach spoczywały losy wyjątkowej rasy. Okrążyli każdy posąg z osobna, buszowali w zaroślach, nasłuchiwali, zwracali uwagę na byle szelest liści.

Najpierw Otton I Brandenburski w kolczudze, potem cesarz Zygmunt w uskrzydłonym hełmie i Jan II wspierający się o tarczę. Na swą zgubę. W pobliżu Fryderyka I Brandenburskiego w pelerynie i kapeluszu z szerokim rondem natknęli się na pierwszą ukrytą parę. Musieli wyteńczyć słuch, bo wszystko, absolutnie wszystko działo się w ciemnościach.

Podeszli bliżej. Ta wyprawa wprowadziła zarówno jednego, jak i drugiego w dziwny stan. Bezimienni spółkujący bez twarzy, tarzający się w krzakach, wzbudzali w nich strach, przez który prawie zapominali o prawdziwym obiekcie poszukiwań, Kurcie Steinhoffie i jego aparacie fotograficznym.

Beewen nagle stanął: kochankowie byli tu, bardzo blisko. Kobieta miała obnażone uda, bosa stopy, twarz skrytą za krzewem liściastym. Mężczyzna na niej niezdarnie próbował ściągnąć spodnie. Beewen dał Simonowi wyraźny znak – zachować ciszę.

Steinhoff musiał być w pobliżu. Wkrótce wykryli dwie inne pary po prawej w pozycji 69. Za oparcie służyły im korzenie potężnego drzewa. Ale fotograf amator się nie pojawił.

Ruszyli dalej i zobaczyli czwartą parę na polance, gdzie kochanków zdawały się osłaniać pochyłe drzewa. Po chwili Beewen dostrzegł w pobliżu człowieka, który się czołgał. Potem drugiego, który wyszedł zza drzewa i poruszał się, nie przesuwając żadnej gałązki. Gestapowiec zmrużył oczy i uważnie wpatrywał się w zarośla. Wyłoniła się z nich jedna twarz, potem druga, trzecia...

Podglądacze.

Byli tu, niewidoczni, cisi, ale buzujący energią. Czatowali w bezruchu, zarazem jednak byli w stanie granicznym z ekstazą.

Beewen uniósł ręce – ani kroku dalej. Budził się w nim myśliwy. Nie gestapowiec, który kopniakiem wyważa drzwi, lecz wiejski chłopak, który od dziecka uczył się oddychać w rytm lasu, wtapiać się w niego.

Zaraz potem pomyślał, że ma halucynacje. Para, którą obserwowali, podległa metamorfozie. Wyrastały jej teraz nowe ręce, nowe nogi. Ciało przeistoczyło się w kłębowisko węży, kończyny się mnożyły, wyginały, splatały.

Podglądacze przyłączyli się do gry.

Zbliżywszy się niepostrzeżenie, najpierw wsunęli jedną rękę, potem drugą. A później pozwolili sobie na drobne pieszczoty i w końcu przyłączyli się do pary, całując to, co się dało, szukając stref erogennych, jak szuka się złota w błocie.

Tam gdzie przed chwilą widzieli parę uprawiającą seks, trwała teraz orgia, która po chwili zamieniła się w wir ciał, rąk, nóg, wszystkim poruszał wewnętrzny oddech, siła rozsadzająca kłęb, każąca mu jęczeć, miauczeć...

Beewen i Simon wstrzymywali oddech, zafascynowani tą surrealistyczną sceną, zmiennokształtnym zwierzęciem, które przyłapali, gdy wynurzało się z pranocy.

Charakterystyczny dźwięk przywołał ich do porządku.

Migawka aparatu fotograficznego. Steinhoff był tu, tuż obok, uchwycił te niezwykle chwile. Skulili się w krzakach i czekali na następne ujęcie, aby zlokalizować fotografa. Kiedy usłyszeli dźwięk migawki, gestapowiec w miarę dokładnie ustalił pozycję Steinhoffa – na godzinie trzeciej od nich. Wyciągnął szyję, zmrużył oczy i zobaczył sylwetkę za aparatem ustawionym na trójnogu. Jak przystało na myśliwego z prawdziwego zdarzenia, mężczyzna miał na sobie ciemną marynarkę i kominiarkę, która zasłaniała jego twarz.

Beewen spojrzał na Simona i wskazał ręką na prawo: wykonując spore okrążenie, mogli go zejść od tyłu. Poruszali się ostrożnie, by nie złamać najdrobniejszej gałązki, aż znaleźli się dziesięć metrów za fotografem.

Mogliby podejść bliżej, żeby go schwytać, ale ryzykowaliby, że ich usłyszy. A gdyby coś spłoszyło Steinhoffa, uciekłby w głąb parku.

Na tym etapie Beewen wolał działać oficjalnie, pod szyldem Gestapo. Odbezpieczył broń, wziął go na muszkę i krzyknął:

– Steinhoff!

Kiedy aktor się odwracał, rozbłysły snopy światła, a uczestnicy orgii zamarli jak stado saren oślepionych przez reflektory samochodu. Steinhoff kurczowo trzymał się aparatu, zupełnie jak drapieżny ptak, który zaciska szpony na ofierze. Nie ruszał się. Beewen wciąż do niego celował, próbując zobaczyć, kto stoi za latarkami. Podglądacze? Szupowcy? Esesmani?

Nie mógł uwierzyć, że to zrzączenie losu: mundurowi pojawili się właśnie wtedy, kiedy zatrzymywał mordercę!

Zanim uładził myśli, bezruch ustąpił panice. Latarki się przemieszczały, kochankowie i podglądacze rozpierzchli się po parku, rozległy się wrzaski.

– Wzięłeś broń? – zwrócił się Beewen do Simona.

– Jaką broń? Oczywiście, że nie.

– Czekaj tu na mnie. Nie ruszaj się.

– Nie, idę z tobą.

Rzucili się w stronę Steinhoffa, podczas gdy snopy światła siekły drzewa. Teraz widzieli mundury. To było Gestapo. Do diabła, a ci co tu robią? Czy postanowili właśnie teraz położyć kres nocnym igraszkom w Tiergarten?

Wokół wszyscy się ubierali, szukali marynarek i spodni, kto mógł, wskakiwał w majtki albo kalesony.

Jakkolwiek mogło się to wydawać nieprawdopodobne, Steinhoff nie zrobił ani kroku. Spokojnie pakował sprzęt. Jeszcze kilka metrów. I wtedy się okazało, jak bardzo Beewen się mylił. Kiedy Steinhoff się wyprostował, w ręce trzymał lugera – a zatem nie zamierzał się poddać bez oporu, i to jak największego. Beewen zwolnił i wówczas Simon go wyprzedził – widocznie nie zauważył broni.

Niemal równocześnie z prawej strony nadeszli esesmani. Oświetlali park latarkami, karabiny mieli gotowe do strzału. Zapowiadała się rzeź. Zaledwie kilka metrów dzieliło Simona od Steinhoffa, któremu spod kominiarki widać było wilcze oczy – on był Duchem z przestworzy i nie zamierzał tanio sprzedać skóry.

Beewen rzucił się w stronę Simona, żeby go zatrzymać. Właśnie wtedy Steinhoff wycelował. Rozległ się huk wystrzału. Simon padł do tyłu, ciągnąc za sobą Beewena. Siknęła krew – kula przebiła rękę psychiatry, który wrzeszczał ile tchu w płucach.

Gestapowiec wstał i spojrzał na przeciwnika. Beewen kontra Steinhoff, trzy metry od siebie. Nie było mowy o użyciu broni – chciał go dostać żywego. Jeśli mu się uda, jego wyjazd do Polski będzie już tylko kwestią formalności.

I nagle tuż obok, po ich prawej, rozbrzmiały wypowiedziane tonem ostrzeżenia słowa:

– Jest mój!

Beewen poznał głos Grünwalda. To nie był nalot na kochanków ani przypadkowy patrol. Jego rywal z Gestapo przez cały czas go obserwował, domyślając się, że nie zostawi śledztwa. Kiedy go powiadomiono, że totengräber czatuje pod willą aktora, zebrał ludzi i pojechał za Steinhoffem do Tiergarten. Spodziewał się, że będzie to okazja, by z sukcesem zarzucić sieć.

Zanim Beewen zareagował, Grünwald runął do Steinhoffa i wpakował mu kulkę w brzuch. Z rozpędu wpadł na aktora. Potoczyli się po trawie. Beewen nie mógł strzelić – za duże było ryzyko, że trafi Grünwalda, a chociaż osobiście niczego by nie żałował, to i bez tego miał dość problemów.

Walka w ciemnościach trwała, inni gestapowcy ściągali w to miejsce i bezradnie tylko patrzyli, bojąc się zranić dowódcę. Mogli jedynie oświetlać pole i liczyć punkty.

Beewen wrócił do Simona, który jęczał, trzymając się za lewą rękę. Była przestrelona, zakrwawiona, ale z kompletem palców. Ściągnął marynarkę i zrobił z niej prowizoryczny opatrunek. To było teraz ważniejsze, śledztwo i tak przepadło: Grünwald aresztuje Steinhoffa i laury zbierze jego ekipa, nawet jeśli aktor przypłaci to życiem.

Kiedy podniósł oczy, zobaczył, że przeciwnicy wciąż walczą w zwarciu. Po chwili Grünwald zdołał się uwolnić i wymierzył do Steinhoffa z broni, której przez całą potyczkę nie wypuścił z ręki. Steinhoff wstał. Na wysokości brzucha jego koszula przesiąkła krwią. Zerwał z głowy kominiarkę i ugryzł przeciwnika w nadgarstek.

Grünwald upuścił lugera. Esesmani wzięli Steinhoffa na cel. Teraz nikt go nie zasłaniał. Wezwali, żeby się poddał, ale aktor jakby ich nie słyszał. Było to iście surrealistyczne, odwrócił się bowiem i próbował złożyć statyw. Grünwald podniósł broń. Wtedy Steinhoff wykonał obrót i Beewen zrozumiał, że znów się pomylił. Gdy gestapowiec naciskał na spust, aktor szarżował na niego ze szpadą, którą wydobył z trójnoga.

Grünwald trafił go prosto w twarz. Steinhoff przebił Grünwalda szpadą. Obaj zwalili się na ziemię w kałuży krwi. Wszystko rozegrało się na oczach bezradnych esesmanów.

Beewen, który trzymał Simona w ramionach jak małe dziecko, zrozumiał, że to już koniec sprawy i że ten koniec nie dotyczy ani jego, ani Krausa.

Minna nie zdążyła się zaniepokoić. Pojednanie z ulubionym koniakiem zajęło jej cały wieczór. Nareszcie odprężona, nie liczyła kieliszków ani godzin, a w końcu padła – nie potrafiłaby powiedzieć ani gdzie, ani kiedy.

Żeby ją obudzić, Beewen musiał wsadzić jej głowę pod lodowatą wodę. Wolałby tego nie robić, ale była mu potrzebna. Ręka Simona wciąż mocno krwawiła, a nie mogli jechać do szpitala.

Minna była bliska wstrząsu hipotermicznego, kiedy z rozdygotanym sercem odzyskała świadomość. Wystarczył rzut oka, by postawiła diagnozę. Zresztą Simon już ją znał. Kula przeszła przez dłoń, rozrywając tkanki. Uszkodziła jedną z żył śródrečna.

Minna doszła już do siebie, chociaż wciąż drżała, gdy dezynfekowała i opatrywała ranę. Dopiero teraz wysłuchiwała całej historii. Kurt Steinhoff, aktor, podglądacz i fotograf. Seks grupowy – balet rąk i nóg w środku nocy. Wkroczenie Gestapo. Trupy. I ucieczka ukradkiem.

Kiedy chciała otworzyć kolejną butelkę koniaku, żeby – nazwijmy to tak – wyostrzyć nieco rozespany umysł, Beewen po prostu powiedział: „*Nein*”. W tym „nie” pobrzmiwała zapowiedź domowych metod, jakie stosował wobec tych, którzy uporczywie trwali przy nieakceptowanych nawykach. I Minna grzecznie odstawiła butelkę, choć już ją suszyło.

Trzeba zrozumieć chęć picia, z jaką zmagają się alkoholicy. Nie jest to ani pragnienie, ani pociąg, ale raczej właściwy bieg rzeczy. Pijak należy do alkoholu w organicznym tego słowa znaczeniu. Atomy mogą tworzyć między sobą niematerialne wiązania, lecz kiedy je rozdzielić, wracają do pierwotnych połączeń. Z Minną było tak samo. W pewnym sensie zanim nalała sobie pierwszy kieliszek rankiem, już była alkoholem. Bez niego była niekompletna. Na trzeźwo stawała się sprzeczna z naturą. Magnetyzm, który trwale wiązał ją z trucizną, czuła, ledwie otworzyła oczy. Można by rzec, że był istotą jej świadomości.

Ale drobne problemy pijaczki niewiele znaczyły wobec historii Beewena. Noc Walpurgi w nazistowskiej wersji, w scenerii Tiergarten. Boże! Kiedy to się skończy? Kurt Steinhoff zastrzelony przez oficera, którego nazwiska już nie pamiętała, chociaż natknęła się na niego na Gestapo, pamiętała to, a ten oficer zamordowany przez Werwolfa studia Babelsberg...

Spektakularne i piekielnie frustrujące zakończenie. Steinhoff nie żył, więc nigdy nie poznają odpowiedzi na pytania, które ich nurtowały. Poczynając od najważniejszego:

czy naprawdę był zabójcą Dam Adlonu?

Dwaj bohaterowie zasnęli na kanapach owinięci prześcieradłami, które chroniły każdą sofę, a zamyślona Minna patrzyła, jak wstaje dzień. Czerwone medytacje o krwistej treści.

Steinhoff był doskonałym kandydatem do roli mordercy, jednak pod warunkiem, że trochę naciągnęłoby się fakty. Fotograf podglądacz nie jest Kubą Rozpruwaczem. Byk rozplodowy nie musi wypruwać flaków samicom. Egocentryczny aktor nie miał żadnego powodu zabijać w zarodku własnej progenitury (której przecież nie musiałby uznać).

Minnę już ogarnęły wątpliwości.

Pozostała kwestia jego reakcji. Zwykły podglądacz nie wyciąga lugera, kiedy przychodzi go aresztować, zwłaszcza jeżeli ten podglądacz jest na ty z Himmlerem, a samego Hitlera zaprasza na swoje premiery. Aktor musiał mieć sobie do zarzucenia coś jeszcze, a jego reakcja dowodziła, że miał silne poczucie winy.

Żonglując myślami, zapadała w sen na leżaku, którego podłokietniki wyglądały jak wiosła. A co ona ma z tym wspólnego?

Kiedy osiągnęła stan hipnagogii – tę zarazem rozkoszną i niepokojącą fazę, gdy świadomość odpływa i zaczyna flirtować z absurdem – zabrała ze sobą do studni, w którą spadała, bursztynowy obraz: ciepłych, migoczących ścian, które wciąż się przesuwały, a były jej własną gardzielą złożoną płatkami alkoholu.

Po przespaniu całego poprzedniego dnia Simon Kraus obudził się w sobotę 9 września 1939 roku z jedną jedyną myślą w głowie: kupić poranne gazety, żeby sprawdzić, w jakim sosie Ministerstwo Propagandy zaserwowało relację z tego, co wydarzyło się w Tiergarten. Beewen mu powiedział, że wieczorne dzienniki z piątku nie wspominały o tym i że w gmachu Gestapo nie słyszał ani słowa o korridzie w parku. Wyglądało na to, że SS szykuje taką wersję, którą opinia publiczna zdoła przełknąć.

W kiosku Simon wybrał względnie niezależne dzienniki, jak „Deutsche Allgemeine Zeitung”. Niezależność była bardzo iluzoryczna, bo nawet wolność słowa zniknęła z nazistowskiego słownika, ale takie pisma nie używały przynajmniej sztywnej mowy czarnej propagandy, stylu tak ciężkiego, że każda kartka zdawała się ważyć tyle co ołowiana płytka.

Przeglądając gazety, zauważył triumfalistyczne tytuły: Wehrmacht nie przestaje odnosić zwycięstw w Polsce, zdobycie Warszawy jest kwestią dni. Co do sił alianckich, to Francja i Wielka Brytania nie spieszą się z przejściem do czynu.

Dopiero po powrocie do willi zajrzał na strony poświęcone zdarzeniom w Tiergarten. Spodziewał się aranżacji faktów, tymczasem przeczytał zupełnie inną historię. Słowa, które ociekały kłamstwem i niesprawiedliwością, lecz mimo to trzeba było je przełknąć, najlepiej razem z papierem i tuszem:

PRZYPADKOWA ŚMIERĆ
SŁYNNEGO AKTORA KURTA STEINHOFFA

KURT STEINHOFF ZASTRZELONY
PRZEZ PATROL PO GODZINIE POLICYJNEJ

GWIAZDOR KURT STEINHOFF
OFIARĄ ZBŁĄKANIEJ KULI

Wersja oficjalna głosiła więc, że aktor nie wiedząc czemu naruszył godzinę policyjną i wybrał się nocą do Tiergarten. Tam zlekceważył wezwania patrolu, toteż zginął od strzału.

O śmierci Grünwalda nie wspomniano ani słowem. O starciu aktora uzbrojonego w trójnog z Hauptsturmführerem, który wpadł w szal – ani linijki. O zasadzce Gestapo, latarkach i karabinach – cisza w eterze. O uczestnikach orgii i podglądaczach

z parku, którym przerwano zabawę – nic. Co do obecności bezdomnego psychiatry i gestapowca grabarza – też nic, jakby nigdy nie istnieli. Historia nie zapamięta ich imion ani nawet udziału w tym finale.

Tak kończyło się śledztwo w sprawie Dam Adlonu. Morderca miał zostać pochowany tak, by uniknąć skandalu – wielki aktor, który padł ofiarą własnej nieostrożności. Kiedyś przyjdzie czas, by znaleźć wyjaśnienie śmierci Susanne Bohnstengel, Margarete Pohl, Leni Lorenz, Greta Fielitz. W Berlinie roku 1939 nie było seryjnego mordercy. Tym bardziej mordercą nie mógł okazać się uwielbiany gwiazdor, a nocami – podglądacz.

Pozory udało się zachować i Niemcy mogły się poświęcić jedynej naprawdę ważnej teraz sprawie – inwazji na Polskę i nieuniknionej już drugiej wojnie światowej.

Simon zauważył, że w willi panuje kompletna cisza. Minna pewnie jeszcze spała, bo od dwóch dni nie udało jej się wytrzeźwieć. Beewen wyszedł już do pracy z łopatą na ramieniu jak wzorowy robotnik.

Simon zaparzył sobie kawy. Minna nie miała wprawdzie włoskiego ekspresu, ale i tak jej sprzęt był całkiem dobry. Gotując wodę, popatrzył na owiniętą bandażem lewą rękę. Nie potrafił przekonać samego siebie, że zachował się jak bohater. Dotąd odwaga fizyczna nie była jego specjalnością. Mimo to stawiał już czoło Josefowi Krappowi w mietskaserne, a nazajutrz bez wahania został z Beewenem aż do końca w berlińskim metrze, nie bojąc się ani kul, ani walki na broń białą.

Spróbował zacisnąć dłoń na znak determinacji. Nie udało się. To nie było przebudzenie niespodziewanej części jego osobowości, ale raczej efekt śledztwa i wsparcia kompanów – Beewena dzielnego, jak przystało na nazistowskiego żołnierza, i Minny, całkowicie nieodpowiedzialnej i popychającej go do przechodzenia samego siebie i bohaterskich zachowań.

Znów zacisnął rękę. Wciąż bolała, ale szybko się zagoi. Uszczerbek psychiczny to zupełnie inna sprawa. Można powiedzieć, że w Tiergarten widział kulę wylatującą z lufy lugera. W ułamku sekundy noc, krew, huk zamieniły się we wściekły ból przeszywający rękę. Ciągnąc go pod osłoną krzewów, Beewen dosłownie uratował mu życie. W ogólnym zamieszaniu mogli uciec, zostawiając triumf gestapowcom.

– Cześć.

Bordowy jedwabny szlafrok, blada jak welin cera, ciepłe, przenikliwe spojrzenie czarnych oczu, w stylu Dalili – Minna przystanąła w drzwiach. Czysto śródziemnomorski typ urody, powiedzieliby naziści stawiający ludy tego obszaru tylko trochę wyżej niż Żydów i Czarnych. Jak mogła liczyć, że przeciśnie się do grona nordyckich matek?

Wskazał ręką rozłożone na kuchennym stole gazety.

– Poczytaj. Wszystko złe, co się źle kończy.

Minna nawet nie spojrzała na pisma. Podeszła do kuchenki, gdzie szumiał już ekspres ciśnieniowy. Ruchy miała pewne, cerę świeżą, a przecież już dwie doby chodziła pijana. Simona zdumiewała jej odporność – każdy by pomyślał, że spała jak nowo narodzona.

Nalała sobie ciemnej jak atrament, aż gęstej kawy, a potem podeszła do stołu z filiżanką w ręce. Wciąż nie siadając, szybko, jakby palcem sprawdzała kurze, zerknęła na stronę tytułową „Deutsche Allgemeine Zeitung” i innych szmatławców.

– Beewen będzie musiał jeszcze poczekać na medale.

– Ale przynajmniej przeżył, co nie udało się Maxowi Wienerowi ani Philipowi Grünwaldowi.

Minna wyduła usta – te nazwiska nic jej nie mówiły. Wypiła łyk kawy i plasnęła językiem na znak rezygnacji.

– Mogłoby się wydawać, że wszystko straciliśmy – powiedziała lekko zdławionym głosem – ale mieliśmy chociaż to. – Postukała palcem w gazetę. – Teraz już oficjalnie nie mamy nic.

Simon uśmiechnął się do niej i uniósł do ust filiżankę. Trzymał się każdego doznania, postrzegając je jako znak, że życie toczy się dalej.

I powiedział jedyne, co przyszło mu na myśl:

– Czy mógłbym zostać u ciebie jeszcze kilka dni?

– Gestapo to organizacja, która nie zna litości.

A to ci nowina... Beewen stał na baczność przed Obergruppenführerem Perninkenem, który swoim zwyczajem przechadzał się po gabinecie z rękami na plecach.

– Ale to sprawiedliwa organizacja.

Beewen nie rozumiał, do czego zmierza. Zaraz po jego przyjsciu do totengräberów poinformowano go, że Obergruppenführer chce go zobaczyć. Wbiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie, i ubrany w mundur grabarza, bez stopnia i bez odznaczeń, wszedł do gabinetu dowódcy. W tej prostocie zdawała się przejawiać chrześcijańska pokora: „Staję przed Tobą, by ofiarować Ci me życie. Oddaję się w ręce Twoje...”.

– Mam tu szczegółowy raport o tym, co wydarzyło się przedwczoraj w Tiergarten. Wszyscy zauważyli pańską obecność w tym miejscu. Co pan tam robił?

Beewen poczuł prawie ulgę: poprzedniego dnia w korytarzach Gestapo wyczuł niepokojące poruszenie. Nikt nawet nie wspomniał o nocnym burdelu. Nikt nie patrzył na niego krzywo. Jakby nic się nie stało. Albo jakby już był trupem.

Teraz kłamstwa nie miały sensu. W paru słowach, szybkich jak wymierzone w gniewie policzki, opisał skrywaną historię nurzania się w spermie i we krwi w Tiergarten.

– A więc kontynuował pan śledztwo mimo mojego zakazu?

– Tak jest, Obergruppenführer.

Czuł się, jakby radośnie tańczył nad przepaścią, wystawiając nad nią to jedną, to drugą nogę.

– I jest pan przekonany, że Kurt Steinhoff to sprawca, którego poszukiwaliśmy?

– Tak jest, Obergruppenführer.

Perninken milczał przez chwilę. Aresztowanie. Wywózka. Egzekucja. Te słowa wirowały nad Beewenem jak muchy nad truchłem.

– Gratuluję – odezwał się w końcu Perninken.

W małym, ciemnym gabinecie Obergruppenführera nawet powietrze zastygło ze zdumienia. Gratulacje raczej się tu nie zdarzały. Zwłaszcza za złamanie rozkazu. Ale trzeba było zachować ostrożność, Gestapo bowiem często miało dwie wiadomości. Za pierwszą, dobrą, mogła się kryć także zła.

Tymczasem Obergruppenführer ciągnął:

– Mam nadzieję, że się pan nie pomylił i że ta przykra sprawa jest już za nami.

Perninken mówił szczerze – naprawdę chciał, żeby Steinhoff był tak poszukiwanym rzeźnikiem. Cieszył się, że Beewen go dopadł, a jeszcze bardziej się cieszył, że zdołał to zrobić, nie odkrywając tajemnicy aktora, którego chroniło SS. Max Wiener ją poznał i przypłacił to życiem. *Ale co to było?*

– Poproszę pana o sporządzenie dokładnego raportu z przebiegu śledztwa. Nie podpisze go pan. Pańskie nazwisko nie pojawi się w nim na żadnym etapie. Zobaczę, które z przedstawionych okoliczności będę mógł uwzględnić. Nikt poza kilkoma frywolnymi sekretarkami nie będzie tęsknił za Steinhoffem, a my mamy teraz do załatwienia pilniejsze sprawy.

– Obergruppenführer...

– Co?

– Nie wiem, kiedy będę mógł napisać raport. Moje zadania w oddziale totengräberów...

– O tym może pan zapomnieć. Został pan przywrócony do służby. Ta sprawa kosztowała nas niestety utratę jednego z najlepszych Hauptsturmführerów. Ktoś musi go zastąpić.

Beewen nie wierzył własnym uszom. Degradacje na Prinz-Albrecht-Straße 8 były codziennością, powroty natomiast się nie zdarzały.

Ale skoro już tak się stało, Beewen odważył się na drobny krok:

– Mój stopień...

Perninken tylko machnął ręką.

– Takie sprawy ustali pan ze służbami administracyjnymi. Powtarzam, że został pan przywrócony. Z tym samym stopniem co wcześniej. Niech pan napisze raport i bierze się do roboty. A mamy tu nagłą sprawę.

Beewen czekał na nowe zadanie. Miał sprawę, którą zakończy od ręki, jakby ścierał kurz z biurka, potem będzie mógł podjąć się nowej misji jako Hauptsturmführer.

– Doniesiono mi, że ostatnio stanął pan w obronie pewnego Cygana.

Beewen nie spodziewał się tego zarzutu.

– Nie stanąłem w niczyjej obronie, Obergruppenführer. Próbowałem tylko przywrócić porządek podczas operacji, której groziło niepowodzenie. Czas żołnierzy SS jest cenny. Mają ważniejsze zajęcia od pastwienia się nad wyrzutkami społecznymi niezasługującymi na tyle uwagi.

Perninken machnął ręką, ale raczej dlatego, że mu się spieszyło niż na dowód irytacji. Odsunął tę opowiastkę jak natrętną muchę.

– Mamy nowe zalecenia. W tym wojennym czasie musimy oczyścić nasze miasto i okolice. Z raportów wynika, że po drogach włóczy się wciąż o wiele za dużo

Cyganów, zwłaszcza na niezagospodarowanych terenach pod Berlinem. Nasz Führer chce, abyśmy kontynuowali i doprowadzili do końca porządku, które zaczęliśmy robić podczas igrzysk olimpijskich w trzydziestym szóstym roku.

Beewen potrafił czytać między wierszami. Wojna zmieniła sytuację. Teraz nie chodziło już o wysyłanie Cyganów do obozów, ale o jak najszybszą ich eliminację. Od roku 1933 nazistowskie władze miały ręce splamione krwią, jednak obecnie już na serio brały się do roboty.

– Na czym polega moje zadanie, Obergruppenführer?

– Ma się pan pozbyć tego robactwa. A zacznie pan od posprzątania na miejscu, w naszej suterenie. Esesmani dostarczyli nam duże transporty. Wrogów państwa, którzy mogli nam powiedzieć, gdzie przebywają ich rodziny. Powiedzieli, zobaczy pan raporty, ale teraz nie chcę ich już widzieć w tym gmachu! – Gniewnie uderzył obcasem o podłogę. – Roją się tam jak szczury.

Nowa misja nie różniła się tak bardzo od ostatnich. Znowu chodziło o pozbywanie się ciał, tyle że tym razem jeszcze żywych. Jednak z perspektywy Tysiącletniej Rzeszy był to szczególnie bez znaczenia.

Po zejściu do sutereny Beewen musiał przyznać, że Perninken nie przesadzał. W celach panował potworny ścisk. Aż kipiały rozczochranymi czuprynymi. Nawet korytarze pełne były półprzytomnych mężczyzn o smagłej cerze i oczach jak węgle. Gestapowcy ledwie sobie radzili. Wykrzykiwali rozkazy po niemiecku, jednak wydawało się, że nikt ich tu nie rozumie. Spychali więźniów kolbami, ale tłum wciąż się przesuwiał.

Takie działania przypomniały mu lata w SA, kiedy trzeba było panować nad tłumem, który reagował jak w transie na widok Hitlera. Wśród esesmanów zobaczył kilka znajomych twarzy i sam też zaczął wykrzykiwać rozkazy, tym razem adresowane do gestapowców. Kazał zepchnąć Cyganów do cel, choćby mieli się tam podusić, i pozamykać drzwi tych nor.

Po półgodzinie nareszcie mógł się rozejrzeć. Gałganiarze byli pod kluczem, Cyganie z różnych grup – Manusze, z Czech, Sinti, Kelderasze. Często słyszał te nazwy, bo na jego wsi ludzie bali się tych nomadów jak ognia, chociaż nie bardzo wiedział dlaczego.

Przy okazji zwracał uwagę na różnice między nimi: kapelusze z szerokim rondem u jednych, szpiczaste u innych. Niektórzy nosili bandany, inni mieli długie brody albo zbójckie wąsiska. Wszystkich łączyło jedno – poranione twarze. Gestapowcy nie patyczkowali się z nimi. Cały ten ludek był opuchnięty, zakrwawiony. Tak, upchnięto ich w celach, a teraz przy odrobinie szczęścia niektórzy zdechną uduszeni i w ciężarówkach będzie więcej miejsca.

Kiedy się upewnił, że operacja „duszenie” zaczęła się na dobre, wrócił na parter, by sprawdzić, na ile ciężarówek może liczyć. To była robota dla magazyniera, bo w końcu równie dobrze mógłby załatwiać transport kartofli. Albo trupów. Ale w Geheime Staatspolizei nazywano to „logistyką”.

Znów zszedł do sutereny. Korytarze odzyskały ludzki wygląd, o ile można tak powiedzieć. Kilku pobitych Cyganów upadło. Inni modlili się na kolanach. Ale nareszcie korytarze były z grubsza oczyszczone i można się było swobodnie poruszać, omijając tylko najbardziej opornych i martwych.

Beewen planował wyprowadzić stąd cały ten ludek cela po celi i sprawdzić tożsamość wszystkich. Praca magazyniera, owszem, ale też odpowiedzialnego, drobiazgowego urzędnika.

Nagle zobaczył znajomą twarz. Toni. Czarnowłosa twardziel, który leżał przywiązany do rozkładających się zwłok. On też miał sporo ran na twarzy, ale

zachował harde spojrzenie cichej wody, które zwróciło uwagę Beewena, kiedy spotkali się po raz pierwszy.

– A co ty tu robisz?

– Ruszam się, kuzynie. Bo na moje jaja, nomadzi żyją, żeby się ruszać.

Mówiąc to, zaczął tańczyć w miejscu, chociaż miał skute ręce.

– Herr Hauptsturmführer!

Beewen się odwrócił i zobaczył Alfreda, swojego dawnego sekretarza. Młody esesman poprawił okulary.

– Słyszałem, że... pan wrócił.

– Wieści szybko się rozchodzą.

– Przecież to Gestapo! – pozwolił sobie dzieciak rozzuchwalony, bo podekscytowany.

– Czego chcesz?

Beewenowi trudno było uwierzyć, że ten smarkacz jest aż tak oddany, by z własnej woli pomagać mu w zadaniu, które miał wykonać na dole.

– Chciałem panu powiedzieć, że bardzo się cieszę, że pan wrócił, i...

– To już wszystko? – przerwał mu zirytowany Beewen.

– Nie. Chodzi o naszą sprawę...

– Co?

Alfred zerknął na Toniego, który nadal stał blisko nich, poraniony i skuty łańcuchem. Beewen dał mu jednak wyraźny znak – mówienie w obecności Cygana czy przed stosem cegieł, na jedno wychodziło.

– Hauptsturmführer Grünwald – zaczął sekretarz – kazał przeczesać miejsce nad jeziorem Plötzen, gdzie odnaleziono zwłoki Grety Fielitz.

– Znaleźliście coś?

– Pantofle ofiary.

Beewen przełknął tę wiadomość.

– Były zakopane. Pod drzewem, dziesięć metrów od ciała.

– To wszystko?

– To było we środę. Hauptsturmführer Grünwald kazał natychmiast kopać w miejscach innych zbrodni. Na Wyspie Muzeów, w parku Köllnischer i w Tiergarten.

– I co?

– Za każdym razem nasi ludzie ekshumowali buty. Były zakopane kilka metrów od ciała. Wiem, że śledztwo zostało zamknięte, że ustalono, kto jest mordercą, ale chciałem panu powiedzieć o tym ustaleniu i...

Beewen już nie słuchał. Teraz zajął się przekonywaniem siebie, że ten szczegół nie podważa hipotezy przypisującej winę Kurtowi Steinhoffowi. Roztrząsanie tego nie

miało zresztą sensu – wykryli sprawcę, określili (z grubsza) jego motyw, unieszkodlili potwora. *Sprawa zakończona.*

– Dobrze, wystarczy – rzucił głosem jak papier ścierny. – Wracaj do biura. Szczegóły przedstawiś mi na górze.

Alfred strzelił obcasami, wybełkotał *Heil Hitler* i zniknął. Beewen został sam ze swoimi wątpliwościami w korytarzu pełnym jęków i cieni koczowników.

– Swój chłop ten twój morderca...

Beewen dopiero teraz zauważył osmaloną twarz fauna Toniego, który wciąż stał w tym samym miejscu.

– Zamknij się – odparł Franz. – O nic cię nie pytałem.

– Kamracie, wiem, dlaczego ten tam grzebie buty kobitek, które wypatroszył.

Gestapowiec spojrzał na niego uważnie. Skoro i tak tyle usłyszał...

– Mów...

– Na jaja, ściąga im buty, kamracie, kuzynie, żeby nie mogły wrócić go straszyć.

– Co ty pleciesz?

Oparty plecami o ścianę, z kołnierzykiem mokrym od potu, Beewen nie miał siły się oburzać ani podnosić głosu.

– To nasz sprytny sposób. Zawsze ściągamy zmarłym buty... żeby *mulo* nie mógł wracać w naszych snach. To Cygan, kamracie. To tradycja. Ten twój zabójca, na moje jajca, ten, co wypatroszył te cztery damulki, to z naszych, wędrowiec...

Beewen parsknął śmiechem. Tylko tego mu brakowało. Morderca był Cyganem. Koń by się uśmieł. Chciało mu się wyć. O mało się nie udusił. Potem na oczy spadła mu lodowata kurtyna. Czarna. Czerwona. Rozdygotana. Zobaczył na niej napisy „buty”, „sen” i „zemsta”.

Pomysł Toniego – „kamrata” – wyskoczył jak królik z kapelusza albo jak diabeł z wykrzywioną gębą, co za różnica. Ta hipoteza nie była wcale bardziej absurdalna od innych.

IV

CZARNY TRÓJKĄT

Może ze zmęczenia, może ze znużenia, a może przez alkohol, który zdążyła w siebie wlać (Eduard, kamerdyner, dbał o zaopatrzenie), Minna nie była tego wieczoru gotowa słuchać dziwacznych wywodów Beewena.

Dotąd na ogół ona ze swym mordercą o zmasakrowanej twarzy albo Simon z zabójcą, który zakradł się w sny, dorzucali ognia pod kociołek z absurdalnymi pomysłami. A teraz Beewen też się za to zabrał – wrócił z Gestapo z nową mętłą teorią na temat Marmurowego Człowieka.

– Czekaj, czekaj – przerwała mu Minna. – Myślałam, że ta sprawa rozstrzygnęła się ostatecznie w Tiergarten. Czy Kurt Steinhoff nie podoba ci się już w roli mordercy?

Beewen miał wątpliwości, nasuwały mu się pytania, borykał się z rozterkami. Teraz wystarczyło kilka słów cygańskiego więźnia, żeby nabrał nowego przekonania. Minna zakończyła tę bezsensowną rozmowę machnięciem ręki i otworzyła nową butelkę koniaku.

Simon natomiast wolał się w to nie mieszać. Przez tę sprawę stracił wszystko. Starał się robić dobrą minę do złej gry, ale jeśli chodzi o śledztwo, dał z siebie już dość i kropka. A tej nocy w Tiergarten o mało nie zginął. Mały Kraus nie był gotów znów ruszać na wojnę.

Beewen się nie poddawał. Wyliczył wszystkie pytania, które pozostały bez odpowiedzi w sprawie Steinhoffa. Wskazał ślepe uliczki, nonsensy, czarne dziury śledztwa. U aktora nie znaleziono żadnego przedmiotu, żadnego dowodu, który by go wiązał z tą serią morderstw. W sumie poza faktem, że zapłodnił cztery ofiary, nic nie łączyło go ze sprawą Adlonu. Nie zdołali nawet udowodnić, że Steinhoff nosił marmurową maskę.

Minna i Simon mogliby potwierdzić jego wątpliwości, bo sami też je mieli, ale żeby przełknąć historyjkę o Cyganie?! A dlaczego nie o Turku albo Chińczyku? A jako argument Beewen zaserwował im opowiastkę o butach zakopywanych, żeby uniemożliwić zmarłym nawiedzanie żywych we śnie.

W gruncie rzeczy napisał już scenariusz. Samotny Cygan mordował kobiety powodowany organiczną nienawiścią – prawdę mówiąc, dość uzasadnioną – do wszystkiego, co pachnie i myśli po hitlerowsku.

Ostatecznie pomimo jego starań, by ich przekonać, ani Minna, ani Simon nie kupili tej historii. Zresztą niczego już nie kupowali. *Das Maß ist voll*. Miarka się przebrała. Jeśli Beewen chce dalej drążyć, niech drąży sam.

A poza tym bądźmy szczerzy: jakże tu sobie wyobrazić, że brudny, smagły Cygan mógłby choć na sekundę zbliżyć się do którejś z Dam Adlonu? Nie do pomyslenia, żeby głodomór cuchnący końskim łajnem i dymem z ogniska, ledwie mówiący po niemiecku, zdołał przekonać kobietę taką jak Margarete Pohl czy Greta Fielitz, by poszła z nim do parku Köllnischer albo nad jezioro Plötzen.

A żeby postawić kropkę nad i: jakim cudem ten Cygan miałby się dowiedzieć, że są w ciąży? O umiejętnościach lekarskich wystarczających do pobrania płodu nie warto nawet wspomnieć.

Minna wolała iść spać i spotkać swoich nowych nocnych kompanów: Kurta Steinhoffa, muskularnego i nagiego, stojącego w progu pokoju, i Ernsta Mengerhäusena palącego fajkę z ludzkiej kości u wezgłowia jej łóżka.

Mamy takie sny, na jakie nas stać.

Rankiem 12 września Simon otworzył „Deutsche Allgemeine Zeitung” i zobaczył zdjęcia z uroczystości pogrzebowych wielkiego aktora Kurta Steinhoffa. Robiły wrażenie. Zgromadziły się tysiące kobiet, by iść w kondukcje i uczestniczyć w pochówku, który wyglądał jak defilada, taka z prawdziwego zdarzenia, jak lubił Hitler, no i jego klika.

Szczyt ironii! W głębi ducha Simon nie był pewny, czy Steinhoff to Marmurowy Człowiek, ale wiedział, że nie był też wypomadowanym aniołem, którego ubóstwiała kobiety. W każdym razie nie było to jego jedyne oblicze. Był też nazistą o dużych ambicjach i bezprzykładnym rozpustnikiem, *Zuchtbulle* tych pań i „perwersyjnym nocnym podglądaczem orgii pod gołym niebem”.

Czy była to prawda, czy fałsz, podobała mu się myśl, że Steinhoff często przychodził patrzeć na afisz *Ducha z przestworzy* w galerii Lipowej i że ryzykował, kiedy włamał się do niego, by go odzyskać. Nie wspominając nawet o pościgu w kanałach... *Wieki temu!*

A teraz Simon marzył, siedząc w głębokim fotelu i zachowując się w domu Minny jak baron von Hassel. Zaczynał rozsmakowywać się w takim życiu. Już nie pracował, stracił wszystko – no niezupełnie wszystko, bo miał jeszcze konto w banku, którego SS nie mogło skonfiskować. Czuł się wolny i lekki.

Przepędź naturę, a wróci galopem. U tej niesamowicie bogatej kobiety czuł się, jakby znowu był młodym chłopakiem, który poszukuje sponsora na lśniących parkietach dancinów i sam robi sobie pomadę do włosów z cukru i oleju rycynowego. W pewnym sensie wrócił do punktu wyjścia.

Nalał sobie kolejną filiżankę kawy. Tego ranka był w tenisowej koszulce polo i białych spodniach w kant jak ostrze brzytwy, jakby szykował się na dzień w okolicy Großer Wannsee.

Nie dręczyła go tęsknota za gabinetem ani nawet za cennymi nagraniami. Czasy analizy i szantażu minęły. Trwała wojna. Pacjentki już zaszywały się w swoich gniazdkach. To nie był dobry okres na przejmowanie się snami i obawą przed hitlerowskimi rządami. Teraz codzienność berlińczyków miała płynąć w rytm alarmów przeciwlotniczych.

A on? No cóż, był tutaj, w cieple, przy Minnie, która go tolerowała. Miał swoje garnitury, buty, pieniądze w banku. Został włóczęgą. Pasożytem żerującym na grzbiecie zwierzęcia. Zresztą psychoanaliza nie miała tu już żadnej przyszłości. Upierając się przy praktykowaniu tej *Entartete Kunst*, sztuki wynaturzonej, w końcu

wyłądowałby w obozie koncentracyjnym. Po prostu wiedział, kiedy przestać. Nawet jeśli ktoś zdecydowanie mu w tym pomógł.

Przez ostatnie dni myszkował po willi i znalazł cygara papcia von Hassela. Wspaniałe hawańskie, sprowadzone bezpośrednio z Kuby. Poszedł po jedno, wrócił, usiadł i powoli zgniótł liście, trzymając cygaro przy uchu. Delikatny szelest pod palcami. Dopiero potem zapalił grube cygaro, czemu towarzyszyło dużo płomieni i dymu.

Naprawdę ludziom przytrafiały się gorsze rzeczy.

Jeśli jednak miał się zdobyć na szczerłość, daleko mu było do pogody ducha. Mimowolnie żył w rytm wspomnień, które przychodziły jak wyładowania elektryczne. Wybuchowe obrazy przyprawiające go o dreszcz, o wzdrygnięcie, jakie zdarza się czasem przy zasypianiu, i o wrażenie spadania w dziurę.

Widział się w labiryncie mietskaserne, smagany strugami deszczu, jak strzela do człowieka o zmasakrowanej twarzy. Przypominała mu się scena w metrze – głowa Josefa Krappa roztrzaskująca szybę wagonu tuż przed tym, zanim porwał ją pociąg jadący w przeciwną stronę. Wyobrażał sobie siebie tonącego w deszczówce zalewającej kanały, gdy ścigał Marmurowego Człowieka. Bezdech, czarny nurt, który dotąd w nim pulsował. Ciemności, brak tchu, śmierć...

Ale najbrutalniejsze migawki zawdzięczał Tiergarten. Tamtej nocy pogańskiej orgii, ciałom w konwulsjach poruszającym się w mroku niczym gady o połyskliwej łusce, targanym siłą żądy. I aktorowi – wilkołakowi przyłapanemu na obłąkańczych łowach. No i wreszcie impulsowi, który kazał mu chwycić zabójcę solo, bez niczyjej pomocy.
Co za głupota.

Simon odpędził od siebie te anksjogenne obrazy i skoncentrował się na słońcu, które zalewało okna salonu. Wrzesień był w tym roku duszny, żyło się jak w gigantycznej szklarni. Nie dało się odдыchać, dojrzewało się, gniło, a wszystko w rytm złych wieści, które spadały na ludzi dzień w dzień.

Polska została już zmiażdżona. Polskie konie nie zdołały długo się bronić przed niemieckimi czołgami, a zdobycie Warszawy stało się kwestią dni. Wkrótce do gry włączy się Rosja, żeby zagarnąć znaczną część tego kraju. Natomiast na Zachodzie nie działo się zupełnie nic. Po wypowiedzeniu wojny przez Francję i Anglię... otóż *nichts*. Na berlińskich ulicach coraz częściej słyszało się słowo *sitzkrieg*, siedząca wojna, przeciwieństwo *blitzkrieg*, osławionej wojny błyskawicznej.

Simon odłożył gazetę. Wolał już między jednym a drugim pyknięciem z cygara analizować najnowszą hipotezę Beewena. Cygański morderca. Zemsta na tle etnicznym. Prawdę mówiąc, nie miał w tej sprawie opinii. To śledztwo roztrzaskało jego życie. Jeszcze nie zdołał przetrwać tych zdarzeń, jeszcze nie docierało do niego

wszystko, co się stało w ostatnich tygodniach totalnego chaosu. Nie miał pojęcia, jak długo potrwa jego umysłowa rekonwalescencja. Ile miesięcy, a prawdopodobnie lat zajmie mu godzenie się z faktami. Jednak w głębi ducha to też wcale go nie obchodziło.

Bo ważne były tylko sny. Pod tym względem powrócił do pierwszej miłości. Sypiał dobrze, a to znaczy, że śnił, nawet dużo, lecz ani o Josefie Krappie i jego czarnej gazie, ani o Kurcie Steinhoffie i jego zabójczej kamerze. I właśnie to było pasjonujące – niewyobrażalnie brutalne wydarzenia, które nie pozwalały o sobie zapomnieć za dnia, nigdy nie powracały nocą. Podświadomość w całej swej złożoności nie wykorzystywała tego materiału, by przemówić do Simona. Miała ważniejsze sprawy. Miała własny język i sama dobierała słowa: okruchy życia, szczegóły bez znaczenia, symboliczne znaki.

– Simon.

Psychoanalityk aż podskoczył, popiół z cygara spadł na jego polo.

– *Scheiße!*

Odwrócił głowę i ujrzał Minnę w peniuarze.

– Ktoś do ciebie.

– Do mnie?

Simon poderwał się z fotela zadowolony, że tego ranka zadbał o strój. Przez myśl przemknął mu cytat z Baudelaire’a: „Dandys [...] musi żyć i spać przed lustrem”¹.

– Jakaś kobieta – dodała Minna, odchodząc w stronę schodów. – Spodoba ci się.

Nie minęła minuta, a stanął w progu – uczesany, lśniący, idealny – gotów na próbę ogniową.

Osoba, którą ujrzał, była niewątpliwie ostatnią, której się tu spodziewał. Magda Zamorsky w ciemnych okularach i z białymi włosami. Tak piękna, że aż nierzeczywista.

Przechadzali się teraz po ogrodach wokół willi. Dla Simona było to odkrycie, bo nie znosił kontaktu z naturą. Nie miał więc okazji zauważyć oranżerii w głębi parku, nie widział też pośród lilii i hortensji alejek wiodących nad małe jezioro. W powietrzu wirowały owady, śpiewały ptaki – wszystko oddychało obojętną radością, aż zimno przeszywało go do szpiku kości.

– Jak mnie znalazłaś?

– To bardzo proste. Poszłam do twojego gabinetu. Porozmawiałam z dozorcą, który jak wszyscy blockleiterzy w Berlinie miał informacje na sprzedaż. Tak zdobyłam numer rejestracyjny auta, do którego zapakowałeś garnitury.

– I dzięki samemu numerowi ustaliłaś adres?

Zaśmiała się.

– Tym razem wystarczył jeden telefon!

Simon czasami zapominał, kto jest kim. Dla Magdy Zamorsky zdobycie takich informacji nie było wielkim problemem.

Przez kilka sekund obserwował ją kątem oka. W porannym słońcu jej zbyt jasne włosy zdawały się rozsypywać, były jak brokat. Ciemne okulary osłaniały perłowe oczy i uniesione z zaciekawienia brwi, zbulwersowane i bulwersujące. A dolna część twarzy swą słodczą stopiłaby serce z kamienia.

Przyszła w jasnej, lekkiej sukience, ale nic więcej nie potrafiły powiedzieć, jakby ten model podrzuciło jej słońce.

– Miło, że przyszłaś mnie odwiedzić.

Łagodnie dotknęła jego ramienia.

– Przeszedłeś na emeryturę czy co?

– Mój czas jako psychoanalityka był policzony.

– Co będziesz teraz robił?

– Nie mam pojęcia. Kto wie? Może mnie zmobilizują.

Na samą myśl o tym kamieniał ze strachu.

Nie zatrzymując się, Magda sięgnęła do torebki i wyjęła papierosa. Częstowała też Simona, ale podziękował. Wciąż jeszcze czuł cygaro.

Szybko wyciągnął z kieszeni zapalniczkę i przypalił Magdzie lucky strike'a. Ta amerykańska marka wiele o niej mówiła – żaden konflikt, żadne granice nie mogły pozbawić Magdy Zamorsky tego, co sobie upodobała.

Przytrzymała jego rękę, przyglądając się bandażowi.

– Co ci się stało?

– Skaleczyłem się przy przewodźce.

Odwróciła się i wskazała wille.

– Jak tu trafiłeś? Zawsze radzisz sobie po mistrzowsku. Baronówna von Hassel, naprawdę wysoko mierzysz!

Śmiała się i wszystko się mieszało, tworząc tę chwilę: głos, włosy, światło...

– Przyjaźnimy się – powiedział, jakby chciał ją przeprosić. – Znasz ją?

– Tylko z nazwiska. Nie należymy do tego samego pokolenia. Ale widziałam ją, wchodząc. Bardzo ładna!

„Przy tobie wygląda jak karaluch pod kamieniem”, miał ochotę powiedzieć, lecz ugryzł się w język.

Zastanawiał się, czego ta piękność może od niego chcieć. Była to dziwna, wręcz niepokojąca wizyta.

– Przyszłam pomówić z tobą o Damach Adlonu – podjęła, jakby czytała w jego myślach.

– Nadal się spotykacie? – zapytał obojętnym tonem.

– Nie, a przynajmniej ja już tam nie bywam.

– Podobnie jak ja – powiedział, chcąc zakończyć temat.

– Ale interesują mnie Susanne Bohstengel i Margarete Pohl.

Simon drgnął. Tego typu pytanie musiało kiedyś paść. Ale teraz to już nie był jego problem.

– Jedna z moich przyjaciółek spędziła cały miesiąc na Sylcie – ciągnęła. – Światowa kobieta...

– I co?

– Nie spotkała ani jednej, ani drugiej. Ponoć właśnie tam wyjechały, prawda?

– Nie mam pojęcia.

– O Leni też nikt nic nie wie.

Simon milczał.

– Jeśli dodać do tego Gretę...

Zasklepił się w milczeniu jak krab w skorupie.

– Prawda, że one nie żyją?

Doszli właśnie do szklarni. Simon ujrzał odbicie ich sylwetek w mokrej szybie. Nawet przy tej kobiecie, która miała najwyżej metr siedemdziesiąt, wyglądał jak karzeł.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – zapytał, żeby zyskać na czasie.

– Od kilku lat w Berlinie łatwo się umiera. One umarły czy nie?

– Skąd miałbym wiedzieć?

– Przypominam sobie, że przychodziłeś do klubu i zadawałeś pytania o nie. Prowadziłeś coś w rodzaju śledztwa.

Simonowi nagle tak zaschło w gardle, że język przywarł mu do podniebienia.

– To zresztą ja poinformowałam cię o ich prawdziwych poglądach politycznych. A pamiętasz nieszpory w kaplicy Kampen?

Psychoanalityk zlał się potem. Koszulka polo lepiła mu się do pleców jak mokra ścierka. Zaczął mieć dość tych wszystkich bredni, bo teraz nie było już czego ukrywać.

– Owszem, one nie żyją – powiedział. – Zostały zamordowane.

– Przez kogo?

– Nie mam pojęcia.

Pierwsze kłamstwo. *Chyba że...*

– To były pospolite zbrodnie czy eliminacja polityczna?

– Już powiedziałem, że nie wiem.

Drugie kłamstwo.

– Czy to ma coś wspólnego z ich ciążami?

Simon zerknął na nią z ukosa. Magda naprawdę dużo wiedziała. Skąd wzięła te informacje? W ciemnych okularach ta kobieta o jasnej, delikatnej cerze i kształtnych ustach wyglądała jak tajemnicza pyta.

– Czego ty właściwie chcesz? – zapytał zirytowany.

Znów położyła mu rękę na ramieniu, jednak to już nie był koleżeński gest, a raczej pełna współczucia pieśczoła. Za ciemnymi szklami domyślał się życzliwego spojrzenia.

– Po prostu jestem ciekawa – powiedziała, biorąc go pod rękę. – Żyjemy w niebezpiecznym świecie. A wojna nie poprawi sytuacji.

– Nic więcej nie wiem – powtórzył z uporem.

Położyła mu głowę na ramieniu i zaczęła mówić po cichu. Czuł, jak zapach jej perfum unosi się w powietrzu. To była marzycielska, subtelna, ale potwornie krucha woń.

– Chciałam się po prostu dowiedzieć, czy mam się czego bać...

– Dlaczego?

– Ja także należę do klubu.

– Nie masz nic wspólnego z tamtymi kobietami.

– Bo nie jestem w ciąży?

– Chyba nie jesteś nazistką?

Wybuchnęła śmiechem.

– W przypadku Polki to dziwaczne pytanie.

Simon natychmiast wykorzystał okazję, by zmienić temat:

– Masz stamtąd wiadomości? Z Polski?

– Niemcy niszczą mój kraj. Zaczęły się rzezie. Wiesz, że przygotowali listy?

– Żydów?

– Nie tylko. Mordują intelektualistów, duchownych, wszystkich, którzy mogliby im przeszkodzić w sprowadzeniu polskiego społeczeństwa do roli niewolników.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że przejmuje się napaścią na Polskę jak zesłorocznym śniegiem. W nieszczęściu tego kraju widział tylko początek problemów. Wiedział, że to wszystko doprowadzi w końcu do huraganu, który zmiecie taras kawiarni Kranzler i zniszczy komfort berlińczyków.

– A co z twoim wyjazdem?

– Nie wiem. Granice są zamknięte.

Kraus nie martwił się o nią. Ktoś, kto jest wart miliony marek, zawsze znajdzie jakieś wyjście.

Prawdę mówiąc, to spotkanie go rozczarowało. Kiedy zobaczył Magdę w drzwiach, rozmarzył się. Najpiękniejsza Dama Adlonu być może się nim interesuje. Ją także rozczulił w końcu jego urok breloczka do kluczy.

– Te kobiety były inne, niż sądzisz.

– Już mi to mówiłaś.

– Byłeś w kaplicy Kampen?

– Tak.

– W takim razie wiesz, o czym mówię.

– Przyznaję, były fanatyczkami.

– Gorzej. Albo lepiej, nie wiem. One były... złymi ludźmi.

Zatrzymał się. Bzyczenie owadów przeobraziło się w szum w uszach, zapach roślin przyprawiał go o mdłości. A słońce... Biała blacha świeciła mu w twarz, tak że chwiało się na nogach.

– Przyszłaś o czymś mi powiedzieć – rzucił zniecierpliwiony. – Więc mów.

Odetchnęła, zawahała się – drobne teatralne gesty.

– Na przykład Susanne. Słyszałam o niej... przerażającą historię.

– Słucham.

Magda ruszyła, prowadząc go pod ramię w cień wielkiego dębu. *Świetny pomysł.*

– Rok czy dwa lata temu jej mąż, Werner Bohnstengel, zabrał ją do obozu dla deportowanych, ale nie wiem, do którego. Susanne przygotowała kosz jedzenia dla więźniów. Wzięła też mały pistolet. Wiesz, browning model 1906. Ten, który nazywają pistoletem dla pań.

Simon spytał zdziwiony:

– Amerykański?

– Widać, że się na tym nie znasz. – Zaśmiała się drwiąco. – Od lat browningi są produkowane w Belgii.

Upał, ta historia z obozem, zaskakująca wiedza Magdy o broni palnej... Z ulgą schronił się pod potężnym drzewem.

– Małżonkowie zwiedzili obóz – ciągnęła Magda – bloki więzienne, kuchnię, szpital, pralnię. Spotkali się z więźniami i Susanne rozdała wiktuały. Prawdziwa dobra wróżka. Miała nawet cukierki dla dzieci. Śmiejąc się, poprosiła jedno z nich, żeby zamknęło oczy i otworzyło buzię. Kiedy dziecko to zrobiło, strzeliła mu prosto w gardło.

Przed oczyma stanęła mu twarz Susanne Bohnstengel. Jej oczy jak migdały, prawie mongolskie, wydatne kości policzkowe, uroda, która zdawała się zawsze oceniać i przypominać ci o twojej bezsilności, o banalności.

– Nie wierzę w to.

– Tak mi powiedziano.

– Próbujesz mi właśnie wmówić, że Susanne Bohnstengel zabiła dziecko dla zabawy? To nie ma sensu. Za coś takiego trafiłaby natychmiast do więzienia.

Magda pogładziła go po policzku.

– Jesteś słodki. I naprawdę nie zrozumiałeś, w jakim świecie żyjemy. To, co się dzieje w obozie, zostaje w obozie. To strefa wyjęta spod prawa. A raczej strefa prawa silniejszego. Życie nie ma tam absolutnie żadnej wartości. Każdy, kto tam trafi, jest skazany.

Simon Kraus drżał całym ciałem, zgrał się ze szmerem liści nad ich głowami. Zawsze uważał się za najsprytniejszego, sypiał z najpiękniejszymi mężatkami Berlina, przyprawiał rogi wpływowym mężom. Tymczasem oszukany był on. Pacjentki przychodziły przedstawić mu spreparowaną prawdę – nieszczęsne ofiary swych snów i lęków... Nie do wiary! Oszukiwały go, manipulowały nim, zrobiły z niego durnia!

Fanatyczne nazistki!

Surogatki!

I w dodatku zbrodniarki.

A przynajmniej jedna z nich.

Susanne Bohnstengel, która taksowała świat, tak jak ocenia się pokojówkę, zanim się ją zatrudni, i która przychodziła do niego narzekać na obojętnego męża i przykre sny.

– Ale... po co miałyby to robić? – podjął wciąż oszołomiony.

– Tak sobie. Żeby zobaczyć, jak to jest. Dziś pękła uświęcona granica między życiem a śmiercią, Simonie. Można sobie poeksperymentować, nie obawiając się, że ktoś będzie cię oceniać albo karać. – Zbliżyła się do niego. Teraz jej uroda była już nie tylko

zwykłym cudem dla oczu, była też rzuceniem uroku, czaru, czymś, co łamało cię, rozbijało integralność fizyczną i psychiczną. – Jesteśmy jak dzieci – powiedziała, opierając dłoń o drzewo tuż przy jego uchu. – Musimy się pogodzić z utratą niewinności.

Simon miał ochotę zerwać jej te ciemne okulary.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Żebyś nie płakał za długo nad grobem Susanne. – Cofnęła się, pozostając w kręgu cienia, i ogarnęła go spojrzeniem skrytym za ciemnymi szklami. – Powtórzę jeszcze raz. Wiem, że prowadzisz dochodzenie w sprawie tych zabójstw. Nie musisz mi się tłumaczyć, a poza tym ja cię o nic nie pytam. Ale chciałam, żebyś poznał prawdziwe oblicze jednej z ofiar. Zapewniam cię, że pozostałe nie były więcej warte.

Cofnęła się jeszcze trochę i stanęła w słońcu. Wbrew wszelkim oczekiwaniom zdjęła okulary słoneczne. Drżały jej powieki. Pod umalowanymi rzęsami jej źrenice pały ogniem. Chętnie pogrzebałaby wszystkie Damy Adlonu, i żywe, i martwe.

Simon nic z tego nie rozumiał. Ta poranna wizyta, to nieprawdopodobne piękno i tak mroczna historia... Nic tu do niczego nie pasowało.

– Jeszcze do ciebie wpadnę – szepnęła. – Nie wyglądasz na zbyt przecracowanego. Wtedy opowiem ci inne historie.

Patrzył, jak odchodzi. Jego usta były jak pustynia, zapomniał nawet powiedzieć do widzenia. Jej sylwetka zdawała się podrywać fale letniego wiatru.

Jeszcze długo stał pod dębem. Czego chciała ta kobieta? Można by pomyśleć, że próbowała podstępnie go skłonić, by wrócił do tego śledztwa.

Nieważne, jak ich nazywano. W oczach Beewena Cyganie byli zarazem wyjątkowi i uniwersalni. Rodzaj złodziei kur, przetłuszczone włosy, cwane spojrzenie. Przez całe dzieciństwo drżał na widok tych tajemniczych nomadów, którzy przemierzali świat swymi skrzypiącymi wozami.

W głębi duszy nadal bał się tych dzikusów o czarnych paznokciach, tych zjadaczy jeży, żebraków, którzy ukrywali bogactwo, a zmarłych grzebali przy drodze.

To, że po śledztwie w sprawie Dam Adlonu stanął oko w oko z dawnymi lękami, raczej go rozbawiło. Tak naprawdę nie wierzył w cygański trop, a poprzedniego dnia mówił o nim tylko po to, żeby sprowokować Simona i Minnę. A jednak coś nie pozwalało mu całkowicie wykluczyć tej hipotezy. Co? Sam nie wiedział. Może po prostu brak namacalnych dowodów albo motywów powodujących Steinhoffem.

Zbyt dużo pytań pozostawało bez odpowiedzi. Co z esesmańskim sztyletem? Gdzie jest maska? Dlaczego atakował zawsze blisko wody? I dlaczego stier miałyby odbierać „swoje” płody? Wydawało się, że egocentryczny aktor z rozkoszą patrzyłby, jak dorasta jego potomstwo, jego dzieci doskonale troskliwie wychowywane przez Rzeszę.

Tego ranka Beewen powtarzał sobie, że może wykorzystać trochę luzu w planie dnia, by drążyć cygański trop. Nie był już totengräberem i nie był jeszcze Hauptsturmführerem obarczonym licznymi obowiązkami.

Miał przynajmniej jeden wolny dzień.

Obóz Marzahn znajdował się na zachodzie Berlina. Właściwie już nie w mieście i jeszcze nie na przedmieściu. W roku 1936, przygotowując się do igrzysk olimpijskich, nazistowscy przywódcy zrobili tam porządki. Z jednej strony nakazano SA usunięcie wszystkich antysemitycznych plakatów i napisów na ścianach, z drugiej wyłapywano na ulicach i pobliskich drogach wszystkich, którzy wyglądali na włóczęgów i bezdomnych. W okamgnieniu tysiące Cyganów trafiło do Marzahnu.

I byli tam dotąd.

Nawet jako więźniowie niewarci byli najmniejszego wysiłku – „ich” obóz koncentracyjny był po prostu pustkiewiczem ogrodzonym drutem kolczastym. Ledwie go pilnowano. Bez jakiegokolwiek budynku, bez infrastruktury, bez śladu szpitala czy choćby biura. Po prostu zepchnięto ich na ten skrawek ziemi.

Beewen jeszcze nigdy w życiu nie widział w jednym miejscu tylu wozów i namiotów. Wyglądało to trochę jak targ bydłocy, na którym na sprzedaż pozostali już tylko ludzie, a i to nie pierwszej świeżości. Cyganie tkwili tam jak w potrzasku, między

brudnym niebem, zasnutym jeszcze dymem z koszy żarowych i z kuchenek, a ziemią brudną i tak bagnistą, że grzęzły w niej koła wozów i bosa stopy dzieci.

Beewen kazał kierowcy zatrzymać się kilkaset metrów wcześniej – wraz z dystynkcjami odzyskał mercedesa z szoferem, wolał jednak unikać prowokowania kogokolwiek (zresztą przyjechał po cywilnemu).

Zobaczył ich za drutami. Poznawał smagłe twarze z dzieciństwa i te gęby płaczek, które tak nim wstrząsnęły kilka dni wcześniej. Dzieciaki były gołe. Kobiety o kruczoczarnych włosach, w pstrokatych chustach, gotowały nad ogniskami. Ich spódnice wyglądały jak postrzępione szmaty. Mężczyźni, albo z długimi czarnymi włosami, albo krótko ostrzyżeni i nastroszeni, tonęli w dziesięć razy za szerokich portkach, ale koszule opinały ich torsy jak tancerzom. W obozie były też psy, tak wychudzone, że ich skóra zdawała się przyszyta do kości i stębnowana na grzbiecie.

Beewen już chciał zawrócić. Jak mógł podejrzewać tych wszarzy? Ale skoro już tu przyjechał i wiedział, bo sprawdził rejestry deportacji, że Toni Serban jest gdzieś w tym bajzlu, uznał, że lepiej wyjaśnić sprawę do końca.

Bez problemu wpuszczono go za bramę, gdy pokazał odznakę Gestapo. Tutejsi strażnicy wyglądali, jakby ich także zwerbowano w lochach SS. Rozchełstani, pokiereszowani, spaleni przez słońce i przesiąknięci alkoholem, drzemiąc, czekali na zmianę warty.

Poszedł pierwszą ścieżką. Deski, opony, żelastwo – wszędzie śmieci. Panowała tu przytłaczająca atmosfera znużenia i rezygnacji. Obóz pokonanych, gdzie wszyscy wegetowali, już się nie łudząc. Zupełnie inne wspomnienia zachował z dzieciństwa – wtedy w gwarnych obozowiskach wszyscy mówili, śpiewali, śmiali się, a spod brudu i gałganów wyzierała duma.

Zagadnął kilka rodzin, pytając o Toniego. Pokazywali mu coś, udzielali wskazówek w języku romani, nie wiedział jednak, czy chcą mu pomóc, czy wprowadzić go w błąd.

Przez dobry kwadrans chodził po ścieżkach ułożonych z desek, które ochraniały przed grzęgnięciem w błocie. Zgubił się w labiryncie wozów, smętnych twarzy, ledwie dyszących ognisk. Po drodze zauważał pewne szczegóły – złote monety wplecione we włosy kobiet, ornamenty rzeźbione w drewnie wozów, skrzypce, bębenki – wszystkie te kłamoty wędrowniej trupy zalegające teraz przy wozach.

– Ho, ho, ho, kuzynie, a co ty tu robisz?

Beewen się odwrócił i stanął twarzą w twarz z Tonim – z jego oczyma jak łupki i gębą wściekłego psa. Twarz Cygana, podobnie jak wszystkie tutaj, była ponura, jakby wyrysowana gniewną, pełną goryczy kreską. Tylko wąsy zachowały poczciwy wygląd z czasów, kiedy z każdym starał się być za pan brat, by łatwiej gwizdnąć mu portfel.

Ten Toni, który przed nim stał, był inny, nowy i nie miał już nic wspólnego z chudzielcem przywiązany do trupów ani nawet z kupką zakrwawionych gałganów, które Beewen odnalazł w piwnicach Gestapo. Ten Toni był przebrany od stóp do głów – spodnie z wysoką talią, fular z babskiego szala, nóż wsunięty za pas. Ten Toni prezentował się godnie w koszuli wyszywanej srebrną nicią.

– Przyszedłem zadać ci kilka pytań.

– Napijesz się rakii, kuzynie?

– Nie, dziękuję.

– A kawy?

Beewen skinął głową. Mimowolnie wciąż się rozglądał. Miał wrażenie, że trafił do strefy nędzy, gdzie zewsząd i znikąd zarazem wyłaniało się zniechęcenie widoczne pośród wozów, wyzierające z twarzy.

– Źle się urządziliśmy, kuzynie?

Trudno było powiedzieć, czy żartuje, czy może uważa, że całkiem nieźle sobie radzą. Toni mrugnął okiem – czyli wydał rozkaz – do kobiety, której poryta zmarszczkami twarz przypominała spękaną ziemię.

– Czekaając na kawę, oprowadzę cię, spryciarzu.

Beewen poszedł za nim. Wciąż stąpając po deskach, wślizgnęli się między dwa wozy. Musieli przeskakiwać przez kałuże, które błyszcząły jak potłuczone lustra, omijać śmieci i stare opony, które wyłaniały się zewsząd niczym padlinożercy.

– Tu są Lowarzy i Czurarowie – wyjaśnił Toni. – Czyli my, kuzynie. Handlujemy końmi, leczymy je, jesteśmy lepsi, niż trzeba. Dlatego, na moje jajca, mamy wozy. Te piekielne wozy.

O dziwo, SS nie zarekwirowało ich koni. Wyglądało to tak, jakby Niemcy po 1936 roku zapomnieli o tych rodzinach.

Beewen uśmiechał się od ucha do ucha przy każdym powitaniu. Jak na handlarzy koni Lowarzy wyglądali dość dziwnie w dwurzędowych, wyświeconych ze starości garniturach z szerokimi wyłogami i w spodniach z kantem. O gangsterskiej elegancji świadczyła też biżuteria – kolczyki, sygnety, łańcuszki.

– Chodź, coś ci pokażę.

Oddalili się od wozów i poszli na polanę, gdzie stały namioty z grubego płótna w czerwono-czarne pasy. Wiele było połatanych.

– To Kełderasze.

Tutaj mężczyźni nosili długie brody i kapelusiki z opadającym rondem. Byli obwieszani naszyjnikami. Wszystkie kobiety miały na sobie czerwone kaftaniki, a włosy splecione w dwa długie, lśniące jak łańcuch czarnych pereł warkocze.

– Dlaczego mają zielone ręce? – zainteresował się Beewen.

– To od *zalzaro*, kwasu, którego używają do obróbki metalu. Kełderasze zajmują się zawsze kotlarstwem. Żadna tajemnica, na moje jajca. Żelazo, cynk, mosiądz, to oni. Idziemy, kamracie.

Opuścili obozowisko namiotów i poszli w stronę wozów krytych szarym brezentem. Na bokach miały wyrzeźbione pasy i ornamenty w stylu arabskim. Tak przynajmniej Beewen wyobrażał sobie ten styl. Wszystkie kobiety ubierały się na czarno, a mężczyźni o twarzach barwy kory akacji nosili ciężkie wąsiska pod kapeluszami z szerokim rondem.

– To Sinti. Jeśli wolisz, Manusze. Pochodzą z południa. Trudno ich zrozumieć przez akcent. Prawdziwe dzikusy. Nigdy nie biorą ślubów, nigdy. Chłopak porywa sobie żonę, ot tak, po wszystkim. Ale i tak zawsze rządzi kobieta, kuzynie. Powiadam, to dzikusy.

Beewen nie przyjechał tu, żeby faszerować się wiedzą o różnych kastach w obozie. Toni chyba wyczuł, że jego gość ma już dosyć. Poklepał go po ramieniu i poprowadził tam, skąd przyszedł. Po drodze gestapowiec odważył się zapytać:

– Dlaczego tyle tu kobiet i dzieci?

Toni parsknął śmiechem przyjaznym jak wbicie rapiera w bok.

– Od zeszłego roku stale zabierają stąd mężczyzn, kamracie.

– Dokąd?

– Do obozów pracy. Mówią, że praca czyni wolnym, kuzynie. Niech sobie wezmą tę swoją wolność. Zdychać z gębą w kamieniach, z pogruchotanymi kośćmi... – Splunął w błoto i otarł rękawem wykrzywione usta. – A do tego czarny trójkąt na piersi. Daj spokój...

Taki symbol wybrało SS dla ludzi z marginesu, dla aspołecznych.

Beewen widział rozkazy wywózki do Sachsenhausen. Sformułowano to jednoznacznie: „Eliminacja przez pracę”.

Niedaleko wozu Toniego wokół ogniska utworzył się krąg. Starzec siedzący na spleśniałym fotelu, który ugrzązł w glinie, ssał kostkę cukru, raz po raz maczając ją w alkoholu. Inny poruszał małym miechem, podsycając ogień. Dzieciaki przepychały się przy kociołku, jadły rękami i wycierały palce o włosy.

Beewen zauważył pewien szczegół, który go rozczulił: nastolatki znalazły gdzieś pigmenty i teraz żdźbłami suchej trawy malowały nimi paznokcie.

– A to nasza kumpania.

– Co to znaczy?

– Nasza rodzina, kamracie. Bracia, kuzyni, wujaszkwowie i tak dalej.

– A inni? Kotlarze, Manusze? Nie kłóćcie się?

– Jest sztama, kamracie. Sztama.

– Co znaczy sztama?

Toni poruszył się jak fakir, miękko kręcąc biodrami i rozkładając ręce. Spojrzał na Beewena wytrzeszczonymi oczyma.

– Sztama to iść ręka w rękę. My, koczownicy, wszyscy jesteśmy braćmi, kamracie. To nasze życie, nasza prawda: jesteśmy ludźmi.

W końcu usiadł na odwróconej skrzynce, zamykając krąg przy ognisku. Dzieciaki wciąż piszczały, staruszek z kostką cukru nasączoną wódką zasnął. Beewen rozejrzał się za jakimś siedziskiem. Nie znalazł. Toni mocno kopnął drzemiącego chłopaka. Ten stoczył się w błoto, wstał i poszedł sobie, gniewnie mrużąc pod nosem.

Beewen zajął jego miejsce w fotelu, który ugiął się pod takim ciężarem.

Pomarszczona kobieta przyszła z dzbankiem kawy. Jej twarz wyglądała jak wyrzeźbiona w czarnej skórze. Usta były jak rozcięcie, podkreślone czernią oczy wyglądały jak głębokie dziury.

Podawała mu w mosiężnym kubku kawę po turecku. Każdemu jej gestowi towarzyszyło podzwanie orientalnych ozdóbek – kolczyków, naszyjników, a zwłaszcza złotych drobiazgów wplecionych we włosy.

Beewen nie mógł wyjść z podziwu – w tym błocie, w tej nędzy przetrwało jeszcze upodobanie do świecidełek. Kobiety musiały brzęczeć, błyszczeć. To umiłowanie luksusu, swoją elegancję skrywały teraz w drobiazgach, w swobodnym blasku – aż po złote zęby, które tak mocno kontrastowały z brudem.

Kokieteria srok złodziejek.

– No dobrze – powiedział Toni, dopiwszy kawę. – O co chciałeś zapytać?

– Kiedy Cygan zabija, zawsze zdejmuje ofierze buty. Tak powiedziałaś, kiedy się ostatnio spotkaliśmy.

– Kamracie, może są Cyganie, którzy tego nie robią, ale Lowarzy po tej stronie Dunaju zabierają buty. Żeby duch, *mulo*, nie mógł wrócić w ich snach.

To ostatnie słowo przyprawiło Beewena o dreszcz.

– Dlaczego w snach?

– Sny, kamracie, to terytorium *mulo*. Kiedy ktoś umiera, zawsze wraca, gdy śpimy. Dlatego nadajemy dziecku imię zmarłego. A on nie może już wrócić. Ale jeśli kogoś zabijesz, to co innego. Sposób z imieniem nie działa. Lepiej, żebyś ściągnął mu buty.

Marmurowy Człowiek... Zapowiadał się ofiarom w snach. Czy to miało coś wspólnego z Cyganami?

Beewen pokręcił głową – snuł przypuszczenia.

– Wyobraź sobie Zigeunera, który morduje kobiety z najwyższych kręgów nazistowskiej burżuazji. Co byś powiedział? – spytał mimo wszystko.

Toni splunął na ziemię.

– Jasne, że nie płakałbym na ich grobach.

– No dobrze, ale ten morderca, ten Cygan, dlaczego miałby zabijać?

Toni odparł bez wahania:

– Żeby się zemścić, kamracie.

– Za co?

Toni parsknął śmiechem. Miał lśniące zęby. Zęby geparda.

– Nic ci nie świta w głowie, bracie?

– Naziści traktują was jak psy, to prawda, ale dlaczego mścić się na kobietach? Dlaczego nie próbować zabić nazistowskiego dygnitarza? Na przykład kogoś ważnego z Głównego Urzędu Rzeszy i Osadnictwa?

Toni pochylił się i oparł łokciami o kolana. Podniósł z ziemi źdźbło i podał je Beewenowi.

– Może te kobiety mają coś, co nam ukradziono, kamracie.

– Co?

– Mogą rodzić dzieci.

Kalecy, osoby z chorobami dziedzicznymi, aspołeczni (w rozumieniu przywódców NSDAP także dotknięci chorobą dziedziczną) zostali poddani sterylizacji.

A wśród nich, i to na czele listy – Cyganie.

– Bracie – ciągnął Toni – musisz coś zrozumieć: oni nas zabili, ale pozwolili nam żyć. Rozpruli nam brzuchy, ale nadal tu jesteśmy. I dzień za dniem musimy przeżywać to na nowo: naszą śmierć, naszą pustkę. Kamracie, jeżeli nie pozwolisz Cyganowi mieć dzieci, to jakbyś odciął mu drogę. Nie ma przyszłości, tylko śmierć co rano.

Damy Adlonu były brzemiennie, kiedy je mordowano. Sprawca wydarł im płody. To był gest wściekłości, gniewu, rozpacz.

Beewen zapytał od razu:

– Umiesz pływać?

– O nie, bracie. Woda jest dla ryb.

Dopiero teraz Beewen zrozumiał, dlaczego tak bardzo zależało mu na spotkaniu z Tonim. Pamięć nagle podsunęła mu ważny szczegół.

– Na Gestapo powiedziałaś: „Ten, kto poszatkował te cztery kobiety, to jeden z naszych...”. Skąd wiedziałaś, że były cztery ofiary?

Uśmiech Toniego był jak jeden z płomieni wijących się pod kotłem.

– My, Cyganie, wiemy dużo rzeczy o was, mamy...

Cygan nie dokończył zdania – Beewen złapał go za kołnierz koszuli, obrywając mu przy okazji kilka guzików.

– Nie rób ze mnie idioty! – wrzasnął, dusząc go jedną ręką. – Skąd mogłeś to wiedzieć?

Toni oswobodził się z rąk Niemca płynnym, pewnym gestem. W ten sposób jasno określił zasady gry: rozmowa równego z równym.

– Uspokój się, bracie. Rozmawiamy jak mężczyzna z mężczyzną.

Beewen wsunął ręce do kieszeni, żeby nie rozkwasić mu gęby.

– Posłuchaj uważnie – powiedział Cygan. – Nie będę kłamał: na tę zemstę my, wędrowcy, czekamy od lat. Tu nie może być litości, na moje jajca. Naziści muszą za to zapłacić.

– Odpowiesz na moje pytanie? Skąd wiedziałaś, że były cztery ofiary?

Toni przesunął się ze skrzynką. Na jego ustach malował się uśmiech, a wyglądał, jakby rzucał okruchy swej tajemnej wiedzy.

– Mów!

Cygan znów zbliżył się do ognia. Jego twarz tańczyła w pomarańczowych refleksach płomieni, a białe słońce polowało na wszy w jego czarnej grzywie.

– To bardzo proste, kolego. Wiem, kto zabił te twoje kokoszki.

– Nie kpij sobie ze mnie.

– Możesz mi wierzyć albo nie, twoja sprawa.

Beewen błyskawicznie analizował wszystkie dane. To był jakiś obłąd, może mu się to tylko uroiło. Jednak nie mógł zlekceważyć takiej możliwości, choćby była bliska

zeru.

– Słucham cię – szepnął, ledwie dysząc.

– A co mi dasz w zamian?

– Żarcie, ubrania, co...

– Teraz to ty ze mnie kpisz.

Gestapowiec nie wytrzymał:

– A czego chcesz? Forsy?

– Wyciągnij mnie stąd.

– Co?

– Wyciągnij mnie stąd, bracie, a powiem ci, co wiem.

– A twoja rodzina? Zostawisz ich tu?

Błogi uśmiech.

– Poradzą sobie, bracie. Zwinąć obóz to dla nas drobnostka.

– Możesz wyjść, jeśli chcesz. Tego obozu prawie nie pilnują.

– O nie, cwaniaku. Ja mówię o wyjściu przez główną bramę, z papierami i tak dalej.

Chcę jechać do swoich, na Śląsk.

– Muszę się zastanowić.

Nie mówiąc nic więcej, Beewen odszedł sprężystym, szybkim krokiem. Tak przynajmniej chciał odejść, bo w rzeczywistości żałośnie brnął przez błoto, starając się nie stracić równowagi, zanim dotrze do desek, które wiodły do wyjścia z tej kloaki.

Szedł w stronę bramy z ciężką głową i nieznośnym szumem w uszach, gdy natknął się na niskiego mężczyznę – nie Cygana i nie esesmana. Suchy jak orzeszek ziemny, przygarbiony jak zwierzę pociągowe, niósł na plecach worek, który wydawał się cięższy od niego.

Beewen od razu dostrzegł białą koloratkę na szyi. Duchowny u Cyganów? Dlaczego nie? To miejsce nie było ani obozem pracy, ani koncentracyjnym.

– Przepraszam, ojcie.

Cofnął się po desce, aby znaleźć mniej błotniste miejsce, i zszedł z niej, chcąc przepuścić duchownego.

– Dziękuję, synu – odpowiedział zakatarzonym basem.

– Co ojciec im niesie? – zapytał z ciekawości.

Kapłan roześmiał się ze sztuczną skromnością, co rozdrażniło Beewena. W jego oczach nie było gorszego hipokryty niż człowiek Kościoła, który wszystko wybacza, ale niczego nie toleruje.

– Och, nic, doprawdy nic. Trochę jedzenia, ubrań... – Pokręcił głową na znak oburzenia. – Zostawiono ich tu w skrajnej biedzie.

– Dobrze ich ojciec zna?

– Kogo?

– Cyganów.

– Zajmuję się nimi od co najmniej dwudziestu lat! Na drogach, pod mostami, na polach. Zawsze ich odnajduję.

Duchowny miał około pięćdziesiątki, włosy wciąż bardzo czarne, jak u Apacza. Na czubku nosa nosił masywne okulary, które zdawały się ciągnąć całą twarz do przodu, jak zaprzęg ciągnie wóz. Najbardziej w oczy rzucała się jego długa strusia szyja – wygięta, z dużym jabłkiem Adama.

Beewen zastanawiał się przez chwilę. Nie podjął jeszcze decyzji w sprawie Toniego. Ale nie zamierzał lekceważyć takiego tropu. Musiał to drążyć, zebrać informacje o Lowarach.

Być może ten ksiądz stanowi dobre źródło wiedzy, i to dostępnej od ręki. Na tym etapie mógłby sobie powiedzieć, że sam Bóg postawił na jego drodze tego cholernego klechę.

Odruchowo wyciągnął odznakę Gestapo – nie miał ochoty udawać przyjaciela.

– Mam do księdza kilka pytań.

Duchowny lekko uniósł plecy, pokazując w ten sposób, że niesie ciężki worek.

– Czy to może poczekać kilka godzin? Teraz muszę rozdać te rzeczy moim przyjaciołom.

„Moi przyjaciele”? Te chodzące trupy, którym przynosił od czasu do czasu dziurawe łachy i przeterminowaną żywność? Żeby potem spokojnie obżerać się w prezbiterium za zdrowie Jezuska?

Beewen stłumił złość i zmusił się do uśmiechu – skłonił nawet głowę, jakby jego rozgoryczenie skapitulowało.

– Oczywiście.

– Proszę w takim razie zajrzeć do mojej parafii przed wieczorem. Kościół Świętego Piotra w dzielnicy Moabit.

Nawet alkohol w końcu ją znużył. Okropny smak cukru i owoców, palenie w gardle, które niczego już nie wypalało, mdłości, które podchodziły do gardła... Czuła się chora, znieczulona przez zbyt bogaty, zbyt ciężki aromat. A o radościach stanu upojenia wolała nawet nie myśleć. Już dawno dążyła tylko do tego, żeby się otępić. Do niczego więcej. Ani wesoła, ani smutna, szukała nieobecności, oderwania, swoistej rynsztokowej nirwany.

Kiedy Beewen wrócił późnym popołudniem do willi, ledwie zrozumiała, co do niej mówił. Spieszył się, był taki podniecony. Kazał im się ubrać – jego nowy trop nabierał kształtu. Ani jedno, ani drugie nie ruszyło się z miejsca. Simon opalał się na leżaku. Minna wtuliła się w kanapę, z której nawet nie zdjęła pokrowca.

Rozzłościł Beewena, zaczął krzyczeć, tak że słychać go było w całym domu, a ściany ze zbrojonego betonu i puste przestrzenie dobrze niosły głos. W końcu się ruszyli. Gestapowiec był jak naelektryzowany historią o Cyganach. Simonowi rzucił na głowę marynarkę, Minnie kazał włożyć coś przyzwoitszego, miała bowiem na sobie kostium kąpielowy.

Teraz byli już w sercu robotniczej dzielnicy Moabit, stali przed nędznym kościółkiem. Ciężki, kanciasty, odrapany, wyglądał na opuszczony – skrzydła drzwi wejściowych związane grubym sznurem. Chwasty rozpleniły się pod samymi murami, kawałki kartonu wypełniały miejsca po brakujących elementach tradycyjnych witraży i ołowianych ram.

Wystarczyło spojrzeć na tę parafię, by zrozumieć, z jaką obojętnością, wręcz wrogością hitlerowcy odnosili się do wiary chrześcijańskiej. Pod berlińskim niebem nie było miejsca dla dwóch bogów. Katolicy i protestanci, jeśli chcieli przeżyć, musieli stosować się do tej samej zasady: nie robić za dużo hałasu. Na przykład trzymać głębę na kłódkę, kiedy sterylizowano Cyganów albo – dla odmiany – mordowano Żydów.

Wewnątrz również widać było ślady upadku. Brak światła. Kłęczniki stały poprzekrzywiane, jakby opierały się jedne o drugie, żeby nie poupadać. Świece wciskano do wiadra z piachem. Rusztowania butwiały pod zawilgoconymi murami. Woń tynku i saletry unosiła się w nawie, jakby czas, znużenie, porzucenie w końcu przybrały postać pleśni.

Minna zauważyła kilka owieczek – kobiet, które modliły się w ciszy. Ten kościół nie potrzebował fresków pokazujących drogę na Golgotę – sam był drogą krzyżową, dogorywaniem, na które przykro było patrzeć.

Zza ołtarza wyszedł im na spotkanie kapłan.

– No cóż, to wprawdzie nie Ludwigkirche, ale przecież sam Chrystus zawsze pochwałał pokorę – zażartował.

Minna się uśmiechnęła, ze zrozumieniem kiwając głową. Usłyszała hałas i podniosła głowę – gołębie, które dostawały się tu przez dziury w dachu, przeleciały nad chórem.

Beewen przedstawił ich sobie.

– Chodźmy do zakrystii – zaproponował duchowny.

Poszli przez nawę główną. Woń stęchlizny była przytłumiona zapachem kadzidła. To uspokoiło Minnę. Od dziecka była przywiązana do palonych wonności, do kojącej mocy mszy, śpiewów, okadzania. Wreszcie poczuła się tu lepiej. Landrynkowe światło zmierzchu przenikające przez szczeliny zrujnowanego kościoła ratowało wystrój. Nawa skąpana była w ikonicznym blasku, tajemniczym jak skarb ukryty w grobowcu.

Znaleźli się w dużej sali, której ściany pokrywało szarawe wapno. Rozchwiana szafa, prosty drewniany stół i kilka krzeseł były całym jej umeblowaniem.

Ksiądz poprosił, by usiedli. Pochylony jak uczeń nad klasówką, suchy niczym szczapa, nosił sfatygowaną sutannę i okulary w oprawkach grubych jak olimpijskie koła. Jego głowa wyglądała jak kwiat kaktusa na szyi, a dłonie trwały splecione jak do modlitwy, a może jak ręce łakomczucha cieszącego się na myśl o smacznym posiłku.

Minna zastanawiała się nad nowym tropem Beewena. Esesman nie chciał im niczego powiedzieć. Nie nalegała, a z jej obserwacji wynikało, że przejawia symptomy nerwicy natręctw. Nie uznała tego za szczególny problem – w tej chwili i ona, i Simon także mieli podobne zaburzenia.

– Nie proponuję państwu niczego do picia. – Ksiądz się uśmiechnął, siadając u szczytu długiego stołu. – Mam tylko wino mszalne, a i jego zaczyna brakować.

Ledwie usiadłszy, Beewen przeszedł do rzeczy. Bez wstępów, bez wyjaśnień. Zadał po prostu pytanie, które zabrzmiało jak wylosowane z diabelskiej listy:

– Czy ksiądz wie, jak przeprowadzają sterylizację Cyganów?

Duchowny poczuł dreszcz, ale po chwili spuścił głowę, smutno się uśmiechając. On także nie zamierzał wdawać się w próżne dywagacje.

– Niemieckie władze od niepamiętnych czasów mają Cyganów na celowniku. Zaczęło się długo przed nastaniem nazizmu. Już za panowania Wilhelma II mieli kartoteki. Pobierano dane antropometryczne, by namierzyć wszystkie kumpanie, wszystkie grupy koczowników z niemieckich dróg. Ten pierwszy projekt taksonomiczny był oczywistą zapowiedzią eliminacji, ale do czynu przeszli naziści, wprowadzając norymberskie prawo rasowe, a właściwie jeszcze przedtem, kiedy wprowadzili ustawę o przymusowej sterylizacji z czternastego lipca trzydziestego trzeciego roku. Zgodnie z nowymi zasadami należało sterylizować jednostki społeczne, pasożytów narodu niemieckiego. Nie pozwolić, by to robactwo się mnożyło.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie – przerwał Beewen. – Jak to robią?

– Najczęściej stosowana technika chirurgiczna to podwiązanie jajowodów u kobiet, a nasieniowodów u mężczyzn. Co nazywa się wazektomią. Czasami usuwa się też macicę. Wszystko odbywa się w okropnych warunkach. Żadnej sterylności, prymitywne znieczulenie.

– Czy stosowane są inne metody?

– Trwają badania, eksperymenty, owszem. Nad tym projektem pracuje przede wszystkim jeden człowiek. Zetknąłem się kiedyś z tym... lekarzem. Chciałem stanąć w obronie Cyganek, ale...

– Jak się nazywa?

– Mengerhäusen.

– Ernst Mengerhäusen?

– Zna go pan? To błyskotliwy uczonek, ale jego dusza... zbłądziła. Pewne jego prace przyczyniły się do dużego postępu w walce z bezpłodnością. Jednak jest też fanatycznym nazistą. Zwrócił całą swą wiedzę przeciwko rodzajowi ludzkiemu. Teraz interesuje go sterylizacja.

A zatem na szachownicy wciąż obecny był rudowłosy potwór.

– Jego zdaniem – ciągnął duchowny – zabiegi chirurgiczne są zbyt czasochłonne. Udowodnił, że długa ekspozycja na promieniowanie X lub radowe również powoduje bezpłodność. Podał zabiegowi Cyganki, a następnie zabił je, żeby pobrać do badania jajniki. Naświetlone tkanki faktycznie uległy zniszczeniu.

– Jest ksiądz pewny tego, co mówi?

– Dowiedziałem się o tym od lekarza, który był obecny przy tych doświadczeniach. A okrucieństwo postępowania pasuje do Mengerhäusena. Sam miałem okazję zapoznać się z jednym z jego projektów.

– Jak to możliwe?

– Rzeczywiście, to dość niewiarygodne – stwierdził duchowny, jakby sam nie potrafił tego pojąć. – Jako znawcę ludu cygańskiego poproszono mnie o opinię o wykonalności tego... protokołu. Naziści niczego się nie obawiają.

– Co to za protokół?

Kapłan, który opowiadał o tych okropnościach nosowym basem, przez chwilę milczał.

– To nie są dobre wspomnienia.

– Ojczy, proszę. To bardzo ważne.

Wyprostował się. Zrobił wdech.

– Dzięki promieniowaniu X Mengerhäusen miał nadzieję prowadzić taśmową sterylizację Cyganów. Naszkicował plany biur wyposażonych w specjalne zawory promieniowania. Cyganki, które przychodziłyby tam wypełniać dokumenty lub odpowiedzieć na pytania urzędnika, byłyby bez swej wiedzy wystawione na bardzo silne promieniowanie X. Uważał, że w ten sposób dałoby się sterylizować do dwustu osób dziennie.

Minna trawiła te słowa w milczeniu. Obłąd umysłów Trzeciej Rzeszy wymuszał swoisty podziw na opak. Upadać coraz niżej, pogrążyć się w coraz większym mroku – to była dewiza Rzeszy.

– Na jakim etapie jest ten projekt? – spytał Beewen.

– Nie wiem. Nie poinformowano mnie. Wtedy zdobyłem się na odwagę, by przeciwstawić się takim... podstępom. Ale opinia księdza wcale się nie liczy. I pewnie to uratowało mi życie.

Minna kątem oka obserwowała Beewena. Była w stanie śledzić tok jego myśli: w miarę jak wydłużała się lista okrucieństw, jakim poddano Cyganów, coraz precyzyjniej wyłaniał się motyw zemsty.

– Ile Cyganiek mogło zostać zdaniem ojca zoperowanych?

– Trudno powiedzieć. Setki. Może tysiące... Mam wrażenie, że teraz ten proceder toczy się wolniej.

– Dlaczego?

– Esesmani zdecydowali, że zamiast sterylizować, lepiej po prostu eliminować Cyganów. Stąd wywózki do obozów pracy: chcą zabić ich wysiłkiem. Zresztą Mengerhäusen też skupił się obecnie na innych pracach.

Beewen, Simon i Minna popatrzyli na siebie. Wiedzieli, jakie to „prace”. Jedna nazywała się Gnadentod (śmierć zadana z litości), druga Lebensborn (źródło życia). Ten naukowiec nigdy nie próżnował.

– Jak Cyganie zareagowali na politykę sterylizacji?

– Jak zawsze. Z fatalizmem.

– A poza tym?

Kapłan mlasnął językiem, jakby przewracał kartkę książki.

– Założenie rodziny to dla nich sens życia. Jeśli nie pozwolą im mieć dzieci, to jakby ich zniszczyli. Moi „zoperowani” przyjaciele często mi powtarzają: „Jesteśmy jak drzewa, które nie wydają owoców”, „Żyjemy, ale już jesteśmy martwi”... Mówią też: „Dom bez dzieci jest jak niebo bez gwiazd”.

– Sądzi ojciec, że te prześladowania mogłyby sprowokować wendetę?

– Ze strony Cyganów? Oczywiście. Tylko jak? I przeciw komu?

– Przeciw Mengerhäusenowi.

Duchowny pokręcił głową.

– Ten człowiek jest dosłownie niedostępny. Zwłaszcza dla Cyganów.

Beewen zdawał się rejestrować w pamięci te odpowiedzi, ale najwyraźniej wciąż trwał przy swojej idée fixe.

– Czy był ojciec świadkiem scen, które mogłyby wstrząsnąć jakimś Cyganem do tego stopnia, by pchnąć go do zemsty?

– Żartuje pan?

– A wyglądam, jakbym żartował?

Kapłan ciężko westchnął.

– Widziałem kobiety, których brzuchy i plecy były spalone przez naświetlanie. Widziałem mężczyzn, których członka ogarniała taka gangrena, że odpadał od moszny. U innych dochodziło do zapalenia otrzewnej, wtedy zabijały ich gorączka i potworne wymioty. Pamiętam wioskę pod Dreznem, gdzie Mengerhäusen urządził sobie „klinikę”. Prowadził tam eksperymenty nad nową metodą: wstrzyknięcie żrącej substancji, aby zablokować światło jajowodów. Po zabiegu „pacjentkom” pozwalano gnić na podwórzu, trzymano je tam przez wiele dni. Smród był nieopisany. Potem, kiedy te, którym udało się przeżyć, ledwie wygoiły rany, żołnierze zaczynali je gwałcić, żeby się przekonać, czy mogą zająć w ciążę. Rany się otwierały, to była... masakra. Owszem, takie sceny mogłyby uzasadniać zemstę. Ale powtarzam: to plan niewykonalny dla Cyganów.

– Mam jeszcze inne pytania, ojczcze...

Kapłan spojrział przez grube szkła na zegarek.

– Tylko szybko, o osiemnastej odprawiam nieszpory.

– Powiedziano mi, że cygański morderca zdjąłby ofierze buty.

– Nie zawsze tak się dzieje, ale Cyganie rzeczywiście się boją, że zamordowany, *mulo*, wraca, by nękać ich we śnie. Ściągnięcie zmarłemu obuwia jest symboliczną przeszkodą w powrocie do świata żywych.

– Czy to wierzenie wspólne dla wszystkich plemion?

– Jest silne zwłaszcza u Lowarów.

Simon pozwolił sobie wtrącić:

– Jaka jest rola snów w cygańskich przesądach?

Trop cygański był pomysłem Beewena, jednak tam, gdzie pojawiał się świat oniryczny, Simon w naturalny sposób przejmował inicjatywę.

– Jak mam panu streścić setki lat istnienia różnych wierzeń? Cyganie mają złożoną wizję interakcji między światem żywych i światem zmarłych. Sny to pomost, który je łączy.

– A czy słyszał już ojciec o mordercy, który pojawia się we śnie ofiary, zanim ją zaatakuje?

– Tak. Kiedy Cygan obawia się na przykład napaści, zdarza się, że widzi we śnie napastnika. To rodzaj przeczucia.

Simon zerknął porozumiewawczo na Beewena i Minnę. W tym momencie wszyscy troje myśleli to samo. Mieli motyw – prześladowania Romów. Sposób działania – wytrzewienie, kradzież płodów – wskazywał jawnie na przyczynę zemsty, czyli sterylizację. To było prawo talionu, „oko za oko”.

Rola snów wiązała się z przesądami. Wolą zabójcy było pojawić się we śnie ofiary, ostrożność kazała zabrać jej buty. To wszystko wskazywało, że morderca był Cyganem.

– Czy słyszał ojciec kiedyś o cygańskim mordercy, który obiera na ofiary żony nazistowskich dygnitarzy? – spytał Beewen.

– Nigdy. To nierealny pomysł.

– Czy zna ojciec Cyganów, którzy utrzymują kontakty ze światem niecygańskim? Mówię o bliskich kontaktach.

– Nie.

– Ale mają czasem kontakt z niecygańskimi kobietami, co? Na przykład żeby im powróżyć?

– To tylko krótkie spotkania.

– A mężczyźni? Przecież sprzedają konie, naprawiają wszystkim garnki, robią...

– Powtarzam, to przelotne kontakty, w których obie strony są wobec siebie nieufne. Żaden Cygan nie może mieć regularnych kontaktów z miejscowymi.

Beewen chyba przyjął w końcu do wiadomości ten bezdyskusyjny fakt.

– A czy wydaje się ojcu możliwe, żeby Cygan miał wiedzę medyczną? – podjął.

– Kpi pan ze mnie.

– I że byłby dobrym pływakiem?

– Przepraszam, ale nie rozumiem tych pytań. – Duchowny znów spojrzał na zegarek. – Muszę szykować się do nabożeństwa.

Już miał wstać, ale Beewen chwycił go za rękaw.

– Prowadzę śledztwo, uzyskałem zeznania Cygana. Jego informacje są... zaskakujące. Sądzi ksiądz, że mogę mu uwierzyć?

– Nie.

– Dlaczego?

– Cyganie kłamią. Bóg mi świadkiem, że żaden z tych, których poznałem, nigdy nie powiedział obcemu słowa prawdy. Taka jest ich kultura.

– Między sobą też kłamią?

– Nigdy. W tej kwestii mają bardzo surowe zasady. My jesteśmy dla nich światem zewnętrznym. Mają obowiązek nas okłamywać, żebyśmy nie wiedzieli, co się u nich dzieje.

– Cygan, o którym mówię, został przeniesiony do Marzahnu. Ma na imię Toni. Zna go ojciec?

Duchowny wybuchnął śmiechem, ale zaraz się opanował i przybrał poważny, choć zakłopotany wyraz twarzy, jakby chciał powiedzieć: nie wolno śmiać się z cudzego nieszczęścia.

– Toni? On jest najgorszy ze wszystkich.

Zaraz po ich powrocie do willi rozpętała się burza. Wspaniała burza schyłku lata, silna, głośnie, wprawiająca w drżenie szyby i nerwy. Oburzenie nieba, które pobudzało też trzewia ziemi, coś sejsmicznego...

Po dudnieniu basów przyszedł czas na wyższe tony. Na deszcz, który nasila się i słabnie nad głową, ale i w tobie. Co taki zgiełk ma ci do powiedzenia, sam już wiesz. To szept prapoczątków, głos matki, gdy zasypiasz, szmer życia, który nagle się materializuje i płynie w tobie, jak płyną krew i łzy.

Tego zgiełku Simon mógłby słuchać bez końca. Jako dziecko potrafił godzinami słuchać deszczu dudniącego o dach, dzwoniącego o szyby, rozbijającego się o samochody. Boże, jak on to lubił. To pobudzało mu krew w żyłach. Elektryzowało go jak Wigilia.

Burza przyszła w samą porę – można było oczyścić umysł ze wszystkich tych potworności, o których mówił kapłan. Simon nie rozumiał, do czego zmierza Beewen, ale z gestapowcem wszystko kończyło się tak samo – w bajorze krwi i trzewi.

Zerknąwszy na mokry park, wpadł na pewien pomysł. Idealnym miejscem, by podziwiać burzę, była oranżeria, którą zauważył wczoraj, gdy Magda przyszła podzielić się z nim dziwnymi informacjami.

Wziął cygaro, butelkę rieslinga, a w garderobie znalazł nieprzemakalną pelerynę – to były korzyści płynące z kontaktów z bogatymi: myśleli o wszystkim, a raczej wszystko, najbłahszy drobiazg, kompletnie bez znaczenia i o znikomej przydatności, przypominało o nich jak kilka fenigów podzwaniających w kieszeni.

Z tym ekwipunkiem przeszedł przez park. Strugi deszczu przecinały pejzaż. Nie były to kreski zrobione ołówkiem ani węglem, nie były czarne ani krwiste, lecz przejrzyste i nieustające. Odślaniały prawdziwą naturę ogrodu jak w zdrapkach dla dzieci, gdzie trzeba usunąć wierzchnią warstwę, by zobaczyć obrazek – zieleń, wodę, świeżość.

Nad trawnikami unosiła się teraz krystaliczna para, upojna, lekka, obfita. Kałuże drżały, powierzchnia fontann bębniła jak kule bilardowe o marmur.

Simon zwolnił kroku. Przypomnił sobie deszcz, który obudził go tamtego ranka, gdy radio obwieściło napaść Niemiec na Polskę. Mimo wszystko to było dobre wspomnienie, wewnętrzna rana, która dała mu poczucie głębokiej więzi z samym źródłem życia – z wodą.

Mimo peleryny ubranie mu przemokło i oblepiło go jak druga skóra. Czuł się ciężki, ale zarazem bardzo lekki. Przytłoczony, lecz swobodny. Cygaro nie nadawało się już

do niczego. Przetrwiała tylko butelka rieslinga w jego lśniącej od wody ręce. Wydawała się nawet twardsza i pełniejsza, jakby ulewa ją polakierowała i dostosowała do tej chwili.

Znalazł drózkę z dużych płyt ułożonych na gazonie i wiodących w głąb ogrodu. Szedł nią, gdy nagle rozległ się grzmot i niemal równocześnie białe światło zalało cały park.

Trudno wyjaśnić dlaczego, ale odruchowo odwrócił głowę i spojrzał na bramę. Wtedy ją zobaczył: Magdę Zamorsky w białej sukni w duże czarne kwadraty, z podwójnym pasem sięgającym aż pod piersi. Na ramionach miała krótką pelerynkę z muslinu albo czegoś podobnego, bliższego westchnieniu niż tkaninie. Czarny parasol chyba doskonale chronił ją przed deszczem. Była jak dziób tonącego statku, który jeszcze się bronił.

Simon pobiegł do niej, kilka razy o mało się nie przewracając.

– Co ty tu robisz? – spytał i natychmiast pożałował, że z jego ust wydobył się wrzask.

Ale przecież musiał przekrzyczeć ulewę i wiatr.

– Przyszłam się z tobą pożegnać! – odpowiedziała, także krzyżąc.

– Pożegnać?

– Mam możliwość opuszczenia Niemiec!

Simon otworzył bramę i rzucił kategorycznym tonem:

– Chodź, wszystko mi wyjaśnisz!

Trwając przy swym pierwotnym zamiarze, zaprowadził Magdę nie do willi, ale do oranżerii. Była to raczej szklarnia niż solidny budynek. Na metalowym szkielecie opierały się szklane ściany i wydawało się, że gwałtowna ulewa je roztrzaska. Simon i Magda wślizgnęli się do środka.

Niemal natychmiast przeniknęła ich wilgoć. Starcie tego egzotycznego, zawsze ciepłego lasu z nagłym chłodem deszczu na zewnątrz doprowadziło do skraplania pary. Zaskoczeni, parsknęli śmiechem. Wodę ociekającą po twarzy Simona błyskawicznie zastąpił pot. Ledwie dało się tam oddychać.

Magda wypatrzyła obrzeże gresowej donicy, przysiadła na nim i wyjęła paczkę lucky strike'ów. Poczęstowała Simona, który chwycił jednego wilgotnymi palcami.

Udało im się przypalić papierosy i przez chwilę oboje skupiali się na zaciąganiu się nimi. Pokonani, szczęśliwi, ociekający deszczem.

Simon nie zwracał uwagi na scenerię, niewiele zresztą było widać. Miał mgliste wrażenie, że otaczają ich kaktusy, jakieś monstrualne krwistoczerwone kwiaty i inne, zielone jak angielska trawa, a także drzewa o długich, zwisających liściach, smętnych jak orientalne pieśni.

– Kiedy wyjeżdżasz? – spytał w końcu.

– Pojutrze.

– Jak zorganizowałaś wyjazd?

– To dość skomplikowane. Muszę dostać się do Austrii, stamtąd na Węgry, do Serbii, Macedonii. Dalej przez Morze Śródziemne do Gibraltaru, żeby znaleźć się na Atlantyku.

– Dokąd chcesz dotrzeć?

– Do Stanów Zjednoczonych. To pierwsze, co przyszło mi do głowy.

Simon palił papierosa. Te nagle bliskie stosunki z Magdą wprawiały go w zakłopotanie, jakby na przykład przyłapał się na zaśnieciu w towarzystwie i chrapaniu albo poceniu się. Był w nich jakiś brak dyskrecji, może nawet coś obscenicznego.

– Miło, że przyszłaś mi o tym powiedzieć.

Magda wzruszyła ramionami i wydeła usta, dając mu do zrozumienia, że nie skończyła jeszcze opowieści o Damach Adlonu.

– Kiedy się pakowałam, dotarło do mnie, że w Berlinie nie mam wcale tak wielu przyjaciół.

– Nasza przyjaźń długo nie potrwa.

– To klasyka. Kiedy zbliża się wyjazd, często nawiązuje się tego typu relacje w przyspieszonym tempie. Przeskakuje się etapy, bo czas nagli.

Ulewa wciąż chłostała szyby, a szklarnia coraz bardziej przypominała hammam. Cisza się przeciągała, aż Simon, myśląc o tej niespodziewanej zażyłości, zaczął w nią wątpić. Magda Zamorsky przyszła tu w innym celu.

– Czy przypadkiem nie pojawiłaś się tu, żeby wyciągnąć ze mnie informacje?

– O czym?

– O Damach Adlonu.

– Nie zależy mi już na tym, żeby to zrozumieć. Dla mnie to przeszłość.

Simonowi przyszła do głowy inna myśl:

– A może jest odwrotnie, może jesteś tu, żeby mi o czymś powiedzieć?

– A chciałbyś?

– Dlaczego nie?

Rozmawiali pod duszącym kloszem, pośród oparów i podmuchów gorącego powietrza. Simon ledwie widział Magdę. Dostrzegał tylko pewne elementy – dość, by w myśli odtworzyć jej piękno.

– Co chciałbyś wiedzieć?

– Ostatnio spokojnie mi oznajmiłaś, że Susanne Bohnstengel zabiła dziecko. Co zrobiły inne?

Magda wstała i zaczęła krążyć pośród roślin. Liście, płatki, igły – wszystko wyglądało niczym wodorosty w morskiej głębinie.

– Słyszałam, że Leni Lorenz też miała swoje, nazwijmy to tak, drobne wady.

– Na przykład?

– Dzięki mężowi miała swobodny wstęp niemal wszędzie. Zwłaszcza na Gestapo.

– Co z tego?

Magda zbliżyła się do niego i się uśmiechnęła. Wsunęła na nos ciemne okulary, teraz poszarzałe od pary.

– Lubiła przesłuchania, zwłaszcza tortury.

– W sali?

– Przyglądała się im przez judasza. Mają tam takie.

Oddech Simona stawał się coraz cięższy, urywany.

– Byłaś tam kiedyś?

– Broń Boże.

– Czyli Leni lubiła patrzeć na cierpiących ludzi?

Przypominał sobie ich łożkowe szaleństwa. Zwariowaną Leni, która rozwiodła się z alfonsiem homoseksualistą, żeby wyjść za starca z binoklami. Tę pokręconą śmieszkę.

– Mówiono mi nawet, że kiedy słyszała krzyki i widziała krew, zaczynała się pieścić. Simon przełknął ślinę. Susanne była morderczynią dzieci, Leni sadystką...

– A jakie grzechy popełniły Margarete Pohl i Greta Fielitz?

– Greta lubiła w niedzielę strzelać z karabinu. Wychodziła na balkon i polowała na ogrodników, których przysyłało jej z obozu. Robiła to w kostiumie kąpielowym.

– Trafiła do celu?

– O tym historia nie mówi. Co do Margarete...

Simon już nie słuchał. Zrozumiał przesłanie: ofiary z Adlonu były katami. Hitlerowskimi furiami, sadystkami, zbrodniarkami, które nie cofnęły się nawet przed wypełnieniem własnego łona nazistowskim obłędem – rzekomo doskonałymi aryjskimi embrionami.

Ale czego właściwie chciała Magda? Po co fatygowała się tu, żeby go pożegnać? Żeby opowiedzieć mu te wszystkie ponure historie? Co jeszcze wiedziała? Miał wrażenie, że zanim zniknie na dobre, chce naprowadzić go na trop „winnych ofiar”, a tym samym skierować na być może zupełnie inne ścieżki.

W parowej kąpieli Simon miękł z minuty na minutę.

– Masz mi coś jeszcze do powiedzenia?

– Tak – szepnęła, przysuwając się do niego. – Chcę, żeby mój mały Simon dbał o siebie. Chcę go zastać w doskonałym stanie po wojnie.

– To wszystko?

– Uważam, że to już dużo. Najgorsze przed nami. Zwłaszcza przed tymi, którzy zostają.

– Chyba nie proponujesz mi, żebym z tobą wyjechał?

– Dlaczego nie?

Zaśmiał się tylko jak pijany człowiek, który nie trzyma na wodzy swoich emocji. Zapach nasienia i liści drażnił mu gardło. Czuł się coraz bardziej odprężony, wręcz się rozpląwał. Nie rozumiał już, co do niego mówi.

Magda zniknęła w oparach, ale zbyt późno to zauważył. Nie zdążył jej powiedzieć... No właśnie, czego? A przede wszystkim nie potrafił odpowiedzieć na pytanie: czy Magda go pocałowała, zanim rozpląnęła się we mgle, czy nie?

Albo, albo. Albo Toni naopowiadał mu bzdur, próbując wydostać się na wolność, albo naprawdę ma informacje, za które może czegoś żądać. Gestapowiec przez cały dzień wazył za i przeciw w każdej z tych hipotez. Doszedł do wniosku, że nie może odrzucić takiej szansy, choćby prawdopodobieństwo, że da się wykiwać, wynosiło dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

Dla Hauptsturmführera Gestapo wyciągnięcie takiego Toniego z Marzahnu nie było dużym problemem. Poświęcił koniec dnia na sporządzenie rozkazu przeniesienia opatrzonego pieczęciami i podpisami, a także na przygotowanie kilku innych dokumentów, których mogli od niego zażądać, bo esesman to bezduszny funkcjonariusz kochający formalności.

Postanowił podjąć działania jeszcze tej nocy – przeniesienie ze względów medycznych. Jego plan był prosty: użyć mercedesa Minny. Mundur wystarczy jako oznaka władzy, a opatrzone pieczęciami dokumenty będą kluczem. Jako chorobę Beewen wybrał tyfus, który pustoszył obozy, ale na razie omijał Marzahn. Wiedział, że wizja epidemii przeraża strażników i że błyskawicznie oddadzą mu takiego kłopotliwego więźnia.

O dwudziestej drugiej jechał do Marzahnu pełen nadziei. I słusznie, bo ze strony strażników nie napotkał żadnego oporu. Kilka pieczętek, *Heil Hitler!* rzucone na oślep i po kwadransie zakaźnie chory Toni siedział obok niego w mercedesie.

Beewen skierował się na wschód i jechał pół godziny. Minął Hönow, potem Altlandsberg i pojechał jeszcze dalej w ciepło nocy. Znaleźli się na kompletnym odludziu, za jedyną wskazówkę mając światła reflektorów, które zdawały się gonić mrok, nigdy go nie dościgając. Wokół wszędzie rozpościerały się pola po zbiorach, płaskie jak myśli bez przyszłości.

Od wyjazdu z Marzahnu Beewen nie powiedział ani słowa. Poruszał palcami na kierownicy, rozładowując silne napięcie, którego nie chciał po sobie pokazać.

Za to Toni nie przestawał gadać, i to na cały głos. Wciąż wyrzucał z siebie potoki słów, przeplatając niemiecki z nie wiadomo czym. Nie dziękował wylewnie Beewenowi za pomoc, ale opowiadał o swoich planach – jechać na Śląsk, do innej kumpanii, z którą było związanych kilku jego kuzynów. Większości jego wywodów nie dało się zrozumieć.

Beewen jeszcze nie wiedział, czy go wypuści, czy zabije. Wszystko zależało od tego, co usłyszy. Skręcił w polną drogę i zatrzymał się pod lasem. Wyłączył silnik

i reflektory. Ciemność spadła na nich jak smołowany dach, a ich oczy stopniowo się z nią oswajały i widziały coraz lepiej.

Beewen wyciągnął lugera, żeby nadać właściwy ton rozmowie.

– Słucham cię – powiedział do Cygana, który nie przestawał się śmiać. – Kto zamordował Susanne Bohnstengel, Margarete Pohl, Leni Lorenz, Gretę Fielitz?

Toni Serban nie wahał się nawet przez ułamek sekundy.

– Kamracie, to Nanosz, jeśli kłamię, walnij mnie w łeb.

– Kto?

– Nanosz.

– Kto to jest?

– Bracie, krążą u nas paramicze... po waszemu legendy. Ale są legendy, które są prawdą.

– Kim jest Nanosz?

– Nanosz to jak wasz Mesjasz, bracie. Przyjdzie nas wybawić. Ale najpierw pomścić, mądralo. Nanosz, kamracie, ma bardzo wielką moc, drabę, i to...

Beewen chwycił Toniego za gardło.

– *Gottverdamm*t, nie wyciągałem cię z obozu, żeby słuchać bredni!

Cygan uniósł ręce i poruszał nimi jak marionetka.

– Przysięgam! To Nanosz! Mówią o nim w całym obozie! Kamracie, Nanosz nadszedł! Nanosz nas pomści! Przychodzi w snach, a potem zabija. To Nanosz! To nasza rzecz! Nasza!

Beewen przycisnął lugera do twarzy Cygana.

– Łajdaku, wpakuję ci kulę w łeb!

– Nanosz jest z nami! – wrzeszczał Toni. – Nanosz nas strzeże!

Beewen wprowadził kulę do lufy lugera. Ta chwila sprowadzała się do prostego mechanizmu. Palce, na rękojeści, na spuście, kilka szczęknięć.

– Zaprowadzę cię, bracie! Zaprowadzę! Jest ktoś, kto zna Nanosza! Przysięgam! Klnę się na wszystko, kamracie!

Gestapowiec przystawił mu broń do czoła.

– Kto?! Kto?

– Drabarni!

– Kto taki?

– Babka zielarka! Czarownica!

Palec na spuście zadrżał.

– Przysięgam, bracie! Zaufaj mi! Nanosz jest z jej kumpanii! Rupa, tak ma na imię, ona wie! Będzie mogła ci powiedzieć!

Na skraju lasu na tym pustkowiu wystarczyło strzelić i zagrzebać Cygana pod liśćmi za jakimś drzewem.

Beewen schował lugera i usłyszał, jak pyta:

– A gdzie dokładnie jest ta twoja czarownica?

Po przebudzeniu Minna ujrzała zupełnie inny świat.

Beewen spędził całą noc za kierownicą. Znów wpadł do willi po nią i Simona około północy. Bez słowa wyjaśnienia. Znaleźli się w mercedesie z Cyganem, który wiercił się jak na rozżarzonych węglach. To był ten Toni. Ostatecznie wszyscy pozasypiali, grzeczni jak trzy małe misie z bajki dla dzieci.

Teraz Berlin i otaczające go pola zdawały się odległe. Fioletowa noc z wolna się czerwieniła, potem zaczęła się złocić, aż wreszcie wybuchła splendorem miedzi. Zbocza góry z domkami i szopami wyłaniały się na tym ognistym tle, przypominając płótna Claude'a Moneta czy Maurice'a Denisa. Kiedy uważniej patrzyło się na ten pejzaż, łąki były wypalone, a kwiaty już więdły, ale całość tworzyła rozległe złociste przestrzenie, w których detale traciły znaczenie.

Ten kojący krajobraz zadziwiał tym bardziej, że Minna spodziewała się czegoś zupełnie innego. Jechali na południowy wschód (Toni powtarzał, że drabarni, czyli czarownica, jeśli dobrze zrozumiała, wędruje po okolicach Breslau na Śląsku), toteż się obawiała, że natrafią na wojska zmierzające do Polski, by wesprzeć kolegów na froncie. Wyobrażała sobie warkot samolotów nad głową, tysiące żołnierzy, pod których butami drżą drogi, wozy opancerzone... A tymczasem czekał tu na nią tylko spokój. Słońce wstawało, a mercedes mannheim cofał się w czasie. Nie był już autem, które ma silnik, ale wozem konnym, kariolką, która turlała się w kurzu.

Kurz... Wszędzie było go pełno. Jechali drogami polnymi suchymi jak pieprz. Wszędzie wokół zarośla były nim przysypane, liście aż pobielwały. Świat rozpadał się w świetle słonecznym zupełnie jak ta prawda, która wciąż wymykała im się z rąk.

Toniemu nie zamykały się usta. Wyjaśniał w niezrozumiałym narzeczu obyczaj Cyganów. Te wyznania były dziwne, z tego bowiem, co Minna wiedziała, Cyganie zwykle milczeli w obecności obcych. Jednak Toni, jak Szeherezada, myślał pewnie, że dopóki mówi, jego życie nie jest zagrożone. Popełniał strategiczny błąd – Minna czuła, że Beewen dosłownie gotuje się za kierownicą. W końcu palnie Cyganowi w łeb tylko po to, żeby go uciszyć.

Teraz Toni opowiadał, że cygański świat opiera się na pojęciu czystości. Wiele gestów i przedmiotów uważa się za skalane, *mahrime*, i należy ich za wszelką cenę unikać. Na przykład absolutnie nie wolno myć dolnych partii ciała i twarzy tą samą wodą. *Mahrime*. Talerz, który dotknął spódnicy kobiety, nadaje się tylko do

wyrzucenia. *Mahrime*. W czasie miesiączki kobieta nie może zbliżyć się do wspólnoty. *Mahrime*.

Minnę urzekła ta opowieść. Wędrowny lud – brudny, nędzny, żyjący na pozór bez wiary, bez prawa, w rzeczywistości miał surowe normy i ostre prawa.

Cyganie często pracowali dla jej rodziców. Byli ogrodnikami, czyścili kanały, robili garnki, zajmowali się końmi. Prowadzili osiadły tryb życia. Cóż z tego, że starali się postępować i żyć jak reszta społeczeństwa – zawsze widać było po nich pewne niedbalstwo, coś musiało być na odwrót. A do tego ta ich dziwna kokieteria – kolczyk, jasny krawat do czarnej koszuli, tatuaż... Jak napisał Jean Cocteau: „I nawet kiedy nie było już taboru, wciąż był tabor...”.

W okolicach Breslau Toni poprosił, żeby się zamienili miejscami – musiał siedzieć przy oknie, by widzieć drogę.

– Dlaczego? – spytał podejrzliwie Beewen.

Toni wytłumaczył mu, że na tym etapie w odnalezieniu kumpanii Rupy mogą pomóc tylko *vrma* – kolorowe gałązki zaczepione na gałęziach drzew, bardzo wysoko, żeby obcy ich nie widzieli, a poza tym ślady spalonych patyczków, stosiki małych kamyków, kawałki ceramiki...

Minna ufała temu niewysokiemu mężczyźnie, który pachniał tytoniem, ale i lipą; potem, ale i wiciokrzewem. Toni wysunął teraz głowę na zewnątrz i z nosem na wietrze wpatrywał się w korony drzew i w obrzeża dróg.

Mijali przysypane pyłem wioski, siedliska w ruinie, gospodarstwa, które po tym lecie chyliły się ku upadkowi. Psy, dużo psów. Potulne bydło, apatycznych wieśniaków. Cały ten wiejski świat, który odliczał czas obojętny na losy miasta, na wojnę.

Minna zachowała miejsce przy oknie, po przeciwnej stronie niż Toni. Z drżącymi powiekami patrzyła na pofałdowane pola, które przesuwwały się za oknem, na wyschnięte łąki, rżyska, na pojawiające się tu i ówdzie drzewa – orzechy czy kasztanowce – niczym wskazówki wielkiego zegara słonecznego.

– Skręć w prawo, kamracie. O tu, w tę ścieżkę.

Beewen zazgrzytał zębami ze złości. Można było odnieść wrażenie, że z każdym kilometrem coraz bardziej żałuje decyzji, jaką podjął. Było jednak za późno (albo za wcześnie), żeby się z niej wycofać. Okaże się, co powie im ta czarownica Rupa.

Nieoczekiwanie ujrzeli w dole brązowe plamy, konie, rzekę. Skrawki kory leżały na liściu. Dróżka biegła w dół po skalistym szarym pagórku, na którym rosło kilka drzew już zjadanych przez jesienną rdzę.

Wkrótce znaleźli się w dole, tuż przy piaszczystej rzece zarośniętej trzcinami. Cygańskie wozy z taboru stały w kręgu, jakby ich mieszkańcy chcieli się chronić przed ewentualnym atakiem. W środku wokół ogniska Cyganie tworzyli drugi krąg, żywy.

Mercedes nie mógł jechać dalej. Zostawili go na skraju łąki dzielącej ich od obozowiska. Zbliżali się, potykając się na nierównościach i usiłując mimo wszystko prezentować się godnie oraz przyjaźnie. Ale Beewen przyjechał tu w swoim czarnym mundurze, toteż ich starania musiały spełznąć na niczym. Rolę ambasadora wziął na siebie Toni, który zaczął coś wykrzykiwać już z odległości stu metrów od obozu. Dzieciaki podbiegły do niego, wszystkie oczy zwróciły się na obcych, raczej tu niepożądanych.

Usiedli przy ognisku, nad którym piekły się brązowe, lśniące zwierzątka nabite na ruszt. Nie trzeba było wytrawnego myśliwego, by rozpoznać jeże. Kiedy Minnie jako dziecku powiedziano, że Cyganie zjadają te stworzenia, uciekła do swojego pokoju i długo płakała.

Dostrzegłszy jej niechętnie spojrzenie, Toni trącił ją łokciem.

– Najlepszy sezon, kuzynko. Przed zimą są tłuściutkie.

Usiadła na piasku i doznała dziwnego wrażenia. Na tym skrawku ziemi, na jasnych otoczkach, pośród woni wrzosów i lucerny, kumpania była symbolem wolności wędrowców. Wojna? Jaka wojna?

W smagłych rękach pojawił się samowar – gospodarze mimo wszystko chcieli ugościć ich herbatą albo jakimiś ziółkami. Toni wspominał, że Wana znajdują się na zielarstwie.

Toni trochę się uspokoił. Dzieci wróciły do swojej zabawy. Minna zauważyła kilka dziewczynek – ledwie dojrzałych, a już ciężarnych. Siedząc w słońcu, w milczeniu pili herbatę. Zamknęła oczy. To było jesienne słońce – jeszcze grzało, lecz jak gorączka – bez radości, bez energii.

Toni nie zamierzał dłużej pośredniczyć w rozmowach – położył się na trawie z papierosem w ręce i wpatrzył się w niebo. Odzyskał dobre samopoczucie i pewność siebie. Teraz byli u niego. Cygański świat go chronił. Ale nic się nie działo...

Czekano na Jej Wysokość, zapewne powiadomioną już o przybyciu gości.

Zielarka Rupa jeszcze nie przysłała, a on wiedział, że się pojawi – korzystała jedynie z praw, jakie dawała jej pozycja w społeczności, w tym z prawa do spóźniania się.

I nagle poruszenie, ożywienie. Wszyscy wstali, zaczęli się rozstępować. Mężczyźni, smagli i podchmieleni, z czarnymi rozczochranymi włosami, cofnęli się wraz. Kobiety w złocących się falbanach, w podartych szmatach, ulotniły się gdzieś. Dzieciarnia uciekła.

Poprzedzana swym polem siłowym drabarni wreszcie znalazła się w obozowisku. Minna wyobrażała ją sobie zupełnie inaczej – jako starą, bezzębną kobietę, pomarszczoną jak pieczone jabłko. Tymczasem Rupa Wana była młoda, miała rasową

twarz, oczy w kształcie czarnych piór, usta wydatne i kształtne. Czerwony szal zawiązany wysoko na głowie powiększał jej fryzurę i wyglądał jak szkarłatny diadem.

Toni się poderwał i stanął na baczność. Znow się rozgadał, mówił w romani niemal jednym tchem. Rupa nie odrywała oczu od gości. Jej wymowne spojrzenie sprowadzało ich do rangi niemile widzianych intruzów.

W końcu uniosła rękę, zatrzymując potok słów Toniego, i usiadła naprzeciwko nich przy ognisku. Wciąż bez słowa wsunęła rękę za kaftanik i wyciągnęła fajkę długą jak druty do robótek ręcznych. Znow sięgnęła do kieszonki i wyjęła skórzany woreczek z tytoniem.

Bez pośpiechu nabiła fajkę, potem gołą ręką chwyciła płonący patyk z ogniska i przypaliła tytoń. I wreszcie ogarnęła spojrzeniem czarnych kamiennych oczu trójkę obcych, zaciskając usta na cybuchu i wciągając dym.

Po chwili powiedziała w nieskazitelnej niemczyźnie, bez śladu obcego akcentu:

– Odbyliście długą drogę, żeby się ze mną spotkać. Mam nadzieję, że wasze pytania są tego warte.

Simon czuł się źle. Koszmarnie długa podróż samochodem przyprawiła go o mdłości. Przez całą noc rzucało nim jak workiem, aż ciągnące się jak okiem sięgnąć pola, które w poświacie księżycy wyglądały jak bezkres morza, skojarzyły mu się z chorobą lokomocyjną. A ta nie chciała ustąpić.

Teraz siedział w gromadzie brudasów i pił jakiś napar z pokrzywy czy innego zielska, uganiając się za legendą. Jediną miłą niespodzianką okazała się ich wróżka. Naprawdę piękna. Dzika brunetka, tak ognista, że od razu pomyślał o czarodziejce Kirke. Ale cała reszta...

Szukali Nanosza, cygańskiego bożka, mściciela prześladowanych rodzin, sterylizowanych, dziesiątkowanych. Czyżby ten mroczny golem miał być właśnie ich Marmurowym Człowiekiem? Kimś umiejącym wydrzeć płody z łon niedostępnych kobiet, zabójcą, który prowadził ofiary w wybrane zakątki Berlina, a potem oddalał się, płynąc? Nic tu nie trzymało się kupy.

– To sprawa Krisu – orzekła Rupa.

Simon w końcu się skupił, dotąd bowiem właściwie nie śledził rozmowy.

– Krisu – powtórzył tępo Beewen. – Co to takiego?

– Prawo, sąd, kara.

– A Nanosz jest waszym katem?

– Tak, sędzią i katem. Przez stulecia było już wielu Nanoszy. Wykorzystują gadziów, karzą ich, a równocześnie wskazują nam drogę. To liksta, światło.

Simon pomyślał o Mojżeszu – prowadził Hebrajczyków, z których Egipcjanie uczynili niewolników. O Chrystusie, który przywrócił nadzieję Żydom cierpiącym pod panowaniem Cesarstwa Rzymskiego. Nic dziwnego, że Cyganie także mieli swojego Zbawiciela.

– Jakiś człowiek morduje dziś w Berlinie żony nazistowskich dygnitarzy – podjął Beewen. – Rozpruwa im brzuchy, żeby zabrać płody. Czy Nanosz mógłby postępować tak brutalnie?

– On jeden jest sędzią. Jego czyny są odbiciem grzechów, gadzio.

Kiedy Beewen siedział tak z przymkniętym okiem i kanciastą szczęką, wydawało się, że wchłania ten tajemny, niedostrzegalny, szalony świat. Może wreszcie odnajdzie w nim mordercę, którego ściga od tygodni. A może postrada rozum.

– Jakiś człowiek miałby więc to robić, bo naziści was sterylizują?

– Nie wiem, gadzio. Poza tym nie mówimy o człowieku, ale o Nanoszu.

- Dobrze. Ale to on teraz zabija, tak?
- Tak się u nas mówi.
- Skąd o tym wiecie?
- Nanosz jest jednym z nas. Informuje nas. Przekazuje nam wiadomości.
- W jaki sposób?

Wdzięcznym gestem ręki dała mu do zrozumienia, że tak to już jest.

- Głos Cyganów niesie się z wiatrem.

Beewen otarł twarz ręką i podjął, zniżając głos o oktawę:

- Toni powiedział, że znasz Nanosza.
- To prawda. Pochodzi z naszej kumpanii.
- Kto to?

Wydatne usta rozciągnęły się w uśmiechu.

- Nie mam powodu odpowiadać na to pytanie. Zemsta jeszcze trwa. Nanosz wyprowadził w pole nazistów. I naziści są teraz na kolanach. Mogą najwyżej przysłać do nas człowieka w czarnym mundurze oraz dwoje lekarzy.

- Skąd wiesz, że moi przyjaciele są lekarzami?

Znowu się uśmiechnęła. Zdawała się bawić ich umysłami jak szklanymi kulkami w zręcznych palcach, pozwalając – jak każda godna tego miana wróżka – by docenili jej moc.

A potem rzuciła, spoglądając na niego drwiąco:

- Toni mi powiedział.

Zaśmiała się dźwięcznie i szczerze. Ten śmiech znaczył tyle co: „Och, ci gadziowie, wszyscy tacy durni”.

Beewen uznał, że czas coś wyjaśnić.

- Odkąd zaczęły się te morderstwa, pojawiały się nowe tropy. Błądziliśmy, i to często, ale nie poddaliśmy się nigdy. Bez względu na potworności, jakich dopuszczają się naziści, trzeba położyć kres tym morderstwom.

- Dlaczego?

No właśnie, dlaczego? Ofiary były nazistowskimi gorgonami, zbrodniarkami wojennymi, choć wojna dopiero się zaczynała. Już myśl o tym, że Cyganie, niedotykalni Rzeszy, usytuowani na najniższym szczeblu drabiny społecznej, mogliby uderzyć tak wysoko i z taką siłą, u szczytu nazistowskiej hierarchii, była prawie miła, a w każdym razie pobudzająca. *Auge um Auge, Zahn um Zahn* – oko za oko, ząb za ząb.

Beewen miał tylko kilka sekund na znalezienie argumentu. Przełknął ślinę, grdyka poruszyła mu się nad kołnierzykiem. A potem zdecydował zagrać na emocjach.

- Jeżeli ten Nanosz naprawdę jest mordercą, to chcemy go zidentyfikować, zanim spowoduje, że to jego zabiją. Wasz mesjasz nie powinien kończyć na krzyżu.

Argument chyba zadziałał. Drabarni się wyprostowała, przeczesła włosy palcami, spychając ich czarny gąszcz pod czerwony diadem.

– Nanosz jest kobietą.

Wszystko zamarło. Simon nie wierzył własnym uszom. To targowisko aberracji nigdy się nie skończy!

– Możesz powtórzyć? – wydukał Beewen.

– Ma na imię Lena.

– Gdzie jest?

– Nie mam pojęcia.

– Przecież mówiłaś, że należy do waszej kumpanii.

– Odeszła bardzo dawno temu.

– Dokąd odeszła? Z kim?

Rupa pyknęła z fajki, wykrzywiając usta. Cokolwiek by jeszcze powiedziała, wszystko w porównaniu z tą sensacją wypadłoby blado.

– Z gadziem.

– Co?

– Nanosz musi żyć wśród gadziów, żeby móc ugodzić w samo serce. To jego ofiara. Musi pobrudzić sobie ręce. Musi stać się wrogiem.

Simon delectował się rozmową na piaszczystej polanie, w świetle malinowym jak w bajce, nad brzegiem szemrzącej rzeki. Dołączyli do świata snów.

– Jak się nazywa? – Beewen zachowywał się jak w transie, zelektryzowany tym, co usłyszał. – Jak ona się nazywa? – powtórzył głośniej.

– Już ci powiedziałam. Lena.

– Została przy tym imieniu?

– Nie. A my nadaliśmy je noworodkowi, kiedy odeszła.

– I nie masz pojęcia, jakie teraz nosi imię?

– Nie. Teraz żyje w świecie gadziów, w świecie bogatych. I mści się za nas, gadzio. Trzeba ją zostawić w spokoju. Dokonuje swego dzieła.

Ten nowy trop, pod wieloma względami będący istnym obłędem, był też fascynujący. Należało wyobrazić sobie Cyganke, która przeszła poważną przemianę fizyczną. Należało przełknąć fakt, że jakaś Cyganka umie czytać i pisać, no i jada nożem i widelcem.

Ale jak Lena/Nanosz mogłaby zbliżyć się do Dam Adlonu, elity berlińskiej społeczności? Czy została służącą? Czy wróżyła im, czytając z ręki? Czy sprzedawała im amulety?

Nie. Simon czuł to, co zapewne czuł też Beewen – Lena jako gadzio osiągnęła dużo więcej. Udało jej się przeniknąć w ich szeregi, zrównać się z bogatymi, kulturalnymi

kobietami.

Rupa jakby czytała w ich myślach. No cóż, była przecież jasnowidząca.

– Nanosz ma pewną drabę.

– Moc?

– Tak. Może stać się niewidzialny.

Beewen spłoszył aż po szyję nad kołnierzykiem. Tego było już za wiele. Zaczął się podnosić, ale Rupa chwyciła go za nadgarstek. Jej ciemne palce pocięte niebieskimi żyłkami przypominały korzeń wyłaniający się spod ziemi.

– Posłuchaj – rozkazała. – Nanosz cierpi na pewną chorobę.

– Jaką?

– Tego nie wolno mi powiedzieć, to *mahrime*.

– Co to ma wspólnego z jej mocą?

– Ta choroba jest jej mocą. To ona czyni ją niewidzialną, rozumiesz?

Beewen z pewnością miał ochotę wrzasnąć „nie”, Simon na jego miejscu właśnie to by zrobił. Ale nazista nie zamierzał się poddać.

– Niemcy od dziesięcioleci was spisują. Jesteście zatrzymywani, zamykani w więzieniach, musicie podawać swoją tożsamość.

– To prawda.

– Naziści wykorzystali kartoteki, żeby was lokalizować i deportować.

– Ty jesteś nazistą, więc sam wiesz najlepiej.

– Czy twoja kumpania została spisana?

– Wielokrotnie, gadzio. Pod nazwiskiem Wana.

– Za czasów Leny?

Znów przywołała na twarz uśmiech, jak wkłada się ponownie marynarkę albo sweter – jesienne powietrze robiło się chłodne, a stare historie już nie ocieplały atmosfery.

– Jeśli chcesz, możesz jej szukać w ten sposób, ale to nic nie da. Lena już nie jest Leną.

Beewen wstał. Simon poszedł w jego ślady, Minna też. Żadne z dwojga psychiatrów nie otworzyło ust – w końcu sztuka milczenia nie była im obca. Należało pozwolić mówić.

„To” musiało wyjść.

Nawet jeśli dziś prawda wydawała się nierealna.

Do Berlina dotarli nocą. Beewen jechał bez przerwy, zatrzymując się tylko po to, żeby rekwirować benzynę, kiedy zachodziła potrzeba. Żadnego postoju, żadnego odpoczynku. Musieli jak najszybciej wrócić do stolicy. Zostawili Toniego z Wanami. *Oby Bóg miał go w opiece.*

Teraz mieli nowy priorytet – zidentyfikować Lenę Wanę. Odkąd zaczęła się ta historia, nigdy nie brali pod uwagę, że mordercą mogłaby być kobieta. A jednak ta hipoteza oznaczała rozwiązanie wielu zagadek. Na przykład tej, jak morderca mógł zbliżyć się do Dam Adlonu i nakłonić je do spaceru po Tiergarten czy parku Köllnischer. I dlaczego w dniach morderstw nikt nie widział żadnej z ofiar w towarzystwie mężczyzny.

Przez dziesięć godzin podróży powrotnej Beewen wciąż o tym rozmyślał. Marmurowy Człowiek był kobietą. Postacią pół fantastyczną, pół realną, która zdołała przeniknąć do kręgów nazistowskiej elity. Jak? Kiedy? Pod jakim nazwiskiem?

Miał tylko jej cygańskie nazwisko – Lena Wana – zapewne spisane w latach 1920–1930.

Słyszał o Rassenhygienische und bevölkerungsbiologische Forschungsstelle, Ośrodku Badań nad Higieną Rasową i Biologią Populacji zwanym RHF, działającym pod kierunkiem doktora Roberta Rittera. Kolejny nazistowski absurd – pseudonaukowy instytut, który jak zwykle mnożył tylko kłamstwa i zbrodnie.

Tyle że Ritter skupił się na skrupulatnym spisie Cyganów w Niemczech. Wysyłał zespoły w różne strony kraju, sprawdzał rejestry w ratuszach, komisariatach, kościołach, by wzywać każdą cygańską rodzinę na najbliższy posterunek. Rozpoczął tworzenie drobiazgowej kartoteki, w której odnotowywano nazwisko, dane o karalności, pobierano odciski palców, wykonywano zdjęcie antropometryczne. Czasami dodawano „pomiar rasowe”.

Te archiwa, wzbogacone o dane z Zigeunerzentrale, Głównego Urzędu do spraw Cyganów mieszczącego się w Monachium i prowadzącego podobne prace od schyłku XIX wieku, zawierały informacje o ponad dwudziestu tysiącach osób.

W Berlinie Beewen natychmiast pojechał do biur Gestapo – o północy nie zastał ani szczura w tej największej szcurzej norze miasta – i w ciągu kilku minut znalazł to, czego szukał. Archiwum RHF znajdowało się w oddzielnym budynku, parę kroków od Prinz-Albrecht-Straße 8.

Cel: przeglądać tysiące kart, aż znajdzie dane Leny Wany. Nawet jeśli zmieniła nazwisko, poznają przynajmniej jej twarz i kto wie, może jakieś istotne dane, które pozwolą ją pojmać.

Archiwum, prosty betonowy budynek, było całkiem nowe. Na szczęście główny archiwista nocował na miejscu, w pokoiku przylegającym do sali dokumentacji. Obudzony w środku nocy, nie okazał irytacji. Wręcz przeciwnie – chyba nawet się ucieszył, że ktoś nareszcie zainteresował się tymi papierzyskami, choćby o tak dziwnej porze.

Prowadząc gości przez budynek, wyjaśnił, że przechowuje się tu wszystkie materiały archiwalne dotyczące *Untermenschen* (podludzi): Żydów, Słowian, homoseksualistów, Cyganów... Wszystko, co nie było aryjskie albo nie spełniało kryteriów dobrego obywatela w Niemczech, skatalogowano w tym budynku.

– Czego dokładnie pan szuka?

– Kart ze spisów Cyganów z lat, powiedzmy, tysiąc dziewięćset dwadzieścia do trzydzieści pięć.

– Żaden problem. Z jakiego regionu?

– Breslau i okolica. Cała prowincja dolnośląska.

– Chodźmy! – rzucił archiwista, zacierając ręce, jakby chciał się rozgrzać.

Szli pomiędzy rzędami regałów, nad którymi paliło się mleczne światło neonowe. To tu powstał istny mur teczek, segregatorów i kartonowych półek zamkniętych za kratami. Beewen się spodziewał, że będzie musiał przeglądać setki nazwisk i liczb aż do świtu, ale był kiepski z rachunków, a wyobraźnia czasem płatała mu figle.

Ich poszukiwania ograniczały się do zaledwie kilku tysięcy dokumentów, które mieściły się w dziesięciu kartonach wielkości pudła na cylinder.

Archiwista przeniósł je na duży stół.

– Gotowe. Życzę wytrwałości, Hauptsturmführer. Proszę mnie powiadomić, kiedy pan skończy.

Zabrali się do pracy. Wyciągali stosy dokumentów i uważnie je czytali. Beewen nie chciał już dłużej rozmyślać. Kolejny podejrzan. Kolejne podejrzenia. Fakty, które się zgadzały, fakty, które do niczego nie pasowały. A przede wszystkim ta baśniowa legenda, która ani trochę mu się nie podobała.

A teraz szukali Cyganki, która się wcieliła – nie wiadomo jak – w Nanosza, a potem przeniknęła do kręgów śmietanki towarzyskiej Berlina, żeby skutecznie ugodzić przeciwników. *Zobaczmy.*

Cioban Levna.

Luca Kendji.

Rotar Plamen.

Zidar Saip.
Patakia Volkia.
Komi Geza.
Yalçin Dritta.
Rus Khalil.

Nazwiska nie były ułożone w porządku alfabetycznym ani według rodzin czy kumpanii, musieli więc przeglądać wszystkie dokumenty w nadziei, że trafią na nazwisko „Lena Wana”.

Beewen uważnie przyglądał się zdjęciom, które znajdowały się w większości akt. Po raz setny powiedział sobie, że cała ta historia jest absurdalna. Jak łączyć te smagłe gęby, twarze pokryte bliznami, zmarszczkami, krostami z gracjami z Klubu Wilhelma? Nawet jeśli ich uroda była kłamliwą zbroją, za którą kryły się mroczne umysły i okrutne serca, to one były ideałem Berlina. Jak kobieta wychowana w śląskim błocie mogłaby wspiąć się na ten szczyt?

Beewen patrzył na przesuwane się pod jego palcami ciemne twarze, na ubrania tak słoneczne, ale w strzępach, na zbyt ciężkie kolczyki, które deformowały uszy. Dla takich kobiet nie było miejsca w hotelu Adlon.

Nawet gdyby sobie wyobrazić...

Nagle zamarł. Z tekturowej teczki wyłonił się portret, który był jak grom z jasnego nieba, jak cud boży.

Beewen nie musiał nawet czytać nazwiska – wiedział, kim jest osoba na fotografii. Drabarni powiedziała: „Choroba jest jej siłą”.

Teraz miał przed oczyma tę chorobę. Uderzała ze zdjęcia jak oczywistość, ale i jak potworność. *Choroba jest jej siłą. Pozwala jej być niewidzialną, rozumiesz?*

Teraz już wiedział, co miała na myśli czarownica. Ułomność Leny Wany stanowiła atut w nazistowskim świecie i najlepszy sposób, by stać się przezroczystą.

Bo Lena nie miała ani czarnych włosów, ani ciemnej skóry.

Nie miała kasztanowych oczu ani gęstych brwi.

Lena Wana była albinoską.

Nawet na zdjęciach dawało się dostrzec jej chorobliwą delikatność. Skórę miała bledszą od welinu, włosy tak jasne, że wydawały się białe. Strach było patrzeć na tę porcelanową buźkę, żeby jej nie skruszyć.

I nagle wszystko stało się jasne w blasku tej delikatnej istoty: Lena Wana, czystej krwi Cyganka, z pewnością bez najmniejszego trudu wtopiła się w środowisko Dam Adlonu. Była blondynką jak gorgony z Unter den Linden. Była równie subtelna jak Margarete Pohl czy Greta Fielitz.

I o wiele piękniejsza.

Ta istota – Nanosz, liksta, „światło”, błogosławione niechaj będzie jej imię – zaprzyjaźniła się z Damami Adlonu, a we właściwej chwili wciągnęła je w zasadzkę.

Kiedy Beewen w końcu się odezwał, nie poznał własnego głosu:

– Znalazłem ją.

Simon, także zajęty poszukiwaniami, podszedł.

– Widziałeś ją kiedyś? – spytał gestapowiec.

Ujrawszy fotografię, Simon zrobił się bledszy od nastoletniej albinoski. Krew gwałtownie odpłynęła mu z twarzy, jakby wchłonął ją wir przerażenia i osłupienia. Zdołał tylko wydukać:

– Tak, znam ją. Nazywa się Magda Zamorsky.

Minna von Hassel znała się na pięknych domach. Poza willą w stylu Bauhausu, w której dorastała, poza rezydencjami na wyspie Sylt, w dolinie Łaby i na stokach Großer Arber, poza dworem wuja Gerharda, poza imponującymi posiadłościami przyjaciół von Hasselów widziała ich sporo. Ale nigdy nie była w rezydencji podobnej do zajmowanej przez Magdę Zamorsky.

Był to prawdziwy zamek. Nie żadna rezydencja, w jakich lubowali się germańscy monarchowie i arystokraci od schyłku XIX wieku, ale potężna forteca z kamienia, z blankowaniem, strzelistymi wieżami i głębokimi bramami. Bastion przypominający więzienie albo twierdzę, roztaczający w ciemnościach czerwony blask murów. „Dom” Magdy był niczym krwawy okręt sunący po falach nocy.

Budowla w sercu dzielnicy Dahlem (kilka ulic od willi Minny) wznosiła się w głębi parku – wcale nie tak dużego. Był to raczej półdziki ogród ze stawem, którego wody obmywały mur obronny, otulając go niczym ciepła peleryna z mchu i gałęzi.

Zaparkowali przed ogrodem i ruszyli szarą zwirową drogą odbijającą blask księżyca. Zamek spał snem ciemnych cegieł. Oświetlone było tylko jedno okno, na pierwszym piętrze. Weszli wszyscy troje po schodach prowadzących do drzwi głównych. Za ich plecami szpaler pinii zdawał się obserwować każdy krok intruzów z ciekawością i wrogością. Gdzieś nocne zwierzę wydało głos jak zgrzyt łopaty uderzającej o skałę.

Drzwi nie były nawet zamknięte. Wślizgnęli się do środka. Mimo wszystko mieli nadzieję, że schwytają wroga. Marmurowego Człowieka. Nanosza. Delikatną białowłosą morderczynię.

Surowość zewnętrznej architektury tutaj trochę łagodniała. Jak u wuja Gerharda, w holu posadzka była z marmurowych płyt, schody wznosiły się dwoma skrzydłami ku piętrům.

Po podłodze poniewierały się bagaże. Księżna Zamorsky szykowała się do wyjazdu. Już mieli ruszyć jednymi lub drugimi schodami, kiedy Minna ich powstrzymała gestem i wskazała uchylone dwuskrzydłowe drzwi do salonu. Żaden z mężczyzn chyba nie rozumiał. Bez słowa tam się skierowała.

Po prawej, za kanapami i stolikami, ujrzeli stare zbroje. Na wprost – mundury na manekinach dumnie dawały im odpór szeregiem kaftanów, kurtek, szabli i mieczy. Można by pomyśleć, że lada chwila dojdzie do bitwy pomiędzy tymi wszystkimi ubiorami wojowników, zapewne noszonymi niegdyś przez członków rodu Zamorskich.

Minna podeszła, by przyjrzeć się mundurom, które nawet w półmroku prześcigały się świetnością w tym wielkim, martwym salonie. Nie знаła się na tym, potrafiła jednak odróżnić plastron arkebuzera od munduru napoleońskiego oficera. W tej wędrówce przez wieki doszła do munduru Gruppenführera SS – najwyraźniej w chwili zagubienia ten książę rodem z Polski znalazł czas, by zostać generałem.

Szybko sprawdziła pewien szczegół i o mało nie krzyknęła. Zawieszona na srebrnym łańcuszku z orłami i runami SS pochwa była pusta. Kordzik zniknął. Beewen i Simon, którzy szli za nią, dali jej znak, by zawróciła. Kiedy jednak pokazała im pas mundurowy, dosłownie skamienieli.

Znaleźli. To naprawdę był już koniec. Dotarli do jaskini mordercy, do jego jakże zaskakującej kryjówki, do tego bastionu z innych czasów, który chronił samotną księżnę.

Zawrócili do holu i gęsiego po cichu weszli na piętro. Korytarz niczym ich nie zaskoczył: ciemnoczerwone tapiserie wyściełały mury, na których zawieszono dawną broń i trofea myśliwskie. W tej ponurej scenografii jakby wyjętej z krwawego snu myśliwego drzwi z ciemnego drewna przeżyły się niczym wartownicy.

Znalezienie apartamentów Magdy Zamorsky nie było trudne – tylko spod jednych drzwi sączyła się smuga światła. Podeszli, popatrzyli na siebie, niewiele brakowało, by zapukali i czekali na zaproszenie.

Ale nie teraz. Absolutnie nie teraz.

Beewen, który jak przystało na dobrego nazistę, nie zdjął skórzanych rękawiczek, zdecydowanym gestem chwycił gałkę i obrócił ją. Nie minęła sekunda, a wszyscy troje znaleźli się w pokoju nieco zaskoczeni światłem – przytłumionym, a jednak bardzo silnym. To zimne światło wyostrzało każdy szczegół jak lampa w sali sekcyjnej: tapetę w kwiaty, toaletkę art déco, mięsisty dywan z różowymi motywami. Jak sypialnia nastolatki.

Księżna – albo Cyganka, jak kto woli – siedziała na łóżku w koszuli nocnej i w grubym swetrze, z kolanami podciągniętymi pod brodę. Dwie lampki nocne po obu stronach szerokiego łóża oświetlały ją jak na scenie.

Tuliła do siebie poduszkę i płakała rzewnymi łzami. Jej twarz lśniła w świetle niczym białe oblicze marmurowego posągu w deszczu.

Pewien szczegół wywoływał uśmiech, a nawet rozczulał: księżna miała na nogach grube męskie skarpety.

– Zastanawiałam się, czy przyjdziecie, zanim wyjadę...

Simon zbliżył się do niej o krok, jakby przejmował teraz inicjatywę. Minna nie wiedziała, do czego między nimi doszło, ale widziała ich niedawno w parkowej

szklarni zasnutej parą. Simon kochał tę pasażerkę snów, tę furię z cienkim, zabójczym kordzikiem. Albo był bliski zakochania się w niej.

– Magdo... – wyszeptał.

Uciszyła go skinieniem kapryśnej księżniczki, potem otarła twarz poduszką.

– Mam na imię Lena. – Pociągnęła nosem. – Lena Wana. Magda Zamorsky to imię i nazwisko, które dał mi Dziadzio.

Simon skinął głową – wydawał się zarazem wierzyć i nie wierzyć w prawdziwość tej chwili.

– Kim jest Dziadzio? – spytał głosem, który brzmiał jak echo.

– To Stanisław. – Magda zrobiła zalotną minkę, nawijając pasmo białych włosów na palec. – Książę Zamorsky. Magnat wywodzący się z polskiej szlachty. Jak mówią, potomek Sarmatów, starożytnego ludu scytyjskiego. Dziadzio. Mój kochanek. Mój mąż.

Simon odkaszlnął, żeby oczyścić gardło, a może obudzić się z koszmaru.

– Dlaczego tak go nazwałaś?

– Mój mały Simonie, zastanów się: różnica wieku między nim a mną to pięćdziesiąt dwa lata...

– Opowiadaj, Leno – odparł. – Chcemy poznać całą historię i zaklinam cię, o niczym nie zapominaj. My cię nie sądzimy. To ostanía szansa, by twoje słowa dotarły do ludzi.

– Urodziłam się z liścia i z podmuchu – zaczęła spokojnym, niemal obojętnym głosem – z osunięcia ziemi i turkotu wozu. Przyszłam na świat jako Cyganka, Lowara. Przyszłam na świat nad brzegiem rzeki pod Krzeszowem, w okolicy Kamiennej Góry na Dolnym Śląsku. Ojciec sprzedawał konie, matka zbierała lipę, lajkę, szipkę... Po waszemu mówi się lipa, rumianek, dereń... Nikt nigdy nie mówił o mojej... odmienności, ale ludzie patrzyli na mnie albo z obawą, albo z uwielbieniem. Szybko zaczęli nazywać mnie liksta, światło, a ja już wiedziałam, że moim przeznaczeniem jest zostać słoneczną drabarni, białą wróżką.

Simon stał przy łóżku wpatrzony w piękną Niemkę, którą poznał wśród innych Niemek. Taka uroda wśród Cyganów? Tak, to było niezwykle...

Lena nie była blondynką, lecz białowłosą. Jej skóra nie była blada, lecz przejrzysta. Jakby miała się zaraz rozedrzeć, pokazywała delikatną siatkę żył na skroniach, policzkach, czole. Jej oczy nie były po prostu niebieskie, lecz inkrustowane szarymi okruchami, które wyglądały jak garść drobniutkich, lśniących diamentów.

– Pewnego dnia książę Zamorsky postanowił zapolować na naszej ziemi. Właściwie ziemia należała do niego. Polowanie było jego pasją. Gotów byłby zapolować na własne dzieci, gdyby uciekły do lasu. Jednak Dziadzio nie miał dzieci. Miał tylko psy. Niezrównaną, bezlitosną sforę, którą puszczał na zwierzynę. Kiedy dowiedział się o naszej kumpanii, uznał, że zabawnie będzie zaszczuć wystraszonych smoluchów. Były ofiary śmiertelne. Wiele ofiar. A wśród nich mój ojciec i matka. I nie zginęli od czystego, celnego strzału myśliwego, tylko rozszarpani przez psy. Ludzie potracili rozum ze strachu... Całe rodziny zamienione w bebechy rozwleczone po zielonej trawie. Książę Zamorsky szybko znudził się nową zwierzyną, zbyt powolną, zbyt przewidywalną. Tych, którzy przeżyli, zamierzał przepędzić poza swoje terytorium, gdy nagle ujrzał światło. Dziewczynkę, która lśniła mleczną bladością w tej gromadzie czarnuchów, okruch zwierciadła. Mnie. Najpierw mnie zgwałcił, miałam dwanaście lat, potem mnie kochał, a ja nadal miałam dwanaście lat. Nadał mi inne nazwisko i zamknął w naszym zamku właśnie tu, w Dahlem. To było jak opowieści gadziów, jak baśnie, które opowiadacie swoim dzieciom, żeby napędzić im strachu, a może nauczyć je marzyć, nie wiem. Przeżywałam taką baśń dzień po dniu i wcale się nie bałam. Od tamtego polowania byłam martwa. Umarłam, gdy umarli moi rodzice. Dziadzio nauczył mnie wielu rzeczy, także niemieckiego. Zatrudnił nauczycieli i trenerów. Odebrałam doskonale wykształcenie. A nocą było mi dane czuć jego brudne łapy

o czarnych paznokciach. Czasem podróżowaliśmy. Wtedy były muzea, restauracje, a nocą wciąż to charczenie starzejącego się samca. Nigdy nie miałam mu tego za złe. Przeciwnie, było mi go żal. Nieszczęsny stary człowiek pozostawał niewolnikiem żądz i wszystkich mrocznych sił, które nie chciały w nim zagasnąć. Jego ciało... Boże. Było jak stara powłoczka, spod której sterczały kości, jakby pod zwiotczającymi mięśniami szkielet już niecierpliwie przestępował z nogi na nogę... Moja udręka nie trwała długo. Kiedy skończyłam piętnaście lat, nie był już w stanie ze mną sypiać. Lubił tylko myśleć o tym. Lubił patrzeć na mnie nagą, pieścić mnie, a kiedy był w bardzo dobrej formie, dawać mi rozkosz. Ale on, dobry Boże... Jedyne, co w jego ciele zachowało twardość, to żebra i szczęki...

Simon starał się zapamiętać każde słowo. Rozkładał źródło zła na czynniki pierwsze, prowadząc błyskawiczną psychoanalizę. Dostrzegał też, słuchając słów Magdy, wiele nieprawidłowości fizycznych. Matowe smugi na jej włosach, szary cień – prawie jak zaćma – na jednym z oczu, niezdrową, anemiczną karnację. Wszystko, co wydawało mu się tak niewymownie czyste i zgodne z nieosiągalnym ideałem, teraz sygnalizowało chorobę. Niezwykły blond wynikał z braku melaniny, z wady fizjologicznej. Piękno Magdy było wypaczeniem natury.

– Byłam świetną sportswomenką. Tenis, jazda konna, a przede wszystkim pływanie. Jako siedemnastolatka o mało nie trafiłam do reprezentacji narodowej. Dziadzio wszędzie się mną popisował. Przedstawiał mnie jako swoją cioteczną wnuczkę z Breslau, którą wziął pod swe skrzydła. W rzeczywistości byliśmy już małżeństwem. Grałam w tę grę. Nie miałam wyboru. Ale mimo białej skóry i blond włosów, mimo nowego nazwiska i niemieckiej edukacji ani na sekundę nie zapomniałam, kim jestem. Cyganką z Kamiennej Góry, Lowarą, która jeździła konno, zanim nauczyła się mówić. Moja młodość była jedną wielką chorobą i nie mówię o albinizmie. Nie mówię nawet o potrzebach seksualnych mojego biednego Dziadzia. Mówię o tym bluźnierstwie, o ciągłym kłamstwie. Na uniwersytecie... studiowałam medycynę... w klubach sportowych, na przyjęciach wszyscy zachwycali się moimi włosami, moją urodą. Ale to było, jakby mówili o kimś innym. W głębi ducha pozostałam Cyganką, niepiśmienną koczowniczką. Miałam tylko jedną obsesję: odnaleźć swoją prawdziwą rodzinę, rozbudzić czarną krew pulsującą pod bladością, która była uzurpacją. Aż w końcu wpadłam w depresję: przerwałam studia, skończyłam ze sportem, z życiem towarzyskim. Zaczęłam się okaleczać. Przestałam jeść. Próbowалаm się zabić. Żeby oderwać mnie od czarnych myśli, Dziadzio wyświetlał mi filmy: *Asfalt*, *Biały demon*, *Błękitny anioł*, *Wiktor i Wiktoria*, *Duch z przestworzy*... Ten ostatni doprowadzał mnie do szaleństwa, byłam przerażona, ale i zafascynowana istotą z kosmosu. Kiedy pogrążasz się w depresji, twój umysł fiksuje się na szczegółach, które się rozlewają

i wypełniają cały twój mózg. U mnie tę rolę odegrała maska Ducha. Wmówiłam sobie, że gdybym mogła mieć tę twarz, uleczyłabym się ze swego cierpienia. Stając się Duchem, znalazłabym wreszcie spójność w moim błędzeniu. Poszłam do studia Babelsberg, dowiedziałam się, że maskę zniszczono. Znałam Kurta Steinhoffa. Podał mi nazwisko i adres artystki, która ją wykonała. Spotkałam się z Ruth Senestier i zaproponowałam jej dużą sumę za odtworzenie maski. Pieniądze jej nie obchodziły. Chciała czegoś innego. Tyle razy spałam ze starym księciem z klapniętym fiutem, dlaczego więc miałabym nie iść do łóżka z kobietą? Ruth oszalała na moim punkcie. Zrobiła odlew mojej twarzy, potem techniką galwanoplastyki wykonała metalową maskę. Dokładną replikę filmowej. I wreszcie pomalowała ją, żeby nadać jej wygląd marmuru. Kiedy mi ją wręczyła, przekłęłam ją i uciekłam. Potem umarł Dziadzio. Na galopujące zapalenie płuc. Było to w trzydziestym siódmym. Zabił moich rodziców, zgwałcił mnie, zniewolił, zniszczył, ale był moją jedyną rodziną. Bez niego byłam nikim. Zamknęłam się w sali kinowej i całymi dniami oglądałam *Ducha z przestworzy*. Nocami wychodziłam w masce i zabijałam psy Dziadzia. Te psy, które pożarły moich rodziców. Zjadałam je na surowo, piłam ich krew, czułam, że odżywam. Na takiej diecie wpędziłam się w chorobę. Trafiłam do szpitala, odżywiano mnie kroplówkami. Kiedy wróciłam do zamku, ludzie mi wyjaśnili, że odziedziczyłam cały majątek Dziadzia. Stałam się najbogatszą kobietą w Berlinie, ale nic mnie to nie obchodziło. Podczas hospitalizacji zgubiłam gdzieś maskę. Nie mogłam już się chronić. Poszłam do Ruth Senestier, żeby zrobiła mi nową. Odmówiła. Pobiłyśmy się. Nienawidzę homoseksualistów. Bałam się, że znów się załamie. Wtedy pomyślałam o swoich, o Cyganach ze Śląska. Musiałam odnaleźć swoją kumpanię, braci Cyganów, którzy wiedzą, jak mi pomóc. Powitali mnie jak Czarną Madonnę. Wszyscy myśleli, że nie żyję. Zamieszkałam przy nich. Polska księżna, królowa Berlina, która chroni się u hodowców koni i żyje pod gołym niebem... To spotkanie z Wanami ocaliło mnie. Odzyskałam siły. Pozbierałam szczątki mego ducha i poskładałam je na nowo. Tak naprawdę ten spokój był pozorny. Nocą powracały sceny, które mnie dręczyły: rozszarpani rodzice, polowania Dziadzia doprowadzające moich bliskich do obłądu... Zanim zostałam uprowadzona, widziałam straszną scenę: jeden z moich braci usiłował przepłynąć się przez jezioro, żeby uciec przed myśliwymi. Dziadzio ruszył za nim w pościg łodzią i zadźgał go sztyletem. Wbił mu go w szyję, w plecy, a brat nie umiał nawet pływać... Wróciłam do rodziny Wana i wszystko to wynurzało się z zakamarków mojej pamięci, zalewało mnie. Ale było jeszcze coś. Wokół kobiety szeptały o jakichś sekretach. Dzieci nie traktowało się już jak kiedyś. Czasami je pieszczono, czasami bez powodu odpychano. Mężczyźni milczeli. Ich twarze, dobry Boże, wyglądały jak wilcze doły kryjące niewypowiedziane, bezgraniczne cierpienie.

Ci ludzie skrywali głębokie rany. Czułam to, choć nie wiedziałam, jakie to rany ani kto je zadał. Rupa wszystko mi wyjaśniła. Dwa lata wcześniej Wana zostali przymusowo wysterylizowani. Znaleźli się wśród pierwszych ofiar kampanii higieny rasowej. Eksperymentowano na nich metody i techniki, które nie mieściły się w głowie. Języki się rozwiązały. Operacje wykonywano prawie „na żywca”, wrywano jajniki, wbijano w waginę igły, kastrowano. Wycie kobiet wzywających matki, kiedy wstrzykiwano im sodę kaustyczną... Historia jednego z naszych braci, którego operowano w znieczuleniu zewnątrzoponowym i który leżąc na stole operacyjnym, widział, jak lekarz pokazuje kolegom jego zakrwawione, dopiero co wycięte jądra. Drabarni nie zostawiła mi czasu na załamanie. Wyjaśniła mi, kim naprawdę jestem. A byłam Nanoszem, jedyną zdolną jeśli nie ocalić, to przynajmniej pomścić swoich. Byłam blondynką, byłam bogata, byłam Niemką. Mogłam przeniknąć do kręgu morderców i zabijać ich, poczynając od tego, kto kierował całą operacją, niskiego rudzielca, jowialnego i życzliwego, a przy tym niewyobrażalnie okrutnego. Bez trudu ustaliłam nazwisko tego potwora. Ernst Mengerhäusen. Spotykałam go na koktajlach. Był tak blisko, w zasięgu ręki. Mogłam go zabić w wybranym przeze mnie momencie. Ale odkryłam, że on też ma plan: sprawić, by rodziły się aryjskie dzieci zgodne z jego kryteriami. Zrozumiałam, że to najskuteczniejsza zemsta. On zniszczył nas, ja musiałam zniszczyć jego rasę... Wiecie, co było dalej. Zaczęłam się spotykać z Damami Adlonu, grałam kobietę światową, ustaliłam, które z nich dołączyły do programu lekarza, wiedziałam już, że to Susanne Bohnstengel i inne. Zbierając informacje o nich, uświadomiłam sobie, że nie są lepsze od samego Mengerhäusena. Postanowiłam je zabić, unicestwić tę generację aryjskich dzieci, istot zwanych wyższymi. Nigdy nie zdecydowałam się zgładzić samego Mengerhäusena, bo chciałam, żeby cierpiał, patrząc, jak jego plan obraca się wniwecz, jak „jego dzieci” giną... Musiałam działać, trzymając się zasad. Byłam przecież Nanoszem, aniołem zabójcą. A zanim Nanosz przystąpi do działania, nawiedza ofiary we śnie, istnieje między jawą a snem. Zaczęłam czytać opracowania naukowe o świecie onirycznym. I wiesz, co jest najzabawniejsze, Simon? Że twoje prace naprowadziły mnie na właściwą drogę. W studium o fazach snu wyjaśniasz, że wystarczy pokazać coś śpiącemu, gdy pogrąży się w śnie głębokim, żeby włączył to do swego marzenia sennego. Postanowiłam pojawiać się w snach ofiar, zanim je zabiję. Ale Nanosz musiał wyglądać przerażająco, żeby nie dało się o nim zapomnieć. Natychmiast pomyślałam o masce. W moim odczuciu zamykała ten krąg. Poszłam raz jeszcze do Ruth, musiałam się z nią znowu przespać, ale w końcu zrobiła mi nową maskę. Chciałam zostawić ją przy życiu, zorientowałam się jednak, że zacznie gadać. Dlatego musiałam ją także zgładzić. Reszta była już bardzo prosta. Wystarczyło użyć kordzika Dziadzia.

Damy Adlonu nie stawiały oporu. Ufały mi. Zachowywałyśmy się dyskretnie i to je bawiło, obiecywałam, że wyjawię im sekret. A kiedy już dokonałam ofiary z którejś z nich, rozbierałam się i wracałam, płynąc. W tym okresie wielokrotnie widywałam Mengerhäusena. Ja jedna potrafiłam dostrzec rozpacz na jego twarzy. Jego projekt, ten, który dojrzał w końcu w Lebensbornie, został zniszczony przez nieuchwytnego mordercę, któremu nie mógł nic zrobić.

W pokoju zapadła cisza. Nareszcie stanęli pod drzewem prawdy, ale zdawali się jeszcze czekać, aż razi ich grom. O ile dotąd ich nie poraził.

Milczenie przerwał Simon. Wierny swej obsesji, pragnął poznać wszystkie szczegóły.

– A afisz?

– Jaki afisz?

– W galerii Lipowej. Ten, który kupiłem i który mi ukradłaś.

Magda cmoknęła.

– Właściwie chciałam w ten sposób zrobić ci przyjemność. Rzeczywiście często przychodziłam, żeby na niego popatrzeć. Ale pod koniec lata już mnie nie obchodził. To ja byłam Duchem z kosmosu.

– Dlaczego mi go ukradłaś?

– Przyszłam głównie po to, żeby cię sprowokować, wejść do twoich snów. Ale mały Simon jest uparty. Musiałeś mnie ścigać w kanałach. To jedno z moich najlepszych wspomnień.

– A nieszpory? Dlaczego poradziłaś mi, żebym na nie poszedł?

– Ponieważ dreptaliście w miejscu. Obserwowałam was. Widziałam, jak tropicie tego człowieka ze zmasakrowaną twarzą. Nie byliście w stanie pojąć wielkości mojej zemsty. Od początku brakowało wam istotnego elementu: tego, że ofiary same były katami. Musiałeś zobaczyć na własne oczy tę mszę i fanatycznych parafian.

– A twoje wizyty w ostatnich dniach?

– Z tego samego powodu. Znów poszliście błędnym tropem Kurta Steinhoffa, który, trzeba przyznać, przystawał do profilu mordercy. Ale wciąż nie rozumieście istoty tych zabójstw: zemsty. Musiałam was naprowadzić na motyw. Gorgony gotowe dawać życie potworom. Mengerhäusen, który oczekiwał, że uroda nowych matek, ale też ich zepsute dusze pomogą tworzyć przyszłość Rzeszy i jej nowych pokoleń.

Beewen chyba miał już tego dość.

– To koniec, Magdo – powiedział. – Zabierzemy cię do...

Wybuchnęła śmiechem. Ten głuchy dźwięk pasował do jej pozbawionej barw twarzy i do zbyt ostrego światła lampek nocnych. Można było pomyśleć, że jest gotowa zniknąć na ich oczach w blasku światła.

- Nie możecie mi nic zrobić! Już od dawna jestem martwa!
- Nie uchroni cię to przed odpowiedzialnością za zbrodnię.

Te patetyczne słowa nie miały sensu w dziewczęcej sypialni kobiety owładniętej morderczym szałem.

Lena/Magda wyszeptała głosem nadęsanej nastolatki, wciąż nawijając włosy na palec:

- Zresztą przyszliście za wcześnie.
- Za wcześnie? – powtórzył Simon.
- Nie zakończyłam pracy.
- Chcesz powiedzieć, że...
- Została jeszcze jedna matka, tak. Projekt Mengerhäusena obejmował pięć mütter.

Ostatnia nadal żyje.

- Kto to?

Magda wsunęła rękę pod poduszkę, którą ciągle tuliła do siebie. Kiedy ją wyjęła, ujrzeni nazistowski kordzik. Odbicie światła przesunęło się po ostrzu niczym kropla rtęci.

- Ja.

Zanim Simon drgnął, Magda wbiła sobie ostrze między nogi. Tryskająca krew błyskawicznie zalała łóżko. Simon chwycił poduszkę, próbując zatamować krwotok, ale Magda przytrzymała jego rękę.

– Nie. – Przymknąwszy oczy tak, że Simon widział każdą z jej zbyt jasnych rzęs, wyszeptała: – Musisz dalej szukać, Tomciu Paluchu. Nie pojmujecie głębokiego sensu historii. Ważna jest tylko „operacja Europa”.

Simon otarł krew, którą miał na oczach, i stwierdził, że Magda Zamorsky, dawniej Lena Wana, nie żyje. Jeszcze raz otarł rękawem powieki, przekonał się jednak, że nie krew mąci mu wzrok, a łzy.

V

WSCHÓD

W listopadzie 1942 roku Franz Beewen, zagubiony gdzieś na Kaukazie, nie potrafiłby już powiedzieć, jak się tu znalazł. To wszystko było takie odległe. *Wspomnienia*. Śledztwo w sprawie Dam Adlonu w skali mikro (nikt nigdy nie poznał prawdy). I wojna w skali makro, zmiatająca wszystko na swej drodze. Obergruppenführer Perninken zachował się w sumie całkiem przyzwoicie, umożliwiając mu walkę, ale nie w Waffen-SS, bo Beewen nie chciał już słyszeć o SS, tylko w prawdziwej niemieckiej armii, w Wehrmachcie. Dzięki dawnemu dowódcy nawet awansował – przeszedł do Heer w stopniu Oberstleutnanta, podpułkownika.

W tamtym okresie Beewen nie wdawał się w szczegóły – co to, to nie – ale szepnął zwierzchnikowi:

– Zapewniam, że Magda Zamorsky to ostatnia ofiara tej sprawy.

Z tonu jego słów Obergruppenführer zrozumiał, że tym razem to prawda.

– A morderca?

– Zginął wraz z nią.

Sprawa zamknięta. W gruncie rzeczy ani Perninken, ani nawet „góra” – Himmler i spółka – nie byli zainteresowani szczegółami. W wojennym zamęciu mieli na głowie inne problemy, a jedna egzekucja więcej czy mniej nie robiła im różnicy. Ważne, żeby nie było więcej takich morderstw.

Franz od razu wyjechał na front w Polsce, potem do Holandii. Nazwy, mapy, bitwy. Nareszcie miał tę swoją wojnę. Jednak zatracił poczucie spójności swego losu. Chciał walczyć z Francuzami? *Schangels* byli tak żałośni, że przegrali wojnę, jeszcze zanim ją naprawdę zaczęli. Chciał pomścić ojca? Stary umarł, dusząc się niemieckim gazem. Nawet jego nienawiści podcięło skrzydła. Śledztwo w sprawie Dam Adlonu odmieniło jego system wartości.

Po pierwsze, przyjaźń. Brakowało mu Minny i Simona. Teraz mógł to już powiedzieć: od lata 1939 roku nie było dnia, by o nich nie pomyślał. Po drugie, inteligencja. To śledztwo miało tyle meandrów... Beewen rozsmakował się w rozmyślaniu. Choć zawsze starał się trzymać faktów, nauczył się cenić także snucie hipotez. Cóż, może stać go było na więcej niż walenie pałą, które było jego chlebem powszednim od wczesnej młodości.

Na polu bitwy stał się strategiem, rozmawiał jak równy z równym z dowódcami, proponował rozwiązania. A potem się cieszył, gdy jego pomysły wcielano w życie. Dla oficerów wojna to abstrakcja, gra krętowni i zakładów, za które w terenie płacą... inni.

Beewen poprawił mundur, przejrzał się w brudnym lustrze, a potem włożył długi skórzany płaszcz, czarny, z futrzanym kołnierzem. Wyszedł z kwatery. Dzień jeszcze nie wstał. Już z progu powiódł wzrokiem po posępnej okolicy. Jego ludzie spali na deszczu osłonięci tylko plandekami, w których nad nimi zbierała się woda. Plusk deszczu, którego krople rozpryskiwały się w kałużach, chrapanie żołnierzy, zawodzenie wiatru – każdy element miał swoje brzmienie... Tych ludzi sprowadzono do pierwotnego stanu zwierząt, a może nawet jeszcze głębiej – do stanu cuchnącej magmy. Tej nocy ważne było tylko jedno: nie zamarznąć. Żołnierze tulili się do siebie, a krew każdego z nich rozgrzewała cienką warstwę deszczu, która ich ze sobą zlepiała.

Oberstleutnant nie czuł ani odrobiny sympatii do swoich podkomendnych, bandy idiotów potulnych aż do śmierci. Mimo to z czasem zaczął im współczuć cierpienia i upodlenia. Niemieccy żołnierze byli łotrami, bez dwóch zdań. To oni wywołali wojnę, oni zburzyli ład świata, oni atakowali, łupili, niszczyli. Bojowi i odważni czy tchórzliwi i bestialscy, stali się plagą świata i ziemia musiała ich pochłonąć.

Ale ci prości żołnierze, którymi dowodził, nie wyglądali na łotrów. Ranni, zdesperowani, chorzy. Pod hełmami widział ich twarze: zielonkawe (dyzenteria), żółte (żółtaczką) albo włochate (nie wiedzieć czemu niedożywienie powodowało porost włosów). Ci chłopcy byli tylko mięsem armatnim, żaden nie miał szans wrócić do domu.

Oberstleutnant nie wiedział, gdzie dokładnie są. Łączność ze sztabem została zerwana. Mapy mocno się między sobą różniły. A ich własny zmysł orientacji na wiele się nie przydawał. Teraz już tylko Rosjanie byli dla nich punktem orientacyjnym. Beewen mógłby nawet powiedzieć, że jest im wdzięczny za to, że wciąż tu są, że atakują, umierają, odradzają się. Sowiecki wróg pozostał jedynym, na co mogli liczyć.

A reszta... Tylko te nazwy, które stale się myliły. Majkop, Krasnodar, Nalczyk, Mozdok... W Majkopie zeszłego lata odnieśli zwycięstwo – spodziewali się, że przejmą szyby naftowe, okazało się jednak, że przeciwnik je zniszczył. Szli dalej pośród czarnych gór, barbarzyńskich ludów, a tymczasem zima już spieszyła na spotkanie z nimi.

Zdarzali się jeszcze optymiści mówiący, że Niemcy panują nad całą Europą, od Francji po Wołgę, od koła podbiegunowego w Norwegii po pustynne tereny w Afryce Północnej. I to była prawda. Tysiącletnia Rzesza podbiła bezkresną przestrzeń życiową, na miarę swych ambicji, ale pewne oznaki nie pozwalały się łudzić. Rysy na wspaniałym obrazie były coraz liczniejsze i Beewen już od dawna czuł, że cuchnie to klęską.

Na północy, w Stalingradzie, żołnierze 6. Armii wdali się w walkę wręcz w samym mieście, które ich pochłonie. Z pomocą zimy sowieckie wojska zamkną ich tam jak lód

na jeziorze Pejpus germańskich rycerzy w XIII wieku.

Mimo dezinformacji, o której nie wolno było mówić, wiedziano też, że ponad sześć tysięcy kilometrów dalej alianci otworzyli nowy front w Afryce Północnej. Tam również klęska była gwarantowana. Śniegi Rosji, piasek pustyni w Maroku... Niemcy miały przeciwko sobie nie tylko aliantów, ale i naturę.

No i jeszcze oni – 1. i 4. Panzerarmee, armia pancerna, poszukiwacze czarnego złota, zdobywcy pól naftowych zagubieni na pustkowiu. Po letnich triumfach jesień patrzyła, jak grzęzną w lodowatym błocie Kaukazu. Na początku listopada zajęli Nalczyk, potem doszli do Władykaukazu, ostatniego etapu przed Groznym. Jednak wtedy Rosjanie ich wyparli i teraz tkwili tu, rozproszeni, ledwie żywi, niezdecydowani.

Rozkazy z góry były wciąż takie same: Atakować! Łatwo powiedzieć, siedząc sobie nad mapą w ciepłym sztabie głównym. Tutaj, pośród nieznanych gór, na trzaskającym mrozie, nic nie dało się zrobić. Nawet Rosjanie nie pojawiali się teraz na linii frontu, tylko czekali, aż Niemcy wyzdychają z zimna.

Już na Ukrainie Beewen musiał się zmierzyć z zamieciami śnieżnymi. Taki wicher potrafił wyrwać broń z ręki albo odmrozić dłoń, gdyby ktoś odważył się wysunąć ją na wierzch, żeby zapalić papierosa. Ale tutaj, w tych górskich korytarzach, było znacznie gorzej. Wiatr szturmował, podnosił czołgi i przewracał wozy, odrywał skały i wyrwał drzewa z korzeniami.

Beewen snuł się wciąż między swoimi ludźmi. Za granią bombardowanie chyba się nasiliło, ale trudno było powiedzieć, kto do kogo tam strzela. Daszek jego czapki był mokry od deszczu, nad nimi czarne chmury zakryły niebo i tylko te odległe błyski, światła śmierci, przypominały mu, że doszli do miejsca, gdzie nie ma już nadziei.

Prawdę mówiąc, przez te trzy lata jedna myśl, już obsesja, nie dawała mu spokoju. Damy Adlonu. Rozwikłał tę sprawę, nie miał co do tego wątpliwości. Magda Zamorsky, białowłosa Cyganka, była Marmurowym Człowiekiem. Słyszeli jej wyznania. Znali motyw, sposób działania, gniew. I choć wcale tego nie chcieli, unicestwili ją.

Pozostały tylko te ostatnie słowa: „Nie pojmujecie głębokiego sensu historii. Ważna jest tylko «operacja Europa»”. Tych kilka słów wciąż go niepokoiło. Co chciała powiedzieć Magda? Naziści zawsze nadawali planom ataku czy celom strategicznym groteskowe nazwy. Operacja Barbarossa. Operacja Fall Blau. Operacja Edelweiss. Jednak o operacji Europa nigdy nie słyszał. Czy dotyczyło to Francji? Skandynawii? Grecji? Jakiegoś innego kraju? A może chodziło o globalny projekt?

Prawdziwe pytanie było jednak inne. Jaki związek mógłby istnieć między operacją wojskową a śmiercią czterech – z Magdą pięciu – kobiet z Berlina? Różnica skali była ogromna. Megalomańskie plany Hitlera i mord na kilku niedoszłych matkach.

Przez te trzy lata wojny poznał wszelkie oblicza potworności i cierpienia. Pod tym względem był już opancerzony lepiej niż Panzerkampfwagen. Ale te słowa wciąż sprawiały mu ból: operacja Europa.

I oto wczoraj, kiedy oddalali się od Władykaukazu, przypadkowo natknęli się na inny pułk 4. Panzerarmee. Oficerowie uzgodnili, jakie podejmą manewry, i razem zjedli kolację. Wielkie słowo, bo zaopatrzenie już do nich nie docierało.

Właśnie wtedy, przy opowiadaniu anegdot, Beewen uzyskał informację, która go zaskoczyła. Coś, co nawet tu, w sercu wielkiego pustkowia, pozwalało mu wrócić do śledztwa w sprawie Dam Adlonu.

Wreszcie pojawił się samochód. Prosił o pojazd dyskretny, standardowy – jeden z wojskowych wozów, jakich setki przemierzały drogi od Kaukazu po Ukrainę: VW 82 Kübelwagen w kolorze khaki, ale tak pochłapany błotem, że wyglądał na bagiennie brunatno-szarozielony. O to właśnie chodziło.

Zgodnie z jego instrukcjami z tyłu umieszczono kanistry z paliwem i zamocowano karabin maszynowy przed fotelem pasażera. Zażądał też, żeby wzmocniono karoserię i uszczelniono drzwi, bo nie chciał na tym mroźnym wietrze zamienić się w lodowy posąg, zanim dotrze do celu.

Stanął przed nim adiutant.

– Oberstleutnant, wszystko przygotowane.

Beewen dla zasady sprawdził osie i dyferencjał – przysadzisty samochód doskonale trzymał się podłoża, nawet kiedy musiał jechać po błotnistym dukcie albo po wspomnieniu drogi.

– Oberstleutnant...

– Co takiego?

Jego adiutantem był młody chłopak z Monachium. Cerę miał tak wrażliwą, że teraz cały poczerwieniał, a jego zmaltretowaną przez mróz twarz pokrywały odmrożenia.

– Jeśli mogę coś powiedzieć... to nie pan powinien jechać z tym...

– Nie martw się. Wydałem rozkazy. Pod moją nieobecność nie zostaniecie bez dowództwa.

Beewen mimo wszystko uciekł się do kłamstwa – miał jakoby pilną wiadomość do przekazania innym jednostkom w innym rejonie. Zamierzał zostawić całe to gówno i nawet się nie zastanawiał, czy tu jeszcze wróci. Tak, będzie dezserterem. Tchórzem? Jak wszyscy. Ale on miał swoją stałą wymówkę: śledztwo.

Adiutant tylko mu zasalutował. Biedny chłopak, był delikatny jak kieliszek na cienkiej nóżce. Średnia wyliczona przez Beewena dawała mu najwyżej dwa dni życia.

Franz wsiadł do volkswagena i położył ręce na kierownicy. Poczł się, jakby ujął ster niewielkiego statku gotowego mierzyć się ze sztormami, by dotrzeć za horyzont, tam

gdzie można już dotknąć słońca.

Ruszył i wtopił się w ciemność. Udało mu się ukryć przed adiutantem, jaki jest podekscytowany. Teraz, sam pośród nocy, mógł dać upust radości, zaczynając tę ośmiusetkilometrową drogę. Samotną przeprawę przez front.

Przyspieszył, choć samochód podskakiwał na wybojach i rozchlapywał błoto. Czuł się niepokonany. Miał skarb, coś, co błyszczało w ciemnościach. Ważną informację, która rozgrzewała jego serce jak wszystkie ogniska świata.

– Odłamki pocisku. Rana klatki piersiowej, złamanie trzech kolejnych żeber...

– Biorę go – powiedziała Minna.

– Odłamki pocisku. Otwarte złamanie kości czołowej, krwotok na skutek oskalpowania...

– Zostawiamy.

Lekarz się pochylił i przełamał na pół nieśmiertelnik, który żołnierz miał na szyi. Część zostawała na miejscu, na łańcuszku, druga miała posłużyć do rejestracji zgonu. Cała twarz rannego była krwawą miazgą i lekarz, młody Rumun imieniem Constantin, z trudem odkleił kawałek blachy cynkowanej od tej lepkiej mazi.

Minna poszła już dalej. Żołnierze leżeli w błocie, niektórzy na noszach, inni na gołej ziemi u stóp na pół zburzonej cerkwi, która służyła tu za szpital czy raczej schron.

Zawsze gdy przyjeżdżał nowy transport rannych, młoda kobieta otulała się peleryną Wehrmachtu i dokonywała ponurego przeglądu wojsk. Wszelkie interwencje chirurgiczne trwające powyżej godziny były zakazane.

– Rany szarpane kończyny dolnej poniżej kolana.

– Bierzemy.

Z ostrożności amputuje kończynę powyżej stawu. Zabieg potrwa około trzydziestu minut. Zresztą odda tego pacjenta Rumunowi, który robił szybsze postępy w posługiwaniu się piłą do metalu niż w sztuce empatii.

– Głębokie obrażenia mięśni twarzy – mówił z silnym obcym akcentem. – Złamania kości szczękowych górnej i dolnej, kości jarzmowej, ścian dolnych oczodołów.

Widok niektórych rannych wciąż jeszcze był dla niej wstrząsający. Twarz rozdarta na pół... Na wysokości czoła czaszka się cofnęła, a łuki brwiowe wysunęły się do przodu niczym otwarta szuflada.

– Zostawiamy.

Pochyliła się nad następnym rannym i wtedy usłyszała brzęk nieśmiertelnika wpadającego do emaliowanej miseczki. Konającym ten dźwięk musiał zastąpić dzwony.

– Rozdarcie spojenia łonowego, krwotok...

Minna nawet nie spojrzała na ciało: z krocza nie zostało nic poza wnętrznościami w kałuży krwi. Można by próbować operacji ratującej życie, ale w szpitalu

z prawdziwego zdarzenia. Nie w ruinach kościoła, gdzie o aseptyce trzeba było zapomnieć, a operowało się bez znieczulenia.

– Zostawiamy.

Zatrzymała się na chwilę, żeby odetchnąć. Dzień dopiero się budził. Mrok zdawał się lepić do wszystkiego, nie chciał odejść. Był poniedziałek, 23 listopada 1942 roku. Minna o tym wiedziała, bo nosiła w kieszeni kalendarzyk, jakby zeszycik wydany przez markę piwa Löwenbräu. To była jej ostatnia więź z przemijającym czasem, z obrotami Ziemi. Tu, w tym chaosie trzewi do pozszywania i kości do obcięcia, dni kręciły się w kółko, ściągając człowieka na samo dno szaleństwa albo śmierci – do wyboru.

Minna nie poszła na wojnę, to wojna wdarła się w nią. Nie bardzo wiedząc jak, lekarka została zmobilizowana i w sierpniu 1940 roku trafiła do Belgii. Rok po sprawie Dam Adlonu. Potem była Dania – dość spokojna praca, bo leczyła lekko rannych i pełniła dyżury przy wojsku. Później, pod koniec roku 1941, wysłano ją na front wschodni.

Wtedy odkryła medycynę wojenną, tę prawdziwą. Brutalną chirurgię, codzienną rzeźnię bez podstawowych środków, bez dezynfekcji. Początkowo asystowała lekarzom praktykom przy taśmowych zabiegach, stopniowo zaczęła ich wyręczać. Najpierw amputacje, potem chirurgia trzewna.

Minna została chirurgiem i dzień w dzień uczyła się czegoś w rytmie narzucanym przez krwawą konieczność. Wieczorem ledwie miała siłę przeglądać książki, żeby ugruntować wiedzę. Ortopedia, chirurgia miękka, układ oddechowy, twarzoczaszka... Całymi dniami, całymi nocami Minna operowała, cięła, kroїła, zszywała. Uczyła się fachu, ratując ludziom życie i tracąc ich. Nie było nad czym rozmyślać. Jeśli ona czegoś nie zrobiła, nie zrobił tego nikt.

Najpierw wysłali ją do Smoleńska, potem do Dniepropietrowska, a w końcu wylądowała tu, na przedmieściach Stalingradu, gdzie na ołtarzu operowała rannych. Brodząc we krwi, w duchu dziękowała generatorowi prądu, który warkotem silnika zagłuszał wycie pacjentów i oparami benzyny zabijał smród surowego mięsa.

Operowała klatki piersiowe wciśnięte jak wyważone drzwi, rozerwane twarze, brzuchy kipiące płynami, jelita, które wypadały jak białe rury. Myślenie o tym wszystkim w kategoriach istoty ludzkiej byłoby nie tylko błędem, ale wręcz słabością. Musiała trzymać się schematów, modeli, traktować organizm ludzki jak mechanizm i próbować odnaleźć wszystko w szkarłatnej masie, którą jej dostarczano. Tylko tyle.

Kolejny błąd, którego trzeba się było wystrzegać – próby zrozumienia i oceny sytuacji na froncie. Kłamstwa, pogłoski, nieporozumienia... Tego było najwięcej i nic nie dawało się odsiać od prawdy. To i owo jednak do niej dotarło: po pierwszej porażce

w starciu z Moskwą Hitler skoncentrował się na Wołdze i na Kaukazie. Rzucając swe wojska w kierunku pól naftowych w rejonie Baku i Groznego, zdecydował równocześnie zaatakować Stalingrad, aby odciąć zaopatrzenie Rosjan na osi północ-południe. To, co miało być formalnością, stało się koszmarem dla żołnierzy toczących przez całe lato ciężkie walki uliczne.

Minna miała tylko jeden miernik wskazujący skutki tych skomplikowanych, często chaotycznych działań – napływ rannych. Sądząc po tym, jak zwożono ich tu ostatnio, jak ich liczba przerastała możliwości szpitala, wojska niemieckie pod Stalingradem były już niemal zdziesiątkowane. Po cichu mówiło się o odwrocie, o porażce, o klęsce.

– Uszkodzenie tętnicy szyjnej na odcinku szyjnym przez odłamki wciąż tkwiące w ranie...

Nagle wezbrała w niej wściekłość.

– Po co pokazujecie mi rannych w takim stanie?! Ile razy mam powtarzać! Marnujemy czas! Jakakolwiek próba zrobienia z tym czegoś wymaga sześciu godzin! Wykluczone, *Scheiße!* Idziemy dalej!

Otarła czoło rękawem – miała na rękach oblepione zakrzepłą krwią rękawice chirurgiczne. Usłyszała, jak kolejny nieśmiertelnik z brzękiem wpada do metalowej miseczki.

– Liczne rany jamy brzusznej, prawdopodobny krwotok z wątroby i śledziony.

Może dla równowagi, może ze zmęczenia zdecydowała wziąć tego rannego, choć operacja wymagała co najmniej dwóch godzin.

– Złamanie kręgów szyjnych na skutek wybuchu. Prawdopodobna kompresja kręgów C5, C6 albo C7... Odma płucna. Podejrzenie paraliżu całkowitego i postępującej asfiksji. Fala uderzeniowa...

– Następny.

Prawie nigdy nie myślała o Berlinie. Nawet nazwa tego miasta stała jej się obca. Minna tkwiła w tym bagnie jak pogrzebana żywcem. Bez przeszłości i bez przyszłości. Była tylko przytłaczająca teraźniejszość.

Zresztą niewiele miała do wspomnienia. O śmierci Magdy Zamorsky poinformowano zdawkowo. Minna prawie wtedy nie trzeźwiała. Dręczył ją ten ostatni obraz – Magda z rozsuniętymi nogami w pościeli, z kordzikiem ociekającym krwią. Zostawili ją tak, udając, że nigdy ich tam nie było, udając, że nie wysłuchali prawdy o tej sprawie. Jakby to wszystko wcale się nie stało.

Całymi tygodniami Minna nie ruszała się z domu. Beewen poszedł na front, jak idzie się popływać. Simon, który nie miał już ani domu, ani gabinetu, przyjmował pracę w domach wariatów i przychodniach coraz dalej na wschodzie.

Baronówna von Hassel była skończona jako psychiatra. Jej świat stracił sens. Nie wierzyła już w swoje posłannictwo, nie pasowała do nowych wymagań – teraz szukano raczej katów, egzekutorów. Toteż kiedy zaproponowano jej, żeby wyjechała na front jako lekarz bez specjalizacji, nie wahała się ani przez chwilę. Lepiej do czegoś się przydać, a przy okazji przestać tyle pić.

Wieczorami, kiedy nareszcie mogła sobie pozwolić na kilka godzin snu, przypominała sobie historię Magdy Zamorsky, małej Cyganki, która wzięła na siebie rolę okrutnego mesjasza całej społeczności, heroicznej kobiety, która dała się nawet zapłodnić perwersyjnemu hitlerowcowi, byle dokonać zemsty. No i było jeszcze to zdanie: „Nie pojmujecie głębokiego sensu historii. Ważna jest tylko «operacja Europa»”.

Przez trzy lata Minna próbowała zrozumieć te słowa, wiążąc je z działaniami wojskowymi Rzeszy. Nigdy nie słyszała o operacji Europa.

– Pani doktor...

Drgnęła: segregacja rannych dobiegła końca. Właściwie nigdy się nie kończyła, ale Minna miała dość pacjentów na pięć czy sześć najbliższych godzin.

– Czas zaczynać.

– Proszę wszystko przygotować. Zaraz wrócę.

Postanowiła najpierw wypić kawę. Od poprzedniego dnia nie miała nic w ustach. Wchodziła do cerkwi, kiedy zagadnął ją nieznajomy głos:

– Dzień dobry, Minno.

Odwróciła się i przez chwilę patrzyła niepewnie. Wśród sanitariuszy, noszowych i pielęgniarzy, którzy ciągle się tu kręcili, stał wysoki mężczyzna w ubłoconym czarnym płaszczu. Na czapce miał okulary motocyklisty, a jego twarz była cała białoczarna, jakby przechodził kolejno przez warstwy popiołu i śniegu.

– Nie poznajesz mnie?

Nie, nie poznała. Aż nagle, tak jak wyciąga się ciężką kotwicę z dna morza, przypisała do twarzy nazwisko. Franz Beewen. To była jego kanciasta twarz, jego przymknięte oko, rysy atlety. Postura olbrzyma, niepasująca do Berlina, tu nabierała innego wymiaru. Beewen pośród wojennej zawieruchy odnalazł swoje miejsce.

Podeszła bez słowa. Gestapowiec uśmiechał się do niej, ale ten uśmiech był daleki, jakby oddzielony trzema latami brutalności i makabry. Teraz już wystarczająco dobrze znała się na stopniach i na mundurach, żeby zauważyć, że nie nosi uniformu Waffen-SS – pod paltem widać było charakterystyczny kołnierz munduru Deutsches Heer, piechoty Wehrmachtu.

I od razu, choć nie miała do tego żadnych podstaw i wciąż nie mogła się nadziwić swojej naiwności, zaczęła sobie wyobrażać, że Kolos przeszedł przez linie frontu, pola

bitwy, linie wroga, by wyznać jej miłość. Nigdy nie przestał o niej myśleć i odnalazł ją, nie zważając na bomby ani trupy, odnalazł swą ukochaną. Opuścił swój pułk, przemierzał pola walki, szukał po szpitalach, by się z nią spotkać i poprosić ją o rękę.

Ale Beewen zdjął czapkę z włosów złocistych jak drożdżówka i patrząc na nią pałającymi oczyma, szepnął tylko:

– Znalazłem Mengerhäusena!

I zaśmiał się gardłowo.

- Przychodzą nocami.
- Gdzie?
- W moich snach.
- Mężczyźni?
- Nie. Raczej kobiety i dzieci.
- Kim są?
- To ci, których zabiłem, rozumie pan? Rozpoznają ich.

Einsatzgruppen.

Kiedy Simon Kraus został zmobilizowany i trafił na Ukrainę, do Winnicy, po raz pierwszy usłyszał tę nazwę. *Grupy operacyjne*. O jakie operacje chodziło? Naiwnie myślał, że to oddziały specjalne, komanda do zadań specjalnych. W pewnym sensie tak właśnie było, jednak ci ludzie nie walczyli. Ich zadaniem było mordowanie bezbronnej ludności cywilnej. Na niewyobrażalną skalę.

Te oddziały SS szły w ślad za Wehrmachtem i zabijały wszystko, co się ruszało. W pierwszej kolejności Żydów, ale też wieśniaków i ich rodziny, czyli tak zwanych partyzantów albo wspólników partyzantów. Zresztą to byli Słowianie. Nikt nie potrzebował podludzi na nowych niemieckich ziemiach.

- I co się wtedy dzieje? – podjął Simon.
- Znowu ich zabijam, rozumie pan? Tak samo jak za pierwszym razem...
- Czyli jak?

Simon Kraus zadał to pytanie *pro forma*, wysłuchał już setki takich opowieści. Esesman, który patrzył na niego wytrzeszczonymi oczyma, nie mogąc zapanować nad tikami nerwowymi, raczej bełkotał, niż mówił. Mógł mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat, oczy anioła, głowę amorka umorusanego smołą.

– Każemy im kopać dół długości dwudziestu metrów... – podjął. – Potem każemy im się rozebrać i zejść do tego dołu, rozumie pan? Muszą się tam położyć na brzuchu jeden obok drugiego, bardzo ciasno...

- Dlaczego?
- Żeby nie marnować miejsca, rozumie pan? Przedtem zabijaliśmy ich nad tym dołem, ale spadali byle jak... Teraz leżą porządnie... Strzelamy i sprowadzamy kolejną gromadę... Każemy... Tak samo jak poprzednim...

Simon słuchał tych morderców opisujących swoje niewyobrażalne czyny i musiał powtarzać sobie, że rozmawia z pacjentami. Potem pojawiały się inne szczegóły. Ci

ludzie przychodzili tu, żeby się wypowiedzieć, wyrzucić to z siebie. Tylko że Simon nie był księdzem, nie rozumiał i nie wybaczał. Dla takich morderców nie było wybaczenia.

– We śnie – ciągnął esesman – zmarli wracają. Są cali w popiele i w wapnie. Sypimy je do rowów, żeby za bardzo nie śmierdziało, rozumie pan?

Esesman wiercił się na krześle, wsunął ręce pod uda, żeby nie drżały, ale już wzdrygnięcia ramionami nie potrafił opanować. Był jak na resorach.

„Poranione psychiki”, które leczył Simon, były szczególnego rodzaju. Trauma esesmanów zrodziła się z szoku, jakim było dla nich własne zezwierzęcenie. Już w roku 1940 dowództwo SS dostrzegło przypadki takich zaburzeń i postanowiło wysłać na miejsce psychiatrów, by zapewnili żołnierzom odpowiednią opiekę. Nie kierowali się współczuciem ani życzliwością, bo nazistowskiej machinie takie uczucia były obce. Chodziło o to, że tacy pokiereszowani psychicznie ludzie nie mogli wykonywać zadań w narzuconym rytmie.

I być może to był najgorszy aspekt misji Simona: Kraus wiedział, że diagnozując tych załamanych zabójców i składając raporty dowództwu, skłania tych, którzy podejmują decyzję, do narzucenia szybszego tempa.

Naziści zastanawiali się nad wprowadzeniem innych metod eksterminacji, znacznie efektywniejszych. Ludzi miały zastąpić maszyny, bo ludzie byli zbyt powolni i zbyt wrażliwi. Czasy rzemiosła już się skończyły. A Simon przyczynił się do tej ewolucji. To on wskazywał wady i słabości systemu.

Nie wiedział na pewno, ale teraz mówiło się o gazowaniu zainspirowanym technikami już stosowanymi do pozbywania się umysłowo chorych i niepełnosprawnych. Tlenek węgla, kwas cyjanowodorowy... Obozy koncentracyjne już przygotowywały się do tego etapu. Przyszedł czas na uśmiercanie na skalę przemysłową.

Simon nie mógł już spać. Sam łykał tyle środków uspokajających co wszyscy jego pacjenci. Miał wrażenie, że pływa w tym nieświecie jak zagubione sumienie mogące lada chwila zniknąć.

Szpital psychiatryczny, w którym kazano mu pracować, miał przerażającą historię. Żołnierze Waffen-SS rozstrzelali wszystkich, którzy w nim byli – chorych umysłowo. Wykopano dla nich dół za budynkiem, a budynek przygotowano dla „towarzyszy broni w potrzebie”.

Placówka nie dysponowała żadnym nowoczesnym sprzętem ani nawet podstawowym wyposażeniem. Prąd zapewniał generator, potłuczone szyby zabito deskami. O żywności lepiej nawet nie wspominać, a woda, zimna i cuchnąca, lichym strumieniem płynęła z natrysków.

Ale przynajmniej w gabinecie miał piecyk na drewno. Simon większość czasu spędzał w tych czterech ścianach, blisko źródła ciepła. Tu przyjmował pacjentów, praktykował hipnozę, przepisywał środki uspokajające, jadał posiłki i sypiał na kozetce.

Czasami myślał o Minnie von Hassel i nie mógł powstrzymać się od śmiechu wobec takiej ironii losu. Kiedyś kpił z niej i z tej rudery zwanej Instytutem Brangbo, a dziś sam nie był lepszy.

Kiedy wychodził, natychmiast sztywniał od przejmującego mrozu, a potem godzinami przywracał sprawność swoim palcom. Miał wrażenie, że wszyscy uciekli z tego przeklętego miasta.

Zostały tylko psy.

I to też było coś, co go dobijało – dobry esesman musiał mieć swojego kundla. Dlatego mordercom w depresji zezwalano na zabranie psów. Było ich tak dużo, że obok szpitala musiano wybudować psiarnię. Przez cały dzień słychać było ujadanie, które zlewało się z niestrawnymi wyznaniem panów tych kundli.

– Doktorze, czy pan mnie słucha?

Simon drgnął. Już dawno zgubił wątek.

– Oczywiście, proszę mówić dalej.

Początkowo nie wierzył w te historie. O stodołach, do których wpychano tyle kobiet i dzieci, ile się tylko dało, i które polewano benzyną przed podpaleniem. O mężczyznach, których wieszano, umieszczając im węzeł pod brodą, żeby dłużej konali. O zabitych, a czasem tylko rannych wrzucanych do dołów łopatami, którymi obcinano im jeszcze ręce albo nogi. O wozach opancerzonych jeżdżących po ochłapach ciał, o niemowlętach wyrzucanych z okien pociągów.

Podczas takich rozmów Simonowi chciało się wymiotować. Zdarzało mu się też z trudem powściągać chęć pobicia któregoś z tych morderców. Kiedyś zresztą posunął się do tego. Najbardziej bolało, że pod pancierzem degenerata znajdował szczątki człowieczeństwa. Niektórzy, mając na koncie tysiące zabitych, rozczulali się nad końmi rozerwanymi przez pocisk. Inni usprawiedliwiali się premią w wysokości dwunastu marek i podwójnymi racjami żywnościowymi, które zapewniała im ta robota. Jeszcze inni, przerażeni perspektywą zapłacenia za zbrodnie, zaczęli rozgrzebywać własne rany.

Simon mimowolnie robił notatki. Nadal był naukowcem, fascynował go Tanatos w najtwardszej, najbrutalniejszej postaci. Popęd śmierci działał niejako za pośrednictwem tych ogłupiających żołnierzy – tępych narzędzi siły, która ich przerastała.

Wieczorami na zbyt twardej kozetce Simon zapełniał całe strony. Zamierzał napisać książkę, pamiętniki będące studium zła. Ale nie był naiwny – snuł wielkie projekty po to, żeby się nie załamać. Te potworności w końcu zniszczą i jego. Zamierzał się wtedy wysadzić w powietrze – nie warto trwać w świecie destrukcji i okrucieństwa.

Kiedy wyłączał lampę sztormową, zapalało się inne światło. Powracały Damy Adlonu. Susanne Bohnstengel. Margarete Pohl. Leni Lorenz. Greta Fielitz. I oczywiście Magda Zamorsky. Ofiary, które okazały się potworami. Potworami i matkami. Zabawkami w perfekcyjnym planie produkcji kwintesencji germańskiej krwi.

Simon wspominał całą tę historię i niezmordowanie porządkował jej elementy. Nie miał z tym problemu. Wszystko było jasne, logiczne, przetrawione.

A jednak zostały ostatnie słowa Magdy: „Nie pojmujecie głębokiego sensu historii. Ważna jest tylko «operacja Europa»”.

Kiedy się nad tym zastanawiał, prawdopodobnie tak jak Minna i Beewen, ogarniało go nieznośne wrażenie, że tylko przeszedł obok tej sprawy. Miała ukryty sens, a oni go nie wyjaśnili.

Operacja Europa miała pozostać tajemnicą, nierozwiązaną zagadką.

Stłumiony dźwięk przywołał go do rzeczywistości. Jego pacjent dostał spazmów i spadł z krzesła, nieszczęśliwie parząc się o piecyk. Simon bez namysłu chwycił go za kołnierz i odciągnął od gorącej ścianki. Gwałtownie uderzył pięścią w drzwi. Choć nie był tu zamknięty, przez miesiące pobytu w tym miejscu wyrobił w sobie ten odruch więźnia. W pewnym sensie był więźniem. Skazańcem zamkniętym w lochu o powierzchni sześciuset tysięcy kilometrów kwadratowych. Na Ukrainie.

Pojawił się pielęgniarz, a raczej zwykły esesman w białym fartuchu. Simon wskazał pacjenta wciąż w konwulsjach, toczącego pianę z ust.

– Zabierz mi to stąd. Podaj mi luminal. Za moje zdrowie.

Pielęgniarz wykonał rozkaz, wlokąc chorego jak worek kartofli. Simon zamknął drzwi i opadł na krzesło. Tępo wpatrywał się w piecyk, otulając się paltem mundurowym. Nosił je ciągle, tak jak ocieplane futrem buty. Stębnowane garnitury, homburgi i derby z podwyższonymi podeszwami zostały daleko...

Ktoś zapukał do drzwi.

Simon poczuł nagłą wściekłość. Jeżeli to jeszcze jeden zdegenerowany morderca... Gniewnie otworzył drzwi i osłupiał na widok dwóch osób, których wizyty nigdy by się tu nie spodziewał.

Franz Beewen w skórzanym płaszczu i okularach lotnika, bardziej aryjski od olbrzymów Arno Brekera. Minna von Hassel tonąca w kurtce, o wciąż pięknej, bladej i jakby półsennej twarzy wyłaniającej się z kołnierza.

Przez krótką chwilę zastanawiał się, co powiedzieć, a potem padł im w ramiona i zalał się łzami.

Żeby dotrzeć do Minny, Beewen musiał pokonać osiemset kilometrów – zajęło mu to trzy dni. Potem pojechali razem do Winnicy. Oznaczało to jeszcze cztery i pół dnia podróży. Teraz zmierzali do Polski i według jego wyliczeń miało to potrwać kolejne trzy dni. Albo więcej. W okolicach Lwowa zaczął sypać śnieg, toteż od 29 listopada podróżowali znacznie wolniej.

A jednak Beewen był zadowolony. Przemierzenie takich odległości po marnych drogach, w dodatku zimą i w czasie wojny, było prawdziwym osiągnięciem. Tak, czuł dumę, może banalną, jak kierowca ciężarówki. Jego VW 82 Kübelwagen wytrzymał trudy podróży. Wyczerpały się wprawdzie zapasy benzyny, ale stopień podpułkownika gwarantował mu tankowanie wszędzie, gdzie się pojawił.

Podczas jazdy do Winnicy on i Minna mało mówili. Na tych piekielnych drogach ryk silnika wszystko zagłuszał. A poza tym Beewen nie chciał powtarzać dwa razy tego, co miał do powiedzenia. Lepiej zaczekać na Simona.

W tę śnieżną niedzielę, gdy od dwóch dni prowadzili na zmianę (kiedy jedno siedziało za kierownicą, pozostałych dwoje spało), postanowił wszystko im przekazać, a było tego sporo.

W listopadowy wieczór pojawił się u niego oficer i opowiedział mu o swej wizycie w nowym obozie koncentracyjnym niedaleko od Częstochowy. Była to swoista placówka pilotażowa, gdzie zamierzano eksperymentować nad nowymi metodami eksterminacji, równoległe prowadząc badania w dziedzinie medycyny. Gdy padło nazwisko dowódcy tej placówki, Beewen aż podskoczył. Był to Ernst Mengerhäusen w stopniu Gruppenführera.

Franz nie zastanawiał się długo. Tego samego wieczoru kazał przygotować samochód, zamierzając złożyć wizytę jednemu człowiekowi, który mógł wiedzieć, czym jest „operacja Europa”. Ale nie zamierzał jechać do niego sam. Musiał najpierw zabrać partnerów, aby razem poznali pełną prawdę.

– Jak nas znalazłeś? – spytała Minna.

– Mam jeszcze swoje kontakty w Gestapo. Zresztą przez cały czas miałem was na oku.

Beewen był szczęśliwy, mając ich znowu przy sobie. W tej chwili nie myślał zbyt jasno, mózg miał wypalony po latach wojny, ale nareszcie w tym strumieniu gówna, w jaki zamieniły się jego myśli, rozblęśla iskierka radości.

Mobilizowało go głównie to, że Minna i Simon, usłyszawszy nazwisko Mengerhäusena, poszli za nim, nie zadając żadnych pytań. Takie opuszczenie posterunku było groźne – mogli zostać oskarżeni o dezercję, o defetyzm. A jednak wcale się nie wahali: ci dwoje, podobnie jak on, nie zapomnieli o Damach Adlonu, a zagadkowa „operacja Europa” nie dawała im spokoju.

Po pierwszej fali wyjaśnień Beewen zamilkł. Mógłby też opowiedzieć im o tym, co widział, jadąc przez Ukrainę, a nawet będąc ze swoją jednostką, ale po co? Nie wiedział, co przeżyli Minna i Simon, był jednak przeświadczony, że każde z nich widziało swoje.

Tego wieczoru Beewen zaproponował, żeby zatrzymali się w zagajniku. Nie zgodzili się, woleli jechać całą noc, prowadząc na zmianę – zostało im jeszcze czterysta kilometrów, a padający wciąż śnieg opóźniał ich i należało przyjąć, że droga potrwa całą dobę.

Zadowolony z ich postawy zdecydował się kierować samochodem i podać im więcej informacji o miejscu, do którego zmierzali.

– W Częstochowie prowadzą szeroki wachlarz obserwacji: infekcji, bólu, umierania... Tam testuje się skuteczność komór gazowych. Są w nich lustra weneckie umożliwiające określenie czasu agonii więźniów.

Wpatrzony w drogę, czarną wstęgę pośród drzew iglastych, Beewen mówił monotonnym głosem. Uznał, że nie powinien niczego im oszczędzać i przygotować ich na to, co zobaczą. Nie będą mieli drugiej szansy.

– Obóz aspiruje także do rangi laboratorium naukowego. To bardzo specyficzne badania naukowe. Zarażają tam zdrowe osoby różnymi chorobami, okaleczają więźniów, żeby obserwować skuteczność różnych kuracji albo po prostu zmiany zachodzące w ranach. Niektóre eksperymenty dotyczą substancji toksycznych, zwłaszcza ropopochodnych, które nakłada się na skórę ludzkich królików doświadczalnych albo wstrzykuje się im do różnych narządów. Mówiono mi także o oparzeniach fosforem, doświadczeniach z wchłanianiem morskiej wody i testowaniem odporności na zimno. Nikt nie przeżywa takich kuracji. Jeszcze ciepłą zwłoki poddaje się sekcji, kroi, odziera ze skóry, a potem wysyła na uczelnie medyczne albo do tajnego muzeum w Rzeszy, gdzie gromadzone są szkielety. Kiedy brakuje zwłok, więźniowie są uśmierceni wstrzyknięciem fenolu w serce. Dla Mengerhäusena taki magazyn materiału ludzkiego to wyjątkowa okazja. Nauka musi wyzwolić się z okowów moralności, no i oczywiście litości.

Beewen mówił w taki sposób, chcąc sprawdzić także siebie. Udawał twardziela, ale nigdy nie wszedł do żadnego obozu zagłady i nie miał pojęcia, jak na to zareaguje.

W poniedziałek 30 listopada około czwartej po południu znaleźli się na przedmieściu Częstochowy. Z tego, co Beewen wiedział, było to sanktuarium, miasto Czarnej Madonny, cel licznych pielgrzymek. Ale było już trochę za późno na modły, a Polacy byli zbyt zajęci tym, żeby przeżyć.

Ominęli miasto, zapytali o drogę i wkrótce dojechali do błotnistej, pełnej kałuż ścieżki. Robiło się ciemno i widzieli tylko białe zbocze, a u jego podnóża niskie budynki ustawione w szeregach. Wydawało się, że chłoną ciężkie płaty zmierzchu jak kromka czerstwego chleba wodę.

– Ja będę mówił – uprzedził ich Beewen.

Żadnej nazistowskiej flagi ani trupich główek. Żadnych szczególnych oznakowań. Jednak z bliska widać już było złowrogą siłę obozu śmierci. Za ogrodzeniem z drutu kolczastego pod napięciem i wieżami strażniczymi, na których ustawiono karabiny maszynowe, wznosiło się około trzydziestu budynków z cegły. Beewen mówił o stosunkowo małym obozie, toteż Minna się zastanawiała, jak wyglądają inne. Budynki stały w dwóch symetrycznych rzędach. Można było pomyśleć, że to fabryka butów albo mleczarnia – coś, co nie wymaga ani wielkich maszyn, ani ogromnych hal.

Beewen wysiadł z wozu i zaczął pertraktacje z wartownikami przed ich posterunkiem. Ich słowa tworzyły nad głowami rodzaj kapturów z pary. Minna powiodła wzrokiem po ogrodzeniu oświetlonym latarniami ustawionymi w równych odległościach i pnącymi się pod górę jak cały teren, a w końcu ginącymi w ciemności. Wyglądało to jak świąteczne girlandy, jak coś baśniowego, zapowiadającego zabawę. Minna czuła się całkowicie zdezorientowana.

Beewen pokazywał teraz jakieś papiery, zapewne fałszywe, przygotowane tuż przed wyjazdem. Żołnierze kiwali głowami. W pewnym sensie każdy dokument przygotowany przez Beewena był autentyczny, skoro sam Beewen był prawdziwy.

Brama się otworzyła, wartownicy się odsunęli. VW 82 Kübelwagen wtoczył się na teren zaśnieżonego obozu. Główna aleja była dobrze odśnieżona. Przejechali kilkaset metrów, nie mówiąc ani słowa. Droga przypominała im długą czarną szczelinę na zamrzniętym jeziorze.

Wszędzie było pusto. Ani żywego ducha w tym biało-czerwonym miasteczku. Tylko wartownicy przechadzali się z bronią na ramieniu, prowadząc na smyczach dyszące, agresywne wilczury.

Minna obserwowała wszystko z niezdrową ciekawością, próbując wypatrzeć więźniów, może zmarłych. Namacalnie, fizycznie czuła, że wkracza do serca zła, i chciała ujrzeć to, czego się spodziewała. Ale wszystko było pozamykane i uśpione.

Beewen jeszcze raz wysiadł, by zapytać o coś wartownika. Kiedy stali na wprost siebie, wyglądali jak posypani rtęciowym pyłem. Otaczała ich krystaliczna poświata.

Minna spuściła oczy i przez otwarte drzwi samochodu zobaczyła, że śnieg ma tu srebrzysty połysk. To nie był tylko połysk, ten śnieg naprawdę miał taki odcień. Kiedy się pochyliła, przekonała się, że pełno w nim srebrnych drobinek. Popiołu.

Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że do kabiny przenika specyficzna woń – nowa, ale znajoma. Odwróciła się i rzuciła Simonowi pełne przerażenia spojrzenie, które

w pełni odwzajemnił.

To był zapach gotowanego mięsa.

Mięsa ludzkiego.

– Biuro Mengerhäusena znajduje się w głębi – poinformował ich Beewen, wsiadając do wozu.

Pojechali dalej główną drogą. Za szybą mróz przydawał wszystkiemu osobliwego połysku: soplom zwisającym z dachów, zamrożonym szybom, które się srebrzyły, śladom butów wartowników...

W tym nierzeczywistym pejzażu ciemność z trudem przejmowała władzę. Wszystkie te białe połacie zdawały się odpierać noc, trzymać ją na dystans, jakby kreda w końcu wygrała z czarną tablicą.

Wkrótce dojechali do budynku, nad którym powiewała flaga ze swastyką i druga ze znakiem run – pierwsze sztandary, jakie ujrzeli od przyjazdu. Budynek był otoczony drutem kolczastym – obóz w obozie – a jego styl, ciężki, przysadzisty, zdradzał administracyjny charakter. Właśnie w takich „sejfach” zapadały decyzje, tutaj wypełniało się prawo życia i śmierci.

Beewen wysiadł po raz trzeci. Tu było więcej wartowników, więcej psów, jakby najgroźniejsi więźniowie mieli udział w tych decyzjach. Tym razem Oberstleutnant wszedł z żołnierzem do środka.

– Jest w aneksie – powiedział po powrocie.

– Co to za aneks?

– Nie wiem. Tak nazywają kompleks budynków w lesie na górze. Prywatną kwaterę Mengerhäusena.

Dotarli na koniec obozu. Minna czuła się rozczarowana. Nic nie zobaczyli. Częstochowa wyglądała jak porzucone więzienie.

Kolejne zasieki. Budka, dwóch wartowników, znowu psy. Tym razem Beewen poprzestał na opuszczeniu szyby. Zwrócił się do esesmanów, krzycząc. Nie musiał się nawet legitymować – szlaban podniósł się w ciszy.

Nowa droga w szpalerze świerków, które uginały się pod śniegiem. Wyżej zagajniki przypominające nasiąknięty wodą mech albo trzciny na brzegu niewidocznego jeziora.

Przed kolejnym ogrodzeniem Beewen zatrzymał samochód i wyłączył silnik.

– To musi być tam – szepnął, jakby się bał, że ktoś go usłyszy. – Jesteście gotowi?

Simon i Minna nie odpowiedzieli, tylko zgodnym gestem wyciągnęli z kabury lugery. Beewen był z nich zadowolony. Wszyscy odbezpieczyli broń, a potem wysiedli z samochodu i podeszli do bramy. Żadnego strażnika. Żadnych krat. Tylko po prawej za ogrodzeniem jakiś mężczyzna palił papierosa odwrócony do nich tyłem, oparty o jeden ze słupów tuż pod przewodami elektrycznymi.

Beewen włączył latarkę. Mężczyzna się odwrócił i ściągnął szalik, który zasłaniał mu twarz. Mimo czapki, mimo szalika na brodzie Minna od razu go rozpoznała – mieli przed sobą Hansa Wirtha, osobistego ochroniarza Mengerhäusena, zwyrodniałego zabójcę z SD.

Wyczytała z jego twarzy, że on także ich poznał. Byli opatuleni, ale przyjechali we troje, a ich trio zapadało w pamięć.

W płaszczu przyprószonym śniegiem na ramionach, stojąc po kolana w zaspie, Wirth patrzył na nich przez druty kolczaste. Nadal nosił okulary, teraz całkowicie zaparowane od ciepła jego oddechu.

– A co wy tu robicie? – rzucił, jeszcze bardziej ściągnając szalik i szczerząc zęby w uśmiechu.

– A jak ci się wydaje?

Wirth wygrzebał się ze śniegu i podszedł wzdłuż ogrodzenia do bramy, żeby otworzyć ciężkie kłódki. Robiąc to, nie przestawał zerkać na nich z rozbawieniem. Wyglądał, jakby ucieszył się na ich widok. Jakby czekał na to wciąż odkładane spotkanie, na odroczone wyrok śmierci.

Szeroko otworzył bramę, spychając nią świeży śnieg, żeby ich wpuścić. Był ubrany na rosyjską modłę: w palcie obszytym wilczym futrem, w futrzanych butach, w czapce ze skóry i futra, w miękkich skórzanych rękawiczkach.

– Przyjechaliście aż tu, żeby się ze mną zobaczyć? Tyle trudu, moje kaczuszki!

Parsknął śmiechem, wypuszczając kłęby pary. Zupełnie jakby palił śmiech zamiast papierosa.

– Ale trochę się spóźniliście – powiedział, udając zasmuconego. – Niczego już dziś nie zobaczycie. Wszystko jest zamknięte i...

Wirth nie dokończył zdania – Beewen wbił mu ostrze sztyletu w gardło. W tej samej sekundzie jego dłoń w rękawicze spłynęła malinową krwią, chyba zadowolona, że udało jej się odzyskać wolność. Szkarłatny potok. Wirth nadal się śmiał, ale śmiech już się nie poruszał, zamarł w kącikach ust. Za zaparowanymi szklami wilgotne oczy rozbłysły niedowierzaniem. Trzymając kordzik, Beewen drugą ręką chwycił Wirtha za klapy palta. Z daleka ktoś mógłby to wziąć za serdeczne powitanie albo za sprzeczkę. Na pewno za męskie zachowanie, może przyjazne, może wrogie, ale niegroźne.

Minna spuściła oczy. Fascynowała ją ta tryskająca krew, która rozpryskiwała się na śniegu i dymiała, jakby pod warstwą puchu skrywał się kipiący krater.

Beewen w końcu rozejrzał się wokół – nigdzie ani śladu wartowników, żadnych świadków na horyzoncie. Puścił ofiarę. Wirth padł na kolana, a potem w przód, twarzą w śnieg. Każdy dostaje taką maskę pośmiertną, na jaką sobie zasłużył.

Franz nie powiedział ani słowa. Zaciśnął tylko dwa palce na zakrwawionym ostrzu i starł z niego czerwoną strugę. Zrobił to gestem rzeźnika, spokojnym i pewnym, ale mającym charakter ostrzeżenia – wszystko, co oddychało w tym miejscu, miał spotkać taki sam los.

Ścieżką wyłożoną kamieniami podeszli do pierwszego budynku. Simon, zamknięty jak w skorupie pod swoim paltem, kapturem, rękawiczkami i szalikiem, przeżuwał jedną myśl: przyjechali tu nie tylko po to, żeby wydrzeć ostatnie skrawki prawdy, ale też żeby zgładzić ostatnich aktorów tamtej sprawy.

Ze śledczych przeobrazili się w katów.

To nie było szokujące w Polsce roku 1942.

Spokojna sceneria. Żadnych hałasów, żadnego powiewu. Nawet pogoda zastygła jak szron na gałęzi. Szli po śniegu, zapadając się po kostki, jakby na ziemi leżał miękki materac. Jeźdźcy Apokalipsy w ciężkiej, wyciszonej wersji.

Lampy sodowe oświetlały wejście do budynków, ale w żadnym oknie nie paliło się światło. Całe to miejsce wyglądało na opuszczone. Na razie jedynym plusem było to, że odrażający smród, który przed chwilą przyprawił go o mdłości, zniknął. Można było w miarę normalnie oddychać, zwłaszcza że tu czuło się zapach wilgotnej kory i świeżej żywicy.

Beewen podszedł do pierwszego budynku po lewej i nacisnął klamkę – drzwi były otwarte. Zrobił kilka kroków w ciemnościach, zanim otoczyła go żółta poświata, gdy włączył latarkę.

Simon i Minna dołączyli do niego, kiedy znalazł włącznik. Gołe żarówki rzuciły ostre światło na całą salę, która przypominała łaźnię miejską, ale bez kafelków i bez ręczników. Ściany z cegły, sześciennie kadzie z betonu wypełnione czarną cieczą, w której pływały bryły lodu. Pod ścianą rząd zlewów. Niklowane krany. Na ziemi kałuże wody.

Można by pomyśleć, że to rosyjska łaźnia, ale pozbawiona ciepła i pary. Simonowi było tu wręcz zimno, przemarzył jak w dzieciństwie na mszach, przed którymi musiał zanurzać palce w marmurowej kropielnicy.

Szli dalej. Zbyt jaskrawe światło wyostrzało wszystko w tym klinicznie bezdusznym miejscu. Rury porzucone na ziemi wyglądały jak sprzęt gaśniczy. Stoły sekcyjne, na których leżały dziwne kombinezony z kauczuku, nasuwały skojarzenie z pogańskimi ołtarzami.

Kiedy Simon pomyślał, że ta gospodarska wizyta może okazać się całkiem znośna, jedno spojrzenie wystarczyło, by ta nadzieja okazała się płonna. Za kolumną na półkach stały słoje. To, co w nich było, przypomniało mu studenckie lata i zajęcia

z anatomii, teraz jednak nie był pewny, czy wszystko rozpoznaje: wątroby, woreczki żółciowe, kamienie nerkowe, jajniki... Kolekcjoner doskonale się tu bawił.

Ale najwięcej było oczu. Wypełniały wiele słoje – zanurzone w formalinie jak wiśnie w wódce, zdawały się ich obserwować, opowiadając szeptem przerażające historie o tym, jak zostały wyłuskane łyżeczką.

Zresztą na małym chromowanym wózku Simon zobaczył narzędzia, jakich nigdy dotąd nie widział – najwyraźniej były tutejszej roboty. Haki z wywiniętym ostrzem, zakrzywione noże, szczypcy z końcówkami zębatymi jak piła.

Zawrócili. Niczego się nie dowiedzieli – może poza tym, że pojęcia człowieczeństwa, godności jednostki ludzkiej i moralności tu nie obowiązują. W tym obozie kobiety i mężczyźni warci byli tyle co królik doświadczalny albo nawet mniej.

Następny budynek, mniejszy, wyglądał jak barak. Tym razem za osłoniętymi materiałem oknami paliło się światło. Może byli tam więźniowie.

Drzwi były zamknięte na łańcuch spięty kłódką. Beewen uderzył w nią ręką, uderzył w nią ręką – ustąpiła. Weszli i zobaczyli więźniów leżących przy palenisku. I wcale nie były to sylwetki w płóciennych łachach. Raczej ciekawe egzemplarze ubrane po cywilnemu. *Po kolekcji narzędzi kolekcja... ludzi.*

Na widok czapki Beewena bliźniaczki w wieku około dziesięciu lat, ubrane w czarne sukienki i białe skarpetki, poderwały się i zaczęły tańczyć jak dwie nakręcane lalki. Trochę dalej rodzina karłów – ich podobieństwo było uderzające – skupiła się, tworząc wspólny front. Wyglądali, jakby byli gotowi umrzeć, ale nigdy nie dadzą się rozdzielić.

Pod ścianami mężczyźni z gołymi torsami w stanie skrajnego wyniszczenia, prawdopodobnie nowotworowego, już nie reagowali. Ich kościste klatki piersiowe, sterczące obojczyki pokryte były ciemnymi ranami, z których sączyła się szarawa ropa. Beewen uprzedzał, że w obozie pod Częstochową eksperymentuje się także z węglowodorami.

W końcu pomieszczenia siedziały skulone kobiety, całe w bandażach i opatrunkach. Simonowi zrobiło się niedobrze. Wszystkie te istoty, które w pewnym sensie miały szczęście przeżyć, stały się obiektem doświadczeń Mengerhäusena.

Gdzie on był? Niczego nie uzgadniając, wyszli, a potem skierowali się do budynku położonego najwyżej na zboczu. Biuro, z którego można było ogarnąć spojrzeniem wszystkie te potworności, pasowało do zdegenerowanego rudzielca.

Kiedy zobaczyli dym wydobywający się z komina, pomyśleli, że są bliscy celu. Dysząc i wypuszczając kłęby pary przy każdym kroku, pokonywali drogę zasypaną miękkim śniegiem, który skrzypiał im pod butami.

Nagle ten odgłos się zmienił, stał się bardzo specyficzny, suchszy, bogatszy, jakby ich nogi uderzały o kamienie. Beewen skierował na ziemię światło latarki. Czaszka,

kość udowa, zebra... Droga pod śniegiem zdawała się usłana ludzkimi kośćmi, choć może leżało tu tylko to, co spadło z wozu albo z taczki.

Simona przebiegł dreszcz. Nie, raczej gwałtowne drgawki. Do głowy cisnęły mu się te wszystkie historie o *Einsatzgruppen* – ten koszmar trwał, choć tu w innej formie. Beewen mówił o „placówce naukowej”, ale miejsce sprawiało raczej wrażenie rzemieślniczej osady, której jedynym celem było zadawanie śmierci z niewyobrażalnym okrucieństwem i w każdej możliwej formie.

Bez problemu weszli do bloku, gdzie zrozumieli swoją pomyłkę – to nie było biuro Mengerhäusena. Tak nie wygląda żadne biuro nigdzie na świecie. Znaleźli się u czarownicy z *Jasia i Małgosi*, brakowało tylko cukierków i ciasteczek.

Duże pomieszczenie było pogrążone w półmroku, oświetlone jedynie ogniem pod czarnymi kotłami. Na progu chwycił ich za gardło odór – oddychanie prawie bolało, powietrze było drapiące i suche. Za czasów młodości Simon, który chwycił się różnych zajęć, pracował w garbarni. Wytrzymał ledwie trzy dni właśnie przez takie ohydne wyziewy. Tu śmierdziało tak samo.

Nie musieli długo szukać wyjaśnienia. Ściany, choć wyglądały na wyłożone belkami, w rzeczywistości obwieszono zwłokami bez głów, nagimi, w kolorze wosku, stłoczonymi, a nawet przytwierdzonymi. Martwi byli niesamowicie wychudzeni. Człowieczeństwo sprowadzone do skóry i kości.

Beewen potknął się o drewnianą kadź. Ogolone głowy wypadły na ziemię. Ścięto je dokładnie u nasady szyi. Simon się zmusił, by na nie spojrzeć. Twarze były pomarszczone, skośnookie, jak u Mongołów. Natomiast usta wydawały się wykrzywione, zęby, o ile były, bliskie wypadnięcia. Co do oczu... miały wygląd żelatyny, jakby poddano je jakiejś obróbce termicznej.

Zbliżyli się do kadzi, w której bulgotała gęsta maź. Połowę powierzchni zasłaniała pokrywa. Beewen odsunął ją ręką w rękawiczce. Wszyscy troje pochylili się nad nią niemal równocześnie. Kto wie? Może kiedyś będą zeznawać...? Spękane torsy, obcięte kończyny, trudne do rozpoznania ochłapy... Skóra się unosiła na poły odklejona. I zapewne o to właśnie chodziło.

Już od dawna w obozach wojskowych krążyły przerażające pogłoski o fabrykach mydła z ludzkiego tłuszczu, o przedmiotach i odzieży szytej z ludzkiej skóry, makabryczne historie, w które nawet w hitlerowskim świecie trudno było uwierzyć.

Teraz wokół mieli potwierdzenie tych pogłosek. Kostki grudkowatego mydła leżały na stole obok form ze śladami tej samej zaschniętej substancji. Simon wytrzeszczył oczy. *Kto mógłby się myć mydłem z ludzi?*

– Chodźmy – powiedział Beewen nie swoim głosem. – Nic tu po nas.

W rogu Simon zauważył stoły krawieckie jak w pracowni. Leżały na nich długie pasy beżowego materiału oraz wykropkowane wykroje. Obok stołów – maszyny do szycia, grube igły, szpule nici.

Przyspieszył kroku i dołączył do Franza i Minny. Świeże powietrze dobrze mu zrobiło. To, co widzieli przed chwilą w tamtych budynkach, nie istniało, nie w ludzkim rozumieniu tego słowa: to było coś obcego, zaprzeczenie uniwersalnego poczucia człowieczeństwa. Nie było sensu ani się oburzać, ani próbować zrozumieć – wszystko to pochodziło zresztą z innej planety, z innej czasoprzestrzeni, gdzie wyzbyto się naturalnej empatii, o ile kiedykolwiek tam istniała.

– Na górze – powiedział Beewen, wskazując palcem.

Simon uniósł głowę i zobaczył ukryty za drzewami drewniany dom w stylu rosyjskiej dachy. W oknach paliło się światło, z komina leciał dym. Dom wyglądał jak oaza spokoju, cicha przystań w czas burzy.

Teraz nie mieli już wątpliwości – to było prywatne biuro Mengerhäusena.

– Witam w moich skromnych progach!

Pod białym kitlem Mengerhäusen był ubrany jak bojar, ale niedzielny bojar, gotów do pracy w ogrodzie albo do karmienia psów. Marynarska kurtka z niebieskiej wełny, płócienne spodnie, buty obszyte futrem.

Jak zwykle jowialny, nie wyglądał na zaskoczonego widokiem ich trojga.

Dom lekarza wart był uwagi – meble wykonano z surowego drewna, na podłogach leżały futrzane dywany, na ścianach wisały niedźwiedzie łby. Pośrodku stał mrużący piec, do którego chciało się wyciągnąć ręce. Wygodne schronienie dla emerytowanego drwala.

Jednak człowiek jest, kim jest: na półce za biurkiem stały słoje z materiałem organicznym zanurzonym w formalinie.

– Przyznam, że jestem pełen podziwu dla waszej zawziętości – stwierdził Mengerhäusen, jakby od dawna na nich czekał. – Po trzech latach pojawiaacie się tu, wciąż szukacie odpowiedzi! W innych czasach przypłacilibyście taką ciekawość życiem, jednak dziś... – Westchnął z rozżaleniem. – To paradoksalne, ale teraz, kiedy życie nie ma żadnej wartości, mamy większe szanse je zachować, precyzyjnie się przez oka sieci.

Goście milczeli nieruchomi jak trupy, na które się napatrzyli. Gospodarz zaproponował, żeby usiedli – w pokoju stały drewniane fotele okryte skórami zwierząt – woleli jednak stać jak skazańcy czekający pod szubienicą, aż kat założy im pętlę na szyję.

– Wyglądacie na zziębniętych – powiedział Mengerhäusen. – Poczęstuję was kawą.

Podszedł do emaliowanego żeliwnego pieca, na którym stał w ciepłe ekspres. Filiżanki, łyżeczki, cukier. Mengerhäusen robił to wszystko ze stoickim spokojem, nie drżąc, nie okazując żadnych obaw. Włosy nadal miał tak gęste jak kiedyś i równie nieokiełznane. Istny ogień.

Może się to wydać surrealistyczne, lecz kiedy podawał im kolejno filiżanki, zdejmowali rękawiczki i przyjmowali poczęstunek. Czuli gniew, odrazę, nie pojmowali takiego braku etyki, jednak w tej chwili przede wszystkim konali z zimna i gorąca kawa była właśnie tym, czego było im trzeba.

Beewen wypił swoją duszkiem i nawet nie poczuł palenia w gardle. Dopiero po kilku sekundach ciepło rozpląnęło się po jego ciele. Pomyślał o Wircie, któremu poderżnął

gardło i którego krew miał jeszcze na rękawie. Myślał o ludzkim tłuszczu, o wyprawionej skórze, o narządach pływających we własnym sosie...

– Dla mnie cała ta sprawa to przeszłość – powiedział ginekolog, siadając za biurkiem. – Zbudowałem tu sobie kryjówkę. Kontynuuję badania daleko od Berlina i od wojny... Stałem się eremitą...

Gdyby Beewen miał pod ręką siekiere, rozrębałby go na pół, a potem rzucił psom na pożarcie. Ale byłaby to zła taktyka. Przyjechał, żeby poznać prawdę, i nie chciał utracić żadnego jej okrucha.

Tymczasem lekarz mówił dalej. Sięgnął po fajkę.

– Nie wiem, do czego doprowadzi nas ta wojna, i wolę o tym nie myśleć. Siedzę spokojnie w swoim kąciку i pracuję nad wynalazkami, które pozwolą Trzeciej Rzeszy, narodowi niemieckiemu i całej ludzkości żyć lepiej, szczęśliwiej, w lepszym zdrowiu...

Głos rudzielca działał jak balsam. A przytulna dacza pachnąca świerkiem miała jakąś niezwykłą kojącą siłę. Jakby na końcu piekła znaleźli ciepły, życzliwy zakątek, gdzie krępy rudzielec w przebraniu marynarza pali sobie długą fajkę z ludzkiej kości.

– Nie przyjechaliśmy tu, żeby słuchać pieprzenia szalonego naukowca – uciął Beewen.

– Doskonale – powiedział Mengerhäusen. – Macie do mnie pytania?

Beewen zbliżył się o krok. Miał jedno:

– Co to jest „operacja Europa”? Jaki ma związek z Damami Adlonu?

– Kto wam o tym powiedział?

– Magda Zamorsky.

– Kochana Magda... Byłaby naszą najgroźniejszą przeciwniczką.

Popatrzyli na siebie. Mengerhäusen o wszystkim wiedział. Teraz spokojnie nabijał fajkę. Jego gesty były wyważone, powolne. Zachowywał się jak wyrozumiały dziadek.

– Wiesz, jak funkcjonuje Trzecia Rzesza, prawda? – spytał, patrząc na Beewena.

Oberstleutnant nie odpowiedział. Mengerhäusen wstał. Wziął z biurka kartkę – prawdopodobnie listę skazańców albo pacjentów – zwinął ją w rulonik i przytknął do ognia w piecu.

Tą pochodnią zapalił tytoń, mocno przy tym dymiąc i wiele razy pykając.

– Olimpem nazistów jest Reichsleitung – podjął. – Na jego szczycie stoją Reichsleiterzy, gubernatorowie Rzeszy. Jest ich piętnastu, czasem osiemnastu. To nasi bogowie. Kapłani władzy. Obradują, decydują, patrzą na nas. – Przeszedł kilka kroków, pykając z fajki. – Można ich porównać do starożytnych bogów. Nad nimi stoi oczywiście Jowisz, król bogów, nasz umiłowany Führer. Potem jest Pluton, władca piekieł, czyli Heinrich Himmler. Wyszedłeś z SS, nie muszę ci tłumaczyć tych skojarzeń. W roli Apolla, boga poezji, obsadziłbym Josepha Goebbelsa. Nie śmiej się.

Choć nie ma wyglądu odpowiadającego wyobrażeniom, jest naszym mistrzem słowa. Na Merkurego, posłańca, wybrałbym Martina Bormanna, szefa kancelarii NSDAP, a na Janusa, boga o dwóch twarzach, Rudolfa Hessa, zdrajcę i dezertera. Były w tej roli doskonały.

Beewen tracił cierpliwość.

– Do czego zmierzasz?

Mengerhäusen pokiwał głową, nad którą unosił się obłok dymu.

– Pewnie miesiącami, co ja mówię, latami, zastanawialiście się nad tymi dwoma prostymi słowami: „operacja Europa”! Jaką wojskową operację tak nazwano? Jaki związek mogły mieć Damy Adlonu z jakąś akcją Wehrmachtu? – Wciąż poruszała wargami na ustniku fajki. Pyk, pyk, pyk... – A tymczasem to bardzo proste – ciągnął tonem nauczyciela, który podaje uczniom długo oczekiwaną odpowiedź. – Nie chodzi o tego rodzaju manewry, skądże. Nazwa nie odnosi się do kontynentu, lecz do osoby.

– Do jakiej osoby?

– Do Europy, postaci mitologicznej.

Beewenowi oczywiście nic to nie mówiło, był jednak przekonany, że jego przyjaciele, stuknięci intelektualiści, doskonale wiedzą, o co chodzi.

– Ta historia to jeden z najpopularniejszych starożytnych mitów – raczył wyjaśnić Mengerhäusen. – Pewnego dnia Europa, córka króla Tyru Agenora, zwróciła na siebie uwagę Jowisza.

Beewen nie przyjechał tu, żeby uzupełniać luki w edukacji. Jego palce namacały już w kieszeni rękojeść kordzika. Musiał ze sobą walczyć, żeby go nie wyciągnąć.

– No więc Jowisz zachwycił się urodą siedzącej na brzegu Europy – ciągnął lekarz. – Nie chcąc jej wystraszyć, przemienił się w dorodnego byka i położył u jej stóp. Początkowo Europa nieco się obawiała, potem zbliżyła się do zwierzęcia i wsiadła na jego grzbiet. Byk natychmiast się podniósł, wszedł do wody i zniknął na horyzoncie. Legenda głosi, że później ta para dotarła na Kretę i pozostała ze sobą. Ze związku boga ze śmiertelniczką zrodziło się troje boskich dzieci. Jednym z nich był Minos, sławny władca Krety.

Beewen wycedził przez zęby:

– Nadal nie rozumiem, do czego zmierzasz.

– „Operacja Europa” to podobny plan: doprowadzić do związków naszych bogów ze zwykłymi śmiertelniczkami.

– Co takiego?

– Bogowie mają takie same potrzeby jak ludzie. I chcą być pewni, że znajdą dziedziców, czyli potomstwo. Dziś mamy naszego Führera, wizjonera, a także jego Reichsleiterów, ale co będzie jutro? Za pięćdziesiąt lat? Kto będzie rządził

Tysiącletnią Rzeszą? Następcy polityczni? Intryganci, którzy wybiją się dzięki intrygom? Nie, nie i nie! Dla Germanów krew jest najwyższą wartością.

Beewen zaczynał rozumieć, o czym mówi Mengerhäusen, i poczuł zawrót głowy. Zerknął przelotnie na Simona i na Minnę. Nie musiał używać telepatii, aby się domyślić, że są w takim samym stanie jak on.

– Prawdziwi dziedzice... – ciągnął Mengerhäusen. – Właśnie tego potrzebują Führer i Reichsleiterowie. Doskonałe dzieci, które zapewnią ciągłość władzy. Dzieci o lepszej krwi, zrodzone z Aryjek bez wad, wychowane w najczystszy duchu Rzeszy.

Zapadła cisza. Beewen, Minna i Simon wciąż stali, ale można by przewrócić każde jednym palcem.

Operacja Europa.

Połączyć bogów ze śmiertelniczkami, jak Jowisz połączył się z Europą. W języku nazistów oznaczało to: dać rządzącym Niemcami czyste germańskie piękności, by je zapłodnili. *Damy Adlonu*.

– Czyli nie Kurt Steinhoff zapłodnił Leni Lorenz i inne? – spytała Minna.

– Nie. Użyczał nam tylko nazwiska, by to tak ująć. Był naszym sztandarowym amantem. – Zaśmiał się z własnego żartu. – Naprawdę myślisz, że do produkcji doskonałych dzieci wybralibyśmy tego zepsutego fircyka, który żył tylko po to, żeby fotografować się na koktajlach w plenerze? Bądźmy poważni.

– Jak to się odbywało?

– Tak jak z tobą – rzucił Mengerhäusen. – W całkowitych ciemnościach. Wszystkie te plotki rozsiewane przez nas o tym, że Steinhoff miał skłonność do uważania się za wilka i wierzył, że widzi w ciemnościach, to bzdury. Władcy Rzeszy przybywali kolejno do kliniki Zehrerthofer, by spełnić swój obowiązek. Nikt ich nie widział, nikt nie znał naszego sekretu.

Beewen ze swą przysłowiową delikatnością zapytał:

– Kto z kim spał?

Mengerhäusen stanął jak wryty z fajką w zębach, z rękami splecionymi na plecach. Śmiejącymi się oczyma spojrzął Beewenowi prosto w oczy.

– Zdajecie sobie sprawę, że nie wyjdziecie żywi z tego obozu?

– Odpowiedz.

– I że ta wiedza zaprowadzi was prosto do naszych pieców?

– GADAJ!

Lekarz westchnął, a potem znów zaczął krążyć po pokoju ze zwieszoną głową.

– Susanne Bohnstengel została zapłodniona przez Martina Bormanna, naszego Merkurego, drugiego kwietnia trzydziestego dziewiątego roku. Margarete Pohl przez Josepha Goebbelsa, Apolla, siedemnastego kwietnia. Leni Lorenz przez Rudolfa

Hessa, alias Janusa, czwartego maja, a Greta Fielitz przez Heinricha Himmlera, boga piekieł, szóstego maja...

– Wiedziały o tym?

– Nie. Do końca wierzyły, że zapłodnił je Kurt Steinhoff. Nigdy się nie dowiedziały, że były naszymi wybrankami, naszymi narzeczonymi... Tymi, dzięki którym Tysiącletnia Rzesza miała przetrwać w pełni swej wielkości.

Beewen chciał faktów, tylko faktów.

– Zostały uśpione?

– Nie, ale wszystko działo się w kompletnych ciemnościach.

Franz zadał ostatnie pytanie, domyślając się, jaka padnie odpowiedź:

– A Magda Zamorsky?

– Magda była najpiękniejsza. Była naszą Europą, księżniczką, na którą zwróciło się spojrzenie króla bogów, jedyną godną, by nosić jego boskie potomstwo. Nasz Führer zapłodnił ją dziesiątego czerwca trzydziestego dziewiątego roku. To pamiętna data. Na tym polegała ironia historii: nasza najpiękniejsza wybranka, ta, której powierzyliśmy najszlachetniejsze zadanie, zdradziła nas. Właśnie ona.

Prowadząc śledztwo, Beewen zyskał wyobraźnię, nauczył się snuć różne scenariusze, ekstrapolować. Ale tym razem sytuacja przerosła jego zdolność abstrakcyjnego myślenia. Zdołał tylko powiedzieć:

– Mówiłeś, że było piętnastu Reichsleiterów.

– Zaczęliśmy tę operację od pięciu najważniejszych postaci Olimpu, od najwyższych bogów.

Nieoczekiwanie do rozmowy włączył się Simon:

– Cały ten projekt to twój pomysł?

– To stuprocentowy Mengerhäusen! – powiedział lekarz, cmokając. – Pamiętam, że przedstawiłem ten plan Führerowi pewnego grudniowego wieczoru w trzydziestym ósmym roku w jego rezydencji Berghof w Obersalzbergu. Inni Reichsleiterowie, ci, których brałem pod uwagę, byli obecni, a Goebbels i Himmler natychmiast mnie poparli. Hess nic nie rozumiał, a Bormann pozwolił sobie na żart ze swojej żony, która zachęcała go do niewierności.

– A... Hitler?

Na twarzy profesora pojawił się dwuznaczny grymas, na pół urażony, na pół figlarny.

– Dla naszego Führera ten temat zawsze był krępujący. Złe języki mówią nawet, że Ewa Braun to tylko przykrywka, by zamaskować... – Zaśmiał się. – No cóż, właśnie to, że nie ma czego ukrywać!

– Jednak zgodził się na stosunek z Magdą Zamorsky.

– Zrozumiał, że operacja jest konieczna, owszem. Nazistowscy bogowie muszą płodzić własne potomstwo. Następców, których piękno i inteligencja przerosną wszystko, co znamy. Nasz Führer zwrócił uwagę na tę Polkę już podczas jednego ze spotkań Dam Adlonu. Jak Jowisz uległ czarowi Europy, tak on zachwyił się Magdą.

Po tych ostatnich słowach zapadło pełne sceptycyzmu milczenie. Trudno było uwierzyć w opowieść o miłości od pierwszego wejrzenia w Czarnym Zakonie.

Mengerhäusen musiał wyczuć, że traci uwagę słuchaczy.

– Wyprowadzę was z błędu – dodał, podnosząc głos. – Bogowie Rzeszy nie są już na etapie miłości ani innych podobnych słabostek. Większość ma żony i dzieci, owszem, miewają też przygody miłosne, ale to wszystko ich ludzka strona, małłość. I nie ma nic wspólnego z Tysiącletnią Rzeszą! – Teatralnym gestem uniósł fajkę. – Rzesza bowiem wymaga płodzenia wyjątkowego potomstwa, zrodzonego ze związku geniusza z pięknem, natchnienia z aryjską doskonałością. Pamiętajcie słowa Hessa? „Narodowy socjalizm jest zastosowaniem praw biologii”. Aby zarządzać przyszłością, trzeba przestrzegać fundamentalnych zasad Rasy!

Minna zadała kolejne pytanie, a jej spokojny głos uwypuklał śmieszność egzaltowanych słów rudzielca.

– Co by było po urodzeniu tych dzieci?

– Zapewnilibyśmy im nadzwyczajną edukację. Wychowanie książęce, zgodne z wartościami Rzeszy. Zamierzaliśmy...

– A teraz? – przerwał Beewen. – Damy Adlonu nie żyją, płody zostały usunięte, cały projekt legł w gruzach, wojna sieje spustoszenie...

Wydawało się, że tych kilka słów pokona Mengerhäusena na jego własnym terenie. Opuścił głowę niczym mały byczek, który kapituluje, i stanął za biurkiem.

Ku ich zdumieniu z czułością położył rękę na jednym ze słoików zawierających tkanki.

– Zaczniemy od nowa...

Beewen od razu zrozumiał. Wskazując palcem szklane słoje, wyszeptał:

– Czyli to są...

– Płody? Naturalnie. Święte szczątki. Najcenniejsze skarby archeologii naszej Rzeszy.

– Jak je odzyskałeś? U Magdy?

– Magda Zamorsky nie ma z tym nic wspólnego. Jak miałyby ukraść embriony? Nie znalazłaby płuca w klatce piersiowej. Nie, Koenig, lekarz sądowy, za każdym razem przekazywał mi informację i to ja przyjeżdżałem, aby pobrać płody od tych biedaczek jeszcze przed autopsją. Musieliśmy zachować cenne szczątki boskiego potomstwa.

Przez wiele tygodni poszukiwali złodzieja płodów, człowieka o umiejętnościach chirurgicznych. Tymczasem zbrodni dokonywano dwuetapowo: wytrzewienie było znakiem zemsty dokonywanej przez Magdę, a spokojny, fachowy zabieg przeprowadzał Mengerhäusen.

Trójka gości mimowolnie odsunęła się od półki. Absurd zatem wciąż królował. W tym potwornym obozie był człowiek, który w domu na szczycie zaśnieżonego zbocza otaczał troską kilkutygodniowe płody, podczas gdy tuż obok setki tysięcy ludzi traciły życie.

Beewen wsunął dłoń pod skórzane palto. Ten wir czystego obłędu dowodził, że najwyższy czas położyć mu kres.

Minna von Hassel głęboko wierzyła, że potęga szaleństwa jest bezgraniczna. Czerpie siłę z ludzkiego umysłu, który także nie ma granic. I dlatego spodobał jej się taki epilog. Wielki nazistowski obłąd w czystej postaci, przerażający do samego końca.

Mimo to wciąż jeszcze czuła niedosyt. Miała pytania. Nie ustaliła wszystkich powiązań, nie znała wszystkich szczegółów. Musiała wiedzieć.

– W jaki sposób Magda Zamorsky poznała prawdę?

– Nie mam pojęcia. Stosunek odbył się w całkowitej ciemności. – Zarechotał. – Może wąsy naszego Führera zasiały podejrzenia w jej głowie...

Głos zabrał Simon:

– Śledziliście nas przez całe dochodzenie?

– To dochodzenie stanowiło poważny problem. Trzeba było schwytać zabójcę, nie odkrywając motywu zbrodni. Musieliśmy kierować śledczymi, hamując ich w porę. Prawdę mówiąc, każdy, kto miał coś wspólnego z tą sprawą, był z góry skazany.

– Jak Max Wiener? – wtrącił Beewen.

– Dobry policjant. Nawet trochę za dobry. Wpadł na pomysł, żeby przesłuchać pokojówki Susanne i Margarete, i tak odkrył, że obie ofiary były w ciąży. A potem zaczął węszyć wokół Lebensbornu. Powstrzymaliśmy go, zanim stało się najgorsze.

– A my? – włączyła się Minna. – Jaki czekał nas los?

– Zamierzaliśmy się was pozbyć, ale mieliśmy jeszcze nadzieję, że coś znajdziecie. Po Steinhoffie postanowiliśmy położyć temu kres. Wtedy zauważyliśmy, że uporczywie kontynuujecie śledztwo. Pognało was do Cyganów... To było bardziej absurdalne niż wasze poprzednie pomysły, ale cóż...

– A ta inscenizacja w lebensbornie? Co to miało być?

– Chciałem dać ci nauczkę, a równocześnie cię przekonać, że to Steinhoff jest naszym ojcem.

Znów odezwał się Simon:

– Ty przysłałeś te kobiety do mojego gabinetu?

– Trzeba było zmylić tropy. Chcieliśmy przekonać wyższe sfery, że Damy Adlonu nie są dobrymi nazistkami.

– Nie widzę związku.

– Przecież jesteś najbardziej gadatliwym psychoanalitykiem w Berlinie! Chcesz rozsiać plotkę? Zadzwoń do Simona Krausa.

– Nie ja wymyśliłem Marmurowego Człowieka.

– To prawda. Susanne, Margarete i Leni były przerażone tymi snami. Myślały, że przekroczyły czerwoną linię. Że ich ciąża są przekleństwem... Marmurowy Człowiek uosabiał swego rodzaju sąd... boży.

Minna chciała się dowiedzieć, jak Mengerhäusen domyślił się winy Magdy Zamorsky. Przecież piąta z Dam Adlonu odebrała sobie życie i nikt nigdy nie ujawnił prawdy.

– To bardzo proste – odparł Mengerhäusen. – Podczas sekcji Koenig odkrył, że cierpiała na albinizm. Przeszukując jej dom, znaleźliśmy przedmioty związane z kulturą cygańską. Powiązałem to z waszym śledztwem, z jego cygańskim wątkiem.

Głos znów zabrał Simon:

– Dlaczego nas oszczędziliście?

– Ocalała was wojna. A teraz jesteście rozproszeni po froncie wschodnim i macie ograniczone szanse na przeżycie. A poza tym kto zechciałby was słuchać?

– Tak czy inaczej, Magda obróciła waszą operację wniwecz.

– To prawda... – przyznał ginekolog. – Ale nasi bogowie wciąż żyją. Kiedy wojna się zakończy...

– Wy jej nie przeżyjecie.

Mengerhäusen milczał. Już jakiś czas temu odsunął się od słoików i stanął przy oknie. Odwrócony plecami do rozmówców, zdawał się szukać czegoś na zewnątrz. Przetarł nawet ręką parę z szyby.

Upłynęło kilka sekund, zanim się odwrócił.

– To już nie ma żadnego znaczenia. Czas wezwać Wirtha.

– Tym razem nie przyjdzie – mruknął Beewen.

– A to dlaczego?

– Bo go zabiłem.

Mengerhäusen uniósł brew – wybrzmiała być może pierwsza fałszywa nuta w przyjaznej partyturze, którą napisał w swojej dacy. W innych czasach w innym miejscu zapewne sięgnąłby do szuflady i wyciągnął pistolet. Ale znajdowali się w domu z bali, a biurkiem szefa był tu zwyczajny drewniany stół, bez szuflad i skrytek.

Nie tracąc pewności siebie, usiadł w drewnianym fotelu, wziął do ręki skalpel i drapał nim wewnątrz fajki, żeby usunąć wypalony tytoń.

– Rzesza jest wielkim okrętem – szepnął – i odnoszę wrażenie, że ten okręt zaczyna nabierać wody.

– Z ust mi to wyjąłeś – powiedział Beewen. – Tu czy gdziekolwiek indziej, i tak wszyscy wyzdychacie.

– Być może, ale ten ruch już się zaczął. Trwa podbój naszej przestrzeni życiowej. Wszystko, co robię, służy tej sprawie. Musieliśmy jednych eliminować, innych

powoływać do życia. Nie dla wszystkich może być miejsce.

Beewen wyciągnął z kabury lugera.

– Mam dla ciebie dobrą wiadomość: wkrótce jedno miejsce się zwolni.

Na widok broni lekarz zostawił fajkę i popiół. Rozparł się w fotelu, leniwie wyciągnął pod stołem nogi, a wszystko to z uśmiechem glinianej świnki skarbonki przyklejonym do ust.

Minna wielokrotnie się przekonała, że obłąkani potrafią być bardzo odważni. Niczego nie szanują, nie wierzą w rzeczywistość.

Splatając tłuste rączki, Mengerhäusen szepnął:

– Jeśli strzelisz, postawisz na nogi cały obóz.

– Nie musi być hałasu.

Olbrzym w skórze podszedł, złapał ginekologa za włosy i wepchnął mu lugera do ust. Oddał dwa strzały. Detonację wygłuszyła tchawica, naturalny tłumik.

Minna zobaczyła – zobaczyła na własne oczy – jak kręgi szyjne lekarza wypadają z karku i odbijają się od podłogi niczym kości do gry.

Może w powieści albo w filmie bohater przewróciłby rozżarzony piec i podpalił całą dację, żeby spuścić karę na to siedlisko zła. Oni jednak zapięli tylko palta, postawili kołnierze i odeszli tą samą drogą, którą pokonali dwie godziny wcześniej.

Zeszli po zboczach, kierując się do ogrodzenia z drutu kolczastego. Byli sędziami czy mordercami? Simon nie znał odpowiedzi na to pytanie. Czy będą musieli zeznawać? Teraz? Po wojnie? Na razie w świecie, gdzie prawo stanowili zbrodniarze, nie było szansy, by ich osądzić czy ukarać.

Porwanie Europy. Olimp bogów. Obsceniczne spółkowanie Reichsleiterów z Damami Adlonu, bogów ze zwykłymi śmiertelniczkami... Utknęli teraz w nowej mitologii, lodowatej, przerażającej – w mitologii nazizmu, w destrukcji świata prowadzonej przez garstkę szaleńców, którzy uważali się za demiurgów.

Przeszli przed wytwórnią mydła, przed domem bliźniaczek, przed łaźnią z oczyma-wiśniami... Było to dla nich jak przypomnienie faktów. *Obrona własna*. Zabili Mengerhäusena w obronie własnej. Napadnięta została cała ludzkość.

Śnieg skrzypiał pod ich butami. Ominęli zwłoki Wirtha spoczywające pod śnieżnym całunem, otworzyli bramę i wsiedli do volkswagena. Przy szlabanie obozu głównego Beewen znów się wylegitymował. Przejechali bez problemu i skierowali się do głównej drogi. Strażnicy, których mijali, nawet na nich nie spojrzeli.

Znów zaczął padać śnieg – lekki, rzadki, postrzępiony. Obóz wyglądał jak wyściełany piórami, wypchany nimi, żeby łagodziły wstrząs. Latarnie rzucały żółte plamy na nieskazitelną biel. Sylwetki strażników przesuwwały się od czasu do czasu w ich świetle, rozcinając zaśnieżoną ziemię niczym brzytwa.

Uwagę Simona przykuła dziwna scena na tyłach jednego z budynków. W blasku reflektora trzydzieścioro pilnowanych przez esesmanów dzieci stało w kolejce, czekając na pomiar wzrostu. Wszystkie dygotały i już sam pomysł, żeby mierzyć je w środku nocy, na takim mrozie, był okrucieństwem.

Ostatni transport dnia... Simon bez słowa wysiadł z volkswagena i podszedł do grupy. Dzieci kolejno stawały pod drewnianą poprzeczką. Te, które jej sięgały, popychano na prawo, inne na lewo. Wyjaśnienie: dzieciaki wystarczająco duże, żeby pracować, mogły żyć dalej, pozostałe trafią do komory gazowej.

I właśnie w tym momencie Simon zrozumiał, że zniknęła potulność, z jaką dawał się nieść nurtowi zdarzeń. Ta scena, w obozie zagłady zupełnie banalna, spowodowała w nim przemianę. Była jak kropla, która przelała czarę goryczy, już dawno wypełnioną po brzegi.

Jedno z dzieci, mając poniżej metra dwudziestu, odgadło, że wzrost jest dla niego wyrokiem. Dyskretnie stanęło na palcach, próbując dotknąć głową drewnianego

wskaźnika.

Strażnik kopnął je buciorem w stronę najmniejszych – tych, które spłoną jeszcze tej nocy.

Simonowi ścisnęło się serce. Ta desperacka próba dziecka była dla niego, człowieka, który przez całe życie próbował dodawać sobie wzrostu, widokiem nie do zniesienia. Szybkiem krokiem podszedł do esesmana.

– Możemy chwilę pogadać?

– O co chodzi?

– Chodź ze mną.

Facet wyglądał na pijanego. Simon po przyjacielsku wyciągnął go za róg budynku, aby nikt ich nie widział.

– Kupię od ciebie tego małego. Tego ostatniego.

Mężczyzna zarechotał jak wół, o ile woły potrafią rechotać.

– Tutaj to tak nie działa.

– Podaj cenę. Zapłacę ci i zabiorę go. Nikt niczego nie zauważy.

Simon poczuł, że aż kipi. Twarz miał pąsową, paliły go uszy, szalik niemal mu płonął.

– Pięćset reichsmarek.

To nie miało sensu. Życia dziecka nie da się wycenić. Simon szperał w chlebaku, który nosił przewieszony na ukos przez ramię. Wiedział, że wiele nie znajdzie – najwyżej sto marek.

– Zostawiłem pieniądze w samochodzie.

Esesman złapał go za rękaw, popatrzył na jego ubranie. I nagle wytrzeźwiał.

– *Nein* – powiedział i załadował broń.

– *Nein?* – powtórzył Simon. – Zaczekaj, może je znajdę.

Wsunął rękę do chlebaka, wyciągnął odbezpieczonego lugera i wpakował strażnikowi kulę między oczy.

Kiedy się odwrócił, zobaczył, że drugi strażnik już biegnie, mocując się z bronią.

Nagle po lewej stronie pojawił się Beewen. Ostrze jego kordzika dosłownie przygwoździło strażnika do nocnej ziemi i na zawsze wysłało w mrok. Esesman przez ułamek sekundy miał obie nogi w górze, tułów wyprężony. Potem bezszelestnie osunął się na śnieżną pierzynę. Strumień krwi trysnął w górę z jego gardła. Beewen przycisnął ranę butem i obrócił ciało twarzą do ziemi.

Simon podszedł do grupy dzieci i wziął protegowanego za rękę. Ruszyli biegiem do volkswagena.

Zatrzymał się jednak po kilku metrach.

Nie mógł zostawić tamtych...

W tej samej chwili dobiegł go warkot ciężkiego silnika. Simon puścił rękę dziecka i znów chwycił lugera, ale wtedy za kręgami światła zobaczył ciężarówkę marki Borgward, która podrygiwała na kołach, jakby i one drżały w tę mroźną noc.

Simon zmrużył oczy i zauważył dwa istotne elementy. Po pierwsze, tył ciężarówki był kryty – idealny, żeby schować tam trzydzieścioro dzieci. Po drugie, ogromną kierownicę trzymała Minna.

Jakkolwiek może się to wydawać nieprawdopodobne, bez żadnych problemów wydostali się z obozu z ładunkiem ukrytym pod plandeką. Szlaban poszedł w górę, a Beewen uraczył skostniałych wartowników tylko szybkim *Heil Hitler*.

Czarna droga, biała droga.

W kabinie głucha cisza, z tyłu ani szmeru.

Simon był szczęśliwy, a jego szczęście było tak twarde, skompresowane, że czuł się, jakby połknął kamień. Ostry krzemień, który ranił mu trzewia, ale rozświetlał go od wewnątrz całym swym pięknem.

Ocalili tylko grupkę dzieci. To kropla krwi w morzu hemoglobiny, lecz przynajmniej tej nocy przymiar przegrał. Wzrost to nie powód, żeby umierać. I ta myśl na razie wystarczyła, by przepełnić go pełną, absolutną radością.

Minna ruszyła na wschód.

Dokąd jechali? Co zrobią? Polska była okaleczoną ziemią, plującą trupami i spływającą rzekami krwi, które wzbierały na skutek niekontrolowanych wstrząsów. Ukraina i Białoruś tak samo. Rosja produkowała tak wielką liczbę nieboszczyków, jakiej nigdy nie pochłonęła żadna wojna.

Simon wcisnął się w oparcie siedzenia między Minną a Beewenem, głowę wtulił w futrzany kołnierz. Czuł na twarzy ciepło własnego ciała. Wyboje na drodze kołysały go. To wszystko przypominało sen, pierwszą rozgorączkowaną miłość.

Trójka morderców z przodu. Trzydzieścioro dzieci z tyłu. Niesamowity transport zagubiony pośród pustki.

Simon poczuł, że wychodzi z własnego ciała i ulatuje poza kabinę. Zobaczył borgwarda jadącego samotnie drogą pomiędzy zwałami śniegu, potem dostrzegł ciemne lasy, bielutkie pola, wzgórza porośnięte drzewami.

Wkrótce ciężarówka stała się tylko punkcikiem. Nic nieznaczącym atomem na wielkiej białej pustyni. Elektronem, który nie mógł już zatrzymać się w tej bezsensownej ucieczce. Cząsteczką, która uniosła w sobie jeśli nie obietnicę, to przynajmniej sen o lepszej przyszłości.

¹ Przeł. A. Kijowski (przyp. tłum.).